

UWAŻAJ, CZEGO PRAGNIESZ... MOŻESZ TO OTRZYMAĆ

# NEVERMORE

KRUK



KELLY CREAGH

## Geography

The first step in the process of geographical analysis is to identify the geographical context of the study. This involves understanding the spatial distribution of the phenomenon being studied and the relationship between the geographical context and the phenomenon. The next step is to collect data on the phenomenon, which can be done through a variety of methods, including surveys, interviews, and observations. The final step is to analyze the data and draw conclusions about the geographical context and the phenomenon.

Geography is a discipline that studies the spatial distribution of phenomena and the relationship between the geographical context and the phenomenon. It is a multidisciplinary field that draws on a variety of disciplines, including history, sociology, and anthropology. The study of geography is essential for understanding the world and the human impact on the environment.

Geography is a discipline that studies the spatial distribution of phenomena and the relationship between the geographical context and the phenomenon. It is a multidisciplinary field that draws on a variety of disciplines, including history, sociology, and anthropology. The study of geography is essential for understanding the world and the human impact on the environment.

Geography is a discipline that studies the spatial distribution of phenomena and the relationship between the geographical context and the phenomenon. It is a multidisciplinary field that draws on a variety of disciplines, including history, sociology, and anthropology. The study of geography is essential for understanding the world and the human impact on the environment.

## Chłapaję

Martwą ciszę wierząc wzrokiem,  
nie ruszyłem się ni krokiem,  
Tylko drżałem, śniąc na jawie sny,  
o jakich nie śnił nikt.

— Edgar Allan Poe, *Kruk* (przełożyła Jolanta Kozak)

*Dla mamy, która zawsze zachęcała mnie, bym śniła  
(nawet przerażające sny)*



## *Od wydawcy*

W grudniu ubiegłego roku przyszedł do naszego biura katalog agencji Adams Literary Agency, z którego okładki gapił się na nas ponury, przypominający wokalistę gotyckiej kapeli chłopak. Pierwsze wrażenie – kolejny paranormalny romans. Opis – got i czirliderka? To zakrawa na groteskę. Przejrzałam kilka pierwszych stron i uznałam, że przeczytam maszynopis, może przynajmniej setnie się ubawię...

Przeczytałam – w Boże Narodzenie. Książka Kelly Creagh wygrała ze śledziem, pierogami i choinką, a chwil spędzonych nad maszynopisem absolutnie nie żałuję. Mimo że lat naście miałam w minionym wieku, historia Varena i Isobel wciągnęła mnie bez reszty. Jednym z powodów była zapewne moja niesłabnąca sympatia do dzieł Edgara Allana Poeego.

Poe to jeden ze sztandarowych przedstawicieli czarnego romantyzmu, człowiek-legenda, postać kultowa i tajemnicza, która wciąż inspiruje twórców na całym świecie. W oparciu o jego dzieła powstało mnóstwo filmów, piosenek, książek, a nawet komiksów – hołd złożyli mu między innymi mistrz horroru, Stephen King oraz znakomity reżyser, Tim Burton.

„Nevetmore” nawiązuje bezpośrednio do jednego z najbardziej znanych dzieł Poeego, poematu „Kruk”, i opowiada historię mężczyzny, którego marzenia stały rzeczywistością. Uważaj, czego pragniesz – możesz to otrzymać. Powieść Creagh to romans, ale romans niezwykle – świat realny miesza się w nim z fantasmagorycznymi wizjami, a miłość, tak wytęskniona, ma siłę niszczycielską.

Zapraszam do świata Isobel i Varena, żywiąc nadzieję, że pokochacie go równie mocno, jak ja.

Joanna Wasilewska  
Wydawnictwo Jaguar

## Coaching

The coaching process is a collaborative effort between the coach and the client. The coach's role is to facilitate the client's self-discovery and growth. This is achieved through a series of structured sessions where the coach asks powerful questions and provides feedback. The client is encouraged to explore their own thoughts, feelings, and beliefs, and to identify their own strengths and resources. The coach's role is to support the client in this process, providing a safe and non-judgmental space for exploration.

Coaching is a powerful tool for personal and professional development. It can help individuals to clarify their goals, overcome obstacles, and build confidence. Coaching is also a valuable tool for teams and organizations, as it can help to improve communication, collaboration, and performance. The coaching process is a journey of self-discovery and growth, and it can be a transformative experience for anyone who is willing to take the time to explore their own potential.

Coaching is a process of working with a professional coach to achieve your goals. The coach will help you to identify your strengths and weaknesses, and to develop a plan to overcome your challenges. Coaching is a powerful tool for personal and professional development, and it can help you to achieve your dreams. The coaching process is a journey of self-discovery and growth, and it can be a transformative experience for anyone who is willing to take the time to explore their own potential.

Coaching is a process of working with a professional coach to achieve your goals. The coach will help you to identify your strengths and weaknesses, and to develop a plan to overcome your challenges. Coaching is a powerful tool for personal and professional development, and it can help you to achieve your dreams. The coaching process is a journey of self-discovery and growth, and it can be a transformative experience for anyone who is willing to take the time to explore their own potential.

Coaching is a process of working with a professional coach to achieve your goals. The coach will help you to identify your strengths and weaknesses, and to develop a plan to overcome your challenges. Coaching is a powerful tool for personal and professional development, and it can help you to achieve your dreams. The coaching process is a journey of self-discovery and growth, and it can be a transformative experience for anyone who is willing to take the time to explore their own potential.

Coaching is a process of working with a professional coach to achieve your goals. The coach will help you to identify your strengths and weaknesses, and to develop a plan to overcome your challenges. Coaching is a powerful tool for personal and professional development, and it can help you to achieve your dreams. The coaching process is a journey of self-discovery and growth, and it can be a transformative experience for anyone who is willing to take the time to explore their own potential.

## Prolog

Październik 1849

Edgar otworzył jedno oko, ale zaraz je przymrużył.

Wagon zatrzęsł się i z dołu rozległ się przeciągły zgrzyt metalu o metal. Dźwięk wzniósł się ponad loskot szyn, a potem zagłuszyło go buchanie dymu z komina. W końcu zlał się z szumem szeptów, które go obudziły.

– *Śpi?*

Edgar poczuł, że mięśnie mu tężeją. Bardzo się wysiłał, by zachować spokój, nie ruszać się, oddychać równo i miarowo.

Gdy przejeżdżali przez ostatni tunel, świat znowu pociemniał, a on wyczuł ich ponowną obecność. Demony. Wróciły. Zawsze wracały. Aby przeciągnąć go z tego świata do innego.

Przeszedł go dreszcz. Pozwolił, by powieka opadła.

– *Obserwujcie go* – wychrypiał inny głos. – *Wsiądnijcie do następnego pociągu.*

Dłoń Edgara zadrżała. Pot gorączki stał się teraz zimnym potem lęku. Perlił mu się na szerokim czole i spłynął na skroń.

Nie mógł z nimi wrócić. Nie teraz, gdy był już tak bliski ostatecznego zerwania więzi z ich światem – jej światem. Dobiegł go ostry dźwięk odsuwanych drzwi przedziału i ośmielił się ukradkiem jeszcze raz unieść powiekę.

Tęgi mężczyzna w dopasowanym mundurze wcisnął się do środka.

– Dojeżdżamy do Baltimore – oznajmił łagodnym, monotonnym głosem. Edgar wiedział, że tamten nie ma pojęcia o jego prześladowcach, o ich groteskowych uśmiechach i diabelskich pazurach.

Konduktor ruszył dalej. Edgar zwietrzył swoją szansę. Zgarbił się, wykorzystując szeroką sylwetkę funkcjonariusza, by zasłonić swój ruch, gdy zsuwał się z siedzenia. Instynktownie zacisnął dłoń na trzcinowej lasce doktora Cartera, którą przemyślnie podmienił, by wejść w jej posiadanie. Tę, w której drzemało lśniące, srebrzyste ostrze.

Koła znowu zapiszczwały. Pociąg bez ostrzeżenia zatrząsł się i zatrzymał.

Edgar zachwiał się i głośno krzyknął. Złapał równowagę, chwytając krawędzie drzwi, i odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak puste spojrzenia prześladowców unoszą się i napotykają jego wzrok.

Puścił się biegiem.

Wymknęli się za nim, a ich gniewne szeptury brzmiały teraz jak strumień gnanych wiatrem liści.

Minął sąsiedni przedział, potem następny. Przejście przed nim robiło się coraz węższe, gdyż podróżni zbierali swoje rzeczy, ślepi na potwory podążające jego śladem. Gdy zaczął się przepychać, niemal przewracając jakiegoś jegomościa na podłogę, ktoś krzyknął.

Dotarł do najbliższych drzwi i wypadł na zewnątrz. Zatoczył się na peronie, omal nie wypuszczając z dłoni laski doktora. Mocniej chwycił srebrną rączkę, korciło go, by wyciągnąć ukrytą w środku klingę, choćby w takim tłoku.

Z przenikliwym sykiem lokomotywa wypuściła kłąb pary. Edgar skrył się w tym obłoku i nasunął kaptur płaszcza.

Patrzył, jak stwory wyłaniają się z pociągu, a ich kształty rozmijają się w miazmatycznych zwojach czerni. Wylały się najpierw przez drzwi i zaczęły się kłębić wraz z parą, by po chwili z powrotem połączyć się w całość.

Wysokie, chude, szalone demony trzymały się w grupie tylko przez chwilę, po czym rozproszyły się, ruszając na poszukiwanie.

Edgar wmieszał się w tłum. Przedzierał się przez morze niczego nieświadomych podróżnych, skupiając się jedynie na pociągu, który mógł go zawieźć z powrotem do Richmond. Na jedynej nadziei, która tam czekała.

Dotarłszy na drugi peron, zaczął zwlekać, odwrócony plecami do tłumy. W momencie gdy konduktor krzyknął: „Proszę wsiadać!”

– Edgar złapał poręcz i podciągnął się.

– *Tam!* – usłyszał warkot jednego z nich.

Popędził do przedziału, oglądając się raz – tylko raz – by zerknąć przez ciemne okna. Tak, podążały za nim, ścigały go niczym piekielne ogary!

Dopiero gdy usłyszał sapanie parowozu, otworzył najbliższe drzwi i wyskoczył z jadącego pociągu z powrotem na peron. Chwiejąc się na nogach, pochylony, pognął w tłum, podczas gdy za nim pociąg ciężko dyszał i nabierał prędkości, wioząc jego prześladowców.

Wiedział, że niedługo dadzą się zwodzić.

Nieważne. Istniały inne sposoby, żeby dotrzeć do Richmond.

Edgar przepchnął się przez ciżbę i wydostał się na ruchliwą ulicę, gdzie przywołał powóz.

– Do portu! – krzyknął i zastukał laską w tylną ścianę, zamykając za sobą drzwi.

Powóz zatrząsnął się, zaturkotał i potoczył się naprzód.

Edgar rozparł się w środku, pozwalając sobie na głęboki oddech. Przyłożył drżącą rękę do spoconego czoła, gdzie za lewym okiem odezwał się tępy, pulsujący ból.

Pojazd kołysał się, sunąc powoli wąskimi ulicami, a ból w głowie ustąpił niebawem miejsca osobliwemu, lecz znajomemu mrowieniu. Zawładnęło nim, przenikając jego zmysły niczym nieznośne, choć lekkie, ciarki zdrętwiałej kończyny.

Edgar powoli opuścił dłoni.

Przeniósł wzrok na zmieniające się cienie po prawej stronie.

Obok niego siedziała ona, jej smukły kształt spowity był świetlistą, białą tkaniną.

– Nie – szepnął.

Ale otaczająca ciemność zaczęła już wzmacniać uścisk.

Opatulała go jak płachta materiału, a gdy jej zimna niczym marmur dłoń ujęła jego rękę, poczuł, że mrok zawładnął nim jak nigdy wcześniej.

W jednej chwili mrok pochłoniął go, pozostawiając pusty powóz.



# 1

## Zadanie

Pod koniec czwartej lekcji szum w głowie Isobel, wywołany dużą poranną kawą latte, już dawno ustąpił. Ziewnęła, czując, że zbliża się klęska, i poruszyła się na krześle, podczas gdy pan Swanson nawijał monotonna o zielonookim potworze, o Desdemonie, wżdy, zaiste i zaprawdę. Raz za razem poprawiała spiralny wzór, który dosłownie wyryła już na niebieskiej okładce zeszytu.

– To wszystko – powiedział pan Swanson, zamykając wreszcie swój bardzo gruby podręcznik dla nauczycieli. Cała klasa poszła za jego przykładem i rozległ się jednobrzmiący trzask. – W poniedziałek tematem naszej dyskusji będzie Jago i jego rzekoma uczciwość.

Isobel wyprostowała się na krześle, odgarnęła jasne włosy i z rozkoszą zamknęła książkę.

– Zaraz, zaraz – powiedział nauczyciel ponad szmerem i szuraniem krzeseł. Uniósł ręce, po czym je opuścił, jakby ten gest miał moc zatrzymania klasy w bezruchu i przywrócenia wywołanego literaturą elżbietańską otępienia, które za jego sprawą ogarniało wszystkich.

Uczniowie, którzy marzyli o obiedzie i zaczęli już wstawać z miejsc, opadli na nie z powrotem, a ich zadki połączyły się z krzesłami ni-

czym magnesy. Plecaki zsuwały się z ramion, a podbródki z powrotem opierały się na dłoniach.

Można się było spodziewać, pomyślała kwaśno Isobel. Swanson nigdy nie puszczał ich przed czasem. Nigdy. A na pewno nie kwadrans przed czasem.

– Poczekajcie i nie denerwujcie się na mnie, moi drodzy – ostrzegł, biorąc stos kartek, które dla Isobel miały podejrzany wygląd świeżo wyjętych z kopiarki.

– Uwaga na materiał, który teraz rozdaję – dodał, po czym polizał palec i zaczął kartkować kilka pierwszych egzemplarzy. Następnie cofnął dłoń i wziął kolejny plik, a potem jeszcze jeden.

Isobel pobladła, widząc, jak kartki zbliżają się do niej. Miała nadzieję, że trafi jej się egzemplarz, na którym znalazło się stosunkowo niewiele śliny nauczyciela.

– Zwlekaliśmy z tym już wystarczająco długo – westchnął z udawanym żalem. – Jestem pewien, że starsi was przed tym ostrzegali. No i proszę. To jest to. Moim zdaniem lepiej mieć to za sobą już na początku roku. Tak, zgadliście. Projekt Swansona. – Ostatnie słowa wygłosił tonem radosnym (nawet entuzjastycznym), a pod jego sztywnymi szarosiwymi wusami pojawił się uśmiech.

Z różnych miejsc w klasie podniosły się jęki, zaś jęk Isobel uwiązł jej w gardle.

Takie projekty zajmowały czas. Dużo czasu.

– To będzie praca zespołowa – ciągnął Swanson. – Termin na ostatni piątek miesiąca. To Halloween, informuję tych z was, którzy nie mają pod ręką swoich iPhone'ów, BlackBerry, Jojo czy innych kalendarzy... Mam nadzieję, że nikt nie ma, dla waszego własnego dobra.

Nuda, od której jeszcze przed chwilą kończyły Isobel stały się ociężałe, a umysł się rozleniwił, zniknęła teraz niczym płaszcz magika.

Zaraz. Powiedział: „Halloween”? A właśnie, gdzie on miał swój kalendarz? Czyżby nie wiedział, że to data meczu futbolowego z Mil-



lings? Opanuj się, Swanson. Oddychaj. Wciągaj to, co nazywamy powietrzem.

Jej palce mocniej zacisnęły się na długopisie. Nie odrywała wzroku od nauczyciela angielskiego, zresztą wszystkie odbiorniki ustawione były teraz na kanał Swansona.

– Ten projekt – powiedział – będzie się składał zarówno z prezentacji, jak i szczegółowego wypracowania na dziesięć stron. Chcę, żeby każda para pracujących razem uczniów wybrała sobie znanego amerykańskiego pisarza. Dowolnego. Ale żeby iść z duchem Halloween, niech będą to autorzy nieżyjący, dobrze? Innymi słowy, Stephen King, Heather Grahams czy James Patterson nie wchodzi w grę. Poza tym zadanie należy w całości wykonać poza szkołą, bo w tej chwili jesteśmy w połowie *Otella*.

Dziesięć stron? Dziesięć stron! Ogrom pracy. Zupełnie jak... cholerny adres gettysburski. Czy Swanson naprawdę miał zamiar siedzieć i czytać te wszystkie kartki?

Pewnie tak, pomyślała. I będzie zachwycony każdą chwilą lektury.

Nie rozumiała tego. Czemu Swanson musiał zadawać im ogromną pracę z terminem w dniu ważnego meczu? W tym tygodniu nigdy nic się nie robiło. Mógł przynajmniej dać im jeszcze weekend.

Zawsze ją to zdumiewało: nauczycielom najwyraźniej wydawało się, że uczniowie nie mają żadnego życia poza szkołą. Nie docierało do nich, że po powrocie do domu z treningu czirliderek, po zjedzeniu kolacji i nabazgraniu czegoś na stercie prac domowych, które wcześniej jej zadano, w zasadzie nadchodziła już pora na spanie.

Isobel szybko rozejrzała się po klasie. Musiała zlokalizować jakiegoś prymusa, i to szybko.

Zwróciła wzrok na Julie Tamers, wybitną kujonkę pierwszego stopnia, i zaczęła układać w myślach strategiczną trasę w stronę pustego krzesła obok niej, gdy pan Swanson znowu się odezwał.

– Dla waszej wiadomości – zaczął, z dziennikiem w dłoni, opuszczonym podbródkiem i drucianymi okularami wspartymi na czubku

nosa – w tym roku wprowadzam pewne nowości z nadzieją, że zarówno poszerzy to wasze horyzonty, jak i poprawi ogólne wyniki pracy. Chcę przy tym zastrzec, że wszystkie pary zostały dobrane losowo. Kiedy odczytam nazwiska z listy, możecie usiąść razem, urządzić burzę mózgów, a potem iść na obiad. Na początek Josh Anderson i Amber Ricks.

Isobel poczuła, że opada jej szczeka.

Zaraz, pomyślała. Zaraz. Losowane pary to były w trzeciej klasie. On nie mógł mówić poważnie.

– Katlyn Binkly i Alanna Sato – ciągnął. – Dalej mamy Todda Marksa i Romelle Jenkins.

Wokół niej ci, których nazwiska już wyczytano, wstawali z miejsc i szli do przydzielonych partnerów. Isobel siedziała oszołomiona ich zapalem. Naprawdę? Tylko ona odczuwała palącą niesprawiedliwość? Czy nikt inny nie zamierzał się odezwać?

– Isobel Lanley i Varen Nethers.

Ścisnęło ją w piersi.

Och!

O nie! Nie ma mowy.

Powoli odwróciła głowę i z ociąganiem popatrzyła w przeciwległy kąt klasy. Siedział w ostatnim rzędzie, skulony na swoim krześle, i patrzył prosto przed siebie przez potargane atramentowe kosmyki. Na szczupłych nadgarstkach miał paski czarnej skóry, nabijane groźnymi z wyglądu srebrnymi ćwiekami.

Niemożliwe, że to dzieje się naprawdę.

Zapomniała o głodzie i zamiast niego czuła teraz gryzący niepokój, zastanawiając się, które z dziwacznych plotek na jego temat są prawdziwe. Przez chwilę poważnie się zastanawiała, czy nie poprosić o kogoś innego do pary, ale знаła Swansona i zdała sobie sprawę, że nie przejmie się tym bardziej niż mielonym ze stołówki.

A może... Może, wcale nie będzie tak źle. Gdy jednak jeszcze raz rzuciła na niego okiem, od razu zmieniła zdanie.

Zasłonięty kotarą farbowanych na czarno włosów, nawet nie zauważył jej obecności, nie mówiąc już o fakcie, że – halo! – mieli korzystać z danego im czasu, by rozmawiać o tym koszmarnym zadaniu.

Zastanawiała się, czy powinna wstać i do niego podejść, skoro wyglądało na to, że on nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć w jej kierunku.

Zrezygnowana Isobel podniosła się i wzięła zeszyt. Zaczęła szukać dłonią paska swojego plecaka, podczas gdy w myśli powtarzała wszystkie pogłoski krążące na jego temat. Mówiono, że czasami rozmawia sam ze sobą, że uprawia czary i że ma złe oko wytatuowane na lewej łopatce. Że mieszka w podziemiach opuszczonego kościoła. Że sypia w trumnie.

Że pije krew.

Podeszła do niego spokojnym krokiem, tak jak ktoś mógłby się zbliżać do śpiącego węża.

Zgarbiony na krześle, z jedną ręką wspartą na ławce, wyglądał jak długa linia czerni. Znoszone, ciasno zasnurowane buciorzy skrzyżował na wysokości kostek. Pod prawą ręką miał wyświechtany czarny brulion w twardej oprawie – kilka razy widziała, jak pogrążał się w lekturze podczas lekcji.

Właściwie zawsze wydawało się, że coś notuje albo szkicuje na jego stronach, choć mogła się jedynie domyślać, co to takiego. A może wszystko zdawało się takie dziwne również dlatego, że Swanson nigdy go nie beształ, tak jak nigdy nie kazał mu czytać na głos ani nie wywoływał go odpowiedzi. Co samo w sobie też było dziwne, bo nikt nigdy nie zwrócił na to Swansonowi uwagi.

Isobel zatrzymała się w bezpiecznej, niemal półtorametrowej odległości. Czekwała, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Co miała powiedzieć? „Czołem, partnerze”?

Zerknęła na zegar na ścianie. Do przerwy obiadowej zostało siedem minut.

Ooobciach, pomyślała, gdy dalej siedział i gapił się w przestrzeń, jakby wcale nie istniała. Jego entuzjazm był niemal zaraźliwy.

– Słuchaj, nie odwalę całej roboty sama – powiedziała w końcu, postanawiając przełamać dość grube lody za pomocą młotka pod hasłem: „Nie myśl sobie”.

Nawet nie drgnął, ale się odezwał.

– Powiedziałem coś takiego?

Dźwięk jego głosu ją zaskoczył. Zupełnie jakby podejrzewała, że chłopak jest odlany z wosku. Głos miał spokojny, niski i rozsądny, wcale nie opryskliwy, czego się spodziewała. Nigdy dotąd jednak nie odezwał się w klasie. Nigdy, na pewno dobrze pamiętała.

– Nie – przyznała, tężając i pragnąc jedynie wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Pomyślała, że Nikki nigdy w to nie uwierzy. Żeby ona była w parze z królem gotów? To ci dopiero wiadomość. – Pomyślałam tylko, że ci powiem... no bo wiesz, ty nic nie mówisz.

Czuła się głupio jako ostatnia osoba w pomieszczeniu, która jeszcze stała, w końcu więc zajęła miejsce obok niego, spojrzeniem omiatając klasę.

W pojedynczych grupkach rozległ się cichy szmer, który przybrał na sile, gdy wszyscy zaczęli przerzucać się myślami. Po wymianie zapisanych kartek z zeszytu dwie pary nawet już wstały i wyszły. A ona wciąż tkwiła w tym samym miejscu, próbując się porozumieć z żywym trupem.

Zacisnęła zęby. Nabrała podejrzeń, że oświadczenie nauczyciela, jakoby wszystkie pary dobrano „losowo”, było jedną wielką ściemą. To pewnie był jego swoisty dowcip, zemsta za to, że nie oddała tego głupiego wypracowania o *Dan Kiszocie*.

– Skoro już wykładamy kawę na ławę, że tak powiem – przemówił, z powrotem przyciągając jej uwagę do ich wycinka przestrzeni w kącie klasy. Dziwnie było słuchać jego głosu. – Też nie zrobię tego sam.

Odwrócił głowę i pochwycił ją wzrokiem.



Zamarła, zdumiona intensywnością tego spojrzenia. Oczy miał surowe i zimne, zielone niczym blade nefryt. Podkreślone rozmazany czarnym cieniem, nie mrugały, lecz wpatrywały się w nią przez pierzaste kosmyki czarnych jak smoła włosów. Miała wrażenie, że przygląda się jej zadowolony z siebie i wyrachowany kot.

Wezbrało w niej zakłopotanie, gęste i czarne niczym złożę ropy naftowej.

Kim był ten facet i na czym polegał jego problem? Jej spojrzenie podążyło na krótką chwilę do metalowego kółka, które oplatało kącik jego dolnej wargi.

Mrugnął powiekami, po czym powoli uniósł dłoń i zgiął palec w przyzywającym geście.

Zawahała się, lecz potem, posłuszna niczym pod wpływem zaklęcia, nachyliła się nad nim.

– Na co się gapisz? – szepnął.

Cofnęła się, czując żar na twarzy. Odwróciła się od niego i podniosła rękę. „SOS, Swanson. Słyszysz mnie?”.

Za nią rozległ się szczełk łańcuchów. Zesztywniała. Opuściła rękę, a potem, podniósłszy wzrok, zobaczyła go nad sobą, wysokiego, wyprostowanego i bladego.

Stłumiła w sobie słowa protestu, gdy ujął jej rękę. Patrzyła, jak długie palce oplatają jej dłoń, a potem, nie mrugając powiekami, obserwowwała czarny długopis, który pojawił się nie wiadomo skąd i zaczął przesuwać się po jej skórze czubkiem równie zimnym i ostrym, jak te oczy.

O mój Boże. Pisał na niej.

Próbowała wydać jakiś dźwięk, ale nie mogła.

Jego twarz nie wyrażała emocji, gdy wykonywał długopisem krótkie, staranne pociągnięcia. Nacisk kulki długopisu łaskotał, zaciskając węzły w jej żołądku.

Mogła tylko patrzeć na pierścień w kształcie srebrnego smoka, szczerzącego się do niej z jego środkowego palca.

Gdy wreszcie skończył, puścił jej dłoń i po ostatnim, jakby strofującym ukłuciu ostrego spojrzenia, odwrócił się. Wziął swój czarny brulion, po czym przewiesił przez ramię sfatygowaną skórzaną torbę.

– Nie dzwoń po dziewiątej – powiedział, włożył sobie długopis za ucho i wymaszerował z klasy.

Twarz Isobel płonęła. Czula mrowienie skóry tam, gdzie jej dotknął, ledwie wyczuwalnym elektrycznym dreszczem – nie miała pewności, czy sobie tylko tego nie wyobraża. Jakby koniuszki jej palców w jakiś sposób zapadły w sen.

Spróbowała wszystko ogarnąć, najpierw swoje zmysły, a potem osoby, które pozostały w klasie. Bała się zobaczyć, czy ktoś to zauważył, i ze zdziwieniem stwierdziła, że chyba nikt. Nawet Swanson Sokole Oko wrócił do swojego biurka, gdzie siedział, żując kanapkę i przeglądając szkolną gazetkę „Głos Jastrzębia”.

Isobel opuściła wzrok na swoją dłoń.

Ciemnofioletowym tuszem napisał: *V-555-0710*.

## 2

### *Siniak*

Powiesz Bradowi? – spytała Nikki z nazbyt gorliwym błyskiem w ładnych szafirowych oczach.

Isobel wprowadziła szyfr i kopnęła wyszczerbiony dolny róg swojej szafki. Drzwiczki otworzyły się i ze środka wypadła kosmetyczka, która ze stłumionym trzaskiem uderzyła o podłogę, rozsypując zawartość.

– Nie – mruknęła i przykucnęła, by podnieść zestaw cieni do powiek, w którym kostka brązowego barwnika rozkruszyła się na kawałki. Ciężko westchnęła, wypychając wszystko z powrotem do kosmetyczki, i znowu dostrzegła pochyle fioletowe cyfry, widniejące na jej skórze niczym insygnia.

– Dlaczego nie?

– Bo – odrzekła Isobel – zdaje się, że pan Swanson lubi chłopaka, a poza tym muszę dostać dobry stopień z powodu tego wypracowania, którego nie napisałam.

Podniosła się, by włożyć kosmetyczkę z powrotem do szafki, lecz Nikki ją powstrzymała, chwytając za nadgarstek i potrząsając jej dłonią.

– Izzy – powiedziała – popatrz na to! Napisał na tobie. Jakby oznaczał swoją następną ofiarę czy coś.

Isobel cofnęła rękę.

– Dobra! – odparła, wsuwając niesforne pasmo włosów za ucho.  
– Ustaliliśmy już, że to dziwak. I na tym poprzestańmy. Brad nie musi wiedzieć.

Zerwała się, ucinając przygotowaną ripostę Nikki, zaskoczona tajemniczą ręką, która z brzękiem bransolet wyłoniła się zza otwartych drzwiczek szafki. Ręka ta długimi palcami przytrzymała jej spadający błyszczak w kolorze „Lodowa malina”.

Isobel wzięła błyszczak i cisnęła go do szafki, już mając bąknąć krótkie słowo podziękowania, gdy Nikki wtrąciła się, znowu łapiąc ją za nadgarstek.

– Popatrz na to! – zawołała, podsuwając go sobie pod nos i uważnie oglądając cyfry, jakby zawierały jakąś ukrytą wiadomość. – To pewnie znaczy, że trafiłaś na jego listę śmierci albo coś. Ten gość to totalny świr w stylu mafii długich płaszczy.

Isobel znowu wyrwała rękę z uścisku przyjaciółki i rzuciła jej zjadliwe spojrzenie.

– Nikki, jaja sobie robisz? To numer telefonu.

– Tak, wiem. Dostawia się do ciebie Lurch z rodziny Addamsów. Teraz będzie ci zostawiał martwe zwierzęta na ganku i potajemnie śledził twój profil na Facebooku.

– To nie tak. – Isobel znowu westchnęła. – Po prostu wpakowali nas w to razem.

Spoglądała w głąb otwartej szafki, wymieniając książki.

Dla niej Varen Nethers, czyli „ten facet”, zawsze był jak przemyskający cień, wyobcowana istota, która sunęła przez korytarze, nigdy nie chcąc, by jej przeszkadzano. Tak naprawdę myślała o nim ledwie parę razy, a i to tylko wtedy, gdy ktoś postanowił przypomnieć najnowszą zwariowaną plotkę o gotach. Do tego roku nie chodzili razem na żadne lekcje, a Trenton było szkołą na tyle dużą, że do tej pory ich kontakty ograniczały się do mijania się od czasu do czasu na korytarzu.



Isobel znowu podskoczyła, wyrwana z zamyślenia, i aż się zachłysnęła, gdy tajemnicza ręka znowu się pojawiła. Tym razem wyłoniła się nad drzwiczkami szafki, ściskając w palcach znajomą tubkę w pistacjowym kolorze.

Isobel ostrożnie wzięła szminkę „Różowa bogini”, po czym patrzyła, jak dłoń właścicielki sąsiedniej szafki znowu znika. Zerknęła na Nikki, która dała popis mrugania powiekami, po czym chwyciła drzwiczki szafki Isobel i je przymknęła. Dziewczyna jednak – miała chyba na imię Grace albo Gabbie – zatrzasnęła swoją szafkę, odwróciła się bez słowa i odeszła.

– Kurczę – mruknęła Nikki. Wyjęła szminkę z dłoni przyjaciółki, uchyliła drzwiczki z powrotem, a następnie podeszła, by przejrzeć się w lustrze w środku. – Niech wraca do średniowiecza.

Isobel patrzyła za oddalającymi się plecami dziewczyny, której kasztanowe włosy, zbyt długie i zbyt proste, kołysały się w jednym rytmie z sięgającą ziemi spódnicą. Z ostatnim cichym brzękiem bransoletek dziewczyna zniknęła za następnym rogiem.

– Tak czy siak – odezwała się Nikki, skończywszy się malować i wsunąwszy szminkę z powrotem do kosmetyczki Isobel. Wydęła wargi i cmoknęła. – Nadal uważam, że powinnaś powiedzieć Bradowi.

– Odpuść, Nikki. Nie powiem Bradowi – warknęła Isobel. – I ty też mu nie mów – dodała, zatrzasnąwszy szafkę. W tym momencie wyraz twarzy Nikki zmienił się, przechodząc od pełnej oburzenia rezerwy do obrazy i irytacji. Isobel miała tylko ułamek chwili, by pożałować swoich słów, zanim przyjaciółka obróciła się na pięcie.

– Nikki – jęknęła, ruszając za nią.

– Wszystko jedno – wypaliła Nikki przez ramię. Lekceważąco machnęła ręką i przyspieszyła kroku. – Wiesz – dorzuciła – nie da ci spokoju, jeśli będzie wiedział, że ujdzie mu to na sucho.

Patrząc na podskakujący koński ogon przyjaciółki, związany wąską, niebiesko-złotą gumką z pomponikiem, Isobel miała poczucie

winy. Może za bardzo się uparła, by sprawę numeru telefonu utrzymać w tajemnicy. Z drugiej strony, jeśli teraz ją dogoni i przeprosi, Nikki gotowa pomyśleć, że nic takiego się nie stanie, jeśli wszystko wypapie Bradowi.

Isobel stwierdziła, że jest zła na siebie. Za to, że powiedziała prawdę, podczas gdy powinna była coś zmyślić. Nie chciała się też oczywiście bawić w sekrety. Nikki była jej najlepszą przyjaciółką. Należała do ekipy.

Zwolniła kroku i pozwoliła, by Nikki poszła na obiad przed nią. Gdy straciła ją z oczu, wskoczyła do najbliższej toalety dla dziewcząt. Stała przy umywalce, odkręciła ciepłą wodę i wycisnęła sobie na rękę mydło z dozownika. Posmarowała cyfry grubą warstwą płynu.

Niczym kłęby dymu ciemnofioletowy tusz rozplynął się w liliowe smugi i zniknął w odpływie.

\*\*\*

Tego dnia na treningu pomyliła skok.

Nigdy jej się to nie zdarzało.

Koniec obrotu, przewrót na rękach w tył, śruba. Przesadziła i musiała łapać równowagę na piętach. Uderzyła o podłogę sali gimnastycznej, lądując na tyłku z bólem kości i szczękiem zębów.

Trenerka Anne wydarła się na nią za to, ma się rozumieć, i wstała jej stałą śpiewkę, że „jak się wywalisz, zawsze ktoś zobaczy”. Nic nie wkurzało trenerki bardziej, niż byle jak wykonane, spartażone figury, zwłaszcza że zbliżały się grudniowe rozgrywki ogólnokrajowe. Miały precyzyjną, trudną choreografię. Zbyt precyzyjną i trudną, by pozwolić na posadzenie kontuzjowanej dziewczyny na trybunach.

Trenerka ostatni raz dmuchnęła w gwizdek. Isobel nie zdziwiła się, że Nikki nie zaczekała na nią, by pogadać. Uznała, że szczególnie jej

to nie przeszkadza, zwłaszcza że zapewne przyjaciółce chodziło nie tyle o wcześniejsze zajście, ile o spotkanie Marka po treningu futbolowym. Tak czy owak cieszyła się, że nie musi wracać do kłótni przy szafce, a jeszcze bardziej cieszyła się, że już piątek. Potrzebowała odpoczynku.

Dobrze się złożyło, że przez kolejny tydzień nie było meczu. Dzięki temu fioletowiejący już siniak z tyłu uda wielkości piłki tenisowej zdąży zniknąć, zanim będzie musiała znowu włożyć kostium.

Wyszła z szatni i jak zwykle poszła korytarzem na tylny parking, zwolniła jednak, usłyszawszy głos Brada. Czyżby przyszedł jej szukać? Pewnie spędziła zbyt wiele czasu, przyglądając się siniakowi na udzie w lustrze w szatni.

— ...znowu z nią rozmawiać. Rozumiesz?

Skręciwszy za róg, stanęła.

Odziana w czerń postać kulila się z plecami przyciśniętymi do rzędu niebieskich szafek. Pod pachą trzymała powycierany czarny pamiętnik w twardej okładce. Brad górował nad nim, ubrany w niebiesko-złotą skórzaną kurtkę, która jeszcze poszerzała jego i tak potężne ramiona.

Varen, raczej chudy i delikatny, nie miał szansy się przeciwstawić, mógł jedynie się trzymać. Opuścił głowę i czarne strąki włosów zwieszały się po bokach, okalając jego twarz.

Wezbrał w niej gniew, którego nie umiała wyjaśnić.

— Hej! — zawołała, podchodząc bliżej.

Varen podniósł wzrok, rzucając jej ostre, niemal oskarżycielskie spojrzenie, które osadziło ją w miejscu.

Miała ochotę dusić Nikki, aż te głupie, niebiesko-złote pompniki odpadną.

— Co się dzieje?

— Nic, mała. Nic — odparł Brad. Odsunął się od szafek, przeciągnął dłonią po gęstych, bursztynowych włosach, lśniących we fluorescencyjnym blasku i wciąż mokrych po prysznicu. Włożył rękę

do kieszeni kurtki i podszedł do niej. Drugą ręką objął jej ramiona i pocałował ją w głowę ze słyszalnym „mmm”.

Twarz Varena pozostała bez wyrazu, choć wbił w nią wzrok, co sprawiło, że świat wokół rozmył się i nie mogła się otrząsnąć.

Czy myślał, że pobiegła powiedzieć Bradowi? Ale z drugiej strony – co innego miał myśleć?

Otworzyła usta, by wszystko wyjaśnić, lecz Brad mocniej ścisnął jej ramiona, przyciągając ją do siebie. Ten gest, w połączeniu z zapachem dezodorantu i mydła Zest, przypomniawszy jej o jego obecności. Nadal działał w stylu macho i nadal miał w zasięgu dziwnego chłopaka, który spytał ją, na co się gapi, a teraz sam intensywnie gapił się na nią.

Zamknęła usta.

Pozwoliła, by Brad ją odciągnął. Opuścił rękę, by poklepać jej obolały tyłek.

– Przestań – powiedziała, krzywiąc się, ale szła dalej.

Byle tylko oddalić się od tych oczu.

### 3

## Po dziewiątej

Chcesz się spotkać z brygadą w Zor's? – spytał Brad, gdy wyjechał ze szkolnego parkingu i włączył się w sznur samochodów.

– Dziś wieczorem mam jeść kolację z rodzicami – skłamała, przesuwając swój fotel, by wyrzucić przez okno od strony pasażera. Wiedziała, że wykonuje typowy numer dziewczyn, stosując taktykę: „Powinieneś wiedzieć, czemu jestem zła” prosto z podręcznika dla ślicznotek, ale nic jej to nie obchodziło.

– Zaprosisz mnie? – spytał, nie kłopotując się włączaniem kierunkowskazu, gdy dojechali do świateł.

– Nie.

– Nie? – odrzekł. – Dobra.

Tego było za wiele. Gwałtownie obróciła się na siedzeniu, by usiąść twarzą do niego.

– Co ci powiedziała Nikki? – spytała, postanowiwszy bez ogródek przejść do rzeczy.

– Nikki nic nie mówiła – odparł, skręcając. Wyciągnął rękę, by opuścić osłonę przeciwsłoneczną, i na kolana spadła mu paczka camel. Isobel uśmiechnęła się szyderczo i odwróciła, by znowu popatrzyć przez okno. Nie cierpiała u niego palenia, które ostatnio stało się czymś więcej niż nawykiem po lekcjach.



– Mark mi powiedział – wyjaśnił.

No oczywiście, pomyślała. Teraz wszystko miało sens. Po obiedzie Nikki musiała powiedzieć Markowi, boby pękła, a ten, jako najlepszy przyjaciel Brada, powtórzył mu to przed treningiem. Zupełnie jak w przedszkolu. Połącz kropki.

– Słuchaj – odezwała się – Mam razem z nim zrobić głupi projekt, nic więcej. On też nie chce ze mną pracować, więc zostaw go w spokoju.

– Ale zapisał ci swój telefon na ręce? – spytał, pochmurniejac. Znowu skreślił, tym razem nieco zbyt ostro, aż Isobel chwyciła się siedzenia. Jedną jego ręką zsunęła się z kierownicy, by wyjąć camela z paczki.

– Nieważne. Zawieź mnie do domu.

– Możesz wyluzować? – warknął. Między fotelami znalazł swoją zapalniczkę Zippo. Otworzył ją i przytknął płomień do papierosa. – Powiedziałem mu tylko, żeby z tobą nie rozmawiał – mruknął, poruszając papierosem między zaciśniętymi wargami. Zamknął Zippo, po czym rzucił na tylne siedzenie, głęboko zaciągając się dymem, po czym znowu położył obie ręce na kierownicy.

Wcisnęła guzik, by uchylić okno.

– O co chodzi? – spytał, a na jego ustach pojawił się uśmiezek rozbawienia. – Wybacz, że nie pozwałam wymalowanym pedziom pisać po swojej dziewczynie.

Isobel zgromiła go wzrokiem. On jedynie wzruszył ramionami, jakby to go usprawiedliwiało. Skrzyżowała ręce i patrzyła przed siebie, uznając, że najlepiej zbyć go milczeniem, choć wolałaby, żeby powiedział coś więcej. Uśmiechnął się tylko, jakby pomyślał, że jest urocza.

Wprowadziwszy samochód na podjazd przed jej domem, Brad wysiadł jak zawsze, by otworzyć jej drzwi. Tym razem jednak Isobel otworzyła sobie sama. Zatrzasnęła je za sobą, aż łoskot poniósł się echem po okolicy.

– Ej! – zawołał, rozkładając ręce. – Co jest?  
Zignorowała go i bez słowa ruszyła chodnikiem.  
– Izo! – krzyknął. – Kiciu!

To rozbawienie, ten śmiech, który brzmiał w jego głosie, sprawił, że gniew jeszcze w niej nabrzmiał. Podeszła do drzwi wejściowych, nie zamierzając przyznać, że przesadziła z reakcją.

– Dobra. W porządku! – zawołał za nią. – W takim razie mam zostawić twoje rzeczy na ganku?

Przystanęła na schodku przed domem, po czym odwróciła się, by zobaczyć, jak Brad stoi za otwartym bagażnikiem swojego mustanga i trzyma w wyciągniętej ręce pas, na którym wisi jej sportowa torba.

Była zła na siebie, bo o tym nie pomyślała, i zła na niego o ten szeroki, prostacki uśmiech gwiazdora filmowego. Przemaszerowała przez trawnik i wyrwała mu torbę.

– Oooch – powiedział i puścił do niej oko.

– Brad! – warknęła. – Nie musiałeś tego robić.

– Oj, daj spokój, Iz, tylko z nim pogadałem. Słyszałaś, co mówiłem.

– Słyszałam, jak mu groziłeś!

– Nie groziłem mu. – Znowu się roześmiał, kręcąc głową, jakby uważał, że przydałyby się jej okulary, aparat słuchowy albo badanie psychiatryczne.

– Do widzenia – powiedziała i ruszyła do drzwi.

– Dobra, mała – westchnął. – Też cię kocham.

Zmusiła się do zaciśnięcia ust. Choć bardzo chciała, postanowiła nie odpowiadać na miłe słowa. Wiedziała, że po prostu sprawdza jej reakcję, usiłując wykręcić się sianem.

– W porządku! – zawołał. – Pozdrów tatę.

Isobel otworzyła drzwi na oścież i weszła do domu.

Krzyknął jeszcze za nią:

– Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać!

Zamknęła drzwi za sobą i rzuciła torbę na podłogę w przedpokoju. Stała bez ruchu, gdy dobiegł ją trzask bagażnika, a potem odgłos zamykania drzwi od strony kierowcy. Odwróciła się, gotowa wybiec z powrotem na zewnątrz, by złapać go, zanim odjedzie, ale zawarzał silnik i samochód ruszył z głośną muzyką i piskiem opon.

– Nie rozumiem, co widzisz w tej grze – mruknęła, żując ostatni kęs pizzy. Rodzice tego wieczora wyszli, zostawiając ją samą z Danym, dwunastolatkiem, którego cała egzystencja obracała się wokół gier wideo, konsol i sieciowych imperiów RPG. – Ciągłe to samo, tylko tło się zmienia.

– Wcale nie – odparł chłopiec i machnął kontrolerem w prawo, jakby dzięki temu odziana w zbroję postać na ekranie miała skoczyć dalej.

Isobel skupiła wzrok na tyle jego szkolnych spodni, na szczelinie między pośladkami, wystającej nad pas. Nie mogła uwierzyć, że po powrocie do domu nie chciało mu się nawet przebrać. Zamiast tego jak zwykle zasiadł przed telewizorem.

– A jaka jest różnica? – spytała bez prawdziwego zainteresowania.

– Każdy poziom jest trudniejszy od poprzedniego – wyjaśnił, pochylając się w lewo w nadziei, że ekranowa postać w zbroi zrobi to samo. – Ech! A w końcu musisz walczyć z Zorthibusem Klaksem.

Zerknęła na swoją dłoń, na bładofioletowe kreski, które, choć niewyraźne, wciąż były widoczne.

– Brzmi jak jakaś ohydna choroba.

– Sama jesteś ohydna choroba. A teraz się zamknij, bo muszę się skupić.

Przewróciła oczami. Podparła głowę dłonią, kładąc łokieć na oparciu kanapy, i popatrzyła na swój metaliczny różowy telefon komórkowy, który położyła na stoliku obok pilota do telewizora. Leżał tam, cichy i nieruchomy, w blasku beżowej, bulwiastej lampy. Przyniosła



go ze swojego pokoju, a wcześniej naładowała, na wypadek gdyby ta zdrażczyni Nikki przysłała jej esemes.

Albo gdyby zadzwonił Brad.

Nie mogła jednak zapomnieć o tym, jak Varen patrzył na nią w korytarzu. Pewnie myślał, że powiedziała Bradowi o wszystkim, by mu dopiec. Uważał, że pobiegła prosto do niego i wypaplała, co się stało, a potem pokazała rękę ze słowami: „Dorwij go”.

Z roztargnieniem gładziła palcami wierzch dłoni, w miejscu gdzie po niej pisał. Jeśli się skupiła, wciąż czuła dotyk długopisu, wagę jego dłoni, klucie końcówki wkładu.

Opadła na poduszki kanapy, chwyciła kołnierzyk koszulki i ugryzła, znowu zdenerwowana tym wspomnieniem.

Czy w ogóle zdołają przygotować ten projekt?

Jej wzrok padł na telefon i tam pozostał.

Wreszcie wstała.

– Nie podpał domu – warknęła do Danny’ego, biorąc komórkę.

Otworzyła telefon i weszła do kuchni, patrząc na cyfry na ręce, a raczej to, co z nich zostało. Czy ta ostatnia była zerem, czy dziewiątką? Postanowiła zgadywać i zaczęła naciskać odpowiednie klawisze.

Na drugim końcu linii telefon dzwonił. I dzwonił... i dzwonił.

– Halo? – odezwał się łagodny, słodki kobiecy głos. Pewnie jego mama, pomyślała Isobel, przyznając w duchu, że chyba spodziewała się chrypliwego tonu i kaszlu nałogowego palacza.

– Eee, tak... Czy mogłabym rozmawiać... – Podniosła wzrok i zobaczyła elektroniczny zegar na kominku. Dziewiąta trzydzieści. Jęknęła.

– Halo? – powtórzył głos.

– O... przepraszam – wymamrotała Isobel, przypominając sobie, co mówił o dzwonieniu po dziewiątej.

Jej palec odruchowo nacisnął guzik końca połączenia. Telefon zamilkł. Przez chwilę bezmyślnie trzymała aparat w dłoni, wpatrując

się w niego. Zastanawiała się nad tym i stwierdziła, że to dość dziwne słowa: „Nie dzwoń po dziewiątej”. Jak to: „Nie dzwoń po dziewiątej”? Co się działo o dziewiątej? Czy wtedy kładł się do grobu? Czy to jakaś głupia zasada jego rodziców, czy jego własny wymysł? Czemu był taki dziwny?

Isobel wróciła do salonu, gdzie zobaczyła Danny'ego dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Telewizor migotał jaskrawym odcieniem oranżu, rodem z tablic ostrzegawczych, a wysoki głos obwieszczał w tle złowrogie zwycięstwo.

– Kurde! – jęknął i rzucił kontrolerem w stronę konsoli.

– Ej! – krzyknęła. – Uważaj!

Nie zwrócił na nią uwagi i podniósł kontroler, jakby chciał się z nim pogodzić. Znowu usiadła na kanapie i patrzyła, jak restartuje grę.

– Nie możemy pooglądać telewizji czy coś? – spytała z westchnieniem.

– Neeeeee! – jęknął.

– Danny, grasz cały wieczór bez przerwy. – Sięgnęła po pilota.

– Nie! – obrócił się i rzucił na nią, wyciągając rękę po pilota. Isobel rzuciła telefon, by chwycić sterownik obiema rękami.

– Naprawdę, Danny, nie masz pracy domowej, kolegów albo czegoś takiego? – wystękała, ciągnąc ze wszystkich sił.

– A ty nie masz? – warknął, szarpiąc w swoją stronę.

Zadzwoił jej telefon. Danny puścił pilota i złapał komórkę.

– Halo?

Isobel wyciągnęła rękę, ale Danny miał szybszy refleks, niż przypuszczała, i zabrał aparat, żeby nie dosięgła.

– Tak, jasne – powiedział. – Chwileczkę. – Z uśmiechem pomachał telefonem. – To twój chłopak!

Zeskoczyła z kanapy i ruszyła w stronę brata, gotowa do walki. Jej rozmowy telefoniczne stanowiły sferę nietykalną.

– Wymiana – rzucił, cofając się i trzymając komórkę za plecami.

– Ech! Ale z ciebie menda! – Cisnęła pilota na dywan. Rzucił telefon w jej stronę i schylił się po sterownik. Komórka podskoczyła między jej dłońmi, zanim ją złapała, a tymczasem znów rozległa się muzyka z gry.

Przycisnęła telefon do ucha, zatykając drugie ucho palcem.

– Brad?

– Niezupełnie – odparł zimny głos.

Serce jej załomotało.

– Skąd masz mój numer?

– Wyluzuj. – Jego ton z zimnego stał się lodowaty. – Moi starzy mają identyfikację numerów. Sama do mnie zadzwoniłaś.

– A... – wymamrotała, kuląc się. Rzuciła szybkie spojrzenie na brata, po czym wymknęła się z pokoju, by jej nie słyszał. – Słuchaj – zaczęła, przypominając sobie, co pierwotnie zamierzała powiedzieć. – Chciałam tylko, żebyś wiedział, że nie mówiłam Bradowi o tej akcji z numerem.

– Nie przystawiałem się do ciebie – oznajmił, jakby ustawiał ją do pionu. – Poza tym nie jesteś w moim typie.

Usta same jej się otworzyły.

– No tak – powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na gorąco, które pełzło w górę jej szyi. Miała jednocześnie ochotę rzucić telefonem o ścianę i zwinąć się w kłębek. Za kogo ten koleś się uważał?

– Wcale nie powiedziałam, że...

– No wiesz, niektórzy poczuli, że im coś grozi.

– Słuchaj, rozmawiałam z nim na ten temat – odparła szybko, bez namysłu dobierając słowa. Nie cierpiała siebie za to, że mówi w tak urywany sposób, zwłaszcza że jego ton brzmiał obojętnie. – On po prostu tak ma.

– No to chyba bez znaczenia, skoro może liczyć, że ty go usprawiedliwisz.

Teraz ją wkurzył.

– Wiesz... – Ale nie dał jej skończyć.

– Jeśli nie olewasz tego projektu, będę jutro w głównej bibliotece  
– oznajmił przyciszonym głosem. Słyszała trzeszczenie po drugiej  
stronie, jakby chodził w kółko. – Po pierwszej.

– Ale jutro sobota.

– Chryste – syknął. – Chyba żartujesz.

Już zaczęła mówić, że fajnie, wszystko jedno, przyjdzie. Urwała  
jednak, słysząc, że w tle ktoś woła. Mężczyzna.

– Nieważne – warknął. – Zrobię to sam. – Połączenie zostało prze-  
rwane.

Isobel mocno przygryzła wewnętrzną stronę warg. Odsunęła te-  
lefon od ucha, po czym go ścisnęła. Chciała krzyknąć. Chciała roz-  
walić telefon na kawałki albo cisnąć go do śmieci.

– Przycisz! – zawołała do Danny'ego, przechodząc jak burza przez  
salon. – Idę spać!

– Nie słyszę! – odkrzyknął przez ramię.

Zaczęła wspinać się po schodach, tupiąc tak mocno, że ramy ob-  
razów zaczęły się przekrzywiać.

Co to w ogóle za typek? Narzeczona cholernego Frankensteina?

*Tytuły*

Z samego rana Isobel sprawdziła, czy w komórce zapisały się jakieś nieodebrane połączenia. Zero.

Esemesy? Zero.

Wyglądało na to, że wszystkie zwykłe wyglupy ich paczki odbyły się bez jej udziału, a co najgorsze, bez najzwyklejszego: „Ej, gdzie jesteś?” czy: „Dlaczego się nie pojawiła?”. Nie. Zero Brada, zero Marka. Ani jednego telefonu od Nikki, Alyssy czy nawet Steviego, który zwykle pełnił w grupie funkcję rozjemcy.

Beznadziejni. Wszyscy.

Odłożyła telefon, postanawiając zapomnieć o tej zniewadze, ale gdy wzięła prysznic i pochłonęła owsiany batonik, poddała się pragnieniu, by do kogoś zadzwonić. Wciąż niegotowa na rozmowę z Bradem, zadzwoniła do Nikki.

Znajomy sygnał przyjaciółki zabrzmiał w jej prawym uchu – marny popowy kawałek o muzyku podrywającym jakąś laskę. Isobel oparła się o wezgłowie łóżka i wyciągnęła się, słuchając. Piosenka wciąż brzmiała, gdy dziewczyna przewróciła się na brzuch, twarzą do poduszki. Wyjęła ze skrytki magiczną kulę z wróżbami. Potrząsnęła nią, patrząc w czarne okrągłe okno.

„Czy Nikki odbierze telefon?”



Mały trójkącik wypłynął z mroku, przynosząc jedną z enigmatycznych, pasujących do wszystkiego odpowiedzi: „Spytaj później”. Isobel prychnęła. Właśnie miała się rozłączyć, gdy piosenka urwała się w połowie refrenu i rozległ się pogodny, wesoły głos Nikki.

– Izzy!

Isobel usiadła, pozwalając, by kula odturlała się na bok.

– Skarżypyta z ciebie. Wiedziałaś o tym?

– Ej, gdzie byłaś wieczorem? – spytała Nikki wciąż radosnym głosem. – Stevie w końcu pobił rekord Marka w Fighter Borg X.

– Nikki, prosiłam, żebyś nic nie mówiła o tym, co się wczoraj stało. Bradowi totalnie odbiło i się pokłóciliśmy.

Z drugiej strony dobiegł cichy syk i Isobel czekała, wyobrażając sobie przyjaciółkę w głębokim zamyśleniu. Bez wątpienia wykorzystywała milczenie, by wymyślić dobrą odpowiedź, podrasować ją w Photoshopie, podmalować i nabłyszczyć.

– Nie – przemówiła w końcu. – Prosiłaś, żebym nie mówiła Bradowi. I nie powiedziałam.

– Za to powiedziałaś Markowi. Czemu?

– A czemu nie? Co z tobą? Brad mówił, że on tylko pogadał z chłopakiem i że to tobie odbiło.

– Nikki, nikomu by nie odbiło, gdybyś nic nie mówiła!

– Wszystko jedno – odparła Nikki. – Słuchaj, idziemy na chińszczyznę do Double Trouble. Brad też idzie. – W jej głosie pobrzmiwała lepka słodycz. – Na pewno gdybyś do niego zaaaadzwońiła, podjechałby po cieeebie.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Muszę... Jestem zapisana do dentysty. – Kłamstwo wyszło z jej ust, zanim zdolała je powstrzymać.

– Uuu. Kiepsko – powiedziała Nikki po chwili, choć Isobel poznała po głosie, że tego nie kupiła. Nie, Nikki nie była taka głupia i obie wiedziały, że chodzi jej o unikanie Brada.

Oczywiście nie mogła powiedzieć przyjaciółce, że zaplanowała coś innego. A tym bardziej – z kim. Chociaż tak naprawdę sama żadnych planów nie ułożyła.

Isobel pokręciła głową, marszcząc czoło. Dziwnie się czuła, okłamując przyjaciół, robiąc tajemnicę z jakiegoś głupiego projektu.

– No dobra – odezwała się Nikki, przerywając krępującą ciszę.

Isobel zmarszczyła brwi, patrząc na fałdki na różowej kołdrze. Odkąd to zdarzały im się chwile krępującej ciszy?

– Tak czy owak – ciągnęła Nikki – jeśli wyjdiesz wcześniej czy coś, zadzwoń do mnie na komórkę.

To znaczyło: „Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie albo wreszcie przestaniesz się boczyć”.

– Dobra, na razie – mruknęła Isobel.

– Na razie.

Nastąpiła przerwa, jakby żadna z nich nie chciała tak naprawdę kończyć rozmowy.

– Pa – rzuciła Nikki.

– Pa – odrzekła Isobel, starając się, by jej ton był weselszy niż samopoczucie.

Czekała, ale tym razem Nikki się rozłączyła.

Tego popołudnia do biblioteki podwiózł Isobel tata. Zostawił ją przy bocznym wejściu, pod starym pomnikiem poważnego Abrahama Lincolna, i powiedział, że około trzeciej, po umówionej wizycie u fryzjera, wróci, by ją odebrać.

Isobel wbiegła po schodach i ledwie zauważalnie pomachała ojcu na pożegnanie, po czym weszła do środka, by rozpocząć poszukiwanie Varena. Po niemal piętnastu minutach chodzenia między regałami i zaglądania do poszczególnych pomieszczeń znalazła go w końcu na drugim piętrze.

Bez wątpienia specjalnie wybrał miejsce dość ukryte, odosobnione, tuż za działem literatury XIX wieku. Zaskakująco podekscyto-

wana tym faktem Isobel z rozmysłem upuściła torebkę na stolik tuż przed miejscem, gdzie siedział i czytał, pogrążony w jakimś ogromnym otwartym tomiszczu.

Zerknął w górę, nie podnosząc głowy, patrząc na nią spod uniesionych brwi. Łagodny blask biurkowych lamp połyskiwał na krzywiznie kolczyka w wardze.

Pomachała mu palcami. „Ha – zdawał się mówić ten gest – znalazłam cię”.

Patrzył na nią, gdy siadała naprzeciwko na wyściełanym obrotowym krześle, ona z kolei wbiła spojrzenie w olbrzymi tom, który go pochłaniał.

– No – odchrząknęła. – Co robimy?

Znowu wykonał numer z przeciągającą się ciszą, jakby potrzebował czasu na decyzję, czy przegnać ją precz.

– Robimy – odezwał się w końcu – opracowanie na temat Poego.

Odwrócił wielką księgę i pchnął w jej kierunku, palcem pokazując miniaturowe, czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało chudego mężczyznę o szerokim czole, z niesforeną czupryną i czarnym wąsikiem. Jego oczy wydawały się smętne, pełne rozpacz i dzikie zarazem. Zapadnięte i otoczone wielkimi ciemnymi kręgami, wydawały się emanować bólem.

Według Isobel wyglądał jak elegancko ubrany pacjent szpitala psychiatrycznego, pilnie potrzebujący snu.

Osunęła się nieco na krześle, dorykując stron księgi.

– To ten, co ożenił się ze swoją kuzynką czy coś?

– Facet to bóg literatury, a ty tylko tyle masz do powiedzenia?

Wzruszyła ramionami i wzięła jakąś książkę ze sterty na blacie. Otworzyła ją, po czym zaczęła kartkować, zerkając na niego. Nachylił się nad stołem i nabazgrał coś w żółtym notesie, leżącym na tym jego czarnym brulionie w twardej oprawie. Jej oczy spoczęły właśnie na czarnej okładce. Mimowolnie zastanawiała się, czy to jakiś pamiętnik i dlaczego wszędzie nosi go ze sobą.



- Kto to jest Lenore? – spytała, przewracając kolejną stronę. Przesłał pisać i podniósł głowę. Patrzył.
- Co? Powiedziała coś nie tak?
- Jego zmarła miłość – odparł w końcu.
- Poego?
- Narratora.
- Aha – powiedziała, zastanawiając się, co za różnica, ale wiedziała, że nie powinna pytać.
- Skrzyżowała nogi i poprawiła się na krześle.
- No to jak zamierzasz zrobić prezentację? Będę musiała odgrywać martwą laskę?
- To miał być żart, żeby jakoś złagodzić jego drażliwą postawę.
- Nigdy nie mogłabyś być Lenore – odparł i wrócił do bazgrania. Isobel parsknęła, próbując zdecydować, czy ją obraził.
- Tak? A to dlaczego?
- Po pierwsze – powiedział, ciągle gryzmołąc – nie jesteś martwa.
- Aha – odrzekła. – W takim razie ty będziesz Lenore, tak?
- Podniósł wzrok. Uśmiechnęła się, kołysząc się w przód i w tył na obrotowym krześle.
- Wymownym gestem oderwał długopis od papieru i nastąpiła kolejna przerwa, po której powoli mrugnął powiekami.
- Ty będziesz mówiła na prezentacji, a ja napiszę wypracowanie.
- Wyrwał pierwszą kartkę z notatnika i przesunął w jej stronę.
- Wzięła ją. Odchyliwszy się na krześle, patrzyła na niego ponad postrzępioną górną krawędzią papieru, gdy schylił się, by wyciągnąć z torby ciemnofioletową teczkę.
- Zapisz to – powiedział, odkładając teczkę i znowu skupiając uwagę na książce z fotografią.
- Isobel położyła sobie torebkę na kolanach i zaczęła szperać w przedniej kieszonce, aż znalazła długopis.
- *Zagłada domu Usherów* – zaczął, a Isobel notowała na kartce, tuż pod napisanymi wcześniej jego ręką słowami: „Najważniejsze dzieła”.

– *Maska Śmierci Szkarłatnej*. Wszystko wielkimi literami – ciągnął, a Isobel musiała się pospieszyć, by napisać słowo „Usherów”, tyle że zapomniała o „e”, a dodała dodatkowe „r”, więc wyszło „Ushrrów”.

– *Zabójstwo...*

– Zaraz! – zawołała, gorączkowo machając długopisem.

Poczekał.

– Dobra – powiedziała, kończąc „ci” w wyrazie „Śmierci”. Zmarszczyła nos na widok tego słowa. Czemu miała wrażenie, że robi napis na czyims nagrobku?

– *Zabójstwo przy rue Morgue* – mówił dalej.

– Ten facet miał poważne problemy – mruknęła w stronę kartki i pokręciła głową, nie przestając notować.

– Większość ludzi chce właśnie tak to widzieć – stwierdził. – Dalej... *Kruk*.

Przerwała pisanie. Oderwała długopis od papieru i podniosła wzrok.

– No, a ty jak chcesz to widzieć?

Jego oczy błysnęły nad otwartą księgą, by znowu się w nią wbić. Była to nieco złagodzona wersja śmiercionośnego wzroku.

– To uzasadnione pytanie – odparł. – I zdecydowanie ma związek z projektem. – Posłała mu lekki uśmiech, ale nie odpowiedział uśmiechem. Wiedziała, że nie jest typem Ronalda McDonalda, ale chciała, żeby się rozchmurzył. O rany.

– Może wiedział coś, czego my nie wiemy – powiedział. Otworzył fioletową teczkę i spojrzał na wsuniętą tam kartkę z zadaniem od nauczyciela.

– Na przykład? – spytała, szczerze zaciekawiona.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, a ona znowu wzięła długopis, uznając, że chłopak ją ignoruje, by zajęła się pracą. Z dłonią w gotowości czekała na następny makabryczny tytuł.

– Nie wiem – powiedział jednak, zupełnie ją zaskakując.

Popatrzyła na niego z namysłem, a on opuścił wzrok na otwartą książkę, jakby liczył, że wpadnie do środka, aż końcówki jego

czarnych włosów niemal musnęły litery. W jego wypowiedzi sprzed chwili było coś dziwnego. Tak jakby w istocie wiedział, a przynajmniej miał jakieś pojęcie.

– Jak umarł? – spytała.

– Nie wiadomo.

Tym razem to ona powoli zamrugnęła powiekami.

Dostrzegłszy, jak się zdawało, jej sceptycyzm, wziął głęboki wdech, zanim zaczął mówić dalej.

– Znalaziono go półprzytomnego w rynsztoku w Baltimore. Ktoś przyprowadził go do pobliskiego baru... a niektórzy mówią, że znalaziono go w tym barze.

Isobel słuchała, wolno obracając długopis w palcach.

– Wracał do domu z Richmond. Zmierzał do Nowego Jorku i zaginął na pięć dni. Zupełnie zaginął – powiedział. – Nigdy tam nie dotarł, a niektórzy twierdzą, że z jakiegoś powodu próbował zawrócić. Potem, kiedy znaleźli go w Baltimore, nie mógł powiedzieć, co się stało, bo raz po raz tracił przytomność. Ale i tak jego słowa nie miały sensu.

– Czemu? – spytała. – Co powiedział?

Varen uniósł brwi i rzucił spojrzenie w kierunku jednego z pobliskich okien, mrużąc oczy przed światłem.

– Nic, co miałoby sens. Kiedy zabrali go do szpitala, mówił do osób, których tam nie było. A potem, na dzień przed śmiercią, zaczął kogoś wołać. Ale nikt nie wiedział kogo.

– A potem po prostu umarł?

– Po kilku dniach w szpitalu, tak. Umarł.

– I nikt nie wie, gdzie był ani co się z nim działo? W ogóle?

– Jest wiele teorii – odparł. – Dlatego poruszymy to w opracowaniu.

– Że jest wiele teorii? – spytała.

– Hmm... – Krzesło Varena zaskrzypiało, gdy odchylił się w tył. Jego wzrok znów stał się nieobecny i pierwszy raz zdawało się, że je-

go żelazna osłona nieco opadła. – Jest wielu zwolenników teorii, że zapił się na śmierć.

Spojrzenie Isobel powędrowało do jego dłoni. Nigdy nie widziała u chłopaka takich dłoni, o długich, delikatnych palcach, pięknych, lecz wciąż męskich. Paznokcie też miał długie, niemal krystaliczne, ostro spilowane. Do takich dłoni pasowałyby koronkowe mankiety, jak u jakiegoś Mozarta.

– To był dzień wyborów – dodał – więc wielu ludzi przypuszcza, że odurzono go narkotykami i zmuszono do kilkukrotnego głosowania. To jedna z popularniejszych teorii. – Wzruszył ramionami. – Niektórzy uważają nawet, że złapał wściekliznę, tylko dlatego że lubił koty.

– Tak, ale nie dało się poznać, że pił?

– Relacje są niejasne – odparł. – No i miał wrogów. Rozpuszczano wiele plotek.

– A twoim zdaniem co mu się stało?

Ku zaskoczeniu Isobel zrobił minę, jakby to było dla niego przykre pytanie. Zmarszczył brwi, spojrzenie mu pociemniało.

– Nie wiem – powiedział. – Wydaje mi się, że te teorie są zbyt proste. Ale własnej nie mam.

Mijały kolejne chwile. Łysiejący mężczyzna w szarym garniturze podniósł się z miejsca przy sąsiednim stoliku. Zebrał książki i minął ich, ruszając między regały i zostawiając ich jeszcze bardziej samych niż przedtem. Zapanowała namacalna wręcz cisza, która zdawała się zagęszczać powietrze między nimi.

Sięgnęła po inną z leżących na stoliku książek, małą i cienką niby czasopismo. Otworzyła usta, gotowa coś powiedzieć, choć nie wiedziała co. Cokolwiek, byle tylko przerwać ciszę.

Uprzedził ją jednak i bez ostrzeżenia wstał zza stolika.

– Przejrzyj ją – powiedział, sztywnym ruchem głowy wskazując książkę, którą trzymała – i zobacz, czy znajdziesz wiersz *Annabel Lee*. Muszę jeszcze raz iść sprawdzić coś na półce.



Nie mogąc powstrzymać uśmiešku, podniosła rękę i zsalutowała.

– Tak jest, o kapitanie! Mój kapitanie!

Odwrócił się.

– Właściwa epoka – mruknął. – Ale nie ten poeta.

Potem wszedł między półki.

Gdy zniknął jej z oczu, Isobel zatrzasnęła książeczkę z wierszami i pochyliła się do przodu. Odsunęła żółty notes i uniosła róg czarnego brulionu w twardej oprawie. Zajrzała do środka i rozdzieliła strony, wciąż tylko lekko uchylając zeszyt. Rzuciła szybkie spojrzenie między regały, gdzie poszedł. Nie zobaczywszy go, znowu spojrzała na brulion, unosząc się, by lepiej widzieć.

Jego grzbiet wydał cichy, trzeszczący dźwięk, gdy otworzyła go do końca. Łatwo poszło, jakby te strony częściej były rozłożone niż ściśnięte między okładkami.

Fioletowe pismo pokrywało każdy centymetr białego papieru. O co chodziło z tym fioletowym tuszem? Było to jednak najpiękniejsze odręczne pismo, jakie kiedykolwiek widziała. Wszystkie zawijasy łączyły się czysto, a tekst wyglądał perfekcyjnie i jednorodnie niczym drukowana czcionka. Zdumiało ją, że ktoś może siedzieć i poświęcać czas na takie mozolne kaligrafowanie. Obejrzała się jeszcze raz, zanim przewróciła stronę, gdzie, tak jak podejrzewała, zobaczyła jeszcze więcej tekstu. Chłopak był normalnie Szekspirem.

Tu i ówdzie pisał wokół rysunków. Wyglądały raczej jak luźne szkice – linie nie były zdecydowane, lecz mimo to układały się w obrazy. I to było dziwne. Ludzie z dziwnymi włosami, z brakującymi częściami twarzy, jakby zrobiono je ze szkła. Przewróciła następną stronę i tym razem odważyła się przeczytać kawałek tego, co tam napisano.

*Stała we mgle, znowu na niego czekając,  
Zawsze w tym samym miejscu.*



Isobel podniosła wzrok, wychylając się lekko, by sprawdzić, czy za półkami i stosami książek nie porusza się czerni bądź srebro. Nie było po nim śladu. Widocznie poszedł do przeciwległego końca biblioteki. Jej oczy znowu skierowały się w dół, na papier, w poszukiwaniu miejsca, gdzie przerwała lekturę. Przeczytała jeszcze kawałek. To chyba nie był jego osobisty dziennik ani nic podobnego.

*Zawsze zadawał to samo pytanie.*

*– Co chcesz, żebym zrobił?*

*Nigdy nie odpowiadała. Nie mogła. Mogła tylko patrzeć, sięgając do niego jedynie spojrzeniem, wciągając go, by tonął w smutku tych bezdennych czarnych wód.*

Czarny brulion zamknął się. Isobel popatrzyła najpierw na palce ze srebrnymi pierścieniami, które przyciskały okładkę, a potem jej oczy podążyły stopniowo w górę odzianej w czerni ręki i jeszcze dalej, aż z ociąganiem napotkały parę umalowanych oczu. Przymrużyły się z pogardą i patrzyły na nią tak, jakby Varen lada chwila miał użyć Mocy, by wydusić z niej życie.

– Ja tylko...

– Węszyłam. – Położył na blacie książkę, z którą wrócił, i sięgnął po czarny dziennik, po czym wepchnął go do torby.

– Nic nie widziałam – skłamała, zerkając na tytuł nowo przyniesionej książki. *Sekrety świadomego snu*. Ale to także zabrał jej szybko sprzed oczu.

– Muszę lecieć – oznajmił, wieszając sobie torbę na ramieniu.

– Czekał. Co z projektem?

Wskazał jej listę tytułów.

– Zaczynaj czytać – polecił. – Masz kartę biblioteczną, nie?

Nie czekając na odpowiedź, zniknął między półkami.

## 5

### Ostrzeżenie

Hej, tato, która godzina?

Isobel zastanawiała się, czy ekipa może jeszcze być w Double Trouble.

– Trochę po trzeciej – odparł ojciec, gdy ich sedan zatrzymał się na skrzyżowaniu. – A co?

– Tak się zastanawiałam. – Wzruszyła ramionami.

– Nic nie powiedziałaś o mojej fryzurze – zauważył, odrywając rękę od kierownicy, by przyglądać wyobrażone loki z tyłu głowy.

Próbowała powstrzymać uśmiech, przyglądając się jego włosom. Właściwie zostały tylko trochę przystrzyżone, fryzjer uporządkował je w tym stylu co zwykle, który Isobel często nazywała „kudły a la kloszard”.

Nie odziedziczyła po ojcu ciemnokasztanowej, niemal czarnej czupryny, tak jak Danny, choć jej włosy były tak samo delikatne i proste.

– A tak. Cudna – powiedziała.

Patrzył na nią z głupawym uśmiechem, aż znów się odezwała.

– Zielone światło.

Znowu skierował wzrok przed siebie, trzymając obie dłonie na kierownicy.

– Jesteś dziś okropnie ponura – stwierdził, skręcając na zachód, w kierunku ich dzielnicy. – Jakieś kłopoty z Bradem? – spytał.

– Nie – zaprzeczyła, a potem uznała, że nie może na tym poprzestać. – Brad i ja chcieliśmy po prostu spędzić ten weekend osobno. Nic więcej.

Tata lubił Brada, bo mogli pogadać o sporcie, którym Danny nie bardzo się interesował. Rodzice nie byli natomiast zachwyceni tym, że ich zdaniem związek córki z Bradem stał się „poważny” od początku przedostatniej klasy. „Powinnaś myśleć o studiach” – mawiała mama. Kłopot polegał na tym, że Isobel jeszcze nie wiedziała, gdzie i co chce studiować. Nie miała ochoty wracać do tego tematu.

– Rozumiem. – Po krótkiej chwili zatrzymali się przed znakiem stop i spytał: – A co jest tematem tego opracowania?

– Poe – westchnęła.

– Poe? Czyli Edgar Allan od „Nevermore, zakracze kruk”?

– Tak, ten – potwierdziła. Wzięła jedną z książek, które miała na kolanach, i zaczęła kartkować w poszukiwaniu zdjęcia. Znalazła jedno z większych (wszystkie wyglądały dla niej tak samo) i wyciągnęła otwartą książkę w jego stronę.

Na chwilę oderwał wzrok od drogi, tuż przed wprowadzeniem samochodu na podjazd, a potem, gdy już zaparkował, odwrócił się na siedzeniu, by popatrzeć prosto na nią. Uniósł brwi.

– Może następnym razem też powinienem pozwolić, żeby włosy tak mi urosły. – Przechylił głowę w bok, patrząc na nią w oczekiwaniu reakcji. – A co z wąsami? – Przytknął palec wskazujący nad górną wargą. – Co myślisz?

Uśmiechnęła się na ten widok i niemal parsknęła, bo nie spodziewała się, że może się roześmiać. Wyobraziła sobie ojca z czarnymi, niesfornymi lokami i schludnym czarnym wąsikiem. W jej wyobraźni wyglądał raczej jak Charlie Chaplin, a nie Poe.

Kąciki jego ust uniosły się w triumfalnym uśmiechu.

Isobel zatrzasnęła szafkę.

– Aj! – pisnęła, a jej zeszyt wylądował na podłodze.

Varen. Tuż za otwartymi drzwiczkami jej szafki. Jego oczy, tak opanowane, że aż puste, zdawały się patrzeć przez nią na wskroś.

– Nie rób tego! – krzyknęła.

Nic nie powiedział, tylko stał i patrzył, jakby nagle stała się przezroczysta albo coś w tym rodzaju.

– Co? – spytała.

Ruszył, by przejść obok, a ona zapragnęła nawrzeszczyć na niego, tu i teraz, przy wszystkich, za to, że robi jej numery rodem ze *Świtu żywych trupów*.

Wtedy poczuła na swojej dłoni jego palce, wciąż zimne od porannego chłodu.

Oddech uwiązał jej w gardle, a oczy szerzej się otworzyły.

Co on wyprawia? A jeśli ktoś zobaczy?

Wcisnął jej coś w dłoń. Jej palce zacisnęły się, by to złapać, i na krótką chwilę chwyciły jego palce.

W następnej chwili ruszył dalej, a ona stwierdziła, że odwraca się, by za nim popatrzeć, gładząc kciukiem złożony kawałek papieru.

Czuła, jak kartka szeleści jej w ręce, gdy wpatrywała się w jego plecy, okryte ciemnozieloną kurtką. Na kawałku białego materiału, przypiętego do kurtki agrafkami, widniała sylwetka martwego ptaka, leżącego na grzbiecie z nóżkami zadartymi w górę.

Podszedł do grupki gotów, stojących pod oknem przy kaloryferze, podniósł rękę i dotknął ramienia dziewczyny o ciemnych włosach i miedzianej cerze. Odwróciła się z gorącym uśmiechem, rozjaśniającym jej pełne, umalowane ciemną szminką usta. Trzymała czerwoną kopertę, którą podała Varenowi.

Gdy pochłonął ich zatłoczony korytarz, Isobel odniosła wrażenie, że ktoś oderwał palec od przycisku spowalniającego akcję.

Ostrożnie się rozejrzała, by sprawdzić, czy ktoś zauważył, potem z niedbałą miną udała, że zapomniała czegoś z szafki i znowu ją



otworzyła. Tym razem drzwiczki uchyliły się bez problemu i sięgnęła do środka, rozwijając karteczkę w ciemnym wnętrzu.

*Wiedzą, że skłamałaś.*

Z początku nie miała pewności, co to znaczy. Kiedy skłamała i komu? I skąd on o tym wiedział? Szczególnie ta ostatnia myśl wywołała zimny dreszcz, który przebiegł jej po plecach i dotarł aż do ramion. Może Nikki miała rację. Może naprawdę próbował ją wystraszyć.

Niczym na dany znak Nikki przeszła obok.

– Hej, Nikki! Zaczekaj! – zawołała Isobel, po czym złożyła tajemniczą karteczkę z powrotem i wsunęła ją do kieszeni niebiesko-fioletowego rozpinanego swetra, który wisiał w szafce. Postanowiła, że będzie się tym martwić później, i zamknęła drzwiczki, a następnie przekręciła gałkę zamka szyfrowego.

Gdy znowu się odwróciła, Nikki już nie było.

Czyżby jej nie słyszała?

Mało prawdopodobne, przeszła niecałe dwa metry od niej.

Coś musiało się za tym kryć.

Nieprzyjemnie ścisnęło ją w żołądku, gdy zaczęła układać sobie w głowie wydarzenia tego poranka. Nagle dokładnie zrozumiała, co oznaczała karteczka.

Serce Isobel waliło jak młotem, gdy z tacą z obiadem zbliżała się do stałego miejsca swojej ekipy, czyli stolika przy długiej ścianie z oknami, wychodzącymi na dziedziniec.

– Idzie – dobiegł ją szept Alyssy. Gwar przy stole umilkł. Nikki oglądała swoje paznokcie. Mark kręcił w keczupie końcem parówki w cieście. Alyssa, trzymając komórkę na kolanach, przeglądała wiadomości, a Stevie, nagle zainteresowany stadkiem gołębi na dziedzińcu, wyglądał przez okno. Brad po prostu siedział, na nic nie patrząc. Wydał wargi.



Isobel ścisnęła brzegi tacy, by wszystko przestało się trząść. To byli jej przyjaciele. Czym się tak przejmowała?

Jedynym, który podniósł wzrok, gdy znalazła się przy stoliku, był Brad. Popatrzył prosto na nią tymi wspaniałymi, niemal neonowo niebieskimi oczami, a ona podeszła do ławki naprzeciwko niego. Nikki fuknęła i przesunęła się, by zrobić miejsce, pobrzękując swoją tacą.

Nikt się nie odezwał.

Zachowuj się normalnie, pomyślała. Po prostu zachowuj się normalnie.

Brad pociągnął łyk swojej coli. Nie odrywając od niej wzroku, odezwał się:

– No...

Isobel zgasiła uśmiech i napotkała jego spojrzenie. Nie podobał jej się ten niedbały ton.

– Zastanawialiśmy się z Markiem, Izo – ciągnął. – Ponieważ ty i ja chodzimy do tego samego dentysty... powiedz, od kiedy doktor Morton przyjmuje w soboty?

– Właśnie – włączył się Mark z drugiego końca stołu, wykonując w jej stronę gest parówką w cieście. – Tak z ciekawości.

Isobel odetchnęła głęboko i skupiła uwagę na Bradzie, błagając go spojrzeniem, żeby to przerwał, zanim zacznie się na dobre, i pozwolił, by dalszy ciąg obiadu miał normalny przebieg. Mógł to zrobić. Mógł sprawić, że wszyscy zaczną się śmiać, a potem porozmawiają o zbliżającym się piątkowym meczu z Ackerman.

Odwrócił od niej wzrok, żując kotlet, jakby był to przykry obowiązek.

– Miałam coś do zrobienia – oznajmiła, rozrywając torebkę z keczupem. Może jeśli sprawi wrażenie, że to nic poważnego, osiągnie cel.

– Więc nas okłamałaś? – Tym razem przemówiła Nikki, rzucając widelec na tacę. Brzęknął głośno, lecz dźwięk ten utonął w ogólnym stołowym gwarze.

Isobel opuściła wzrok na swoje danie, lecz zamiast apetytu czuła teraz podsycane poczuciem winy mdłości. Nie wiedząc, co powiedzieć, wycisnęła keczup na kotlet, wciąż trzymając się więdnącej nadziei, że po prostu jej odpuszczą. Czy wczoraj przez telefon Nikki nie sprawiała wrażenia, jakby i tak wiedziała, że Isobel zmyśla? Więc czemu teraz miało to takie znaczenie?

Nie wiedziała, jakich użyć słów, by się nie pogryźć, więc spróbowała po prostu wzruszyć ramionami. Syknięcie Nikki szybko jej jednak uświadomiło, że nie była to właściwa reakcja.

Nikki wstała i wzięła swoją tacę.

— Coś tu śmierdzi, przesiadam się. — Z tymi słowami wydobyła spod blatu swoje długie nogi i pomaszzerowała do odległego, pustego stolika w kącie. Nikt nie ośmielił się jej zatrzymać, a już zwłaszcza Isobel.

Nie podnosząc wzroku, poczuła, że blat znowu się trzęsie, gdy wstał ktoś inny. Kątem oka dostrzegła barwy szkolnej reprezentacji i wiedziała, że to na pewno Mark, który poszedł dołączyć do Nikki. Alyssa była następna i w końcu podniósł się nawet Stevie, wydając z siebie dźwięk, który Isobel uznała za przeproszające chrząknięcie.

Zostali tylko we dwoje, ona i Brad.

— Gdzie naprawdę byłaś? — spytał po dłuższej chwili, przerywając niezręczną ciszę, która między nimi zapanowała. Zadał to pytanie łagodnym, rozsądnym tonem, który mówił, że wszystko można wybaczyć.

— Nie mogę ci powiedzieć, bo się wkurzysz.

— No, to chyba dobry powód, żeby mi powiedzieć — odparł, siłąc się na cierpliwość. Od piątku w ogóle nie punktowała, a teraz zaczęła po prostu zawałać sprawę. Jeszcze jak.

Poczuła ostre pieczenie w okolicy oczu. Nie mogła przecież usprawiedliwiać się przed swoim chłopakiem tym, że odrabiała zadanie domowe. Podniosła palec, by otrzeć łzę, zanim ta zdąży nabrać kształtu. Wydawało jej się, że patrzy na nią cała stolówka. Na tę myśl zapłonęły jej policzki i spróbowała zasłonić oczy dłonią.

Zanim zebrała siły, by odpowiedzieć, Brad wstał od stolika, zabrał tacę i oddalił się w kierunku pozostałych, zostawiając ją zupełnie samą.

Poczuła, że trzęsą jej się ramiona, gdy próbowała złapać oddech. Nie jadła obiadu sama od piątej klasy, kiedy to wydało się, że poprzedniego wieczoru mama kazała jej umyć włosy majonezem.

Łzy płynęły już ciurkiem i była pewna, że rozmazał się jej makijaż. Siedziała i jedną ręką zasłaniała twarz, a drugą wbijała widelec w sałatkę, usiłując przekonać świat, że wszystko jest w porządku.

Zobaczyła parę czarnych butów, które zatrzymały się przy jej stoliku.

O Boże, pomyślała. Wszystko, tylko nie to.

– Proszę – bąknęła do swojego kotleta – nie rób tego.

– Nie żyje – stwierdził. – Raczej nie słyszy.

– Tylko pogarszasz sprawę! – syknęła i wciąż zakrywając mokre oczy przed resztą stołówek, odchyliła głowę, by na niego spojrzeć.

– Do twarzy ci z tym – powiedział.

Nie musiała zerkać w stronę swojej paczki, by wiedzieć, że ją obserwują. Czuła na sobie wzrok Brada. I jeśli dotąd nie zdołał odgadnąć, z kim spotkała się w sobotę, teraz już wiedział. Czy ten chłopak był zupełnie tępy? Brad mógł nim wybrukować szkolny dziedziniec.

– On cię zabije.

– Nie może – odparł. – Już nie żyję. Pamiętasz?

– Wybrałaś dziwny moment na popisywanie się poczuciem humoru – warknęła i znowu spuściła wzrok.

– Kiedy znowu spotkamy się w sprawie projektu?

Do czego zmierzał? Naprawdę nie rozumiał?

– Odejdź. Nie spotkamy się.

– Może po szkole?

– Mam trening. – Zabawne, że jemu mogła powiedzieć prawdę, a przyjaciół musiała okłamać.

– Czyli jednak będę to robił sam? – spytał chłodno.

– Pan Swanson przydzieli ci innego partnera. Odejdź.

Ku jej zaskoczeniu odszedł. Tak po prostu.

*To, czego nie widać*

Isobel nie chciała iść dziś na trening. Nie po wydarzeniach podczas obiadu. Ale z uwagi na spotkanie motywacyjne przed piątkowym meczem nie miała wyboru. Gdyby nie poszła, nie tylko naraziłaby się swojej paczce, ale też reszcie drużyny. Od miesiący ćwiczyły ten układ, a w większości figur odgrywała jedną z głównych ról. Do tego dochodziła jeszcze wyznawana przez trenerkę zasada: „Opuszczasz trening, opuszczasz mecz”.

Isobel wsparła jedną rękę na ramieniu Nikki, a drugą na ramieniu Alyssy i wsunęła tenisówki w ich czekające splecione dłonie, dosłownie oddając się w ręce dziewczyn, które obecnie jej nienawidziły.

Był to jednak jedyny sposób, by jakoś odkuć się za ten dzień, i nie zamierzała z tego rezygnować. Skacząca musiała być drobna i silna, a Nikki miała wprowadzić zabójcze nogi, ale o długości kończyn strusia. Alyssa z kolei nigdy nie potrafiła wybić się wystarczająco wysoko.

Isobel przygotowała się.

Podniosły ją i podłoga została w dole. Poczwała, że wyciąga się w górę niczym kwiat, dążący ku słońcu, z korzeniami tkwiącymi w ziemi.

Trenerka liczyła głośno.

– Cztery, pięć...



Na „pięć” opuściły ją, szykując się do wyrzutu.

– Szczęść!

Wypchnęły ją w powietrze. Tak!

Obróciła się raz, drugi. Świat stał się wirującym kalejdoskopem rozmazanych twarzy, błękitnym, złotym i jasnym od świateł. Bardzo szybki półobrót – i poczuła, jak ją łapia. Opadła w rozkroku, jedną ręką obejmując plecy Nikki, a drugą – Alyssy. Posadziły ją na podłodze.

– Bardzo dobrze, Iz – pochwaliła trenerka nieco bardziej odprężonym tonem. – Nie obniżajmy lotów... Rozumiecie? Nie obniżajmy lotów. – Drużyna zareagowała chóralnym jękiem. – Dobra. Tym razem z muzyką, chłopcy i dziewczęta.

Isobel obciągnęła treningowe szorty i przybrała pozycję, podczas gry trenerka Anne poszła majstrować przy odtwarzaczu CD. Jej kręcone włosy, przypominające sierść niedźwiedzia, podskakiwały przy każdym kroku, a mokasyny skrzypiały na parkiecie sali gimnastycznej.

Nikki zajęła miejsce dokładnie za Isobel, która czuła wzrok przyjaciółki, świdrujący jej potylicę.

Gdy rozległa się rytmiczna muzyka i zaczął się właściwy fragment, Isobel obróciła się i stanęła twarzą w twarz z Nikki, której niebieskie oczy, zazwyczaj tak radosne, patrzyły teraz lodowato.

– Czemu skłamałaś? – syknęła.

Isobel pomyślała, że przynajmniej znowu ze sobą rozmawiają.

Muzyczny wstęp rozbrzmiewał niskim rytmem coraz głośniej. Uniosły ręce, wałąc piętami o podłogę.

– Bo chodzisz i wszystko rozpowiadasz!

– Nie wtedy, kiedy to coś ważnego!

– Tak, i to ty decydujesz, co jest ważne, a co nie!

Naprawdę nie dało się ciągnąć tej rozmowy. Elektroniczna muzyka przyspieszyła i każdy takt wiązał się z wymachem, obrotem czy przewrotem. Trenerka lubiła też efekciarskie zmiany formacji, więc



ustawiały się w różne kształty, rozdzielały, rozpierzchały i tworzyły nowe konfiguracje.

Gdy nadszedł czas na wielki skok Isobel, podpory czekały już w gotowości.

Cztery, pięć, hop! Dwa szybkie obroty zgrały się w czasie z „uuu-huuu” wokalisty, ale w połowie drugiego z nich Isobel zdawało się, że dostrzeża coś w jednym z używanych przy treningach luster. Ciemną postać. Widziała ją przez mgnienie oka – ktoś stał w wejściu do sali. Zdążyła zobaczyć tylko rozmytą sylwetkę, ale ktokolwiek to był, miał na sobie coś, co wyglądało jak czarny kapelusz i... płaszcz?

Spadła w przygotowaną kołyskę i znowu postawiono ją na nogach, przodem do drzwi sali, które teraz były puste.

Isobel znowu popatrzyła na lustra i zmrużyła oczy, skupiając wzrok na opustoszałym wejściu. Zapomniała, że powinna zmienić pozycję przed następną formacją i nagle wpadła na nią Stephanie Dorbon. Isobel mocno uderzyła o podłogę i ból zeszlotygodniowego siniaka obudził się z rykiem. Skuliła się, wciągając powietrze przez zęby.

Wokół niej cały wyćwiczony układ gwałtownie się zatrzymał. Muzyka umilkła.

– Co się, do licha, stało? – krzyknęła trenerka z czerwonymi plamami na okrągłej twarzy, przedzierając się do miejsca, gdzie siedziała Isobel, a Stephanie stała tuż obok, trzymając się za ramiona, jakby chciała jak najszybciej znaleźć się poza wszelkim podejrzeniem.

– Upadłam – powiedziała Isobel, by jej ulżyć. Pozbierała się przy wtórze narzekań drużyny, pozostawiając swoją godność na podłodze. Złożyła ręce na piersi i znowu rzuciła krótkie spojrzenie w stronę drzwi prowadzących do sali.

Puste. A mogłaby przysiąc...

– No, dalej! – wrzasnęła trenerka. Odchyliła swoje szerokie biodra w bok, a to zawsze był zły znak. – To są niebezpieczne ćwiczenia. Słuchajcie. Podstawa: trzeba uważać! Nie chcę żadnych złamanych kości, rozkwazzonych nosów ani zapłakanych rodziców, dobra? Do-

bra. Jutro spróbujemy znowu. Idźcie do domu. – Machnęła ręką i wszyscy się odwrócili, mamrocząc pod nosem, po czym ruszyli, by zabrać swoje torby i butelki z wodą.

Gdy Alyssa mijiała Isobel, nachyliła się, by coś powiedzieć.

– Nieźle, albatrosie.

Isobel powstrzymała się od komentarzy. Podreptała w stronę trybun po swoją torbę i wyciągnęła ją spomiędzy ławek. Miała ochotę cisnąć ją na jezdnię i patrzeć, jak przejeżdża po niej tir.

– Isobel – powiedziała trenerka, stając za jej plecami – ty zostajesz. Musimy porozmawiać. – Minęła ją i poszła zwinąć przewód odtwarzacza CD, podczas gdy chłopcy składali i wynosili lustra. Isobel zamknęła oczy i nie otwierała ich przez pełne trzy sekundy.

*Czy ten dzień... czy ten rok mógł się stać jeszcze gorszy?*

Zostawiła torbę i usiadła na trybunach, by patrzeć, jak wszyscy pozostali wychodzą. Nikki tylko raz zerknęła w tył, po czym pospieszyła za Alyssą. Isobel podparła podbródek dłońmi i skupiła się na swoich tenisówkach, białych w niebieskie i żółte paski.

Czuła raczej gniew niż żal. Po wyplakaniu się na obiedzie miała dosyć żalu, który widzieli inni. Łatwiej było się po prostu wkurzyć.

Może nie było z nią tak źle.

– Co się dzieje, panienko? Czas porozmawiać – powiedziała trenerka, sadowiac się na trybunach obok niej. Drewno i żelazo zaskrzypiały, przyciśnięte jej ciężarem.

– Po prostu się zdekongcentrowałam – mruknęła Isobel. Zerknęła w kierunku drzwi sali, gdzie wciąż nikogo nie było. Znowu popatrzyła na swoje dłonie i zaczęła wyskubywać nieistniejący brud spod paznokci. Może jednak było z nią źle.

– Dobra – odrzekła Anne. Zahaczyła kciukiem o żółty sznurek na szyi, by pobawić się gwizdkiem. – Czy dzisiaj zdekongcentrowało cię to samo co w zeszły piątek? Dwa upadki w dwa tygodnie. – Podniosła dwa palce, jakby dziewczyna potrzebowała wizualnego potwierdzenia. – Jak na ciebie to nie jest normalne.

– Wiem. To... to nic takiego – upierała się Isobel. – Ja tylko...  
– Zawiesiła głos. Co tylko? Zobaczyła coś, czego tak naprawdę nie było? I nie prosiła się o telefon do rodziców? Akurat.

– No – odezwała się trenerka, przerywając przedłużającą się ciszę.  
– Słyszałam, że dziś na obiedzie byłaś zdenerwowana. Czy jedno z drugim ma coś wspólnego?

Isobel poczuła, że na jej policzkach wykwitają ogniste pąki i mimowolnie uniosła dłoń do czoła, by się zasłonić. Czy już wszyscy wiedzieli o wydarzeniach ze stołówki?

– Słuchaj, Isobel – zaczęła trenerka, nachylając się w przód z łokciami na kolanach. – Nie musisz mi nic mówić. Po prostu nie chciałabym stracić swojej najlepszej skaczącej. To wszystko.

Dziewczyna kiwnęła głową ze wzrokiem wbitym w podłogę. Była wdzięczna za te słowa otuchy. Miło było spotkać się z uznaniem, lecz nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Mogła powiedzieć, że się postara. Mogła powiedzieć cokolwiek. Ale do trenerki słowa nigdy nie przemawiały tak jak czyni. Po prostu następnym razem będzie musiała lepiej się spisać. Odłożyć na bok wszelkie bzdury, na jakiś czas o wszystkim zapomnieć i zwyczajnie się skupić.

– Ej! – Trenerka ją szturchnęła.

Isobel podniosła głowę... i zamarła. Brad stał w drzwiach ze sportową kurtką przewieszoną przez ramię, z kręconymi, gęstymi włosami, mokrymi i ciemnymi po prysznicu.

Trenerka wstała za jej plecami i ławka zadygotała ze skrzypiącym jękiem.

– Lepiej już idź – powiedziała. – Zdaje się, że ktoś po ciebie przyszedł.

– Odejdź.

Isobel zmusiła się, by patrzeć prosto na niego, gdy to mówiła. Szedł za nią przez całą drogę z sali gimnastycznej do szatni, z tym zrozumiiałym uśmiechem i dołkiem w policzku.

A gdy do uśmiechu dołączyć mokre kosmyki opadające na twarz? Wyglądał bardzo pociągająco.

Odwróciła się od niego i ze wszystkich sił próbowała sobie przypomnieć szyfr do szafki, ale przestała, gdy wyciągnął rękę i zaczął kręcić gałką.

Odepchnęła jego dłoń i sama dokończyła wprowadzanie kombinacji cyfr, notując sobie w pamięci, by później ją zmienić.

Pociągnęła za klamkę, ale drzwiczki się zacięły i Brad, zanim zdążyła go powstrzymać, kopnął ich lewy dolny róg, szybko i mocno. Drzwiczki otworzyły się na oścież.

– Odejdź, powiedziałam! – warknęła.

Najpierw wzięła segregator, ten, który zostawiła na weekend, postanawiając, że wieczorem zajmie się algebrą, skoro nie ma już przyjaciół, z którymi mogłaby się umówić. Potem sięgnęła po rozpinany sweter, lecz okazało się, że zniknął z haczyka w szafce. Zamrugła powiekami i odwróciła się, by zobaczyć, że wisi za kołnierzyk na palcu Brada.

– Stój! – Chwyciła sweter i wciągnęła go na siebie, przekładając przy tym segregator z ręki do ręki. Stał i patrzył, z rękami wsuniętymi w kieszenie kurtki.

Ze złością zatrzasnęła szafkę, przewiesiła torbę przez ramię i pomaszerowała w stronę głównego wejścia.

– Żebyśmy mieli jasność! – zawołał za nią. – Nie chcesz, żeby podwieźć cię do domu?

– Nie.

Otworzyła uchylne drzwi biodrem. Powiew chłodnego, wilgotnego powietrza omiół jej twarz i potargał włosy, gdy wyszła i stanęła na betonowych schodach.

Drzewa na dziedzińcu machały gałęziami, jakby chciały przed czymś ostrzec, błyskając żółcią i czerwienią. Kilka suchych liści sunęło pustym podjazdem dla autobusu, sprawiając wrażenie, że szukają schronienia.



Niebo, zasnute szarością, wydawało niski pomruk.

Pomyślała, że mogłaby zadzwonić do mamy, mama jednak chodziła w poniedziałkowe wieczory na jogę, niewykluczone więc, że już wyłączyła telefon. Oczywiście, mogła też zatelefonować do taty. Wrócił już pewnie z pracy, lecz w takim wypadku musiałaby się pewnie zmierzyć z serią pytań o Brada, bo zazwyczaj to on ją odwoził.

Obejrzała się na Brada przez ramię.

Unosząc brwi, pomachał kluczykami od samochodu.

Isobel uwielbiała skórę na twarzy Brada po porannym goleniu, miękka, lecz nie całkiem gładka. Miała w sobie szorstkość, którą lubiła czuć pod opuszkami palców i na policzku, gdy się całowali, trochę jak wygładzony papier ścierny. Wdychała jego zapach, gdy ustami szukał jej warg, rozkoszując się wonią wody po goleniu, piżmową i ostrą.

Na dworze rozległ się grzmot.

Okna mustanga zaparowały. Lekki deszcz zabębnił o szyby, podczas gdy z radia sączyła się cicha muzyka popowej stacji.

Po drodze Brad zatrzymał się na jednym z pustych żwirowych parkingów w parku Cherokee. Powiedział, że chce porozmawiać, ale jak dotąd niewiele rozmawiali. To jej jednak nie przeszkadzało. Chciała, by wszystko wróciło do normy, a jeśli w tym celu mieli udawać, że nic się nie zdarzyło, to tym lepiej.

Poczuła, że dłonie Brada zsuwają się na jej ramiona, gdzie włączyły się w materiał między bluzą a koszulką, odsuwając sweter. Potrząsnęła ramionami, by pomóc mu zrzucić z niej tę zewnętrzną warstwę ubrania. Pomimo spadku temperatury na zewnątrz w samochodzie zrobiło się ciepło.

– Mmm... Brad? – szepnęła przy jego ustach.

Mruknął w odpowiedzi i ściągnął sweter z jej nadgarstków, po czym rzucił go na tylną kanapę. Skórzane siedzenia zaskrzypiały, gdy się do niej nachylił, a jego dłonie podążyły niżej.



– Mmm... Która godzina? – spytała i chwyciła jego rękę, zsuwając ją z pierwotnej ścieżki ku klatce piersiowej i kładąc ją sobie na talii.

Wydał dźwięk, który miał oznaczać „nie wiem”, i znowu jego dłoń powędrowała w górę.

– Brad! – Zaczęła się więc w jego objęciach i starała się, by jej głos brzmiał surowo, ale ten jego ukradkowy upór ją rozbawił. Uśmiechnął się, wciąż ją całując, i lekko uszczypnął w bok, aż drgnęła. – Brad, muszę wracać do domu! – nalegała wśród chichotu. – Pewnie już siódma. Wiem, że tak.

– Wymyślasz – szepnął do niej, ochryple, lecz łagodnie.

Zamknęła oczy i zacisnęła usta, walcząc z pokusą.

– ...po prostu próbujesz się wymknąć na spotkanie ze swoim nowym chłopakiem.

Znieruchomiła.

Wiedziała, że się z nią droczy, ale słowa i tak wryły się głęboko. Nie zamierzał odpuścić. Czuła się jak latawiec, spadający z powrotem ku ziemi, wcześniej niesiony wysoko podmuchem wiatru. Zmarszczyła brwi i znowu go odepchnęła. Rozpromienił się i pochylił z powrotem, by na nią spojrzeć.

– Mówiłam ci – powiedziała. – To nie było tak.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym znowu rozsiadł się w swoim fotelu. Potem popatrzył w przód przez zaparowaną szybę.

– No – mruknął – w takim razie czemu chodzisz taka wkurzona?

– Wcale nie. To znaczy... ja tylko... – Nie mogła w to uwierzyć. Jeszcze dwie sekundy temu było wszystko w porządku. Wyciągnęła do niego rękę.

Odrzącił ją.

– Obudzisz się wreszcie, Isobel? On patrzy na ciebie tak, jakby nie mógł się doczekać, kiedy cię zwiąże!

– Brad! O mój Boże!

– Ty po prostu nie rozumiesz, Iz. To kompletny świr. A dziewczyna jak ty? Jeśli gadasz z takim facetem, musi pomyśleć, że wygrał na cholernej loterii!

Przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że Varen już wyjaśnił kwestię, czy ona jest w jego typie, czy nie. Zapewne jednak był to zły pomysł, bo takie słowa mogły wprowadzić Brada w tryb Hulka, razem z pulsującą szyją i szaleństwem w oczach.

– Nie będę już robić z nim tego opracowania, dobra? – powiedziała szybko, odgarniając włosy za uszy.

– Wybacz, że nie jestem załamany tą informacją. – Wyciągnął rękę, żeby włączyć klimatyzację. – Zapnij pas.

Obróciwszy się, Isobel chwyciła pas i przeciągnęła go sobie przez biodra. Gdy szcęknięto zapięcie, Brad wdepnął gaz. Isobel skuliła się. Tylne opony wzbily fontannę żwiru, obracając mustanga w kierunku drogi.

*Maelstrom*

Było to dziwne.

Isobel nie rozmawiała z Bradem przez resztę wieczoru, a następnego ranka po przyjściu do szkoły zastała go przy swojej szafce i z pomocą paczki czekoladek Hershey's Kisses pogodzili się. Znowu.

Potem nikt nie wracał do sprawy z „dentystą” (ani do słowa na V) i wszystko zdawało się wracać do normy. Reszta tygodnia minęła bez wybuchowych sytuacji i znowu jedli razem obiad, narzekając na fatalne taco i gotowane kotlety. Nikki cieplej traktowała Isobel i zadzwoniła w czwartek wieczorem, by poprosić o pożyczenie złotego lakieru do paznokci, a potem wygłosiła długą tyradę, zastanawiając się, czy rzucić Marka, by zrobić podejście do przystojnego chłopaka, z którym chodziła na chemię.

Między nią a Bradem też było lepiej. Wyglądało na to, że tak naprawdę potrzebował tylko czasu, by ochłonąć po tej całej sprawie Varena. Oczywiście, jeszcze nie wymyśliła, w jaki sposób zasłużyć na dobrą ocenę u Swansona, ale może jeśli porozmawia z nim w poniedziałek, powie, że jej plan zajęć zbyttnio koliduje z planem Varena, nauczyciel przydzieli jej samodzielny projekt albo pozwoli dołączyć do którejś z pozostałych grup. Gdyby mu powiedziała, że się spo-

tkali, ale współpraca nie układała się najlepiej, byłaby to w zasadzie prawda. No i żadne z nich nie ponosiłoby winy.

Mówiła sobie, że tak będzie lepiej. Lepiej dla nich obojga, jeśli po prostu będą trzymali się z dala od siebie. A kiedy tylko przyłapywała się na myśleniu o nim, o tym, jak próbował ją ostrzec, podając tę karteczkę, jak jego głos brzmiał w telefonie albo jak skupiony wydawał się tamtego dnia, gdy pisał na jej dłoni – odpychała te myśli i próbowała myśleć o czymś innym, o czymkolwiek. Po prostu wzbudził w niej ciekawość. To wszystko. Tylko ciekawość i nic więcej.

Musiała jednak przyznać, że nieco dziwiła ją postawa ekipy. Nie narzekała, ale niezwykle wydawał się fakt, że najwyraźniej wszystko można wybaczyć, jeśli po prostu się o tym nie mówi. Spodziewała się czegoś takiego po Nikki, ale nawet Alyssa stała się dla niej wyjątkowo miła. W końcu doszła do wniosku, że wszyscy dostali kota na punkcie meczu – wygranego, ma się rozumieć, przez Trenton. Bradowi udało się nawet zaliczyć przyłożenie w drugiej kwarcie.

Układ czirliderek w przerwie też wyszedł bez pudła. Isobel wykonała swój skok jak gwiazda, wirując na tle czystego jesiennego nieba, osłepiających świateł stadionu i pełnych trybun, które zakręciły się jak w kalejdoskopie.

Właśnie tak powinno być w szkole średniej.

Po meczu Brad zaproponował lody dla uczczenia zwycięstwa i wszyscy wcisnęli się do jego mustanga, którego okna przyozdobione były wypisanymi mydłem hasłami: NAPRZÓD, JASTRZĘBIE i GIŃCIE, NIEDŹWIEDZIE. Isobel zajęła miejsce obok Brada, a Alyssa, Nikki i Mark tłoczyli się z tyłu. Stevie, który narzekał na ból w kostce, został, by się nią zająć, i powiedział, że może dołączy do nich później.

– Ej, Nikki – odezwał się Brad, sięgając ręką do tylnego siedzenia.

– Podaj mi to, dobrze?

– Ja go mam – oznajmiła Alyssa, przekazując mu znajomy niebieski sweter.



– Masz. – Ze swetrem w dłoni Brad popatrzył wymownie na Isobel. – W poniedziałek zostawiłaś to na tylnym siedzeniu.

– O – powiedziała, rumieniąc się na to wspomnienie. Złożyła go sobie na kolanach. – Dzięki.

– Nie ma za co.

Isobel rzuciła mu z ukosa zaciekawione spojrzenie.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, mrugnął do niej bez uśmiechu, po czym uruchomił zapłon. Rozległ się ryk silnika.

– No dobra – powiedział, przekrzykując warkot. – Jedziemy na lody. – Wrzucił bieg. – Znam dobre miejsce.

Pojechali do małego lokalu pod nazwą Dessert Island. Szyld przedstawiał lody, które wyglądały jak mała wysepka na morzu sosu czekoladowego, z palmą sterczącą pośrodku. Isobel zastanawiała się, czemu idą właśnie tutaj, a nie do Greater's, znajdującego się najbliżej szkoły, ale wzruszyła ramionami, gdy zmierzali do wejścia.

Dźwięk dzwonka oznajmił ich przybycie, gdy dotarli do drzwi.

Wewnątrz lokal był ciasny i miał niewiele miejsc. Razem z prowizorycznymi dekoracjami i wypisanym kredą menu nadawało mu to kiczowato-rodzinną atmosferę.

Z głośników rozbrzmiewała tandetna muzyka perkusyjna. Cały wystrój nawiązywał do motywów tropikalnych: oryginalne krzesła na bambusowych nogach stały wokół wiklinowych stołów, a pośrodku każdego blatu położono muszlę. Ręcznie wykonane malowidło na ścianach przedstawiało brzeg oceanu, z piaszczystą plażą, palmami i tropikalnymi ptakami, zarówno siedzącymi na gałęziach, jak i uchwyconymi w locie, z wyraźnie nakreślonym upierzeniem.

Za barem nikogo nie było, ale neonowy napis OTWARTE jaśniał elektrycznym różem, a drzwi na zaplecze były szeroko otwarte, jakby ktoś je podparł.

Wyglądało na to, że we czwórkę są jedynymi klientami.



– Heja! – zawołał Brad przez bar. Postukał w stojący na kontuarze dzwonek, którego dźwięk wzniósł się ponad wyspiarską muzykę. – Jest tu ktoś?

Isobel podeszła do wystawionych za szybą lodów. Klasyczne smaki sąsiadowały ze śmielszymi zestawieniami, takimi jak: „Szał makadamii z kawą”, „Ananasowa rozkosz” i „Guajawa go-go”. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaryzykować wściekle różowego „Rumu, dopóki możesz”, w końcu jednak zdecydowała się na swój ulubiony smak – mieszankę banana z toffi.

– Mogę prosić malinowe z białą czekoladą w pucharku? – spytała słodko Nikki.

– Koktajl czekoladowy – rzucił Brad.

– Dla mnie to samo – powiedział Mark. – Alyssa, co bierzesz?

– Jeszcze nie wiem, dajcie mi chwilkę. To musi być coś dobrego.

– A ty już wiesz, co chcesz, Izo? – usłyszała pytanie Brada. – To co zwykle?

Isobel przeszła wzdłuż długiego szeregu lodowych deserów do miejsca, w którym czekała reszta, przeciągając palcem po małych prostokątnych plakietkach z opisami.

– Chyba tak.

– I bananowe z toffi w pucharku.

Wsparała się biodrem o cicho szumiącą zamrażarkę. Patrzyła przez szkło, rozmyślając o meczu i udanym występie czirliderek. Przed rozgrywkami krajowymi będą musiały tylko wzmocnić środek, dopracować część akrobatyczną i wprowadzić parę poprawek do końcowej piramidy. Mogłaby też zdynamizować obroty, a gdyby zdołała lądować ułamek sekundy wcześniej, synchronizacja byłaby doskonała.

Usłyszała klikanie klawiszy kasy i jej wzrok podążył bezmyślnie do identyfikatora sprzedawcy.

VAREN – głosiła plakietka grubymi, gotyckimi literami.

Isobel zamarła ze spojrzeniem wbitym w ten napis. W jednej chwili zaschło jej w ustach. W rękach i nogach poczuła mrowienie, gaszą-

ce całą wcześniejszą radość z tego wspólnego wieczoru i zmiierzające do brzucha, gdzie rozplynęło się w ból niepokoju.

Z ociąganiem podniosła wzrok.

Chociaż przeczytała imię na tabliczce i tak przeżyła wstrząs, gdy zobaczyła jego spojrzenie. Pierwszy raz, dzięki zielonemu daszkowi, który miał na sobie, wyraźnie ujrzała jego twarz i oczy. Nie odrywały się od niej, a ich wyraz pozostawał nieodgadniony.

Lepiej by było, pomyślała sobie, gdyby patrzył na nią z nienawiścią.

– Dostaniemy to dzisiaj? – odezwał się Brad i zastukał w kontuar między nimi, wrywając Isobel ze zdumienia.

Zza pleców słyszała chichot Marka i Alyssy.

Wszystko znowu rozgrywało się w zwolnionym tempie. Spojrzenie Varena zatrzymało się na niej, jeszcze gdy się odwracał. Patrzyła, jak jego elegancka dłoń sięga pod ladę i wyciąga z kubelka z wodą srebrną łyżkę do lodów.

Choć serce waliło jej jak młotem, poczuła, że zamarło, gdy zrozumiała, co się dzieje, co jej przyjaciele zamierzają zrobić... co już robili.

– Brad – powiedziała i obróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak przewraca metalową puszkę ze słómkami. Wielobarwne rurki wysypały się na ladę i za nią, niektóre wylądowały w otwartych pojemnikach z lodami, a reszta spadła na podłogę, wydając ciche pacnięcia, gdy odbijały się od linoleum.

– Ojoj.

– Brad, ty fajtłapo – zagruchała Alyssa.

– Co mam powiedzieć? – Wzruszył ramionami. – Jestem jak huragan.

Isobel w milczeniu podniosła wzrok znad rozsypanych słomek do miejsca, w którym teraz stał Varen, nachylając się, by wyskrobać resztki lodów z dna jednego z pojemników, pod baczynym okiem Nikki, która stała na palcach, by lepiej widzieć.

– Uważaj, żeby nie dotknąć – powiedziała, a jej dłonie, przyciśnięte do szyby, zostawiły duże rozmazane ślady balsamu do rąk.

Wyprostował się i starannie nałożył lody do małego papierowego kubka, ozdobionego pałeczkami. Zanim skończył, Nikki zastukała w szybę niby w akwarium.

– Ej, przepraszam – powiedziała. – Zmieniłam zdanie.

Podniósł spojrzenie.

– Chcę jednak cynamonowe.

– Nie mamy...

– No to nic nie chcę. – Wzruszyła ramionami i machnęła ręką na deser, który już przygotował.

Isobel chciała umrzeć. Chciała po prostu umrzeć. Gdyby jednak coś powiedziała, gdyby próbowała ich powstrzymać, wiedziała, że wszyscy znowu ją znienawidzą. Czy Brad by z nią zerwał? W najlepszym razie musiałaby odejść z paczki, to pewne.

Warkot miksera przerwał ciszę.

– Brad. – Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. – Chcę iść do domu.

– Jasne, Izo – odparł. – Tylko wezmę swój koktajl. – Zastukał w ladę. – Można szybciej z tym koktajlem?

Isobel zwróciła oczy na Nikki, ale zobaczyła jedynie zadowolony z siebie uśmiech Kota z Cheshire, złożone ramiona i spojrzenie utkwione w łopaty sufitowego wentylatora o kształcie palmowych liści. Wtedy do niej dotarło. Wszyscy byli w zmowie. Zdrada paliła, a palce świerbiły ją, by zacisnąć się w pięści.

Varen postawił pierwszy koktajl na ladzie przy kasie. Patrzyła z niemym przerażeniem, jak Brad podał go Markowi, który wziął kubek i rzucił go na podłogę. Plastikowa przykrywka odpadła i brązowa lodowa mieszanka rozbryznięta się na podłogę oraz pobliskie stoły i krzesła.

– Hej! – wykrzyknęła i ruszyła naprzód, by szturchnąć Marka w ramię.



– Jakie znowu hej, Iz? Wyluzuj. To był wypadek. Poza tym hrabia Pedziula na pewno ma gdzieś mop.

– Trzyma go w swoim zielonym fartuszk – włączył się Brad, a tamci dwoje zanieśli się śmiechem.

– Wyjdźcie – warknęła Isobel, pokazując im drzwi.

– Nie możemy – westchnął Brad. Podszedł do zamrażarki, otworzył drzwi i wyciągnął półlitrowe pudełko lodów. – Nadal nie dostaliśmy lodów bananowych z toffi i koktajli.

– Ej, Brad, tutaj! – krzyknął Mark, klaszcząc w uniesione dłonie, jak wtedy, gdy na boisku prosił o podanie.

Brad zrobił dziką minę.

– Dawaj! – zawołał. Trzymając opakowanie lodów niczym piłkę futbolową, odchylił się, szykując się do rzutu. Mark parsknął śmiechem i cofnął się do samych drzwi, nie odrywając wzroku od pudełka.

– Nie! Nie! – krzyknęła Isobel.

Brad rzucił. Alyssa pisnęła i uchyliła się. Nikki przywarła do szyby. Pudełko poleciało w kierunku Marka, który w ostatniej chwili ukucnął, przez co uderzyło w ozdobioną muralami ścianę za jego plecami. Zmiażdżone opakowanie zsunęło się i pacnęło na podłogę, pozostawiając brązową czekoladową plamę na środku papugi kakadu.

Isobel odwróciła się w poszukiwaniu Varena i ujrzała Brada, który podniósł klapę i przeszedł na drugą stronę kontuaru. Zbliżył się do kasy i wprawnie nacisnął kilka guzików, po czym szuflada się wysunęła. Zanurzył w niej swoją dużą dłoń, a Isobel aż się zachłysnęła, gdy wyciągnął plik dwudziestek.

Wtedy Varen ruszył.

Znalazł się na tyle blisko, by sięgnąć po pieniądze, miał je niemal na wyciągnięcie ręki. Gdy ta scena rozgrywała się przed jej oczami, przerażenie chwyciło Isobel za serce, gniotąc je w mocnym uścisku. Poczula, że całe jej ciało się wzdryga, gdy Brad odepchnął Varena, który zatoczył się do tyłu i uniósł rękę z otwartą dłonią w pojedynczym geście.

Bradowi o to chodziło.

Twarz mu stężała, a dłoń zacisnęła się w pięść. Cofnął się, a jego ręka wyglądała niczym pyton gotowy do ataku.

Bez namysłu, nie wiedząc za bardzo, co robi, Isobel rzuciła się ku niemu. Wpadła na niego z impetem, łapiąc go za rękę. Brad stracił równowagę i upuścił pieniądze. Zanim stanął prosto, oberwał. Wymierzyła mu policzek i trzask jej dłoni o jego szczękę wstrząsnął pomieszczeniem.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć cichej muzyki perkusyjnej i ledwie słyszalnego szumu zamrażarki. Brad patrzył na nią, a gniew przydawał jego oczom nienaturalnego blasku, aż wyglądały jak dwie supernowe, gotowe lada chwila wybuchnąć.

– Wynocha – wycedziła przez zęby. Nie pamiętała, żeby kiedyś w życiu była na kogoś lub na coś aż tak wściekła. Czuła, że cała drży, jak bomba zegarowa. Przełknęła ślinę, tłumiąc odruch, by znowu go uderzyć. – Powiedziałam: wynocha!

Nikki pierwsza wymknęła się przez drzwi. Isobel to spostrzegła, bo usłyszała trzask, a po nim dźwięk dzwonka. Ktoś inny poszedł w jej ślady, ale nie widziała, czy to Mark, czy Alyssa, bo była zbyt zajęta przewiercaniem na wylot swojego b y ł e g o chłopaka. Gdy w końcu dzwonienie trzeci raz dobiegło jej uszu, zapanowała nad głosem, by mówić cicho i powoli.

– Więcej się do mnie nie odzywaj.

Brad patrzył na nią przeciągle i ostro, jakby czekał, że cofnie swoje słowa. Nie zrobiła tego, w końcu więc zrozumiał i ruszył przed siebie, mijając ją. Przeciągnął dłonią po włosach, zmierzając do drzwi, po czym z tylnej kieszeni džinsów wyjął pogniecioną paczkę papierosów, jakby nic się nie stało, jakby wcale go to wszystko nie obchodziło.

Przystanął, zanim doszedł do drzwi, po czym rzucił zmięty kawałek papieru, wydobyty z kieszeni kurtki, na jeden z brązowych wiklinowych stolików.



Dzwonek nad drzwiami rozbrzmiał czwarty raz.

Dopiero gdy Brad wyszedł, poczuła, że drżenie ustępuje.

Rozejrzała się, ale Varen zniknął.

Pochyliła się, by pozbierać pieniądze, roztrzęsionymi rękami wepchnęła je na chybił trafił do szuflady w kasie, po czym zasunęła ją z powrotem, jakby mieściło się w niej wszystko, co poszło nie tak. Przytrzymała się boków kasy i wbiła wzrok w ponumerowane klawisze, próbując się jakoś zakotwiczyć i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy „tu i teraz” jest niemożliwe, czy też prawdziwe.

Wzdrygnęła się, gdy reflektory samochodu Brada omiotły okna wystawowe, jasne niczym szperacze. Uciekły gwałtownie, z piskiem opon. Isobel zacisnęła powieki. Nasłuchiwała, jak wóz odjeżdża z parkingu. Zmodyfikowany tłumik ryknął, zanim samochód wtopił się w mrok nocy.

Zesztywniała, odwróciła się powoli i znowu otworzyła oczy, by obejrzeć obraz zniszczeń dookoła. Przewrócone krzesła, topniejące na podłodze lody i nadal ani śladu Varena.

Zadrzała, ale ogarnęło ją coś na kształt ulgi. Nie mogła w tym momencie przed nim stanąć. Już nigdy nie będzie mogła. Nie po czymś takim.

Pod wpływem impulsu pognęła w kierunku drzwi.

Z ręką na klamce zatrzymała się, a jej spojrzenie powędrowało na stolik, na zgnieciony karteluszek, który rzucił tam Brad. Nagle uświadomiła sobie, co to takiego. Liścik od Varena, napisany, by ją ostrzec. Ten, który wsunęła do kieszeni swetra.

Swetra zostawionego w samochodzie Brada.

## 8

### *Ligeja*

Z plecami przyciśniętymi do ściany Isobel stała tuż przy drzwiach dla personelu. W końcu, dodając sobie otuchy urywanym oddechem, odepchnęła się od ściany i nieśmiało zastukała dwa razy we framugę.

– Halo? – zawołała w atramentową ciemność. – Jesteś... jesteś tam?

Nie było odpowiedzi. Drżącą ręką sięgnęła do środka i pomacała ścianę. Palcami natrafiła na włącznik światła i przesunęła go w górę, a świetlówki zajaśniały z cichym trzaskiem.

Ujrzała półki załadowane kartonami wafelków do lodów, paczkami serwetek i pudłami z papierowymi kubkami, wzdłuż ścian o popękanym tynku w obrzydliwym kolorze jaskrawej zieleni. Jej badawcze spojrzenie minęło szarą szafkę i tylne wyjście, po czym spoczęło na drzwiach do chłodni. Były otwarte i przez szczelinę sączyła się mgła.

Weszła do pomieszczenia. Zbliżyła się do chłodni i zerknęła w dół, zauważając, że drzwi są zablokowane małą drewnianą skrzynką.

Chwyciła za klamkę i pociągnęła, zaskoczona, że otworzyły się tak łatwo, wypuszczając potężny podmuch zimnego powietrza prosto na jej trampki. Najpierw wsunęła głowę, a weszła dalej dopiero wtedy, gdy wydało jej się, że przez opary dostrzega czarny but.

- Co tu robisz? - To było pierwsze i najbezpieczniejsze pytanie, które przyszło jej do głowy.

Siedział w kącie, wsparty na ławce złożonej z opakowanych w folię pojemników z lodami. Weszła nieco dalej w ziąb, zadowolona, że ma na sobie golf i niebieskie spodnie od dresu, które włożyła po meczu. Puściła drzwi chłodni, które uderzyły o drewnianą skrzynkę, przygarbiła się i skuliła, obejmując tułów rękami.

Daszek leżał na podłodze między jego butami i włosy znowu zasłaniały mu twarz, więc nie mogła odczytać jej wyrazu.

- Ja... - zaczęła, na chybił trafił szukając dalszych słów, właściwych słów. - Przepraszam... - powiedziała, choć zabrzmiało to nieporadnie nawet w jej własnych uszach i rozumiała, że to nie wystarczy. - Nie wiedziałam, że oni...

- Wiem - odparł.

Skuliła się bardziej.

- Włożyłam... pieniądze z powrotem do...

- Dzięki.

Isobel zacisnęła usta, czując przyływ frustracji.

- Słuchaj... Próbuję... Przeprosiłam cię...

- Po co? - Podniósł na nią ostry wzrok, a gniew malował się na jego twarzy. - Po co to zrobiłaś?

- Ja... - zająknęła się, znowu uwięziona przez moc tych oczu.

- Co masz na myśli? Nie mogłam po prostu...

- To byli twoi przyjaciele, prawda?

- Tak, ale... - Jej wzrok opadł na matową metalową podłogę. Gwałtownie pokręciła głową, raczej po to, by odepchnąć jego pytania, niż na nie odpowiedzieć.

- Uważasz, że co udowodniłaś, czirliderko? - Podniósł się nagle, a ona mimowolnie zrobiła krok w tył.

- N-nic... - wyjąkała. - To po prostu... nie było w porządku.

- Czemu cię to obchodzi? - spytał, podchodząc na tyle blisko, by stanąć nad nią, aż poczuła bijący od niego gniew, który ją otoczył.

Przerwała, by przełknąć ślinę i pomyśleć. Podniosła wzrok, drżąc z zimna i zdenerwowania. Spodziewała się jego gniewu, owszem, ale takie otwarte wyzwanie? Gdy otworzyła usta, by odpowiedzieć, nie dobyło się z nich żadne słowo. Faktycznie, czemu ją to obchodziło?

Zastanowiła się, po czym odchrząknęła, wciąż świadoma jego obecności nad sobą niczym burzowej chmury.

– A... a czemu obchodzi ciębie?

– Kto tak powiedział?

Wzdrygnęła się. Znowu to samo. Ta jego blokada.

– Obchodziło cię – szepnęła i własny oddech otoczył ją obłokiem bieli. Szczękając zębami, przestała się kulić i wyciągnęła rękę, trzymając drżącymi palcami świstek, który Brad zostawił na wiklinowym stole. – Kiedy zostawiłeś mi tę kartkę. – Podniosła na niego wzrok.

Twarz mu się zmieniła, niepewność zajęła miejsce urazy. Szybko zerknął na liścik, a potem równie szybko odwrócił spojrzenie. Cofnął się.

– Bo... – zaczął, ale po chwili przerwał. – Nie wiem – przyznał, po czym odwrócił się do ściany, ze sztywnymi ramionami.

– Skąd w ogóle wiedziałeś? – naciskała. Patrzyła na jego plecy z nadzieją, że pytanie rozładuje jego gniew. Chciała wiedzieć. – Skąd wiedziałeś, że oni wiedzą o moim kłamstwie na temat soboty?

– Ktoś... – Znowu zmienił ton. – Chyba po prostu doszło to do mnie pocztą pantoflową. A jakie to ma znaczenie?

Ma, ma, pomyślała, przyglądając mu się. Bo to by znaczyło, że słuchał, że się interesował.

– Nieważne – powiedziała, szczękając zębami. – Zapomnijmy o tym. Moglibyśmy... – Trzęsła się coraz mocniej i poruszyła kolanami, by pobudzić krążenie. Jak on mógł to znieść? Zamknęła oczy na jedną długą sekundę. Gdy znów je otworzyła, powiedziała:

– Słuchaj, możemy wyjść z tej zamrażarki? Proszę.



Odwrócił się i niedbale wskazał drzwi gestem, który oznaczał: „Ty pierwsza”.

Zawahawszy się tylko przez chwilę, niepewna, czy pójdzie za nią, wysliznęła się na zewnątrz.

Otoczyło ją cudowne ciepło, gdy z powrotem znalazła się na zewnątrz. Nos jej odtajał i zaczęła chuchać w dłonie, zginając i prostując palce, by odzyskać czucie.

Wyszedł w ślad za nią i odkopnął prowizoryczną blokadę, pozwalając, by ogromne drzwi chłodni zasunęły się i zatrzasnęły.

Nie czekała, aż każe jej wyjść, ani nie spytała, gdzie znajdzie środki czystości. Podeszła do podwójnego zlewu pod przeciwległą ścianą i przykucnęła, by zajrzeć pod spód. Znalazła puste wiadro i stos poskładanych szmat. Przez chwilę siłowała się z wiadrem, by je wyciągnąć, wyprostowała się i odkręciła gorącą wodę.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Masz mop?

– Przypomnij, kto to? – spytała, używając serwetki, by oczyścić szybę z gumy do zucia, która, jak przypuszczała, należała do Alyssy. Spryskała to miejsce windekssem i wytarła szybę szmatą.

– Cemetery Sighs – odparł, kiwając głową w ponury rytm energicznej, natarczywej muzyki.

Zanim zabrali się do sprzątania bałaganu pozostawionego przez ekipę, Varen zmienił CD z perkusyjną muzyką na jedną z płyt ze swojej kolekcji, którą wyciągnął z samochodu. Przyniósł ją razem z torbą Isobel, którą Brad, jak na dżentelmena przystało, zostawił na parkingu, zanim odjechał. Była mu jednak naprawdę wdzięczna, bo w środku znajdowała się zarówno komórka, jak i klucze do domu.

– Ta piosenka nosi tytuł *Emily not, not gone* – powiedział. – Opowiada o kobiecie, która umiera, a potem wstaje z grobu, żeby być ze swoim ukochanym.



- Jakie to romantyczne – zadrwiła.
- Faktycznie – przyznał i przeciągnął mopem po resztkę brei z koktajlu, który zupełnie rozpuścił się na podłodze, gdy byli w chłodni.
- Mnie wydaje się makabryczne.
- Makabra może być romantyczna.
- Przykro mi. – Pokręciła głową i się skrzywiła. – Ale to dziwne słowa.

Przestał sprzątać i odwrócił się, by na nią popatrzeć.

- Nie uważasz tego za romantyczne? Idei, że miłość może pokonać śmierć?

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami, ale tak naprawdę nie chciała o tym myśleć. Na myśl przychodziło jej tylko sformułowanie: „oddech śmierci”. Skrzywiła się na myśl o całowaniu trupa i podeszła do zlewu za ladą, by opłukać szmatę. Ponad szumem zimnej wody usłyszała, że natarczywa muzyka umilkła i rozległ się damski wokal a cappella, piękny i smutny.

*Niech całun śmierci stanie się welonem,  
 Choć usta blade i skóra przebrzydła.  
 Me oczy dla ciebie nadal rozpalone,  
 Ciemniejsze niż wśród nocy krucze skrzydła.  
 To ja...  
 To ja...  
 Twoja zaginiona miłość, lady Ligeja...*

Isobel przerwała, a melodia rozbrzmiała znowu, po czym umilkła, głos kobiety cichł, hipnotyzująco wibrując. Zakręciła kran i odwróciła się.

- Chyba mówiłeś, że nazywała się Emily – powiedziała i zdawało się, że jej słowa wyrwały go z transu.

Popatrzył na nią, oderwał mop od podłogi i zanurzył go w brudnej wodzie.

- Zgadza się. Lady Ligeja... - Urwał jednak i przestąpił z nogi na nogę, jakby się zastanawiał, czy to wyjaśnić, czy nie.

- Co? - spytała. Czy czegoś nie rozumiała? Czy uważał, że jest zbyt głupia?

- Lady Ligeja - zaczął znowu - to postać w literaturze, która powraca z zaświatów i zajmuje ciało innej kobiety, żeby trwać przy ukochanym.

- O tak. Uroczo. - Isobel zbladła. - Pewnie ta druga laska nie miała nic przeciwko temu?

Uśmiechnął się i ściskając kij od mopa, przesunął wiadro za ladę, kierując je w stronę zaplecza.

- To jedno z najbardziej znanych opowiadań Poe'go.

Aha, pomyślała. To dlatego nie chciał rozwijać tematu. Stała przez chwilę ze skrzyżowanymi ramionami i myślała, wsparta biodrem o szybę chłodziarki z lodami. Następnie, okrążywszy kontuar, cisnęła szmatę do zlewu, po czym stanęła w drzwiach zaplecza. Wsparła dłoń o framugę i nachyliła się do środka.

- Ej! - zawołała. - Skoro o tym mowa, zrobiłeś już ten projekt?

- Nie.

Patrzyła, jak podnosi wiadro i wlewa brudną wodę do odpływu.

- Trzeba go skończyć za dwa tygodnie.

- Tak, wiem - odparł. Odstawił wiadro i stanął do niej plecami, myjąc ręce. - Czy to nie ty powinnaś się tym martwić?

- Chyba tak - bąknęła i skierowała spojrzenie na wymytą podłogę.

Wszystko wyszorowali, aż lśniło. Była przekonana, że teraz jest czyszej, niż zanim Brad i paczka narobili bałaganu. Jeśli czegoś się dowiedziała o Varenie, to tego, że jest dokładny.

Znowu podniosła wzrok i w milczeniu patrzyła, jak otwiera szafkę w rogu i wyciąga swój portfel z przyczepionymi trzema różnymi łańcuszkami. Drugą ręką wyjął coś jeszcze, a gdy ruszył do drzwi, zeszła mu z drogi.

Minął ją i poszedł do głównego pomieszczenia, po czym na jednym z wiklinowych stolików położył portfel, zwinięte łańcuszki oraz garść pierścieni. Następnie złapał jeden z worków na śmieci, które napełnili podczas sprzątania, pociągnął za plastikowe tasienki i związał.

– Daj mi chwilę – poprosił. – Muszę to wynieść.

Obserwowała, jak znowu znika na zapleczu, ciągnąc za sobą worek. Usłyszała, że otwierają się tylne drzwi prowadzące na zewnątrz.

Opuściła wzrok na portfel i niewielką kolekcję pierścieni. Zauważyła, że jeden z nich to sygnet szkoły. Nikt by tego nie zauważył, patrząc z oddali. Kanciaste srebrne obramowanie otaczało czarny prostokątny kamień, który zastąpił tradycyjny niebieski szafir szkoły Trenton. Pośrodku onyksowego oczka widniała srebrna litera V zamiast T, a z boku, gdzie na ogół znajdował się herb z głową jastrzębia, widniał profil wrony czy kruka, w każdym razie ptaka, który jastrzębiem nie był.

Jej spojrzenie przesunęło się z pierścieni na portfel.

Zerknęła na otwarte drzwi dla personelu, a potem znowu na portfel. Na zewnątrz rozległ się łoskot śmietnika.

Isobel szybko chwyciła portfel i go otworzyła.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, było przezroczyste okienko na zdjęcia. W środku znajdowała się pojedyncza, owalna fotografia, przedstawiająca dziewczynę z porannej grupy Varena, czyli paczki smutasów, zbierającej się co rano przy kaloryferze obok bocznych drzwi. Isobel przypomniała sobie, że to właśnie ona dała mu czerwoną kopertę. Chyba nazywała się Lacy. Czy płynął z tego wniosek, że była jego dziewczyną?

Panienska ze zdjęcia nie uśmiechała się. Jej okrągła twarz miała wyzywający wyraz, jakby w milczeniu zachęcała patrzącego, by zwrócił się do niej bezpośrednio. Gęste pukle czarnych włosów nie mieściły się w kadrze, lecz Isobel wiedziała, że kończą się lokami potraktowanymi czerwoną farbą. Miała też pełne usta, umalowane szmin-



ką o głębokim bordowym odcieniu, a dzięki ostrym pociągnięciom konturówki jej duże ciemne oczy wydawały się jeszcze większe. Te oczy, w połączeniu z miedzianą karnacją, nadawały jej wygląd egipskiej bogini.

Muzyka Varena ustała nagle. Cisza zdawała się pulsować. Drżącymi rękami Isobel zamknęła portfel i położyła go z powrotem na stoliku, między pierścieniami, tam gdzie go zostawił. Opadła na jedno z krzeseł i założyła nogę na nogę, starając się wyglądać nonszalancko.

Wyłonił się z zaplecza z czarnym futerałem na płyty CD w jednej ręce, a kurtkę w drugiej. Odłożył futerał i włożył swoją znoszoną zieloną kurtkę myśliwską, tę z wizerunkiem martwego ptaka, przypiętym agrafkami do pleców. Przystanął przy stoliku, włożył portfel do tylnej kieszeni, wykonał półobrót i uniósł koszulkę, by przypiąć łańcuszki do paska.

Isobel ukradkiem zerknęła.

Czarny pas ze srebrnymi ćwiekami okalał jego wąskie biodra. Pod workowatą koszulką był chudy i blady, ale wyglądał na silnego. Starła się nie zarumienić, gdy nagle przyłapała się na pytaniu, czy jego skóra jest w dotyku ciepła, czy też zimna jak u wampira.

Odwróciła się. Wyjrzała przez szybę wystawową, lecz wciąż widziała jego odbicie przez przyciemniane szkło. Patrzyła, obserwując każdy jego ruch, gdy zaczął metodycznie, pojedynczo nakładać pierścień na palce. Jego ręce, muskularne i zgrabne, poruszały się tak, jakby wypełniał jakiś rytuał. Zamrugnęła powiekami, niezdolna do odwrócenia wzroku.

Gdy skończył, wziął futerał z płytami, a ona się ocknęła.

– Chodź – powiedział. – Odwiozę cię do domu.

– Następny po prawej – oznajmiła. – Przy fontannie.

Światła reflektorów samochodu Varena omiotły piętrową fontannę, gdy wiózł ich przez jej osiedle, Lotus Grove. Jeździł czarnym coupem z 1967 roku, z ciemnobordowym wnętrzem. Fajna bryka.

Cougar, rycząc i mrucząc niczym puma, od której wziął nazwę, wtoczył się na podjazd przed domem i stanął. Isobel nie spieszyła się z odpinaniem pasa. Zwlekała, przypominając sobie, jak w lodziarni znowu wypłynął temat Poego. To chyba nie mógł być zbieg okoliczności. Na pewno celowo do tego nawiązał, nie?

Myślała o tym przez całą drogę do domu. Właściwie myślała o tym, odkąd zaprezentował jej zespół Cemetery Sighs. Nie zebrała się jednak na odwagę, by spytać. Lecz w tym momencie, gdy była już przed domem i zaraz miała wysiąść z samochodu, nie mogła zignorować palącego w piersi ponaglenia: „Teraz albo nigdy”.

– Słuchaj – zaczęła. Obróciła się w fotelu, by na niego popatrzeć, ale nie odpowiedział spojrzeniem. Może się tego spodziewał. I tak już zaryzykowała. Co miała do stracenia? – Czy jesteś... zdecydowany robić ten projekt sam?

Nic nie powiedział, tylko dalej wyglądał przez przednią szybę. Isobel czekała, ale postanowiwszy nie wstrzymywać oddechu, uznała jego milczenie za potwierdzenie. Chwyciła klamkę i pociągnęła, przyznając w duchu, że na to zasługuje.

– W niedzielę kończę pracę o piątej – powiedział, a ona zatrzymała się z jedną nogą na chodniku. – Możemy się potem spotkać?

– Tak.

– To dobrze – odparł. – Zakątek Nobita to księgarnia przy Bardstown Road. Wiesz, gdzie to jest?

Przytaknęła.

– Będę tam o wpół do szóstej – oznajmił.

Poszło, pomyślała.

– W niedzielę o wpół do szóstej – powtórzyła jak echo, po czym wzięła swoje rzeczy i wysiadła, zanim zdąży zmienić zdanie. Zatrzasnęła drzwi, pomachała i pobiegła do drzwi wejściowych. Pogrzebała w torbie w poszukiwaniu kluczy, lecz gdy nacisnęła klamkę, okazało się, że drzwi są otwarte. Wkradła się do środka, usiłując nie narobić hałasu, jako że rodzice położyli się zapewne spać około jedenastej.



Wyłowila z torby swój mrugający telefon i otworzyła go. Zajaśniało podświetlenie, pokazując siedem nieodebranych połączeń – co takiego? O, do licha, trenerka zawsze kazała wyłączać telefony przed meczem, bo nie cierpiała ich dzwonienia dobiegającego z szatni. Czyżby cały czas komórka była wyciszona? Rodzice ją...

– Gdzie byłaś? – dobiegł z ciemności znajomy głos.

Isobel szeroko otworzyła oczy. Odwróciła się i zobaczyła mamę siedzącą przy stole w jadalni, a obok niej – tatę. Żadne z nich nie miało zadowolonej miny.

– Kto to był? – spytał ojciec.

*Nieuchwytnie kształty*

Szlaban. Tak brzmiał wyrok na resztę weekendu, głównie dlatego, że nie znalazła zadowolającej wymówki, dlaczego wcześniej nie sprawdziła telefonu. Gdy mama i tata spytali, gdzie się podziawała, robiła, co mogła, by nie kłamać. Powiedziała, że poszli z ekipą na lody po meczu i stracili poczucie czasu. Na pytanie, kto odwiózł ją do domu, tylko wzruszyła ramionami i odparła, że ktoś ze szkoły. Widziała, że tacie bardzo nie spodobała się ta odpowiedź, ale też nie drażył dalej.

Nie była gotowa na rozmowę o wydarzeniach w lodziarni. A już zwłaszcza nie była gotowa, by powiedzieć rodzicom, że zerwała z Bradem. Albo choćby przyznać, że ekipy już nie ma. Sama nie zdążyła wszystkiego przemyśleć. Przede wszystkim jednak miała opory przed wspomnianiem imienia Varena, jakby to mogło pociągnąć za sobą kolejną katastrofę.

A zatem przez większość soboty – pomiędzy dąsami i próbami zapomnienia o utracie wszystkich przyjaciół w jeden wieczór, o głupim zachowaniu Brada czy o zakłopotaniu czekającym ją w szkole w poniedziałek – Isobel próbowała opracować plan, jak spotkać się z Varenem następnego dnia. Oczywiście wiedziała już, że będzie się musiała wymknąć.

Późnym niedzielnym popołudniem, gdy tata usadowił się przed telewizorem, zdała sobie sprawę, że jeśli chce zminimalizować możliwość przyłapania, musi wystawić obserwatora.

Namówienie Danny'ego okazało się trudniejsze niż zwykle. Zaczęła od propozycji, że przez tydzień będzie wykonywała wszystkie obowiązki za niego, bo w przeszłości, gdy rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy, zwykle załatwiało to sprawę. Tym razem jednak nie wystarczyła ani ta oferta, ani jej kieszonkowe za najbliższe dwa tygodnie. Danny, zwykle łasy na natychmiastową nagrodę, zaskoczył ją, proponując niezwykle umowę: Isobel miała na pewien czas zostać jego szoferem – po swoich urodzinach na wiosnę, kiedy to wreszcie dostanie samochód. Negocjacje kojarzyły jej się z rokowaniami mafii, tym bardziej że Danny zagroził zatruciem jej życia, gdyby się wycofała z któregośkolwiek „punktu umowy”. Uświadomiła sobie, jak przedsiębiorczy zrobił się braciszek, odkąd poszedł do gimnazjum. Uznała jednak, że rodzice i tak kazaliby go wozić. Stwierdziwszy więc, że Danny ogląda za dużo telewizji, w końcu się zgodziła.

– Ale nie będę jeździła po twoich kolegów ani rozwoziła ich do dziesięciu różnych miejsc – uprzedziła, zanim przyjęła jego wyciągniętą rękę.

Na to przewrócił oczami i sztywno uściśnął jej dłoń.

– Po to mamy rowery. Ech!

– To co mam robić, jeśli rodzice będą chcieli wejść do twojego pokoju? – Danny zadał to pytanie, obserwując, jak siostra ładuje do plecaka notes, długopisy i książki o Poem, które wypożyczyła z biblioteki.

– Nie wpuszczaj ich – odparła. Naprawdę, przecież już to prze-rabiali.

– Tak, ale nie będę mógł ich powstrzymać. Oboje wiemy, że sam ledwie umiem się powstrzymać. – Ostatnie słowa wypowiedział, opierając się o jej toaletkę i otwierając jedną z szuflad.

– No to lepiej się postaraj – odrzekła i zamknęła szufladę z powrotem. – Wiesz, że jeśli się dowiedzą, z umowy nici.

Pomyślała, że przyda się taki dodatkowy bodziec.

Włożyła plecak i podeszła do otwartego okna. Do środka wpadało chłodne powietrze, które potrząsało firankami i niesło zapach rdzawych liści oraz tę przypaloną, niemal pikantną woń jesieni. Jak dotąd dzień był ładny, choć trochę zimniejszy, niż Isobel lubiła. Ale przynajmniej nie zanosilo się na deszcz.

Usiadła okrakiem na parapecie, po czym wychyliła głowę, zanim wspięła się na dach. Mieszkali w domu na stoku, z pokojami na różnych poziomach, nie brakowało więc występów, na które mogła się wymykać i na nich siadać, kiedy chciała zostać sama.

Isobel złapała równowagę na pochyłości. Szorstkie dachówki chrzęściły pod jej butami. Starła się nie wyglądać za krawędź rynny. Zamiast tego obejrzała się przez ramię i zobaczyła Danny'ego, który wychylił się, żeby popatrzeć za siostrą.

– Pamiętaj... – powiedziała, ale nie musiała kończyć.

– Jeśli zaczną pytać, to rozbolą cię głowa i poszłaś spać.

– I?

– I muszę pilnować drzwi garażu, bo wrócisz o wpół do ósmej, żeby zdążyć na kolację, a jeśli nie, zmienisz się z powrotem w kosmitkę i zostaniesz deportowana na rodzimą planetę. – Danny odgrywał to wszystko, kryjąc pulchną twarz w dłoniach, wsparty łokciami o parapet. Na koniec posłał jej uśmiech.

Isobel przewróciła oczami i poczłapała dalej przez dach, uważając, by mocno opierać stopy na pochyłym podłożu.

– Może to nie moja sprawa – dobiegły ją z tyłu słowa Danny'ego – ale czy mogę spytać, czemu ryzykujesz życie, wolność i kości, żeby się wymknąć?

– Zazwyczaj – zaczęła, gdy dotarła na krawędź, gdzie, jak wiedziała, biała drewniana pergola jej mamy przylegała do dachu – taka informacja byłaby ściśle tajna. – Zdjęła plecak i zrzuciła go na trawę.



Potem odwróciła się i opuściła, macając nogą w poszukiwaniu podparcia. Czubek jej buta wsunął się w otwór w pergoli. — Ale skoro już pytasz... — Zyskawszy podparcie, zaczęła schodzić. — Muszę odrobić lekcje.

\* \* \*

Skrzypnęły drzwi i zadźwięczały zardzewiałe dzwonki, gdy przekroczyła próg starej księgarni.

Z zewnątrz widać było, że budynek był kiedyś czyimś domem. Z malowanych cegieł odłaziła zielona farba, a z jednej strony dachu sterczał pokruszony komin. Wewnątrz czuć było zatęchłe powietrze, a zapach kurzu i starych książek sprawiał, że oddychało się tu z trudem.

Pomieszczenie było długie i wąskie, pełne solidnych regałów, które sięgały niemal do sufitu. Zmęczone lampy w górze rozsiewały złotawy blask, rozpraszając nieco nagromadzone cienie.

Isobel ostrożnie weszła do środka. Nigdzie nie widziała Varena, ale na razie w ogóle niewiele widziała. Ostrożnie okrążyła ustawioną przy samych drzwiach stertę książek wyglądających na bardzo stare. Pomyślała, że złamano tutaj przynajmniej pięć różnych przepisów przeciwpożarowych. Ruszyła między dwa regały i przyszło jej do głowy, żeby zawołać, ale z jakiegoś powodu nie mogła się zmusić do przerwania martwej ciszy.

Isobel spojrzała w górę, na grzbiety niezliczonych książek. Każda oznaczona była numerem oraz datą i dziewczyna czuła się niemal tak, jakby szła przez katakumby.

Gdy dotarła do końca, dostrzegła ladę. Właściwie zobaczyła masę książek, piętrzących się na czymś, co kiedyś musiało być ladą. Za nią siedział starszy mężczyzna o zmierzwionych siwych włosach, sterczących na wszystkie strony, jakby tego ranka przy śniadaniu wtknął widelec do kontaktu.

Skrzywił się, świdrując ją jednym szarym okiem, podczas gdy drugie pozostawało zamknięte. Na jego kolanach spoczywał duży, oprawny w skórę tom, otwarty gdzieś pośrodku.

– O, eee... – bąknęła i kciukiem wskazała za siebie, jakby należało pokazać, że weszła tu przez drzwi. – Szukam kogoś.

Przyglądał się jej tym jednym okiem, przywodząc na myśl ptaka, który taksuje gąsienicę.

– Hm... Może pan... przypadkiem wie... – Umilkła niczym zahipnotyzowana tym okiem.

Przeszły ją ciarki. Nawet nie mrugnął.

Zrobiła krok w tył i znowu wskazała za siebie.

– Pozwolę sobie...

Chrząknął, donośnie i niespodziewanie. Aż podskoczyła, gotowa wybiec na zewnątrz, by tam poczekać na Varena. Mogli po prostu iść się pouczyć do Starbucks, bo tutaj dostawała dreszczy. Zanim jednak zdołała cofnąć się choćby o krok, zamknięte dotąd oko mężczyzny otworzyło się. Poruszył się na krześle, szybko mrugając powiekami i pociągając nosem.

– Ojoj – mruknął. Wyprostował się i popatrzył na nią, mrużąc oboje oczu. Zauważyła, że jedno z nich jest ciemnobrązowe i mętne, chociaż w słabym oświetleniu wydawało się prawie czarne. – Skąd się tu wzięłaś, młoda damo?

Isobel popatrzyła na niego, po czym musiała odwrócić wzrok, by zerknąć znowu na drzwi wejściowe – na blask słońca na chodniku i normalnych ludzi, wyprowadzających psy na spacer.

– O, nie przejmuj się tym – powiedział, wskazując czubkiem palca duże, szare oko. – Jest szklane. – Wydał z siebie wymęczony śmiech. – Miło, że przyszłaś. – Śmiech przerodził się w urywany kaszel. – Inaczej przespałbym cały dzień – dodał.

– Miałam... miałam się tu z kimś spotkać – mruknęła, a potem pożałowała, że otworzyła usta. Tak naprawdę chciała tylko wyjść na zewnątrz i stanąć na chodniku. Po drodze minęła przyjemną ka-

wiarnię, która mogłaby stanowić kompromis jako miejsce wspólnej pracy. Tutaj nie było nawet gdzie usiąść.

– Ach, tak? – Znowu zakaszłał, chociaż może był to śmiech. Nie miała pewności.

Zacisnął pomarszczoną dłoń w pięść i przyłożył ją do ust. Ramiona mu się zatrzęsły, gdy sapał w zwinięte palce, z policzkami wydętymi na podobieństwo kolcobrzucho.

Gdy przestał kaszleć, wydał z siebie westchnienie ulgi.

– Jest na górze – mruknął i sękatym palcem wskazał łukowate przejście na zaplecze, pełne, jak zauważyła (co za niespodzianka), kolejnych książek. – Do końca, a potem po schodach. Nie zwracaj uwagi na napis na drzwiach.

– Ooo, dziękuję – powiedziała, ale staruszek pochylił już głowę i wrócił do lektury. Albo zasnął. Trudno było orzec.

Odwróciwszy się, Isobel przeszła do tylnej części sklepu. W przeciwniejszej ścianie zobaczyła drzwi, o których mówił. Wysokie i wąskie, wyglądały jak wieko trumny. Na pierwszy rzut oka pomyślała, że to schowek na szczotki, ale nie widziała żadnych innych drzwi, a na tych widniał napis. A nawet dwa.

## NIE WCHODZIĆ

Tak brzmiał pierwszy. Drugi, nakreślony ręcznie na pożółkłym skrawku szorstkiego papieru, stanowił kolejne ostrzeżenie.

## UWAGA NA BESS

Kim albo czym jest Bess? – zastanawiała się Isobel. I co ważniejsze, na który z napisów miała nie zwracać uwagi? Obejrzała się przez ramię na księgarnię. Nie miała ochoty wracać i zadawać kolejnych pytań kaszłacemu dziadkowi, a poza tym wyraźnie powiedział, żeby poszła na górę.



Chwyciła zmatowiałą mosiężną klamkę i nacisnęła. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, ukazując długie, wąskie i strome schody. Snopy światła sączyły się z okna na górze, a w ich blasku tańczyły miliony drobinek kurzu.

No dobra, pomyślała. Jeśli to schody, którymi mam wejść na górę, gdzie jest ta Bess?

– Halo?

Jej głos zabrzmiał cicho nawet w jej własnych uszach. Nie doczekała się odpowiedzi, ale zdawało jej się, że słyszy szelest papierów, wdrapała się zatem po schodach, nie zamykając drzwi za sobą.

Nie było żadnej poręczy, więc wyciągnęła ręce na boki i oparła dłonie o ciemną boazerię. Stopnie skrzypiały i trzeszczały pod jej nogami, jakby szeptem przekazywały sobie sekrety.

Wspinała się noga za nogą, a gdy znalazła się bliżej szczytu schodów, zaczęło ją ogarniać dziwne uczucie. Zaczęło się od żołądka – nudności połączone z lekkim zawrotem głowy, wywołanym wysokością. Dostała gęsiej skórki, drobnutkie włoski na jej rękach zjeżyły się. Zatrzymała się na schodach i zaczęła nasłuchiwać.

Trzask!

Krzyknęła. Kolana się pod nią ugięły i kurczowo chwyciła się poręczy.

Zobaczyła, że ktoś zatrasnął drzwi.



## 10

### *Dusze zmarłych*

Co robisz?

Znała ten głos, leniwy i spokojny, lecz z lekką nutką irytacji. Isobel powoli odwróciła głowę, aż jej wzrok skupił się na parze czarnych butów na szczycie schodów, zaledwie trzydzieści centymetrów od jej nosa. Odchyliła głowę i jej spojrzenie napotkało chłodną zielenią oczu Varena Nethersa, wielkiego i znudzonego.

Patrzył na nią, w jednej ręce dzierząc discman, w którym kręciła się płyta CD, drugą zaś trzymając na brzęczących i popiskujących słuchawkach, spoczywających na jego szyi.

– Ten stary wariat zatrzasnął drzwi!

Skarcił ją spojrzeniem, po czym odwrócił się i wszedł do pomieszczenia, które było małe, a nawet maleńkie – zapewne kiedyś używano go jako stryżku. Jego buty wydawały głuchy odgłos na wysuszonych deskach podłogi, gdy zmierzał do małego stolika w kawiarnianym stylu, stojącego po przeciwległej stronie pomieszczenia i zawałonego papierami. Pośrodku podłogi leżał brzydki, poprzecierany, brązowopomarańczowy dywanik, niczym skalp łysiejącego potwora. Oprócz stosów książek w każdym rogu nie było tu nic więcej.

Pod oknem stał stolik. Okno było małe, okrągłe i wychodziło na ulicę.

– Bruce nie cierpi hałasu – odezwał się Varen – więc nie wyobrażam sobie, żeby trząskał drzwiami.

Isobel wyduła wargi. Patrzyła, jak chłopak siada przy stole i odstawia odtwarzacz CD, po czym zaczyna szperać w stercie papierów. Zerknęła na discmana, myśląc, że Varen jest staroświecki, skoro ciągle go używa i nie ma iPoda albo innego odtwarzacza MP3. Powstrzymała się jednak od komentarza.

Zamiast tego skrzyżowała ramiona i powiedziała:

– Czyli zarzucasz mi kłamstwo.

– Powiedziałem coś takiego? – spytał, nie podnosząc wzroku, a ona mimowolnie przypomniała sobie, że tak właśnie brzmiały pierwsze słowa, które od niego usłyszała.

– No, zasugerowałeś.

– Wyciągasz pochopne wnioski.

– To kto zatrzęsnał drzwi?

– Bess – odparł takim tonem, jakby każdy mógł dojść do tej logicznej konkluzji.

– A kto to, do licha, jest Bess? – Ręce Isobel powędrowały w górę, po czym w geście desperacji spoczęły na biodrach. Jeszcze nawet nie poznała Bess, a już jej nie lubiła.

– Poltergeist.

– Co takiego?

– Pol-ter-geist – powtórzył, akcentując każdą sylabę.

– Znaczy co? – prychnęła. – Duch?

– Coś w tym rodzaju.

– Mówisz serio?

Jego spojrzenie podniosło się znad stolika, by wbić się w nią z pełną powagą.

– Wszystko jedno – powiedziała, strzepując odrobinę szarego kurzu, którą zauważyła na swoich dżinsach. Zabrudzenie powstało zapewne na tych ponurych schodach. Chłopak wyraźnie znowu próbował ją przestraszyć. Chyba.

Isobel nie zwróciła uwagi na ciarki, które przeszły jej po plecach, docierając do karku, niczym małe pajęczki o elektrycznych odnóżach.

– Pracujesz tutaj? Nie rozumiem. Skąd znasz tego faceta?

– Bruce jest właścicielem lodziarni.

– To twój szef?

– Mniej więcej – odparł i naskrobał coś w swoim notatniku.

– Zastanawiałam się, czemu byłeś tam zupełnie sam – powiedziała, używając sztuczki, którą stosował jej ojciec, gdy chciał się czegoś dowiedzieć. Starła się, by brzmiało to jak niedbale spostrzeżenie, a nie wścibstwo.

– On wymaga pewnej pomocy. A skoro o tym mowa, byłbym wdzięczny, gdybyś nic mu nie wspominała o tym... co się stało. – Nie spojrzął na nią, tylko pisał, wykonując niespieszne, staranne ruchy długopisem.

– Czemu? Wyrzuciłby cię z pracy?

– Nie. Po prostu ma wystarczająco wiele zmartwień.

– Tutaj też pracujesz? – spytała, rozglądając się dookoła. Zdjęła plecak i opuściła go na podłogę. Potem zajęła miejsce na krześle naprzeciwko niego.

– Właściwie nie – odrzekł.

– Czyli co, po prostu spędzasz tu sobie czas? Z Bruce'em? I z Bess?

– dodała, powstrzymując uśmiech.

– Przeczytałaś? – spytał.

Umilkła. A, tak. Książki.

Isobel wróciła myślami do listy tytułów, które jej podał. Od tamtego czasu tyle się wydarzyło. Skrzywiła się.

– No... Jeśli o to chodzi...

Westchnął. Był to cichy dźwięk, niczym oddech umierającego.

– No a ty czytałaś? – zapytała.

– Wiele razy.

– Oczywiście – stwierdziła, uświadamiając sobie, że to jak pytać papieża, czy czytał Biblię.

– Wiesz, większość opowiadań i wierszy Poe'go, o ile nie wszystkie, można znaleźć w Internecie – powiedział tonem, w którym kryło się ostrzeżenie: „Następnym razem nie będziesz miała wymówki”.

– No pewnie. Tylko poproszę swojego stukniętego brata, żeby na parę godzin przestał zabijać ninja zombie i pożyczył mi komputer, bo muszę poczytać wiktoriańską literaturę grozy.

– *Doomed Kingdom* jedyńka czy dwójka?

– Co?

– Gra w *Doomed Kingdom* jedynekę czy dwójkę? Tylko w tej serii są ninja zombie.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Skąd mam wiedzieć?

– Hmm – mruknął, opuszczając wzrok, jakby znowu straciła kilka punktów jego szacunku. – Nieważne. – Zgromiła go wzrokiem, gdy pochylił się, by wyciągnąć coś z torby. – Masz. Na razie możesz to pożyczyć. – Ostrożnie położył przed nią dużą czarną książkę ze złotymi tłoczeniami. Na okładce lśniące, złote litery głosiły: *Edgar Allan Poe. Dzieła zebrane*. – Ale jeśli coś się z nią stanie, zabiorę twoją duszę.

– Ooo, dzięki – odparła, zachowując czujność pod jego bacznym spojrzeniem. – Jest bardzo ładna i poręczna.

– Musimy się spotkać jutro – powiedział. – Po szkole.

– Nie mogę. Mam trening.

Chociaż jeszcze nawet nie zaczęła się zastanawiać, jak sobie poradzi z tematem szkoły, jak stawi czoło Bradowi i Nikki, nie mogła ustąpić pola, gdy szło o treningi. Nie mogła sobie pozwolić na nieobecność – tak blisko rozgrywek ogólnokrajowych.

– Wszystko jedno – odparł. – No to we wtorek.

– Dobra. O której?

– Jakoś po szkole. Ale pracuję, więc musisz wpaść do lodziarni.

Isobel przygryzła wargę i zastanowiła się. Nie zdawała sobie sprawy, jakie to będzie trudne. Nie dość, że miała szlaban, to po zerwa-



niu z Bradem trudno jej się będzie poruszać.

– A możesz mnie tam podzucić?

Wzruszył ramionami. No dobra, postanowiła uznać to za zgodę. Teraz potrzebowała już tylko sposobu na powrót do domu. Zapewne mogła iść piechotą, o ile tylko wymyśli dobrą wymówkę, że wyszła.

Spojrzała znowu na *Dzieła zebrane*. Na dole zauważyła cienką jedwabną wstążkę, wystającą niczym beżowy język. Przesuwając palcem po górnej krawędzi, otworzyła książkę na zaznaczonej stronie. *Kraina snu* – głosił tytuł. Isobel przebiegła wzrokiem pierwszą strofę:

*Idąc w ciemny szlak nieznany,  
Od złych duchów opętany –  
Z krain, kędy Bóstwo – Noc  
Samowładną dzierży moc  
I, w gwiazdzistej lśniąc koronie,  
Na swym czarnym siedzi tronie –  
Świeżom wrócił w nasze światy,  
Spoza Thule lodowatej –  
Ze sfer – co w mgłach się promienią –  
Poza czasem i przestrzenią.*

No dobra, zupełnie bez sensu.

Isobel kartkowała książkę, aż rozpoznała jeden z tytułów, które Varen kazał jej zapisać w bibliotece: *Maska Śmierci Szkarłatnej*. Kciukiem przewróciła kartki i naliczyła sześć stron. Nie tak źle. Zaczęła czytać pierwszy akapit:

*Śmierć Szkarłatna od dawna pustoszyła ową krainę. Nigdy dżuma nie bywała tak nieodparta, tak straszliwa. Jej oznaką widomą była – krew – czerwień i szkarada krwi. Towarzyszyły jej bóle ostre, nagły*

\* Przetłumaczył Antoni Lange.

*zawrót głowy, a potem – obfity przez wszystkie pory wyciek potów i rozłaka z życiem. Purpurowa plamistość ciała, a szczególnie twarzy – usuwała ofiarę poza koło żyjących, pozbawiając ją wszelkiej pomocy i wszelkiego współczucia. Napad, rozwój i skutek choroby były sprawą półgodzinnych zabiegów.\**

Znad książki spojrzała na Varena, który wciąż był pochłonięty swoimi notatkami. Czy mówił poważnie? Pierwszy akapit przypominał lekturę streszczenia kiego, niskobudżetowego filmu akcji z domieszka dziewiętnastowiecznego stylu. Albo aktu zgonu. Z ociąganiem z powrotem opuściła wzrok na tekst.

*Atoli książkę Prospero – szczęśliwą miał gwiazdę, nieustraszone serce i umysł przenikliwy.*

Podniosła głowę.

– Co to znaczy „przenikliwy”?

– Przenikliwy – odparł, nie przestając pisać, to przymiotnik, oznaczający szczególną domyślność. Oznacza na przykład kogoś, kto w księgarni mógłby wpaść na pomysł, żeby znaleźć słownik, zamiast zadawać tysiące pytań.

Wykrzywiła do niego twarz. Gdy jego długopis się zatrzymał, pochyliła się i znowu pogрузyła w lekturze.

*Gdy dżuma na wpół wyludniła jego obszary, zwołał tysiąc dzielnych, chwackiego przyrodzenia druhów płci obojej, wybranych spośród rycerzy i dworek jego świty, i wraz z nimi usunął się od świata w ustronną samotnię jednego ze swych warownych opactw. Był to obszerny i wspinały budynek, twór iście książęcy, w stylu cudacznym, a wszakże godnym podziwu. Tęgi a wysoki mur przysparzał mu obwodu. Ów mur spiżową miał bramę. Świta, zaledwo przedostawszy się do wnętrza,*

\* Fragmenty *Miski Śmierci Szkarłatnej* w przekładzie Bolesława Leśmiana.

*z pomocą pieców i krzepkich młotów zalutowała rygle. Postanowiono zawarować się przeciw nagłym zakusom rozpaczy od zewnątrz i zamknąć wszelki odwrót weselnym szalom od wewnątrz.*

Przerwała, by chwilę pomyśleć. Zapewne oznaczało to, że niezależnie od tego, z której strony drzwi się człowiek znajdował, w hotelu Prospera nie można się było ani zameldować, ani wymeldować. Musiała przyznać, że było w tym trochę grozy i że chciałaby wiedzieć, co było dalej. Jak Poe chciał wyciągnąć z tego swoje postacie, skoro nie było wyjścia? Spojrzała na dół strony.

*Byli tam wesółkowie, byli żonglerzy, tancerze, grajkowie, był czar pod wszelką postacią, było – wino. Wewnątrz – zbiór wszelakich cudów i bezpieczeństwa. Zewnątrz – Śmierć Szkarłatna.*

Pitu, pitu. Przewróciła kartkę.

– Czytasz po łebkach? – spytał.

– Nie – skłamała gładko. – Po prostu czytam szybko.

*Co za rozkoszna to była maskarada! Lecz niechże mi wprzód dane będzie opisać komnaty, w których się spełniła. Było ich siedem – w głównym przestrzale pałacu.*

Właśnie w tym miejscu Isobel pierwszy raz poczuła wewnętrzne ukłucie. Słowa zaczęły powoli zniknąć, ustępując miejsca obrazom dworek, poruszających się w zwolnionym tempie. Zupełnie jakby w jakiś sposób dostosowała się do gęstości języka. Wkrótce wyrazy odpłynęły ze strony, a zamiast nich pojawiło się uczucie szybowania przez tę scenę, jakby zmieniała się w kamerę filmową i przemykała przez komnaty ponad głowami aktorów w kostiumach.

Każda z siedmiu komnat, czytała, miała własny kolor i wysokie gotyckie okna w odpowiednim odcieniu. Najpierw była komnata



błękitna, potem purpurowa, zielona, pomarańczowa, biała i fioletowa. Ostatnia jednak miała barwę czerni z ciężkimi draperiami i czerwonymi jak krew szybami w oknach.

*W tej samej właśnie komnacie – u zachodniej ściany – stał olbrzymi zegar hebanowy. Włahadło jego kołysało się z głuchym, ciężkim, jednostajnym tykaniem i gdy wskazówka minutowa dokonała swego wokół tarczy obrotu, a godzina miała zadzwonić, z mosiężnych płuc olbrzyma dobywał się dźwięk czysty, donośny, głęboki i nad wyraz melodyjny, lecz o tonie tak swoistym i tak napiętym, że grajkowie kapeli co godzina musieli zaprzestawać na mgnienie swych akordów, aby słuchać gry godzin – tancerze wbrew woli poniechiwali swych wirowań. Chwilowy popłoch ogarniał wesołą gromadę – i widziano, jak przez cały czas brzmienia kurantów najzuchwalsi – bledli, a najstarsi wiekiem i najdojrzalsi umysłem prowadzili dłonią po czole niby w zadumie lub w gorączkowym majaczeniu. Lecz gdy ostatnie echo zamarło, skrzydlaty śmieszek przelatał po całym zgromadzeniu. Grajkowie spoglądali po sobie i, uśmiechając się na myśl o własnej wrażliwości i nierozsądku, ciszkiem przyrzekali sobie nawzajem, że następny śpiew kurantów nie wywrze na nich podobnego wrażenia, a później – po upływie sześćdziesięciu minut, brzemiennych trojgiem tysięcy i sześciorgiem dziecin sekund dopełnionej godziny – następował nowy śpiew nieodpartych kurantów i powtarzał się ten sam popłoch, ten sam dreszcz, te same majaczenia.*

Isobel przebiegła wzrokiem dalej, aż w opowiadaniu nastąpiła północ. Oglądała wiele horrorów i wiedziała, że właśnie wtedy należy się spodziewać początku najważniejszych wydarzeń. Gdy czarny zegar wybił dwunastą, zrobiło się naprawdę dziwnie. Z lewej i z prawej wszyscy zaczęli się gapić na jakiegoś tajemniczego nieznajomego, który pojawił się znikąd.

*Osobistość była smukła i chuda, od stóp do głów opatulona w całun.*



*Maska tająca oblicze tak trafnie wyobrażała twarz zeszywniałego trupa, że najszczegółowsze badanie z trudem wykryłoby fortel. Mimo to – wszyscy rozbawieni hulajdusze mogliby, jeśli nie pochwalić, w każdym razie ścierpieć ów żart potworny. Wszakże maska posunęła się aż do przyswojenia godła Śmierci Szkarłatnej. Jej ubiór był pokalany krwią, a jej wysokie czoło oraz wszystkie zarysy twarzy były zbryzgane straszliwym szkarłatem.*

Okropne, pomyślała, ale zarazem fajne. Przewróciła stronę i przebiegła ją wzrokiem do samego końca, gdzie księżę Prospero, na maksa wkurzony, zaczął przemierzać wszystkie komnaty.

*Potrząsając obnażonym mieczem, zbliżył się na odległość trzech czy czterech kroków do uchodzącej zjawy, gdy nagle ów ostatni, dotarłszy do krańca komnaty aksamitnej, odwrócił się znienacka, stawiając czoło swemu prześladowcy. Rozległ się krzyk przenikliwy – i miecz, błysnąwszy, zesliznął się na żalobne dywany, gdzie księżę Prospero padł martwy w chwilę potem. Wówczas, zdobywając się na ślepą odwagę rozpacz, tłumy masek rzuciły się spółem do czarnej komnaty – i schwyciwszy nieznanego, który na kształt wyniosłego posągu trwał wyprostowany i nieruchomy w cieniu hebanowego zegara, doznały strachu bez nazwy, stwierdzając naocznie, że pod całunem i pod trupią larwą, których pochwycenie kosztowało je tylu nadludzkich wysiłków, żaden kształt namacalny nie ma swego pobytu.*

*Rozpoznano wówczas obecność Śmierci Szkarłatnej. Przyszła jako złodziej nocny. I wszyscy biesiadnicy – jeden po drugim – padli w komnatach hulaszczycy, skropionych rosą krwawego chrztu, i każdy skonał w rozpaczliwych odruchach swego upadku. I życie w zegarze hebanowym zamarło wraz z życiem ostatniego z tych wesółych chwatów. I żary trójnogów wygasły. I Ciemność, i Ruina, i Śmierć Szkarłatna rozpostarły wszędy swą władzę nieograniczoną.*

Moment. Zaraz. Co? To już? Jeszcze raz przeczytała ostatnie zdanie.

A może? Przełknęła ślinę, by pozbyć się grudy, którą czuła w gardle.

– Dobra. – Zatrzasnęła książkę, aż stolik się zatrząsł i Varenowi chyba omsknął się długopis, bo spojrział na nią z uniesionymi brwiami. – Możemy teraz pogadać o tej całej masce i o tym, że na końcu ten zły wygrywa?

Oderwał długopis od kartki i rozsiadł się na krześle, przyglądając się jej z pewnym rozbawieniem.

– Rozumiem, że mówiąc „ten zły”, masz na myśli Śmierć Szkarłatną i sugerujesz, że Prospero to „ten dobry”?

Poruszyła szczęką, gdy się nad tym zastanawiała. Zrozumiała, o co mu chodzi, podniosła oczy, zatrzepotała rzęsami i westchnęła.

– Dobra, wszystko jedno, zamknął się przed chorymi i urządził wielką imprezę dla bogatych kumpli. Niezbyt fajnie, kapuję. Ale tak poza tym, po co Poe napisał o jakimś luksusowym pałacu i poświęcił tyle miejsca na te wszystkie różnokolorowe komnaty, bijący zegar, jakiegoś przenikliwego księcia i jego koleżków od kieliszka, skoro na końcu i tak chciał wszystkich zabić?

– Bo – odparł Varen – na końcu Śmierć zawsze zwycięża.

Isobel wzdrygnęła się na te słowa. Oderwała ręce od blatu i położyła je na kolanach, garbiąc ramiona.

– Wiesz – powiedziała – bez obrazy, ale kiedy mówisz takie rzeczy, ludzie zaczynają się o ciebie martwić.

Spowaźniał.

Skuliła się w środku, przyznając przed sobą, że nie chciała, by zabrzmiało to tak bezceremonialnie. Patrzył na nią, ale nie mogła wytrzymać tego spojrzenia spod cienia do powiek, na wpół ukrytego za kosmykami włosów, a jednak zdolnego przewiercić ją na wylot.

– To znaczy... – zaczęła, gestykułując, jakby to mogło pomóc w ograniczeniu poczynionych szkód.

– Czyli – powiedział – martwisz się o mnie?

Podniosła wzrok. Patrzył na nią spokojnie i z przesadną powagą,

a ona znów poczuła się nieswojo pod tym świdrującym spojrzeniem.

Mówił poważnie? Czy znowu stroił sobie z niej żarty?

Mrugnął powiekami, ewidentnie czekając na odpowiedź.

— Hmm...

Uratowało ją ciche skrzypnięcie. Zerknął w inną stronę. Podążyła za jego wzrokiem, uświadamiając sobie, że to pewnie drzwi na dole znowu się otworzyły.

— Ktoś idzie? — spytała.

— Tylko Bess — mruknął. — Która godzina?

Znowu poczuła ciarki na karku, ale tym razem nie tak łatwo było się ich pozbyć. Pajęczce nóżki wróciły, wywołując elektryczne dreszcze wzdłuż jej pleców. Sięgnęła po plecak, wciąż zdenerwowana, palcami szukając srebrnego zegarka w kształcie serca na łańcuszku.

— O nie. — Ścisnęło ją w żołądku. — Muszę iść — oznajmiła, głośno szurając krzesłem. Włożyła plecak i ruszyła na schody.

— Czekaj! — zawołał. Usłyszała, że jego długopis stuknął o stół.

— Nie mogę — odparła. — Przepraszam. — Wiedziała, że znowu jest na nią zirytowany, lecz stwierdziła, że nic na to nie poradzi. Mógł to sobie dopisać do swojej (bez wątpienia długiej) listy rzeczy, nad którymi można się ponuro zadumać.

Pognała po schodach na dół, przebiegła przez zaplecze i wypadła do księgarni, minęła Bruce'a, który siedział skulony na krześle i zdawał się śledzić ją szeroko otwartym szklanym okiem. Pchnęła drzwi wejściowe, aż dzwonki głośno zadzwięczały, pozwalając, by zamknęły się z hukiem. Na dworze temperatura spadła i powietrze stało się rześkie do tego stopnia, że Isobel widziała parę swojego oddechu. Obok niej zapaliła się latarnia.

Wtedy przypomniała sobie, że zostawiła książkę Poego na górze.

Zawróciła z jękiem i wkroczyła z powrotem do księgarni, minęła chrapiącego Bruce'a i wbiegła na zaplecze. Wzdrygnęła się, widząc, że drzwi z napisem „uwaga na Bess” są zamknięte. Znowu.

Sięgnęła do klamki, ale przystanęła, usłyszawszy głosy — jeden głę-



boki i niski, drugi zaś łagodny i cichy. Z kim on rozmawiał? Czy ktoś się tam schował w czasie, gdy pracowali? Pomyślała o Lacy, po czym natychmiast otworzyła drzwi i wdrapała się na górę, wołając:

– Zapomniałam...

Zatrzymała się, dotarwszy na górę. Zniknął. Czarnego brulionu też nie było, tylko jego notes leżał na stoliku, obok discmana i książki Poego. Obróciła się szybko, ale nie zobaczyła choćby śladu ani jego, ani nikogo innego. Jak to możliwe? Jakim cudem wyszedł tak szybko?

Jeszcze raz omiotła pomieszczenie wzrokiem, szukając potwierdzenia, że nie ma tam żadnych drzwi czy szaf, w których można by się schować.

Czyje więc głosy słyszała?

Z lodowatym dreszczem niepokoju zdała sobie sprawę, że jest tu sama. Z duchem.

Rzuciła się naprzód, złapała książkę Poego i zbiegła po schodach, wdzięczna, że tym razem drzwi się przed nią nie zatrzasnęły.

Weisnęła książkę do plecaka, znowu przemknęła przez księgarnię i wypadła na dwór, a dziwny nastrój nie opuszczał jej aż do chwili, gdy wywał go rześki wietrzyk.

Horyzont między budynkami rumienił się barwą ciemnej brzoskwini, a blask latarni i wystaw sklepowych zdawał się jaśniejszy z każdą chwilą. Ruszyła w kierunku domu, ale w zapadającym zmroku uświadomiła sobie, że szybki marsz nie wystarczy.

Puściła się biegiem.



## 11

### Szept

Jej stopy tupwały po chodniku, a jesienne powietrze kłuło w płuca. Isobel czuła, że jej ciało wchodzi w ten nieprzyjemny stan, w którym w środku odczuwa ciepło, a z zewnątrz marznie od potu. Wiedziała, że później przyjdzie jej zapłacić za bieg ze wszystkich sił bez jakiegokolwiek rozgrzewki.

Próbowała sobie wyobrazić Danny'ego robiącego, co w jego mocy, by odwrócić uwagę od jej nadzwyczaj cichego pokoju, którym już z pewnością zainteresowali się rodzice. A nawet jeśli nie, to zaczęła się zastanawiać, gdy usiądą do kolacji, a jej nie będzie.

Zrobiła obrót wokół słupa sygnalizacji świetlnej i stanęła, by stuknąć dłonią w srebrny przycisk. Światło się zmieniło i dziewczyna, rozejrzawszy się, czy nic nie jedzie, przebiegła na drugą stronę ulicy, na Willow Avenue. Zwolniła jednak, gdy przez głowę przemknęła jej nowa myśl. Zatrzymała się i popatrzyła w stronę, gdzie widać było jedno z bocznych wejść do parku.

Zawahała się przez chwilę, dysząc i rozmyślając. Pociągnęła ramiączka plecaka do przodu, przyciskając go do pleców, i poczuła, jak ciężar książki Poego wbija jej się w kręgosłup.

Chociaż park był ogromny, pełen krętych alejek, wijących się między drzewami i stromymi pagórkami, droga przezeń stanowiła znacz-

ny skrót. A pokonanie zamkniętego wejścia wymagało jedynie przedostania się przez niską drewnianą furtkę. Gdy ona i Danny dorastali, robili to latem co weekend.

Zerknęła na niebo. Nad nielicznymi chmurami trzy wczesne gwiazdy lśniły już na ciemniejącym błękitnie, ale mrok jeszcze nie zapadał. Jeśli wybierze drogę przez park, będzie cały czas biec i zdoła nie zablądzić, z całą pewnością zdąży. Nie miała wątpliwości.

Podjąwszy decyzję, pomknęła do wejścia.

Po obu stronach ulicy wznosiły się wysokie i wyniosłe wiktoriańskie domy. Ich okna zdawały się na nią patrzeć, gdy szła jednokierunkową ulicą, zakręcającą w górę, prosto do parku. Wkrótce budynki i latarnie zostały z tyłu. Droga zwężyła się, przeradzając się w pojedynczą krętą asfaltową alejkę. Wokół niej pojawiły się rzędy drzew i zarośla. Im dalej Isobel wbiegała w park, tym gęstsza wydawała się roślinność dookoła.

Zwieszające się nad jej głową konary splatały się, zmieniając drogę w ciemniejszy tunel. Ponad siecią gałęzi przesuwały się gęste chmury.

Isobel biegła dalej, słuchając cichego rytmu swoich trampek, uderzających o asfalt. Pragnęła znaleźć się już w domu i wejść pod gorący prysznic. Pomyślała, że zaparzy sobie mięty i może nawet wcześniej położyć się spać, oczywiście nie dlatego, że nie mogła się doczekać jutra.

Ciemność zakradała się do parku, rozcapierzając palce wśród drzew, by rozmazać je w jedną czarną plamę.

Gdy dziewczyna zbliżyła się do rozwidlenia alejki, zwolniła, ale tylko na chwilę, by zdecydować, że powinna podążać prosto przed siebie. Z jakiegoś powodu zapomniała, że miasto nie oświetla parkowych drózek, ale miała nadzieję, że gdyby jechał tędy samochód, to będzie miał włączone światła, ona go usłyszy, a kierowca ją zobaczy.

Biegła dalej, a własny oddech bardzo głośno rozbrzmiewał jej w uszach. Inne dźwięki do niej nie docierały.

Zmarszczyła brwi, przyznając przed sobą w końcu, że odkąd znalazła się w parku, czuje się jakoś dziwnie. Tyle że dopiero teraz zrozumiała, o co chodzi.

Zwolniła do truchtu, słuchając osamotnionego odgłosu swoich trampek.

Cisza.

Wszystko wokół niej było nieruchome i bardzo... ciche.

Wiatr, który powitał ją przed księgarnią, gdzieś zniknął. Podniosła wzrok, by popatrzeć na zastygłe w bezruchu gałęzie i liście.

Ale czy to w ogóle były liście?

Na jednym z drzew poruszył się jakiś cień i Isobel dostrzegła sylwetkę dużego czarnego ptaka. Nie wydawał żadnego dźwięku, choć zdawał się ją obserwować z gałęzi. Jeden z liści obok niego drgnął. Drugi ptak. Wkrótce rozległ się szelest piór i zobaczyła kolejnego, a po drugiej stronie alejki – jeszcze jednego.

Jeden z nich przerwał ciszę krakaniem, chrapliwym i szorstkim, niemiłym dla uszu.

Przestraszona dziewczyna znowu zwiększyła tempo, zadowolona, że dzięki treningom czirliderek jest w tak dobrej formie. Pewnie, nie była najlepszą biegaczką świata, ale potrafiła biec długo, jeśli musiała – a teraz musiała.

Miała wrażenie, że przez jej żyły płynie lodowata woda, gdy zaczęła się zastanawiać, czy Bess mogła ją śledzić. Czy te poltergazy, czy jak tam się nazywały, mogły kogoś śledzić? Przyczepić się do człowieka niczym pasożyty?

Otrząsnęła się z konwulsyjnego drżenia, które przedarło się w górę ciała, do ramion. Głupi pomysł. Nie ma żadnych duchów. Są tylko durni chłopcy mający upodobanie do makabry i starcy, którzy lubią trzaskać drzwiami.

Może ten bezruch istniał tylko w jej wyobraźni. W końcu to był park. Parki z reguły bywają spokojne. Ciche. Może po prostu brakowało jej odgłosów ulicznego ruchu i ludzi oraz blasku sztucznych



światek? Poza tym jesienią wszystko zamiera, prawda? Świerszcze grały ostatni raz gdzieś na początku września.

Wciąż jednak nie mogła pozbyć się myśli, że powinna słyszeć jakieś dźwięki. Na przykład szczekanie psa. Albo szelest buszującej w zaroślach wiewiórki. Jakiś królik czy coś.

Znowu zwolniła i zatrzymała się, tym razem dla złapania tchu. Pochyliła się, opierając ręce na kolanach, a jej oddech wibrował wśród ciszy. Obejrzała się przez ramię na ciemną drogę za sobą, czarną niczym atramentowa wstęga. Znowu popatrzyła w przód. Nie była pewna, ale sądziła, że wyjście na jej osiedle znajduje się na wprost miejsca, w którym teraz stała. Jeśli ma rację, wyjdzie na przecznicy za swoim domem i wróci nawet nieco przed czasem.

Coś jednak było nie tak i nie chodziło jedynie o ciszę.

Odkąd przestała biec, powietrze wokół niej zdawało się sprężyć, gęstnieć. Nie umiała tego wyjaśnić, ale miała wrażenie, że sama noc, nienaturalna w swoim spokoju, zaczęła zacieśniać uścisk wokół niej.

Przeszły ją ciarki. Wszystkie włoski na karku i rękach stanęły dęba.

Pomysł, że człowiek może się czuć obserwowany, zawsze wydawał jej się banałem w stylu Scooby'ego-Doo. Teraz jednak, gdy rozglądała się dookoła, patrząc na czarne drzewa o kościstych ramionach, splątanych w bezgłośnej walce o przestrzeń, nie mogła się pozbyć uczucia, że spomiędzy nich coś ją obserwuje i czeka na jej następny ruch.

Praków już nie było. To wydawało się dziwne, bo nie słyszała, jak odfruwały.

Nasłuchiwała.

Nie. Cisza narastała, karmiąc się sama sobą, aż przerodziła się w tępy szum w jej uszach.

Ruszyła dalej, lecz wolniejszym krokiem, i gdy już zaczęła myśleć, że wsłuchiwanie się w budzącą lęk ciszę może być gorsze niż słyszenie, spomiędzy drzew po prawo dobiegł jakiś odgłos – szybkie „szuuu”. Podskoczyła, czując w środku sztylet strachu, tak lodowaty, że na moment zapomniała, jak się oddycha.



Z czymkolwiek miała do czynienia, było to duże. Jak duży człowiek.

– Kto tam jest?

Szuuuuu!

Isobel obróciła się. Dźwięk dochodził z drzew po drugiej stronie alejki. Znowu rozległ się z tyłu. Usłyszała trzask gałązki i szelest suchych liści. Obróciła się dookoła, lecz mimo kaskady nagłych trzasków i szmerów z żadnej strony nie wyczuwała najbliższego ruchu.

Ścisnęło ją w gardle i w piersi. Bicie serca przyspieszyło trzykrotnie. Odwróciła się i znowu puściła biegiem tak szybko, jak tylko pozwalały jej nogi. Dłonie, zimne i spocone, zacisnęły się na ramiączkach plecaka i poczuła książkę Poego, objającą jej plecy.

Cokolwiek było wśród tych drzew, podążało za nią. Zdawało jej się, że kątem oka widzi skraj czegoś ciemnego. Dostrzegala też coś po lewej. Postacie, wysokie i smukłe, przemykały czarnym tunelem drzew po obu stronach, poruszając się zbyt szybko. Niemożliwie szybko.

Gdy przyspieszyła, niewyraźne kształty zrobiły to samo.

Wydawało się, że się mnożą, bo nagle zauważyła jeszcze jeden. Oderwał się od pozostałych, by pomknąć wzdłuż kępy drzew tuż obok niej. Poruszał się poprzez drzewa, poprzez zarośla, pędząc nad suchą ziemią – falujący kształt. Zaryzykowała i spojrzała prosto na niego, ale nic nie zobaczyła, jedynie czerni, splątane gałęzie i bezruch. To było niemożliwe!

– Odejdźcie! – krzyknęła. Nie mogła przed nimi uciec, kimkolwiek albo czymkolwiek byli. Nie mogła zyskać nawet niewielkiego dystansu, a w boku poczuła już kolkę wielkości piłki tenisowej. Nie zważając na ból, parła naprzód. Biec. Biec. Biec!

– Biegnij! – syknął ktoś. Mężczyzna.

Głos dobiegł z rzędu drzew obok niej.

Isobel chciała wezwać pomocy, ale nie starczyło jej tchu i była w stanie dobrać z siebie tylko zdławiony, cichy szloch. Nie mogła się

zatrzymać, by krzyknąć, ale nie mogła też dalej tak biec. Nie była już w stanie oddychać. Płuca piekły ją z zimna, a w bokach czuła tępy ból.

Dlaczego nie poszła dookoła parku, jak wcześniej? Dlaczego po prostu nie...

Brama!

Dokładnie na wprost. Tam! Widziała ją.

Czuła zawrót głowy, ale teraz nie zamierzała się zatrzymywać. W jakiś sposób wiedziała, że jeśli pokona bramę, dotrze do domu. I nic jej się nie stanie.

Dopadła bramy i zacisnęła dłoń na drewnie. Gdy przechodziła górą, poczuła ukłucie grubej drzazgi, która wbiła się jej w dłoń. Jej stopy uderzyły o żwirową ścieżkę po drugiej stronie. Zatoczyła się pod ciężarem plecaka z książką i opadła na kolana. Dźwignęła się, potykając się i szurając nogami, po czym pobiegła, choć własne ciało błagało ją, by się zatrzymała.

Łańcuchy zamykające uchylną bramę zagrzecotały za jej plecami. Szepty i syki. Ktoś się roześmiał, ale dźwięk przerodził się w piskliwy krzyk. Usłyszała coś podobnego do brzęku talerzy.

Nie odważyła się odwrócić.

Po lewej i prawej uciekały w tył znajome domy, które w słabym ulicznym świetle wyglądały niczym zdumione twarze. Gnała obok nich i nie zwolniła nawet wtedy, gdy jej własny dom pojawił się w zasięgu wzroku. Chciała, by ciało poruszało się dalej pomimo krzyku mięśni, pomimo dręczącego bólu w płucach.

— Issobel.

Dźwięk jej imienia przemknął obok, pochwycony przez wiatr, a potem zaginął w szeleście liści pod jej nogami. Ale i tak je słyszała. Swoje imię. Ktoś wyszeptał jej imię.

To ją w końcu zatrzymało na skraju trawnika przed domem. Odwróciła się, omiatając otoczenie czujnym wzrokiem. Zaczepnęła tchu, wciągając powietrze dużymi haustami.

Ściągnęła plecak i zbierając resztki sił, rzuciła go na ziemię. Rozległ się głuchy dźwięk, gdy książka uderzyła o zmarznięty, twardy grunt.

Ktokolwiek to był, wypowiedział jej imię. To oznaczało, że ją znali. Jak za naciśnięciem guzika, miejsce strachu zajął gniew.

– Kto tam jest? – zawołała, ciężko dysząc. – Kto tam? Czemu po prostu nie wyjdziecie?

Otarła cieknący nos rękawem, w ogóle o to nie dbając.

– Brad? – ryknęła w kierunku dębu przed domem pani Finley.

– Mark? Wiem, że tam jesteście! – Tym razem odwróciła się do krzaków, rosnących wzdłuż białego ogrodzenia pana Anchora.

– Brad, jeśli to ty, to nie jest śmieszne, przysięgam na Boga, że nie jest! Gdziekolwiek jesteś... kimkolwiek jesteś! – Gdy krzyczała, pochyliła się pomimo wyczerpania i z zawałonej liśćmi trawy podniosła grubą, sękatą gałąź. Machnęła nią i zachwiała się. – Wyłaźcie już! – Znowu zamachała drągiem w powietrzu. – Wyłaźcie, żebyśmy mogła wziąć ten kij i wepchnąć wam w...

– Isobel!

Obróciła się i upuściła kij. Trzasnął o asfalt.

Mama wychyliła się przez drzwi. Jej sylwetkę okalał miękki blask lampy na ganku. Ze skrzyżowanymi ramionami, kuląc się z zimna, patrzyła przez przymrużone powieki na Isobel, a jej mina wyrażała coś między troską a oburzeniem.

*Niewidzialne widzialne*

W tym momencie Isobel chciała tylko uciec do mamy, wypłakać się i wszystko opowiedzieć. Chciała, żeby tata przesuwał ogródek, wezwał policję i naklonił ją do zamknięcia parku. W tym momencie, gdy mama na nią patrzyła, a z kończyn dziewczyny odpływała energia, wywołując poczucie zupełnego wyczerpania, stwierdziła, że nic jej nie obchodzą tarapaty, w które wpadnie. Może nawet zostać w domu do końca życia.

Gdy już miała się przewrócić na trawę i wszystko wyśpiewać, z boku domu rozległ się głos Danny'ego.

– Powiedz im, Iz! – krzyknął.

Poderwała głowę i zobaczyła, że zdyszany człapie w jej stronę. Za sobą ciągnął jeden z dużych plastikowych kubłów na śmieci, które stały na tylnym ganku. Isobel patrzyła, niemal nie zdając sobie sprawy ze swoich szeroko otwartych ust.

Danny wesoło pomachał mamie, która wyszła na werandę. Prychnął i powiedział:

– Znowu ten szop.

– Co wy robicie? – spytała matka. Wciąż krzyżowała ramiona. Przeszła z nogi na nogę, taksując ich oboje wzrokiem. – Może mi ktoś powie, co się tu dzieje.



Isobel patrzyła to na brata, to na matkę.

– Wszystko w porządku, mamó – zapewnił Danny i postawił wielki kubek tuż przy skrzynce na listy, wciąż dysząc i sapiąc. Poklepał pokrywę. – Wynosimy tylko śmieci. Pomyślałem, że lepiej zrobić to przed kolacją, żebyśmy nie musieli zajmować się tym rano.

– Isobel? – Głos mamy brzmiał tak, jakby dobywał się z wnętrza butelki.

Dziewczyna próbowała poruszać ustami, czując się niczym ryba, która wypadła z akwarium.

– Pomaga mi – odpowiedział za nią Danny.

Stwierdziła, że łatwiej jej kiwać głową, niż mówić.

– No i – ciągnął chłopak – ten głupi szop znowu wrócił. Cholerny szop! – wykrzyknął, a jego głos poniósł się echem po okolicy.

– Danny!

– Przepraszam, mamó. Przeklęty szop! – zawołał.

– Oboje – warknęła matka – do domu! Ale już! Możesz wynieść resztę śmieci po kolacji, Danny. Ty nie, Isobel. Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Wracaj do środka, zanim się rozchorujesz.

Gdy się odwróciła, by otworzyć im drzwi, Isobel poczuła, że brat szturcha ją łokciem. „Gdzie ty, do diabła, byłaś?” – spytał bezgłośnie, poruszając tylko ustami. Nie czekał jednak na odpowiedź. Skrzywił się, po czym, kręcąc głową, pospieszył do domu. Isobel podreptała w stronę drzwi i przejętej matki. Znowu pociągnęła nosem i otarła go rękawem.

– Mam nadzieję, że się nie biliście – powiedziała mama i nachyliła się, by strzepać kredowy pył z kolan córki. – Oboje jesteście już na to za duzi. Zwłaszcza ty, Isobel.

Wchodząc do środka, dziewczyna ostatni raz obejrzała się przez ramię i popatrzyła w ciemność.

Zauważyła, że na gałęzi dębu przed domem pani Finley przycupnął jeden czarny ptak, który przekręcił głowę. Wydawało jej się, że jego spojrzenie zatrzymało się właśnie na niej.

Na kolację jedli indyka i tłuczone ziemniaki, ale Isobel zdołała wmusić w siebie ledwie kilka kęsów. Tata raz po raz pytał, czy dobrze się czuje, a mama co trzy sekundy przytykała jej dłoń do czoła, więc dziewczyna i tak nie mogła się skupić na jedzeniu. W końcu przeprosiła i poszła wziąć prysznic.

Ciepła woda i samotność miały w sobie coś, co ułatwiało myślenie.

Czuła, jak napięcie zsuwa się z jej ramion i wirując, znika w odpływie wraz z brudem i potem. Jej mięśnie się odprężyły i poczuła się bezpieczna, zamknięta w małej, ciepłej przestrzeni.

Zakręciła wodę i wyszła spod prysznic, po czym zawinęła ręcznik na włosach i włożyła puchaty różowy szlafrok, który dostała od mamy pod choinkę.

Chyba powinna podziękować Danny'emu za to, że nie wpadła w tarapaty. Pomysł z szopem był dość sprytny, bo nocami faktycznie przychodziło jakieś zwierzę i przewracało kubły. Oczywiście, wiedziała, że powód, dla którego przyszedł jej z pomocą, nie miał nic wspólnego z braterskim poczuciem solidarności, chodziło jedynie o pakt, który zawarli. Gdyby wiosną nie dostała samochodu, on nie zyskałby szofera.

Isobel pozbierała swoje brudne, poplamione potem ubrania. Wyszła z zaparowanej, ciepłej łazienki i opatuliła się szlafrokiem, pokonując zimnym korytarzem trzymetrowy dystans do swojego pokoju. Zamknęła drzwi, rozejrzała się i stwierdziła, że Danny nie zadał sobie trudu, by zaciągnąć firanki po jej wyjściu, tak jak mu poleciła. Mruknęła z niezadowoleniem, wrzuciła ubrania do kosza na brudną odzież i podeszła do okna, by je zasłonić. Przystanęła i wyjrzała w noc. Ten ptak. Ciągle tam był i siedział na tej samej gałęzi sękatego dębu po drugiej stronie ulicy. Zdawał się patrzeć prosto na nią.

Zasunęła roletę i zaciągnęła firanki.

Siedząc na skraju łóżka, odwinęła z włosów turban z ręcznika i poklepała, by wchłonął więcej wilgoci. Odłożyła go na bok i wzięła z nocnej szafki suszarkę w kolorze metalicznej zieleni (którą rzad-



ko wylączyła z kontaktu albo chowała) i włączyła ją na najniższym biegu. Przechyliła głowę i niedbale machała suszarką przy włosach. Wolną ręką wzięła komórkę ze stolika przy łóżku, gdzie ją zostawiła, by się ładowała. Otworzyła i sprawdziła nicodebrane połączenia. Zero. Skontrolowała esemesy. Też zero.

Westchnęła. W sumie, w zaistniałej sytuacji, to jej nie zdziwiło.

Popatrzyła na ścianę i jej wzrok przestał się na czymkolwiek skupiać. Miło było czuć ciepłe powietrze na skórze głowy, które w połączeniu z niskim szumem suszarki przyprawiało ją o senność. Nie przypuszczała, że zdoła tej nocy zasnąć, lecz teraz, po powrocie do domu, w otoczeniu normalności, wspomnienie koszmaru zaczęło blednąć, jakby dotyczyło czegoś, co wydarzyło się przed miesiącem, a nie przed godziną.

Już kilkanaście razy odtwarzała bieg w myślach. Gdyby nie była taka przerażona, może by zobaczyła, kto to był. Ale nie chciała się zatrzymać i poczekać, aż ktoś się pojawi. Próbowwała oswoić się z myślą, która zdawała się rozsądna, gdy wymachiwała kijem – że gonił ją ktoś, kto ją znał. A jeśli tak, najpewniej chodziło tylko o idiotyczny dowcip, prawda?

Zmarszczyła brwi, wiedząc, że to nie ma większego sensu. Tak naprawdę nic tu nie miało sensu. Wydawało się nieprawdopodobne, by Brad lub ktoś z pozostałych mógł zrobić coś takiego. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Poza tym Brad śledziłby ją do księgarni, a potem zaczekał na zewnątrz. Choć mogła sobie wyobrazić, że ją szpieguje, coś nie pasowało jej w pomysle, że mógłby gonić ją w parku o zmierzchu. Był zbyt bezpośredni na takie akcje. Już nie mówiąc o tym, że zbyt dumny.

Nie, nawet jeśli był gdzieś w pobliżu, nawet jeśli ją szpiegował, znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie próbowałby jej tak przerazić. Właściwie, gdyby za nią szedł, to niezależnie od tego, czy ze sobą zerwali, z pewnością nie pozwoliliby jej iść samej przez park. Było to głupie posunięcie – teraz już to rozumiała. Brad za-

wsze miał do niej pretensje, gdy popełniała głupstwa pod wpływem impulsu.

Isobel przygryzła wargi. Jej dłoń zacisnęła się na telefonie, gdy walczyła z nagłym pragnieniem, by wybrać jego numer. Chciała do niego zadzwonić, opowiedzieć, co się stało.

Wiedziała jednak, co by powiedział. Najpierw byłby zadowolony, że do niego zatelefonowała, że uległa już po jednym dniu. Potem zadawałby rozmaite rozsądnie brzmiące pytania. W końcu powiedziałby, że to sprawka Varena, i zacząłby swoją śpiewkę pod hasłem: „A nie mówiłem?”. A potem... co potem? Dalszy ciąg tego, do czego, jak już pokazał, jest zdolny?

Isobel skrzywiła się na tę myśl. Wspomnienie Brada atakującego Varena miało w sobie coś, na co wzdrygało się całe jej ciało, jakby ktoś stłukł wazę z dynastii Ming tylko po to, by udowodnić, że potrafi.

Z drugiej strony zastanawiała się – co z Varenem?

Czy mógł ją śledzić po tym, jak wyszła z księgarni? Nic prostszego. Tylko po co miałby to robić? Żeby zrobić jej kawał? Udowodnić ją-  
kąś chorą tezę? Przecież słyszała głosy na górze, gdy wróciła po książkę Poego. Czy to planował? Zemsta za wydarzenia z lodziarni? Było w nim tyle mroku, że nie miała pewności, czy go nie podejrzewać.

Zdawało jej się, że ponad szumem suszarki słyszy ciche pukanie do drzwi.

Wyłączyła suszarkę. Zerknęła na drzwi, po czym zebrała wciąż wilgotne włosy jedną ręką i powiedziała:

– Proszę.

Drzwi pozostały zamknięte. Patrzyła na nie i czekała.

– Mama? – odezwała się. – Tata?

Nie było odpowiedzi.

Odłożyła telefon, suszarkę zostawiła na łóżku i podeszła, by je otworzyć. Wyrzała na korytarz i usłyszała dźwięki z telewizora na dole, odległy ryk tłumu, podczas gdy tata wołał z entuzjazmem: „Da-



waj, dawaj!”. Światło w łazience było zgaszone i wciąż czuła woń żelu do mycia o zapachu kwiatów wiśni, którego użyła. Drzwi do pokoju Danny’ego na końcu korytarza były otwarte na oścież i ze środka migotało błękitno-białe światło, a każdemu rozbłyskowi towarzyszył udręczony krzyk zombie. Poza tym nie było nic.

Zdezorientowana Isobel zamknęła drzwi, a następnie podeszła do komody, otworzyła górną szufladę i wyszukała swoje ulubione krótkie spodnie od piżamy w różowo-czarne paski, a do tego dopasowaną koszulkę.

Ubierała się, rzuciwszy szlafrok na podłogę, ale przerwała, naciągawszy koszulkę przez głowę, zdawało jej się bowiem, że znowu słyszy stukanie, tym razem z tyłu.

Podniosła wzrok. Jej spojrzenie ominęło własne odbicie w lustrze toaletki i zatrzymało się na oknie. Zaczekała i dźwięk rozległ się znowu. Ciche, delikatne stukanie. Tym razem towarzyszył mu szelest, jakby ktoś pocierał szorstką tkaniną drewno.

Patrzyła na okno, nadstawiając uszu.

Szmer dobiegł ponownie, tym razem głośniejszy. Za firankami, pod wąziutką szczeliną na dole rolety, coś się poruszyło.

Serce zabiło jej mocniej.

Przez chwilę rozważała, czy nie podejść do drzwi, by zawołać tatę.

Po chwili skrobanie stało się jednostajne. Miała też wrażenie, że z miejsca, w którym stoi, dostrzega skrawek czarnego materiału, przypominający rękaw koszulki, jakby ktoś próbował złapać się parapu.

Szybkim ruchem Isobel sięgnęła do komody i wzięła nagrodę dla „skaczącej numer jeden”, którą zdobyła podczas pierwszego roku w szkole. Na komodzie został ślad – krąg wypolerowanego drewna, odcinający się od warstwy kurzu. Ścisnęła posążek czirliderki z fałszywego złota i ujęła ją do góry nogami, wymachując granitową podstawką niczym pałką.

Każdy krok wtapiał się w miękkie dywan, gdy podchodziła do okna.

Z zewnątrz dobiegało przeciągłe, szeleszczące „szirrr-szrrrruuuf”. Gdy zmrużyła powieki, zdawało jej się, że widzi coś na kształt długich, szczupłych palców w czarnej rękawiczce, próbujących sięgnąć pod parapet.

Isobel szarpnęła roletę, która z trzaskiem strzeliła w górę. Coś zaskrzeczało. Czerń rozlała się po jej oknie niczym rozchlapany atrament. Cofnęła się z krzykiem. Cisnęła statuetką w stronę okna, mijając szybę o centymetry i robiąc wgłębienie w ścianie.

Wachlarz czarnych piór uderzył gniewnie w szybę, po czym nastąpiło stukanie ostrego dzioba i niskie, chrapliwe krakanie.

— Głupi ptak! — wykrzyknęła dziewczyna, a serce zabiło jej tak mocno, że czuła puls w skroniach.

Dźwignęła się, czując palący ból na udzie, które otarło się o dywan. Zignorowała go i skoczyła do łóżka, by chwycić dwie różowe poduszeczki. Rzuciła nimi w okno. Olbrzymi ptak potężnie machnął czarnymi skrzydłami. Zaskrzeczał, gdy pierwsza poduszka trafiła w szybę, a następnie, po drugiej, zerwał się i odfrunął w ciemność.

Isobel z powrotem zaciągnęła roletę i zasunęła firanki.

Wróciła do łóżka. Zmagając się z dreszczami, wzięła po drodze szlafrok i narzuciła go na piżamę. Zepchnęła suszarkę z łóżka na podłogę, chwytając komórkę.

Chodziła po pokoju. Wyświetlacz telefonu pokazywał godzinę 20:52 cyframi w kolorze elektrycznego błękitu. Dochodzi dziewięta, pomyślała. Trudno, będzie musiał to przeżyć.

Wstukała numer. Rozległ się jeden sygnał... drugi... i trzeci. Spróbuje jeszcze raz...

— Halo?

Zamrugła, zaskoczona. Nie spodziewała się, że to on odbierze.

— Hej — powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał rzeczowo.

— Hej — odrzekł, a w jego głosie słyszała niewypowiedziane pytanie: „O prosta śmiertelniczko, czemuś przywołała mnie z mego grobu?”.

No dobra, w takim razie postanowiła przejść do rzeczy.

– Słuchaj – powiedziała – muszę z tobą pogadać. Nie było cię dzisiaj wieczorem w parku, prawda? – Może zabrzmiało to bardziej oskarżycielsko, niż chciała. Skrzywiła się, ale postanowiła poczekać i zobaczyć, jak zareaguje.

Z drugiej strony panowała cisza. Czy on w ogóle oddychał? Jezu. Pozwoliła, by milczenie trwało, aż poczuła się nieswojo.

– Jeśli to byłeś ty – powiedziała, przerywając ciszę – to uważam, że to nie było śmieszne, ale sądzę, że powinieneś się po prostu przyznać. – No i już. Powiedziała to. Chyba lepiej upewnić się, że to nie on, zanim zacznie nawijać o niewidzialnych prześladowcach.

Znowu przez dłuższą chwilę słuchała cichego szumu w słuchawce, zanim w końcu zaczerpnął powietrza, by przemówić.

– Nie wiem, jaki kwas wrzuciłaś po wpół do siódmej – powiedział – ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Park – odparła, choć z mniejszą pewnością. Zaczynała myśleć, że można było podejść do tematu w lepszy sposób. Nie chciała powiedzieć, że to był on. Chciała tylko uzyskać odpowiedź.

– Co z parkiem? – spytał niecierpliwym tonem.

– Ktoś mnie gonił – wypaliła.

– I sądzisz, że to ja?

Ojoj. Wolną ręką objęła klatkę piersiową, łapiąc się za drugi łokieć. Z pochyloną głową znowu zaczęła chodzić po pokoju.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale zasugerowałaś.

Skuliła się, nie mogąc znieść tego, że własne słowa obracają się przeciwko niej.

– Ja...

– Przede wszystkim – przerwał, nie pozwalając jej skończyć – jeśli byłaś wieczorem sama w parku, powinnaś zdawać sobie sprawę, że to bardzo głupie.

– Tak, dzięki.



– Powiedzmy, że nie ma za co. Po drugie... – ciągnął – naprawdę musiałaś coś wziąć, skoro zakładasz, że mógłbym za tobą iść, a co dopiero cię gonić. Przykro mi, ale moja egzystencja nie jest aż taka smutna.

Oj!

– Dobra, słuchaj. Przepraszam – powiedziała, kręcąc głową. – Nie chciałam cię oskarżać. Nie po to zadzwoniłam.

– Ale mnie oskarżyłaś. – Jego ton stał się protekcyjny. – A po co zadzwoniłaś? Bo nie chodziło o pogawędkę, mam nadzieję.

No tak, wszystko pędziło prosto do piekła w wielkiej, płonącej rakiecie.

– Wiesz – mówił dalej, z coraz większym jadem w głosie – wbrew temu, co wszyscy ci zawsze mówili, świat nie kręci się wokół ciebie.

– Słuchaj – warknęła – przeprosiłam! Nie musisz zachowywać się jak osioł.

– Mówię tylko to, czego nikt inny ci nie powie.

– Tak? – odrzekła, podnosząc głos. Skoro chciał wytoczyć ciężką artylerię, nie miała nic przeciwko temu, bo też dysponowała działami. Śmiało. – Czemu nie mówisz za siebie? – syknęła. – To znaczy... czy jest coś, co krzyczy: „Błagam o uwagę” bardziej, niż ubieranie się jak kostucha i zapisywanie strasznych tekstów w jakimś brulionie?

– Proszę. – Usłyszała, jak parsknął ponad chrobotliwym szumem. Zrozumiała, że widocznie używa telefonu bezprzewodowego, i zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ma komórkę. – Nie muszę się tłumaczyć, zwłaszcza tobie. Pomijając fakt, że byś nie zrozumiała, to...

– Hej! – wtrąciła. Miała już dosyć tego wymądrzania się i wywyższania. Jeśli ktoś uważał się tu za lepszego, to właśnie on. – To, że wychodzę na słońce, lubię swoje jasne włosy i noszę strój czirliderki, jeszcze nie oznacza, że jestem głupia. Ale mnie to wkurza.

– To, że ubieram się na czarno i prowadzę prywatny dziennik, nie oznacza, że wysadzę szkołę w powietrze. Albo będę terroryzował bezmyślne czirliderki, skoro już o tym mowa.



– Jesteś złośliwy.

– Akurat cię to obchodzi.

– A jeśli tak?

Isobel natychmiast zasłoniła usta. Poczwała pod dłonią, że jej policzki robią się gorące. Skąd jej to przyszło do głowy?

– Nie obchodzi cię – zapewnił. – Dbasz tylko o swoje puchate, różowe ego.

– To nieprawda – odparła i podeszła do łóżka, by znowu na nim usiąść, po czym zmarszczyła brwi na widok rąbka swojego puchatego różowego szlafroka. Zamknęła oczy i przycisnęła opuszki palców do czoła. Kiedy wszystko poszło nie tak? Czy na stryszku się nie dogadywali? A w lodziarni? Czy to się nie liczyło? – Nie wiedziałam, jak inaczej ci to powiedzieć, i tyle.

– Co mi powiedzieć?

– O tym parku – westchnęła, przeciągając palcami po włosach. – Po prostu... Nieważne. Przepraszam, dobra? Tak naprawdę nie sądziłam, że to ty. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że zwariowałam czy coś.

– Miałem pomyśleć, że zwariowałaś, bo powiedziałaś, że ktoś gonit cię przez park i powinienem się przyznać? Nie. Że masz manię wielkości, to prędeż.

– Pomyślałam tylko, że może to twój pomysł na dowcip. Nie wiedziałam ich, kimkolwiek byli – powiedziała głosem słabym i cichym, bo jej pewność siebie szczyła niczym wędnąca roślina.

– No, jak porywająco by to nie zabrzmiało – przemówił – byłem w księgarni jeszcze godzinę po twoim wyjściu. Przy okazji powinnaś też wiedzieć, że w zeszłym tygodniu oddałem swój płaszcz niewidzialności do lombardu. Możesz tam zajrzeć i sprawdzić, czy ktoś go nie kupił.

– Ja po prostu – zaczęła łagodnie – po prostu potrzebowałam to komuś powiedzieć.

Na drugim końcu linii znowu zapadła cisza. Usłyszała trzaski, czyli się poruszał. W końcu ściszone głosem zapytał:

– Jesteś pewna, że ci się nie zdawało? Wiesz, czytałaś tuż przed wyjściem...

Miał ją za przedszkolaka?

– Umiem odróżnić fikcję od rzeczywistości. Poza tym słyszałam głosy i trzask bramy za sobą, jak już wyszłam z parku.

– A oprócz oczywistego przypuszczenia, że to byłem ja, nie chodzi ci do głowy nikt inny? – Jego głos ociekał sarkazmem i nie musiała zgadywać, kogo ma na myśli.

– Nie zrobiłby tego – stwierdziła.

– Widzę, że wielu rzeczy, twoim zdaniem, by nie zrobił.

Nie odpowiedziała.

– W ogóle nie widziałaś, kto to był? – zapytał.

– Nie, właśnie w tym rzecz...

– Czekał – powiedział.

Umilkła i nasłuchiwała. Znowu słyszała, że chodzi, potem otworzyły się drzwi i rozległ się męski głos.

– Varen, już dziewiąta – przemówił głos. – Nie ma telefonowania po dziewiątej. Wiesz o tym.

Co takiego? Miał godzinę policyjną na telefon? Koszmar.

– Kto to jest? Z kim rozmawiasz? – spytał głos.

Isobel usłyszała, że Varen bąknął coś w odpowiedzi, ale nie dotarło do niej, co takiego, bo wszystko brzmiało tak, jakby telefon owinięto tkaniną.

– No, pora się pożegnać – polecił mężczyzna. – Powiedz, że porozmawiacie jutro.

Ze słuchawki znowu dobiegło szuranie, a potem głos Varena.

– Muszę kończyć – oznajmił.

– Dobra... Eee... widzimy się jutro w szkole?

Cisza.

– Halo?

– Tak – odparł. – Pewnie.

*Pod obserwacją*

Isobel siedziała przy kuchennym stole, patrząc na płatki pływające w jej śniadaniowej miseczce. Czuła się zupełnie jak jednodniowa padlina na drodze – rozmiękła i rozplaszczona. Była też obolała i ospała. Zupełnie jakby magiczne króliczki odwiedziły ją w ciągu całych czterech godzin snu i wypchały jej głowę mokrą watą. Wszystkie dźwięki – brzęk naczyń w zlewozmywaku, szuranie nóg w przedpokoju, szelest gazety ojca – brzmiały tak, jakby dochodziły z głębi ziemi.

Podniosła wzrok znad stołu, żując, i popatrzyła w głąb korytarza, w miejsce, gdzie plecak Danny'ego leżał obok stojaka na parasole. Zaczęła się zastanawiać, co też zrobiła ze swoim. I wtedy sobie przypomniała.

Upuściła łyżkę, która brzęknęła głośno o miseczkę.

Zerwała się z krzesła.

– Isobel? – spytał tata z drugiego końca stołu. Nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. Pognała korytarzem, po czym wypadła za drzwi.

Poranne powietrze uderzyło ją chłodem i wilgoć zalała jej płuca, ponownie budząc wczorajsze dolegliwości. Głęboki ból sączył się z kości i przenikał mięśnie, gdy zmuszała się do ruchu. Mokra trawa smagała brzegi nogawek jej dżinsów.

Oj, proszę, niech nic ci się nie stanie. Proszę!



W trawie. Ciagle tu był. Dzięki Bogu.

Podbiegła i przykucnęła przy plecaku. Pokrywała go rosa i nylon był wilgotny, ale nie przemoczony. Niespokojnymi palcami odsunęła suwak. Chwyliła *Dzieła zebrane* Edgara Allena Poego i ostrożnie wyciągnęła książkę. Obróciła ją w rękach, przeciągnęła palcem po grzbiecie. Sprawdziła strony. Wydawały się suche. I całe. Odetchnęła z ulgą.

Właśnie wtedy zauważyła połyskującą breję z przodu plecaka, tuż pod swoimi haftowanymi inicjałami. Jej oczy zwęziły się, podążając za lśniącem śladem, prowadzącym do srebrnego zegarka na łańcuszku.

— O nie — jęknęła, podnosząc go opuszkami palców. Szkiełko pękło pośrodku, dokładnie nad tarczą w kształcie serduszka, i ze środka wyciekła ozdobna różowa ciecz z brokatem na tarczę i na materiał, niczym flaki wróżki. Widocznie zbiło się, kiedy wieczorem rzuciła plecak, a ciężar książki zmiażdżył zegarek.

Odpięła go i wzięła do ręki.

Wstała i wolną ręką włożyła plecak na ramię, patrząc przy tym na zniszczoną błyskotkę na dłoni. Powoli podreptała z powrotem do domu, rzuciła plecak przy drzwiach wejściowych, po czym poszła do kuchni, gdzie znowu opadła na krzesło.

— Co tam? — spytał tata, nawet nie zadając sobie trudu, by odłożyć gazetę.

— Mój zegarek. Zepsuł się.

— Ojoj — powiedział. — Przykro mi, kochanie.

— Tak — mruknęła, odkładając zegarek na podkładkę pod talerz. Wzięła łyżkę i zanurzyła w mleku z płatkami.

— No — odezwał się Danny ze swojego końca stołu, wylewając połowę mleka z płatkami Lucky Charms z powrotem do miseczki.

— Następnym razem będziesz miała wymówkę, jak się spóźnisz.

Isobel nie miała siły, żeby się odgryźć. I tak szykował się ciężki dzień. Tego popołudnia miała trening, i to z połową ekipy. A jakby



tego było mało, miała pewność, że nie uda jej się uniknąć przynajmniej jednego spotkania z Bradem.

O nie, pomyślała, podnosząc wzrok. Brad. Jak wróci z treningu do domu?

Wbiła spojrzenie w stół, przykładając rękę do czoła. Miała ochotę się poddać. Czy mogła to zrobić? Gdzie znajdował się przycisk do wyjęcia płyty z życiem? Nie musiałyby tak to wyglądać, gdyby rodzice pozwolili jej zdać egzamin na prawo jazdy, zamiast czekać, aż wiosną skończy siedemnaście lat. Niestety, dłuższe oczekiwanie stanowiło element umowy, którą zawarli, gdy pierwszy raz poprosiła ich o samochód.

– Tato?

– Mmm?

– Możesz odebrać mnie dziś z treningu? Około wpół do piątej?

– Chyba zwykle Brad cię odwozi?

– On... jego samochód jest w warsztacie.

– O? Myślałem, że nieźle zna się na samochodach.

Oj, daj spokój, tato.

– No ale coś się stało. Możesz przyjechać?

– Uhm – odparł – chyba mogę, po drodze z pracy. Czy Brada też trzeba podwieźć?

– Nie.

To załatwiło sprawę i ojciec odłożył gazetę. Zmierzył ją wzrokiem, po czym spytał:

– Czy między wami wszystko w porządku?

– Tak, tato – odrzekła, garbiąc się. – Tak.

– Na pewno dobrze się czujesz, Izzy? Nie wyglądasz najlepiej.

– Setny raz powtarzam, że tak.

Nie licząc faktu, że w jeden weekend straciła wszystkich przyjaciół, była ścigana przez widmowych prześladowców i czuła się jak żywa pacynka ze skarpetki, wszystko było wprost znakomicie. Dzięki, że spytałeś, tato.

– Hmm – mruknął, znowu rozwijając gazetę. Głośno ją kartkował, po czym złożył z powrotem. – Dziwnie się ostatnio zachowujesz.

– Hormony – mruknęła.

Danny trzasnął łyżką o stół.

– Ohyda! – wykrzyknął.

Tata odpowiedział kolejnym krótkim „mmm”.

W tym momencie weszła mama.

– Jesteście gotowi do wyjścia?

Isobel, która tylko czekała na pretekst, by wstać, wzięła zepsuty zegarek. Z oparcia krzesła ściągnęła swoją brązową sztruksową kurtkę i ruszyła do drzwi. Po drodze złapała plecak.

– Jeszcze wcześniej. Kogo podwieźć na przystanek? – spytała mama. – Chyba mamy nawet czas na kawę z okienka.

– Mnie – mruknęła spragniona kawy Isobel, a Danny pokręcił głową i jęknął.

Przy swojej szafce Isobel odgarnęła za ucho kosmyk nie do końca wczoraj wysuszonych i zagniecionych od poduszki włosów, po czym nachyliła się po segregator. Obok usłyszała szelest kartek, a potem ciężkie dudnienie książek. Obejrzała się i zobaczyła tę dziwną chudą dziewczynę, która miała szafkę obok, przetrząsającą gąszcz papierów z brzękiem bransoletek.

Wąta, o długiej szyi, przypominała Isobel gęś. Zawsze ubierała się w długie i zwiewne kwieciste spódnice oraz czarne trykotowe spodnie, a do tego dopasowane swetry, które wkładała na ciasne bluzki. Nosila też okulary w owalnych oprawkach i miała proste, kasztanowe włosy, tak długie, że mogłaby na nich usiąść. Zwykle przepasywała je bandaną albo związywała w koński ogon na karku.

Nie należała do osób, z którymi Isobel normalnie by rozmawiała, ale z jakiegoś powodu w tym momencie uderzyło ją, że to dość dziwne: widywały się codziennie i nigdy nie zamieniły ani słowa.

Czy sąsiadujące szafki nie czyniły z nich przynajmniej znajomych? Była to jedna z tych sytuacji, w których człowiek skazany jest na towarzystwo kogoś, z kim normalnie by się nie zadawał.

Tak jak w przypadku przygotowywania z kimś projektu.

– Hej – odezwała się Isobel, zanim zdążyła ugryźć się w język. – Czego szukasz? Zgubiłaś coś?

– Ona mówi – powiedziała dziewczyna. – Kto by pomyślał. – Obiema rękami wepchnęła stertę papierów do szafki, po czym wstała i odchyliła się, używając nogi do ich dopchnięcia. – I to ona, która wszystko upuszcza, pyta mnie, czy coś zgubiłam. Nie, nic nie zgubiłam. Może z wyjątkiem zdolności do dziwienia się czemukolwiek.

Isobel mimo woli gapiła się, jak dziewczyna chwyta boki swojej szafki, zmienia nogę, a następnie znowu udeptuje papiery. Miała jakiś nowojorski akcent, krótki, trochę ostro brzmiący. Zupełnie nie tego się spodziewała. Nagle tamta na nią popatrzyła.

– Co zrobiłaś z włosami?

Isobel poczuła, że opada jej szczeka i do ust wpada podmuch powietrza. Pięknie. Dziewczyna najbardziej na bakier z modą w całej szkole zauważyła jej kłopoty z włosami.

– Spałam z mokrymi – bąknęła. Postawiła plecak i ukucnęła, by w swojej awaryjnej kosmetyczce poszukać gumki do włosów.

To tyle, jeśli chodzi o zawieranie znajomości.

– Wyglądają nieźle – stwierdziła tamta, zamykając drzwiczki swojej szafki. – Wydajesz się trochę mniej nadęta. – Z tymi słowami odwróciła się i odeszła z szumem włosów i spódnicy.

No dobra, pomyślała Isobel. Mimo całej tej sytuacji nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Wzięła gumkę i założyła ją na nadgarstek. Może dzisiejszy dzień nie będzie jednak taki zły.

I wtedy ich zobaczyła.

Brada. I Nikki. Szli korytarzem razem, w jej stronę, trzymając się za ręce.

O mój Boże.



Szybko odwróciła wzrok. Zatrzasnęła szafkę i chwilę zmagala się z zamkiem szyfrowym, ale poradziła sobie, zanim znaleźli się na tyle blisko, by ją zobaczyć. Przekręciła gałkę i zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie, a wtedy oczywiście okazało się, że Brad patrzy prosto na nią, trzymając dłoń Nikki i splatając z nią palce.

No i Nikki. Patrzcie ją. Uśmiechała się do wszystkiego dookoła, jakby właśnie zdobyła tytuł miss Ameryki czy coś.

Proszę bardzo, mogli mieć siebie nawzajem.

Odwróciła się, by pójść do klasy inną drogą. Nie zamierzała dać im satysfakcji publicznego przedstawienia. Wiedziała, że Brad tego właśnie chce.

Gdy jednak weszła na schody i znalazła się poza zasięgiem ich wzroku, poczuła, że z jej dumy uchodzi powietrze. Ogarnęła ją fala emocji, których zupełnie się nie spodziewała. Była wściekła – naprawdę wściekła – ale zarazem zdezorientowana. Nie spodziewała się, że zobaczy Brada dosłownie zespawanego z Nikki zaledwie dwa dni po tym, jak z nim zerwała.

Ale może powinna była.



*Wszystko to, co widzę*

I sobel nie miała pewności, czemu wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz, gdy zbliżała się do początku kolejki po obiad, pytanie stało się oczywiste. Gdzie miała usiąść?

Nie chciała, żeby wszyscy widzieli, jak miota się po stołówce, zwłaszcza że ekipa będzie ją obserwować. Bez wątpienia już rozgłosili jej upadek.

Ruszyła naprzód, wychodząc z kolejki i robiąc powoli kilka kroków do sali, jakby starała się bardzo uważać, by nie rozlać lemoniady. Widziała ich kątem oka. Siedzieli przy tym samym stoliku, co zwykle. Chociaż nie patrzyła prosto na nich, wiedziała, że się gapią i czekają, aż spróbuje usiąść z nimi – albo gdziekolwiek.

Omiotła pomieszczenie wzrokiem.

Jak zwykle, wszyscy siedzieli w swoich grupach.

Maniacy komputerowi przy przeciwległej ścianie. Hipisi w kącie, niektórzy na podłodze. Sportowcy przy stolikach z widokiem na boisko. A tam, w rogu najdalszym od okien, niby stado ciemnych, egzotycznych ptaków, przesiadywali goci i świry.

Wśród nich dojrzała Varena.

Zanim sama się zorientowała, co właściwie robią jej nogi, poniosły ją w tamtą stronę. Raz obrawszy kurs, minęła szansę, jaką stwarzał

pusty stolik, i ruszyła prosto do czarnego zgromadzenia, usiłując nie zważać na fakt, że czuje się niczym jagnię prowadzone na rzeź.

Niektórzy popatrzyli w jej stronę, jakby mieli jakiś sonar czy radar. Podeszła bliżej i usłyszała szmer uwag. Potem, jak na budzącym dreszcz obrazie, gdzie wszystkie postacie zdają się patrzeć na widza, odwrócili głowy. Przez wszystkie te okolone czernią konturówek oczy, które się w nią wbiły, omal nie zboczyła z obranej drogi.

Teraz już wszyscy się na nią gapili, cała stołówka, docierało to do niej ze wszystkich stron niczym ledwie wyczuwalna wibracja. Zupełnie jakby oglądali ostatni odcinek jakiegoś ważnego serialu dramatycznego i czekali, by się dowiedzieć, kto zginie.

Wśród tych lodowatych spojrzeń szukała tylko oczu Varena. Czemu jednak zdawało się, że popatrzył na nią ostatni?

– Czego chcesz, Barbie? – zapytała dziewczyna siedząca obok niego.

Zacisnęła usta. Słyszała dziewczynę, słowa do niej dotarły, ale z jakiegoś powodu nie mogła odpowiedzieć. Za bardzo czekała na reakcję Varena. Żeby coś powiedział. Żeby interweniował.

Mogła tylko nie odrywać od niego oczu i tak stać, czekając – na obronę swojego imienia i na miejsce przy stoliku.

– Hej! – odezwała się znowu tamta i zamachała między nimi dłońią, aż zakłęcie przysło.

Varen się odwrócił. Oszołomiona Isobel popatrzyła na dziewczynę i od razu poznała, że to ta, która podała Varenowi czerwoną kopertę, ta, której zdjęcie trzymał w portfelu. Lacy.

– Nie wiem, czy zablądziłaś, czy co – powiedziała Lacy głosem głębokim, miękkim i zblazowanym. – A może za trudno ci zapamiętać, przy którym stoliku masz miejsce? – Wśród pozostałych rozległ się chichot. – Ale nie możesz siedzieć tutaj.

Isobel znowu zwróciła spojrzenie na Varena. Powiedz im, pomyślała. Czemu po prostu im nie powiesz?

Siedział i patrzył przed siebie z zaciśniętymi szczękami.

Niczym elektryczny wstrząs przeszła ją fala lęku, upokorzenia, rozdrażnienia i gniewu. Wszystko to przepłynęło przez jej grzbiet, śmiercionośna mieszanka, która wypełniała ją od wewnątrz.

Z każdą mijającą sekundą coraz mocniej ścisnęło ją w żołądku. Czuli, że wszyscy na nią patrzą, i twarz jej płonęła.

Więc tak to będzie wyglądało?

– Nie wierzę ci – powiedziała, a jej głos był ledwie szeptem.

Mówiła jednak do niego. Prosto do niego. Dlaczego nie chciał na nią spojrzeć?

Pozostali poszli za jego przykładem. Odwracali się do swoich talerzy z brzękiem łańcuchów i szelestem czarnych koronek. Na umalowanych ustach zagościły nieliczne mroczne uśmiechy. Możesz odejść, zdawały się mówić.

Nie, pomyślała, nie będzie tak łatwo.

– Myślicie, że jesteście inni. – Głos jej się łamał i była na siebie zła, że brzmi tak słabo. – Myślicie, że jesteście tacy inni – powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem. – Robicie wszystko, żeby być inni – wypaliła.

Cisza przy stoliku i w całej stołówce powróciła w jednej chwili.

– Ale wcale nie jesteście – oznajmiła w końcu. – Jesteście tacy sami jak wszyscy.

Odwróciła się i odeszła. Rzuciła tacę na pusty stolik obok. Wylądowała na blacie z głośnym klangiem. Nie patrząc na nikogo, Isobel wymaszerowała przez drzwi stołówki, otwartą szeroko obiema rękami.

Znalazła się sama na korytarzu i mocno przygryzła wewnętrzną stronę dolnej wargi, na tyle mocno, by poczuć metaliczny smak krwi. Uderzyła pięścią w drzwiczki szafki.

Głupia.

Głupia, głupia, głupia!

Szła dalej, prosto do najbliższej toalety dla dziewcząt.

Przepchnęła się przez drzwi i rękawem swetra dotknęła powiek, nienawidząc łez, które go zmoczyły. Będzie musiała wyprać go ręcz-



nie w płynie Woolite, by usunąć plamy z rozmazanego tuszu. Co najgorsze, on mógł się domyślić, że płakała.

Złapała kosz na śmieci, wypełniony papierowymi ręcznikami, po czym cisnęła nim ze wszystkich sił. Przewrócił się na bok, a metal brzęknął o kafelki na podłodze.

Naprawdę miała to gdzieś. Sytuacja była kłopotliwa, nic więcej. Upokarzająca. Ale z drugiej strony czego się spodziewała? Nie powinna być zaskoczona ich zachowaniem. Nikogo z nich. Ani Brada, ani Nikki... a już zwłaszcza jego.

Nie obchodzi mnie to. Powtarzała to sobie w myślach raz za razem, krążąc po toalecie i depcząc mokre papierowe ręczniki.

Zależało mu tylko na projekcie

Liczył się dla niego jedynie stopień.

Ona nie była ważna.

– Nie obchodzi mnie to! – krzyknęła do kosza i kopnęła go. Brzęk odbił się echem od ścian, a pojemnik wypluł na podłogę kolejne pomięte papierowe ręczniki.

Była głupia, bo krzyczała. Głupia, bo płakała, a przede wszystkim głupia, bo uwierzyła, że mogą zostać przyjaciółmi.

Wzięła garść papierowych ręczników z metalowego podajnika.

Nie wróci na korytarz z rozmazanym makijażem i opuchniętymi, zaczerwienionymi oczami.

Wzięła oddech, odwróciła się do umywalki i spojrzała na swoje odbicie.

Suchy skrzek ugrzązł jej w gardle.

Stał w drzwiach kabiny za nią. Mężczyzna ubrany na czarno. Patrzył na nią. Wyświechtana fedora ocieniała jego rysy, biały szal zakrywał usta i nos, zasłaniając twarz.

Otworzyła usta, żeby... żeby co? Krzyknąć? Coś powiedzieć?

Nagle odbite w lustrze drzwi łazienki otworzyły się. Chuda dziewczyna, ta od sąsiedniej szafki, wsunęła głowę do środka. Isobel się obróciła.



– To się nazywa puszczenie kantem – powiedziała przybyła. – Wszystko w porządku?

Isobel patrzyła na puste miejsce, w którym stał mężczyzna. Ręką ścisnęła zimną krawędź umywalki za sobą. Przeniósła wzrok na dziewczynę, a potem, szybko odwracając głowę, znowu spojrzała w lustro. Zobaczyła w nim własną, pozbawioną koloru twarz oraz kabinę za sobą. Pustą.

Jej wargi układały się w słowa.

– Czy ty... – Pytanie uwięzło jej w gardle.

– Ja... – zaczęła dziewczyna. – No, pomyślałam, że może lepiej... no, nie wiem... sprawdzę, co u ciebie?

– Czy przed chwilą widziałas... – Isobel odwróciła się, wskazując kabinę.

Tamta wzruszyła ramionami.

– No... – Rzuciła krótkie spojrzenie przez kościste ramię na korytarz. – Przykre, że dowiadujesz się tego ode mnie, ale można spokojnie powiedzieć, że wszyscy widzieli.

*Siła słów*

**D**obra, dziewczyny, pięć minut przerwy! Rozdzierający gwizdek trenerki Anne wwiercił się w głowę Isobel, rozbrzmiewając w niej niczym alarm pożarowy i oficjalnie nadając jej dolegliwościom status migreny.

Nie odwracając się, by pogadać i porozciągać się z innymi, jak zrobiłaby zazwyczaj, Isobel wyszła z formacji i poczłapała do trybun, gdzie zostawiła torbę. Obciągnęła krawędzie niebieskich szortów i opadła na najniższą ławkę. Jednym płynnym ruchem otworzyła i do końca opróżniła butelkę Gatorade, po czym znowu ją zakręciła i wcisnęła pustą do torby między buty a dzinsy.

Gdy tak siedziała, zdawało jej się, że nie może się zdobyć nawet na jedną spójną myśl. Musiała nakazać swojemu mózgowi, by zaprzestał nieustannych prób racjonalnego wyjaśnienia tego, co widziała wcześniej w toalecie dla dziewcząt: mrocznej postaci, która przyglądała jej się, a potem zniknęła.

Postanawiając, że lepiej poczekać, aż choć trochę się wyśpi, próbowała myśleć o czymś innym. To jednak tylko dało jej umysłowi okazję, by po wielokroć odtwarzał bolesną scenę z obiadu.

Raz po raz widziała, jak Varen podnosi na nią wzrok znad zatłoczonego stolika i kamienne, zielone oczy wbijają się w nią, na począt-

ku z lekkim zaskoczeniem, a potem stopniowo roztapiają się w dwie kałuże nicości – aż w końcu patrzą tak, jakby ledwie ją poznawał, niczym kogoś widzianego kiedyś na plakacie.

I ta dziewczyna. Lacy.

Isobel przypomniała sobie, w jaki sposób zgromiła ją spojrzeniem – jakby broniła terytorium.

Wyobrazila ich sobie razem, trzymających się za ręce, i mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jakim był chłopakiem.

Potrafił być taki cyniczny. Taki oschły i zgorzkniały. Pusty jak niezapisana kartka. Czy bywał też czuły?

Wzdrygnęła się na tę myśl, rozgniewana na swój umysł, że zapuścił się tak daleko poza obszary, o których już coś wiedziała. Varen nie różnił się od ludzi, od których chciał niby być lepszy. Udowodnił to podczas obiadu.

Westchnęła, nie otwierając oczu, próbując choć częściowo uwolnić się od stresu tego dnia przeciągłym wydechem.

Na domiar złego, była już teraz skazana na to, że wyleci z drużyny.

Bez wątpienia. Gdy tylko przyjdzie następny piątek, a ona zostanie z wielkim dorodnym zerem za projekt z angielskiego dla pana Swansona.

Nie będzie czirliderką Trenton High. Nigdy więcej.

Nieobecność na dzisiejszym treningu byłaby jednak przyznaniem się do klęski.

Poza wszystkim w ten sposób osobiście wybrukowałyby chodnik i rozwinęła czerwony dywan przed Alyssą, by ta przejęła rolę środkowej skaczącej. A mimo że nikt z ekipy już jej nie lubił, Isobel wciąż uwielbiała być czirliderką. Świetnie jej to wychodziło i wbrew wszystkiemu nie zamierzała ułatwiać sprawy Alyssie ani nikomu innemu, kto chciałby zająć jej miejsce.

– Wszystko w porządku, Iz?

Otworzyła jedno oko i zobaczyła gwizdek na żółtym sznurku kołyszący się na szyi trenerki niczym wahadło zegara.



– Tak – odrzekła, powoli mrugając powiekami i zmuszając się do uśmiechu, dopóki Anne nie odeszła. – Głowa mnie boli – dodała. Przynajmniej to nie było kłamstwem.

– Dobrze się dzisiaj prezentowałaś – rzuciła trenerka przez ramię. Isobel patrzyła na jej plecy, gdy ta szła przez salę, przystając po drodze, by napełnić butelkę wodą z kranu. Normalnie pochwała by ją ucieszyła. Zwłaszcza po takim dniu jak dzisiejszy. Ponieważ jednak reszta drużyny stała i słuchała, wolałaby, by trenerka nic nie mówiła, bo dziewczyny zaraz zaczęły szeptać między sobą.

Udawała, że nie zwraca na nie uwagi, szukając czegoś w torbie, przerwała jednak, gdy usłyszała odgłos zbliżających się trampek. Podniosła wzrok na tyle, by naliczyć osiem par ze złotymi i niebieskimi akcentami. Spojrzawszy jeszcze wyżej, zobaczyła, że to Alyssa prowadzi grupę, a Nikki trzyma się tylko o krok za nią.

– Dziwię się, że postanowiłaś się dziś pojawić – powiedziała Alyssa, rozpuszczając platynowe włosy, związane przedtem w koński ogon.

Isobel podniosła podbródek.

– Chociażby po to, żeby oszczędzić wszystkim patrzenia przez resztę sezonu, jak wykonujesz najwyżej jeden obrót.

W grupie koleżanek rozległy się chichoty. Isobel pozwoliła sobie na chłodny, triumfalny półuśmiech. Policzki Alyssy zapłonęły różem i jej twarz się skrzywiła, jakby właśnie ugryzła wyjątkowo kwaśne jabłko. Śmiech za jej plecami przerodził się szybko w pociągnięcia nosem i chrząknięcia.

– Co ci się stało w nogę? – spytała Alyssa.

Wietrząc postępowanie, Isobel powstrzymała się od spojrzenia na swoje nogi.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła, odwracając wzrok. Pragnęła, by trenerka już wróciła. Co ją tak długo zatrzymało?

– O, myślę, że wiesz – powiedziała tamta. – Mówię o śladzie z tyłu twojego uda. Może wstaniesz i wszystkim pokażesz?



Isobel nie ruszyła się z miejsca. Próbowwała odgadnąć, co jest grane, przypomnieć sobie, czy zrobiła cokolwiek, po czym zostałby ślad z tyłu nogi.

Podłożyły jej coś, na czym usiadła? Co?

I wtedy sobie przypomniała.

– Otarłam o dywan – bąknęła, niezadowolona, że nie umie przejrzeć gry Alyssy. I za późno zdała sobie sprawę, że lepiej było nic nie mówić.

Odwróciła się, by zapiąć torbę, gdy w grupie nastąpiła erupcja chichotów. Przerwała i powoli znowu podniosła wzrok na twarze dziewczyn, zastanawiając się, jak to możliwe, że były jej przyjaciółkami.

– Aha. – Usta Alyssy miały zaraz wykrzywić się w tym jej promiennym, oślepiającym od przesadnie wybielonych zębów uśmiechu. – Zabawne. Właśnie myślałyśmy, że to coś w tym stylu, skoro masz tego nowego nieumarłego chłopaka i w ogóle. Ale teraz pewnie żałujesz. Kurczę. Po tym, jak cię wystawił? Powiedz, jak to jest, kiedy sobie uświadamiasz, że jesteś pasztetem i jeszcze rzucają cię dwa razy w jeden dzień?

Isobel zerwała się z ławki i ten nagły ruch wywołał zbiorowy pisk cofających się trampek i samych czirliderek. Mocno popchnęła Alyssę, na tyle mocno, że ta przeleciała przez całą grupkę i runęła na podłogę. Gwałtownie uderzyła o nią tyłkiem, a jej wyszminkowane usta zastygły we wstrząśniętym: „O!”.

– Hej!

Donośny dźwięk gwizdka znowu wdarł się w pulsujący ból głowy Isobel i dziewczyna kątem oka zobaczyła trenerkę, maszerującą w ich stronę z owalną twarzą w kolorze dojrzałego buraka. Isobel trzęsła się z wściekłości. Oczy wciąż wbijała w Alyssę, która patrzyła na nią z podłogi, zaciskając dłonie w pięści. Trenerka złapała Isobel za ramię i silnym szarpnięciem zakończyła tę bitwę na spojrzenia.

– Co z wami, do diabła? – wrzasnęła, tym razem skupiając uwagę na Alyssie. – Wiecie, że nie toleruję bójkę w drużynie! – Odwróciła

się, aż fioletowa na twarzy, by z kolei zgromić wzrokiem Isobel. – Do mojego pokoju! Obie!

Następnie obróciła się na pięcie i niczym burza ruszyła w stronę drzwi swojego pokoju na przeciwległym krańcu sali gimnastycznej.

Alyssa uśmiechnęła się do Isobel, wstając z podłogi. Wykonała powolny obrót, po czym poszła za trenerką.

Pałace rumieńce wystąpiły na twarz Isobel. Nie mogła się zmusić choćby do jednego kroku w stronę tego pomieszczenia. Nie w chwili kiedy wszystkie oczy znowu skierowane były na nią. Nie, kiedy tak bardzo chciała przyłożyć pięścią w te doskonałe ząbki Alyssy, rozkwaśnić ten idealny nos i na zawsze zmasać ten próżny uśmiech z jej głupiej twarzy.

Gorąca wściekłość krążyła w jej żyłach niczym śmiertcionośna trucizna.

Musi stąd wyjść. Natychmiast. Inaczej wybuchnie.

Pod wpływem impulsu chwyciła swoją torbę. Założyła pasek na ramię i szybkim, zdecydowanym krokiem skierowała się do wyjścia z sali.

– Lanley! – usłyszała za sobą ryk trenerki. Z opuszczoną głową parła naprzód. Musi iść dalej. Musi, w przeciwnym razie się obejrzy. Zobaczy, że wszyscy się na nią gapią, i wiedziała, że wtedy eksploduje.

– Lanley, natychmiast stój!

Skuliła się i zasłoniła uszy.

– Jeśli wyjdiesz przez te drzwi, wypadasz z drużyny! Słyszysz mnie?

Słyszała. Ale teraz włączył się już jej autopilot i bez względu na wszystko nie mogła się zatrzymać.

Gdy wyszła z sali, przyspieszyła i niemal biegła przez opustoszały korytarz, wokół niesło się ciche kłapanie trampek. Skręciła za róg i minęłaby swoją szafkę, gdyby nie zauważyła zwiniętego kawałka białego papieru, sterczącego z górnego otworu wentylacyjnego. Za-

trzymała się, aż za dobrze wiedząc, czyj charakter pisma zobaczy na tym świstku. Pozwoliła, by pasek ciężkiej torby zsunął jej się z ramienia, po czym wyciągnęła karteczkę ze szczeliny i rozwinęła ją.

Mimo że wiedziała, czego się spodziewać, i tak poczuła tępy ból na widok ciemnofioletowego tuszu.

*Musimy pogadać.*

– Nie – powiedziała głośno, drąc karteczkę na pół. – Nie musimy. – Przedarła świstek znowu i jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu pozwoliła strzępom opaść na podłogę na podobieństwo popiołu.

Wprowadziła szyfr, kopnęła wyszczerbiony dolny róg drzwiczek i cofnęła się, gdy się otworzyły. Zagłębiła się w szafce i wyjęła plecak, ciągnąc za jedno ramiączko. Położyła go na podłodze przy stopach i szybko otworzyła suwak, po czym wzięła *Dzieła zebrane* Edgara Allana Poe'go. Odwróciła się, podeszła do najbliższego kosza na śmieci i rzuciła książkę na posłanie z papierów oraz plastikowych butelek po napojach.

Coś w niej drgnęło, błagając, by wyciągnęła ją z powrotem.

Ale coś innego się cieszyło.

Zignorowała pragnienie ocalenia książki, podeszła do pobliskiego stojaka i wzięła kilka ulotek. Zmięta je, po czym wróciła do kosza i wrzuciła do środka, rozsypując je na książce. Niczym kwiaty na trumnie.

Na szczęście tego dnia tata Isobel przyjechał do szkoły trochę wcześniej, żeby ją odebrać, nie musiała więc czekać w obecności kogoś z drużyny, nie musiała się też martwić, że pojawi się Brad i tata się dowie, że skłamała na temat jego zepsutego samochodu.

Jazda do domu przebiegała w milczeniu, bo tata wyjątkowo nie był wścibski i nie zadawał pytań w rodzaju: „Czemu siedzisz tak cicho?” albo: „Czy coś się dziś stało?”. Wiedziała, że on o tym nie wie, ale była



mu wdzięczna. W żadnym razie nie chciała rozmawiać o dzisiejszych wydarzeniach.

Dotarłszy do domu, Isobel poszła prosto do swojego pokoju. Opa-  
dła na łóżko, zanurzyła twarz w poduszkach, zamknęła oczy i zapa-  
dła w błogi sen, a jej ciało zdawało się zgadzać z umysłem, że ma już  
dosyć. Obudziła się dopiero po kilku godzinach, gdy zajrzała do niej  
mama po powrocie z zebrania w szkole Danny'ego.

– Izzy?

Isobel przekręciła się na bok, targana między czuwaniem a snem.  
Było jej gorąco i częściowo skopała z siebie kołdrę.

– Mmm? – mruknęła.

– Chcesz zejść na dół i zjeść kolację? Zupę i smażony ser?

– Brr... – zdołała z siebie wydobyć Isobel. Zupa nie brzmiała tak  
źle, gorzej, że musiałaby wstać, zejść po schodach i podnieść łyżkę.

Poczuła miękką, chłodną dłoń mamy na czole.

– Chyba masz gorączkę – usłyszała. – Tata mówił, że wyglądasz,  
jakbyś marnie się czuła.

Isobel zdawało się, że mama powiedziała coś jeszcze, może spy-  
tała, czy córka chce piwa imbirowego, ale znowu wszystko stało się  
zamglone, jakby coś wciągało ją do głębokiej, ciemnej wody. To  
uczucie nią zawładnęło i znowu usnęła.

Gdy znowu otworzyła oczy, miała wrażenie, że coś jest nie tak.  
Usiadła na łóżku, a potem zamarła.

Błyskotki z toaletki, podobnie jak inne przedmioty – nagroda dla  
„skaczącej numer jeden”, szminka, pluszowy królik Max, pompony  
i przenośny odtwarzacz CD – unosiły się w powietrzu, krążąc po-  
woli, jakby cały pokój przeniósł się w jakiś sposób w odległy zaką-  
tek przestrzeni kosmicznej.

Wyprostowała się, zupełnie już przebudzona, i patrzyła, niezdol-  
na mrugnąć powiekami. Przynajmniej do chwili, gdy suszarka pod-  
leciała tuż przed jej twarz, z kablem dyndającym na podobieństwo



ogona. Podniosła rękę i odepchnęła urządzenie, po czym patrzyła, jak się kręci, odpływając w kierunku szafy.

Zwiesiwszy nogi z łóżka, wstała i wykonała powolny obrót, by obejrzeć pas asteroid, w który niespodziewanie zmienił się jej pokój. Jej wzrok padł na otwarte drzwi i tam się zatrzymał.

W przedpokoju oślepiające białe światło migotało w krótkich rozblaskach, przypominających błyskawice podczas burzy, między którymi zapadała ciemność o niebieskim odcieniu.

Tuż przed drzwiami Danny'ego Isobel dostrzegła nad schodami kontur stojącej wysokiej postaci.

Ogarnęło ją przerażenie, gdy postać ruszyła w jej stronę, jakby szybowała nad dywanem. Przestrzeń z tyłu znowu rozświetlił oślepiający biały błysk, ukazując czarny płaszcz i sfatygowaną fedorę.

Isobel cofnęła się, skądś wiedząc, że nie zrobiłaby dobrze, gdyby rzuciła się naprzód i zatrzasnęła drzwi. Jej plecy natrafiły na ścianę.

Gdy postać przekroczyła próg, dziewczyna zobaczyła biały szalik na dolnej połowie twarzy i natychmiast poznała mężczyznę z łazienki – tego z lustra. Przyniósł ze sobą zapach, słodki i zatęchły zarazem, niczym zwiędłych róż, i powietrze wypełniła woń perfumowanego rozkładu.

Z bijącym sercem patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak drzwi same się za nim zamykają, zasłaniając białe błyski. Gdy drzwi się zatrzasnęły, unoszące się w powietrzu rzeczy Isobel spadły na podłogę ze zbiorowym, stłumionym przez dywan stukotem.

– Nie bój się – przemówił mężczyzna głosem suchym, ochryplym i niskim, podobnym do dźwięku zapalanej zapalniczki. Znad białego szala jego oczy świeciły niczym grudki węgla i zdawały się wbijać prosto w nią. – To jest sen.

Przez kolejną chwilę stała bez ruchu i bez słowa, z dłońmi płasko przyciśniętymi do ściany za sobą, jakby namacalna obecność muru miała moc osadzenia jej w rzeczywistości.

Sen?

No, pomyślała Isobel, przez chwilę rozważając sytuację – latające rzeczy, błyskawice w korytarzu, a potem wejście budzącego lęk tajemniczego mężczyzny. Tak, zapewne mogła kupić informację, że to sen. Nie miała natomiast pewności, czy nie powinna się bać.

– Kim... kim jesteś?

– Nazywam się – zaczął tak, jakby spodziewał się tego pytania – Reynolds.

Odsunęła się, próbując powiększyć dystans pomiędzy sobą a panem Stachem McStrachem. Pochyliła się, starając się nie spuścić go z oczu, i podniosła szczotkę do włosów, która spadła na podłogę. Trzymała ją teraz w wyciągniętej ręce, bo głupia broń wydawała się lepsza niż żadna. W najgorszym razie mogła go uczesać.

– Jeśli to sen – powiedziała – to bardzo możliwe, że... że sobie ciebie wyobrażam. Tak jak wyobraziłam sobie ciebie w lustrze. I tamtego dnia na treningu. O ile to byłeś ty. Jesteś... przejawem frustracji z dzieciństwa... traumy. – Próbowwała wycisnąć ze swojego mózgu całe słownictwo z lekcji psychologii, które zdołała wchłonąć.

– Twojemu przyjacielowi grozi wielkie niebezpieczeństwo – przerwał jej urywanymi, krótkimi słowami. – Mądrze byś postąpiła, gdy byś była cicho i słuchała. Nie mam wiele czasu.

Patrzyła, jak wchodzi głębiej do pokoju. Cyfry na elektronicznym budziku drgały i same się zmieniały, jakby zegar nie mógł się zdecydować, którą godzinę wskazywać.

– Więc wygląda na to, że trafiłeś do złego snu, bo ja nie mam przyjaciół.

– No to szkoda – powiedział szorstko i spoczęło na niej zimne spojrzenie jego zwężonych oczu – że on ciebie też naraził na wielkie niebezpieczeństwo. Bo teraz ona ściga ciebie.

Zamrugnęła powiekami, a on się odwrócił i szeroki płaszcz zawirował. Isobel opuściła szczotkę. „Ona”?

Nie spuszczała go z oczu, gdy lewitował w kierunku jej szafki nocnej, zanurzając dłoń o długich palcach w fałdach płaszcza. Gdy mate-

riał odsunął się w bok, dziewczynie wydało się, że dostrzega ozdobną rękojeść staromodnej broni. Poły ciemnej i ciężkiej tkaniny znowu jednak opadły i zobaczyła, że mężczyzna trzyma książkę – znajomą, z połączanymi stronami i grubą czarną okładką.

– Hej! – Odeszła od ściany i upuściła szczotkę. W jej wnętrzu weszły jakieś emocje, połączenie ulgi i dezorientacji. Oras lęku.

– Myślę, że...

Delikatnie położył książkę na szafce i przeciągnął dłonią w rękawiczce po złożonym tytule, zatrzymując koniuszki palców na słowach: *Edgar Allan Poe – Dzieła zebrane*.

– Sądzę, że otrzymałaś tę książkę nie bez powodu – stwierdził, znowu zwracając na nią węgle swoich oczu. – Nie postępowałbym z nią tak beztrąsko.

Isobel z niedowierzaniem patrzyła na książkę. Tę samą, którą wrzuciła do kosza na śmieci w szkole. Widziała językową beżową wstążkę, wystającą u dołu, i łagodne zagięcie wzdłuż grzbietu. A jednak w jakiś sposób znalazła się tutaj, cała.

– Zapamiętaj te słowa – powiedział. – Jedyne sposoby, żeby zyskać władzę nad tym, co się z tobą dzieje w świecie snu, jest uświadomienie sobie, że śniesz. Jeśli nie umiesz tego zrobić, nie mogę ci pomóc.

Pokręciła głową, próbując zwalczyć narastające zagubienie. Im więcej ten facet mówił, tym bardziej jego słowa kojarzyły się z ciasteczkiem z wróżbą.

– Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Kto mnie ściga?

– Imienia lepiej nie wypowiadać. Słowa, Isobel, zawsze mają groźną moc przywoływania rzeczy do istnienia. Pamiętaj o tym.

– Skoro o imionach mowa, skąd znasz moje? I czemu ta „ona”, kimkolwiek jest... czemu mnie ściga?

– Ponieważ – odparł, postanawiając odpowiedzieć tylko na drugie z jej pytań – on o tobie śni...

– Kto?



– Chodź. – Z szumem płaszcza odwrócił się do okna i jego pająkowata dłoń odsunęła białą firankę.

Podeszła bliżej do czarnego kwadratu otwartego okna. Chłodny wietrzyk wdierał się do środka, poruszając firankami.

Poczuła własne włosy, muskające jej szyję.

Jak sen mógł wydawać się tak realny?

Gdy zbliżała się do okna, najpierw zerknęła na Reynoldsa. Stojąc tak blisko niego, widziała jego oczy nad białym szalem – naprawdę je widziała. Brakowało w nich tęczywek. Czarne otwory wielkości monet wbijały się w nią, zanim się odwróciły, by wyjrzeć przez okno.

Podążyła za jego spojrzeniem.

Gdy patrzył, ciemność pojaśniała. Ukazał się niewyraźny szary obraz, rozmyty na krawędziach i postrzępiony pośrodku, niczym stary film. W oddali dostrzegała zarys ciemnego lasu. Słaby fioletowy blask promieniował od cienkich czarnych drzew. I tam, na skraju lasu, Isobel zobaczyła znajome kwadratowe ramiona. Wysoka, chuda postać, odziana w ciemnozieloną kurtkę.

– Varen?



*Ultima Thule*

Isobel zamrugnęła powiekami, patrząc na sufit. Nieznajome mrowienie przeszło po jej nogach i rękach, niczym słabe ładunki elektryczne. W jakiś sposób pominęła normalne u siebie etapy budzenia, takie jak przewracanie się z boku na bok i uderzanie poduszki – po prostu otworzyła oczy.

Coś jej się śniło. Coś ważnego.

On. Śniła o nim.

O nie, on.

Jęknęła i tępy ból popęzł po jej plecach, by usadowić się w piersi. Uch. Nie chciała nawet w myśli wymówić jego imienia. Przekręciła się na brzuch, zacisnęła powieki i wtuliła twarz w poduszkę. Nie była gotowa, by przypomnieć sobie, co zaszło, wrócić myślami do koszmaru, który wydarzył się poprzedniego dnia.

Słabe mrowienie wciąż nie ustępowało, przenikało ją niczym łagodnie wibracje, chociaż im bliżej była pełnej świadomości, tym szybciej uczucie zdawało się zanikać.

Wzrok Isobel powędrował w oszołomieniu do okna, za którym kołysały się na wpół nagie gałęzie drzew, to znikając z pola widzenia, to znowu się pojawiając, niczym szponiaste dłonie wyciągające się ku słońcu.

Słońce.

— O, szlag! — wychrypiła.

Usiadła i zdjęła budzik z wezłowania łóżka.

— Jedenasta trzydzieści pięć, o mój Boże!

Przespała resztę wczorajszego dnia i kawał poranka. Nie nastawiła budzika! W tej właśnie chwili powinna być na lekcji u pana Swansona! Dlaczego nikt jej nie obudził? Dlaczego...

Wbiła wzrok w zegar, ściskając go w dłoniach. Jej wzrok coraz bardziej się rozmywał, gdy wspomnienie snu z poprzedniej nocy walczyło, by wyłonić się na powierzchnię. Dlaczego wspomnienia wydawały się tak istotne? Niebieskie cyfry stały się niewyraźne na czarnym tle, aż od patrzenia rozboleły ją oczy. Pomyślała o tym, jak budzik się rozregulował, kiedy...

— Reynolds — szepnęła.

Upuściła budzik. Trzasnął o drewnianą ramę łóżka, po czym spadł na dywan. Dopadł ją obraz lewitujących przedmiotów, niczym wiązka energii płynąca do mózgu. Zamarła, ściskając kołdrę pod sobą. Oczami omiatała pomieszczenie.

Zobaczyła szczotkę do włosów, nie na podłodze, lecz na toalecie, a za nią — swoją nagrodę dla „skaczącej numer jeden”.

— Mamo! — Głos uwiązał jej w gardle.

Przelknęła ślinę mimo bólu i zwlokła się z łóżka, a następnie pochwyciła do drzwi i otworzyła.

Znieruchomiła, zaciskając dłoń na klamce. Patrzyła na pusty, cichy korytarz, bojąc się odwrócić. Książka. Czy tam będzie, kiedy spojrzy?

Powoli zwalniając uścisk, odwróciła się, a jej wzrok powędrował na szafkę nocną. Zobaczyła zakurzony album ze zdjęciami z zeszłorocznych występów czirliderek. Obok stała lampa z kloszem wykonanym różowymi i białymi frędzlami, pod którą leżało kilka gumek do włosów.

Nie było książki. Nie było Poego.

Uświadamiając sobie, że wstrzymuje oddech, Isobel wypuściła powietrze przeciąglą strugą, która pod koniec przerodziła się w śmiech.

Wyszła na korytarz i zeszła po schodach, mijając zbiór rodzinnych fotografii. Czuła się głupio, że tak poważnie potraktowała coś, co pochodziło z jej podświadomości.

Zimne, białe światło dnia wpadało przez szyby w drzwiach wejściowych i przez firanki w salonie, ale dom wydawał się martwy i zagrożony w półmroku.

– Mamo? – zawołała znowu Isobel, która nie miała już wrażenia, że jej gardło to koci drapak.

Po kolei pstrykała każdym włącznikiem światła, do którego doszła, mimo że w środku wcale nie było tak ciemno. Sztuczne światło niezbyt podniosło ją na duchu. Cisza była zbyt gęsta. Palcami muskała ściany, idąc korytarzem w kierunku kuchni, gdzie zamierzała znaleźć zimne piwo imbirowe i może coś do jedzenia. Otworzyła lodówkę, zdecydowała się na sprite'a i wypila połowę, po czym znowu zamknęła drzwi.

Doszła do wniosku, że z powodu tej wieczornej gorączki mama zadzwoniła rano do szkoły, żeby uprzedzić o jej nieobecności. Ale gdzie była teraz?

Nie szła dziś do szkoły. Musiała przyznać, że jest wdzięczna. Nie przetrwałaby powtórki poprzedniego dnia.

Zamknęła oczy, próbując powstrzymać obraz gładkich, białych rysów Varena, formujący się w jej umyśle, ale przez to zmaterializował się jeszcze wyraźniej. Ściskając rączkę drzwi lodówki, oparła czoło o zimną powierzchnię. Chłód na twarzy był taki przyjemny. Odwróciła się, by przycisnąć tam także policzek. „Obudź się, Isobel. O co chodzi? Czemu nie możesz się otrząsnąć? To tylko jakiś facet”. Jakiś facet, który w jej snach śnił o niej. Przecież to kompletnie pokręcone.

Czemu musiał być taki... taki...

Wydała z siebie jęk frustracji, odpychając się od lodówki. Głośno siorbnęła sprite'a i ruszyła prosto do spizarki. Zamierzała zrobić coś



zakazanego i znaleźć ciasteczka czekoladowe Chips Ahoy, żeby zjeść je zamiast śniadania.

Sięgnęła do drzwi szafki i zatrzymała się.

Kątem oka dostrzegła błysk złota na tle czerni.

Popatrzyła w tamtą stronę i sprite wysunął jej się z ręki. Butelka uderzyła o podłogę i napój rozlał się na kafelki z cichym sykiem.

Na kuchennym stole spoczywała znajoma duża czarna książka, blask jesiennego słońca odbijał się od złoconych krawędzi stron, a tłoczone litery głośniły: *Edgar Allan Poe – Dzieła zebrane*.

– Nie!

Sięgnęła po nią i ściągnęła ją ze stołu. Książka uderzyła o podłogę i otworzyła się na kafelkach.

Isobel cofnęła się, przyciskając ręce do ciała i trzymając pięści pod brodą. Czowała, że się trzęsie. Pomyślała, że to nie może być prawda. Wyrzuciła książkę. Pozbyła się jej. Wydarzenia ostatniej nocy były snem.

Opuściła spojrzenie. Patrzyła, jak strużka napoju pełźnie po podłodze w stronę książki i wbrew wszystkiemu, co próbowało ją powstrzymać, pochyliła się naprzód. Jej cień spoczął na zdjęciu w książce, na dużym, czarno-białym portrecie bladego mężczyzny o zapadniętych oczach.

Luźno zawiązany fular oplatał mu szyję niczym elegancka pętla. Zmiętą marynarkę, tak czarną, że niemal wtapiała się w tło fotografii, spinał pojedynczy guzik pośrodku. Szerokie czoło mężczyzny ustępowało pola smutnym skośnym brwiom. A dalej oczy. Mroczne studnie.

Przykucnięta Isobel wyjęła książkę z napoju, który zaczął tworzyć kałużę przy jej krawędzi. Od razu poczuła się pochwycona przez te oczy, zahipnotyzowana, bo zdawały się patrzeć prosto na nią, z powagą prosząc o... o co?

Jej wzrok powędrował na podpis: „*Ultima Thule*”, *dagerotyp Poego wykonany 9 listopada 1848 r., niecały rok przed tajemniczą śmiercią poety.*



Ultima Thule. Czemu brzmiało to znajomo?

Jeszcze raz popatrzyła mu w oczy. Coś w sobie miały. Przyciągały ją, ledwie odbijały światło i przypominały dwa czarne otwory wielkości monet.

Zatrzasnęła książkę.

*Przerwa w emisji*

Isobel siedziała i patrzyła nieobecny wzrokiem na obrazki z gry wideo, które migaly jej przed oczami. Nie miała bladego pojęcia, co właściwie ogląda – była to jakaś przedramatyzowana gra o zabijaniu wampirów, którą Danny włączył po powrocie ze szkoły. Światały klingi, tryskała krew, zombie krzyczały.

Większą część dnia spędziła tutaj, na kanapie. Z początku włączyła telewizor z uwagi na hałas, chciała, by otoczyły ją jakieś normalne dźwięki, dopóki mama nie wróci ze sklepu. Ponadto potrzebowała czegoś, co ją zakotwiczy, udowodni jej, że już nie śpi, że nie została uwięziona w jakimś niekończącym się śnie wewnątrz innego snu.

Nie znalazła jednak szczególnej pociechy w świadomości, że to nie sen, lecz jawa. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystko, co się stało, co widziała w swoim śnie... co zastała w kuchni.

– Isobel!

Podskoczyła i podniosła wzrok na matkę, która stała za kanapą i zasłaniała dłonią mikrofon przenośnego telefonu.

– Isobel – powtórzyła, ścisząc głos i ściągając brwi. – Naprawdę nie słyszałaś, że cię wołam?

Dziewczyna wbiła w nią spojrzenie.

– Powiedziałam: „telefon”. Isobel, na pewno nie powinnaś iść do lekarza? Od wczoraj zachowujesz się, jakbyś znalazła się na jakiejś innej planecie.

– Nic mi nie jest, mamó – mruknęła, sięgając po słuchawkę. – Jestem tylko zmęczona, nic więcej.

Przyłożyła telefon do ucha, tępo patrząc na plecy matki, która znowu zniknęła w kuchni.

– Halo?

– Nie rozłączaj się.

Wnętrznosci jej zapłonęły.

Może dlatego, że jej nie pozwolił, a może nie mogła znieść jego głosu tak blisko ucha. Rozłączyła się.

Przez chwilę patrzyła na telefon w swojej dłoni, dumna z siebie, a zarazem wstrząśnięta własną śmiałością. Zupełnie jakby przerwała rozmowę z Drakulą. W tym samym czasie narastało w niej intensywne poczucie żalu. Czemu tak pragnęła powiedzieć mu (właśnie jemu!) o wszystkim, co się działo?

Może z powodu słów Reynoldsa, że rzecz dotyczy i jego. A może dlatego, że ta przeklęta książka należała do niego.

Telefon znowu zadzwonił i czerwona dioda zamigała ponagląco. Isobel popatrzyła na ekranik. DESSERT ISLAND – głosił napis, a poniżej wyświetlił się numer.

Jej kciuk przesunął się w kierunku przycisku do odbierania połączeń.

Po co w ogóle do niej telefonował? Na pewno się nie spodziewał, że ona przyjdzie na umówione spotkanie w lodziarni. Był arogancki i gruboskórny, ale nie tępy.

– Danny – odezwała się, wstając, gdy telefon dzwonił trzeci raz. Rzuciła słuchawkę na podłogę obok leżącego na brzuchu brata. – Pięć dolarów mówi, że to pomyłka.

– Iiiz-oł-bel? – powiedział z udawanym hiszpańskim akcentem.

– Nie znam żadnej Iiiz-oł-bel.

Odwróciła się i szybko pomaszerowała do kuchni, gdzie mama stała przy kuchence i szykowała obiad. Zignorowała, na ile potrafiła, leniwe „haaalo?” brata, które dobiegło z drugiego pokoju.

Wystarczył jednak rzut oka na książkę Poego, leżącą tam, gdzie ją zostawiła na stole kuchennym, by natychmiast zawróciła.

– Isobel – zatrzymała ją matka. – Nie jesteś na mnie zła, prawda?

– Miała zatroskany, badawczy głos.

– Nie, czemu?

– No, wiesz. – Mieszając coś, co zdaniem dziewczyny pachniało jak ryż z grzybami (jedna z jej ulubionych potraw), mama wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że mogłaś się pogniewać, bo posprzątałam ci pokój, kiedy spałaś.

– Co?

– Trochę uporządkowałam podłogę. Myślałam, że nie masz nic przeciwko temu, bo spałaś. Musiałaś być zmęczona. Nie obudziłaś się nawet, kiedy zdejmowałam ci buty – gadała dalej. – Może odłożyłam coś nie na miejsce. A, i pożyczyłam książkę z twojej szafki nocnej, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Skąd ją masz? Nie zauważyłam naklejki biblioteki. Tata mówił, że czytasz Poego do szkoły.

Pytanie nie dotarło do Isobel. Jej spojrzenie powędrowało z powrotem na książkę Poego. Skoczyła naprzód i porwała ją ze stołu, po czym wymaszerowała z kuchni i poszła do przedpokoju, na schodach poprawiając wygląd. Pomyślała, że to na pewno sprawka książki. Dopóki nie wpadła jej w ręce, nie działało się nic dziwnego. Musi się jej pozbyć. Nie mogła jej znów wyrzucić, ma się rozumieć. Może powinna wykopać dół i zagrzebać ją pod ziemią? A może spalić? Z drugiej strony, Reynolds powiedział, że ma ją zachować, że to ważne. Ale kim – albo czym – był ten Reynolds?

Co by się stało, gdyby po prostu książkę... oddała?

Z pokoju dobiegł głos Danny'ego.

– Tak, ale pierwsze Transylwania Wars jest trochę oldskulowe, nie sądzisz?



Isobel przystanęła przed drzwiami do salonu i powoli odwróciła głowę, by zobaczyć brata z telefonem wciśniętym między ramię a ucho, przebierającego palcami po kontrolerze, gdy tymczasem wirtualny zabójca wampirów zadawał skomplikowaną serię ciosów mieczem grupie oszalałych nieumarłych.

– Dobra, jestem przed drzwiami lochu Nosferatu – powiedział Danny. – Przypomnij, jak otworzyć bramę Gothiki?

Dziewczyna poczuła, że opada jej szczęka. Niemożliwe. Zakradła się do salonu i wbiła wzrok w potylicę brata.

– Z kim rozmawiasz?

– Poczekaj – rzucił przez ramię, przybliżając się do telewizora tak bardzo, że nosem dotknął ekranu. – Ooo – powiedział. – Teraz widzę! Rany! Jak na to wpadłeś?

– Danny, daj mi telefon. – Isobel wyciągnęła rękę po słuchawkę. – I możesz zapomnieć o pięciu dolcach.

– I tak zamierzałem cię skasować na trzy pięćdziesiąt – odparł, trzymając telefon poza jej zasięgiem. – Wiedział, że nie wybrał złego numeru, więc musiałem mu powiedzieć, że poszłaś do kibla.

– Co? Danny! O mój Boże. – Rzuciła się naprzód i wyrwała mu aparat. Palily ją policzki. Gdy wypadła z pokoju, zastanawiała się, czy znów się nie rozłączyć, tym razem z powodu upokorzenia. Zrozumiała jednak, że nie zdoła go już długo unikać, i uniosła słuchawkę do ucha. – Czego? – warknęła. Z książką Poego pod pachą wspięła się po schodach, tupiąc po drodze na stopniach. Kierowała się w ostatnie miejsce, w którym chciała przebywać, ale zarazem jedyne, gdzie mogła być sama – do swojego pokoju.

– Twój brat... – odezwał się cichy głos z nutką wesołości.

– To mały kretyn – prychnęła. – Czego chcesz?

– Nie możesz na chwilę wyluzować?

Dłoń trzymająca telefon zadrżała z wściekłości.

– Nie! – wydyszała. – Nie wyluzuję!

– Muszę...

– Musisz po prostu paść trupem, dobra?

– Isobel, posłuchaj...

Czy naprawdę dopiero pierwszy raz wypowiedział jej imię? Odepchnęła tę myśl.

– Nie! – krzyknęła. – Ty posłuchaj! Straszny z ciebie hipokryta. Cisza. Czy w ogóle jeszcze tam był?

Nie dbając o to, mówiła dalej.

– Co? – rzuciła. – Jesteś w szoku, że ta głupia blondynka, czirli-derka, zna jakieś słowa oprócz: „Brawo, chłopaki”?

Teraz się odezwał obronnym tonem:

– Ja nigdy...

– Nie robiłeś nic, tylko się wywyższałeś. A ja nadstawiałam za ciebie karku! Uważasz, że po tym, co wczoraj zrobiłeś, możesz mi zostawiać jakieś karteczki i dzwonić z tekstem, że musimy pogadać? Spodziewałeś się, że powiem: „Dobra. Powiedz mi, jaki kwas wrzucasz”?

– Isobel...

– Nie, Varen. Nie dzwoń już do mnie. Możesz wziąć sobie ten głupi projekt i zrobić go sam.

– Nie dzwonię w sprawie projektu.

– No to spotkał mnie zaszczyt – odparła, nie mogąc powstrzymać drżenia głosu. Po ułamku sekundy wahania kciukiem przycisnęła guzik końca rozmowy, przerywając połączenie.

*Druga połowa*

Isobel zeszła na dół na kolację tylko ze względu na matkę. Nie była ani trochę głodna, dokuczały jej nawet lekkie mdłości. Lecz pod badawczym spojrzeniem rodziców podniosła widelec, nabrała ryżu i zaczęła żuć.

– Lepiej się czujesz? – spytał tata, przerywając w końcu milczenie. Isobel zobaczyła, że mama rzuca mu ostrzegawcze spojrzenie. Najwyraźniej dyskutowali, czy się wtrącać, gdy rozpaczała w swoim pokoju.

– Tak – odrzekła. – Trochę.

Mama wstała od stołu.

– Skończyłaś, kochanie? – spytała i zatrzymała dłoń nad talerzem córki. Isobel z wdzięcznością skinęła głową i odłożyła widelec.

– Myślisz, że wrócisz jutro do szkoły? – spytał tata tonem, który domagał się odpowiedzi twierdzącej. Jako maniak sportu nie chciał, by córkę ominął trening czirliderek. Niestety, i tak ją ominie. Kiwnęła głową w odpowiedzi. Osunęła się na krzesło, rozważając, jak powiedzieć rodzicom, że odeszła z drużyny.

– To dobrze – stwierdził, wbijając widelec w więdnące liście sałaty. Isobel patrzyła na pustą podkładkę na stole przed sobą i końcem palca przeciągała po kwiatowym wzorze. Otworzyła usta i zaczerpnęła



tchu, dochodząc do wniosku, że najlepiej wypalić teraz i mieć to z głowy. Muszą potraktować ją łagodnie, skoro jest chora, prawda?

W kuchni zadzwonił telefon.

Plecy Isobel natychmiast się wyprostowały.

– Halo? – odebrała mama.

Dziewczyna siedziała sztywno na krześle, licząc, że to pomyłka albo zastępowy Danny'ego, może szef ojca... do diabła, a niechby i trenerka Anne.

– Czekasz na telefon? – spytał tata.

Znowu przeniosła uwagę na ojca, który siedział z dziwnym uśmiechem na ustach i omiatał ją zaciekawionym spojrzeniem. O Boże, pomyślała, dobrze wiedząc, co oznacza ta mina. Sądził, że wszystkiego się domyśla i że w całej tej sprawie chodzi o Brada.

– Isobel – powiedziała mama i wychyliła głowę z kuchni. Wyciągnęła rękę z bezprzewodową słuchawką. – Telefon.

Nie odważyłby się, pomyślała. Podniosła się, wzięła aparat i poszła do kuchni. Odwrócona plecami do matki, odezwała się cichym, ostrzegawczym tonem:

– Halo?

– O, to dobrze – odpowiedział jej bezceremonialny dziewczęcy głos. – Jednak nie umarłaś.

– Co? Kto mówi?

– To ja, Gwen.

– Gwen? Jaka Gwen?

– Gwen Daniels. Mamy sąsiednie szafki. Niech zgadnę, nie wiedziałaś, jak się nazywam, prawda? Znowu jakoś mnie to nie dziwi.

– Skąd masz mój numer?

– Sprawdziłam w sieci.

– To tak można? – spytała Isobel z ukłuciem niepewności.

– White Pages w Internecie. Phi! Co się z tobą dzieje? Nic ci nie jest? Pół szkoły myśli, że się zabiłaś. – Nastąpiła chwila przerwy, nim Gwen dodała: – Drugie pół myśli, że zwiłaś z Varenem.



– Co?

– Czekaj... Nikt ci nie powiedział, co się stało?

– Nie. A co się stało? – Zdaniem Gwen, kto miał jej powiedzieć? Halo, najnowsze wiadomości! Czy nie widziała jej klęski w stołówce? – Zaraz – mruknęła Isobel. Szybko wyszła z kuchni i wspięła się po schodach. Gdy zamknęła drzwi swojego pokoju, nie musiała ponaglać rozmówczyni.

– Wiedziałaś, że twój chłopak zna szyfr do twojej szafki?

– Chodzi ci o Brada? Zerwaliśmy. Myślałam, że to oczywiste. – Drażniło ją, że niektórzy w szkole nadal uważają ich za parę albo, co gorsza, za pokłóconych.

– Oj, wiesz, co miałam na myśli. Nie o to chodzi. Naprawdę podałaś mu szyfr?

– Zna go – mruknęła Isobel, z każdą chwilą bardziej się irytując. Czy to sprawa Gwen, komu ona daje szyfr? Łączyły ich tylko sąsiednie szafki, a nie wspólne mieszkanie. – Co to ma do rzeczy?

– To było zaraz po ostatniej lekcji. Ten wielki futbolista, twój eks... Mówiłaś, że nazywa się Ben?

– Brad.

– No tak. Z jakiegoś powodu koleś znalazł się przy twojej szafce. Mnie jeszcze wtedy tam nie było, więc nie mogę ci powiedzieć, jak to dokładnie wyglądało. Wszystko zrozumiałam już po fakcie, z tego, co mówili inni.

– Inni? – wzdrygnęła się.

– No, w każdym razie ten Brad wyciągał rzeczy z twojej szafki, wyglądało na to, że chce je zabrać.

Isobel próbowała sobie przypomnieć, co dokładnie miała w szafce. Wiedziała, że był tam segregator, trochę książek i pudełko tamponów – po co była mu którakolwiek z tych rzeczy? Dowody, uświadomiła sobie natychmiast. Widocznie szukał jakiegoś dowodu na temat jej i Varena. Chyba. Bo co innego?

– Ale wtedy... zgadnij, kto się pojawił.

– Nie.

– Tak.

Coś wewnątrz niej wykonało roztrzęsione salto. Varen podszedł do Brada? Źle. Bardzo źle.

– Co się stało? – Głos niemal jej się łamał.

– To już widziałam. Najwidoczniej Varen chciał, żeby Brad oddał mu twoje rzeczy. Wtedy Brad złapał doktora Dooma za koszulkę i walnął nim o szafki. Mocno. Znacząco, widziałam, jak mu głowa odskoczyła. I to jedną ręką, Bruno nie musiał nawet odłożyć twoich rzeczy.

Isobel jęknęła. Nagle nie mogła oddychać. Pokój wokół niej wydawał się kołysać. Skuliła się, a dłoń trzymająca telefon osłabła.

– I chyba wtedy się zaczęło.

O Boże. To nie wszystko? Musiała usiąść. Opadła na róg łóżka, czekając na najgorsze. Czego się zaraz dowie? Jeśli Varen dzwonił z pracy, to znacząco, że czuł się przynajmniej w miarę dobrze. Skoro był w pracy, nie trafił do szpitala, prawda?

– No – ciągnęła Gwen, zniżając głos – powiem ci tylko, że kiedy uderzył w te szafki... szafki oddały.

– Jak to oddały?

Przez chwilę w słuchawce rozbrzmiewał tylko szum. Isobel przycisnęła ją do ucha, drugie ucho zatykając palcem. Przechyliła głowę i kolejna fala szumów dotarła do jej błony bębenkowej.

– Szafki... huknęły – powiedziała tamta. – Jedna po drugiej. Wszyscy padli na podłogę, bo brzmiało to jak ostrzał... przysięgam. Widziałam, jak wokół latały zamki. To wydarzyło się bardzo szybko... jakby coś uruchomiło jakąś wariacką reakcję łańcuchową – dodała, jakby już rozpatrywała tę teorię w swojej głowie – bo zaczęło się z drugiej strony korytarza. Przestało dopiero, jak doszło do twojej szafki. Zatrzasnęła się... sama. A Goliat, chociaż próbował, nie mógł otworzyć jej z powrotem.

– Gwen – odezwała się Isobel. Jej wzrok spoczął na książce Poe'go, wciąż leżącej na dywanie. Kopnęła ją pod łóżko. – Zmyślasz.

– Przykro mi, ale nie jestem aż tak pomysłowa.

– Czy ktoś cię podpuścił, żebyś do mnie zadzwoniła i mówiła te wszystkie rzeczy?

– Słuchaj – odparła tamta. – Nie dzwonię dla jakiegoś wygłupu. Dzwonię, bo dzieje się coś bardzo dziwnego, a ponieważ wydarzyło się to w bezpośredniej bliskości twojej szafki, pomyślałam, że może chcesz wiedzieć.

Jakiś chrobot sprawił, że Isobel odwróciła się w stronę okna.

– Oczywiście – paplała dalej Gwen – gdybym wiedziała, że zostanę oskarżona nie tylko o kłamstwo, ale jeszcze o spisek, zrobiłabym inaczej. Opisałabym to wszystko w artykule i oddała do gazetki szkolnej.

– Ćśśś! – syknęła Isobel. – Gwen, ćśśś!

Dźwięk rozległ się znowu. Cichy zgrzyt.

– Nie uciszaj mnie. Wiesz, nie musiałam do ciebie dzwonić. Mam lepsze rzeczy do roboty. Na przykład pracę domową z trygonometrii.

– Nie, Gwen – powiedziała Isobel. Zniżyła głos, w miarę jak chrobot narastał. – Coś słyszę.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Gwen? – zagadnęła Isobel, pełna obaw, że tamta się rozłączyła.

– Jestem, chociaż zaczynam się zastanawiać po co.

– Słuchaj – powiedziała, gdy zza zaciągniętej rolety dobiegł kolejny odgłos. – Wierzę ci. W sumie działo się sporo dziwnych rzeczy. Ale teraz nie mogę ci o tym opowiedzieć, bo zdaje się, że coś jest za moim oknem.

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Isobel wytężyła słuch.

– Może chcesz, żebym zadzwoniła na policję czy coś? – szepnęła Gwen.

– Nie, na razie nie. Słuchaj, chcę, żebyś została na linii, a ja spróbuję spojrzeć. To może być tylko... no, wiesz, ptak czy coś.

– Ptak? Wygłupiasz się?



– Nie – mruknęła Isobel, rozkojarzona chrobotem, który rozbrzmiewał znowu, tym razem bliżej. Coś szurało o jej parapet. Cokolwiek to było, zdawało się znacznie większe niż ptak. – Czekał – powiedziała. Podkradła się bliżej, mocno przyciskając telefon do ucha, a palcami drugiej ręki sięgając do rolety.

– Isobel? Co się dzieje? Jesteś tam czy nie?

Niczym zahipnotyzowana dużym czarnym kształtem, przesuwanym się za krawędziami szyby widocznymi wokół rolety, patrzyła, jak jej dłoń nadzwyczaj spokojnie przybliżyła się do okna. Palcem leciutko odchyliła skraj płótna i zmrużyła powieki, próbując przez światło odbite od szyby wyrzec w zmierzch.

Chuda, pająkowata ręka, niemal świecąca w półmroku na biało, załomotała w szkło. Isobel wrzasnęła i cofnęła się, padając na dywan. Roleta poleciała w górę. Telefon wypadł jej z ręki i wylądował poza zasięgiem.

Raz po raz słyszała odległy, oszalały głos Gwen, wołającej ją po imieniu.

Przez ciemny kwadrat okna Isobel patrzyła w przerażeniu na błądzą, świetlistą twarz, która odwzajemniła spojrzenie.



## Odwiedziny

Varen! – Isobel zerwała się z podłogi. Podbiegła do okna. Wymacawszy zamek, odciągnęła rygiel, wsunęła palce w rowki i szarpała w górę.

Kucał niepewnie na pochyłym dachu i patrzył na nią, a jego spokojna, pozbawiona wyrazu twarz znajdowała się na poziomie jej oczu. Z każdym spojrzeniem, każdym spotkaniem ich oczu te chłodne, otoczone cieniem do powiek kawałki nefrytu wwierały się w nią, jakby małe elektrody posyłały impulsy przez jej wnętrzności.

– Isobel! Isobel! – rozległ się gdzieś z tyłu cichutki, napięty, brzęczący głos. – Isobel, dzwonię na policję.

– Oj! – Obróciła się, pokazując gestem „czekaj” w stronę okna, po czym schyliła się po słuchawkę.

– Gwen – powiedziała – to Varen. Muszę kończyć.

– O mój Boże. Dobra... ale potem do mnie zadzwooo...

Biiiip.

Isobel odrzuciła telefon i skoczyła, by znowu zмагаć się z oknem. Ciągnęła i szarpała, aż uniosło się o centymetr, wpuszczając chłodny wieczorny powiew. Wsunęła dłonie pod spód, gotowa poderwać okno w górę, zamarta jednak, poczuwszy, że jego palce, zimne od październikowego powietrza, wciskają się obok.

Jej oddech zamarł. Znowu pojawiło się to wrażenie elektrycznego napięcia, delikatne brzęczenie w miejscu zetknięcia się ich skóry.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i aż podskoczyła. Obróciła się, uderzając plecami o okno. Na zewnątrz coś się poruszyło, rozległo się przekleństwo, a potem przeciągły chrobot.

– Isobel? – Był to ojciec.

– Nie teraz! – krzyknęła niedorzecznie głośno i nerwowo. – Chwileczkę! – Odwróciła się i znowu spojrzała na okno, gdzie zobaczyła Varena, który zsuwał się po pochyłości dachu głową naprzód. Ciągnął za sobą jakąś torbę, którą wciąż ścisnął w zbieletej dłoni.

Zasłoniła usta, aż stłumiony krzyk przybrał postać pisku. Zwalczyła chęć zamknięcia oczu i patrzyła z przerażeniem, jak chłopak przybliżył się do krawędzi. Torba zahaczyła o krzywą dachówkę i wypadła mu z ręki. Zsunął się na skraj dachu, lecz w ostatniej chwili obcasami zaczepił o rynnę, rozkładając ręce na boki.

Zatrzymał się. Isobel znowu odetchnęła.

Pukanie do drzwi zabrzmiało tym razem natarczywiej.

– Isobel, wszystko w porządku?

– Świetnie! – odkrzyknęła. Postawiła nogę na parapecie, podciągnęła się i złapała roletę, ściągając ją. – Tylko... daj mi chwilę, dobra? – Rozsupłała węzły na firankach i ściągnęła je razem. Skoczyła przez pokój i zaczęła grzebać w szafie. Zerwała z wieszaka różowy szlafrok, narzuciła go na siebie i byle jak przewiązała się w pasie. Podniosła kołnierz, by tata nie zobaczył koszulki, podreptała do drzwi i uchyliła je.

– Tak? – spytała, starając się, by jej głos brzmiał normalnie.

Tata podszedł bliżej i wsunął czubek buta między drzwi a framugę. Isobel napała na drzwi. Popatrzył podejrzliwie, potem zajrzał dalej, ponad jej głowę.

– Tato – powiedziała – Idę pod prysznic.

– Aha – mruknął. Kłamstwo zdało egzamin i ojciec się odsunął, cofając but. – Zdawało mi się, że krzyczałaś.

– Rozmawiałam przez telefon – odparła, zawczasu przygotowawszy tę wymówkę.

– Wszystko w porządku?

– Tak! – uśmiechnęła się.

– Okej. – Wsunął ręce do kieszeni, ale wciąż nie odchodził.

– Okej – powtórzyła jak echo i nacisnęła na drzwi.

– Powiedz – zaczął, znowu blokując je stopą – nie słyszałaś przypadkiem czegoś na dachu? Mama mówi, że chyba znowu hałasował ten szop.

– Nie! – odpowiedziała szybko, może zbyt szybko. Starła się zrobić wrażenie, że nic nie wie. – Nie – powtórzyła. – Nic.

– No to – powiedział – mogę wyrzeć?

– Tato! – wrzasnęła. Pchnęła jego stopę swoją, po czym zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. – Poczekaj, aż wejdę pod prysznic! Jestem goła!

– Dobrze! Dobrze! Poczekam, poczekam!

Isobel stała jeszcze chwilę przy drzwiach, przyciskając do nich ucho i nasłuchując. Usłyszawszy ciche szuranie, leciutko je uchyliła i zobaczyła, że ojciec człapie w dół schodów i mruczy coś pod nosem.

Zamknęła drzwi na zasuwkę, po czym podeszła znowu do okna i otworzyła.

– Co robisz? – syknęła w ciemność.

Widziała go nad krawędzią dachu, pełzł powoli niczym krab z powrotem w kierunku jej okna, aż oddalił się od skraju przynajmniej o pół metra.

Isobel przykucnęła na parapecie i wychyliła się z okna w ostre powietrze, a lodowaty wiatr chłostał jej włosy, gdy patrzyła, jak chłopak się podnosi.

Zaczął iść bokiem po nachylonym dachu w jej stronę, ostrożnie stawiając stopy, jedną za drugą, i poruszając się ze zwinnością lino-skoczka.



Nic nie powiedział, gdy się zbliżył, a jego kruczoczarne włosy poruszały się lekko na wietrze. Pochylił się i podniósł małą nylonową torbę chłodziarkę, która zaczepiła się o przekrzywioną dachówkę. Gdy podszedł wystarczająco blisko, chwycił się parapetu i podciągnął. Przez krótką chwilę znaleźli się twarzą w twarz. Ich oczy się spotkały.

Po chwili oderwał od niej wzrok, obrócił się i usiadł, pobrzękując łańcuchami i trzymając kolana wysoko.

Patrzyła na niego bez słowa, gdy układał torbę między swoimi butami, jakby przygotowywał się do pikniku czy coś podobnego. Przez głowę przemknął jej obraz szpitalnych woreczków z krwią wraz ze słomkami jak od soków w kartonikach.

Rozprostowawszy nogi, starała się przybrać jak najwygodniejszą pozycję po zewnętrznej stronie parapetu.

Nieokreślony ładunek elektryczny wisiał w powietrzu między nimi i przez jakiś czas żadne nic nie mówiło. Kolejny podmuch zatrzęsł gałęziami drzew i wypełnił powietrze ostrym zapachem zwiędłych liści i dymu z komina.

W końcu usłyszała, jak Varen otwiera suwak torby, i zobaczyła, że wyciąga niewielki walec.

– Pomyślałem, że może masz ochotę na jakieś paskudne lody – powiedział.

Isobel wbiła oczy w karton i coś w jej wnętrzu pękło. Czuła to – istna lawina. Zalała ją fala ciepła, aż koniuszki jej palców zapłonęły wskutek kontaktu z lodowatym opakowaniem, które wzięła w rękę.

W bladym świetle sączącym się z jej pokoju dostrzegła małpki bujające się na lianach na pudełku. BANAN I TOFFI – głosiła etykieta. Poczowała ukłucie, uświadomiwszy sobie, że on naprawdę pamięta.

Następnie wyciągnął łyżeczkę i patrzył na nią zza krzywizny białego plastiku z intensywnością, która ją przeraziła. Ogarnęło ją dziwne



uczucie, przenikające całe ciało, jakby właśnie zaczęła jazdę kolejką górską – taką, która z pewnością miała wiele pętli.

Powoli wzięła łyżeczkę gestem, jakby unosiła jakiś ogromny ciężar, którego jeszcze dobrze nie rozumiała. Jego oczy odwróciły się i została uwolniona.

W kąciку jej ust zagościł uśmiech zaciekawienia, gdy patrzyła, jak chłopak otwiera swoje opakowanie. Z torby wyciągnął drugą łyżeczkę, po czym bez słowa zanurzył ją w lodach.

Isobel też wzięła kęs, rozkoszując się połączeniem smaków.

Nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni, od smukłych palców, w których ruchu kryła się specyficzna gracia. Srebrne pierścienie połyskiwały w świetle z okna. Skupiła się na jego kłykciach, po czym przetłknęła ślinę, by przemówić.

– Dzwoniła Gwen Daniels – wypaliła, przerywając ciszę, która stała się nieznośna, przynajmniej dla niej. – Powiedziała, że próbowałaś powstrzymać Brada przed zabraniem rzeczy z mojej szafki. To dlatego do mnie dzwoniłeś?

– Częściowo – przyznał.

– I dlatego teraz przyszedłeś?

– Nie.

– Aha. – Ścisnęło ją w żołądku. Czekala, aż powie coś jeszcze, lecz się nie odezwał. Opuściła wzrok na swoje lody i zaczęła grzebać w nich łyżeczką, rzeźbiąc małe ścieżki i pagórki.

– No bo powiedziała, że on... yyy... Dobrze się czujesz? – spytała.

Skrzywił się i wydawał się szczerze urażony. Odpowiedziała spojrzeniem, nie cofając pytania, choć Varen najwyraźniej zamierzał uparcie udawać, że go nie słyszał.

– Gwen mówiła – Isobel ostrożnie badała grunt – że coś dziwnego stało się ze wszystkimi szafkami. Czy... czy to widziałaś?

Twarz mu pociemniała. Odwrócił od niej spojrzenie.

– Nie wiem, o czym mówisz – mruknął, biorąc do ust kolejną grudkę lodów.

Dobra, pomyślała. W takim razie jeszcze nie zapaści się na ten teren.

– Wiesz, po co chciał wziąć moje rzeczy?

Przestał dłużyć w lodach i popatrzył na nią przez postrzępione kosmyki włosów.

– Myślałem, że ty wiesz.

Pokręciła głową. Znowu zjadła trochę lodów, a potem, drżąc, odstawiła je na parapet obok siebie. Zsunęła się z okna i opuściła się na dach obok niego, w pełni teraz świadoma, że dzielą ich ledwie centymetry.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła.

Wetknął tyżeczkę w lody, po czym, postawił je na parapecie. Uniósł brwi z wyczekiwaniem, a może nawet z lekką ciekawością.

– Wczoraj coś mi się śniło – ciągnęła, na poły zaskoczona, że poświęcił jej całą uwagę bez zwykłego lekceważącego komentarza. – O Poem... jak sądzę – dodała.

Jego chłodny wyraz twarzy nie zmienił się.

– O Poem?

– Tak. – Skinęła głową, przygryzając dolną wargę, obawiając się, że może jednak zostać z tą sprawą sama.

– Co się stało? – spytał, najwyraźniej traktując ją wystarczająco poważnie, chociaż może sprawiło to jej spojrzenie, szeroko otwarte oczy, błagające, by uwierzył.

Jego pytanie było sygnałem, na który czekała.

– Twoja książka Poego – powiedziała, po czym urwała, bo uświadomiła sobie, że jeśli chce powiedzieć resztę, to musi przyznać, że wyrzuciła ją do śmieci. Może należało nieco zmienić fakty i powiedzieć, że ją zgubiła.

Wtedy powstrzymało ją coś jeszcze. Z wnętrza pokoju znowu dobiegło pukanie do drzwi.

– Isobel? – zawołała mama. Co to miało być? Wieczór kontaktów rodziców z córką?

– Uch! – jęknęła, wychylając głowę nad parapetem. Pomiędzy dwoma opakowaniami lodów widziała, jak porusza się klamka w drzwiach.

– Idź – powiedział.

Zerknęła na niego, w samą porę, by ujrzeć, jak wtapia się w cień na dachu. Wyciągnięte nogi skrzyżował w kostkach, a czubki butów stały się jedyną jego częścią widoczną w snopie światła, które sączyło się z okna.

– Poczekam.

– Isobel? – zawołała znowu matka. – Dlaczego drzwi są zamknięte?

Starając się wyglądać przy tym jak dama, Isobel przeczołgała się z powrotem przez okno i zamknęła je najciszej, jak potrafiła. Zaciągnęła roletę, by zasłonić lody, po czym otworzyła drzwi.

– Isobel, co ty...

– Próbuję się przygotować, żeby wziąć prysznic.

Mama przez chwilę patrzyła na nią dziwnie z koszem z brudnymi ubraniami Danny'ego wciśniętym pod pachę. Zdobyła się na półuśmiech i powiedziała:

– Chyba naprawdę czujesz się już lepiej, skoro mi się odszczekujesz.

Isobel zmarszczyła brwi, doznając poczucia winy na widok słabo maskowanej ulgi matki, że córka wróciła ze świata zombie.

– Nie odszczekuję się – odparła. – O co chodzi?

– Przyszedł Brad. Przyniósł twoją pracę domową.



*Bez zaproszenia*

Zastała Brada przy stole kuchennym. Tata siedział naprzeciwko, a między nimi piętrzyły się osławione już książki i segregatory z jej szafki.

Zdjąwszy szlafrok i narzuciwszy zbyt duży sweter, zeszła ukradkiem po schodach, nasłuchując głosu Brada. Poprzez dźwięki z telewizora nie mogła jednak rozróżnić żadnych słów, a teraz, gdy stanęła w drzwiach i gromiła go wzrokiem, zastanawiała się, jak wiele powiedział. Czy wspomniał o Varenie? Z wyrazu jego twarzy, z tego głupkowatego uśmiechu, wnioskowała, że tylko gawędził z jej ojcem. Słuchał, jak tata wspomina swoje futbolowe wyczyny, może nic poza tym.

– Isobel – zaczął ojciec ostrożnie, bo najwidoczniej spostrzegł jej minę.

Wykrzywiona twarz dziewczyny stężała, bo stało się jasne, że półtora roku całowania tyłka jej ojcu miało się właśnie Bradowi opłacić. A chłopak, siedzący tam z błyskiem w oku, dobrze wiedział, że tak właśnie będzie. Wiedział, że najpewniej nie powiedziała rodzicom o ich rozstaniu. Myśl, że tak dobrze przewidział jej posunięcia, wkurzała ją do tego stopnia, że miała ochotę złapać coś ze ściany i w niego rzucić. Sprawa jeszcze się pogorszyła, gdy odezwał się tata.

– Uspokój się. Brad przyniósł tylko pracę domową.



– Tak. – Utkwiła spojrzenie w zwodniczo przystojnej twarzy. – Dzięki, bardzo uprzejmy z ciebie chłopak. A teraz idź już, proszę.

– Isobel – warknął ostrzegawczo ojciec. Zawsze określał Brada jako „bardzo dobrego chłopaka” i być może posunęła się trochę za daleko, z sarkazmem parafrazując jego słowa. – Słuchajcie, nie wiem, co się z wami dzieje – powiedział, po czym oparł się o stół między nimi, niczym sędzia odgwizdujący faul. – Ale, Isobel... – wyciągnął w jej stronę oskarżycielski palec, nienawidziła tego – w tym domu nie mówimy tak do gości, bez względu na to, kim są.

– Ale...

– Nie chcę tego słuchać – stwierdził, podnosząc rękę. – Wyjdę teraz z kuchni, bo niezależnie od tego, co jest grane, musicie to wyprostować. – Wykonał nieokreślony gest. – Ale musicie przebywać razem wystarczająco długo, by zrobić to cywilizowanym tonem. Jeśli usłyszę jakieś krzyki – zwrócił się wyraźnie do Isobel – Brad pójdzie do domu, a ty dostaniesz szlaban na kolejny tydzień. Zrozumiano?

Z uporem patrząc przed siebie, z uniesionym podbródkiem pokiwała głową, nie ufając sobie na tyle, by udzielić ustnej odpowiedzi.

Po tych słowach ojciec przeszedł obok niej do salonu, gdzie telewizor zaczął grać nieco głośniej, i została z Bradem sama.

Patrzyli na siebie i Isobel czekała, aż on odezwie się pierwszy. Chciała dokładnie wiedzieć, o co chodzi, zanim wyciągnie jakieś wnioski. Po chwili odsunął krzesło i wstał, nadal w kurtce, co zauważyła z zadowoleniem. Może oznaczało to, że nie zamierzał zabawić zbyt długo.

– Domyśliłem się, że im nie powiedziałaś – oznajmił z uśmiechem.

– Nie martw się, załatwię to.

– Przyszedłem pogadać.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Złożyła ręce przy ciele. Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył, jakby oceniał szkody, które poniosła.

– Hej – powiedział głośniejszym głosem, z gniewem na twarzy i ogniem w ostrych niebieskich oczach. – Próbuję cię ostrzec na temat tego swira, z którym kręcisz.

Isobel poczuła, że twarz jej płonie. Podbiegła ku niemu i pchnęła go w kierunku tylnych drzwi. Stał jak przyśrubowany, znowu z tym drwiącym uśmiechem. Rzuciła nerwowe spojrzenie przez ramię, w stronę salonu, a potem się wykrzywiła. Odpuściła, wiedząc, że łatwiej byłoby jej przesunąć drzewo, i przeszła obok. Zapaliła światło na ganku, po czym otworzyła tylne drzwi i wyszła w chłodną noc.

Skrzyżowała ramiona, tym razem z powodu zimna, i otuliła się swetrem, czekając, aż chłopak sobie pójdzie. Nie spieszył się, demonstracyjnie zamykając za sobą drzwi, gdy wychodził wolnym krokiem. Patrzyła, jak wyciąga papierosa ze zmiętej paczki w wewnętrznej kieszeni kurtki. Gdy go zapalał, uśmiechnęła się szyderczo.

– To teraz palisz w domu moich rodziców?

– Naskarżysz na mnie?

– Czego chcesz?

Zaciągnął się papierosem, trzymany między kciukiem a dwoma palcami, w zamyśleniu mrużąc oczy. Na chwilę zatrzymał dym w płucach, po czym wypuścił go z westchnieniem.

– To się robi naprawdę cienkie, Izo – powiedział i oparł plecy o ceglana ścianę pod lampą na ganku. – Musisz po prostu o tym zapomnieć.

– O czym konkretnie?

Drwiący uśmiechek pojawił się znowu, gdy strzepnął popiół na werandę.

– Rzucił cię przy całej szkole, Iz – stwierdził. – Pogódź się z tym, wczoraj po prostu kazał ci spadać.

Jej brwi uniosły się z niedowierzaniem.

– Więc o to chodzi?

– Słuchaj – ciągnął. – Może jutro po prostu znowu z nami usiądziesz, a ja dam wszystkim znać, że możemy zapomnieć o całej sprawie.

– Co?

– Nie będę się już nawet czepiał tego pedzia, jeśli to cię uszczęśliwi.

– Między nami koniec. Akurat ty powinieneś to rozumieć. A poza tym co z Nikki?

Znowu przytknął papierosa do ust, zaciągnął się, jakby tylko to mogło go powstrzymać od uśmiechu. Wzruszył ramionami i zamrugał z leniwą obojętnością.

– Ale z ciebie palant. – Odwróciła, gotowa wejść z powrotem do domu.

– Powiem Alyssie, żeby się uspokoiła. Niech wyluzuje, żebyś mogła odzyskać miejsce w drużynie.

Odwróciła się, by znowu na niego spojrzeć.

– Słyszysz to, co mówisz? Próbujesz mnie przekupić, żebym była nadal twoją dziewczyną? Nie sądzisz, że to dość żałosne?

– Twoje miejsce jest wśród nas – powiedział. – Nieważne, czy jesteś moją dziewczyną, czy nie.

– Nie, Brad. Wcale nie. – Pokręciła głową, trochę przecząco, a trochę z niedowierzaniem. Czy on w ogóle wiedział, jak to brzmi?

– Uważasz, że powinnaś być z nim?

– Nie jestem z nikim.

– Słyszałem co innego.

– Słyszysz to, co chcesz.

W tym momencie zmarszczył czoło.

– Izo! – Rzucił papieros i zgasił go czubkiem buta. Podszedł. Nie cofnęła się i patrzyła na niego podejrzliwie, gdy się zbliżył na tyle, by poczuła zapach jego wody kolońskiej, pomieszanej z dymem tytoniowym i gumą miętową, którą zawsze żuł, żeby mama się nie domyśliła. – Ten gość jest totalnym świrem.

– Przestań tak o nim mówić.

– Słuchaj – powiedział i przysunął się, a twarz mu lekko stężała.

– W tym wszystkim coś nie gra. Zrobił ci pranie mózgu albo coś.



Poczuła, że cała się jeży od jego bliskości, i chciała się cofnąć, oddalić od znajomego zapachu i niskiego, opiekuńczego głosu, ale on właśnie tego chciał. Wyczuwała to. Chciał wiedzieć, że ciągle ma na nią wpływ, że ma nad nią władzę.

Nachylił się i pocałował ją w szyję.

Zesztywniała.

– Przestań – ostrzegła.

Woń tytoniu wypełniła jej nozdrza, a jego wargi podażyły do jej podbródka. Czuła ręce, oplatające ją w talii, przyciskające ją do niego.

– Nie, Brad – zdołała zaledwie pisnąć. Podniosła ręce, przyciskając dłonie do jego kurtki. Pchnęła go, odchylając się w tył, lecz nie dość daleko. – Przestań, powiedziałam!

Przycisnął usta do jej ust.

Wydała stłumiony dźwięk, tak bliski krzyku, jak tylko mogła, chociaż wiedziała, że nie ma szans, by ojciec usłyszał ją przez ryk telewizora. Gdyby tak wszedł do kuchni i wyjrzał przez okno. Wtedy by zobaczył i wiedziałby, jaki Brad potrafi czasem być. Szarpnęła się, gotowa ugryźć jego dolną wargę, gdy nagle napiął mięśnie i się cofnął.

– Co to było?

– Puszczaj! – warknęła, wyrrywając się i odpychając go z całej siły, choć zdołała jedynie pognieść mu kurtkę. – Co z tobą?

Syknął, by się uciszyła, i przechylił głowę, nasłuchując. Z góry dobiegł ciężki chrobot.

– Znowu – mruknął.

Jej oczy się rozszerzyły. Varen. Widocznie z dachu usłyszał ich kłótnię. Co robi? Idzie w tę stronę? Zwariował? Jej umysł rozpaczliwie szukał sposobu na odwrócenie uwagi.

– Ale z ciebie palant! – zawołała jak najgłośniej.

Brad błyskawicznie odwrócił ku niej głowę, badawczo przyglądając się jej gniewnymi błękitnymi oczami.

Zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył.



– Idź sobie! – krzyknęła znowu, wiedząc, że lada chwila ktoś się pojawi.

Brad najwyraźniej też to wiedział, bo bez zwłoki zaczął schodzić z ganku. Uniósł palec i wycelował w nią, wciąż się cofając.

– Zobaczysz – powiedział. – Zobaczysz. A tymczasem powiedz lepiej temu pedziowi, że go zabiję. Powiedz, że zatłukę go za to, co zrobił, bo wiem, że to on. Powtórz mu to ode mnie, dobrze, Iz?

Isobel patrzyła za nim z przerażeniem, niedowierzaniem i narastającą dezorientacją. Co zrobił?

Usłyszała za plecami otwierające się drzwi, a potem głos matki.

– Isobel, wracaj do środka. Nie powinnaś w ogóle wychodzić po tej chorobie.

Dziewczyna stała bez ruchu, patrząc za Bradem, który odwrócił się i skierował ku frontowi domu, gdzie bez wątpienia zaparkował swojego mustanga.

Mustang. Czemu nie słyszała samochodu? Odwróciła się, przebiegła obok mamy, przemierzyła salon i wpadła do kuchni, gdzie skończyła do okna. Rozsunęła zasłony i zobaczyła, jak Brad wsiada do innego samochodu – poznała eleganckie, czarne bmw jego mamy.

Odwróciła się i ujrzała ojca, który wstał właśnie z fotela, gdzie przedtem leżał rozparty. Gromił ją wzrokiem, a telewizor był wyciszony.

– Gdzie mustang Brada?

Zmrużył oczy.

– Nie pytałem – odparł spokojnie – bo wczoraj mi powiedziałaś, że jest w warsztacie.

– Zapomniałam – mruknęła i obróciła się ku schodom. – Idę się położyć.

– Właśnie miałem ci to doradzić – powiedział i z powrotem włączył dźwięk w telewizorze.

Isobel znowu zatupotała na schodach, unikając spojrzenia Dannya'ego, który do połowy wychylał się ze swojego pokoju.

– Oho, ktoś ma kłopoty...

Zatrzasnęła drzwi, odgradzając się od niego, a potem zatrzymała się i serce jej podskoczyło na widok Varena Nethersa, przycupniętego na rogu jej rozgrzebanego różowego łóżka z zeszłorocznym albumem zdjęć czirliderek rozłożonym na kolanach.

– Co ty wyprawiasz?! – Panika pchnęła ją naprzód, dodając jej odwagi, by wyrwać album z jego rąk.

O Boże, pomyślała, spoglądając na stronę, na której otworzył. Widział zdjęcie z zeszłorocznej imprezy drużyny, na którym Isobel wypychała sobie do ust cały kawałek pizzy z ananasem.

– Robi wrażenie – powiedział, kładąc się na jej łóżku i podpierając łokciami.

Przycisnęła album do piersi i odwróciła się, nie chcąc, by zobaczył intensywną czerwień na jej twarzy.

– Co się z tobą dzieje? – wydyszała. – Nie można tak po prostu wparować w osobistą przestrzeń jakiejś osoby i grzebać w jej rzeczach!

Pomaszerowała do szafy i wrzuciła album do środka.

– Naprawdę? – spytał irytującym, monotonnym głosem.

Odwróciła się, zobaczyła, że na nią patrzy, rozbawiony jakimś wewnętrznym żartem, i jej żołądek wykonał kilka fikołków na widok tego chłopaka rozłożonego na jej łóżku. Czarne na różowym. Podniosła oczy do sufitu, próbując wziąć się w garść.

– Czemu wypadłeś z drużyny?

Znowu poczerwieniała, bo potwierdziły się jej podejrzenia, że sły-szał rozmowę z Bradem.

– Sama zrezygnowałam – warknęła. – Skoro już słyszałeś...

– Słyszałem wszystko – przyznał.

Znowu to robił. Obserwował ją intensywnym, przenikliwym spojrzeniem, które nie do końca rozumiała. Czowała się od tego nerwowa, zagubiona i spięta. Zdawszy sobie sprawę, że splata dłonie, opuściła rękę.

– No to słyszałeś też, że przez jakiś czas raczej powinieneś trzymać się z dala od Brada.

– Tym bardziej że zwykle tak często się spotykamy.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie wiem, co zrobiłeś, że tak się wkurzył, ale... no, wkurzył się.

– Zabawne jest to – powiedział, siadając, na oko nieporuszony groźbami Brada ani jej ostrzeżeniami – że ja też nie wiem.

Wstał i podniósł kołnierz swojej zielonej kurtki. Zesztywniała, widząc ten gwałtowny ruch. Zauważył to i znieruchomiał, by na nią popatrzeć.

Odwróciła wzrok, pocierając rękę. Po prostu czasami był taki władczy... i nieprzewidywalny. To było nierealne, że tak stoi w jej pokoju.

– Zrób coś dla mnie, dobrze? – Podeszedł do okna.

– A co?

– Posłuchaj własnej rady.

– Co masz na myśli? „Posłuchaj własnej rady”?

– Mam na myśli to – odrzekł, podając jej opakowanie nieco już rozpuszczonych lodów bananowych z toffi, drugie zaś pakując do torby – że przez jakiś czas powinnaś trzymać się z dala od swojego byłego.

Przechyliła głowę i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. W ten sposób zrobi coś dla niego?

– Varen?

– Isobel.

Przebiegł ją zimny dreszcz, wywołany sposobem, w jaki wypowiedział jej imię, poświęcając uwagę każdej sylabie, przez co zabrzmiało tak uroczyście, wręcz monarszo. Wstał, odwrócił się do niej plecami i chwycił framugę okna. Jego ręce pozostały naprężone, jakby wiedział, co się szykuje, lecz wciąż miał nadzieję, że zdoła uciec.

– Czemu... czemu przyszedłeś?

Odwrócił głowę, lecz ich oczy się nie spotkały. Jak zwykle, nie odpowiedział od razu.



– Bo miałaś rację – stwierdził w końcu. – Wczoraj miałaś rację. I chciałem mieć szansę, zasłużoną czy nie, żeby przeprosić. No to... po prostu przepraszam.

Z trudem przełknęła ślinę. Czy naprawdę właśnie ją przeprosił? Nachylił się, by usiąść okrakiem na parapecie.

– Chociaż teraz... – Znowu na nią patrzył oczami pełnymi mrocznej, ukradkowej radości. – Mogę ci obiecać, że już nigdy nie będziesz miała co do mnie racji.

Isobel odstawiła lody na toaletkę. Stała przy oknie i skierowała na niego wzrok i przemówiła.

– Nigdy?

Pierwszy raz, odkąd się spotkali, odkąd przydzielono ich do tego samego projektu, to on odwrócił wzrok, a nie ona.

Wtedy jego uwagę przyciągnęło coś na jej dywanie. Zmarszczył brwi i na jego czole pojawiły się bruzdy.

– Hej – powiedział, wdrapując się z powrotem do środka. Minał ją.

Oczy Isobel zrobiły się większe, podążając za nim, gdy podchodził do łóżka. Przykucnął i wyciągnął coś spod spodu. Na widok książki poczuła przyływ paniki. Odwrócił się i przez ramię zgromił ją spojrzeniem, podnosząc *Dzieła zebrane* Edgara Allana Poego. Stała jak wryta, w tym momencie zdolna się tylko gapić. Wstał i z karzącym wzrokiem położył książkę na szafce nocnej.

– Trochę więcej szacunku, proszę – powiedział i znowu przeszedł obok niej, by wspiąć się na okno.

– Czeka! – zawołała. Nie skończyła opowiadać mu o swoim śnie. Jak mogła zapomnieć? Jego obecność działała jak zaklęcie. A teraz wychodził i było już za późno. Zostawi ją samą z tą książką. – Nie możesz jeszcze iść. – Wyciągnęła rękę, ale powstrzymała się przed złapaniem go za ramię. – Muszę ci opowiedzieć sen. Nie zdążyłam ci powiedzieć, co się...

– Jutro – odparł i wymknął się na zewnątrz. Patrzyła, jak idzie po dachu, ale nie mogła zawołać za nim. Odwrócił się, gdy dotarł do



końca, po czym zszedł po pergoli jej matki, tak samo jak ona tego dnia, gdy wymknęła się na spotkanie z nim. Zanim zdołała wypowiedzieć kolejne słowo, by go zatrzymać, usłyszała cichy szcęk łańcuchów, gdy jego buty zetknęły się z gruntem.

*Pstra intryga*

Pomimo że następnego ranka Isobel wyjątkowo powoli szła na lekcję pana Swansona, jej serce waliło jak oszalałe. Łomotało w żebrach i pulsowało w uszach, a oczekiwanie ponownego spotkania z Varenem z każdą sekundą wzmagало napięcie.

Musiała się uspokoić, nie chciała przyjść zbyt wcześnie i siedzieć, sprawiając wrażenie, że na niego czeka. Z drugiej strony, nie chciała się spóźnić i w ogóle nie mieć szansy na rozmowę. Ale czy on z nią porozmawia?

Przycisnęła książki do piersi, jakby to mogło jej pomóc spowolnić puls. Nie wiedziała, czemu sprawa wydaje się jej tak poważna. W końcu chodziło tylko o lekcję.

Weszła do klasy z opuszczoną głową. Ruszyła prosto na swoje miejsce, ryzykując tylko szybkie spojrzenie w stronę krzesła Varena. Stało puste w swoim kącie.

Usiadła, po czym, mimo że mówiła sobie, by tego nie robić, zaczęła patrzeć na drzwi.

Uczniowie wchodzili do klasy. Krzesła się przesuwaly. Zegar na ścianie odmierzał minuty. Rozległ się dzwonek.

Miejsce Varena pozostawało puste, a Isobel miała wrażenie, że w jej brzuchu jakimś cudem zmaterializował się głaz.

Przez pierwsze dwadzieścia minut lekcji, gdy Swanson gryzmołił na tablicy, miała nadzieję, że on się tylko spóźni. Jej spojrzenie wciąż wędrowało z pozbawionych sensu notatek na drzwi. Potem jednak, po półgodzinie, ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie przyjdzie.

Raz po raz zastanawiała się, gdzie mógł się podziać. W umyśle odgrywała różne scenariusze, a w większości z nich ważną rolę odgrywał gniew pewnego byłego chłopaka.

W końcu zrezygnowała i odpuściła temat lekcji. Do końca patrzyła w rozkojarzeniu na nauczyciela, co jakiś czas rzucając okiem na puste krzesło Varena.

– No dobrze, pamiętajcie – dobiegł ją głos pana Swansona, gdy rozbrzmiał dzwonek na przerwę – że projekty i ich prezentacje mają być gotowe w ten piątek, wigilię Wszystkich Świętych, jestem zresztą pewien, że nie muszę wam przypominać. – Uśmiechnął się, gdy wszyscy zaczęli wychodzić, i zaczął mówić głośniej, by przekrzyczeć jęki uczniów, w tym Isobel. – Dla waszego dobra mam nadzieję, że nie okażą się zbyt straszne. I żeby potem nie było, że nie uprzedzałem: kto będzie nieobecny bez zwolnienia lekarskiego, ten obleje. Dotyczy to także jego partnera.

W korytarzu Isobel przystanęła, rozglądając się na prawo i lewo. Gdy nie dostrzegła jego zielonej kurtki ani czarnych włosów, znowu upadła na duchu. Gdzie on jest?

Weszła do stołówki z niezachwianym postanowieniem.

Stań w kolejce. Weź jedzenie. Zapłać. Zero kontaktu wzrokowego. Zero rozmów.

Gdy wyszła z kolejki, ruszyła prosto do pustego stolika, który poprzednim razem ominęła, i postawiła tacę na końcu, nie spoglądając na ekipę ani na gotów. Nie zamierzała dawać nikomu okazji, by choćby krzywo dziś na nią spojrzeć. Utkwiła wzrok w tacy i skupiła się na jedzeniu, wszystkie myśli zaś poświęciła przetrwaniu najbliższych dwudziestu minut.

Gdy podniosła do ust widelec z sałatką, na stoliku z brzękiem wylądowała druga taca. Isobel opuściła widelec i podniosła głowę.

Zza swoich sowych okularów Gwen gromiła ją wzrokiem.

– Co z tobą? – spytała. Zebrawszy szeroką spódnicę, by wsunąć pod stół chude nogi w legginsach, usadowiła się na ławie naprzeciwko Isobel.

Isobel otworzyła usta, niepewna, co powiedzieć. Czy Gwen całkiem serio chciała z nią siedzieć? Wezbrała w niej przejmująca wdzięczność i łzy omal nie napłynęły jej do oczu. Był to najmiłszy gest, jaki ktokolwiek wykonał wobec niej od ponad tygodnia.

– Co jest, upuścili cię na głowę, jak byłaś mała? – złościła się tamta. – Najpierw się rozłączasz. – Podniosła dłoń i pstryknęła palcami. – Nie oddzwoniasz, a potem rano nawet nie pojawiaasz się przy szafce, żeby powiedzieć, czemu nie oddzwoniłaś!

Isobel zaryzykowała spojrzenie w kierunku siedzącej na podłodze grupki, z którą, jak jej się zdawało, zazwyczaj jadała Gwen. Napotkała kilka zaciekawionych spojrzeń chłopaków o niechlujnym zarście i więcej niż kilka drwiących uśmiezków ze strony dziewczyn w bandanach.

– Halo, Ziemia do Isobel! – Gwen brzęknęła łyżką o tacę. – Czemu, do jasnej Anielki, nie oddzwoniłaś?

– O, przepraszam. Zapomniałam.

– No to ja zaraz „o przepraszam”, zapomnę, czego się dziś rano dowiedziałam.

– Czego?

Tamta się uśmiechnęła. Z zadowoloną miną skrzyżowała ramiona.

– Nie, nie powiem... – Przerwała jednak, a jej oczy zrobiły się okrągłe. Patrzyła na coś ponad ramieniem Isobel. – O rany.

Isobel obróciła się na swoim miejscu. Po całej stołówce przebiegł szmer. Wszystkie oczy skierowały się na pana Notta, zastępcę dyrektora, który wszedł przez dwuskrzydłowe drzwi z Bradem przy jed-



nym boku i mrocznej, znajomej postaci przy drugim.

– O nie – mruknęła Isobel. Oparła obie dłonie na stole i lekko się uniosła, by lepiej widzieć. Gdy go zobaczyła, przeszedł ją dreszcz ekscytacji pomieszanej z nerwowością. Przyjrzała mu się, szukając jakichś siniaków, krwi bądź dowodów na uszkodzenie czaszki. Jego twarz wciąż wydawała się równie doskonała, jak poprzedniego wieczoru, gładka i spokojna. Brad jednak stał wykrzywiony, z napiętymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w pięści.

Obaj chłopcy oderwali się od pana Notta i rozeszli w przeciwnych kierunkach, nie zwracając uwagi ani na siebie nawzajem, ani na niezliczone spojrzenia. Brad skierował się ku zwyczajowemu miejscu ekipy, Varen zaś minął swój stolik i ruszył prosto w jej stronę.

– O kurde bele. Idzie tutaj – szepnęła Gwen i zamachała rękami, wywracając swój kubek z jogurtem.

Isobel gwałtownie zaczerpnęła powietrza, patrząc, jak chłopak podchodzi.

Torebka śniadaniowa z brązowego papieru opadła na stolik.

– Mogę się dosiąść – powiedział. To nie było pytanie. Gwen w mgnieniu oka przesunęła się, by zrobić mu miejsce.

– Hej – rzucił do Gwen, opadając na ławkę obok niej, dokładnie naprzeciwko Isobel.

– Szalom – odparła, podnosząc dłoń.

– Co to, do diabła, jest? – spytał Varen. Ruchem głowy wskazał tacę Isobel.

Isobel siedziała przez chwilę oszołomiona, a w jej umyśle panowała pustka, gdy poczuła na nodze muśnięcie jego kolana.

– No... – Pokręciła głową. Czemu nie mogła jasno myśleć? Zerknęła na gęstą zawartość swojego talerza. Po prostu powiedz mu, co to jest. Proste. Popatrz i powiedz. – Sloppy Joe\* – zdołała z siebie wydusić.

– Hmm – mruknął z powątpiewaniem. – Niech spoczywa w po-

\* Potrawa z mielonego mięsa, cebuli i sosu pomidorowego lub keczupu. (przyp. tłum.)

koju.

– Nie chcę być niegrzeczna – wtrąciła Gwen – ale powiesz nam, co to miało znaczyć, czy nie? – Kciukiem wskazała drzwi, przez które weszli wraz z Bradem.

Oczy Isobel skierowały się na Varena. Gwen, w przeciwieństwie do niej, najwyraźniej była dość śmiała, by bez ogródek zadawać kluczowe pytania. Ta dziewczyna wywierała na niej coraz większe wrażenie.

Varen siedział bardzo spokojnie, omiatając Gwen tym miazdzącym wzrokiem, pod którym Isobel zawsze pragnęła wtopić się w otoczenie. Po niekończącej się chwili zamrugał powoli powiekami i odwrócił się znowu do Isobel.

– Wygląda na to – powiedział – że podczas wczorajszego treningu futbolowego ktoś przewrócił samochód twojego chłopaka na szkolnym parkingu.

– Co? – wykrzyknęły chórem Isobel i Gwen.

Kilka par oczu zwróciło się w ich stronę. Cała trójka opuściła głowy, skupiając się na jedzeniu. Gwen rozerwała na pół swoją kanapkę ze smażonym serem. Isobel dłubała widelcem w sałatce owocowej, a Varen wyciągnął z torebki plastikowy pojemniczek.

Isobel nachyliła się nad stołem.

– Pewnie o to mu chodziło wczoraj wieczorem – szepnęła.

Napotkała jego oczy i znowu coś zatańczyło jej w brzuchu. Kiedy tak na nią patrzył, miała wrażenie, że próbuje się z nią porozumieć za pomocą jakiejś formy telepatii. Był to język, który bardzo pragnęła rozszyfrować.

– Czemu o tym nie wiedziałam? – zastanawiała się na głos Gwen.

– I co? Twierdzi, że to ty? – Zanurzyła kawałek jabłka w jogurcie.

– Przez większą część ostatniej godziny siedziałem w gabinecie Fincha na przesłuchaniu. Z twoim byłem i jego starym, mówię ci, nieźła impreza – powiedział.

– Poważnie myślą, że mogłeś to zrobić? – spytała Isobel.

– No tak, próbowałem wyjaśnić, że moje moce umysłowe nie dzia-

łają we wtorki – powiedział, na co Gwen wydała się z siebie cichy, histeryczny, niemal lękliwy śmiech. Sztumiła go szybko, wpychając sobie do ust połowę kanapki naraz.

– Nie powiedziałaś im, co się stało w lodziarni?

– Fo fię fao? – spytała Gwen z pełną buzią.

Varen posłał Isobel ostrzegawcze spojrzenie.

– Powiedziałem, że byłem w pracy, kiedy to się stało. To powinno wystarczyć, prawda? – Umilkł. – Hmm – mruknął po chwili, skupiając uwagę na czymś za jej plecami. – Chwileczkę. – Wstał.

– Hej, czy to hummus? – Gwen chwyciła plastikowy pojemniczek.

– Wcinaj – odparł i odwrócił papierową torebkę. Na stół wypadł zamykany foliowy woreczek pełen chlebków pita.

– Ooo, wygląda na taki ubijany, jaki mama kupowała w delikatesach Cohena jeszcze na Brooklynie. – Gwen chwyciła kawałek pity i wydłubała grudę hummusu wielkości piłeczki pingpongowej.

Obejrzawszy się przez ramię, Isobel zobaczyła, jak Varen zatrzymuje ciemnowłosą Lacy o egipskich oczach, która, jak się zdawało, zmierzała prosto do ich stolika.

Poczuła, że nagle krew pod jej skórą staje się gorąca. W jakiś sposób ją drażniło, że stoją tam we dwoje. I wtedy ta dziewczyna wyciągnęła okrytą koronkową rękawiczką dłoń o miedzianej karnacji, by odgarnąć kilka kosmyków z jego ucha. Stała na palcach i nachyliła się bardzo blisko, by coś mu szepnąć, podczas gdy jej boskie oczy zerkwały w stronę Isobel.

Isobel znowu odwróciła się do Gwen, zwijając serwetkę w zaciskającej się pięści.

Było jej niedobrze.

Gwen pokręciła głową, usiłując pochłonąć pitę z hummusem.

– Mmm! – mruknęła, głośno przełykając. – Właśnie o tym miałam ci powiedzieć.

Na stolik padł długi cień. Gwen uciekła od niej spojrzeniem i za-



częła skubać kolejny kawałek pity.

– Możemy się spotkać wieczorem? Żeby popracować nad projektem? – spytał Varen.

Isobel odwróciła wzrok. Wzruszyła ramionami.

– Nadal mam szlaban.

Pod stołem dostała kopniaka w kostkę. Odpowiedziała kopnięciem, celując w goleń Gwen, ale spudłowała.

– Ale spróbuję – dodała wbrew sobie.

– Dobrze. Słuchaj – powiedział, wyciągając z tylnej kieszeni pomietą czerwoną kopertę. Isobel wiedziała, że to ta sama koperta, którą Lacy dała mu tego ranka, gdy zatrzymał się przy jej szafce. – Teraz muszę iść coś oddać, ale później cię znajdę.

– Jasne – powiedziała. Potem, gdy już odchodził, zawołała za nim: – Hej!

Odwrócił się.

– Czyli naprawdę zrobimy ten projekt?

Wzruszył ramionami, robiąc parę kroków do tyłu.

– Jeśli nie nastąpi jakaś nieprzewidziana katastrofa...

Skinęła głową, a on odwrócił się i ruszył między sprzątających tace drugoklasistów, którzy się przed nim rozstępowali.

– Dobra – powiedziała Isobel i wstała. Podniosła swoją tacę, na której spoczywał nietknięty Sloppy Joe. Popatrzyła na stołowy zegar. Zostało prawie dziesięć minut. Powinno wystarczyć.

– Poczekaj chwilkę. – Gwen zerwała się z miejsca i podążyła za Isobel, która zmierzała z tacą do okienka. – Zaczekaj na mnie! Muszę ci jeszcze powiedzieć... Dokąd idziesz?

Z Gwen depczącą jej po piętach Isobel pośpiesznie wyszła ze stołówki.

– Muszę coś zrobić.



*Głowa do góry*

Zaraz! – piszczała Gwen, pędząc za nią przez pusty korytarz, z plastikowym pojemniczkiem Varena w jednej ręce i nadgryzionym kawałkiem pity w drugiej. – Zaczekaj na mnie!

– Chodź, szybciej. Niedługo dzwonek, a ja nie wiem, czy dostanę od niej jakąś wiadomość.

– Od kogo? Isobel, słuchaj, oni zerwali!

Isobel zatrzymała się. Gwen ledwo wyhamowała i niemal na nią wpadła.

– O czym ty mówisz?

– Varen i madame Kleopatra – powiedziała Gwen, przeciągając głoski i dramatycznie trzepocząc rzęsami. – Dziś rano. Wiem od Trevora, który wie od Sary, która wie od Ellen, która powiedziała, że widziała, jak się kłócili.

Gwen oparła się o rząd szafek ze skrzyżowanymi ramionami.

– Ale wygląda na to – dodała – że od początku byli tylko pseudoparą.

Isobel popatrzyła na nią spod zmrużonych powiek, po czym obróciła się na pięcie i znowu ruszyła korytarzem.

– Pewnie, wyglądało to, jakby zerwali.

Usłyszała, że tamta znowu za nią pognęła.

– Dobra, nie wiem, o co chodziło w tamtej chwili, ale wiem na pewno, że nie są razem. Nie widziałaś jego reakcji, kiedy ona podeszła? Wyraźnie nie był zadowolony.

– A co mnie to obchodzi?

– Wszystko jedno! – odparła Gwen. Szeroki uśmiech wykwitł na jej twarzy, a wtedy Isobel poczuła się jeszcze gorzej. – Akurat. Strasznie się w nim zabujałaś. Znaczący, kto mówi „eee... yyy... ooo... Sloppy Joe”? Proszę. Przede mną tego nie ukryjesz. Wszystko wiem... Ej, co się w ogóle stało wczoraj wieczorem? Czy mi kiedyś powiesz? No ale, mój Boże, samochód Brada. Masz pomysł, kto mógł to zrobić? I o co chodzi z tą lodziarnią? Co się wydarzyło w lodziarni? Daj spokój, Isobel, musisz mi powiedzieć... Hej, czemu idziemy do sali gimnastycznej?

Isobel zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drzwiami i obróciła się, by znaleźć się twarzą w twarz z Gwen.

– Nikomu nie możesz powiedzieć.

– Czego? Że idziesz do sali gimnastycznej?

– Nie – odparła. – Znaczący... o Varenie.

– Co? Chcesz powiedzieć... że go lubisz?

– Przysięgnij – poprosiła Isobel. – Nie możesz nikomu powiedzieć. Gwen przybrała tajemniczy wyraz twarzy.

– I co, myślisz, że on też cię lubi?

– A ty?

Uśmiech tamtej stał się szerszy.

– Żartujesz? To znaczący, nie zauważyłaś, jak na ciebie zerka? Nie, pewnie nie zauważyłaś. Był w tym bardzo dobry. Aż się człowiek zastanawia, w czym jeszcze jest dobry. – Trąciła Isobel łokciem i rozpromieniła się. – A jak myślisz, dlaczego panna Morticia Adams stroi fochy? Ale nie bój się, nie powiem. – Uniosła pięść z wyciągniętym małym palcem. – Przysięgam na paluszek.

Isobel zawahała się i uniosła brwi, potem jednak zahaczyła swój mały palec o palec Gwen. Potrząsnęły dłońmi.

– Chodź – powiedziała.

Odwróciła się i pchnęła drzwi sali gimnastycznej. Gwen wpadła za nią do środka.

Isobel zastała trenerkę Anne w jej pokoju, słuchającą stacji ze starymi przebojami i pochyloną nad papierami. Podniosła wzrok dopiero, gdy Isobel zastukała w otwarte drzwi.

– Chcę wrócić do drużyny – powiedziała dziewczyna.

Zaciekawienie trenerki obecnością Gwen natychmiast minęło. Jej oczy rozbliły się, po czym zwęziły się i skierowały na Isobel. Odchyliła się na krześle i rzuciła długopis na biurko. Potarła twarz, jakby była zbyt zmęczona, by tego słuchać. Isobel stała nieporuszona, zdecydowana zrobić i powiedzieć wszystko, co potrzeba, byleby znowu skakać.

– Odeszłaś z drużyny, Lanley.

– A teraz chcę wrócić – odparła dziewczyna. – Postąpiłam źle. I głupio. Chcę jechać na rozgrywki krajowe. Chcę patrzeć, jak wygrywamy.

Trenerka z namysłem wydeła wargi.

Po szkole echem poniósł się dzwonek obwieszczający koniec przerwy.

– Zabieraj tyłek z powrotem do klasy, Lanley – powiedziała kobieta. – Masz dwie godziny na przygotowanie oficjalnych przeprosin wobec drużyny. I mają być w formie dopingu, zrozumiano?

– Tak! – wykrzyknęła Isobel i podskoczyła.

– Idźcie – rzuciła trenerka, machając ręką w stronę drzwi. – Nie piszę żadnych usprawiedliwień. Zabierajcie zadki do klasy.

– Idziemy! – ponagliła Isobel.

Razem wybiegły z sali i pomknęły na skróty przez dziedziniec. Wałające się liście szeleściły im pod nogami.

– *Issobel.*

Stała i obróciła głowę. Omiótł je powiew, niosąc szum zeschniętych liści i zalatujący spalenizną zapach jesieni.



– Co jest? – spytała Gwen, podbiegając do niej truchtem.

Wzrok Isobel padł na stołówkowy pojemnik na śmieci, gdzie zdawało jej się, że kogoś widzi. Potem spojrzała na dąb pośrodku dziedzińca. Dostrzegła jakąś ciemną, rozmytą plamę akurat w chwili, gdy znikwała za pnem. Usłyszała cichy szmer. Pobliskie stadko gołębi, dziobiących kawałek pizzy, odleciało z furkotem.

Odchyliła głowę, by popatrzeć na ich rwany lot. Osłaniając oczy przed słońcem, dostrzegła przez kilka ciemnych postaci, spoglądających na nią i na Gwen ze skraju dachu.

Niemożliwe.

Opuściła wzrok, cofnęła się, by mieć lepszy kąt widzenia, i popatrzyła znowu.

Teraz zobaczyła, że tym, co z początku wzięła za kontury ludzkich głów, były w istocie wrony. Siedziały na krawędzi dachu i grzebały dziobami w piórach, a ich łebki obracały się drobnymi, urywanymi ruchami.

Ktoś zachichotał.

– Co to było? – szepnęła Isobel.

– Ale co? – spytała Gwen. – I na co patrzysz?

Isobel zatoczyła powolny krąg, omiatając wzrokiem pusty dziedziniec i opustoszałe betonowe stoły, zasypane przeróżnymi śmieciami.

– Na nic. Po prostu...

W budynku rozległ się dzwonek.

– Zobacz, co narobiłaś. Przez ciebie się spóźnimy. Zadowolona? – powiedziała Gwen. Wzięła ją za nadgarstek i poprowadziła w stronę drzwi. Isobel posłusznie ruszyła za nią. W oszołomieniu spoglądała na dziedziniec i na budynek. Gdy dotarły do drzwi na jego przeciwnym końcu, mogła zerknąć na drugą stronę dębu i za pojemnik na śmieci.

Nic tam jednak nie było.



Tego popołudnia weszła do sali gimnastycznej ubrana i przygotowana. Miała na sobie ciemnoniebieski sportowy top i krótkie szorty z symbolem małego żółtego megafonu na nogawce.

Trenerka Anne ostro dmuchnęła w gwizdek.

– Dobra, dziewczyny – powiedziała, podnosząc rękę, by je uciszyć. – Siadajcie, Isobel chce coś powiedzieć.

Na to poniósł się szmer, a parę dziewczyn skrzyżowało ramiona, ale kolejny krótki dźwięk gwizdka sprawił, że drużyna posłusznie ucichła i zaczęła słuchać.

– To chyba żarty – jęknęła Alyssa.

Wziąwszy powolny, głęboki wdech, Isobel wymaszerowała przed niezbyt rozentuzjasmowaną publiczność. Alyssa, która znalazła miejsce obok Nikki, odwróciła się z dźwiękiem, który przypominał prychnięcie kotki. Oparła się o ławki trybun, krzyżując chude nogi i układając ręce na brzuchu.

– Możesz zaczynać, Lanley – oznajmiła trenerka. Z tymi słowami też zajęła miejsce na trybunach. Pochyliła się w przód i wsparła łokcie o kolana.

Isobel potoczyła wzrokiem po apatycznych twarzach koleżanek. Dobra, pomyślała, raz kozie śmierć.

Wyprostowała się, ukłoniła i gwałtownie opuściła ręce wzdłuż boków.

– Gotowe? Okej!

Rozpoczęła kroki, które zdążyła przećwiczyć tylko w głowie, starając się nie zważać na niedorzeczność sytuacji, w której sama krzyczy, ile sił w płucach.

*Ja nie chcę awantury,  
Nie chcę robić zadymy,  
Ale o pewnej sprawie  
Pogadać dziś musimy.*

*To źle, że namieszałam,  
Rzuciłam się z lapami,  
Bo nikomu nie wolno  
Bić się z czirliderkami!*

Teraz odwróciła się do Alyssy. Z kolanem w górze, pięścią wspartą na biodrze i jedną ręką w górze, opuściła palec i wycelowała prosto w nią. Rozpromieniła się w najszerszym uśmiechu, na jaki było ją stać.

*Sorki, że cię popchnęłam,  
Bo to nie był wypadek!  
Niewiele brakowało,  
Kopnęłabym cię w zadek!*

Po sali poniosło się chóralne „ooo”, zagłuszone po chwili ochry-  
płym rechotem. Zadowolona mina w jednej chwili zniknęła z twa-  
rzy Alyssy. Twarz jej poczerwieniała. Kątem oka Isobel dostrzegła  
błysk gwizdka, który trenerka uniosła do ust. Zanim jednak coś ją  
powstrzymało, dziewczyna skoczyła do przodu, ciągle się uśmiecha-  
jąc. Rozłożyła ręce na boki, po czym skoczyła i wykonała szpagat  
w powietrzu. Wylądowała z ukłonem, wkładając w ewolucję tyle  
zapału, co podczas zawodów, wiedziała bowiem, jak zaraźliwy bywa  
entuzjazm czirliderki.

*Chcę dostać drugą szansę,  
Nie będę z wami igrać!  
Chcę jechać na mistrzostwa  
I wygrać, wygrać, wygrać!*

Każde „wygrać” zaakcentowała podskokiem, a potem wykonała  
jeszcze skok ze skłonem, tylko dla szpanu. Zakończyła kłaśnięciem,

kolejnym krótkim ukłonem i krokiem do przodu z rękami wyciągniętymi na kształt litery V.

Ciężko dyszała i oczekiwała werdyktu, raczej ze zgrzytaniem zębów niż z uśmiechem.

Na trybunach zapanowało ogólne poruszenie, rozlegały się chichoty i szepty. Kilka niezdecydowanych, a może nawet pełnych obaw spojrzeń skierowało się na Alysę, która patrzyła spode łba i mruczała coś do Nikki, która przedstawiała sobą obraz nieszczęścia.

Trenerka wstała.

– Lanley, udam, że nie słyszałam tej środkowej części – oznajmiła, po czym odwróciła się do drużyny i krzyknęła: – Witamy z powrotem! Prowadzisz rozgrzewkę.

Trenowały wyrzut z podpórki, kiedy trenerka dmuchnęła w gwizdek, by ustawiły się do układu. Po próbie przy muzyce podszedł Stevie i stanął przy niej.

– Nie martw się – powiedział i nachylił się, by szepnąć: – Ciesz się, że wróciłaś, nawet jeśli tego nie pokazują, zwłaszcza trenerka. Alyssa zgłosiła się na ochotnika i powiedziała, że zna wszystkie twoje sztuczki, ale nie dawała sobie rady. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – O, i zdaje się, że ktoś na ciebie czeka.

Isobel zmarszczyła brwi. Jej wzrok podążył w kierunku, który chłopak wskazał ruchem głowy. Zmrużyła oczy, widząc puste przejście. Nie zrobiłby tego, pomyślała, wyobrażając sobie Brada, stojącego tam podczas ich treningu, obserwującego ją, czekającego, by ją podwieźć, jakby wszystko było cacy.

Potem nie mogła się w pełni skupić na ćwiczeniach rozciągających, które tymczasem wykonywał Stevie.

Nerwowo strzelała oczami ku drzwiom.

Czego Brad od niej chce? Czy naprawdę nie rozumie? A może po prostu czeka na Nikki, pomyślała, chociaż to w żadnym stopniu nie poprawiało sytuacji. Właściwie nawet ją pogarszało.



Zaraz po treningu Isobel włożyła na szorty parę granatowych spodni od dresu, a do tego ubrała się w żółtą koszulkę Trenton. Wziąwszy sportową torbę i plecak, wypadła przez drzwi, ale przystała, gdy nikogo nie zobaczyła. W niewyjaśniony sposób ogarnęło ją znowu uczucie, jakiego doznała wcześniej na dziedzińcu. Usłyszała chrzęst żwiru i odwróciła się w kierunku plamy światła, sączącego się przez drzwi na parking, które ktoś otworzyła na oścież. Powiało chłodem, a ona zerknęła w dół, bo do środka wpadło parę zeschniętych liści, które zatrzymały się u jej stóp.

Plama światła na podłodze zamigotała. Przemknął przez nią cień. Isobel podniosła głowę i szeroko otworzyła oczy, patrząc na otwarte puste drzwi. Wydało jej się, że na zewnątrz słyszy stłumiony śmiech.

Isobel przekroczyła próg.

— Brad?

— Zgaduj dalej — odpowiedział głos za nią, niezależny od śmiechu.

Odwróciła się, by ujrzeć Varena, który stał plecami do ściany, a w jego eleganckich ciemnych okularach odbijała się jej zdumiona mina.

— Rany, ale mnie przestraszyłeś. — Tylko tyle zdołała z siebie wydusić, gdy próbowała znowu złapać oddech.

— Już słyszałem, że tak działam na innych — odparł tym swoim śmiertelnie poważnym tonem.

Isobel przechyliła głowę i utkwiała w nim spojrzenie, bo coś zaświtało jej w głowie.

— Zostałeś po lekcjach?

Jego wzrok opadł na buty, po czym podniósł się znowu. Odchylił głowę, aż oparła się o ścianę.

— Zostaję — odrzekł. — Czasami.

Isobel nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu.

— Eee, jak długo tu stoisz? — spytała.

Wsunął dłonie do kieszeni kurtki i wzruszył ramionami.



– Czekaj – powiedziała, mrużąc oczy. – Ty chyba nie... czy...  
gapiłeś się na mnie?

Odpowiedział po dłuższej chwili.

– Wolę... termin „obserwacja” – stwierdził. – Mniej kojarzy się  
z voyeurismem.

– Co, teraz mówisz po francusku?

Na to przestał się już ironicznie uśmiechać.

– No to... o co... – spytała.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, a tylko przyglądał jej się zza  
swoich okularów, zasłaniających oczy, które mogłyby powiedzieć jej  
więcej. W końcu odepchnął się od ściany.

– Pomyślałem, że może trzeba cię podwieźć – stwierdził i prze-  
szedł obok niej, a potem przez otwarte drzwi.

Ze wszystkich sił starając się powstrzymać uśmiech, ruszyła za nim.

*Świętej pamięci*

Skąd wiedziałeś, że zastaniesz mnie na treningu? – spytała Isobel, gdy otwierał bagażnik. – Powiedziałam ci, że zrezygnowałam.

Wzięła swoją torbę i wrzuciła ją do środka, po czym pozbyła się także plecaka. Zauważyła, że w bagażniku panuje zadziwiający porządek. Oprócz jej rzeczy znajdowały się tam tylko zgrabnie zwinięte kable zapłonowe i futerał z płytami CD, który przełożył do swojej torby.

Zerkała na niego kątem oka, czekając, aż się odezwie, lecz trudno było wyczytać coś z jego twarzy, nawet jeśli nie miał okularów, gdy zaś je włożył, równie dobrze mogłaby próbować przejrzeć uczucia kamienia.

Sięgnął do torby i wyciągnął plastikowy pojemniczek po drugim śniadaniu. Uniósł go.

– Wróble ćwierkają.

Gwen. Isobel mimowolnie uśmiechnęła się na myśl o niespodziewanej nowej przyjaciółce, wsuwając się na fotel pasażera obok Varena.

Zajął miejsce kierowcy, odsunął na bok łańcuszki swojego portfela i przekręcił kluczyk. Cougar obudził się z rykiem, a przenośny odtwarzacz CD, który leżał między nimi, zaczął obracać płytę.

Przez samochodowe głośniki popłynął szybki rytm elektrycznych gitar, donośnej perkusji i kogoś, kto wykrzykiwał chrapliwe błaganie o ocalenie duszy.

Isobel podniosła discmana, oglądając porysowaną obudowę i przepaskę z czarnej taśmy klejącej, utrzymującą urządzenie w całości.

– Czemu w ogóle jeszcze masz coś takiego? – spytała.

– Bo muszę spłacać samochód – odparł. – Pas.

– Uhm – mruknęła, po czym, postanowiwszy na tym zakończyć śledztwo, przeciągnęła staroświecki pas bezpieczeństwa przez klatkę piersiową i zapięła go. Podał jej futerał z płytami, pouczając, by włączyła „tę z drzewami”. Zaczęła przeglądać płyty, a on wrzucił wsteczny.

Zwalczając w sobie ochotę, by obserwować, jak prowadzi (nigdy nie sądziła, że czynność prowadzenia samochodu da się wykonywać z gracją), znalazła w końcu płytę, o którą mu chodziło, z białym tłem i sylwetkami poskręcanych bezlistnych drzew. Od razu rozpoznała symbol zespołu na zewnętrznej krawędzi dysku. Był to taki sam leżący martwy ptak, jak na plecach zielonej kurtki, którą zawsze nosił. Nacisnęła eject i na chwilę, którą zajęła jej wymiana płyty, w samochodzie zapadła błoga cisza.

– Masz szlaban – odezwał się, zanim z drugiej płyty rozbrzmiała poruszająca, mroczna i nieziemska ballada. – Czemu?

Isobel uznała, że to dobry moment, by skłamać albo przynajmniej poćwiczyć naginanie prawdy.

– Za krzyczenie na dworze wczoraj wieczorem – powiedziała. I już. Wcale nie musiała kłamać. Po prostu pominęła fakt, że wcześniej miała szlaban za to, że w poprzedni piątek wróciła do domu po ustalonej godzinie w dziwnym samochodzie – jego samochodzie, jeśli chodzi o ścisłość.

Nagle zmarszczyła brwi. Co powie mamie, jak dojadą do domu?

– Masz dość surowych rodziców? – spytał takim tonem, jakby już znał odpowiedź.

– Chyba tak – przyznała. – A co?

Odwróciła się, by na niego popatrzeć, zadowolona, że ma pretekst do rozmowy. Hamulce zapiszczały, gdy auto zwolniło, by zatrzymać się na czerwonym świetle.

– Chcę cię o coś spytać – oznajmił.

Zaskoczyła ją obcesowość tego stwierdzenia. Patrzył przed siebie, co tylko pogarszało sprawę. Doznała tego uczucia wewnętrznego spadania, które dopadało ją zawsze, gdy wiedziała, że z jakiegoś powodu czekają ją kłopoty, choć tym razem nie miała pojęcia z jakiego. Światło zmieniło się na zielone, wrzucił bieg i znowu jechali.

– Tak? – powiedziała. Próbowała nie zważać na falę wewnętrznych pytań, która ją zalała, gdy jednocześnie przetrząsała pamięć w poszukiwaniu czegoś, co mogła powiedzieć lub zrobić.

– W piątek wieczorem jest pewna impreza – powiedział. – Odbywa się co roku, chociaż nie wszyscy o tym wiedzą.

Zesztywniała. Odwróciła głowę, by patrzeć przed siebie, i ze wszystkich sił starała się, by jej policzki nie stały się ani blade jak popiół, ani czerwone jak wóz strażacki. To nie mogła być prawda. Niemożliwe, żeby proponował jej randkę. Musiało chodzić o coś innego. Cokolwiek to było, wiedziała bez cienia wątpliwości, że na pewno nie zaprasza jej na...

– Chcę, żebyś poszła – powiedział.

Usta jej się otworzyły. Szybko je zamknęła, zanim zdążył zauważyć.

– Ze mną – dodał.

No i proszę.

Rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym skręcił za fontanną w kierunku jej domu i dopiero wtedy, gdy ujrzała swoją osłupiałą minę w szklach jego okularów, dotarło do niej, że on czeka na odpowiedź.

– Ja... W piątek jest mecz – powiedziała, jakby jej usta żyły własnym życiem. Słowa same z nich wyskakiwały, jakby jej alter ego,



zawzięta czirliderka, przejęła nad nią władzę. Przez chwilę prawie pożałowała, że tego popołudnia wróciła do drużyny. Prawie.

– Zaczyna się bardzo późno. – Znowu ukradkiem na nią zerknął.

– To znaczy... mam się wymknąć? – Dopiero gdy to powiedziała, zrozumiała, że właśnie zadała najdurniejsze pytanie roku.

Chyba się uśmiechnął.

Podjechał pod jej skrzynkę na listy i wyłączył bieg. Gdy wciąż nie mówił, wiedziała, że to potwierdzenie – to miała być potajemna sprawa.

Wyłączył silnik i sięgnął do tylnej kieszeni, po czym wyciągnął czerwoną kopertę, taką samą, jaką dała mu Lacy. Taką samą, jaką wyjął z kieszeni w stołówce, tyle że ta była zaadresowana do niej. Podał ją dziewczynie.

– Co to właściwie jest? – spytała, otwierając kopertę.

W środku znalazła kremowy kartonik z czerwoną wstążką. Stwierdziła, że to jakiś bilet, lecz dopiero po chwili zorientowała się, że celowo nadano mu wygląd identyfikatora, zakładanego na palec u nogi w kostnicy. Fuj.

„Ponura Fasada” – głosiły ozdobne litery na górze. Datę oznaczono po prostu jako „wigilia Wszystkich Świętych”, poniżej zaś, w jednej linii ze słowami: „Sprawa nr”, widniał tekst „jedna osoba”. Tam gdzie identyfikator wymagał wpisania nazwiska, ujrzała swoje, wykaligrafowane jego eleganckim pismem (i fioletowym tuszem, ma się rozumieć), a poniżej zobaczyła jego nazwisko w rubryce: „wpisał”.

– To niezupełnie szkolna akademia – stwierdził – więc się zastanów.

Podniosła wzrok znad kartonika.

– Eee... podajemy wiadomości. Twój przyjaciele mnie nie cierpią.

– Nie znają cię – odparł. Otworzył swoje drzwi i wysiadł. Odwrócił się jednak, oparł o nie i wbił w nią wzrok. – Poza tym – dodał – będziesz ze mną.

Gapiła się na niego, gdy zamykał drzwi i obchodził samochód, a kartonik omal nie wysunął jej się z palców.

Czy to się właśnie wydarzyło?

Znowu popatrzyła na zaproszenie, na ich nazwiska, tak po prostu wpisane obok siebie.

Pociągnęła za klamkę i wysiadła z samochodu.

Zastała go przy bagażniku. Spod otwartej klapy podał jej torbę, a potem plecak. Następnie odwrócił się i oparł o zderzak, trzymając ręce w kieszeniach czarnych dżinsów. Wstała, nie spuszczać z niego oczu, lecz jego spojrzenie znowu skryte było za jej własnym odbiciem. Serce jej waliło. Jej umysł szukał czegoś, co można by powiedzieć.

– Czy... wejdiesz? – spytała i słowa te zabrzmiały w jej własnych uszach głupio i prosto, jak pytanie dzieciaka do kolegi, który wydaje się zbyt fajny, żeby się z nim bawić.

Zdjął okulary. Jego oczy, te dwa nefryty, spotkały się z jej oczami.

– Nie wiem – odparł. – Mam wejść?

– Mamo! – zawołała Isobel do wnętrza domu. Przytrzymała za sobą otwarte drzwi. Varen wszedł do środka, po czym grzecznie stanął z boku, przy stojaku na parasole i przed wieszakiem na okrycia, ze złożonymi rękami. Wyglądał trochę nieswojo i bardzo nie na miejscu. Poczuli nagłą falę paniki, widząc go tutaj, przy oprawionej w ramkę modlitwie „Ojcze Nasz”, wyhaftowanej przez jej matkę.

– Mamo! – odwróciła się, by zawołać jeszcze raz. – Zaczekaj tutaj – powiedziała.

Isobel rzuciła torbę w swojej sypialni. Szybko ściągnęła strój treningowy i wbiła się w ulubione dżinsy. Narzuciła czystą koszulkę i potarła się dezodorantem. Następnie, w chwili, gdy o tym pomyślała, wzięła *Dzieła zebrane* Edgara Allana Poeego z szafki nocnej.

Dziwne, jak odległy wydawał się teraz sen z Reynoldsem. Pokręciła głową, trzymając książkę obiema rękami, nagle zadowolona, że nie

zdążyła opowiedzieć Varenowi o śnie, ani o pojawiającej się książce, ani o tym, że ją wyrzuciła. A może raczej myślała, że wyrzuciła.

Teraz liczyło się tylko to, że miała książkę i że dokończy opracowanie. To znaczy, o ile znajdzie matkę i nakłoni ją, żeby nie swirowała.

Isobel zbiegła z powrotem po schodach. Zatrzymała się nagle, zaskoczona, że miejsce przy wieszaku i stojaku na parasole jest puste.

Wyjrzała przez drzwi wejściowe i ulżyło jej na widok samochodu Varena, wciąż zaparkowanego na zewnątrz.

– Właściwie przygotowywałam pracę o sir Arthurze Conan Doyle’u, jak studiowałam w Waszyngtonie – głos matki dobiegł uszu Isobel, która podeszła bliżej kuchni. – Ale kiedy się dowiedziałam, że Dupin Poego stał się inspiracją dla postaci Holmesa, słowo daję, naprawdę wciągnęły mnie opowiadania kryminalne Poego. Pamiętam, żałowałam, że to nie o nim pisałam pracę semestralną.

Isobel przekroczyła próg kuchni i zobaczyła przy zlewie matkę, rozcinającą gotowanego kurczaka za pomocą nożyc kuchennych o czerwonych uchwytych. Varen stał nieco dalej przy blacie i kroił seler w cienkie półksiężycy. Podniósł wzrok, gdy weszła, pochwycił jej spojrzenie i lekko się uśmiechnął.

– O, Isobel – odezwała się matka – jesteś. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Zostawiłaś swojego gościa, a ja zatrudniłam go do pomocy przy kolacji.

Isobel weszła głębiej do kuchni, nie wiedząc, czy się cieszyć, że matka nie przeżyła załamania na kosmiczną skalę, czy też wstydzic, że postanowiła odgrywać szefową kuchni przy osobie, której w całym Trenton najbliższym było do Pana Ciemności.

Wydawało się jednak, że jemu to nie przeszkadza. Właściwie zdziwiła się, że tak umiejętnie sieka seler. Z wprawą.

– Zostaniesz i zjesz z nami, prawda? – spytała mama.

Varen szybko zerknął na Isobel.

– Tak – potwierdziła – powinieneś zostać na kolacji.



Czy ten dzień mógł się stać jeszcze dziwniejszy? Spróbowała wyobrazić sobie Varena przy rodzinnym stole i miała tylko nadzieję, że Danny nie narobi jej strasznego wstydu. Już słyszała, jak brat zadaje przeróżne głupie pytania, na przykład czy bielizna gościa też jest czarna.

Podeszła do chłopaka i położyła na blacie książkę Poego.

– Varen mówi, że razem pracujecie nad projektem – powiedziała mama. – Isobel nigdy wiele nie czytała – dodała niby na stronie do Varena, który posłał dziewczynie rozbawiony uśmieszek.

Cieszyła się, że on dobrze się bawi.

– Właśnie opowiadałam Varenowi, że zajmowałam się Poem na studiach – ciągnęła kobieta. – Tyle że czytałam głównie jego opowiadania detektywistyczne. *Skradziony list*, *Zabójstwo przy rue Morgue*... Zdaje się, że monsieur C. Auguste Dupin był wtedy moją sympatią – plotła dalej, wymawiając nazwisko z najgorszym francuskim akcentem w dziejach. Isobel poczuła, że płoną jej uszy.

– Varen, chcesz mrożonej herbaty? – spytała matka. – Zrobiłam pół godziny temu. Imbirowo-brzoskwiniowa. W lodówce jest też lemoniada.

– Mamo – wtrąciła Isobel, zanim zdołał odpowiedzieć. – Możemy iść się pouczyć? Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała mama, odstępując od zlewu, by Varen mógł umyć ręce. – Może usiądziecie przy stole w jadalni, żeby wam nie przeszkadzała? Jest tam mnóstwo miejsca, żeby wszystko porozkładać.

Isobel, która wciąż miała czerwone uszy, nie czekała na drugie zaproszenie, by dać nogę z kuchni, zanim matka narobi jej większego wstydu. Wziąwszy torbę Varena, którą znalazła na jednym z kuchennych krzeseł, zatargała ją do jadalni, wiedząc, że skoro w środku jest jego czarny dziennik, chłopak wszędzie za nim pójdzie.

Gdy położyła torbę na jednym z krzeseł o wysokich oparciach w jadalni, ciągle miał na ustach ten uśmieszek, oznaczający: „Po ci-



chu bawi mnie twoje intrygujące życie rodzinne”. Wysunęła drugie krzesło dla siebie i usiadła.

– Co? – spytała, czekając na jakąś ciętą uwagę z jego strony.

– Miłą masz mamę – powiedział tylko. Przesunął swoją torbę i zajął miejsce, które nieświadomie mu wyznaczyła. Zaczęła żałować, że nie usiedli bliżej siebie, ale wyglądałoby to dziwnie, gdyby teraz wstała i zmieniła krzesło.

Isobel położyła książkę Poego na stole między nimi. Westchnęła, postanawiając od razu mieć najgorsze za sobą i się przyznać.

– Nie przeczytałam nic z tego, co mówiłeś – wypaliła, dumna z siebie, że patrzy mu prosto w oczy.

Skinął głową, niczym lekarz, który potwierdził swoje podejrzenia co do diagnozy.

– Nie przejmuj się – powiedział, przewracając strony. – Przejrzyj *Maskę Śmierci Szkarłatnej* i wypisz cytaty, które wydadzą ci się najbardziej pamiętne. Potem znajdź wiersz *Annabel Lee* i zrób to samo. Muszę dokończyć podsumowanie, a potem możemy zacząć układać materiały do prezentacji z podziałem na kategorie.

Isobel wzięła książkę, którą obrócił i pchnął w jej stronę, zbyt onieśmielona, by choćby próbować znaleźć właściwe słowa podziękowania, wdzięczna za ten nietypowy pokaz cierpliwości.

W końcu zabrała się do pracy i pozwalała sobie ukradkowo na niego zerkać za każdym razem, gdy zapisała w całości jakieś godne uwagi zdanie. W pewnej chwili weszła mama, niosąc dzbanek mrożonej herbaty, dwie szklanki i talerz ciasteczek malinowych, na co Varen odłożył długopis i wstał, by podziękować, a potem nie usiadł z powrotem, dopóki nie wyszła z pokoju. Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że ten gest wyglądał absolutnie staroświecko, co było jeszcze dziwniejsze – Isobel uświadomiła sobie bowiem, że zrobił to bez zastanowienia.

Minęła niemal godzina, zanim skończyła wypisy, i podniosła wzrok dopiero na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych.

Tata wszedł do środka i odstawił teczkę. Momentalnie zeszywniała, ale postanowiła podejść do sprawy na luzie. Skoro mama potraktowała Varena ze spokojem, czemu miała się spodziewać czego innego po tacie?

– Cześć, tato – spróbowała, badając grunt.

– Cześć, Izzy – odrzekł dość beztrasko, lecz gdy zajrzał do jadalni, wzrok mu spochmurniał, a mina się zmieniła.

W porządku, pomyślała dziewczyna. Wygląd Varena może na początku drażnić. Rozegraj to spokojnie, a wyluzuje.

– Tato – powiedziała – to jest Varen, kolega ze szkoły. Razem pracujemy nad opracowaniem z angielskiego. – Gestem wskazała rozłożone na stole papiery i książki. „Widzisz, tato? Dowód rzeczowy A”.

Varen znowu wstał i wyciągnął dłoń z pierścieniami nad stołem w stronę jej ojca.

– Dzień dobry – powiedział.

Isobel wstrzymała oddech. Żenada kropka com.

Tata zmarszczył brwi i przybrał zacięty wyraz twarzy. Wszedł do pokoju i widziała, że ściska rękę Varena mocniej niż to konieczne. Poczowała złość, ale nie wstała z miejsca, wciąż czekając, aż napięcie ustąpi.

Uścisk dłoni trwał mniej więcej pół sekundy. Tata zakończył go ze słowami:

– Czy to twój samochód stoi przed domem... Varenie?

– Tak, proszę pana.

Mina taty stała się jeszcze bardziej surowa, nałożyła się też na nią warstwa podejrzliwości.

– Czyli można bez wątpliwości stwierdzić, że to ty odwiozłeś moją córkę do domu po północy parę dni temu?

Isobel zerwała się na nogi.

– Tato!

– Tak, proszę pana – odparł Varen twierdząco, ale, jak zdawało się Isobel, bez skruchy.

– Tato.

Nie zwracając na nią uwagi, ojciec wyminął ich oboje i poszedł do kuchni, wołając mamę dziewczyny.

– Jeannine – powiedział – możemy chwilę porozmawiać?

Isobel patrzyła za nim z przerażeniem. No tak. Czy wczorajszy wykład nie dotyczył między innymi traktowania gości? Wciąż oszłamiona zachowaniem ojca, dopiero po chwili zauważyła, że Varen zbiera swoje rzeczy i pakuje je do torby.

– O nie – jęknęła, powstrzymując się, by nie położyć mu ręki na ramieniu. – Proszę, nie idź – powiedziała błagalnym tonem. – Wszystko gra. On tylko...

– Odprowadzisz mnie? – spytał i zarzucił torbę na ramię. Był to cichy szept, który Isobel ledwie usłyszała, nadstawiała bowiem uszu na pomruk rozmowy rodziców w kuchni. Zdawało jej się, że padło słowo „chuligan” (jeden z ulubionych wyrazów ojca). W obawie, że Varen też słyszał, skinęła głową i ruszyła przez jadalnię na korytarz, a potem na zewnątrz. Znowu przytrzymała mu drzwi i wyszli na frontowy ganek. Omiótł ich zimny podmuch, który potrząsnął też dzwonkiem wiatrowym gdzieś w oddali. Upiorny dźwięk.

Isobel mocno otuliła się rękami. Bez słowa przeszli przez podwórze do samochodu. Otworzył drzwi pasażera i wrzucił torbę, po czym okrążył pojazd i otworzył drzwi kierowcy. Isobel stała bezradnie na skraju trawnika, zdolna tylko trząść się i patrzeć, czekając, aż Varen wsiądzie i odjedzie.

Stanął przy drzwiach samochodu, trzymając je otwarte. W blasku lampki z kabiny zdawał się na nią czekać.

Isobel ostrożnie zstąpiła z krawężnika i obeszła samochód dookoła, robiąc, co w jej mocy, by zęby nie szczękały jej z zimna i gniewu. Okrążyła drzwi, nie chcąc, by stały się barierą między nimi. Wzrok miała opuszczony i podeszła na tyle blisko, na ile miała odwagę, zaskakując samą siebie, gdy czubki jej pantofli znalazły się zaledwie o centymetry od jego butów.



Najpierw skupiła się na nadruku na jego koszulce – więdnącej róży, ściśniętej w szczękach czaszki – po czym podążyła spojrzeniem w górę, na kołnierz kurtki i kosmyki włosów.

– Przepraszam – szepnęła. Spojrzała na niego. Jego oczy, znowu częściowo zasłonięte przez ciemne, poszarpane pukle, patrzyły prosto na nią.

– Nie przejmuj się – powiedział.

– Varen... Chyba nie ma żadnej możliwości, żebym poszła z tobą w piątek – powiedziała, wyrzucając z siebie tę myśl, gdy tylko przyszła jej do głowy. Ścisnęło ją w gardle i znowu skupiła uwagę na swoich stopach. – Chcę pójść – ciągnęła cicho – ale... – Szybko zamknęła usta, by jej słowa nie zabrzmiały jeszcze żałośniej.

– Nie przejmuj się – powtórzył tak łagodnie, że znowu musiała podnieść na niego wzrok, by się upewnić, że nie wyobraziła sobie tej nikłej nutki rozbawienia. – Słuchaj – powiedział. Nachylił się, by mówić szeptem, a ona omal nie zamknęła bezwiednie oczu, czując jego oddech na policzku. – Muszę iść – oznajmił – bo w tej chwili twój tata obserwuje mój każdy ruch.

Oczy Isobel otworzyły się szeroko. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła ojca, stojącego w pomarańczowożółtym świetle jadalni i obserwującego ich z okna przymrużonymi oczami niczym jakiś straszny olbrzym ze skrzyżowanymi ramionami i ponurą twarzą.

Poczuła muśnięcie palców Varena na swoim podbródku. Zaskoczona, znowu zwróciła wzrok na niego. Potem, zanim zdołała go zatrzymać, odsunął się od niej i usiadł na miejscu kierowcy. Uruchoił zapłon i ciszę przerwało zawodzenie głośników.

– Spotkamy się jutro – powiedział. Isobel cofnęła się od cougar, by mógł zamknąć drzwi. Jej skóra zdawała się wibrować w miejscu, gdzie jej dotknął. Zobaczyła, jak wrzuca bieg i odjeżdża, a snopy reflektorów krzyżują się ze światłami innego samochodu, który właśnie skręcił w jej ulicę. Patrzyła za cougar, aż jego tylne światła – niczym demoniczne czerwone oczy – zniknęły za następnym za-



krętem. Zbliżające się auto podjechało pod jej dom, a gdy z tylnego siedzenia wygramolił się Danny, usłyszała jego szybkie, mrukliwe podziękowanie do osoby, która go podwiozła, a potem krzyk:

– Hej, Isobel! Kto to był?

Wciąż otulona rękami, zignorowała brata i ruszyła do domu. Wpadła do środka i zobaczyła ojca czekającego w przedpokoju.

*Las Weir*

Spotykasz się z tym dzieciakiem? – spytał ojciec, wskazując drzwi. Isobel ze wszystkich sił starała się nie zważać na strach, który tlił się w jej wnętrzościach niczym sucha hubka, zajmująca się ogniem. Ojciec rzadko się złościł, ale jeśli już, dom zamieniał się w jaskinię smoka, włącznie z zianiem ogniem i dymem.

– Sam – dobiegł z korytarza głos mamy. Pojawiła się w przejściu wiodącym do kuchni z dłońmi owiniętymi ścierką do naczyń.

– Nie jest dzieciakiem – wydyszała Isobel – i dla twojej informacji, ja też nie jestem. Z czym masz w ogóle problem? – Mocniej objęła się rękami, przygotowana do kłótni. Nie cierpiała sporów z ojcem, a zdarzały się one na tyle rzadko, że zawsze się denerwowała.

– Próbuję się dowiedzieć, czy moja jedyna córka prowadzi się z bandziorem, z tym mam problem! – zirytował się.

Jego słowa podkreśliło trzaśnięcie drzwi. Danny, w brązowym skautowskim mundurku, z grozą odmalowaną na pulchnej buzi, wszedł do przedpokoju.

– Ta bryka była czaderska! – oświadczył. – Kto... – Nagle urwał, popatrzył na Isobel i tatę, a cały entuzjazm z niego odpłynął. – Ooo – mruknął głosem kojarzącym się z oponą, z której uchodzi powietrze. – Trzeba było skorzystać z tylnych drzwi.

– Sam, naprawdę – odezwała się mama – nie rozumiem, o co ta afera. Pracują razem nad projektem.

– Widziałaś tego smarkacza, Jeannine? Wygląda jak jeden z tych szaleńców, którzy strzelają w szkołach!

– Tak, widziałam go! I z nim rozmawiałam. Był bardzo grzeczny i gdybyś nie dostał szału, może sam byś się przekonał.

– O kim rozmawiamy? – spytał Danny, rozkładając ręce, jakby spodziewał się deszczu.

Isobel nie mogła w to uwierzyć. Ojciec bez powodu dostał szału! Odbiła mu palma tylko dlatego, że odrabiała lekcje.

– Nie możesz znieść, że zerwałam z Bradem, tak? – warknęła.

– Nooo – wtrącił Danny, zupełnie zaskoczony. – Zerwałaś z tym tępakiem?

– Nie – odparł ojciec, który zaczynał już krzyczeć – nie mogę znieść tego, że po północy odwozi cię jakiś szczeniak, który uważa się za wampira!

– Umawiasz się z wampirem? – spytał zaintrygowany Danny. – Wiesz, że one gryzą, nie?

– Danny – odezwała się mama – idź posiedzieć w kuchni.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca.

– Oj, proszę! – krzyknęła Isobel. Odwróciła się na pięcie i biegiem popędziła po schodach. Nie zamierzała tak stać i dać się przesłuchiwać niczym pięciolatka.

– Chodzi o tego kolesia, który dzwonił? – znów przemówił Danny, kierując to pytanie ogólnie do całego pomieszczenia.

– Isobel, zatrzymaj się. Jeszcze nie skończyłem! – zawołał tata.

– Szkoda! – odkrzyknęła, opierając się w połowie schodów o barierkę. – Bo ja tak!

– Jak może być wampirem, skoro tyle wie o ich zabójcach?

– Danny – powiedziała mama z wyraźnym ostrzeżeniem w głosie.

– Ja tylko tak. – Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że masz tu zejść, Isobel! Albo o tym porozmawiamy, albo miną następne dwa tygodnie, zanim będziesz mogła wyjść z tego domu!

– Też mi nowina! – wrzasnęła, pokonując resztę drogi na górę.

– Isobel!

– Sam, przestań na nią krzyczeć! – krzyknęła matka.

– Gdybyście mówili po japońsku – zauważył Danny – to by mogło być anime.

– Isobel! – zawołał znowu tata.

Weszła na najwyższy stopień i wychyliła się przez balustradę.

– Mam szesnaście lat, tato! I to nie twoja sprawa, z kim się umawiam! – Odwróciła się i dopadła drzwi pokoju, po czym zatrzymała się przed nimi, płonąc gniewem. – Albo kogo rzucam, skoro już o tym mówimy! – ryknęła i trzasnęła drzwiami tak mocno, że poniosło się echo.

W swoim pokoju rzuciła się na łóżko, wydając niepohamowany krzyk prosto w poduszkę. Co się działo z jej życiem? Kiedy wszystko stało się takie skomplikowane? To była praca domowa! Jakim cudem jej życie wywróciło się do góry nogami z powodu pracy domowej?

Rozległ się szybki tupot nóg na schodach, a po nich delikatne pukanie do drzwi. Mama. Isobel odgadła, że to ona, jeszcze zanim usłyszała cichy głos, proszący, by zechciała zejść na kolację. Nie odpowiedziała. Po chwili dobiegło ją westchnienie, a potem oddalające się zrezygnowane kroki.

Później przez dłuższy czas leżała bez ruchu, skulona na boku, i starała się nie zważać na tępy ból, który pojawił się w jej głowie.

Pomyślała, że mogłaby wydobyć z plecaka telefon komórkowy, ale do kogo miałyby zadzwonić? Mogła spróbować do Gwen, ale nie znała jej numeru, a ponieważ Gwen dzwoniła na telefon domowy, numer nie zapisał się w komórce. Zastanawiała się nad wykorzystaniem sposobu Gwen z internetowymi White Pages, ale w tym celu musiałaby iść do pokoju brata, a nie miała siły na kolejną kłótnię.



Isobel miała wrażenie, że pierwszy raz w życiu walczy sama ze sobą, by nie odczuwać nienawiści do ojca. Nie rozumiała, jak mógł być taki nieuczciwy albo ślepy, jak mógł nie dostrzegać drugiego oblicza Brada. A może to przez Varena był taki nabuzowany? Czemu wobec Varena wszyscy stawali się nabuzowani? Co było w nim złego? Co tak bardzo różniło ich światy?

Jego twarz, trójkątna i pogodna, zmaterializowała się w jej myślach. Gdy wspomniała jego spojrzenie, spłynął na nią łagodny spokój. Wyobraziła go sobie takim, jaki był, gdy stali przy samochodzie. Stał tak blisko, pomyślała, znowu zamykając oczy i biorąc przeciągły, głęboki wdech, jakby przy odpowiedniej koncentracji mogła sprawić, by znalazł się przy niej.

Z dołu dobiegł dzwonek telefonu, a potem krzyk Danny'ego:

– Ja odbiorę!

Otworzyła oczy i przekręciła się na plecy, wytyczając słuch, bo chciała wiedzieć, czy to telefon do niej, choć zdawała sobie sprawę, że nie będzie mogła rozmawiać. Usłyszała głos brata w przedpokoju.

– Cześć, Trevor.

Przeturlała się, by wyrzeć przez ciemne okno. Jej myśli znowu podążyły do Varena i próbowała nie zwracać uwagi na ciężkie kroki brata na schodach oraz na jego głos, gdy głośno rozmawiał przez telefon.

– Tak, jest na górze. Czeka, wezmę i sprawdzę.

Teraz oczyma duszy widziała Varena tam, gdzie był w jej śnie. Odległa postać, wysoka, omiatana wiatrem, otoczona lasem przypominających zapałki drzew. Już miała znowu zamknąć oczy, gdy rozległo się pukanie do drzwi jej pokoju. Usiadła.

– Słucham?

– Isobel. – To był Danny, szepczący przez szparę pod drzwiami.

– Czego chcesz?

– Otwórz – powiedział. – To do ciebie. – Znowu podniósł głos i usłyszała, jak mówi: – Tak, mam tu całą listę kodów. Które chcesz na początek?

Isobel wygramoliła się z łóżka i podeszła do drzwi. Uchyliła je i zobaczyła brata, który wyciągał do niej przenośny telefon. Wzięła go, oszołomiona.

– Tylko szybko! – szepnął, po czym, opierając się o barierkę, głośniej rzucił: – Dobra, pierwszy kod do Blood Thirst Traitor 3, żeby zatrzymać odliczanie na poziomie siódmym. Gotowy? Dobra... Dwa, dwa, dziewięć, zero...

Isobel szybko wycofała się do pokoju i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Halo?

– Dobra, czyli szaleństwo jest rodzinne, mam rację?

– Gwen! – zachłysnęła się Isobel, po czym uklękła na dywanie.

– Co jest? – spytała Gwen. – O co chodzi?

Isobel słyszała, że za drzwiami Danny nawija dalej, wyrzucając z siebie zmyślane kody. Wiedziała, że w pomocy brata musi się kryć jakiś haczyk, ale w tej chwili odczuwała wdzięczność.

– Varen tu był – wyszeptała Isobel, a następnie przedstawiła tamtej skrót wydarzeń od jazdy do domu po wybuch ojca.

– Poważnie? – wykrzyknęła Gwen, przerywając jej, zanim zdążyła skończyć. Potem, jakby nie słyszała ani słowa o kłótni, spytała:

– Ometkowali cię do Ponurej Fasady? Ja nie mogę! Czy ty w ogóle wiesz, jakie to ważne?

– Gwen, czy ty mnie słuchasz? Nie słyszałaś, że tata właśnie dał mi szlaban do końca doczesnego życia?

– Żartujesz? – pisnęła. – O, pójdiesz, nie ma to tamto. Musisz to zobaczyć. Pewnie, sama byłam tylko raz, ale było super. Poszłam dwa lata temu, bo ten emo, Mikey, z nastroszonymi włosami... Wiesz, o którym mówię? On mnie ometkował. Hej! Pewnie da się namówić i zaprosi mnie znówu. Chyba że już się z kimś umówił.

– Gwen, halo! – Isobel postukała palcem w słuchawkę. – Nie słuchasz mnie. Nie mogę iść. Już mu powiedziałam, że nie mogę.

– W co się ubierzesz?

Isobel zacisnęła powieki. Potarła skroń w miejscu, gdzie zaczynała ją boleć głowa.

– Słuchaj – powiedziała – można spokojnie założyć, że nie będę miała zbyt wielu kontaktów towarzyskich poza szkołą przynajmniej do Nowego Roku. Nie idę, Gwen. Koniec, kropka. Próbuję wymyślić, jak spotkać się z Varenem w tym tygodniu, żeby skończyć ten projekt. Możesz mi w tym pomóc? Proszę. Poza tym jeśli znowu nie wywalą mnie z drużyny, i tak w ten piątek gramy ważny mecz.

– Twoi rodzice tam będą? – spytała Gwen z przebiegłą nutą w głosie.

– Na meczu?

– Nie, na twojej bar micwie. Tak, na meczu!

– Po tym, co dzisiaj zaszło? Żartujesz? Mój tata pewnie zajmie środkowe miejsce w pierwszym rzędzie, i jeszcze weźmie lornetkę.

– Możesz to... zagwarantować?

– Tak! – syknęła Isobel. – Mogę!

– To dobrze!

– Gwen...

– Bądź tylko tak miła i spróbuj nie wkurzyć taty jeszcze bardziej... no, na ile to możliwe.

– Może...

– Morze jest szerokie i głębokie. A teraz idź do łóżka, zanim tata się połapie, że gadasz przez telefon, i wyśle cię na dziewięć lat na orbitę. Do zobaczenia rano. – Trzask.

Isobel wpatrywała się w telefon. Teraz miała już całkowitą pewność. Gwen to przypadek psychiatryczny. Niedawno uciekła z ośrodka pod wezwaniem Najświętszej Paniienki od Świrów. Nie było mowy, by Isobel zdołała się wymknąć w ten piątek. Halo! To Halloween. Jej rodzice – a przynajmniej ojciec będzie robił notatki, jeśli córka choćby kichnie.

Isobel podskoczyła, gdy Danny wpadł do jej pokoju i wyrwał jej telefon z ręki.



– Przerwij, przerwij! – wychrypiał, rzucając się do swego pokoju niczym bombowiec nurkujący i krzyżąc do słuchawki: – Tak, o tak. Detron jest najlepszy!

Usłyszała kroki na schodach. W pierwszym odruchu chciała podbiec i zatrzaskać drzwi, zamiast tego jednak podniosła się po cichu i stanęła przy framudze. Złapała klamkę i wyjrzała, by zobaczyć matkę, zmierzającą na górę. Zmarszczyła czoło i odwróciła się, ale została drzwi otwarte. Wróciwszy do łóżka, zagrzebała się w pościeli.

– Isobel – odezwała się mama cichym, przymilnym głosem. – Chcę, żebyś wiedziała, że twój ojciec i ja porozmawiamy.

Dziewczyna poczuła, że jedna strona łóżka lekko się zapada, gdy matka usiadła, a po chwili ciepła dłoń dotknęła jej ramienia.

– Tymczasem zrób plany i dokończ ten projekt, dobrze? Proszę, przyniosłam ci książkę.

Oczy Isobel otworzyły się szerzej, gdy matka położyła *Dziela zebrane* Poego na pościeli tuż przy jej głowie. Przekręciła się, by usiąść.

– Macie jakieś inne miejsce, żeby się spotkać w tym tygodniu? – spytała mama.

Isobel zastanowiła się przez chwilę. Wyobraziła sobie lodziarnię. Był jeszcze Zakątek Nobita oraz, ma się rozumieć, biblioteka, gdyby wszystko inne zawiodło. Kiwnęła głową, wdzięczna, że w końcu ma sprzymierzeńca. Z reguły rodzice zajmowali denerwująco jednolite stanowisko w większości spraw dotyczących jej życia towarzyskiego.

– Nie rozumiem – mruknęła. – Nie wiem, na czym polega problem. – Przesunęła palcem po rękawie lawendowej bluzki mamy.

Matka odpowiedziała z westchnieniem:

– Myślę, że on się po prostu boi.

– Czego? Przecież nie brałam narkotyków ani nic. Mamo, my się uczyliśmy.

– Wiem – odrzekła mama, klepiąc ją po ramieniu. – Chyba się boi, bo widzi, że dorastasz.



Isobel skrzywiła się i obróciła w pościeli, zwiijając się w kłębek na boku.

— No to musi się z tym pogodzić.

To mamę rozśmieszyło. Isobel kochała śmiech matki. Był lekki i zwiewny, niby dźwięk, którego można by oczekiwać od disneyowskiej księżniczki.

— Twój kolega rzeczywiście jest trochę inny — powiedziała. — Chyba po części dlatego, że na początku wydaje się trochę... surowy i może trochę... zbyt doświadczony. Myślę, że to najbardziej wystraszyło twój ojca. Ale wydaje się, że to miły chłopak. Tyle że trochę dziwak. — Isobel poczuła, jak dłoń matki muska jej czoło, a opuszki palców głaszczą włosy. — Twój ojciec też to w końcu zrozumie. On po prostu... sama nie wiem. Chyba bardzo przywykł do towarzystwa Brada.

Isobel parsknęła w poduszkę.

— To czemu się z nim nie umówi?

— Oj, Izzy — westchnęła mama. — Nie bądź taka. On po prostu chce cię chronić. Więc trochę mu odpuść.

— Odpuścić mu? — Isobel powątpiewała, by mama miała rację, że ojcu przejdzie, choć miała taką nadzieję. Nie znosiła kłótni z którymkolwiek z rodziców, ale z jakiegoś powodu sprawy zawsze przybierały szczególnie zły obrót, gdy kłóciła się z ojcem. Może dlatego, że budził większy lęk, gdy krzyczał. Albo, co bardziej prawdopodobne, dlatego, że w ogóle rzadziej się spierali, a co dopiero wrzeszczeli na siebie nawzajem.

— Izzy?

— Uhm? — mruknęła Isobel z namysłem.

— Chcesz porozmawiać o tym, co zaszło między tobą a Bradem? Skrzywiła się. Znowu się przekręciła, próbując wyprostować kołdrę, by nie owijała się wokół niej jak ciasny kokon.

— Nie — odparła. — Zresztą i tak nie ma o czym mówić. Zerwaliśmy i tyle.

– Dobrze – powiedziała mama i znowu ją poklepała. Przypomniała Isobel kogoś, kto próbuje zgasić niewielki ogień. – Tak tylko pytam. Pójdę teraz poczytać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Dziewczyna pokiwała głową w poduszkę. Chciała być sama. Żeby pomyśleć.

– W lodówce zostało trochę sałatki z kurczaka, gdybyś uznała, że jesteś głodna – powiedziała, a potem się pochyliła, by złożyć pocałunek na skroni córki. Jakby za sprawą magii, ból głowy trochę zelżał.

Gdy mama wyszła, Isobel leżała i gapiała się na lśniący tytuł na grzbiecie *Dzieł zebranych*. Wiedziała, że powinna usiąść, otworzyć książkę i zacząć czytać, wiedziała też jednak, że po wszystkim, co zaśzło dzisiejszego wieczoru, nie zdoła się skupić nawet na jednym słowie. Tym bardziej że lektura Poego przypominała próbę rozszyfrowania jakiegoś prastarego martwego języka.

Poza tym książka wciąż przyprawiała ją o dreszcze. Isobel wzięła tom i wyciągnęła poza krawędź łóżka. Pozwoliła jej spaść na podłogę z ciężkim łoskotem, a potem sięgnęła nad głowę i nacisnęła guzik budzika. Znowu się skuliła i zamknęła oczy, zostawiwszy zapalone światło.

Otaczały ją wysokie i cienkie drzewa, niczym nieprzeliczone więzienne pręty, wszystkie czarne, wszystkie martwe.

Zwiędłe liście zasłaly podłoże okrągłej polany, na której stała. Nie ruchome i ciche drzewa wydawały się nieme. Za drzewami widniało ciemnofioletowe tło niczym promienna kurtyna, nadając wszystkiemu upiorny kontur.

Podniosła wzrok. Ponad nią, za pajęczą siecią splątanych czarnych gałęzi, malowało się fioletowe, burzowe niebo. Wokół łagodnie opadały płatki śniegu. Nie, pomyślała Isobel, wyciągając rękę, by złapać jeden z nich – nie śniegu. Roztarła płatek między kciukiem a palcem wskazującym i poczuła suchy pył. Popiół.

Pokrywał las niczym gruby kobierzec. Przyczepiał się do pni i zbierał w miseczkowatych, wysuszonych truchłach szarawofioletowych liści.

– Gdzie... – zastanawiała się na głos, choćby po to, by przerwać ciszę.

– To jest las zwany Weir – rozległ się głos za nią. Obróciła się i zobaczyła go na skraju polany, okrytego długim, czarnym płaszczem, tak jak przedtem. Biały szal zasłaniał dolną część twarzy, a fedora skrywała jego oczy w cieniu. – To pogranicze. Miejsce, do którego rzadko dociera się świadomie. Leży w przestrzeni pomiędzy snami a każdą z rzeczywistości.

Oszołomiona Isobel cofnęła się o krok, nie odrywając od niego oczu. Wśród widmowych drzew jego postać sprawiała jeszcze groźniejsze wrażenie niż w jej pokoju. Wydawał się nawet wyższy, o ile to w ogóle możliwe.

– Czyli... znowu śnie?

– Tak – odparł – i nie.

– Okeeej. – Poczowała zimny dreszcz na plecach. Nie podobało się jej to miejsce. Co gorsza, nie podobało się jej, że nie wie, czy owo miejsce w ogóle istnieje. Przebywanie we śnie oznaczało, że człowiek znajduje się we własnej wyobraźni, prawda? Więc dlaczego to się wydawało takie rzeczywiste?

Niepewna, co zrobić, dalej powoli szła w tył, a pod jej stopami szeleściły kruche liście pokrywające ziemię.

– Dobra, kiedy uzyskam od ciebie odpowiedź, która nie będzie brzmiała jak z czarodziejskiej kuli?

Poruszył się lekko, jakby w jakiś sposób mu przeszkadzało, że dziewczyna zwiększa między nimi dystans. Jego oczy nie odrywały się od niej, nie mrugał też powiekami.

– Zrozum, nie mam innego wyjścia niż mówić do ciebie zagadkami.

– Kim jesteś? Czego chcesz?



- Nie jestem tym, za kogo możesz mnie uważać – odrzekł.
- To znaczy... Poem? – spytała. Poczula się głupio, mówiąc to na głos. Najwyraźniej jednak tej właśnie odpowiedzi oczekiwał, bo skinął głową, ledwie nią poruszając. Jego stopy nie wydawały żadnego dźwięku na pstrokatym dywanie martwych liści i popiołu.
- Powinnaś jednak wiedzieć, że i on ma z tym wiele wspólnego.
- Co było nie tak ze sposobem mówienia tego faceta? Czula się, jakby słuchała Wielkiego Mistrza Jedi Ninja Buddysty, lecz nie doznawała oświecenia. I czemu ciągle szedł w jej stronę?
- Zatrzymaj się – powiedziała, podnosząc rękę. Usłuchał dopiero, gdy jej stopa natrafiła na suchą gałązkę i ją złamała. Wtedy oboje zamarli, słuchając echa.
- Z lasu sączyły się szepty. W oddali rozbrzmiewał stłumiony śmiech. Poczula narastającą panikę. Odwróciła się.
- Co to było?
- Duchy – odparł. – Duchy przekory. Puste istoty z tego świata. Wysłano je, by cię obserwowały. Nasłuchują.
- Po co? Czego? – Isobel znowu się cofnęła. Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Wszystkie strony wyglądały jednak tak samo, a w dodatku nie widziała żadnej tabliczki wskazującej wyjście.
- Musisz trzymać się blisko – powiedział. – Zachowaj dystans tylko, dopóki będę stał z tobą.
- Isobel przerwała swój marsz do tyłu. Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy propozycja wzajemnej asekuracji miała poprawić jej samopoczucie. Nie poprawiła i dziewczyna objęła się rękami, walcząc z drżeniem.
- Skąd się tu wzięłam? A przede wszystkim jak się stąd wydostać?
- Jesteś tu, bo cię tu przywiodłem – odrzekł Reynolds – byś poznała to miejsce, bo nie tylko ja mogę cię tu teraz sprowadzić. Dlatego musisz zrozumieć, że jedyną szansą, by orientować się w tej przestrzeni, jest wiedza, czym ona jest, wiedza, że oto jesteś we śnie. Z tą wiedzą przyjdzie możliwość kontroli. Rozumiesz?



– Mniej więcej tak, jak rozumiem suahili.

– Rozejrzyj się – powiedział – a zobaczysz, jak działania twojego przyjaciela już zaczęły zdzierać zasłonę. – Wyciągnął dłoń w rękawiczce. Na jego palcach osiadł opadający kurz. – Ona słabnie, a noc, gdy stanie się najciemniejsza w twoim świecie, zbliża się wielkimi krokami. Musisz...

Z oddali dobiegł cichy chichot. Po nim rozległ się sykliwy krzyk:

– *Tekeli-li!*

– Co to? – szepnęła Isobel.

– Cicho – nakazał Reynolds. Po chwili nasłuchiwania z innego końca lasu ich uszu doszła odpowiedź.

– *Tekeli-li!*

– Ona wie, że tu jesteśmy – stwierdził. – Nie mogę powiedzieć nic więcej. Musisz iść. – Wyciągnął w jej stronę wyprostowaną dłoń w czarnej rękawiczce. Isobel zawahała się, patrząc na nią tak, jakby była to ręka śmierci. – Teraz!

Ponaglenie w jego głosie podsyciło w niej płomień paniki. Mocno złapał ją za rękę i pociągnął w stronę linii drzew. Miękki jak mąka popiół tłumiał dźwięk jej kroków.

Gnali przez labirynt martwego lasu, coraz gwałtowniej skręcając, aż polana zniknęła za nimi i wszystkie kierunki zaczęły wyglądać tak samo. Nie wiedziała, jakim cudem dotrzymuje mu kroku. Drzewa przemykały obok w rozmytej plamie, od której dostała zawrotu głowy. Wydawało się niemożliwe, by poruszali się tak szybko.

To sen, powiedziała sobie, gdy biegli. To tylko sen. Lada chwila się obudzisz i będzie po wszystkim.

Usłyszała szelest gdzieś w lesie, a potem swoje szeptem wypowiedziane imię. Obróciła głowę. W oddali, za drzewami, jasne światło, promienne i eteryczne, przebijało się przez półmrok niczym latarnia morska. Długi i wąski snop światła zamigotał pod osłoną falującego białego całunu, nabierając kształtów. Nie mogła się powstrzymać od rzucania spojrzeń za siebie. Zobaczyła postać wyłaniającą się z wnętrza

trza gasnącego światła – kobietę o anielskich kształtach, choć szczegóły niknęły w oddali, przesłonięte zwiewnymi niczym pajęczyny woalami.

Reynolds zatrzymał się i szarpnął Isobel, by stanęła twarzą do niego. W powietrzu chwycił za klamkę, która pojawiła się dokładnie w chwili, gdy jego dłoń się na niej zacisnęła. Zupełnie jakby drzwi pomalowano tak, by zlewały się z lasem.

– Jesteś dla niej jedynym zagrożeniem, a zatem naszą jedyną nadzieją – powiedział pospiesznie, otwierając drzwi i odsłaniając różowy dywan oraz kapę na łóżko w tym samym kolorze.

Wepchnął ją do środka i dziewczyna potknęła się o próg, trafiając prosto do swojego pokoju. Tam, w łóżku, zobaczyła samą siebie, pograżoną we śnie.

– Naucz się budzić w swoich snach, Isobel! – zawołał za nią. – Inaczej wszyscy będziemy zgubieni.

Drzwi zatrzasnęły się za nią.

*Podwójne widzenie*

Isobel wlepiła wzrok w śpiące ciało na łóżku. Swoje własne ciało. W tym momencie elektroniczny budzik przy wezglowiu wskazał szóstą trzydzieści. Rozległ się przenikliwy dźwięk i jednocześnie poczuła szybkie, gwałtowne szarpnięcie na wysokości talii.

Doznała wrażenia pędu niczym na karuzeli. Pokój rozmasał się w barwne smugi, a potem wszystko nagle ustało z oszałamiającym trzaskiem.

Zerwała się, ciężko dysząc. W pełni przebudzona, patrzyła w miejsce przed drzwiami, w którym jeszcze przed chwilą stała, patrząc na samą siebie.

Drzwi jej pokoju otworzyły się.

– Izzy – powiedziała matka, zaglądając do środka. – Cieszę się, że wstałaś na czas, ale czy musisz o tej porze trzaskać drzwiami? Poza tym twój ojciec wyszedł już do pracy, więc nie masz przed kim demonstrować. Isobel? – Jej ton wyrażał teraz troskę.

Dziewczyna starała się skupić na twarzy matki, ale nie mogła zapanować nad spojrzeniem, które ciągle wędrowało nad ramieniem kobiety, by podążać w głąb korytarza.

Mama weszła do środka i wyłączwszy budzik, przyłożyła rękę do czoła córki. Dotyk palił jej skórę jak ogień.



— Isobel — odezwała się znowu matka. — Wydajesz się blada. Czyba nie jesteś znowu chora?

W korytarzu Isobel widziała żółte światło, sączące się z łazienki, a także częściowo otwarte drzwi Danny'ego.

Żadnych drzew. Żadnego lasu. Żadnego Reynoldsa.

## 26

### Świr

Centrala do szeregowej Lanley. Jak mnie słyszysz?  
Zanim Isobel dotarła tego ranka do swojej szafki, obmyśliła zgrabne i (przynajmniej w większej części) logiczne wyjaśnienie niemal wszystkiego. Las wziął się z płyty Varena z czarnymi drzewami, bieg przez las wynikał z tego, że jej podświadomość wciąż przeżywała ucieczkę przez park, a Reynolds... cóż, Reynolds pewnie miał coś wspólnego z jej ojcem. Wystarczyło wsadzić to wszystko do szufladki z napisem „zły sen”, dorzucić teorię o świadomych snach – i Isobel uznała sprawę za w zasadzie rozwiązaną. Oczywiście, był też element, który nie pasował do tej zabawy w „połącz kropki”, czyli dziwne białe światło i tajemnicza widmowa kobieta. Może, zastanawiała się dziewczyna, postać ta symbolizowała Lacy?

Drzwiczki szafki obok zamknęły się z hukiem, aż Isobel podskoczyła.

– No, cześć – powiedziała Gwen, zataczając dłonią kręgi przed jej twarzą, jakby myła szybę.

– Co? – spytała Isobel.

– Pstro! Naprawdę nie słyszałaś nic z tego, co przed chwilą powiedziałam? Spytałam, czy dobrze się czujesz. Wyglądasz dziś, jakbyś wpadła w katatonię. I wydajesz się dość zmęczona.

Isobel odwróciła wzrok, próbując ukryć twarz za drzwiczkami.  
– Nic mi nie jest. Po prostu źle spałam.

Nad ich głowami rozbrzmiał pierwszy dzwonek.

– Hej – odezwała się Gwen, wciąż patrząc na Isobel tak, jakby obserwowała coś w szalce Petriego. Po chwili jej niepokój złagodniał i zniknął, zastąpiony krzywym uśmiechem. – Zanim zapomnę.

– Wyciągnęła przed siebie złożony kawałek papieru z imieniem Isobel wypisanym z boku ciemnofioletowymi literami. – Przeczytałam tylko raz, przysięgam.

Isobel jęknęła i wzięła liścik.

– Kiedy go widziałaś?

– Na parkingu. Dziś rano. Wiesz, niektórzy z nas mają samochody.

– Nie przeginaj. – Isobel rozwinęła karteczkę.

*Możemy się spotkać po szkole? U mnie. Bez rodziców.*

*Do zobaczenia na lekcji u Swansona.*

V.

Serce zabiło jej mocniej, wykonując kilka salt. U niego?

Uśmiechnęła się, tłumiąc w umyśle wizje rezydencji rodziny Adamsów.

I bez rodziców. Bez rodziców?

Przeczytała to jeszcze raz, zdając sobie nagle sprawę, że myśl o pozostaniu z nim sam na sam budzi w niej wcale niemały niepokój.

Jakiego to słowa użyła mama? Doświadczony?

Szybko zwinęła karteczkę.

Najgorsze, że gdy podniosła wzrok, zobaczyła wyszczerzoną, raz po raz unoszącą brwi Gwen. Isobel przewróciła oczami i wsadziła liścik do szafki. Potem, po namyśle, wetknęła ją jednak do prawej kieszeni dżinsów. Wciąż nie zmieniła szyfru, a z pewnością nie chciała, by Brad zobaczył tę wiadomość.



– Hej – zagadnęła Gwen, cofając się, by dołączyć do tłumu podążającego korytarzem. – Spotkamy się w stołówce, dobra? Moja delikatna natura motyla każe mi przysiąść przy stolikach, więc spodziewaj się odwiedzin. I nie miej takiej zmartwionej miny. Z doświadczenia wiem, że ci, którzy budzą lęk, z reguły wiedzą, co robią. – Gwen puściła do niej oko, po czym złożyła rękę wokół ust niczym megafon i zawołała: – A gryzą tylko, jeśli im pozwolisz!

Isobel zatrzasnęła szafkę, po czym pospieszyła w przeciwnym kierunku, jak najdalej od odwracających się głów.

Starła się nie uśmiechać.

Pozostała część poranka wlokła się niemiłosiernie i każda minuta zdawała się ciągnąć przez pięć minut. Isobel stwierdziła, że nie może się skupić na lekcjach. W przeciwieństwie do poprzedniego dnia, kiedy to udało jej się odłączyć i pozwolić, by czas sobie mijał, czuła się niespokojna i spięta. Ciągłe spoglądała na zegar i chociaż postanowiła trzymać się swojej teorii, drugie spotkanie z Reynoldsem we śnie ciągle wkładało się tylnymi drzwiami do jej umysłu, grając w ciuciubabkę z pamięcią. Aby skupić się na czymś miłszym, myślała o spotkaniu z Varenem na lekcji u pana Swansona i jeszcze raz po południu, chociaż świadomość, że zostaną sam na sam, nadal wprawiała ją w zdenerwowanie.

Gdy cała wieczność minęła już z dziewięć razy, nadeszła w końcu czwarta lekcja. W drodze do klasy Isobel znowu zatrzymała się przy swojej szafce, by zabrać segregator z notatkami z angielskiego oraz książkę Poego. Nie mogła się doczekać zakończenia projektu, głównie dlatego, że życie i twórczość Poego chciała mieć już z głowy. Nie dość że twórczość ta budziła dreszcz i przyczyniała się do nocnych koszmarów, to jeszcze książka ważyła tyle, co betonowy pustak.

Isobel zajęła miejsce w klasie przed lekcją pana Swansona. Chwilę później z brzękiem łańcuchów wszedł Varen. Podniosła wzrok, prostując się na krześle, bo jego obecność jak zwykle wywołała u niej

pełną czujność. Minał jednak ledwie moment i napięcie z niej opadło, przeradzając się w śmiech. Musiała zakryć usta dłonią. Kilka osób odwróciło się na krzesłach, patrząc z ciekawością to na jedno, to na drugie. Na koszulce pod kurtką chłopaka widniały gotyckie litery układające się w słowo CHULIGAN. Był to wyraz, którego wczoraj wieczorem użył ojciec Isobel. A jednak słyszał, uświadomiła sobie z ukłuciem wstydu.

– Proszę zdjąć okulary przeciwsłoneczne, jeśli pan łaskaw, panie Nethers – powiedział pan Swanson.

Varen zdjął okulary z gestem salutacji, po czym ruszył do swojej ławki. Gdy usiadł, rozległ się głośny chrzęst łańcuszków od portfela o plastikowe siedzisko i metalowe nogi krzesła.

Zadzwonił dzwonek i nauczyciel rozpoczął lekcję, podczas gdy Isobel wciąż próbowała pozbyć się z twarzy głupkowatego uśmiechu. Musiała się też powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń w kierunku Varena.

Pod koniec lekcji pan Swanson zapisał na tablicy nazwiska pracujących nad projektami uczniów zgodnie z kolejnością prezentacji następnego dnia. Najpierw Romelle i Todd z Markiem Twainem, potem Josh i Amber z Waltem Whitmanem, po nich jedyna grupa trzyosobowa z Richardem Wrightem. Isobel zaczęła nerwowo bawić się długopisem, gdy lista się wydłużała.

– A na koniec – powiedział nauczyciel, zapisując na tablicy jej nazwisko – Isobel i Varen przedstawiają naszego gościa honorowego na Halloween, pana Edgara Allana Poego. Na tę prezentację czekam szczególnie. – Uśmiechnął się i skinął głową w ich stronę.

„Pięknie zwiększasz presję, Swanson”. Niespokojnie zerknęła na Varena. Odpowiedział wzruszeniem ramion, którego znaczenie odczytała jako: „A co tam”, lecz po chwili pomyślała, że pewnie ma jakiś plan. Próbowwała się uśmiechnąć w nadziei, że chodzi właśnie o to, ale pomimo tego zapewnienia z jego strony, dziwne uczucie w trzewiach nie chciało ustąpić. W końcu oboje doskonale wiedzieli, że przynaj-



mniej ona jeszcze nic nie zrobiła. No, nic oprócz zanotowania paru przypadkowych cytatów, które, jeśli odczyta je na głos, być może uchronią ich przed oceną zero. Z naciskiem na „być może”.

Isobel zamknęła oczy, przez chwilę usiłując wbić sobie do głowy, że jutro nie może sobie pozwolić na porażkę. Już raz niemal straciła miejsce w drużynie. Gdyby dostała kiepski stopień z angielskiego, trenerka nie miałaby nic do powiedzenia i żadne wykrzykiwane wierszyki z przeprosinami nie uchroniłyby Isobel przed wykluczeniem z grona czirliderek. Jej rolę przejęłaby Alyssa, a ona sama mogłaby tylko pomachać na pożegnanie autobusowi odjeżdżającemu na finały.

Rozległ się dzwonek i mogli iść na obiad. Isobel pozbierała rzeczy i wstała, kładąc książkę Poego na segregatorze. Żałowała, że w ogóle wyciągała ją z szafki, bo tego dnia w ogóle nie mieli czasu na pracę w grupach. A gdy podniosła wzrok, nie zobaczyła już Varena przy ławce. Dostrzegła go za to na korytarzu, rozmawiającego z kimś, kogo zasłaniała ściana. Jej podejrzenia co do tożsamości rozmówcy potwierdziły się jednak, gdy mignęły jej czarne włosy i miedziana skóra nadgarstka, otoczonego bransoletką.

Jej oczy zwężyły się. Wsunęła swoje rzeczy pod pachę i ruszyła do drzwi. Gdy podeszła bliżej, zdało jej się, że wyłapała słowo „bimbo”.

Zanim choćby pomyślała, by się powstrzymać, wyszła na korytarz i stanęła obok Varena, delikatnie dotykając jego ramienia. Ten kontakt sprawił, że przeszedł ją elektryczny dreszcz. Odwrócił się szybko i popatrzył na nią oczami niczym dwa głębokie stawy zdumienia. Siłą woli trzymała dłoń nieruchomo na jego rękawie. Potem, dla większego efektu, nachyliła się i cicho im przerwała:

– Hej, spotkamy się po szkole, dobrze?

Nie czekała na odpowiedź. Jej spojrzenie przeniosło się z chłopaka na Lacy i w odpowiedniej chwili zadbała o kombinację uśmiechu z porozumiewawczym mrugnięciem. Królowa Saby stała oszołomio-

na, ze lśnącymi rdzawymi wargami rozchylonymi w bezbrzeżnym zdumieniu. Wciąż się uśmiechając, Isobel odwróciła się na pięcie. Nieprzesadnie kołysząc biodrami, ruszyła w stronę stołówki.

Isobel wyszła z kolejki po obiad, niosąc pod pachą zarówno książkę Poego, jak i segregator. Tacę trzymała w obu rękach. Czwartki były w Trenton dniami pizzy od zewnętrznego dostawcy i Isobel, gdy pusty żołądek w końcu dał znać o sobie, wzięła największy kawałek grzybowej pizzy z Tony Tomo, jaki znalazła. Przez całą drogę do stolika musiała walczyć o utrzymanie równowagi i nie widziała, kto przy nim siedzi, do chwili gdy była już gotowa postawić tacę.

Stevie. Wstał i wyciągnął ręce, by wziąć od niej książki. Zauważyła, że jak zwykle ma na sobie bluzę Trenton, niebieską z dużą żółtą literą T na piersi.

– Hej – zagadnął. – Nie przeszkadza ci, jeśli tu dziś usiądę?

Pokręciła głową. Postawiła tacę na stoliku i uważnie mu się przyglądała. Stłumiła w sobie chęć, by zerknąć na miejsce, gdzie zwykle przesiadywała ekipa, i miała nadzieję, że Stevie zdaje sobie sprawę, co to dla niego oznacza. Pomyślała, że z drugiej strony po tym, jak wsparł ją wczoraj na treningu, nie zdziwiłaby się, gdyby ekipa już go wykopała ze swojego grona.

Usiadła.

– Hej, przy okazji, dzięki za wczoraj – powiedziała. Może jeśli nada rozmowie lekki ton, chłopak nie poczuje presji, by poruszać temat grupy. Wzięła z talerza kawałek pizzy.

– Isobel...

– Tak? – zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim ugryzła.

– Przyszedłem tu, bo muszę z tobą porozmawiać. Zdaje się, że Mark i Brad coś szykują – powiedział cichym głosem.

Zaczęła żuć wolniej. Pozwoliła, by pizza wysliznęła jej się z ręki z powrotem na talerz, po czym wytarła palce w serwetkę i spróbowała przełknąć.



— Co masz na myśli?

— Słyszałem, jak Brad rozmawiał z Markiem po trzeciej lekcji — ciągnął. — Ale przerwali, kiedy wszedłem. Słyszałem tylko, jak Mark pyta Brada, czy powiesz. A wtedy Brad rzucił coś w stylu: „On nie będzie mógł niczego udowodnić”.

Zamarła, słysząc słówko „on”. Opuściła ręce na kolana, wciąż ściskając serwetkę, i omiotła stołówkę wzrokiem. Zobaczyła Brada, Marka, Alysę i Nikki siedzących razem. Następnie zerknęła na stolik gotów, lecz nie zobaczyła Varena. Lacy zresztą też nie. Zmarszczyła brwi.

— Isobel — odezwał się Stevie, zniżając głos do szeptu. Odwróciła się do niego, a on przechylił się przez stół. — Brad bez przerwy o tobie mówi. Coś w niego wstąpiło z powodu tej całej sprawy między tobą a tym chłopakiem. To znaczy, kurczę, jeśli akurat nie mówi o tobie, to opowiada, co robi temu Varenowi.

Isobel znieruchomiła, słuchając tych słów. Czemu Brad nie może po prostu zostawić tego w spokoju? Czemu nie może zostawić jej w spokoju?

— Isobel, myślę, że on może zrobić coś poważnego. To znaczy... Brad jest przekonany, że to, co się stało z jego samochodem, to sprawa Varena. Wiedziałaś, że policja znalazła na oponach ślady pazurów?

— Że co? — Isobel pochyliła się, kręcąc głową. Stevie mówił bardzo cicho i nie miała pewności, czy dobrze słyszała.

— Dzieją się różne rzeczy. I... myślę, że powinnaś komuś powiedzieć, że Brad dziwnie się wobec ciebie zachowywał, zanim zrobi to, co sobie zamierzył. Nikki też tak uważa.

— Nikki? — Zmiała serwetkę i rzuciła ją na tacę. Teraz to już na pewno żartował. Albo próbowali ją wrobić.

— Isobel, posłuchaj mnie — powiedział. — Nie podeszła tu dzisiaj ze mną tylko z jednego powodu. Uważa, że jej nienawidzisz.

— To nieprawda. — Słowa dobyły się z jej ust, zanim zdążyła je powstrzymać. — To znaczy — przyznała — nie jest teraz moją ulubioną osobą na świecie, ale...

– Wiesz, umówiła się z Bradem, bo uznała, że to zwróci twoją uwagę, i tylko dlatego. Dobija ją, że ze sobą nie rozmawiacie. Poza tym oni nawet już się nie spotykają. To trwało tylko chwilę. Tyle że on nie pozwala jej nikomu o tym mówić, bo nie chce, żebyś ty się dowiedziała. A sam nawija tylko o tym, jaki masz wyprany mózg i jaki wycisk da temu koleśowi.

Kolejna taca wylądowała na stoliku. Isobel podskoczyła.

– Czemu szepczemy? – szepnęła Gwen. Isobel podniosła wzrok i zobaczyła, że Gwen zdejmuje z szyi centymetr krawiecki. – Usiądź prosto – poleciała, dźgając Isobel palcem w żebra. Ta pisnęła i wyprostowała się. Zerknęła na Steviego, który szeroko otwartymi oczami patrzył, jak Gwen opasuje centymetrem talię koleżanki.

– Gwen – odezwała się Isobel – co ty wyprawiasz?

– Tym się nie przejmuj – mruknęła tamta. Zwinęła taśmę i ze związanym w kucyk włosów wyjęła długopis, by zaznaczyć coś na nadgarstku. – Wyciągnij ręce. I nie bądź źle wychowana. Przedstaw mnie wreszcie. Kim jest twój kolega?

Isobel przycisnęła ramiona do siebie niczym kura skrzydła, gdy Gwen skakała wokół niej. – To Stev... au! – Wzdrygnęła się, gdy tamta uszczypnęła ją pod pachą.

– Cześć, Stev-au – powiedziała Gwen. Skinęła chłopakowi głową, naciągając tymczasem taśmę wokół biustu Isobel.

– Mój Boże, Gwen! – Głowa Isobel obróciła się szybko w obie strony, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy.

– H-hej – zająknął się Stevie i pomachał jej ręką.

– Oj, okropna jesteś – narzekała Gwen, skrobiąc coś na nadgarstku. Znowu wzięła miarękę, tym razem wyciągając w bok jedną rękę koleżanki, by zmierzyć obwód. Krzywiąc się, Isobel prychnęła i poddała się, pozwalając się mierzyć i katalogować. Wiedziała, że cokolwiek Gwen wyprawia, ma to coś wspólnego z Ponurą Fasadą. Wiedziała też, że cokolwiek Gwen zamierza, i tak nie ma mowy, żeby ona mogła uzyskać zgodę na wyjście.

– O rany – powiedziała nagle Gwen. Upuściła taśmę i utkwiała spojrzenie w Steviem, który zamarł z widelcem spaghetti uniesionym do otwartych ust. – Co pod tymnosisz? – spytała, wskazując jego bluzę.

Chłopak rzucił szybkie spojrzenie Isobel. Było to głośne i wyraźne wołanie o pomoc.

– Oj, sorki, sorki – rzuciła Gwen, machając rękami. – Chodźmy o to, że muszę pożyczyć twoją bluzę i chciałam się upewnić, czy masz coś pod spodem.

– Chcesz pożyczyć moją bluzę? – powtórzył. Przycisnął dłonie do ramion, jakby za wszelką cenę chciał utrzymać tę część garderoby na miejscu.

– Tylko do pojutra. Pod spodemnosisz koszulkę, nie?

– No tak, ale...

Gwen podskoczyła i podeszła do niego z boku. Podniosła róg jego bluzy i zaczęła ją odrywać od żółtej koszulki pod spodem.

– Wielkie dzięki – powiedziała, gdy ściągnęła mu ją przez głowę.

– Właśnie tego potrzebowałam.

Stevie siedział oszołomiony, a jego krótkie ciemnokasztanowe włosy dosłownie ożyły, tak były naelektryzowane. Isobel patrzyła ze zdumieniem, jak Gwen zrywa rękawy z nadgarstków chłopaka, po czym zwija bluzę w kłęb i siada obok niego. Następnie pochyliła się nad swoją tacą i zanurzyła łyżkę w gulaszu.

Isobel przewróciła oczami. Kręcąc głową, bezgłośnie powiedziała „przepraszam” do Steviego, który spoglądał to na jedną, to na drugą dziewczynę. Gdy patrzył, jak Gwen pochłania resztę swojego obiadu w trzech ogromnych kęsach, miał dziwną minę, jakby nie mógł się zdecydować, czy smak, który ma w ustach, odpowiada mu, czy nie.

– No to o czym tak poważnym rozmawiamy? O, dobrze to wygląda – odezwała się Gwen, wskazując łyżką talerz koleżanki. – Też powinnam wziąć dziś pizzę. Skończyłaś?



– Nie! – warknęła Isobel. Odsunęła tacę od tamtej i znowu wzięła kawałek pizzy. Ugryzła go w chwili, gdy na stole spoczął długi cień.

– Próbujesz pobić własny rekord? – spytał cichy głos.

Pizza wysunęła się z dłoni Isobel i spadła na talerz, zostawiając strużkę sosu na jej podbródku. Złapała zgniecioną serwetkę i przycisnęła ją do ust, przelękając kęs w całości.

Gwen szturchnęła łokciem Steviego, który przesunął się o jedno miejsce. Sama też się przesunęła, by Varen mógł usiąść naprzeciwko Isobel. Poczowała jego słaby zapach. Dotąd nie zwracała na niego uwagi, lecz teraz spróbowała poddać go analizie. Był torfowy i soczysty, lecz zarazem w jakiś sposób delikatny. Chłopak położył między nimi plik spiętych razem kartek.

– Skończyłeś – stwierdziła. Chwyciła pracę i przeczytała stronę tytułową:

*Ten, który napisał „Kruka”.*

*Życie, śmierć i najważniejsze dzieła Edgara Allana Poeego*

*Wypracowanie*

*Autorzy: Isobel Lanley i Varen Nethers*

– Ojej, wygląda super – powiedziała i znowu popatrzyła mu w oczy. Już niemal nauczyła się odnajdywać je wśród gąszczu jego ciemnych włosów. – Naprawdę myślisz, że nie nabierze podejrzeń?

– Wątpię – odparł. – Tylko koniecznie to przeczytaj.

Isobel skinęła głową. Pomyślała, że może najlepiej przeczytać to więcej niż raz na wypadek, gdyby Swanson chciał dokładnie wiedzieć, które fragmenty napisała ona. Otworzyła okładkę książki Poeego i wsunęła pracę pod nią.

– To co, robicie prezentację na temat Poeego? – spytał Stevie dla zagajenia rozmowy.

Varen odwrócił się w jego stronę, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność. Stevie z kolei, zdawałoby się, zapadł się w siebie,



opuszczając wzrok na swoją tacę, jakby obawiał się, że zbyt długi kontakt wzrokowy zmieni go w kamień.

– Varen, to jest Stevie – powiedziała Isobel. – Jest ze mną w drużynie. – Tłumaczenie: to fajny koleś. – Stevie, to Varen.

Stevie uniósł dłoń. Varen skinął głową i jego mina złagodniała.

– Tak – potwierdził. – O Poem.

– Ej, to ten gość, który ożenił się z kuzynką czy coś? – spytała Gwen, po czym ugryzła zielone jabłko, lekko rozparta, tak że jej ramię naciskało na Varena z niedbałą pogardą dla granic jego prywatnej przestrzeni i niepisanej zasady „nie dotykać”. Przy stoliku zapadła cisza, jeśli nie liczyć donośnego chrupania Gwen, rozlegającego się tuż przy lewym uchu Varena. Isobel musiała ściągnąć wargi, by powstrzymać uśmiech. Gdy zerknęła na Stewiego, zobaczyła, że jego brwi powędrowały niemal pod sufit.

Varen potraktował bliskość dziewczyny po swojemu. Powoli odwrócił głowę, by na nią popatrzeć, najpierw zerkając tam, gdzie ich ramiona się stykały, a potem prosto w jej nachalne oczy. Isobel czekała, aż Gwen zapadnie się pod ziemię, zdematerializuje albo roztopi. Tamta jednak wyciągnęła w stronę jego nosa palec dłoni, w której trzymała nadgryzione jabłko.

– Nie mów, że nie – powiedziała. Pokiwała palcem. – Bo wiem, że się ożenił.

Spojrzenie Varena pozostawało nieruchome, przerywane tylko powolnymi, wyrazistymi mrugnięciami powiek.

Gwen zamyśliła się, po czym dodała:

– A czy to nie on obciął sobie ucho i wysłał swojej dziewczynie?

– Van Gogh – odparł Varen monotonnym głosem, który zdawał się świadczyć o cierpieniu.

– Van Gogh – powtórzyła, odchylając się i wymachując jabłkiem.

– Edgar Allan Poe. Blisko!

Rozbrzmiał dzwonek kończący przerwę obiadową. Stevie natychmiast wstał. Gdy szedł z tacą w ręce, rzucił Isobel przez ramię znaczą-

ce spojrzenie. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie jego ostrzeżenie dotyczące Brada i Marka.

– Co to miało być? – spytał Varen.

Odwróciła się twarzą do niego, gdy wstał. Pomyślała, że może mu powiedzieć, co usłyszała Stevie. Powinna go uprzedzić. Ale czy już nie wiedział? W końcu groźby ze strony Brada nie były żadną nowiną. A czy i bez tego nie mieli wystarczająco wielu zmartwień? Pokręciła głową.

– Nic – bąknęła, postanawiając, że powinna poczekać przynajmniej do jutra, gdy już będą mieli z głowy prezentację. – Po prostu dzisiaj chciał usiąść tutaj.

– A zatem monarchia podupada pod twoją nieobecność – powiedział z namysłem.

Na te słowa uśmiechnęła się, choć trochę smutno.

– Gwen – powiedział z uznaniem.

– Wasza Mroczność – odparła z ukłonem.

Oczy wciąż miał utkwione w Isobel, gdy rozpoczął powolny marsz w tył. Znowu to robił: przemawiał do niej samymi oczami. Czuła się uwięziona przez to spojrzenie i próbowała go usłyszeć, odczytać ukrytą wiadomość. W końcu oderwał od niej wzrok i odwrócił się, po czym wyszedł ze stołówki.

Nastąpiła chwila przerwy, zanim Gwen się odezwała.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Właśnie się zastanawiasz, czy to było fajne, czy wkurzające. – Urwała, jakby formułowała własną opinię. W końcu stwierdziła: – To było totalnie fajne.

Zanim obiad się skończył, Isobel zajrzała do sekretariatu i zadzwoniła do mamy, by ją poinformować, gdzie będzie, ponieważ w szkole nie wolno było używać komórki.

Pominęła szczegół, że w domu Varena nie będzie rodziców.

Mama przyjęła to spokojnie. W zasadzie. Przynajmniej nie zadawała zbyt wielu pytań, zwłaszcza gdy Isobel jej przypomniała,

że prezentacja ma być gotowa jutro i że mają zaległości. Duże zaległości.

Zapewniła ją, że tak, Varen odwiezie ją do domu i tak, wróci najpóźniej o dziesiątej.

– Co powiesz tacie? – spytała, zanim się rozłączyła.

Odpowiedź mamy brzmiała:

– To już moje zmartwienie.

I sprawiła, że Isobel martwiła się jeszcze bardziej. Nie znosiła, kiedy rodzice się kłócili. Zwłaszcza kiedy sama stanowiła powód kłótni.

Po ostatnim dzwonku zastała Varena czekającego na nią w tym samym miejscu co wczoraj.

– Hej – odezwała się, podchodząc bliżej do otwartych drzwi, w których stał, we wpadającym do środka jesiennym słońcu, okalającym jego kontur złotą krawędzią.

Odwrócił się w jej stronę, a czerń jego włosów zalśniła w promieniach światła. Uśmiechnął się, ledwo, ledwo, a jej zakręciło się w głowie na widok tego uśmiechu, na myśl, że wywołała w nim tak rzadką reakcję.

– Dobra robota z tym wypracowaniem – stwierdziła.

Przeczytała dziesięciostronicową pracę na matematyce, w czasie gdy mieli zajmować się zadaniami. Uznała, że zadania może skończyć w weekend, skoro i tak trzeba je oddać w poniedziałek.

Varen skinął głową, ale nic nie powiedział. Razem wyszli na parking i chłopak nasunął okulary na nos. Miło było iść obok niego. Zupełnie jakby... oficjalnie byli parą.

Zatrzymał się.

– Co? – spytała Isobel. Gdy nie odpowiedział, podążyła za jego spojrzeniem.

Napis wyryto w lakierze cougara. Ciągnął się przez drzwi kierowcy aż do tylnego błotnika. Wydrapana kluczem albo innym ostrym przedmiotem wiadomość raziła szarością na gładkiej niegdyś, czarnej powierzchni. NIE ŻYJESZ ŚWIRZE – głosila.



– Cholera – wydyszała Isobel. – Dostyc tego.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do szkoły, czując, że wzbiera w niej nowy rodzaj złości, która potęgowała się z każdym krokiem. Zawróciła gwałtownie, zmieniawszy zdanie. Nie, pomyślała, nie pójdzie do sekretariatu. Zarówno Brad, jak i Mark byli graczami reprezentacji szkoły i mieli dzianych rodziców, dla tego gdy o nich chodziło, wszyscy starali się na ogół patrzeć przez palce. Postanowiła iść na boisko treningowe, prosto do źródła. Jeśli będzie musiała skopać Bradowi tyłek w obecności wszystkich kumpli z drużyny i zostanie za to zawieszona, proszę bardzo. Niech będzie. Tym razem posunął się za daleko.

– Dokąd idziesz? – dobiegło ją wołanie Varena i miała wrażenie, że pociągnął za sznurek, opleciony wokół jej serca. Zwolniła kroku, ale nie odwróciła się ani nie zatrzymała. Słyszała, że za nią idzie, lecz wiedziała, że jeśli teraz spojrzy, straci całe zdecydowanie. Znowu przyspieszyła.

Brad robił to ze względu na nią. I dlatego naprawienie sytuacji było jej zadaniem.

Przeszła przez parking na przystanek autobusów, który ciągnął się przed szkołą na kształt szerokiego podjazdu.

Żółte autobusy warczały, zaparkowane w dwóch rzędach, a uczniowie przechodzili między nimi parami i grupkami. Isobel nie widziała ogrodzonego płotem boiska treningowego z tyłu, wiedziała jednak, że zawodnicy właśnie się tam zbierają, szykują sprzęt i przechwalają się przed jutrzejszym wielkim meczem.

– Isobel! – zawołał Varen, który ciągle podążał za nią. Szła dalej, przecinając trawiastą wysepkę, krawężnik i krzewy. Uderzyła ją woń gorących spalin i wstrzymała oddech, żeby ich nie wdychać. Przeszła między autobusami i była już niemal po drugiej stronie asfaltu, gdy poczuła dłoń, łapiącą ją za ramię.

– Co? – Odwróciła się do niego i zarumieniła się, bo nie chciała odezwać się tak ostro.

– Nie rób tego – powiedział, ciągle ściskając jej ramię, na tyle mocno, by ją przytrzymać. Odwróciła od niego spojrzenie w kierunku boiska. I zobaczyła Brada. On też ich zauważył i ruszył w stronę ogrodzenia, rozpromieniony, z futbolowym kaskiem w ręce. W ochraniaczach na ramiona i futbolowych spodniach wyglądał niczym jakiś potężny czarny charakter z komiksu o superbohaterach. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i pomachał im, jakby spotkał dwójkę starych przyjaciół.

– Nie widzisz, że jemu właśnie o to chodzi? – szepnął do niej Varen, choć ledwie go słyszała wśród warkotu autobusów.

Isobel patrzyła, jak Brad przestaje machać i wyciąga palec w kierunku Varena. Całe jego ciało stężało. Ogarnęło ją przerażenie i odwróciła się do Varena, lecz jego mina okazała się równie nieodgadniona, jak zawsze.

Trener Logan zawołał Brada i krótko zadał w gwizdek. Z palcem wciąż wycelowanym w Varena, tamten zaczął się cofać w kierunku miejsca, gdzie grupka innych zawodników stała i patrzyła.

– Chodź – powiedział Varen, puszczając ją. – Idziemy.

Stała, jakby zapuściła korzenie. Patrzyła na Brada chwilę dłużej, wciąż zmagając się z pragnieniem, by wpaść na boisko i walnąć go w głowę tym głupim kaskiem. W końcu jednak odwróciła się i ruszyła za Varenem.

Zatrzymała się w połowie jezdni, tocząc wzrokiem po oknach autobusów. Twarze. Tak wiele twarzy zwróconych na nią. Cieszę się, że podoba się wam przedstawienie, pomyślała.

Odwróciła się od tych wszystkich oczu gotowych paść się jej życiowym dramatem, po czym potruchtała za ciemną postacią przed sobą.

*Zielony człowiek*

Jechali w milczeniu.

Isobel patrzyła przez okno na mijane drzewa, na barwy jesieni, niemal neonowe na tle szarości chmur, i zastanawiała się, czy rozmowa Brada i Marka, którą podsłuchał Stevie, dotyczyła właśnie oszpecenia samochodu Varena. Rozmyślała też, czemu nie zrobili czegoś więcej – choć zarówno treść wydrapanej wiadomości, jak i złowieszczo wyciągnięty palec Brada kazały przypuszczać, że najgorsze jeszcze nadejdzie.

– Da się naprawić? – spytała, przerywając w końcu ciszę.

Wzruszył ramionami, patrząc na drogę.

– Można spolerować. Polakierować.

– Będzie wyglądać jak przedtem?

– Oby. – Wydało jej się, że słyszy powątpiewanie.

Znowu popatrzyła przed siebie. Chciała mu powiedzieć, że przykro jej z powodu samochodu. Chciała powiedzieć, że się martwi, że już nie wie, do czego Brad jest zdolny. Wiedziała jednak, że Varen nie odpowie. Będzie milczał, a ona będzie siedziała obok i czuła się głupio, że otworzyła usta. Chociaż różnił się od innych chłopaków, też miał hopla na punkcie tej głupiej męskiej dumy.

– Co ty w ogóle w nim widziałas? – spytał, przerywając bieg jej myśli.



Jej usta otworzyły się, jakby chciała coś powiedzieć na swoją obronę. Zdołała jednak wydukać tylko:

– Nie wiem.

Skinął głową na swój charakterystyczny sposób, jakby bez wyjaśnień rozumiał zasady funkcjonowania jej umysłu. Jakby dokładnie tego się po niej spodziewał. Znowu poczuła się mała i prosta, miała wrażenie, że pakuje ją z powrotem do szufladki.

– Równie dobrze mogłabym cię spytać, co widziałeś w tej całej Lacy – odparła i rzuciła mu ostre spojrzenie.

Uśmiechnął się, jakby nie mógł nic na to poradzić. Nie chciała w to wierzyć. Naprawdę się uśmiechał, odsłaniając zęby i w ogóle. Czy kiedykolwiek wcześniej widziała go uśmiechniętego? Nie, uświadomiła sobie, bo ta mina zdawała się zupełnie do niego nie pasować i przez chwilę miała wrażenie, że jedzie z nieznajomym.

– Co? – spytała.

– Naprawdę się dzisiaj wkurzyła, wiesz.

– A ma powody?

– Nie wiem – odparł i natychmiast spoważniał. – Ma?

Nienawidziła, po prostu nie-na-wi-dzi-ła, kiedy tak robił. Kiedy obracał każde pytanie o sto osiemdziesiąt stopni i odbijał piłeczkę. Złożyła ręce i znowu wyjrzała przez okno, odmawiając uczestnictwa w tej zabawie.

Samochód zjechał z głównej drogi na mały parking. Isobel wyciągnęła szyję, by zobaczyć, gdzie się znajdują, i ze zdziwieniem stwierdziła, że zatrzymali się przed szybą wystawową, za którą widniał neon z napisem DOUBLE TROUBLE II.

– Zaczekaj tutaj – powiedział, po czym rozpiął pas i wysiadł. Zamknął za sobą drzwi, zostawiając samochód na jałowym biegu. Isobel wyprostowała się i patrzyła, jak wchodzi do restauracji. Widziała go tylko częściowo przez rozświetloną słońcem szybę. Podszedł do kontuaru i wyjął portfel. Pomyślała, że musiał wcześniej złożyć zamówienie telefonicznie, bo mężczyzna za kontuarem uśmiechnął

się i podał mu plastikową torbę. To ją zaintrygowało, sądziła bowiem, że Varen nie ma telefonu komórkowego.

Wyszedł po chwili, niosąc torbę, w której znajdowało się kilka pudełek z chińskim jedzeniem. Otworzył drzwi i podał ją dziewczynie. Samochód wypełnił się niebiańskim zapachem sajgonek, kurczaka z grzybami i wołowiny z brokułami. Obudził się w niej głód. W brzuchu jej zaburczało, bardzo głośno, jakby warczał tam wściekły pies, i nawet nie próbowała się pocieszać, że nie słyszał.

– Mam nadzieję, że lubisz chińszczyznę – powiedział i wrzucił bieg.

Zjechali z wąskiej uliczki, mijając tablicę z napisem ST. FRANCIS COURT. Warkot cougara poniósł się echem, gdy potoczyli się szeroką aleją, złożoną z dwóch długich jednokierunkowych jezdni, przy których parkowały rzędy samochodów. Dzielił je pas zieleni, a za szerokimi chodnikami po obu stronach wznosiły się wiktoriańskie domy, stojące naprzeciwko siebie niczym pary szykujące się do walca.

– Mieszkasz tutaj?

Zadał silny wiatr i zakołysał liściastymi koronami starych drzew. Słońce przebiło się przez chmury, rozświetlając środek alei, gdzie stała duża fontanna, znacznie większa niż ta w jej okolicy. Isobel opuściła szybę po swojej stronie. Do auta wdarło się rześkie jesienne powietrze, chłodząc jej twarz. Wychyliła się, by lepiej przyjrzeć się fontannie, gdy ją mijali. Woda lała się ze wszystkich stron ogromnego zielonego basenu, tworząc przejrzystą kurtynę wokół wysokiej podstawy, otoczonej pełnymi wdzięku łabędziami i cherubinami o poważnych twarzach. Tryskająca woda wydawała przyjemny szum, jedyny słyszalny dźwięk oprócz warkotu silnika cougara.

Z samego szczytu fontanny spoglądał na nich posąg ponętnej nagiej kobiety. Trzymała kawałek tkaniny, który zakrywał dolną połowę ciała i zdawał się powiewać za nią w łuku, który zatrzymał się w czasie.

Samochód okrążył ją i ruszył drugą jezdnią alei. Isobel obróciła głowę i nachyliła się, by patrzeć przez okno. Żelazny lew wykrzywił się do niej z kamiennego piedestału. Dwa rzędy ozdobnych latarni gazowych ciągnęły się po obu stronach pasa zieleni. Wszystkie świeciły żywym płomieniem, migoczącym w szklanych kloszach. Aleję omiótł kolejny, łagodniejszy podmuch, niosąc tysiąc małych żółtych listków. Zaczęły opadać, chwytając światło, które nadawało im wygląd płatków złota.

Wiedziała, że znaleźli się w jednej z najstarszych części miasta, gdzieś w dzielnicy historycznej. Wiedziała, że ta dzielnica istnieje, ale nigdy dotąd nie miała powodu, by tu przyjeżdżać.

– Jak tu pięknie – szepnęła, nie mogąc się zdecydować, z którego okna samochodu jest ładniejszy widok.

Budynki wyglądały niesamowicie, każdy był właściwie osobnym zamkiem. Miały ozdobnie wykończone, ceglano-kafelkowe fasady, małe ganki i portyki, okolone filarami z rzeźbionego kamienia. Z niektórych wystawały balkony, z innych zaś obłe wieżyczki o szpiczastych dachach. Gdy mijali szary, przypominający twierdzę dom, zbudowany wyłącznie z kamienia, Isobel miała wrażenie, że widzi małe twarze, wyrzeźbione na fasadzie, z ustami otwartymi na kształt litery O i groźnie ściągniętymi brwiami.

– Co to takiego? – spytała, pokazując płaskorzeźby.

– Te twarze? Nazywają je „zielonymi ludźmi” – wyjaśnił i zwolnił do żółtego tempa, by lepiej widziała. – Podobne do goblinów czy gargulców. To obrońcy. Mają odpędzać zło.

Isobel skupiła się na jednym kamiennym obliczu, które zwróciło jej uwagę, było inne od pozostałych. Ten zielony człowiek miał taką samą surową i złowrogą minę, jak jego towarzysze, lecz oczy duże, o kształcie migdałów, zdawały się raczej milcząco prowokować niż odpędzać intruza. Inne twarze miały liściasty zarost i zniekształcone rysy, ta zaś wydawała się gładka i niemal ludzka.

Znowu nabrali prędkości i dziewczyna odwróciła wzrok.



— Nie chce mi się wierzyć, że tu mieszkasz — powiedziała i pokręciła głową, nie umiejąc, a może nie chcąc zamaskować zazdrości w głosie. Nic nie powiedział i podjechali do wielkiego domu z czerwonej cegły, prostego w porównaniu z innymi, wznoszącymi się wokół. Varen wrzucił wsteczny i tyłem wjechał na wolne miejsce przy ulicy.

Isobel popatrzyła na dom. Miał trzy poziomy, a najwyższy, jak sądziła, mógł być strychem. Dwie pochyłości dachu spotykały się tam, tworząc wierzchołek, a spod niego wyrastał mniejszy daszek, przykrywający prostokątne trójdzielne okno, poprzedzielane białymi icksami.

Niewielki betonowy ganek prowadził do frontowych drzwi, osłoniętych prostym werandowym dachem, opartym na pomalowanych na biało filarach. Drzwi z matowego złotego szkła połyskiwały bladym, żółtym blaskiem w popołudniowym słońcu.

Varen wyłączył silnik i wysiadł. Isobel też wyszła z auta, uważając, by nie przechylić torby z jedzeniem. Patrzyła na niego ponad maską samochodu, gdy ze zmarszczonym czołem oglądał bok cougara od strony kierowcy. Zanim zdążyła coś powiedzieć, odwrócił się i podszedł do bagażnika, by go otworzyć. Wzięli rzeczy i ruszyli chodnikiem, a Varen po drodze szukał właściwego klucza.

— A gdzie twoi rodzice? — spytała, gdy otworzył drzwi.

— Wyszli — odparł. — Kto wie? Wrócą późno. Jakaś aukcja dobroczynna czy coś.

Gdy weszli do środka, ich kroki poniosły się echem po polerowanej drewnianej podłodze. Isobel zadarła głowę, zachwycona wysokością sufitu. Ktoś tu musi lubić stare statki, pomyślała, gdy jej wzrok najpierw natrafił na model, który wyglądał na szkuner, ustawiony na długim stole w korytarzu, a potem na duży obraz, przedstawiający żaglowiec miotany sztormem.

Odgłos kroków umilkł, gdy weszli na gruby złoto-czarny dywan, który sięgał aż do dużych schodów przy ścianie po lewej.

Po prawej stronie widziała otwarty salon z wysokimi przesuwными drzwiami z drewna. W środku pysznił się kominek. Przy ścianach stały regały, ozdobione szklanymi bibelotami i kolejnymi statkami, a przy nich widniały wysokie lampy podłogowe z fantazyjnymi szklanymi kloszami w stylu Tiffany'ego. Isobel pomyślała, że pomieszczenie ma styl: „Patrz, ale nie dotykaj”, głównie właśnie z powodu tych lamp.

– Chcesz coli? – spytał.

Nie czekając na odpowiedź, zniknął w wąskim korytarzu.

– No... jasne – odparła.

Ruszyła za nim, bo sama czuła się nieswojo, ale przystanęła, gdy doszła do drugiego, większego pokoju po prawej. Też wyglądał, jakby nie było wolno niczego w nim dotykać, wykończony w barwach starego złota i łagodnego różu, z drewnianą mozaiką na podłodze, ciężkimi draperiami i ozdobnymi starymi krzesłami. W jednym kącie stał lśniący czarny fortepian niczym przysadzisty dżentelmen w smokingu. Gdy weszła do środka, miała wrażenie, że niemal przekracza bramę czasu, opuszczając jedno stulecie i przenosząc się do innego. Podeszła do fortepianu i położyła torbę z jedzeniem na stoliku do kawy o cienkich nóżkach. Stała przy instrumencie i musnęła palcami klawisze. Wybrała jeden pośrodku i lekko nacisnęła.

Dźwięk wyraźnie rozstrojonego instrumentu rozbrzmiał wokół niej.

Gwałtownie cofnęła rękę. Łokciem uderzyła w półkę za sobą, zrzucając ramkę ze zdjęciem. Obróciła się, chwyciła fotografię... i zamarła na widok zielonookiego, jasnowłosego chłopca w wieku najwyżej dziesięciu lat. Zdjęcie obejmowało go od ramion w górę. Miał na sobie szarą kamizelkę, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Krzywiąc się, patrzył na fotografa, jakby oburzał go sam pomysł tego zdjęcia. Czy miał lekko podkrążone, przez co wydawał się przedwcześnie zmęczony życiem. Isobel przybliżyła fotografię do twarzy, szukając w tej małej twarzy cech chłopaka, którego знаła.

Wzdrygnęła się, gdy ramkę otoczyły smukłe palce z pierścieniami. Puściła ją i obróciła się, by nagle ujrzeć te same oczy. Serce przyspieszyło jej trzykrotnie, gdy delikatnie zabrał jej zdjęcie i wyciągnął rękę nad jej ramieniem, by postawić je z powrotem na półce obok innych.

– Tak naprawdę jesteś blondynem – stwierdziła tonem niemal oskarżycielskim.

– I jeśli komuś powiesz, przyjdę do ciebie w nocy, żeby dręczyć twoją nieśmiertelną duszę.

Obiecujesz? Isobel szybko odwróciła się do fortepianu, wstrząśnięta, że omal nie powiedziała tego na głos. Aby odwrócić swoją uwagę od tej myśli, znowu przesunęła palcami po klawiszach.

– Kto gra? – spytała.

Jego spojrzenie spoczęło na jej dłoni, a potem na klawiszach.

– Nikt. Jak wszystko inne, stoi tu tylko na pokaz. Nie jest nawet nastrojony.

Isobel cofnęła palce. Nie, pomyślała, za tym kryje się coś więcej. Świadczył o tym sposób, w jaki jego oczy powędrowały na wypolerowaną powierzchnię instrumentu, zanim przybrał zamyślony wyraz twarzy.

– Nikt? – naciskała.

– Moja mama grała – przyznał niespodziewanie.

– To znaczy, że już nie gra?

– Nie wiem – odparł. – Może gra. Jego wzrok znowu stał się obecny i podał jej dwa srebrne widelce, które widocznie przyniósł z kuchni. – Odeszła, kiedy miałem osiem lat – wyjaśnił.

Zamrugwała powiekami. Żartował? Czasami trudno było stwierdzić.

– Więc z kim...

– Przez telefon rozmawiałaś z moją macochą. – Mówił poważnie. Bez wątpienia nie był to żart.

– A – rzuciła, zupełnie zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Eee... przykro mi – wydusiła w końcu z siebie.



– Niepotrzebnie – odparł. – To było dawno. – Z tymi słowami podniósł torbę z chińszczyzną i skierował się na korytarz. – Weź cole, dobrze?

Gdy wyszedł z pokoju, odetchnęła i znowu zapadła cisza.

Wzięła obie cole, które zostawił na stoliku do kawy i ruszyła do drzwi, oglądając się na puste miejsce przy fortepianie. Zastała go czekającego na schodach z jedną ręką opartą o barierkę. Trzymając cole pod pachą, z widelcami w dłoni, zaczęła iść na górę.

Wspięła się za nim, palcami wolnej ręki przesuując po mahoniowej poręczy. Skupiła wzrok na przewróconym ptaku na plecach jego kurtki i próbowała powstrzymać chęć, by powiedzieć coś jeszcze, znaleźć słowa, które zatarłyby wrażenie z pokoju z fortepianem. Takich słów nie było, więc nie otworzyła ust.

Dziwne, pomyślała. To była pierwsza prywatna informacja, jaką od niego uzyskała. Patrząc, jak czarne kosmyki jego włosów omiatają postawiony kołnierz kurtki, mimo woli zastanawiała się, co się stało. Co sprawiło, że jego matka odeszła? Najpierw pomyślała, że ten fakt wiele wyjaśnia, by już po chwili uznać, że wręcz przeciwnie.

– Ten dom ma dziwny układ, wiem – stwierdził, czekając na nią na górze. – Wiele razy go przebudowywano. Po epoce wiktoriańskiej urządzono tu dom spokojnej starości. A później, w latach siedemdziesiątych, mieszkania.

– Jest ogromny – mruknęła.

W milczeniu pokonali kolejne schody i dotarli na drugie piętro, gdzie znajdowały się drzwi do wielu pomieszczeń. Gdy jednak zobaczyła, że chłopak wchodzi na następne stopnie, wiedziała, że nie zatrzymają się tutaj. Mieli się wdrapać jeszcze wyżej. Tutaj dywan się kończył, wkroczyli na nagie drewno i ich kroki rozległy się echem po domu. Znaleźli się na kolejnym poziomie z oknem w ścianie po lewej. Isobel uniosła brwi na widok okienka, przez które widać było niewiele więcej niż mur sąsiedniego budynku.

– Skąd macie taki dom? – spytała.

Skręcili za ostatni róg. Jęknęła w duchu, widząc, że następne schody, znajdujące się nieco z boku, wydają się bardziej strome i węższe, a poszczególne stopnie – grubsze i wyższe. Schody prowadziły do pojedynczych wąskich drzwi. Ból w udach nasilił się, gdy znowu ruszyli pod górę. Nawet Quasimodo w drodze na dzwonnice nie musiał pokonywać aż tylu stopni.

– Mój tata go odziedziczył – wyjaśnił, a potem dodał, jakby się zreflektował: – Pierwotnie były to schody dla służby.

– O – westchnęła. – Co ty powiesz? – Nie przesuwiała już dłonią po poręczy, lecz mocno ją chwyciła. – Wchodzisz tu codziennie?

– Kiedy przychodzę tutaj, a nie... – odparł, a ona się zatrzymała. Podniosła wzrok, znowu wbijając spojrzenie w jego plecy, gdy podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi skrzypnęły i Varen wszedł do środka, nie oglądając się.

– A nie gdzie? – zawołała za nim.

Dotarłszy do szczytu schodów, przekroczyła próg jego pokoju, przesiąkniętego wonią stęchłego powietrza i kadzidełek. W kątach gromadziły się cienie pomimo dwóch okien, a pochyły sufit wyglądał jak dach namiotu. Na ścianach widniały nadgryzione zębem czasu bladofioletowe tapety.

– Do innego miejsca – odparł. Sięgnął ręką do ściany obok niej i pstryknął przełącznikiem. Światło błysnęło z małego żyrandola, wiszącego nad wąskim łóżkiem z metalową ramą, które stało wciśnięte pod jedną ze ścian.

– Jak to, chcesz powiedzieć, że nie przychodzisz do domu? – spytała. Chciała mieć pewność, że dobrze zrozumiała i że chodzi mu o dom, a nie tylko o ten pokoik na samym szczycie.

– Powiedziałem, że nie przychodzę tutaj.

Pokręciła głową, nie rozumiejąc.

– No to gdzie?

– Wszystko jedno – odrzekł, przybierając ten kąśliwy ton, który ostrzegał przed dalszym indagowaniem.



Isobel zacisnęła usta i powstrzymała kolejne pytanie. Znowu zwróciła spojrzenie na łóżko i żyrandol, przypominając sobie, że Varen zawsze mówi tylko tyle, ile chce, i ani słowa więcej. Chyba nie otworzył przed nią drzwi, ale raczej tylko je uchylił.

Jej uwagę przyciągnął żyrandol. Pomyślała, że musiał zrobić go sam, bo zamiast zwykłych żarówek tkwiły w nim plastikowe świece z czerwonymi żaróweczkami w kształcie płomieni. W łańcuch o średniowiecznym wyglądzie, na którym zawieszono żyrandol na haku sterczącym z sufitu, wpleciono czarne przewody elektryczne, które ciągnęły się w dół ściany i znikwały za wezgłowiem łóżka.

W pokoju znajdował się też mały gazowy kominek, taki jaki widziała w salonie na dole, tyle że prostszy, wyłożony białymi kafelkami. Miała jednak wątpliwości, czy kominek działa, bo w miejscu, gdzie powinien płonąć ogień, widniało kilka szklanych buteleczek, każda w innym kształcie i kolorze. Stały obok siebie niczym kręgle albo flakoniki z miksturami w zapomnianym kredensie czarodzieja. Jednak zamiast eliksirów wszystkie zawierały suszone kwiaty.

Isobel odwróciła wzrok od kominka i rozejrzała się po ścianach, które były puste z wyjątkiem jednego czarno-białego plakatu Vincenta Price'a. Drewniana podłoga skrzypiała. Obok łóżka położono prosty biały dywanik. Na podłodze w kącie stał telewizor zintegrowany z magnetowidem i odtwarzaczem DVD, podłączony do dwóch starych konsol do gry. Widziała, że na półkach za telewizorem stoją gry. Niektóre widziała już w ogromnej kolekcji Danny'ego. Między grami dostrzegła też kilka DVD z filmami, takimi jak *Edward Nożycoręki*, *Alfred Hitchcock przedstawia*, *Grobowiec Ligei*, *Miasteczko Halloween* i *Donnie Darko*. W pokoju były też inne półki, wszystkie zastawione – niespodzianka – książkami.

Gdy weszła głębiej do pomieszczenia, minęła szafę ze składanymi drzwiami i musnęła palcami białe listewki. Varen postawił jedzenie na prostym biurku pod oknem, tym o trzech pionowych szybach przekreślonych białymi iksami. Natychmiast poznała okno, które



widziała z zewnątrz. Drugie okno było mniejsze i znajdowało się bliżej podłogi na bocznej ścianie przy łóżku. Zapewniało kosmiczny widok na dach sąsiada.

Zatrzymała się, gdy zdała sobie sprawę, że śledzi ją para zimnych niebieskich oczu. Odwróciła głowę i popatrzyła na zwiniętego na łóżku pulchnego syjamskiego kota. Ułożył się na szarej kapie, choć mogłaby przysiąc, że jeszcze przed chwilą go tam nie było. Kot powoli zamrugał powiekami, to je zaciskając, to znów odsłaniając przesywające szczeliny źrenic.

– To jest Slipper – oznajmił Varen.

– O rany, jest cudowny – mruknęła.

– Cudowna – poprawił.

Isobel podeszła bliżej do łóżka, po czym przycupnęła na krawędzi, odkładając widelce i napoje. Wyciągnęła rękę do obwąchania, zgodnie z kocią etykietą, a Slipper demonstracyjnie odwróciła łebek.

– Niech cię nie zwiedzie ta udawana elegancja – powiedział Varen, wyciągając notes. – Ona puszcza bąki.

*Ulalume*

Rozłożyli się na podłodze, siadając na białym dywaniku przy łóżku. Otworzyli małe czerwono-białe pudełka z chińszczyzną i podawali je sobie bez skrępowania – Isobel zauważyła, że żadne z nich nie zwraca uwagi, który widelec jest czyj.

Z początku Slipper obserwowała ich z łóżka, mrugając zimnymi, obojętnymi oczami. Czekwała, jak się zdawało, aż w pełni zaangażują się w pracę, po czym zsunęła się z łóżka, odstawiła cały spektakl z przeciąganiem się i ziewaniem, a na koniec rozłożyła się na ich papierach. Zaczęła głośno mruczeć i uderzać ogonem o podłogę.

Postanowili podzielić prezentację na trzy główne kategorie: naj-słynniejsze dzieła Poego, jego wpływ na literaturę współczesną oraz tajemnicze okoliczności śmierci. Zajmując się poszczególnymi kategoriami, kartkowali sterty książek z biblioteki, wyławiając kluczowe fakty. Isobel nalegała, że to ona przepisze je na ponumerowane kartki. Chciała, żeby opracowanie było choć częściowo napisane jej charakterem pisma, na wypadek gdyby Swanson podejrzewał, że zrobiła zbyt mało. Varen nie protestował, mało tego, najwyraźniej podobała mu się ta metoda odnajdywania dłuższych informacji i skracania ich podczas głośnego czytania, powolnego, by nadażać z pisaniem. Dzięki temu systemowi pracy w nieco ponad godzinę

doszli do ostatniej kategorii. Varen, który zajrzał na ostatnie strony książki biograficznej o masie sporej cegły, umilkł nagle podczas czytania.

Isobel podniosła wzrok znad własnej lektury i zamachała długopisem, czekając, aż chłopak ponagli ją do zanotowania następnego faktu. Gdy tego nie zrobił, wydeła wargi i z namysłem postukała długopisem o podbródek. Zerknęła na papiery, kartonowe arkusze i kartki, zastanawiając się, czy może mu przeszkodzić i podzielić się swoją nową troską. Stwierdziwszy, że może, opuściła długopis i przemówiła.

— Ale... — zaczęła — myślisz, że nasza prezentacja nie będzie zbyt... no nie wiem... To znaczy, jest trochę nudna, nie sądzisz?

Odpowiedział, nie odrywając oczu od swojej książki.

— Biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteśmy przyciśnięci do muru... czy mamy inny wybór?

Skinęła głową, zrozumiała, że ta sama wątpliwość przyszła mu do głowy już wcześniej. Wiedziała też, że ma rację. Chociaż wszystko musiało wyglądać tak, a nie inaczej, mimowolnie zastanawiała się, jak mogłoby wyglądać ich opracowanie, gdyby mogli się na nim skoncentrować od samego początku. Lecz jednocześnie przypominała sobie, że nie jest szczególną miłośniczką Poego i że poczuje dużą ulgę, gdy będą już to mieli za sobą. No, przynajmniej opracowanie. Miała nadzieję, że to, co zdołają dziś sklecić, pozwoli jej chociaż pozostać w drużynie, żeby mogła znowu być czirliderką.

Isobel westchnęła. Wsunęła kartki z notatkami między strony i zamknęła książkę, po czym zwróciła uwagę na stertę wydrukowanych zdjęć z Internetu i sąsiadujące z nią kartonowe arkusze. Trzeba było jeszcze przykleić do arkusza kilka zdjęć, które Varen miał pokazywać w odpowiednich momentach prezentacji, a potem umieszczać na półeczce na kredę. Nic szczególnego. Bardzo standardowy szkolny projekt.

Przysunęła sobie jeden z wydruków, przedstawiający samego Poego. Posmarowała tylną stronę klejem w sztyfcie, po czym nalepiła



ponury portret na arkusz i odłożyła na bok, żeby klej wyschnął. A jednak wbrew sobie ciągle na niego patrzyła. I wiedziała, że to przez te oczy, te głębokie, zapadnięte czarne dziury. Wydawały się przewiercać ją swoim smutkiem, miały w sobie coś, co sprawiało wrażenie, że Poe bezgłośnie błaga o coś patrzącego. „Samotny” było słowem, które wciąż przechodziło jej przez głowę, powtarzając się bez końca.

Isobel odwróciła spojrzenie, zmagając się z dreszczem. Patrzyła na Varena, który opuścił głowę, wciąż pochłonięty tajemniczymi informacjami o Poem, na które natrafił. Bezwstydnie wykorzystwała okazję, by przyjrzeć się jego sylwetce, gdy tak siedział, oparty plecami o łóżko, z nogami wyciągniętymi na podłodze, skrzyżowanymi w kostkach, i otwartą książką na kolanach. Gdy pochylał głowę i włosy zasłaniały mu twarz, jedyną widoczną częścią były usta.

Jej uwaga skupiła się na krzywiznie srebrnego kółka, obejmującego kącik jego dolnej wargi, i wbrew sobie zaczęła się zastanawiać, jak odczułaby metal przyciśnięty do jej własnych warg.

Chłopak nie powinien mieć takich ust, pomyślała, i niemal podskoczyła, gdy podniósł wzrok i pochwycił jej spojrzenie. Poczowała, że płoną jej policzki, i była pewna, że poróżowiały. Natychmiast opuściła oczy i wyciągnęła rękę, by wysunąć jeszcze jeden czarno-biały wydruk spod Slipper, która pacnęła go chciwie łapką. Isobel odwróciła portret matki Poego, młodej, lalkowatej postaci w ozdobionym wstążkami czepku. Potarła tylną stronę klejem.

Właśnie w tym momencie zaczęła się zastanawiać, co się stanie później. Wiedziała, że teraz przynajmniej będą przyjaciółmi, ona i Varen. Po wszystkim, co się wydarzyło, jak mogli nie być? Ale czy jeszcze kiedyś się z nią umówi? A jeśli pomyślał, że ona tak naprawdę nie chce iść do Ponurej Fasady, kiedy powiedziała mu, że nie może? Jeśli uznał, że wykorzystuje swojego tatę jako pretekst?

Jej ruchy spowolniały, bo myśli skupiły się na nowym zmartwieciu. Co sobie myślała do tej pory? Że po zakończeniu pracy nad

projektem będzie miała szczęście i on znowu ją zaprosi? Po chwili dotarło do niej coś jeszcze. A co, jeśli pierwszy i ostatni raz znaleźli się sam na sam? Pewnie, będą się widywali w szkole, ale jeżeli teraz się nie odezwie, jeżeli czegoś nie powie, czy to będzie koniec? Niemal widziała przebieg ich dalszej znajomości, słabnącej i ograniczającej się do okazjonalnego i niezręcznego: „Cześć, co słychać?“, by w końcu dojść do ukradkowego machania sobie ręką między lekcjami. Nie mogła mieć pewności, czy w ogóle się jeszcze spotkają poza klasą pana Swansona czy stołówką.

Zrozumiała, że dziś wieczorem musi coś powiedzieć.

Isobel powtórzyła sobie w myślach kilka zdań. Wszystkie brzmiały nędznie w jej wewnętrznym uchu i wydawały się wręcz lekko obraźliwe. Co się z nią dzieje? Czemu nie może po prostu powiedzieć, że go lubi?

Może dlatego, że to było coś więcej.

Ta myśl w niej zawirowała. Odłożyła klej i pozwoliła, by własne uczucia ją przestraszyły, bo jedyną inną możliwością było ich odepchnięcie.

Z determinacją podniosła na niego wzrok. Przeszedł ją dreszcz lęku, gdy zauważyła, że na nią patrzy. Czy obserwował ją przez cały ten czas?

– Czy... możemy zrobić przerwę? – spytała.

Zamknął książkę i odłożył ją.

No, pomyślała, to łatwiejsze niż można się było spodziewać. I co teraz?

W chwili niezwykłej odwagi Isobel podniosła się z miejsca, w którym siedziała naprzeciwko niego, minęła kotkę, która ze wzburzeniem zamachała ogonem. Usiadła plecami do łóżka, znacznie mniej niż pół metra od niego, oddzielona tylko *Dziętami zebranyimi* Edgara Allana Poego.

Wyciągnęła nogi przed sobą tak jak on, krzyżując je w kostkach, po czym wzięła książkę i rozłożyła ją sobie na kolanach.

– Czemu tak bardzo lubisz Poe’ego? – spytała bez zastanowienia.  
Wzruszył ramionami.

– A czemu ty tak bardzo lubisz krzyczeć i skakać?

Westchnęła i spróbowała jeszcze raz.

– No, chcę powiedzieć, że chyba masz chociaż ulubiony wiersz czy coś?

Przez chwilę siedział cicho, po czym wyciągnął ręce ponad nią, palcami odnalazł róg książki na jej kolanach i zaczął przewracać strony, skrupulatnie, pojedynczo.

W końcu się zatrzymał.

– Ten – oznajmił.

Isobel opuściła spojrzenie na książkę, na pojedynczą szpalnę wyśrodkowanego tekstu. Przeczytała po cichu:

*Od lat najmłodszych, lat dziecinnych*

*Żyć ani patrzeć tak jak inni*

*Nie mogłem; ze wspólnego źródła*

*Nie płynie też namiętność moja.*

*Ani się zrodził w owej strudze*

*Mój smutek, ni radosny zbudził*

*Ton, który inne serca dotknie –*

*Co miłowałem, kochałem samotnie.*

*Tak więc – w dzieciństwie już, u świtu*

*Burzliwych dni, co przyszły potem –*

*Z dna dobra czy też zła dobyty*

*Czar dziwny jakiś mnie omotał:*

*Potokiem bystrym, wodotryskiem,*

*Szkarłatem gór i skał urwiskiem,*

*I słońcem, gdy się toczy wokół*

*W złocie jesiennej pory roku,*

*I błyskawicą, gdy po niebie*

*Mija mnie dążąc gdzieś przed siebie,*



*Piorunem, burzą lub obłokiem  
(Gdy niebo czyste i wysokie),  
Który się stawał najwyraźniej  
Demonem mojej wyobraźni\*.*

– To bardzo smutne – stwierdziła, podnosząc głowę.

– Jak większość z nich.

Zmarszczyła brwi, przewracając kartki.

– Ale nie wszystkie, prawda?

Na to nie odpowiedział.

Zdała sobie sprawę z tykania zegara gdzieś na dole.

– Przeczytasz mi coś? – usłyszała własny głos, jakby ktoś inny przemawiał przez nią.

Zawahał się. Później, po chwili, poczuła, że przysunął się bliżej, aż wszystkie jej zmysły uległy intensyfikacji. Jego ramię otarło się o nią, wywołując dreszcz, który przeszedł ją całą, i próbowała zamaskować drżenie rąk, chwytając boki książki. Jeszcze raz zaczął przekładać strony. Czuła ruch każdej kartki całym swoim ciałem, najpierw gdy się unosiła, a potem spoczywała na pozostałych.

W końcu przestał, a ona opuściła wzrok na ciąg wydrukowanych słów, nie mogąc zrozumieć ani jednego z nich. Jego dłoń, ciepła i spokojna, zamknęła się na jej dłoni, oplatając ją niczym pajak swoją zdobycz. Poddała mu się, lecz nie mogła patrzeć, nawet gdy kciukiem przeciągnął po miejscu tuż nad jej kłykciami, gdzie kiedyś zapisał numer ciemnym fioletem. Isobel przestała oddychać. Serce waliło jej w piersi, a myśli rozpadły się na bezsensowne kawałki. Przez cały czas jej oczy, którymi w ogóle nie mrugała, utkwione były w otwartej książce. Pozbawione znaczenia linijki tekstu gapiły się na nią – nie były niczym więcej niż czarnymi patykami w białym świetle.

– *Ulalume* – zaczął i to słowo, które wymawiał jako „Ju-la-lum”, popłynęło z niego niby cicha muzyka.

\* Przetłóżył Roman Klewin.

*Chmura niebo mroczyła surowa  
I od liści powiędłych szedł szmer –  
Od gałęzi powiędłych szedł szmer...\**

Złożył jej dłonie między swoimi i poczuła, jak srebrne pierścienie przyciskają się do jej skóry. Powoli odwróciła głowę w jego stronę, lecz nie odważyła się spojrzeć w te oczy.

Wciągnęła powietrze, a nagrodził ją ten wymieszany zapach, którego wcześniej nie umiała określić. Teraz, gdy był tak blisko, zdało jej się, że niemal może go rozszyfrować. Pokruszone liście. Kadzi-delko, które zdążyło wsączyć się w ubranie. Znoszona skóra. Była w nim też esencja przypraw, ostra i orzeźwiająca jak suszona skórka pomarańczowa.

*Była ciemna noc październikowa,  
Najstraszniejsza z mego życia er...*

Jego głos płynął, niski i równy, a ona skupiała się bardziej na tym głosie, przenikającym ją niby muzyka, niż na samych słowach. Gdy wciskała rękę między jego dłonie, całe jej ciało zdawało się szumieć w środku niczym radio, zatrzymane między stacjami. Zatrzepotała powiekami, by w końcu je zamknąć.

*Był to Aubr, który we mgle się chowa,  
I wilgotny, pomroczny las Weir...*

Czoło Isobel przedzieliła głęboka bruzda, coś bowiem zakłóciło spokój jej chwilowego raj. Palce zacisnęła odruchowo na jego dłoni. To zdanie w jakiś sposób zmało jej wnętrze, wzbijając osady osiadły w podświadomości. Czy dobrze słyszała? Otworzyła oczy i dopiero teraz słuchała naprawdę uważnie.

\* Fragmenty *Ulalume* w przekładzie Antoniego Langego.

*Aubr – jezioro, co w mroku się chowa,  
I od wiem opętany las We...*

Donośny trzask jak wystrzał poniósł się po domu. Isobel wzdrygnęła się gwałtownie, puszczać rękę Varena i podskakując, aż książka zsunęła jej się z kolan. Z łoskotem spadła na podłogę i zamknęła się, omal nie trafiając Slipper, która pędem wypadła spod łóżka.

Isobel spojrzała na Varena, który już stał na nogach, choć nie widziała, jak się podnosił.

Kroki na schodach.

– Nie – mruknął pod nosem.

Jej serce przyspieszyło.

– Co?

Podniosła się na kolana, a potem wstała, ciągnąc za sobą książkę, ciężką niczym kotwica. Przycisnęła ją do piersi.

– Co? Kto to?

– Wrócili wcześniej – powiedział. – Wejdz do szafy.

Przeszył ją strach.

– Varen?

Ciężkie kroki na drewnie. Ołowiane stopy łomoczące o stopnie.

Złapał ją za rękę tuż nad łokciem i pociągnął przez pokój. Isobel poszła, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, zaskoczona tym nagłym żelaznym uściskiem. Tupot się przybliżył. Usłyszała głos kobiety.

– Joe – powtarzała kobieta raz za razem, jak ktoś, kto próbuje uspokoić rozjuszonego psa.

Isobel znalazła się w ciemności, upakowana w ciasnej przestrzeni pośród niezliczonych czarnych rękawów. Drzwi szafy zasunęły się, rzucając pasiasty więzienny wzór światła na jej rozdygotaną sylwetkę. Między listewkami widziała buty Varena, który się cofnął.

Drzwi jego pokoju otworzyły się na oścież z kolejnym trzaskiem, aż Isobel podskoczyła i pisnęła. Zasłoniła usta dłonią.



– Słyszałeś, jak cię wołałem? – wrzasnął mężczyzna. – Pytam, słyszałeś?

Drżąca dłoń Isobel oderwała się od ust i powędrowała do ucha, by je zasłonić, podczas gdy w drugiej ręce wciąż ścisnęła książkę Poego. Oderwała rękę dopiero, gdy zdała sobie sprawę z niskiego, gardłowego kociego pomruku, dobiegającego spod łóżka Varena. Szerokie oczy Slipper połyskiwały srebrem wśród mroku.

Widziała teraz drugą parę nóg, męskich, w czarnych eleganckich spodniach i butach wyglansowanych na wysoki połysk.

– Czemu tak stoisz i nic nie mówisz? – spytał mężczyzna, teraz ciszzej, tonem, który ociekał groźbą. – Co to? Co to za bałagan na podłodze? Wiesz, że nie wolno ci tu przynosić jedzenia. Przyprowadziłeś kogoś, kiedy mnie nie było?

– Nie.

– Nie kłam!

– Joe – prosił kobiety głos ze schodów. – Porozmawiajmy o tym jutro.

– To ma być zaraz posprzątane. – Chwila przerwy. Isobel widziała, że Varen się waha. – Już! – Mężczyzna pstryknął palcami. – Nie stój tak! Na podłogę i sprzątaj! – Znowu pstryknął palcami i jeszcze raz, i jeszcze. Wskazał opakowania z jedzeniem.

Varen nachylił się, by zebrać pudełka. Jego twarz znalazła się w jej polu widzenia, choć była nieodgadniona pod włosami. Nie spojrzał w jej stronę.

– Co zrobiłeś ze swoim samochodem?

Cisza.

– Pytam, co zrobiłeś z samochodem. Odpowiadaj!

– Ja nic...

– Uważasz, że to fajne? Uważasz, że to śmieszne?

– Tato, ja nic...

– Zamknij się. Nie chcę tego słuchać. Nie chcę słyszeć ani jednego cholernego słowa. Właściwie zaraz to zrobisz. Jak posprzątasz ten

bałagan, zejdiesz i zajmiesz się też tamtym. Mam dosyć tej twojej gry. Mam dosyć tej czarnej rewii, którą...

– To nie zejdzie, tato.

– Jeszcze nie pozwoliłem ci mówić. I módl się, żeby zeszło, bo nie zapłacę za naprawę, a ty nie będziesz jeździł tym rżchem w takim stanie. Mówiłem, że on nie może mieć auta, Darcy. Mówiłem...

Varen wstał, odstawiając pudełka.

– To mój samochód. Sam go kupiłem. Bruce poręczył, a nie ty. A może byłeś zbyt pijany i nie pamiętasz?

– Varen – odezwała się kobieta. – Po prostu przestańcie, obaj.

– Dosyć tego! Wiesz co? Nie będziesz miał tego złomu. Możesz jeździć do szkoły cholernym autobusem, skoro wyraźnie nic do ciebie nie dociera. To nie będzie stało przed moim domem. A ponieważ to twój samochód i za niego zapłaciłeś, możesz też zapłacić za odholowanie. Albo jeszcze lepiej, zadzwoń do Bruce'a i niech on holuje! Sam do niego zadzwonię... I jeszcze jedno, nie chcę, żebyś więcej chodził do tej księgarni, słyszysz? Mam dosyć podkopywania mojego autorytetu przez tego inwalidę. Znajdę ci mnóstwo pracy tutaj. Koniec. Rozumiemy się?

– Wszystko jedno.

Ręka mężczyzny wyskoczyła szybko niczym żmija i chwyciła rękaw Varena mocnym uściskiem.

Isobel przytknęła dłoń do wewnętrznej strony drzwi szafy, gotowa je pchnąć, ale siłą woli zmusiła się, by zostać w środku. Wiedziała, że sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót, jeśli tata Varena dowie się o jej obecności.

– Kiedy się wreszcie obudzisz? – krzyczał tamten, potrząsając chłopakiem, a jego głos znowu dudnił, jakby apatia syna budziła jeszcze większą wściekłość niż bunt i opór. Puścił i Varen zatoczył się w tył. Potknął się, ale oparł się o ścianę, opuszczając głowę.

– Spójrz na siebie, niedojdo – mówił mężczyzna i jego słowa zlewały się ze sobą. Twarde obcasy eleganckich butów trzaskały o deski

podłogi, gdy przechodził obok szafy. Isobel odwróciła głowę. Usłyszała, że szuflada biurka Varena otwiera się ze zgrzytem, a potem zobaczyła, jak z łoskotem spada na podłogę i wysypują się papiery. Kolejna szuflada dołączyła do pierwszej, a potem rozsypana zawartość trzeciej. Kartonowe teczki i wiersze walały się po podłodze, a z nimi długopisy. Ojciec Varena kopnął stertę wypolerowanym butem. – Zobacz, ile zmarnowanego czasu. Boże, jesteś zupełnie jak twoja matka. Do końca życia będziesz gamoniem, który nakłada lody, jeśli się za siebie nie weźmiesz.

Westchnął i jego głos wydawał się teraz zmęczony. Przygaszony. Trzymał otwarte dłonie nad masą zapisanych i czystych kartek, jakby sprawa była nie do rozwiązania.

– Joe, wystarczy – szepnęła kobieta. – Powiedział, że posprząta. Zejdź na dół.

Isobel przykucnęła, wyglądając między listewkami.

Zobaczyła, że kobieta wchodzi do pokoju, choć jej twarz pozostawała zasłonięta. Widziała, jak wyciąga rękę, długą, szczupłą i opaloną, ze skrzącą się bransoletką na nadgarstku. Dotknęła ramienia mężczyzny.

– Lepiej posprzątaj – mruknął ojciec – bo wrócę tu i sprawdzę.

Kobieta, macocha Varena, wyciągnęła go z pomieszczenia. Isobel zamknęła oczy. Powoli wstała, przyciskając książkę Poego do piersi. Usłyszała jakąś szamotaninę. Przekleństwo. Trzasnęły drzwi.

W jednej chwili pokój wypełniły szepty – dziesięć osób, które syczały i mówiły jednocześnie.

Otworzyła oczy. Na podłodze tuż przed szafą zobaczyła światło, które przygasało i rozjaśniało się na nowo, jakby żyrandol nad łóżkiem Varena kołysał się na łańcuchu. Echo kroków na schodach stało się odległe i zniekształcone, jakby dochodziło z oddali i spod wody. Bezkształtne cienie przemykały nad podłogą i przed drzwiami szafy, przez co na krótkie chwile wokół Isobel zapadała zupełna ciemność.

Gdzieś w pokoju zamiauczała Slipper.



*Odwieziona*

Isobel zagrzechotała drzwiami szafy. Nie chciały się otworzyć. Szepety stały się głośniejsze. Wydawały się sączyć ze ścian. Nie widziała już Varena, miejsce, w którym stał, było teraz puste. Próbowwała pchać drzwi obiema rękami, z książką Poego wciśniętą pod pachę. Zaczęła walić w listewki.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Odskoczyła w tył. Szepty ustały.

Stał tam ze swoją sfatygowaną torbą i patrzył przez dziewczynę na wskroś, z twarzą zimną i pozbawioną wyrazu niczym szkło. Za nim światło wisiało nieruchomo na swoim łańcuchu i już nie migotało, choć dziewczyna wciąż słyszała warczenie Slipper.

– Zabieram cię do domu – powiedział.

Obrócił się bez dalszych słów, po czym, złapawszy jej plecak, podszedł do okna pod przeciwległą ścianą. Isobel ostrożnie wyszła z szafy, wzrokiem omiatając podłogę, ściany, szafę. Wszystko było bezgłośnie.

Patrzyła, jak chwyta okno i je podciąga. Wymknął się w mrok i zniknął jej z pola widzenia.

Isobel pognąła do okna. Zobaczyła go tuż przed domem, zdawał się lewitować. Spojrzała w dół i gdy jej oczy przywykły do ciem-

ności, dostrzegła czarną powierzchnię, na której stał. Do ceglanej elewacji przylegały rozkładane żelazne schody, przerdzewiała droga pożarowa.

Zawahała się. Znajdowali się bardzo wysoko. Varen chwycił jej wolną rękę, nie pozostawiając wyboru. Niezdolna mu się oprzeć, wyszła na chłodne powietrze, a jej drzenie przerodziło się w prawdziwe dreszcze, gdy zimny wiatr uderzył w ścianę domu i omiół ich oboje.

Jego i tak już mocny uścisk jeszcze się zacieśnił, a gdy jej stopy odnalazły metalowe podłoże, pociągnął ją i wprowadził w ruch. Chwiejne schody skrzypiały i trzeszczały, kołysząc się mocniej, gdy minęli pierwszy zakręt. W dół, skręt, w dół i w dół. Hebanowy ptak na dachu zakrzeczał ostrzegawczo. Niczym echo odpowiedziało mu ochryple krakanie i furkot skrzydeł.

Varen pierwszy zeskoczył z drabinki, która zwieszała się na końcu drogi pożarowej. Trzęsąc się, Isobel odwróciła się i zaczęła opuszczać, szczebelek po szczebelku, wciąż z książką Poego pod pachą. Poczula, że ręce Varena obejmują ją w talii. Dźwignął ją i postawił na ziemi. Złapał ją za rękę jeszcze raz i znowu ruszyła, zanim zdołała się zorientować, gdzie i po co.

Dotarli do krawężnika i gdy ją puścił, oddając plecak, wiedziała, że ma wsiąść do cougara. Okrążył samochód i otworzył drzwi kierowcy. Wrzucił swoją torbę na tylne siedzenie, wsiadł i zatrzasnął drzwi za sobą.

Isobel opadła na fotel pasażera, trzymając na kolanach plecak i książkę Poego.

Czy powinna coś powiedzieć? Czy też tylko pogorszyłaby sprawę?

Uruchomił silnik i dodał gazu. Isobel szybko zamknęła swoje drzwi, obawiając się, że w każdej chwili może ruszyć. Znowu zwiększył obroty. Widocznie chce, żeby wiedzieli, że odjeżdża, pomyślała. Obejrzała się na dom i zobaczyła, że zapala się światło na ganku. Macocha chłopaka wybiegła na zewnątrz. Była wysoką blondynką,

smukłą niczym świeca, i miała na sobie długą srebrną suknię wieczorową, która połyskiwała w blasku księżyca niczym woda. Drzwi z barwionego szkła zostawiła otwarte i pognęła chodnikiem w ich stronę, stukając obcasami i wołając Varena.

Zagrzmiały głośniki. Dźwięki gitar i ostrej perkusji wypełniły samochód i ktoś zaczął raczej krzyczeć niż śpiewać.

Kobieta zatrzymała się, zobaczywszy Isobel. Na całą sekundę ich spojrzenia się skrzyżowały.

Zapaszczwały opony. Ruszyli. Plecy Isobel uderzyły o oparcie i pomknęli ulicą. Pierwszy zakręt w prawo wziął niemal bez hamowania, zarzucając tyłem. Chwyła pas i przeciągnęła przez siebie, próbując trafić w zapięcie. Zobaczyła jego dłoń, podkreśającą głośność muzyki na cały regulator, i zaledwie lekkie skrzywienie na twarzy, gdy muzyka rage zatrzęsała całą kabiną.

Pokonał następny zakręt. Isobel krzyknęła.

Pędzili ulicą i nagle zjechali z lewego pasa na prawy, gdy samochód przed nimi zahamował przed światłami. Żółte zmieniło się na czerwone. Przemknęli przed sygnalizatorem.

– Varen – odezwała się, starając się w miarę możliwości nadać swojemu głosowi surowe brzmienie i przekrzyczeć muzykę. Złapała się swojego siedzenia. – Zwolnij.

Silnik ryknął. Przyspieszył.

– Varen, stój! Boję się!

Zignorował ją i z piskiem opon wjechał w kolejny ostry zakręt. Isobel pomacała wokół rękami, szukając czegoś, czego mogłaby się złapać. Nic takiego nie było.

Budynki i latarnie przemykały obok rozmytą plamą. Błyskawicznie zostawiali w tyle znaki drogowe. Głowa Isobel obracała się to w prawo, to znów w lewo, lecz nie potrafiła umiejscowić pędzących za oknem widoków. Cały świat dookoła zlał się w jedną smugę.

Ktoś krzyczał do nich z chodnika. Samochód przetoczył się obok z rykiem potwora.



Pośród muzyki i dużej prędkości Isobel miała wrażenie, jakby jej mózg miał się za chwilę rozpuścić albo pęknąć. Donośna muzyka syczała i świstała, gdy wóz gnał przez tunel. Lampki na tablicy rozdzielczej przygasały i mrugały. W muzykę wdarły się trzaski, gdy wskazówka prędkościomierza powędrowała wyżej, a potem zaczęła chwiać się w górę i w dół. Niski, suchy głos przedarł się przez szum radia, zatopiony w chór szeptów. Niezrozumiały pomruk przeszedł w zbiorowy syk.

– Odejdź! – warknął Varen przez zaciśnięte zęby.

Na tę komendę szum zafalował, a potem odpłynął. Muzyka znowu zagrzmiała z pełną mocą, a lampki na tablicy zajaśniały jednostajnym czerwonym blaskiem.

Lodowata woda zastąpiła krew, szaleńczo krążącą w żyłach Isobel. Jej strach narastał, przekradając się z głębi świadomości i paraliżując. Jej oczy przeniosły się z radia na Varena. Do kogo on mówił?

– Varen...

Znowu skręcił, nie pozwalając jej skończyć. Uderzyła ramieniem o drzwi pasażera i przycisnęła dłoń do szyby, by złapać równowagę. Zacisnęła powieki i krzyknęła:

– Zabijesz nas!

Nie słuchał.

Elektryczne poczucie prędkości krążyło przez fotel i wstrząsało jej ciałem. Nie cierpiała tego uczucia, gdy zdawało jej się, że nad niczym nie panuje. Właśnie to zawsze doprowadzało ją do szału, kiedy jechała z...

Otworzyła oczy. Uderzyła dłonią discmana obok siebie, wyłączając muzykę.

– Zatrzymasz się? – krzyknęła. – Prowadzisz jak Brad!

Jego dłonie zacisnęły się na kierownicy i miała tylko krótką chwilę, by pożałować swoich słów, zanim wdepnął pedał hamulca. Zapiszczały opony. Budynki, ulice, samochody, światła, wszystko znowu nabrało ostrości, gdy samochód zatrzymał się z poślizgiem.

Siła hamowania szarpnęła Isobel w przód, po czym znowu wciśnęła ją w oparcie, zapierając dech. Wokół roztrąbiły się klaksony. Samochody wymijały ich i jechały dalej, a kierowcy krzyczeli przez otwarte okna.

Cisza.

Patrzyła na niego z urywanym oddechem. Białe światło reflektorów przecięło tylną szybę, wypełniając samochód w takim samym stopniu cieniem, co jaskrawym światłem. Przemykały nad nim czarne kształty, ostre i szybkie. Przekradały się wzdłuż jego konturu, kryjąc się w zakamarkach, gdy mijało ich inne auto, a światła znikwały razem z nim. Patrzył przed siebie, z obiema rękami wciąż zaciśniętymi na kierownicy. Znowu siedzieli w milczeniu, wśród warkotu silnika, a napięcie między nimi stało się tak silne, że Isobel zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła oddychać.

W końcu się poruszył, nachylił się tak bardzo, że czołem niemal dotknął kierownicy.

– Przepraszam – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Isobel spojrzała na swoje nogi, na wciąż drżące kolana i znowu stwierdziła, że brakuje jej słów.

Odchylił się na oparcie i wrzucił bieg, po czym znowu ruszyli. Prowadził w absolutnie opanowany sposób i nagle Isobel poznała estakadę, w którą skręcili. Wiózł ją do domu.

– Varen...

– Nie – powiedział.

Zacisnęła zęby. W głębi duszy wiedziała, że lepiej nic nie mówić. On nie chciał, by ona to zobaczyła. By wiedziała.

*Prezentacja*

Isobel upuściła swoją torbę w przedpokoju, gdy tylko przekroczyła próg. Stała oszołomiona, przypominając sobie, jak cougar wystrzelił do przodu w chwili, kiedy zamknęła drzwi. Varen zostawił ją po prostu przed domem, bez choćby: „do zobaczenia jutro”. Nie miała pojęcia, dokąd teraz pojedzie, miała jednak pewność, że do domu nie wróci.

„Wszystko jedno” – powiedział na strychu.

Zmarszczyła brwi, mając nadzieję, że owo „wszystko jedno” nie oznacza domu Lacy.

Patrzyła na swoje trampki i przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, jak by to było nie móc wrócić do domu. Po chwili przestała, bo poczuła się nieswojo. A jednak widziała w domu Nethersów wystarczająco wiele, by odgadnąć, że nie była świadkiem najgorszego.

Przytuliła książkę Poego. Oparła policzek o chłodne, złocone strony i czarną okładkę, przynajmniej raz zadowolona, że ją ma – jedyną namacalną więź z Varenem. Jedyne połączenie z jego nieprzeniknionym światem, gdyby po dzisiejszym wieczorze okazało się, że inne połączenia nie istnieją. Jeśli zawała projekt – a raczej kiedy go zawała – książka stanie się ostatnim pretekstem, by się z nim spotkać. By wszystko mu powiedzieć, pomyślała, pozwalając, by jej powieki się



zamknęły. Wszystko, co powinna mu była powiedzieć do tej pory. Wyrzuci to wszystko z siebie, nie bacząc, kto będzie akurat w pobliżu i usłyszy. Powie mu, że nie może przestać o nim myśleć i że po prostu chce być przy nim. Zrobi coś niewyobrażalnego. Wsunie ręce pod jego kurtkę i go obejmie.

Odważne myśli, powiedziała sobie, otwierając oczy. Tylko myśli.

Począpłała korytarzem, ciągnąc za sobą torbę z książkami niby kulę na łańcuchu.

Salon był ciemny i pusty, podobnie jak korytarz i kuchnia. Pomyślała, że wszyscy muszą być na górze. Podniosła plecak i rzuciła go na najbliższe kuchenne krzesło, położyła książkę Poego na stole, podeszła do szafki po czystą szklankę, a potem do zlewu, by ją napełnić.

Odchyliła głowę w tył i opróżniła szklankę, po czym otarła usta rękawem. Postawiła szklankę na blacie i usiadła przy stole, opuszczając ramiona.

Zmywarka szumiała, a zegar kuchenny tykał.

Isobel odwróciła głowę mniej więcej w kierunku lodówki.

Poczuła, że odpływają z niej resztki adrenaliny. Dzisiaj ją przestraszył. Gdy już przywykła do jego powściągliwego sposobu bycia, do niewzruszonego spokoju, widok Varena w takim stanie zwyczajnie ją przeraził. Zupełnie nad sobą nie panował. Przynajmniej nic go nie obchodziło. A potem, gdy przemówił na głos do radia, wszystkie dzwonki alarmowe rozbrzmiały jednogłośnie klangorem, przypominając o plotkach i ostrzeżeniach, które budziły jej lęk od samego początku.

Uniosła ręce do twarzy i potarła, nie dbając o to, czy rozmaże makijaż. To nie był on. Wyszedł z siebie. Ona też pewnie by tak zareagowała w odwrotnej sytuacji. Jak każdy.

Westchnęła, czując nagle wielkie zmęczenie. Jak do tego wszystkiego doszło? Tyle spraw stanęło im na drodze i teraz, po tym wszystkim, oboje zawałają projekt.

– Wcześniej wróciłaś.

Przestała trzeć twarz. Rozcapierzyła palce i otworzyła oczy, by ujrzeć ojca, stojącego w drzwiach, ubranego w podarte džinsy i czerwoną flanelową koszulę, którą czasem lubił podkradać. Złożył ramiona i przybrał taką pozycję, że miała ochotę rzucić jakąś sarkastyczną uwagę. Ostatecznie poprzestała jednak na zignorowaniu go.

Rozpięła suwak plecaka i wyciągnęła zeszyt, przypomniawszy sobie, że ma przynajmniej listę cytatów, nawet jeśli zdjęcia na arkuszach i notatki zostały na podłodze w pokoju Varena. Czy będzie pamiętał, by je przynieść? Czy w ogóle go to jeszcze obchodziło?

Przez chwilę myślała, że mogłaby podjąć próbę skłecenia prezentacji dla nich obojga. Może dałaby radę. Może. Gdyby całą noc się nie kładła. Ale same cytaty to zbyt mało.

– Isobel.

Brzmienie głosu ojca ją irytowało. Czy nic do niego nie docierało? Nie była jeszcze gotowa na rozmowę. A przede wszystkim nie miała nastroju na pogadankę w klimacie „po prostu martwię się o ciebie”.

– Skończyliście opracowanie? – spytał.

Udając, że nie słyszała pytania, otworzyła książkę Poego. Popatrzyła na drobne litery wydrukowane w ciasnych linijkach. Jeśli nie położy się spać, jak wiele zdoła zrobić? Niezależnie od wszystkiego nie mogła liczyć, że osiągnie cokolwiek, jeśli tata będzie nad nią stał.

– Pytam, czy skończyliście opracowanie.

– Nie – odparła. – Nie skończyliśmy. Jak mieliśmy to zrobić, kiedy jeden i drugi tata ciągle nam przeszkadzali?

Odepchnęła zeszyt zniesmaczona i złożyła ręce na stole. Opuściła twarz w chłodną, ciemną przestrzeń między nimi. Tak została, słuchając własnego oddechu, który miał w sobie coś dziwnie kojącego. Usłyszała kroki ojca i szuranie kuchennego krzesła o terakotę. Gdy usiadł, poczuła zapach żelu pod prysznic i wody po goleniu.

– Stało się coś, o czym chcesz porozmawiać?

– Nie – mruknęła prosto w swoje ręce. Zdecydowanie nie. Pomijając fakt, że nie wiedziałyby, od czego zacząć, nie potrafiła odnaleźć słów, które nie dałyby mu kolejnego powodu, by uziemić ją w domu aż do studiów. O ile w ogóle zdecyduje się na studia – ale to już była zupełnie inna kwestia.

– No a zrobiliście cokolwiek?

Jego ton był raczej zaciekawiony niż wścibski i zastanowiło ją, czemu jest taki miły.

Jęknęła, kołysząc głową w przód i w tył, po części po to, by powiedzieć „nie”, a po części, by pozbierać myśli. Była zbyt zmęczona, by nadal się na niego gniewać. Wymagało to zbyt wielkiego wysiłku.

– To na nic – bąknęła. – Już po nas.

– Brzmi to dość melodramatycznie, nie sądzisz? Poddajecie się?

Wzruszyła ramionami. Może, skoro mieli wypracowanie, nauczyciel przynajmniej za to wystawi im ocenę? W ten sposób by zaliczyła, nawet jeśli nie mogłaby już być czirliderką. Z kolejnym ukłuciem w brzuchu pomyślała o rozgrywkach krajowych, o drużynie, która bez niej pojedzie do Dallas, o Alyssie, która zajmie miejsce środkowej skaczącej. Wydała z siebie kolejne westchnienie, tym razem połączone z warknięciem, zaciskając ręce w pięści. Czy to było w porządku? Jak to możliwe, skoro naprawdę się starali?

– Mogę jakoś pomóc? – spytał.

– Nie, chyba że potrafisz czynić cuda.

Usłyszała szurgot książki Poego na blacie, a potem szelest przewracanych stron. Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie i patrzyła, jak zatrzymuje się w końcu na portrecie pisarza, podpisanym *Ultima Thule*.

– Dziwak był z niego, co? – mruknął, bardziej chyba do siebie niż do niej.

Powoli podniosła głowę, przyglądając się ojcu.

– I dziwnie wyglądał – dodał.

Ręka Isobel wystrzeliła do przodu. Popatrzył na nią z niepokojem.



– Tato – zagadnęła, uważnie obserwując jego twarz. Ścisnęła jego ramię mocniej, bo przypomniała sobie, co ojciec powiedział jakiś czas temu, podczas jazdy do domu z biblioteki, tego pierwszego dnia, gdy spotkała się z Varenem. – Tato, naprawdę chcesz pomóc? Naprawdę?

Jego spojrzenie złagodniało i unióśł brwi. Oczy Isobel otworzyły się szerzej.

– Tak, Izzy – odparł, kiwając głową niemal z ulgą. – Naprawdę, naprawdę chcę.

– O rany – powiedziała, zrywając się z łóżka i przyciskając dłoń do czoła, bo do jej umysłu wdarła się fala wielu pomysłów naraz. Potrząsnęła ramieniem ojca, po czym puściła, skoczyła do ściany przy drzwiach do garażu i zdjęła kluczyki z haczyka. – Mam pomysł – oznajmiła. – Walmart! – wykrzyknęła. – Musisz mnie zawieźć do Walmartu, już!

– Dobrze, dziecko, dobrze. Pojedziemy do Walmartu. – Wstał z niepewną miną, a Isobel rzuciła się do niego, uściskała, a potem wsunęła mu kluczyki do rąk.

Pytająco rozłożył ręce.

– Nie powiesz mi, co się dzieje?

Rozwarła na oścież drzwi do garażu, zeszła po schodach i otworzyła drzwi samochodu po stronie pasażera.

– Po drodze – odrzekła. – Wsiadaj.

Następnego dnia Isobel spóźniła się do szkoły. Nie było jej na dwóch pierwszych lekcjach. Ale w dniu ważnego meczu i tak nikt nie traktował szkoły zbyt poważnie (nikt z wyjątkiem pana Swansona, ma się rozumieć), więc nie sądziła, by ominęło ją cokolwiek ważnego. Niosąc radioodtwarzacz, szła przez korytarze, obwieszone plakatami i niebieskimi oraz żółtymi balonami. Zaglądała do klas, licząc, że zrządzeniem losu uda się jej dostrzec lśnienie srebrnych łańcuchów albo czarnych butów. Nie знаła jego rozkładu zajęć, nie licząc angielskiego na czwartej lekcji, ale dużą ulgę przyniosłaby jej

sama świadomość, że jest w szkole. Chciała dać mu znać, że przynajmniej mają plan gry. Mogła podnieść go na duchu. Przede wszystkim chciała go zobaczyć. Musiała z nim porozmawiać.

Ale to wszystko musiało poczekać.

Zbliżając się do klasy, w której odbywały się lekcje historii, Isabel doszła do wniosku, że nie może tracić czasu na poszukiwania. We wszystkich szkołach w hrabstwie obowiązywał przepis, że do uczestnictwa w zajęciach pozaszkolnych, takich jak przedstawienie, klub, a zwłaszcza mecz futbolowy, wymagana jest obecność na przynajmniej połowie zajęć lekcyjnych danego dnia. Nie chciała przesadzić, zwlekając z pokazaniem się aż do czwartej lekcji. Na ostatnią lekcję zaplanowano przedmeczowy apel i nie miała pewności, czy to się liczy jako zajęcia, czy też nie.

Poprawiając plecak, złapała klamkę i weszła do środka, ze zmiętym usprawiedliwieniem w dłoni.

W drzwiach zamarła, gdy spadła na nią nagła kanonada gwizdów, okrzyków i walenia w ławki. O Boże, pomyślała, co znowu? Potem wstał ktoś z tyłu, przyłożył złożone dłonie do ust i wrzasnął:

– Co jest, Tren-ton?

Spłynęła na nią wielka ulga. Balsam na duszę czirliderki.

Rozpromieniła się i pozowała (trochę niezdarnie, wciąż bowiem trzymała radioodtworacz), wyciągając pięść w górę. Nawet pan Freudenburg odłożył kredę i klaskał. Niemal zapomniała, że ma na sobie strój czirliderki, niebieską spódniczkę z żółtymi plisami na niebieskich spodniach od dresu, żółty golf, a na nim top w niebiesko-żółte pasy z żółtą literą H jak Hawks, czyli Jastrzębie, na piersi. To było normalne, przypomniała sobie, maszerując w jednoosobowej paradzie do swojej ławki. Normalność, normalność, jaką uwielbiała. Ciągle była czirliderką. Skaczącą. O to w tym wszystkim chodziło.

Dziś wieczorem, nawet jeśli nie zaliczy projektu, nawet jeśli to będzie ostatni raz, wykona obroty, zawisnie w powietrzu, a tłum będzie wył z zachwyty. Dziś wieczorem będzie latać.



Lekcja historii szybko się skończyła i rozległ się dzwonek na przerwę. Isobel przeciskała się przez pełen entuzjazmu niebiesko-złoty tłum do klasy pana Swansona. Roześmiana grupa drugoklasistów z pomalowanymi twarzami minęła ją w podskokach. Dziewczyny trzymały za ręce chłopaków w sportowych kurtkach. Pasma niebieskich serpentyn w spreju strzelały nie wiadomo skąd, przyczepiając się do włosów i ubrań, szafek i ścian. Pośród zamieszania Isobel słyszała, jak pan Nott próbuje przywołać wszystkich do porządku.

Ogólne podniecenie było zaraźliwe.

Zdawało się, że w całą szkołę wstąpił nowy duch, jak zawsze w dniu ważnego meczu, i Isobel odkryła, że desperacko pragnie wziąć udział w zabawie. Chłopcy gwizdali, gdy szła korytarzem, schodzili jej z drogi, wołali: „Co jest, Tren-ton?” i pomiędzy okrzykami walili w szafki. Rytm: „Co jest, Tren-ton?”, bam, bam, towarzyszył jej przez całą drogę do schodów. Isobel próbowała panować nad swoim uśmiechem, chociaż tak naprawdę chciała by pozbyć się głupiego radioodtwarzacza i kręcić gwiazdy przez korytarz w rytmie skandowanych okrzyków i uderzeń w szafki. To był jej żywioł i chciała w tym uczestniczyć, czirliderka pośród hałasu i podskoków. Tak będzie, zapewniła sama siebie. Zanim jednak mogło do tego dojść, pozostała do zrobienia jeszcze jedna rzecz: operacja: „Skończyć Sprawę z Poem, Żeby Życie Mogło Trwać Dalej”.

Isobel zdecydowanym krokiem ruszyła na lekcję angielskiego. Serce jej zatrzepotało, gdy zobaczyła, że wszyscy zebrali się już w grupach, by zająć się ostatnimi przygotowaniami przed dzwonkiem. Zobaczyła pana Swansona i szybko się odwróciła, udając, że patrzy w inną stronę. Varena nie było. Jego krzesło stało puste.

Zajęła miejsce, ustawiając odtwarzacz przed sobą. Gdzie się podział? Naprawdę zostawił ją samą? Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak napięte ma nerwy. Wydawały się naprężyć jeszcze mocniej, w miarę jak realizacja planu była coraz bliżej. Przypomniała sobie ostrzeżenie pana Swansona. Podczas prezentacji musieli być obecni oboje.



I wtedy pojawił się drzwiach. Skoczyła na równe nogi, omal nie przewracając radioodtworacza. Był nieco niechlujny, miał na sobie wczorajsze dzinsy i jak jej się zdawało, wczorajszą koszulkę, wywróconą na lewą stronę, a oczy znowu skrył za ciemnymi okularami. Włosy miał bardziej potargane niż zazwyczaj, co nadawało mu dziki wygląd. Jego widok poruszył coś potężnego i niepokojącego w głębi jej duszy, a uczucie to jeszcze się spotęgowało, gdy przypomniała sobie, co postanowiła mu tego dnia powiedzieć. Czy posłucha?

Hałas w klasie narastał. Do dzwonka zostało pół minuty i tyle musiało wystarczyć, by wprowadzić go w plan. Czekwała na niego, ale z jakiegoś powodu odwrócił wzrok i ruszył nie do niej, lecz do biurka pana Swansona.

Zaraz. Co on robi?

Rzuciła się między ławkami w tamtym kierunku.

– A tak – powiedziała, stając między Varenem a nauczycielem.  
– Zapomniałam. Chcieliśmy spytać, czy możemy używać radioodtworacza. – Posłała panu Swansonowi swój najbardziej przekonujący uśmiech.

Nauczyciel popatrzył na nich z dziwną miną. Może chodziło o jej strój czirliderki w zestawieniu z Varenem, który wyglądał jak grabarz. Czuliła na plecach wzrok uczniów i miała dziecinną ochotę odwrócić się i pokazać wszystkim język.

Pan Swanson wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? – odparł z twarzą wyrażającą konsternację.

– Widzisz? – powiedziała Isobel, odwracając się do Varena. – Mówiłam. – Jego skryte spojrzenie przecięło się z jej wzrokiem. Patrzyła na niego znacząco, a jej uśmiech odbijał się w okularach. Dźwięk dzwonka wypełnił pomieszczenie. Czas minął.

Nachyliła się, szepcząc szybko pod osłoną hałasu.

– Wiem, że nie chcesz nic mówić, ale musisz zająć się tematem śmierci, bo nie doszliśmy tak daleko. Ja zacznę. Włącz się, jak będziesz mógł, i podążaj za mną.

Odsunęła się od niego, by zająć swoje miejsce po przeciwnej stronie klasy.

– Proszę zdjąć okulary, panie Nethers.

Isobel patrzyła, jak Varen zmierza na swoje miejsce. Poruszał się wolniej niż zwykle i tym razem nie raczył zdjąć okularów na polecenie pana Swansona. Może, pomyślała, nie usłyszał? To wydawało się jednak mało prawdopodobne, jako że ostatnio był to już między nimi stały rytuał na początku lekcji, sposób na okazanie wzajemnego szacunku. Dziewczyna patrzyła, jak siada przy swojej ławce, zupełnie jakby wymagało to więcej wysiłku niż zwykle. Szybkie spojrzenie kątem oka i już wiedziała, że nauczyciel też patrzy. Podobnie jak najwyraźniej wszyscy pozostali.

Varen usiadł. Minęła chwila, podczas której pan Swanson chyba się zastanawiał, czy powtórzyć polecenie. Ku uldze Isobel, nie zrobił tego. Może z uwagi na wyjątkowo niechlujny wygląd chłopaka. A może coś wiedział albo coś podejrzewał. Tak czy inaczej, więcej o to nie poprosił.

Wezwał pierwszy zespół. Todd i Romelle włączyli DVD, na którym, jak się okazało, mieli wideoklip o życiu Marka Twaina. Pomyśl był dobry, tak dobry, że Isobel go pozazdrościła. Przygotowania wcale nie zajęłyby wiele czasu i mogliby wykorzystać którąś piosenkę z kolekcji Varena.

Wkrótce nadeszła kolej na następny zespół i Walta Whitmana. Potem byli Richard Wright i Washington Irving. Pomiędzy prezentacjami Isobel usiłowała pochwycić spojrzenie Varena. Czemu nie chciał na nią spojrzeć? Zastanawiała się, czy nie przekazać mu listeczku, stwierdziła jednak, że to zbyt duże ryzyko.

– Isobel i Varen!

Dziewczyna wstała i tętno jej przyspieszyło. Zerknęła w kierunku Varena, ale nie potrzebował znaku z jej strony. Podniósł się machinalnie i oboje podążali przed klasę. Isobel podała mu radioodtwarzacz i kabel. Gdy je wziął, na urządzeniu zapaliła się obok przycisków



czerwona dioda. Rozległ się szum, coraz silniejszy, i Isobel przystanąła, zdezorientowana, pamiętała bowiem, że tego ranka wyciągnęła baterie, by sprzęt był lżejszy.

Patrzyła na Varena, maszerującego pod tablicę, podczas gdy radio skakało po stacjach. Postawił radioodtworacz na biurku pana Swansona i zanim zabrał ręce, przez szum przebił się kobiecy głos. Odległy i niewyraźny, brzmiał, jakby pochodził ze starej, porysowanej płyty.

– ...skupić – powiedział głos. – Traktuj to wszystko jak pustą stronę.

Z ukłuciem niepokoju zdała sobie sprawę, że już słyszała ten głos. Dobiegał z poddasza w Zakątku Nobita. Tamtego dnia ona i Varen pracowali, a potem wróciła po książkę Poego i odkryła, że pomieszczenie na górze jest puste. Tuż przed pójściem do parku.

Zaniepokojona przełknęła ślinę. Podczas gdy Varen podłączał radioodtworacz, przysunęła dwa krzesła do biurka pana Swansona, szczególnie dokładnie ustawiając to z nich, które znalazło się bliżej miejsca nauczyciela. Ucieszyła się, że Varen zrozumiał aluzję. Podszedł do tego krzesła i usiadł. Próbując zapomnieć o sytuacji z radiem, Isobel okrążyła biurko i usadowiła się na obrotowym fotelu pana Swansona. Nauczyciel, który zajął puste krzesło w klasie, nic nie powiedział.

Isobel wzięła swój plik kartek i odetchnęła. Chwila prawdy nadeszła.

Uśmiechnęła się do klasy, wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik odtwarzania. Rozbrzmiała muzyka – chwytliwy, niemal teleturniejowy motyw z syntetyzatora z bonusowej rundy jednej z gier komputerowych Danny'ego. Wszyscy patrzyli z beznamiętnymi minami, włącznie z Varenem. Muzyka umilkła i Isobel wcisnęła pauzę.

– Zapraszamy na kolejny odcinek dyskusji o umarłych poetach – powiedziała. – Jak zwykle wita państwa Isobel Lanley. W naszym specjalnym odcinku w wigilię Wszystkich Świętych zaprosiłam kil-



ku specjalnych gości. Jeden z nich jest już z nami. Powitajmy pana profesora Varena Nethersa, słynnego znawcę ponurych umarłych poetów i autora bestsellerowych książek: „Uwolnij swój Poe-tencjał – poradnik pisarza” oraz „Pa, pa, Poe – może już wystarczy”. Witamy, profesorze.

Nacisnęła guzik wyboru kolejnego utworu, uwalniając odgłos braw. Varen popatrzył na nią zasłoniętymi przez okulary oczami z miną, która zdaniem Isobel mogła wyrażać ból. Zgrzytnęła zębami, wciąż się uśmiechając, i wzrokiem poprosiła go, by pociągnął tę grę.

Dźwięk aplauzu umilkł.

– Ale to nie wszystko – brnęła Isobel, starając się, by jej głos brzmiał zachęcająco i wszystkim poprawiał nastrój.

– Mamy dziś jeszcze jednego specjalnego gościa – ciągnęła. – Przybył do nas aż z cmentarza Westminster w uroczym Baltimore w stanie Maryland. – Przerwała, nie przestając się uśmiechać. Wyciągnęła rękę w stronę drzwi w geście prezentacji, tak jak robili prowadzący wieczorne talk-show. – Powitajmy w naszym programie pana Edgara Allana Poeego!

*We własnej osobie*

**D**rzwi otworzyły się. Isobel znowu nacisnęła guzik i z odtwarzacza rozbrzmiały kolejne oklaski. Edgar Allan Poe wmaszerował do klasy. Stał przez chwilę z twarzą wyrażającą połączenie ponurego żalu i melancholii i z dłonią opartą na sercu.

Isobel pomyślała, że mama świetnie się spisła, jeśli chodzi o makijaż. Jego bladość i worki pod oczami wyglądały bardzo naturalnie. Z drugiej strony, rzeczywiście nie spali prawie całą noc i pewnie były prawdziwe. Uznała, że czarna peruka ze stoiska z przebrania-  
mi w Walmarcie wygląda trochę tandetnie, ale zrobiła, co mogła, przycinając ją i czesząc. Jej ojciec miał na sobie frak, w którym brał ślub, teraz bardziej niż przyciasny, nogawki spodni miał podwinięte, jakby chciał brodzić w wodzie, i czarne skarpetki były odstąpione. Długa biała ścierka do naczyń, zawiązana na szyi, zastępowała fular, a resztki włosów z peruki przykleili mu tego ranka nad górną wargą za pomocą specjalnego kleju. Cały ten strój (w połączeniu z dramatyczną miną) mógłby naprawdę wywierać wrażenie, gdyby nie pluszowy tukan, pomalowany czarnym sprejem, zwieszający się drętwo z jego prawego ramienia, gdzie umocowali go taśmą klejącą. Ptak głupio podskakiwał, gdy mężczyzna kroczył na środek klasy, wywołując wybuch śmiechu i aplauz.

Isobel wstała zza biurka i podała rękę fałszywemu Poemu. Potem jej ojciec zajął krzesło obok Varena, który gapił się na niego, zaciskając ręce na podłokietnikach własnego krzesła. Ojciec najwyraźniej zrozumiał i nie próbował mu podać ręki.

– Witamy, panie Poe – powiedziała dziewczyna, próbując przezwyciężyć napięcie. W sali zapadła cisza i wszyscy czekali, co nastąpi.

– Dziękuję, dziękuję – zapał Poe z udawanym południowym akcentem. – Zawsze to miło wrócić między żywych.

Isobel przeszukała stos kartek i odnalazła tę, która była jej potrzebna w pierwszej kolejności. Zapisała wszystkie swoje pytania tak, by podać w nich fakty i prosić raczej o potwierdzenie niż o informację. Przecież nie mogło wyglądać na to, że jej tata wykonał całą pracę. Zresztą wcale tak nie było. Przez większą część nocy wyglądali się, paradowali po salonie, odpowiadali „nevermore” na każde pytanie i wymyślali sposoby na włączenie w prezentację fatalnych tekstów Poego. Biorąc pod uwagę, z jaką przesadą ojciec odgrywał teraz swoją rolę, Isobel wbrew sobie zastanawiała się, czy pamięta on przynajmniej jeden fakt, który mu podała.

– No, panie Poe – zaczęła – jak się pan miewał przez ponad sto pięćdziesiąt lat, które minęły od pańskiej przedwczesnej i tajemniczej śmierci w 1849 roku?

– Strasznie.

– A jak teraz wygląda plutoński nocy brzeg?

– Strasznie.

Znowu śmiech. Isobel patrzyła, jak głowa Varena powoli obraca się w stronę jej ojca. Z uwagi na ciemne okulary nie mogła być pewna, ale przypuszczała, że chłopak patrzy na fałszywego Poego tym swoim przeszywającym spojrzeniem, które oznacza: „Jesteś czystą esencją beznadziei”.

Parła dalej.

– Bardzo się cieszymy, że są dziś panowie z nami, panie Poe i profesorze Nethers – mówiła z przyklejonym uśmiechem czirliderki.



– Panie Poe, do pańskich najważniejszych dzieł należą: *Zagłada domu Usherów*, *Studnia i wahadło* oraz *Maska Śmierci Szkarłatnej*. Wszystkie poruszają tematykę śmierci i zawierają elementy nadprzyrodzone. Czy to prawda, że jest pan też uważany za ojca współczesnej literatury kryminalnej?

– O tak, oczywiście – odrzekł Poe, gestykulując dłonią. – Jestem nim. Słyszałem też, że w obecnych czasach wielu nazywa mnie „Szekspirem Ameryki”. – Tata uśmiechnął się do Varena. – Mam rację, profesorze?

Ta część budziła w niej największy niepokój. Właśnie w tej kwestii chciała go uprzedzić, gdyby mieli okazję. Musieli w jakiś sposób wciągnąć w to Varena. I to tak, żeby podjął grę. Przypomniała sobie, że właśnie ten moment był jedynym wkładem Danny'ego w całą prezentację, pomysłem podsuniętym w ciągu dziesięciu sekund, które zdołał wytrzymać z zatrzymaną grą.

– No... tak – odpowiedział chłopak, wiercąc się na krześle.

Skinęła głową i kontynuowała.

– W pańskim dorobku najbardziej znany jest jednak zapewne wiersz *Kruk*. Czy mógłby pan coś powiedzieć o sukcesie tego konkretnego utworu?

– Rzeczywiście – odparł Poe, zakładając nogę na nogę i rozpie-  
rając się na krześle. Uniósł palec, by pogłaskać poczerniony dziób  
nieruchomego fałszywego kruka. – Ten wiersz stał się popularniej-  
szy, niż mogłem sobie wymarzyć. Muszę powiedzieć, że to zdumie-  
wający sukces. Zostałem kimś w rodzaju... Elvise literatury, jeśli  
można tak powiedzieć.

Varen poblądł na to porównanie.

– Czy ma pan inne zdanie, profesorze? – spytał Poe.

– Nie – odparł chłopak – tyle że Poe nie zarobił na *Kruku* żad-  
nych pieniędzy.

Poe wyprostował się, chwytając krzesło, a czarny ptak na jego ra-  
mieniu zahuszał się.

– Oczywiście że zarobiłem!

– Piętnaście dolarów.

Po klasie poniósł się śmiech.

– To, proszę pana – powiedział ojciec Isobel, opierając się i wygładzając ubranie – nie ma nic do rzeczy.

– Zatem to prawda, że był pan bardzo biedny – improwizowała dziewczyna.

– Jeśli mowa o pieniądzach, tak, byłem biedny – odrzekł jej tata, rzucając Varenowi gniewne spojrzenie. – Widzę, że od mojej śmierci Ameryka trochę się zmieniła pod względem obsesji na punkcie dolara.

– A czy to prawda, że nadużywał pan alkoholu? – spytała Isobel, spoglądając na kolejną kartkę.

Poe prychnął, a potem powiedział po prostu:

– A tam!

Głowa Varena obróciła się błyskawicznie w kierunku jej ojca i dziewczyna aż się zdziwiła, że nie spadły mu okulary.

– No, czasami – poprawił się Poe. Zgarbił się na krześle.

Varen wciąż na niego patrzył.

– Często – mruknął Poe, odchylił się i jeszcze mocniej zacisnął swój i tak ciasny frak.

Tym razem Isobel zdawało się, że nawet pan Swanson zachichotał. Dobrze, pomyślała. Może to oznacza, że cały ten numer przejdzie.

– Ale nie można powiedzieć, że w sercu nie byłem dżentelmenem – zauważył Poe, kierując te słowa do ogółu. – I nie chcę się usprawiedliwiać, ale jeśli piłem, to tylko po to, by utopić posępny ból, który przynosiły najczarniejsze rozpacze mojego życia, takie jak długa choroba, a w końcu odejście mojej najdroższej Virginii.

„No, no” – Isobel była pod wrażeniem. Czyli coś jednak zapamiętał.

– Po śmierci pańskiej żony Virginii – odezwała się – próbował pan ożenić się drugi raz, prawda?

– Cóż, przez jakiś czas zabiegałem o względy panny Sary Helen Whitman.

– I Annie – wtrącił Varen.

Poe umilkł z uśmiechem na ustach. Podniósł palec, by poluzować fular.

– I... Annie – przyznał.

– Która była mężatką.

– To dość ciekawa historia. Ja...

– A potem była Elmira.

– A potem była Elmira, tak, zgadza się. – Poe skrzyżował ramiona, skulił się i odwrócił. Z tyłu klasy rozległy się śmiechy i podszyte drwiną okrzyki: „ooo”.

– Co mam powiedzieć? – mruknął Poe. – Dziewczyny lubią wąsik.

Znowu śmiech. Isobel zamknęła oczy na dłuższą chwilę, starając się powstrzymać rumieniec, wypełzający na policzki. Trochę zbastuj, tato, pomyślała i otworzyła powieki z powrotem. Później uśmiechnęła się mimo woli, bo plan sprawdzał się lepiej, niż się spodziewała. Zadawała kolejne pytania, a Varen dalej wtrącał się w mgliste odpowiedzi ojca, podając fakty i wywołując wesołość swoim oschłym spokojem. Wkrótce do omówienia pozostał już tylko jeden temat: śmierć.

– Panie Poe, informacje o pańskim zgonie są w najlepszym razie niejasne. – Mama poradziła jej, by ubrać to w takie słowa, choć Isobel uważała, że brzmią jak wypowiedź tandetnej wróżki. – Nikt nie wie, co się stało tej brzemiennej w skutki nocy. Istnieją różne teorie, od wścieklizny po morderstwo.

– Mmm... Morderstwo – powtórzył Poe – to najohydniejsza, jednak w jakiś sposób fascynująca, ze znanych człowiekowi rozrywek.

– Przyznaje pan, że był w jakiś sposób powiązany z przestępstwem?

– Nic nie przyznaję – odparł. – Za bardzo lubię zagadki kryminalne. Sam je wymyśliłem, prawda? Czuję się zatem w obowiązku zachować dla siebie rozwiązanie tajemnicy swojej śmierci. – Powoli



wstał i zaczął się przechadzać z rękami złożonymi na plecach. – Poza tym, obawiam się, że nie do końca pamiętam, co się wydarzyło tamtej nocy, tyle lat temu, tyle eonów temu... – Wyciągnął drżącą dłoń w stronę publiczności i posępnie zacisnął palce w pięść. Isobel przewróciła oczami. Nigdy nie podejrzewała ojca o takie zdolności!

– Byłem w drodze z Nowego Jorku do Richmond.

– Z Richmond do Nowego Jorku – poprawił Varen.

– Zgadza się – szepnął Poe, przykładając dłoń do czoła. – Stęchłe powietrze grobu! Cisza wiecznego snu. Umysł staje się ciężki, pamięć szwankuje... ale ma pan rację. Tak, wyjeżdżałem z Richmond, gdzie w końcu się zaręczyłem. Miałem się ożenić. Tak, ożenić. Ale najpierw... Najpierw chciałem wrócić do domu, do Nowego Jorku, po drogą ciotkę Moody.

– Muddy.

– Tak właśnie powiedziałem. – W tym momencie Poe urwał, przechylając głowę, jakby nasłuchiwał czegoś z oddali. – Pamiętam, że jechałem pociągiem z kufrem pełnym rękopisów i notatek. Pociąg zatrzymał się i wtedy... wtedy...

Oczy Isobel oderwały się od ojca i omiotły twarze uczniów. Wszyscy patrzyli. Nawet Bobby Bailey, który zwykle kładł głowę na ławce, siedział prosto i słuchał.

– Profesorze Nethers, może – zaryzykowała Isobel – zechce nam pan podać garść szczegółów związanych z tą zagadką?

Varen, być może przypominając sobie wyszeptane błaganie Isobel, podjął wątek.

– Poe zaginął na pięć dni – powiedział i jego głos przecinał panującą w klasie ciszę. – Znaleziono go pod barem w Baltimore w stanie delirium, w cudzym ubraniu. Kuzyn i znajomy lekarz zabrali go do szpitala.

– Tak, teraz pamiętam – szepnął Poe.

– Z relacji lekarza wynika, że Poe całymi dniami majaczył, przemawiając do zmyślonych osób i niewidzialnych przedmiotów na ścianie.

– Demon! – wrzasnął nagle ojciec Isobel, wyciągając palec w kierunku jakiegoś punktu na suficie. Wszyscy z chóralnym okrzykiem podskoczyli na krzesłach. – Pomiot zła!

Isobel doznała dziwnego uczucia. Zmarszczyła brwi, a szczęki jej się zacisnęły. Gdy patrzyła, jak ojciec improwizuje, jej dłoń mocno przywarła do blatu biurka, a myśli i pamięć powoli podążyły ku budzącym się na nowo lękom. Przypomniała sobie teraz, że Varen wspomniał o tym w bibliotece, podczas ich pierwszego spotkania w sprawie projektu. O tym, jak Poe krzychał do niewidzialnych rzeczy na łożu śmierci.

– W noc przed swoją śmiercią – ciągnął Varen poważnym tonem – zaczął wykrzykiwać jakieś nazwisko, wzywać kogoś, kogo nikt nie znał. Nic nie wiadomo też o tym, by znał go Poe. Ten ktoś nazywał się Reynolds...

Isobel słyszalnie się zachłysnęła. Przeszyły ją ostre kolce strachu i paniki, zamrażając jej umysł i spowalniając ciało. Siedziała oszołomiona, z oczami wlepionymi w Varena, podczas gdy pamięć podsuwała jej obraz odzianej na czarno postaci.

Nie umiała stwierdzić, ile czasu minęło, zanim zarejestrowała głos pana Swansona. Jednak wystarczająco wiele, by domyślił się, że nie ma do czynienia z kolejną częścią prezentacji.

– Isobel – spytał – dobrze się czujesz?

Jak przez mgłę zobaczyła ojca, który wypadł z roli i patrzył na nią z pytaniem: „co się dzieje” wypisanym na twarzy.

– Eee... – bąknęła, majstrując przy radiu. Podenerwowana, nacisnęła guzik odtwarzania, potem pauzy, w końcu stop. – Na... na dzisiaj to już koniec – wyjąkała i znowu wdusiła odtwarzanie w nadziei, że zamaskuje brak panowania nad tekstem. Końcówka kolejnych oklasków popłynęła żałośnie z głośników, po czym umilkła.

Jej ojciec uklonił się z wahaniem, przy żywych, choć trochę rzadkich brawach widzów, którzy skupiali uwagę na przemian to na Isobel, to na Varenie. Bez wątpienia zastanawiali się, co też ich ominęło.

– Ehem, już was zostawię – powiedział ojciec, wycofując się do drzwi. Rzucił córce pytające spojrzenie. Skinęła mu głową. Tylko na tyle było ją stać. – Tak – potwierdził, znowu odwracając się do klasy. Odchodzę i nie wrócę do tego świata nigdy już... Nevermore!

Isobel patrzyła w odrętwieniu, jak jej ojciec dramatycznym krokiem opuszcza klasę, przystając przed drzwiami na chwilę wystarczająco długą, by przed wyjściem pstryknąć kilkakrotnie włącznikiem światła. Czarny ptak spadł mu z ramienia na linoleum. Dłoń w czarnym rękawie wsunęła się z powrotem zza drzwi i pochwyciła maskotkę. Isobel skrzywiła się, przypominając sobie, że błagała go, by darował sobie tę zabawę światłem.

Odezwał się dzwonek, kończąc lekcję czymś, co przypominało tornado. Wszyscy zerwali się z krzesel, szeleszcząc papierami, zabierając zeszyty, śmiejąc się i rozmawiając. Pan Swanson też się podniósł i oznajmił, przekrzykując zgiełk:

– No dobrze. Wszyscy bardzo dobrze się spisaliście. Rodzice też, jak sądzę – dodał, rzucając Isobel znaczące spojrzenie, od którego normalnie przełknęłaby nerwowo ślinę. – Poproszę o wypracowania. Stopnie podam w przyszłym tygodniu, wtedy też porozmawiamy trochę szerzej o panu Poem, pierwszej połowie dziewiętnastego wieku i romantykach, a potem zajmiemy się pisarzami z czasów wojny secesyjnej. Życzę wam bezpiecznego Halloween, naprzód Jastrzębie z Trenton. Proszę podciągnąć spodnie, panie Levery, nie muszę oglądać pańskich bokserek... I nie wpadnijcie w żadne kłopoty, proszę!

Kłopoty. Isobel patrzyła na ziarnistą fakturę blatu biurka pana Swansona, a jej umysł powtarzał to słowo. Miała kłopoty.

Reynolds.

Czy nie był wytworem jej podświadomości? Albo czy Varen nie wspomniał o nim wcześniej? Nie. Nie, to by pamiętała. Jej sny. Czy były prawdziwe? Uświadomiła sobie, że to jedyne wyjaśnie-



nie. Tylko to tłumaczyło wszystko. Książka Poego. Wyrzuciła ją. Postać w drzwiach podczas treningu. Obraz w lustrze. Bieg przez park. Głos na poddaszu. Nie była wariatką – a może była? Skupiła uwagę na pojedynczym czarnym sęku w drewnie, próbując sobie przypomnieć coś innego, co powiedział jej Reynolds. Wypowiedź, której tematem był...

– Varen? – spytała bezgłośnie.

Wstała gwałtownie i spojrzała na krzesło obok. Zobaczyła tylko ich wypracowanie, wpięte schludnie w plastikową okładkę. Tępo obserwowała, jak zaczynają się na nim piętrzyć inne prace, grzebiąc pod sobą ładną gotycką czcionkę, którą wybrał na tytuł. Podniosła głowę i popatrzyła na ławkę w kącie. Pusta. Jego torba i czarny dziennik zniknęły.

Zaraz po wyjściu za drzwi Isobel wpadła na swojego ojca i przewizoryczny kruk znowu spadł mu z ramienia na podłogę.

– Ej, halo, Iz! Ciągle tu jestem. – Złapał ją za ramiona i przytrzymał. – Jak myślisz, jak nam poszło? Hej, słuchaj... – Opuścił rękę, by spojrzeć na zegarek. – Lepiej pojedę już do biura, żeby móc po ciebie wrócić przed meczem. – Pochylił się, by podnieść czarnego ptaka, i zanim Isobel zdołała wydusić z siebie choćby jedną sylabę, wysoki na ponad metr osiemdziesiąt Bobby Bailey stanął między nimi, zupełnie ją zasłaniając.

– Ej, gościu, to było super – powiedział, wciągając jej ojca w skomplikowany ciąg uścisków dłoni i stukania się pięściami.

– Ej, dzięki – odparł mężczyzna, uczestnicząc w rytuale przybijania piątki najlepiej, jak potrafił. – Eee, fajnie, że tak myślisz... gościu.

Isobel rozejrzała się w obie strony po korytarzu w poszukiwaniu znajomej ciemnej sylwetki Varena. Gdy go nie zobaczyła, szturchnęła Bobby'ego łokciem, by się odsunął.

– Tato, to ważne. Widziałeś, w którą stronę poszedł Varen?

Bobby ostatni raz stuknął się z jej ojcem pięściami, po czym się oddalił. Tata wsunął maskotkę pod pachę i zmarszczył czoło.

– Tam – odrzekł, wyciągając rękę. – Poszedł w tamtą stronę. Nawet się nie przywitał ani, no wiesz, nie podziękował.

– Tato, dziękuję. Wiesz, to było świetne. – Uściskała go szybko, po czym wetknęła mu w rękę radioodtworacz. – Możesz to zabrać? Muszę lecieć!

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź, i pobiegła przez tłum. Podskakiwała, by zobaczyć coś ponad czubkami rozkołysanych głów. Właśnie w takich chwilach złościła się na swój niski wzrost. Złościła się też, że tak zostawia tatę, pośrodku ogarniętego chaosem korytarza, w przebraniu Poego i z jej niebieskim radioodtworaczem w rękach.

Na początku go nie zobaczyła. Potem otworzyło się przejście i nagle pojawił się w polu jej widzenia. Zaczęła się do niego przepychać.

– Varen!

Nie słyszał jej? Pognała za nim i niemal go dogoniła. Znowu go zawołała – czemu się nie odwrócił? Skręcił za róg, nie oglądając się. Pobiegła za nim, lecz za zakrętem wyhamowała.

Nie było go.

Jeszcze dwie sekundy temu znajdował się tuż przed nią, a teraz, w miejscu gdzie powinien być... nic.

Zajrzała do najbliższej klasy. Pusto. Znowu się obróciła, zataczając powolny krąg. Trzaskały szafki. Gdzieś z oddali usłyszała swój ulubiony okrzyk na dwa głosy:

– Ja mówię Trenton, ty mów Jastrzębie! Trenton! Jastrzębie! Trenton! Jastrzębie! Ja mówię dziady, ty mów Buldogi! Dziady! Buldogi! Dziady! Buldogi!

Coraz więcej uczniów przelewało się falą obok niej, śmiejąc się i gawędząc. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył zupełnego zniknięcia jednej osoby.



Po wejściu do stołówki Isobel od razu zobaczyła siedzącą przy ich stoliku Gwen. Stevie też tam był, co niespecjalnie ją zaskoczyło. Nie spodziewała się jednak trzeciej osoby – na końcu stolika, dłu-  
biąc w nietkniętej sałatce taco i wyglądając ponuro pomimo wesoło  
dyndających kolczyków, siedziała Nikki.

Ich oczy na chwilę się spotkały. Isobel powstrzymała chęć, by się  
odwrócić albo zerknąć ukradkiem w miejsce, gdzie siedziała ekipa.  
Czy raczej, poprawiła się w myślach, to, co zostało z ekipy. Skoro  
Nikki próbowała dołączyć do jasnej strony (jeśli rzeczywiście o to jej  
chodziło), Isobel stwierdziła, że ekipa zgrabnie podzieliła się na pół.

Doszła do wniosku, że ten obrót spraw ją denerwuje, i żałowała,  
że Nikki nie wybrała innego dnia. Na przykład wczorajszego. Nie  
miała teraz czasu na dramaty. Zwróciła spojrzenie na Steviego, któ-  
ry jej pomachał, bez wątpienia stojąc po stronie Nikki w tej próbie  
bezbolesnej zmiany sojuszy.

– Hej, Iz – zawołał. – Gdzie się podziewałaś?

Zatrzymała się przy stoliku i opuściła plecak na podłogę.

– To długa historia.

– Wiesz – powiedziała Gwen, przełknąwszy kęs czegoś, co zda-  
niem Isobel wyglądało na kanapkę z masłem orzechowym i bana-  
nem – widziałam już tę minę. Nie u ciebie. – Pokręciła głową. –  
U kogoś innego. Zdaje się, że nazywał się Rambo.

– Gwen.

– Isobel – odrzekła Gwen, przedrzeźniając jej poważny ton.

Isobel obróciła się w miejscu, a potem usiadła tak, by mieć kola-  
na skierowane na zewnątrz zamiast do środka. W ten sposób była  
odwrócona plecami do Steviego i Nikki.

– Słuchaj – powiedziała cicho. – Możesz mnie jeszcze zabrać na tę  
imprezę dziś wieczorem?

Tamta odgryzła kolejny kęs gumowatej kanapki i uśmiechnęła się.

– Chyba mówiłaś, że nie chcesz iść. – Ledwie dało się zrozumieć  
te słowa.

Isobel zmarszczyła brwi. Nigdy nie mówiła, że nie chce iść. Chciała iść, tym bardziej że miała poczucie, że jeśli w ogóle chce się spotkać z Varenem, musi znaleźć go dzisiaj, właśnie tam, w Ponurej Fasadzie.

– Hej – odezwała się Gwen, szturchając żebra Isobel kościstym łokciem – co z tobą? Znowu robisz ten okropny numer z patrzeniem w inną stronę. Czemu zmieniłaś zdanie? Nie, żebym w ogóle zamierzała dać ci wybór, skoro już nakłoniłam Mikeya, żeby mnie ometkował. Dlaczego nie jesz? Gdzie twój obiad? Rozmawiaj ze mną. Skończyliście ten projekt czy nie? I gdzie w ogóle jest Mroczny? Nie widziałam go cały dzień.

Powinien być tutaj, przy tym stoliku, pomyślała Isobel, zaciskając pięść.

Przyszła jej do głowy nowa myśl i podniosła głowę, by omieść sałę wzrokiem. Spojrzała w kierunku stolika gotów. Towarzystwo było tam nieliczne, pewnie chcieli uniknąć przedmeczowego apelu. W dodatku dziś było Halloween. Bez wątpienia szykowali się na własne święto w Ponurej Fasadzie. Isobel nie mogła nie zauważyć, że przy stoliku brakuje między innymi Lacy.

– Będiesz tak siedzieć i mnie ignorować? – rozległ się głos Nikki.

Isobel podciągnęła stopy, obróciła się i wsunęła nogi pod stół. Była zła, że właśnie teraz musi się tym zajmować.

– Po prostu powiedz, że mnie nienawidzisz – ciągnęła Nikki. Oparła łokcie na stole i skryła twarz w dłoniach, niczym skazaniec, który błaga kata o pośpiech. – Objedź mnie albo coś. – Podbródek jej zadrżał. – Tylko mnie nie ignoruj.

Isobel uciekła przed jej spojrzeniem ze szczerym poczuciem winy.

– Nikki – westchnęła.

Nagle wciągnęła powietrze z powrotem w płuca.

– O mój Boże, Gwen. – Wyciągnęła rękę i zacisnęła ją na kształt szponów na ramieniu tamtej. Kanapka z bananem nie trafiła do ust Gwen, lecz wysunęła jej się ręki i spadła na podłogę.

– O mój Boże, co się dzieje? Bardzo chciałam to zjeść.

– Co to za facet?

– Jaki facet?

– Tamten facet – odparła Isobel, zaciskając dłoń na ramieniu Gwen.  
– Siedzi z Bradem.

Zarówno Stevie, jak i Nikki odwrócili głowy.

Obok Brada siedział chłopak o porcelanowobiałej cerze i krwistoczerwonych włosach zaczesanych w tył, gładkich, a jednak lekko nastroszonych. Nosił czarny skórzany strój i łańcuchy. Pod stołem dostrzegła ciężkie buciory i spodnie pełne sprzączek oraz matowych srebrnych łańcuszków. Miał na sobie cienki czarny płaszcz z licznymi zapięciami, który wyglądał niemal jak kaftan bezpieczeństwa. Doskonale pasował do jego patykowatej sylwetki.

– Gdzie? – spytała Gwen. – Nikogo nie widzę.

– Siedzi tam. Tuż obok Brada. Nikki, widzisz go, prawda? – Isobel zerknęła na byłą najlepszą przyjaciółkę, lecz w odpowiedzi zobaczyła tylko wzrok pełen bólu i niepewności.

– Zgrywasz się ze mnie czy jak?

– Co? Nie! Ja...

– Iz – wtrącił Stevie – Nikki chciała powiedzieć, że żałuje.

– Nie! Wiem!

– Phi! – Odsunąwszy tacę na bok, Nikki wyciągnęła swoje strusie nogi spod stołu i wstała. – Wiedziałam, że nie posłuchasz. – Zostawiła tacę i oddaliła się, szybko zmierzając w stronę drzwi dziedzińca.

Stevie podniósł się z ciężkim westchnieniem. Zanim ruszył za nią, popatrzył na Isobel ze złowrogą dezaprobatą.

Pokręciła głową.

– Nie o to chodzi! Patrzcie! – Wskazała ręką. – Jest tam! Siedzi. Ma...

Nie zważając na nią, Stevie odwrócił się, by odprowadzić Nikki do drzwi. Wzrok Isobel podążał przez chwilę za nimi, aż w końcu obejrzała się i zobaczyła, że chłopak obok Brada obrócił głowę i pa-



trzy prosto na nią. Szybko opuściła rękę, bo coś jej powiedziało, że nie powinna wskazywać na niego.

– Isobel – zaczęła Gwen. – Bez obrazy, ale w tej kwestii muszę się z nimi zgodzić. To nie jest śmieszne.

Isobel jak sparaliżowana patrzyła na czerwonowłosego chłopaka, który podniósł chudą, niezwykle długą rękę, zakończoną długimi i czerwonymi pazurzastymi paznokciami. Pomachał do niej, a ona poczuła, że żołądek spada jej na podłogę. Usta miała suche jak pieprz.

Nie widziały go. Nikt go nie widział. Nikt oprócz niej. Nawet Brad, który siedział najbliżej, w ogóle nie zwracał na chłopaka uwagi. Nachylał się nad stolikiem i rozmawiał z Markiem, który najwyraźniej też niczego nie zauważał. Alyssa zaś słuchała beznamytnie, z całkowitą obojętnością nakładając lakier na paznokcie.

– Zaraz... zaraz wracam – wymamrotała Isobel, łapiąc się stolika, by wstać.

– Co? Poczekaj chwilę, dokąd to? Isobel. Nie możesz tam pójść. Hej! Zwariowałaś? Siadaj!

Poczuła, że Gwen łapie ją za rąbek plisowanej spódnicy. Wyrwała się jednak, z sercem wybijającym jednostajny rytm w jej uszach i ruszyła w kierunku szerokich okien, prosto ku stolikowi ekipy. Otaczała ją cichy szum rozmów, brzęk i stukot sztućców oraz tac. Przy stoliku gdzieś za nią rozległ się wybuch śmiechu. Wydawało się to takie realne, takie normalne.

Rozmowa między Bradem a Markiem urwała się, gdy Alyssa, z jednym wciąż niepomalowanym paznokciem, postukała w blat między nimi.

– Ej – powiedziała. – Zobaczcie, kto przyszedł pogadać.

Nie chciała jednak rozmawiać. W każdym razie nie z nimi.

Czerwonowłosy, siedzący na miejscu obok Brada, przy samym oknie, pochylił się w przód i odwrócił głowę w jej stronę, ukazując drugą stronę twarzy. Isobel zamarła, wbijając spojrzenie w postrzępiony czarny otwór w policzku, który sprawiał wrażenie, jakby

spory kawał jego twarzy został po prostu odłupany, niczym kawał porcelanowej wazy. Przez dziurę widać było szczękę oraz dwa rzędy czerwonych, sztyletowatych zębów w środku.

Zaczął w niej pulsować strach, a jednak stała jak zahipnotyzowana. Budził przerażenie, a zarazem fascynację, niczym skorpion gotowy do ataku, pełen kantów, ostrych linii i grozy.

Z nadzwyczajnym tupetem znowu ruszyła naprzód, zdecydowana udowodnić sobie, że to nie halucynacja, że nie śpi, a to wszystko dzieje się naprawdę. Oczy chłopaka podążały za nią, oczy, w których zauważyła teraz brak tęczywek, zupełnie czarne.

– O, cześć, Isobel – zagadnął Brad z ironicznym entuzjazmem.  
– Co za niespodzianka.

– Więc mnie widzisz – odezwał się chłopak. Zaskoczył ją dźwięk słów, dobywających się z jego ust. Głos miał cichy, równy i cierpki, skrzypiący, jakby przykryty cienką warstwą radiowych zakłóceń.

Brzmiał dziwnie znajomo.

Z tak bliska widziała, że jego włosy, ciemniejsze u nasady wyglądały jakby wcale nie były włosami, lecz grubymi piórami, wyrastającymi z głowy.

– To bardzo ciekawe – ciągnął – że mnie widzisz.

Uśmiechnął się, ukazując groźną, ciemnoróżową jamę, pełną ostrych zębów o koralowej barwie.

Isobel przełknęła ślinę, by móc dobrać z siebie głos.

– Kim jesteś?

Brad odłożył widelec na tacę i Isobel aż podskoczyła na ten brzęk. Niemal zapomniała o jego obecności.

– Oj, daj spokój, Iz – powiedział. – Nie wciskaj mi tych starych bredni w stylu „nawet już nie wiem, kim jesteś”. I nie udawaj, że cię nie ostrzegałem.

Nagle czerwonowłosy poruszył się. Isobel przeniosła uwagę na niego, gdy serią szybkich, urywanych ruchów, przełożył rękę przez Brada i wyciągnął ku niej dłoń o czerwonych szponach.

– Nazywam się Pinfeathers.

Cofnęła się o pół kroku, nie wykonując żadnego ruchu, by go dotknąć, a jedynie patrząc, jakby na dłoni podał jej zdechłego szczura. Jego paznokcie, przypominające raczej szkarłatne zęby jakiegoś jadowitego węża, błysnęły w promieniach światła.

– Co, już idziesz? – spytał Brad. – To wszystko? Próbujesz pokazać głębię czy coś? Nie rozumiem.

Pinfeathers cofnął rękę.

– O, nie musisz się przedstawiać – stwierdził. – Znam cię. Jesteś czirliderką. – Zamrugał powiekami, przechylając głowę na bok.  
– Może nie zdajesz sobie z tego sprawy – dodał – ale ty i ja... no, już się spotkaliśmy.

Znowu patrzyła w dziurę w jego policzku, nie mogąc oderwać oczu od szkarłatnych zębów i ruchów szczęki, gdy mówił. Nie było tam mięśni, ścięgien ani chrząstek, niczego, co utrzymywałoby go w całości, a jedynie pusta czern.

Podniósł zaopatrzone w szpon palec, by wskazać brakującą część twarzy.

– O, nie przejmuj się tym. Zdarza się najlepszym.

– Co tu robisz? – spytała.

Brad prychnął.

– Siedzę.

– Phi – wtrąciła Alyssa, nakładając kolejną warstwę lakieru na paznokieć kciuka.

– Podobają mi się twoi przyjaciele tutaj – oświadczył Pinfeathers.  
– Zwłaszcza ten duży. – Wyciągnął pazur w stronę twarzy Brada i lekko dźgnął go w ucho. Isobel zobaczyła z przerażeniem, jak Brad ogania się od nieistniejącej muchy.

– Przestań.

Pinfeathers cofnął dłoń, wyciągając ten sam pazur w jej stronę.

– Nie sądziłem, że jesteś taka zazdrosna.

– Więcej go nie dotykaj.



Brad uśmiechnął się szeroko. Ten niespodziewany grymas tak zaskoczył dziewczynę, że przez chwilę odwrócił jej uwagę od dziwnego Pinfeathersa.

– A, tak myślałem, że twoje przyście ma z tym jakiś związek. Cały dzień go nie widziałem, czyli musiał ci powiedzieć.

Znowu zwróciła spojrzenie na Brada, z trudem skupiając uwagę na jego zadowolonej z siebie twarzy. Ten akcent na słowie „go” mógł oznaczać tylko jedną osobę.

– Co... co?

– Ojoj – mruknął Mark i ugryzł bułkę.

Zaraz, pomyślała Isobel. Co mnie ominęło? Co tu się działo? Popatrzyła na Alysę w nadziei na wyjaśnienie, ale zrozumiała swój błąd, gdy tamta, znowu zajęta paznokciami, posłała jej jedynie porozumiewawczy uśmiech.

– O czym wy mówicie? – zwróciła się do całej trójki. – Co jest grane? – spytała, tym razem w kierunku Pinfeathersa.

Stwór puścił oko i postukał wąskie, białe wargi czerwonym szponem, jakby dawał jej znać, że najlepsze jeszcze przed nimi.

– No – powiedział Brad. Wytarł ręce w serwetkę, po czym zmiął ją i rzucił na tacę. – Słuchaj, Iz. – Odepchnął tacę i złożył dłonie na stole. – Wczoraj wieczorem dogoniliśmy twojego wampirycznego chłopaka, po tym, jak cię podwiózł, i tyle. Czy eee... wspomniał coś na ten temat? Widzisz, założyliśmy się z Markiem. Ja powiedziałem, że od razu poleci do ciebie, ale Mark... Mark ma o nim lepsze zdanie.

Przyglądała się tępo, jak Mark nachyla się, by szepnąć do ucha Brada coś, czego nie mogła usłyszeć. Później się roześmiali. Pinfeathers też słuchał. Złożył ręce na stole, małpując postawę Brada.

– Czekaliśmy przy twoim domu, a potem pojechaliliśmy za nim – powiedział Mark, jakby była to najprostsza rzecz pod słońcem.

– Czuję, że powinniśmy pogadać. W cztery oczy – wyjaśnił Brad – o niszczeniu własności prywatnej.

- Daliśmy mu wybór – dodał Mark.
- Tak. Byliśmy bardzo dyplomatyczni. – Brad pokiwał głową.
- Zaskoczył nas – stwierdził Mark niemal z podziwem w głosie.
- Tak, myśleliśmy, że na pewno spęka i zgodzi się, żebyśmy rozwalili mu samochód.

Mark pokręcił głową.

– Ale nie.

– No nie.

– Byłabyś z niego dumna, Iz.

– Tak – przyznał Brad. – Zrobił na nas wrażenie.

Ścisnęło ją w gardle.

– Kłamiecie.

– Nie – zaprzeczył Brad. – Nie, Iz, mówimy prawdę. – Nachylił się w przód, zasłaniając Pinfeathersa i patrząc jej w oczy. Ściszył głos. – I nie myśl sobie, że chodziło o ciebie, bo tak nie było. Zasłużył sobie na to, a wiesz, co zrobił, równie dobrze jak ja.

Na te słowa Isobel poczuła, że coś gorącego wzbiera w niej i trzeszczy niczym kabel elektryczny.

– Nie rozumiesz? – Zanim zdołała się powstrzymać, zamachnęła się i przewróciła jego colę. Lód wysypał się z grzechotem z wysokiego niebieskiego kubka i ciecz wylała się na blat. Alyssa wrzasnęła i odsunęła się. Brad zerwał się z krzesła, gdy napój pociekł mu na kolana. – On nawet nie tknął twojego samochodu! – krzychała Isobel. – I wiem, że kłamiesz! – Pogrywali z nią. Próbowali tylko wywołać reakcję. Widziała Varena niecałe dwadzieścia minut temu. Nic mu nie było.

A może, zastanawiała się w gonitwie myśli, może właśnie dlatego tak się garbił na krześle. Może dlatego nie chciał zdjąć okularów. I może dlatego jej unikał.

– Czy wygląda, jakbym kłamał?

Wyszedł zza stolika, by stanąć nad nią. Jej oczy uciekły na chwilę w stronę Pinfeathersa, który przyglądał się, nie mrugając powieka-

mi. Małym palcem Brad wskazał duży krwiak na górnej wardze, którego dotąd nie zauważyła. Brad był w drużynie biegaczem, przywykła więc, że miewa zadrapania czy siniaki.

– Hej! – z przeciwległego końca pomieszczenia dobiegł okrzyk pana Notta, a zaraz po nim ostre, szybkie pobrzękiwanie kluczy.

Brad pochylił się nisko, by mówić jej do ucha. Czuła się bezradna, niezdolna do niczego poza słuchaniem.

– Naprawdę się starał. Przywalił mi tylko raz, ale wtedy było już po wszystkim i odpuściłem, bo powiedziałem coś, czego nie powinienem. Coś o tobie, Iz.

Skuliła się, przerażona, a pan Nott wszedł w poszerzającą się przestrzeń między nimi, po czym zadał obowiązkowe pytanie swoim głębokim, stanowczym głosem.

– Co się tu dzieje?

– Rozlałem colę, proszę pana – oznajmił Brad w nagłej ciszy. Przy stoliku obok rozległy się chichoty. Jeśli nawet wcześniej nie patrzyła na nich cała stołówka, to teraz już tak. – To był wypadek. Trema przed meczem.

Isobel znowu zwróciła wzrok na stolik, zza którego przyglądał jej się Pinfeathers. Jego mina wydawała się teraz mroczniejsza, cały jego humor zniknął i zdawało się, że niezgłębiona czerń tych oczu może ją lada chwila pochłonąć.

– Nie bądź taka zagubiona, czirliderko – powiedział. – Widziałem, jak na niego patrzysz... to znaczy na nas. Próbowałem cię nawet ostrzec. Ale nie słuchałaś. Czekałaś, a teraz jest za późno. Dla ciebie... dla nas.

– Isobel, słyszałaś mnie? – spytał pan Nott. – Powiedziałem, żebyś usiadła.

Nawet nie drgnęła. Nie mogła oderwać oczu od Pinfeathersa, od jego twarzy, która zdawała się zmagać z różnymi uczuciami i w końcu wykrzywiła się w grymasie złości i cierpienia. Dlaczego z tą miną wyglądał nagle tak znajomo?



– Panno Lanley, ogłuchłaś? Usiądź, mówię.

Błyskawicznym ruchem Pinfeathers rzucił się na nią, rozwierając szczęki i poszerzając czarną dziurę w swojej twarzy. Z obnażonymi zębami i wyciągniętymi pazurami wydał z siebie piekielny odgłos, coś pomiędzy wrzaskiem umierającej kobiety a wyciem demona.

Wszystko stało się zbyt szybko, by też zdążyła krzyknąć, zbyt szybko, by jej uniesione ręce w czymś pomogły. Spadły na nią jego pazury.

Poleciała w tył i wpadła na stolik za sobą. Rozwrzeszczana chmara czarnych piór pochłonęła światło. Jego kształty rozwiały się, przemieniły w poruszający się szybko dym. Zniknął w podłodze, niczym demon wessany do piekła.

*To tylko ptak*

**K**rew. Gdzie krew? Dlaczego nie krwawiła? Isobel obejrzała swoje ręce, szukając śladów szkarłatu, spodziewając się lada chwila rozdzierającego bólu. Te pazury zadały cios przez sam środek jej ciała. Powinna być rozszarpana. Wciąż na wpół skulona w sobie, wstała, trzęsąc się, jakby czekała na chwilę, w której zacznie rozpadać się na kawałki. Ta chwila jednak nie nadeszła. Nic się nie stało. Może była w szoku.

– Panno Lanley, jesteś chora?

Pytanie padło z ust pana Notta. Jego cichy głos sprowadził ją nagle na ziemię. W jednej chwili zdała sobie sprawę, że w stołówce zapadła cisza, a gdy podniosła wzrok, stwierdziła, że patrzy na nią cały świat.

Fala gorąca oblała jej twarz.

Gwałtownie się podniosła i stanęła prosto, spoglądając w twarze tych, którzy siedzieli przy stoliku za nią, przy tym, na który wpadła. Rozlane napoje, porozwalane potrawy i nasiąknięte serwetki pokrywały cały blat. Wszyscy patrzyli na nią z minami wyrażającymi różne emocje, od oburzenia po niepewność. To była ostatnia chwila ciszy, ostatnia chwila zawieszenia broni. Potem milczenie przeciął głos Alyssy, wyraźny i szorstki.

– O Boże, Isobel, ale z ciebie oferma!

Śmiech. Głośny wybuch rechotu rozdarł niesamowitą ciszę na strzępy. Okropny, dręczący, bezwzględny. Jak to możliwe, że znowu przeżywała ten koszmar?

Isobel pobiegła do drzwi. Kątem oka dostrzegła rozmazane twarze. Zdawało jej się, że słyszy Brada, który coś za nią krzyczał, ale nie zwróciła na niego uwagi. Pospiesznie minęła własny stolik, nawet nie zerkając na Gwen, pchnęła dwuskrzydłowe drzwi i puściła się biegiem przez korytarz.

Wpadła do toalety dla dziewcząt i pozwoliła, by drzwi zamknęły się za nią z hukiem. Oparła się o środkową umywalkę, kładąc dłonie na jej bocznych krawędziach. Stała tam, próbowała wyrównać oddech i zmagła się z nudnościami.

Coś jest z nią nie tak. Traci rozum przy świadkach. Nie ma innego wyjaśnienia. Co się z nią dzieje?

Przecież teraz na pewno nie śni, prawda?

Z ociąganiem spojrzała w lustro. Wpatrywała się w głęboki, morski błękit własnych oczu i czuła się samotna jak nigdy.

– Potrzebuję pomocy – szepnęła. Błada i potargana, zobaczyła czerwony błysk swoich nozdrzy, gdy brała kolejny wdech. Wypuściła powietrze ustami i zamknęła oczy. – Wiem, że gdzieś tam jesteś i słuchasz. – Zastanawiała się, do kogo mówi. Do Reynoldsa? Do siebie? Do Varena?

– Hej – powiedziała – przepraszam, że wcześniej nie słuchałam, ale teraz już słucham. Proszę. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie wiem już, co jest prawdziwe, a co nie.

Wypowiedziawszy te słowa, otworzyła oczy i obserwowała w lustrze przestrzeń za swoim ramieniem. Czekwała, aż coś się wydarzy, aż on pojawi się przed drzwiami jednej z kabin, cały opatulony, tak jak już bywało.

– Reynolds! – szepnęła, wywołując go po nazwisku.

Usłyszała za sobą skrzypnięcie i wyprostowała się.



Drzwi łazienki uchyliły się i Gwen wsunęła głowę do środka.

– Isobel, musimy pogadać o tym, co jadasz na śniadanie, bo cokolwiek to jest, nie wpływa dobrze na twoje życie towarzyskie, słowo daję. Teraz spytam cię tylko raz: dobrze się czujesz?

Isobel popatrzyła na odbicie koleżanki w lustrze.

– Przyniosłam ci torbę – oznajmiła Gwen. – Uznałam, że pomimo owacji na stojąco raczej po nią nie wrócisz. Co za książki w ogóle w tym nosisz? Można by pomyśleć, że dźwigasz ze sobą papierową kopię całego Internetu.

– Książki? – Isobel obróciła się. Na widok Gwen, wnoszącej jej plecak do łazienki, do głowy przyszła jej nowa myśl, która do tej chwili jakoś jej nie zaświtała. W korytarzu rozbrzmiał dzwonek, kończąc przerwę obiadową przenikliwym, drażniącym hałasem. – Gwen! Jeździsz do szkoły samochodem.

Gwen przestała się szamotać z jej torbą.

– A małpy rzucają kupą. Isobel, naprawdę zaczynam się o ciebie bać.

– Gwen. Muszę pożyczyć twoją brykę.

– Zwariowałaś? Po co? Jest środek dnia!

– Proszę – powiedziała, wyciągając rękę po kluczyki.

Zakradły się do kotłowni, którą pan Talbot, woźny, zostawił otwartą, podczas gdy sprzątał stołówkę. Z Gwen depczącą jej po piętach Isobel pospieszyła wśród szumu i skwaru kotłów do tylnych drzwi. Zamknęła je za nimi, a cichy trzask upewnił ją, że automatycznie się zaryglowały. Będą musiały znaleźć inną drogę, by wrócić.

– To szaleństwo – szepnęła Gwen. – Przez ciebie zawieszają nas obie.

– Nie musiałaś iść.

– No jasne, i pozwolić ci odjechać cadillakiem mojego ojca bez prawa jazdy, tylko z zaświadczeniem o kursie?

Przygarbione, przekradały się wzdłuż ściany budynku i między rzędami samochodów nauczycieli w kierunku parkingu dla uczniów.

To będzie najtrudniejsze: niezauważenie wsiąść do samochodu i odjechać. Tylne ściany Trenton były pełne okien. Mimo wszystko podjęła już decyzję. Jeśli ją złapią, to złapią. Była niemal pewna, że jak przyjdzie co do czego, zdoła uchronić Gwen od poważnych kłopotów, bo właśnie ona była jedną z czworga szkolnych laureatów nagrody krajowej. W tej chwili jednak musiała znaleźć Varena, a po spotkaniu z Pinfeathersem nie mogła powiedzieć, że towarzystwo Gwen nie było mile widziane.

Mogła szukać Varena tylko w jednym miejscu i w tej chwili nie obchodziło jej, że opuszczanie terenu szkoły to naruszenie przepisów. Nie dbała nawet o to, że za niecałą godzinę powinna być gotowa do występu z drużyną przed całą szkołą.

Przynajmniej miała plan. Była niemal pewna, że jeśli zdołają niepostrzeżenie wymknąć się ze szkoły i wrócą po piątej lekcji, gdy wszyscy będą walili w szafki i szli do sali gimnastycznej na apel przed meczem, to plan może się powieść.

Nisko pochylone przechodziły między rzędami pojazdów.

– Mogłaś włożyć coś mniej rzucającego się w oczy – narzekała Gwen za jej plecami.

– Dziś jest dzień meczu. Muszę to nosić!

Parły naprzód, przecinając chodnik i przykucając, niczym para krabów.

– Ten – oznajmiła Gwen, wskazując starego granatowego cadillaka z lat pięćdziesiątych, zaparkowanego w środkowym rzędzie między dwoma innymi. W porównaniu z jaskrawymi sportowymi autami, stojącymi po bokach, wyglądał raczej jak czołg. Samochód do ucieczki – jak znalazł.

– Rany – powiedziała Isobel. – Twój tata jest w mafii?

– Prawdę mówiąc, jest ortodontą.

Rozdzieliły się, przekraczając ostatnią uliczkę dojazdową. Gwen podeszła do samochodu od strony kierowcy, Isobel zaś – od strony pasażera. Pochylały głowy, gdy Gwen wsunęła kluczyk do zamka

i otworzyła samochód. Wślizgnęła się do środka, po czym, kuląc się na fotelu, przechyliła się, by otworzyć drugie drzwi. Isobel chwyciła klamkę i nacisnęła chromowany przycisk, aż usłyszała, że zamek ustępuje. Cofnęła się, by odciągnąć drzwi, lecz zatrzymała się, gdyż zauważyła coś w lusterku wstecznym. Na parkingu był ktoś jeszcze. Odwróciła głowę, by mu się przyjrzeć.

Siedział najwyżej trzy metry od niej, na masce czarnego bmw. Chłopak o krwistoczerwonych włosach, ubrany na czarno jak Pinfeathers, ale to nie był on. Nie mógł być, bo w przeciwieństwie do niego nie brakowało mu policzka. Brakowało mu całego oka. Nawet z oddali widziała dziurę, ziejącą w miejscu, gdzie powinno się znajdować oko, a także połowa nosa.

Chłopak zdawał się nie zauważać ani jej, ani Gwen. Był zajęty jedzeniem czegoś, usta miał czerwone od krwi. Trzymał coś w obu dłoniach, jakiś skrwawiony szary strzęp, i wgryzał się w niego ostrymi zębami, szarpiąc mięso, wyrывая pióra.

Ptak, zrozumiała Isobel z tępym przerażeniem i zebrało się jej na wymioty. On zjadał ptaka, jednego z tłustych gołębi, które lubiły dreptać po dziedzińcu, szukając okruchów i smacznych kąsków. Gołąb nigdy nie przypuszczał, że sam stanie się smacznym kąskiem.

Otworzyła drzwi i wsiadła. Szybko je zamknęła i zablokowała.

– Jedź – powiedziała Isobel. – Ruszaj.

Gwen włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Samochód zaprotestował wysokim, zgrzytliwym jękiem, ale po chwili z warkotem obudził się do życia. Isobel znowu zerknęła w boczne lusterko i serce jej omal nie stanęło, gdy zobaczyła, że stwór opuszcza poszarpanego krwawego ptaka i podnosi głowę.

– Gwen, musimy jechać. I to już.

Tamta wrzuciła wsteczny.

– A co? Nauczyciel?

Isobel znowu spojrzała w lusterko i zobaczyła, że stwór wyszczerzył się i zaczął opuszczać na chodnik, powoli, noga za nogą. Ob-



róciła się na siedzeniu, by wyrzeć przez tylną szybę, ale zamarła, ujrawszy jedynie rząd zaparkowanych samochodów. Zniknął.

Ku jej uldze Gwen szybko wyjechała z miejsca parkingowego i ścisnąc kierownicę obiema rękami, poprowadziła samochód w kierunku wyjazdu.

Ptak uderzył w szybę z tępym plaśnięciem.

Gwen krzyknęła. Jej stopa wdusiła pedał hamulca. Przez chwilę siedziały w zupełnym szoku. Rozległo się ciche puk, puk, puk w okno.

– Co to było? – szepnęła Gwen.

Isobel odwróciła głowę.

Było ich teraz dwóch. Pierwszy – ten bez oka – nachylał się, by przybliżyć do szyby czarne i pozbawione duszy oko, które mu pozostało. Mrugnął do niej, obserwując ją niczym rekin przez szkło akwarium. Drugi stał tuż za nim i uśmiechał się. Jego twarz była cała, jeśli nie liczyć cieniutkiego, ukośnego pęknięcia. Miał tylko jedną rękę.

Isobel poczuła, że wszystkie mięśnie jej ciała naprężają się, gdy patrzyła w to oko. Oko drapieznika, pomyślała. Powoli podniósł pięść i wystawił kciuk. Skierował go, niczym autostopowicz, w stronę, w którą były ustawione.

Isobel podrapała ramię Gwen, która patrzyła, jak okaleczony gołąb zsuwa się po przedniej szybie, zostawiając lepłą smugę.

– Gwen – powiedziała. Była to prośba, niemal błaganie. Stwór bez oka złapał teraz drzwi, zaciskając palce na klamce. Czy je zablokowała? Tak, pomyślała, gdy tamten bezskutecznie próbował je otworzyć. Bogu dzięki.

Bez ostrzeżenia stopa Gwen wdepnęła gaz i przyspieszyli. Rzucona w tył Isobel usłyszała, że stwór syczy, cofając rękę z szybkością wymykającą się ludzkiemu oku. Zapiszczały opony i samochód wyjechał z parkingu na główną drogę, a możliwość przyłapania przez władze szkolne stała się nagle dla dziewczyn najmniejszym zmartwieniem.

Isobel z przyzwyczajenia sięgnęła za siebie i pociągnęła pas. Zapięła go i odwróciła się, by wyrzeć przez tylną szybę. Zeschłe liście wirowały w wietrznym tunelu, który zostawiały za sobą, a drzewa wzdłuż ulicy uciekały w dal. O ile dobrze widziała, nikt ich nie gonił. Spojrzała w przód i dostrzegła twarz Gwen, bladą i przerażoną.

– Ciągle mam wrażenie, że czegoś mi nie mówisz – stwierdziła Gwen, wyężając wzrok, by zobaczyć coś przez martwego gołębia i jego rozprutą pierś, która przywierała do szyby, ukazując biel żeber. Isobel odwróciła głowę, nagle zadowolona, że nie miała czasu nic zjeść na obiad. Nachyliła się w poszukiwaniu włącznika wycieraczek. Ptak wydawał się ciężki, ale to się mogło udać.

– Skręć w prawo na następnych światłach – powiedziała Isobel, niechęcy uruchamiając spryskiwacz. Pienisty, niebieski płyn trysnął na szybę i zmoczył gołębia.

– Ohyda – mruknęła Gwen i odtrąciła rękę koleżanki. Zwolniła i uruchomiła wycieraczki, z łatwością znajdując właściwy przełącznik. Cztery ruchy wycieraczek wystarczyły, by przesunąć ptaka na bok, a piąty i ostatni, by na dobre zrzucić go z szyby. Spadł na jezdnię z mokrym plaśnięciem. – Trzeba dziś było zostać w domu – dodała, skręcając w drogę wskazaną przez Isobel. – Wypożyczyłam film. Jedno z tych marnych romansideł, przy których chce się rzygać. Oczywiście i tak chce mi się rzygać.

Spojrzała na Isobel, a następnie z powrotem na drogę, marszcząc brwi. Cisza, która nastąpiła, dała Isobel czas do namysłu. W tym momencie nie mogła już trzymać Gwen z dala od tej sprawy, zarazem jednak nie miała prawa jej w to wciągać. Pomyślała o Pinfeathersie, siedzącym obok Brada w stołówce, a potem wyobraziła go sobie tutaj, na swoim miejscu, przy Gwen, która po prostu prowadziła z braku lepszego pomysłu. Pomyślała o koleżance jadącej do domu. O cadillaku na autostradzie, o tym, że wystarczyłby lekki ruch kierownicą, by posłać samochód prosto na pojazdy nadjeżdżające z przeciwka.

– Tutaj w lewo – pokazała.

Gwen włączyła kierunkowskaz. Zjechała na pas do skrętu w lewo. Strzałka zamrugła na zielono.

– Isobel, naprawdę widziałaś coś dzisiaj w stołówce – spytała – czy tylko się wygłupiałaś?

Isobel przelknęła ślinę, niepewna, czy powinna odpowiadać. Co miała odpowiedzieć? O ile było jej wiadomo, kwestia: „Widzę martwych ludzi” była już zajęta.

– Czy ten ptak specjalnie uderzył w szybę? Bo wiesz, długo tego nie zniosę. Chyba że później będę ci mogła wysyłać rachunki za terapię. Słuchasz mnie, Isobel?

– To tylko ptak – mruknęła Isobel. Z tym kłamstwem odwróciła się do okna.

Po prawej minęły grupę studentów koledżu, którzy na chodniku czekali na zielone światło. Zazdrościła im. Wyglądali tak zwyczajnie w swoich kurtkach i niebieskich dzinsach, w szalikach, z rękami w kieszeniach. Zapewne rozmawiali o następnych zajęciach albo planach na Halloween, zupełnie nieświadomi.

– Skręć tutaj – poleciała odruchowo, gdy dojechały do skrzyżowania z Bardstown Road. Gwen gwałtownie pokonała zakręt. Albo tak się trzęsała, albo była nienormalna.

– Tutaj – powiedziała, wskazując Gwen miejsce do zatrzymania się. Koleżanka posłuchała. Zaparkowała cadillaka, wyłączyła silnik i położyła sobie kluczyki na kolanach.

Isobel chwyciła klamkę. Gwen, która najwyraźniej nie chciała czekać w samochodzie, też wysiadła. Razem przekroczyły próg małej księgarni.

Varen musi tu być, pomyślała Isobel. Nie mógł iść nigdzie indziej. Jeśli wyszedł ze szkoły, na pewno przyjechał właśnie w to miejsce. Będzie tutaj, a ona będzie mogła wszystko mu powiedzieć. Ta myśl dodała jej odwagi. Isobel otworzyła drzwi i wkroczyła do środka. Gwen poszła w jej ślady.



Poczuła znajomą, ciężką woń stęchlizny i zardzewiałe dzwonki zabrzęczały, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

– Co to za miejsce? – wyszeptała Gwen. – Co tu robimy? O rany, to pierwsze wydanie?

Isobel przyłożyła palec do ust. Wskazywała drogę i podążały między półkami w stronę pustej lady, przechodząc nad stertami książek, lecz nie znalazły ani Bruce'a, ani Varena.

Po chwili usłyszała znajomy suchy kaszel. Dobiegał z tylnej części sklepu. Podążyła za tym dźwiękiem po uginającej się podłodze i trafiła na zaplecze pełne książek niebeletrystycznych o nowszym wyglądzie. Bruce stał między rzędami i pojedynczo wyjmował książki z kartonowego pudła z napisem PRZYRODA, starannie wykaligrafowanym ręką Varena. Każdą książkę przybliżał do twarzy, by obejrzeć ją zdrowym okiem przed znalezieniem jej miejsca na półce.

Isobel stanęła w drzwiach, czekając, aż ją zauważy, bo nie chciała go przestraszyć. Rozkojarzona Gwen wpadła na nią z tyłu, wydając z siebie ciche „uch”, i Isobel zyskała pewność, że są celowo ignorowane.

– Przepraszam, panie Bruce. Szukam Var...

– Nie ma go – mruknął, dalej szperając w pudle. Isobel się zdziwiła. To nie był ten nieco pomyłony, lecz miły mężczyzna, którego zapamiętała z poprzedniej wizyty.

– Wie pan, gdzie jest? – spróbowała, podchodząc bliżej. Gwen nie ruszyła się z miejsca, tylko patrzyła, a kluczyki pobrzękiwały nerwowo między jej palcami.

– Gdybym wiedział, nie powiedziałbym ci.

Zmarszczyła brwi, niepewna, skąd się wzięła jego nagła niechęć. Czyżby jej nie pamiętał?

– Myślę... że może mieć kłopoty.

– Może! – prychnął. Opuścił książkę, którą trzymał, i w końcu na nią spojrział. Otaksował ją zdrowym okiem, marszcząc brwi na widok stroju czirliderki. Potem znowu zaniósł się ochryplym kaszlem, w jego piersi zacharczał śluz. – Zdaje się, że krew z nosa...

i rozkwaszona warga... świadczą, że kłopoty już go znalazły. Pewnie zaraz mi powiesz, że nie miałaś z tym nic wspólnego.

Brad. Mówił prawdę. Ale jak to możliwe, skoro widziała Varena ledwie godzinę temu? Jego twarz... wyglądała dobrze.

Bruce skrzywił się do niej, najwyraźniej uznając jej milczenie za potwierdzenie podejrzeń. Jego usta zacisnęły się i zadrżały z gniewu.

– Mówię ci, nie wiem, gdzie się podział. Nie odezwał się do mnie ani słowem, odkąd dziś rano zjawił się w takim stanie. Poszedł na górę i spał do południa. Nie poszedł do szkoły. Wyszedł pół godziny temu. Idź na górę i sama poszukaj.

Isobel, z umysłem otępiałym od prób przetworzenia zalewu sprzecznych informacji, odwróciła się w kierunku drzwi na strych. Przed ruszeniem w ich stronę powstrzymała ją jednak miękka dłoń na ramieniu.

– Isobel – powiedziała Gwen. – Chodź. Nie ma go tutaj. Widziałybyśmy jego samochód na zewnątrz. Musimy iść.

Isobel znowu się odwróciła i popatrzyła na Bruce'a, próbując ocenić, czy mówi prawdę. Jeśli Varen wyszedł dopiero pół godziny temu, jak mógł być w szkole podczas prezentacji projektu? Czy ktokolwiek mógł przebywać w dwóch miejscach naraz? Może Bruce coś pokręcił, pomyślała. Był stary. Przecież starym ludziom często wszystko się myli.

– Nie powinniście być w szkole? – machnął ręką, wskazując im drogę do drzwi, jakby oganiał się od much. – Zadzwoń na policję, jeśli chcecie.

– Isobel... – Chwył Gwen na jej ramieniu zacieśnił się i Isobel zrobiła mimowolny krok w stronę, w którą ciągnęła ją koleżanka. – Chodź – powiedziała. – Zobaczmy go wieczorem, pamiętasz?

Zdawało się, że zdrowe oko Bruce'a rozbłysło na chwilę ze zdziwienia. Zajaśniał w nim błysk nadziei, lecz po chwili zniknął niczym dogasający żar, przemieniając się w gorycz, a potem kapitulację. Pokręcił głową.

– Jestem za stary, żeby tak się o niego martwić. Powtórzcie mu to. Powiedzcie mu...

Znowu kaszel. Był chory. Bardzo chory.

Isobel stała w miejscu i obserwowała go, niezdolna zrobić nic więcej. Atak kaszlu nie ustępował i starzec bez słowa minął je, przechodząc do głównego pomieszczenia. Pokuśtykał do lady i sięgnął do pudełka z chusteczkami. Poczłapała za nim. Czuła się rozdarta. Chciała wyciągnąć ręce, pomóc mu usiąść na krześle za lady, tak jak na jej miejscu uczyniłby Varen. Chciała powiedzieć, że jej przykro i że to nie jej wina, i że znajdzie Varena. Ugryzła się jednak w język, wiedząc, że to jednak jej wina. Spodziewała się tego. Pinfeathers powiedział to, gdy próbował pociąć ją na plastry. Poza tym w głębi duszy skąd mogła mieć pewność, że go znajdzie?

Szybko odepchnęła tę myśl. Znajdzie go. Zobaczy go wieczorem. Czuła to.

Bruce sam trafił na krzesło. Kiwnął się na nim w przód, jakby stawy w jego kolanach już nie działały. Wokół niego unosił się kurz, zwiększając kaszel. Starzec zgromił Isobel wzrokiem, jakby to ona odpowiadała za ten nagły atak.

– Nie... nie zasługujesz na niego.

Zapało jej dech, gdy na głos padła prawda, której się najbardziej obawiała.

– Isobel – odezwała się Gwen, znowu ciągnąc ją za ramię. – Chodź, musimy wracać.

Isobel odepchnęła się od lady. Wyrwała rękę z uścisku koleżanki i wypadła przez drzwi wejściowe. Zimny podmuch uderzył ją w twarz niczym rozbryzg świeżej wody. Zaczepnęła powietrza.

Za jej plecami ze sklepu wyłoniła się Gwen.

– Nie słuchaj go – powiedziała. – Po prostu się przejął i tyle.

– Gwen, ja go muszę znaleźć. Muszę tam być dziś wieczorem.

Gwen kiwnęła głową.

– Nie martw się – powiedziała. – Znajdziemy go.



*Złapana*

Wróciły do szkoły, wkradając się przez skrzydło, gdzie mieściły się pracownie sztuki. Po budynku niósł się odgłos walenia w szafki, któremu niczym echo towarzyszył przybliżający się rytm bębnów szkolnej orkiestry i pocztu sztandarowego, szykujących się do przemarszu przez przybrane złoto-niebieskimi barwami korytáře. Uczniowie wybiegali z klas przez otwarte drzwi, chłopcy podskakiwali, by klepnąć framugę na szczęście, dziewczyny krzyczały.

Gwen i Isobel wmieszały się razem w tłum, po czym się rozdzieliły – Isobel ruszyła kierunku szatni, Gwen zaś dołączyła do grupy podążającej w stronę wschodnich schodów. Podczas jazdy umówiły się na spotkanie na wieczornym meczu. Gdy Isobel patrzyła za koleżanką, pomachała jej lekko ręką, zastanawiając się, czy Gwen będzie zadowolona, że na jakiś czas się jej pozbyła.

Gdy wśliznęła się do szatni, nikt tego nie zauważył z wyjątkiem Nikki, która przyglądała się jej z zaciekawieniem podczas rozgrzewki. Uśmiechnęła się nieśmiało, a Isobel starała się odwzajemnić uśmiech, chociaż już dawno straciła ochotę na przedmeczowy apel. Wszystko to wydało się jej nagle głupie jak nigdy – cały ten pomysł, by wszyscy zebrali się w jednym miejscu, a potem krzyczeli i zachowywali się jak wariaci.

W sali gimnastycznej usłyszała nadejście orkiestry. Walenie bębna przeniknęło ją do kości, rozbrzmiewając w jej uszach bardziej jak marsz pogrzebowy niż wezwanie do apelu. Drużyna wybiegła razem, z muzyką pulsującą w ciałach i przy blasku świateł. Wszyscy krzyśleli, tupiąc nogami, aż ławki trzeszczały i skrzypiały na stalowych podporach. Wymachiwali balonikami i chorągiewkami, pomalowane twarze były roześmiane. Wyglądało to jak szaleńczy karnawał, podczas którego wszyscy się zapominają, zagubieni w błogim chaosie, ciżba, która nie ma pojęcia o bombie pod podłogą.

Dwie godziny temu Isobel z radością została by jedną z nich.

Stała przed tłumem, machinalnie klaszcząc i krzycząc z resztą drużyny. Omiatała wzrokiem trybuny w poszukiwaniu opatulonej w czerń postaci albo kolejnego demona o porcelanowym obliczu.

– Ja mówię Trenton, ty mów Jastrzębie! Trenton!

– Jastrzębie!

– Trenton!

– Jastrzębie!

Tłum krzychał na całe gardło, głosami grzmiącymi, żądnymi krwi. Gdy drużyna zaczęła występ, obraz Varena dalej prześladował Isobel, która parę razy miała kłopot z nadążeniem za rytmem. Stevie, który pełnił funkcję trzeciej bazy, ciągle coś do niej szeptał.

– W porządku, Iz? – spytał tuż przed skokiem.

– Tak – odparła, chociaż jeszcze nigdy nie było aż tak nie w porządku.

Podparcie. Podrzut. Isobel wybiła się wysoko w powietrze. Uniosła nogi w szpagacie, dotykając dłońmi palców u stóp. Została złapana i jej trampki odnalazły podłogę. Tłum wiwatował. Drużyna klaskała, krzycząc w jednostajnym rytmie:

– Naprzód, Trenton, naprzód! – Klask! Klask!

Zapowiedziano drużynę futbolową. Zawodnicy w niebiesko-złoty koszulkach z numerami wskakiwali przez drzwi do sali gimnastycznej niczym stado byków, po czym biegli po podłodze, rozwija-

jąc formację na podobieństwo armii zdobywców, jakby już wygrali. Trybuny eksplodowały wrzaskiem. Wykrzykiwano ulubione numery, a numer Brada, dwadzieścia jeden, powtarzał się najczęściej. Wtedy go zobaczyła, wszedł przez dwuskrzydłowe drzwi jako ostatni. Zostając w tyle za resztą zespołu, Brad na wpół truchtał, a na wpół szedł.

Isobel patrzyła na niego, gdy drużyna zajmowała miejsca na trybunach, ale w pewnej chwili przebiegł obok niej Jastrząb Henry, wymachując skrzydłami, i dziewczyna podskoczyła, wydając cichy okrzyk.

Rozległ się gwizdek trenerki Anne i nadeszła pora na występ.

Zagrzmiały werble. Isobel ruszyła na swoje miejsce w formacji. Alyssa szturchnęła ją, gdy się mijaly, i nachyliła się, by coś szepnąć.

– Spróbuj nie nawalić, ofermo.

Drużyna była gotowa. Wszyscy unieśli ręce, krzyżując je przed twarzami z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Dumne słowa zapowiedzi, które trenerka wypowiadała przez mikrofon, niosły się echem wokół nich, oznajmiając wszystkim, że zaraz zobaczą układ drużyny Trenton na rozgrywki krajowe, ten, który zaczęli trenować latem i który będzie dziś zaprezentowany ponownie podczas meczu, a potem w Dallas za niecałe dwa miesiące. Układ, który przyniesie szkole nagrodę za pierwsze miejsce trzeci raz z rzędu. Każdą przerwę w wypowiedzi trenerki tłum wypełniał krzykiem i entuzjazmem. Trenton lubiło wygrywać.

Muzyka zaczęła się od donośnego akordu z syntetyzatora, który przerodził się w jednostajny rytm, elektroniczny i szybki. Isobel pozwoliła się nieść swojemu ciału, które pamiętało układ, i znalazła się w powietrzu, wirując, jeszcze zanim sobie przypomniała, jak to się robi. Złapana, opadła do podłogi, a potem znowu wystrzeliła w górę, niczym łodyga przez gęstwinę zarośli. Ze sztywnym ciałem wyciągnęła ręce wysoko, układając je w literę V. Następnie wysunęła nogę w tył, zgięła ją za głowę i złapała się za czubek trampka. Wyko-



nała skorpionia, wyginając plecy w łuk i wypinając klatkę piersiową. Takie rozciąganie było bardzo przyjemne.

Poczuła, że opada, i instynktownie przeszła w ciasny, spiralny obrót. Złapali ją i Stevie oparł plecy na jej stopach. Wszyscy byli teraz na podłodze i uczestnicy zamieniali się pozycjami niczym talia kart, które tasują się same, niebiesko-złoty kalejdoskop, stopami wybijając rytm, rozkładając i składając ręce. Zmienił formację i podstawa piramidy przygotowała się do podrzutu. Isobel wspięła się, wsuwając jedną stopę w czekające dłonie Alyssy, a drugą w podpórkę z rąk Nikki. Następnie, uniesiona wysoko, znowu wzniosła ręce na kształt litery V. Poczuła, że trzęsą jej się nogi, i usztywniła je. Piramida była gotowa w trzy sekundy, niemal tak szybko, jak chciała trenerka.

Muzyka zakończyła się efektem wybuchu. Drużyna utrzymała pozycję przy wtórze ogłuszających wiwatów.

Isobel poczuła, że nogi znowu jej się trzęsą, tym razem do tego stopnia, że zerknęła w dół. Napotkała oczy Nikki – dwie studnie paniki – i twarz poróżwiała z wysiłku. Isobel poczuła gdzieś w trzewiach dziwne ukłucie. Nie na widok cierpienia Nikki, lecz białej jak porcelana dłoni, zaciśniętej mocno na jej nadgarstku.

– Witaj, czirliderko – usłyszała głos, choć nie mogła oderwać spojrzenia od Nikki, przerażona bólem i wysiłkiem, z jakim utrzymywała ją w powietrzu.

Nadgarstek Nikki cofnął się gwałtownie i dziewczyna wydała z siebie krótki okrzyk. Isobel runęła.

Wymachiwała rękami, spadając w przód. Świat wokół niej pomknął w górę. Usłyszała jęk tłumu, a potem czyjś zduszony krzyk.

– Łapcie ją!

Wokół niej pływały obrazy i sylwetki, zamglone, w odcieniach brudnej bieli i stonowanej szarości, jakby nieodwracalnie straciła ostrość widzenia. Zdawało jej się, że czuje na plecach dłonie, pod-

trzymujące jej ciężar. Odróżniała tylko jedną, niemal bezkształtną twarz kogoś, kogo chyba znała. Trenerka? Chociaż wyglądało na to, że postać krzyczy, dziewczyna rejestrowała tylko ciche, nieokreślone dźwięki i ruch ust, układający się w jej imię.

Po chwili, niby czarny cień, w polu jej widzenia pojawiła się inna postać, wyraźniejsza, choć wciąż nieco zamglona. Z przerażeniem poznała, że to jeden z tych stworów.

Wyszczerzył się do niej w uśmiechu, a ona zaczęła się wiercić, by wyrwać się z trzymających ją rąk. Stwór zbliżył się i stwierdziła, że nie może uciec. Zdawało jej się, że słyszy niewyraźny głos jednej z szarych, zamglonych, widmowych postaci, wołający ją po imieniu, polecający, by się nie ruszała.

Bezradnie patrzyła, jak twarz stwora, biały kolaż kantów i ostrych krzywizn, coraz bardziej się przybliża. Za nim zobaczyła więcej niewyraźnych sylwetek, gromadzących się na białoszarym tle, które przypominało szkolną salę gimnastyczną.

Zmrużyła powieki, podążając wzrokiem za ruchami stwora, który uniósł szponiastą dłoń. Wyciągnął ją w jej stronę i jego pazury... nie, cała ręka wniknęła w jej pierś, przechodząc przez nią, jakby składała się tylko z powietrza.

Poczuła w ciele skurcz, a potem szarpanie, jakby ktoś wyciągał ją z jej własnego ciała. Na chwilę wszystko zrobiło się podwójne. Szare kształty i czarne kontury rozmnożyły się w całe morze form.

Rozległ się metaliczny chrobot, a potem wrzask stwora. Kanciasty, bezładny cień odleciał od niej, a donośny łoskot zmusił pozostałe czarne postacie do ucieczki. Rozpadły się w wiry czarno-fioletowej mgły i w jednej chwili Isobel znalazła się z powrotem w świecie mglistych, rozmytych obrazów.

Z kolejnym chrobotem jej wybawca pochylił się nad nią, a jego czarne oczy wyraźnie odcinały się od bieli szala.

– Musisz zdać sobie sprawę – powiedział – że nie jestem psem, którego można sobie wzywać.

- To ty?
- Tak, ja.
- Gdzie jestem?
- Między światami. - Rozejrzył się. - To bardzo niebezpieczne. Jeszcze tu utkniesz. Musisz natychmiast wracać.
- Co się dzieje? Co to za stwory? Dlaczego tylko ja je widzę?
- Jego oczy znowu zwróciły się na nią.
- Nazywają się Nokami. To ghule. Mroczne istoty z krainy snów...
- Nie dokończył. - Nie ma czasu.
- Gdzie Varen?
- Już po nim.
- Nie!
- Isobel, musisz wrócić.
- Nie wrócę bez niego!
- Ciągłe jest w twoim świecie. - Zawiesił głos. - Jest jeszcze szansa. Wszystko przepadnie tylko wtedy, jeśli zostaniesz. Ruszaj.
- A co z tobą?
- Teraz mogę z łatwością dotrzeć do twojego świata. Będę w pobliżu.
- Reynolds, czekaj. Ty... To wszystko ma związek z...
- Isobel, to nie jest dobry moment. One wrócą. Ruszaj, dopóki możesz.

Gdy odpłynął, Isobel zamrugła powiekami i spod bieli wyłoniły się barwy. Znowu zamrugła, patrząc w górę, na gromadę ludzi wokół. Kształty koleżanek z drużyny stawały się wyraźniejsze, ostrzejsze. Szum głosów rozbrzmiewał w jej uszach, jakby ktoś zwiększał głośność w telewizorze.

- Z kim ona rozmawia? - spytał ktoś.

Zamknęła oczy przed blaskiem, a potem, otworzywszy je z powrotem, najpierw poznała twarz Steviego, potem Nikki, całą w czerwonych plamach, mokrą od łez, a na koniec tę najbliższą, trenerki, bladą z przejęcia.



Ich głowy układały się w świetle w ładny kształt, jakby krzywą czterolistną kończynę. A jej bez wątpienia przydałoby się teraz trochę szczęścia.

– Przepraszam, Isobel! Bardzo przepraszam! – beczała Nikki. – Nie wiem, co się stało! Ja... tylko...

Trenerka odwróciła się.

– Czy ktoś może ją stąd zabrać? Stevie, wyprowadź Nikki na korytarz i spróbuj ją uspokoić. Polej jej twarz odrobiną wody. Isobel, skarbie – ciągnęła – ile widzisz palców?

Isobel jęknęła. Czy rzeczywiście ten test stosowano w prawdziwym życiu?

– Cztery.

Anne zerknęła na swoją otwartą dłoń, po czym wyciągnęła szyję i przez zmrużone powieki popatrzyła na resztę drużyny.

– Jesteście pewni, że nie uderzyła się w głowę?

– Myślałem, że tylko zemdłała. – Tym razem odezwał się Jason. Isobel znowu jęknęła i podparła się łokciami, by usiąść.

– Nie ruszaj się, Izzy – poleciła trenerka, wyciągając dłoń, by ją powstrzymać. – Lepiej poleż. Cztery to nie była dobra odpowiedź.

Dziewczyna i tak usiadła. To było nadzwyczaj upokarzające. Jak i kiedy zrobiła z siebie widowisko?

– Właśnie że dobra – odparła. – Kciuk nie liczy się jako palec.

Ku jej zdziwieniu i uldze trenerka się roześmiała i odchyliła w tył, by zrobić jej trochę miejsca.

– Nic jej nie jest! – krzyknął ktoś z drużyny, zapewne Stephanie.

Wokół rozległy się oklaski. Tak, pomyślała Isobel, gdy trenerka pomogła jej się podnieść, a potem zabrała ją z sali i poprowadziła do szatni. Wszystko gra, dzięki, że pytacie. Podniosła rękę, by pokazać masom, że przeżyje.

– Wie pani, że ona robi to specjalnie – dobiegł z tyłu cierpki głos Alyssy, która szła za nimi ze skrzyżowanymi rękami. – Wczoraj w stołówce zrobiła to samo.

– Dostyc, Alyssu – powiedziała trenerka. – Idź zobaczyć, co z Nikki. Alyssa uśmiechnęła się do siebie, po czym obróciła się na pięcie, powiewając platynowym końskim ogonem.

– Iz, nic ci nie jest? – spytała trenerka.

– Tak, w porządku. Poślizgnęłam się.

– Jesteś pewna?

Isobel przytaknęła.

– Wiesz co? – powiedziała trenerka, gdy otworzyła drzwi i wprowadziła ją do szatni. Nachyliła się, by wyjąć z lodówki butelkę wody, po czym odkręciła ją i podała Isobel. Dziewczyna pociągnęła długi łyk i opróżniła butelkę niemal do połowy, zanim ją opuściła.

– Nie wiem, co się dzieje między tobą a Alyssą, ale cokolwiek to jest, mówię ci, Izzy, lepiej znajdźcie sposób, żeby to naprawić, i to szybko. Inaczej zostawię wasze zadki tutaj i pojedziemy do Dallas bez was dwóch. I nie myśl, że tego nie zrobimy.

Isobel kiwnęła głową, chociaż teraz Dallas i mistrzostwa były ostatnią rzeczą, o której myślała.

– Nikki jest wyraźnie zdenerwowana, a ja nie sądzę, żebyś zrobiła coś takiego celowo... wywinęła taki numer... ale powiem ci też, że jeśli w tym, co mówi Alyssa, jest choć trochę prawdy...

Dziewczyna podniosła wzrok.

– Nie spadłam celowo – oświadczyła, podnosząc głos. Znowu opuściła głowę, nie chcąc, by wyglądało na to, że dąży do kłótni.

– To dobrze – odrzekła trenerka. – Bo nie mam czasu na primadonny i nie ma go nikt w drużynie. Wieczorem nie będziesz skakać, ale i tak chcę cię widzieć na meczu. Rozumiemy się? Możesz dołączyć do okrzyków, ale nie chcę, żebyś skakała.

Isobel skrzywiła się, że tak bezceremonialnie wyznaczono jej rolę rezerwowej. Słowa Alyssy wywarły na trenerce większe wrażenie niż jej własne, i ta myśl paliła ją do głębi. Skinęła jednak głową, bo miała większe zmartwienia niż rywalizacja z Alyssą czy miejsce w drużynie.

Gra toczyła się o znacznie wyższą stawkę.

*Serce oskarżycielem*

Stadionowe jupitery świeciły jasno niczym lampy błyskowe, zawieszane nad morzem zgromadzonych twarzy. Isobel siedziała na ławce przy linii bocznej, tyłem do publiczności. Gdzieś za nią jej ojciec oglądał mecz z trybun.

Ulżyło jej, gdy tata nic nie powiedział po przeczytaniu karteczki od trenerki na temat jej małej wycieczki na podłogę. Kupił tylko po drodze piezzonego kurczaka (Isobel pochłonęła go w samochodzie, wygłodniała, bo nie jadła obiadu) i spytał, czy córka na pewno chce jechać na mecz. Gdy bez wahania przytaknęła, wydawał się zadowolony i wyjątkowo nie powiedział nic więcej. Nie wspomniał nawet o rzekomym wypadku mamie, gdy dotarli do domu. Głównym tematem konwersacji przy stole uczynił za to sukces ich wystąpienia. Rozmowa gładko przeszła do wspólnego oglądania strasznych filmów, na które Danny wybierał się później ze swoim zastępem skautów, gdy już skończą zbierać słodycze po domach. Wyglądało na to, że mama też pójdzie, bo w ostatniej chwili okazało się, że nie mają opiekunki. W rezultacie imię Varena nie padło ani razu i Isobel odczuwała za to najwyższą wdzięczność.

Lecz nawet teraz, siedząc na zimnej ławce i patrząc, jak rośnie trawa, na której rozgrywano mecz, nie potrafiła o nim nie myśleć.



Pierwszy raz w karierze czirliderki Isobel stwierdziła, że nie obchodzi jej, z kim gra szkolny zespół, nie mówiąc już o wyniku na tablicy. Tylko ona wiedziała, że nalegała na pójście na mecz nie z powodu poczucia obowiązku czy szkolnej dumy, które dawniej mogłyby ją zmotywować. Chodziło o coś innego: właśnie tutaj umówiła się z Gwen. Jeszcze jej nie widziała, a im bliżej było do przerwy, tym bardziej się denerwowała.

Co kilka minut rozglądała się po trybunach, czujnie szukając tych stworów... jak Reylonds je nazwał? Nokowie? Ile ich w ogóle było? Zastanawiało ją, czemu żadnego nie widziała od wyjścia ze szkoły. Chciała myśleć, że to dobry znak, ale nadzieja wydawała się złudna.

Na boisku drużyna rozproszyła się, by zrobić miejsce wchodzącej orkiestrze. Isobel odwróciła się, by znowu popatrzeć na trybuny, tym razem w nadziei, że zobaczy coś, co by świadczyło o obecności Reynoldsa. Powiedział, że będzie w pobliżu, ale gdzie? Dlaczego zawsze musiał być taki tajemniczy?

– Iz? – Ktoś zajął miejsce obok niej. Odwróciła się.

Nikki patrzyła na nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami, ścigając brwi. Trzymała się za nadgarstek, ciasno owinięty beżowym bandażem.

– Cześć, Nikki – powiedziała Isobel. – Niech zgadnę. Ciebie też trenerka posadziła na ławce?

– Tak – odparła tamta, pokazując opatrunek. – Zwichnięty. Ale nie jest najgorzej. Nie... nie masz nic przeciwko temu, żebym tu siedziała?

Isobel pokręciła głową i siedziały przez chwilę w krępującym milczeniu.

– Isobel – zaczęła Nikki – myślałam, że dziś tu nie przyjdę. Ale zdecydowałam się w ostatniej chwili, bo wiedziałam, że tu będziesz. I muszę ci to powiedzieć. Wiem, że mi nie uwierzysz, ale i tak powiem. Nie puściłam cię dzisiaj. Przynajmniej nie specjalnie.

– Wiem – powiedziała po prostu Isobel. Znowu obejrzała się przez ramię. Pragnęła, by mecz już się skończył. Żałowała, że nie może przewinąć czasu do przodu, by ona i Gwen były już w drodze na to, co miało się zacząć w Ponurej Fasadzie. Chciała znaleźć Varena, zobaczyć jego twarz, upewnić się, że nic mu nie jest. Chciała poznać prawdę o tym, co się działo. Chciała wiedzieć, jak to powstrzymać. Żeby po prostu wszystko znowu wyglądało normalnie.

– Mówię poważnie, nie zrobiłam tego. Przysięgam. Przysięgam, na co zechcesz. To było jak... jakby coś mnie złapało. – Dla podkreślenia tych słów chwyciła się za obandażowany nadgarstek. – Wiem, że głupio to brzmi, ale...

– Nikki. – Isobel odwróciła się i popatrzyła jej prosto w oczy. – Wierzę ci.

Udręczona mina Nikki przerodziła się w wyraz pełnej niepokoju dezorientacji, jakby spodziewała się, że Isobel zaneguje jej stwierdzenie. Ta reakcja uświadomiła Isobel, że Nikki spędza zbyt wiele czasu w towarzystwie Alyssy.

– Czy to... czy to znaczy, że... że już się na mnie nie gniewasz?

Tak daleko to bym się nie posunęła, pomyślała Isobel. Czy cios w plecy i odejście z twoim byłym to nie dwie pierwsze pozycje na liście zakazów w biblii najlepszych przyjaciółek? Z drugiej strony, rozmyślała – czemu nie? Jakie to wszystko ma znaczenie teraz, skoro Nikki chce się pogodzić? Jej związek z Bradem się skończył, ekipa się skończyła. W ostatnich dniach zaczęło wyglądać na to, że sama rzeczywistość się skończyła. Skoro niebo waliło się na głowy, czy nie lepiej, żeby dawne papużki nierozłączki przytuliły się i pogodziły, zanim nastąpi najgorsze? Isobel wybrała nic nieznaczące wzruszenie ramion, ale po chwili, zawstydzona bezwzględnością tego gestu, dodała:

– Nie, nie gniewam się. Naprawdę.

– Tęsknię za tobą – oznajmiła Nikki. – Tęsknię za nami.

Opuszczając wzrok na buty, Isobel kiwnęła głową, niepewna, czy mogłaby powiedzieć to samo. Zbyt wiele innych myśli kłębiło się

jej w głowie. Nastąpiło zbyt wiele zdarzeń, odkąd się pokłócili. Zdarzeń, o których nigdy nie będzie mogła powiedzieć Nikki. Nikki i ona, no cóż, zdawało się, że to było całe wieki temu. Jak mogła jej wytłumaczyć, że jest inna? Zmieniła się. I w tej chwili myślała tylko o jednej osobie, o której naprawdę mogła powiedzieć, że za nią tęskni.

– Jestem zazdrosna, wiesz.

Szybko podniosła głowę, kierując oczy na Nikki, która się do niej uśmiechała. Słodkim, a zarazem nieco smutnym uśmiechem. Isobel zachowała czujność.

– Co masz na myśli?

Nikki pokręciła głowę z błyskiem w oczach.

– Wszyscy są o ciebie zazdrośni, Isobel.

Isobel zamrugała kilka razy powiekami, nie wiedząc, jak zareagować.

– Ale ja jestem zazdrosna, bo... no, bo nigdy się nie przekonałam, jak to jest się zakochać.

Isobel zeszywniała. W jednej chwili przestała oddychać.

– Oj – powiedziała Nikki ze śmiechem. Znowu otarła oczy, tym razem kłykiem palca wskazującego, starając się ocalić makijaż. – Nie patrz tak na mnie. Nie jesteś taka tępa. – Zaśmiała się głośniej, lecz Isobel sądziła, że przede wszystkim po to, by się nie rozpłakać.

– A może i jesteś – dodała Nikki, widząc zdumiony wyraz twarzy Isobel. – Przynajmniej raz to nie ja dowiaduję się o czymś ostatnia. – Teraz śmiała się już szczerze, a jej wesołość była tak zaraźliwa, słowa zaś tak zaskakująco proste, że wbrew wszystkiemu Isobel też się roześmiała.

Zakochana. Zakochana w stoickim, ponurym, wiecznie przygnębionym Varenie Nethersie?

Nigdy by na to nie pozwolił.

Momentalnie przyszło otrzeźwienie. Nagle perspektywa spotkania z nim zaczęła budzić grozę, bo zrozumiała, że to prawda i że dotąd



ukrywała ją przed nim tylko z jednego powodu: nigdy nie pozwoliła sobie ubrać swoich uczuć w słowa. A Nikki, najmniej przenikliwa istota na ziemi, zdołała wszystko przejrzeć.

– Hej, Izzy!

Isobel podskoczyła, omal nie spadając z ławki. Obie się obróciły. Stał tam jej tata i opierał się o ogrodzenie. Przywołał ją gestem. Wstała.

– Zaraz wracam – mruknęła do Nikki, która została na miejscu, podczas gdy ona potruchtała na spotkanie z ojcem. Cieszyła się z pretekstu, by opuścić ławkę, z chwili, którą zyskała, by dojść do siebie.

– Co się z wami dzisiaj dzieje? Idzie wam nędznie. I to jak!

– Co? – Czy mówił o drużynie? Nie uważała.

– Przegrywacie. Wysoko. Nie patrzyłaś na wynik? – Wyciągnął rękę.

Naprawdę przegrywali? Isobel popatrzyła na tablicę. No, no. Trzydzieści jeden do zera. Faktycznie przegrywali.

– Ej, co jest z Bradem?

– Z Bradem?

– Tak. – Złożył ręce nad ogrodzeniem, starając się zachowywać nonszalancko, skoro już wypowiedział imię na B. – Nie widziałaś, jak upuścił piłkę? Spałaś na tej ławce czy co? To chyba jego najgorszy mecz jaki widziałem.

Isobel rozejrzała się teraz w poszukiwaniu Brada. Zobaczyła, że stoi z drużyną przy linii bocznej. Napelnił kubek wodą i polał sobie koszulkę mimo chłodnego wieczoru – było tylko dziesięć stopni.

Podczas gdy pozostali zawodnicy zmierzali do szatni, trener Logan, aż fioletowy na twarzy, o dwie głowy niższy od Brada, stał przed nim i strofował go na podobieństwo hałaśliwego psa, który szczeka na wiewiórkę na drzewie.

– O rany! Zdaje się, że trener ostro po nim jedzie – powiedział tata. – Ej, Iz, nie chcę się wtrącać, ale może powinnaś z nim porozmawiać. Widzisz, co się dzieje?

– Isobel! Tu jesteś!

Odwróciła głowę i skupiła wzrok na ubranej w niebiesko-złote barwy nieznajomej, która biegła w jej stronę wzdłuż drugiej strony ogrodzenia. Na wszystkie klęski czirliderek... Była to Gwen.

– Isobel! – wydarła się znowu, podskoczyła do jej ojca i stanęła. Złapała się rękami za głowę, potrząsając rękawami swojej o wiele za dużej bluzy... nie, poprawiła się w myślach Isobel, gdy dostrzegła żółtą literę T, rękawami o wiele za dużej bluzy Steviego. Cofnęła się od parkanu, by lepiej się przyjrzeć. Jeszcze nigdy nie widziała jej w spodniach, nie mówiąc już o czymś, co przypominałoby szkolne barwy (czy Gwen w ogóle miała jakieś spodnie?). Nie mogła przeczyć faktu, że dresy w kolorach Trenton, które tamta miała na sobie, wyglądają cokolwiek znajomo. Bardzo przypominały te, które sama zdjęła wcześniej w szatni. A do tego długie mysie ogonki, związane równie znajomymi niebiesko-złotymi gumkami z pompnikami. Łatwo już było odgadnąć, gdzie Gwen się podziewała przez cały ten czas.

– O rany, to twój tata? Dobry wieczór, panie Lanley! – Chudą ręką otoczyła jego ramiona.

– Eee... tak – zaczęła Isobel, nie wiedząc, do czego zmierza koleżanka. – Tato, to jest Gwen. Ona, eee... ona... – „...ma kuku na muniu”, chciała powiedzieć.

– Jestem asystentką maskotki – oznajmiła Gwen. W szerokim uśmiechu błysnęła idealnie białymi zębami. – Opiekuję się maskotką – dodała.

– A – bąknął tata. Spróbował się rozejrzeć, na ile pozwalał mu uścisk Gwen. – No to gdzie jest ta maskotka?

– Gdzieś się tu kręci... Wypierza się czy coś, nie wiem. No, Iz, przyjdiesz na moją imprezę z okazji zwycięstwa czy nie? Nie odpowiedziałas na zaproszenie na Facebooku.

– Imprezę z okazji zwycięstwa? – powtórzył jak echo tata.

W tym momencie Isobel zrozumiała geniusz Gwen.

– Ooo – włączyła się odpowiednio posępnym tonem. – Zapomniałam odpowiedzieć. Nie zaglądałam do sieci, bo byłam bardzo zajęta. Próbowałam skończyć to opracowanie z angielskiego, wiesz? Tak czy owak, raczej nie będę mogła przyjść.

– Co? – Gwen oklapła i twarz natychmiast jej się ściągnęła. Dla większego efektu pozwoliła, by jej ręka zsunęła się z ramion taty i opadła. – Czemu nie? Nie dokończyłaś opracowania?

Isobel wzruszyła ramionami.

– Dokończyłam. To znaczy, dzięki tacie. Po prostu... – Popatrzyła żałośnie na ojca. Dobrze, pomyślała, wychwytyjąc w jego oczach błysk niezdecydowania. Trzeba tylko trochę pociągnąć tę grę. – Po prostu nie wiem, czy mogę.

– Oooch – mruknęła Gwen, spoglądając to na Isobel, to na jej tatę, i udając, że nagle zrozumiała.

– Jak możesz urządzać imprezę z okazji zwycięstwa, skoro twoja drużyna przegrywa? – spytał tata.

– Zaraz, przegrywamy? – Gwen wyciągnęła szyję w poszukiwaniu tablicy wyników.

– Gdzie będzie ta impreza?

Isobel uchwyciła się swojej szansy.

– O rany, tato, naprawdę mogę iść?

– Właśnie, naprawdę może iść?

– Spytałem tylko, gdzie to będzie...

– U mnie w domu – odparła Gwen. – Z nocowaniem, tylko dla dziewczyn, bez chłopaków.

– A twoi rodzice będą?

– O, już tam są i szykują sprzęt do karaoke. – Udała, że trzyma mikrofon i zakołysała się obok niego. – *Fame! I'm gonna live forever...* Niech pan to weźmie, panie Lanley.

Tata Isobel położył dłoń na jej podetkniętej pięści i delikatnie odsunął ją od swojej twarzy.

– Kto jeszcze idzie?



Gwen wskazała postać czekającą na ławce.

— Ona.

— Nikki idzie? — spytał, patrząc ze zdziwieniem na córkę. — Myślałem, że drzecie koty.

— No bo... — mruknęła Isobel. Zobaczyła, że Nikki wstała z ławki i rusza w ich stronę, zapewne usłyszawszy swoje imię. Myśląc gorączkowo, wypaliła: — Pogodziłyśmy się.

— Nikki! — krzyknęła Gwen. — Idziesz, nie?

— Co? — odkrzyknęła tamta, przyglądając się ubraniu Gwen.

— Na imprezę — dodała Isobel, kiwając głową i próbując porozumieć się z nią oczami. Pomimo niedawnego pokazu przenikliwości, nie wyobrażała sobie, by Nikki mogła od razu załapać. — Wiesz — ciągnęła — na imprezę, którą dziś urządza Gwen.

— Urządzasz imprezę? — spytała Nikki, przyglądając się Gwen. — Ej, czy to nie bluza Steviego?

— Ojoj. Może tata mnie teraz puści — powiedziała Isobel, znowu kiwając głową. Dużo było tego kiwania.

Badawcze spojrzenie Nikki spoczęło na Isobel.

— No... dobra — powiedziała w końcu.

— Ktoś was tam zawiezie? — spytał ojciec, sprawdzając godzinę w telefonie komórkowym.

Serce Isobel aż podskoczyło z radości. Chyba pozwoli jej iść.

— Może jechać ze mną — odrzekła Gwen. Stara dobra Gwen. Stara, dobra, genialna, pomysłowa, przedsiębiorcza Gwen.

— A Nikki może mnie rano odwieźć do domu — dodała Isobel.

Westchnął i wiedziała, że jego postanowienie legło już w gruzach. Zaczęła podskakiwać i piszczeć jak szalona, na krótką chwilę zapominając, że okłamuje swojego ojca. Znowu.

— W takim razie — powiedział — ja już pójdę. Nie wygląda na to, żeby wynik mógł się zmienić. Może jeszcze zdążę na końcówkę meczu Uniwersytetu Kalifornijskiego w telewizji. Myślisz, że na ganku zostały jakieś słodycze?

– Nie liczyłabym na to – odparła Isobel, usiłując wskrzesić swój uśmiech. Rozłożył ręce, by ją uściskać, a ona wychyliła się nad ogrodzeniem i stanęła na palcach, by zarzucić mu ręce na szyję. – Dzięki, tatusiu – powiedziała, przyciągając go do siebie i całując w policzek.

– Bądź grzeczna i nie wyłączaj telefonu – polecił i wsunął własny telefon do kieszeni. – I nie zapomnij pogadać z Bradem.

– Dobrze – obiecała.

Odwrócił się i Isobel patrzyła za nim, gdy odchodził i wtapiał się w tłum.

Poczuła, że serce jej się kraje, gdy znowu stanęła na ziemi. Żałowała, że nie może zawołać go z powrotem i powiedzieć mu prawdy. Żałowała, ale by jej nie uwierzył.

– No dobra, a teraz serio – odezwała się Nikki, gdy odszedł na tyle daleko, że nie mógł ich usłyszeć. – Co to wszystko miało znaczyć?

Gdy tata Isobel zniknął, Gwen poszła się przebrać i spotkać z Mikiem na parkingu. Tymczasem drużyna wyszła na boisko, znowu gotowa do wykonania układu przygotowanego na rozgrywki krajowe. Isobel poczekała przy linii bocznej, aż zacznie się muzyka, a potem powiedziała Nikki, że zaraz wróci, i zsunęła się z ławki. Usłyszała znajomy rytm rozbrzmiewający ze stadionowych głośników i mimowolnie zaczęła w myślach odtwarzać swoje ruchy.

Usłyszała, że zgiełk na trybunach narasta (zapewne z powodu przewrotu w tył, wykonywanego przez drużynę w formacji rozchodzącej się fali) i wymknęła się za ceglana ścianę trybun dla kibiców zespołu gospodarzy. Przesunęła dłonią po godle Jastrzębi, wymalowanym na murze, po czym, już niewidoczna z boiska, szybszym krokiem ruszyła w stronę wejścia do szatni futbolistów.

Ze środka dobiegał donośny głos trenera Logana. Czyżby dalej krzyczał na zawodników?

Isobel zbliżyła się do wejścia i oparła dłoń o framugę, nachylając się, by posłuchać. Zdecydowanie nie musiała się wysilać, by słyszeć.



– Nie wiem, co tam wyprawiacie, primadonny, ale radzę wam, żeby wynik na tablicy zmienił się w następnej kwarcie, bo inaczej, słowo daję, wezmę zawodników z drużyny rezerwowej! Borgon, chyba nie muszę ci powtarzać, że jak już złapiesz tę przeklętą piłkę, to masz ją utrzymać! Zrozumiano? Czy to jasne? A teraz wszyscy zabierajcie stąd tyłki i odwróćcie przebieg tego meczu!

W środku rozległ się szurgot, gdy zawodnicy wstawali z miejsc i kierowali się do wyjścia. Isobel musiała się cofnąć, gdy ze środka wyłonił się futboliści, uciekający z szatni niczym para z szybkowaru. Obijali się o drzwi i o siebie nawzajem. Wszyscy byli milczący i markotni, zdawało się, że żaden jej nie zauważa. Stała z boku, oparta plecami o zimną betonową ścianę. Miała nadzieję, że pozostanie niewidzialna, i patrzyła na wszystkie plecy po kolei w poszukiwaniu numeru dwadzieścia jeden.

Brada jednak między nimi nie było. Widocznie został w szatni. Zaczekała i po chwili ze środka wyszedł trener Logan. Odwrócił się i popatrzył na nią, a na jego rumianej twarzy odmalowało się coś, co wzięła za dezaprobatę. Powstrzymała się, by nie odpowiedzieć podobnym grymasem i skupiła wzrok na podłodze między swoimi trampkami, podczas gdy on pognał w kierunku boiska.

Isobel odkleiła się od ściany. Po cichu wśliznęła się w wąskie drzwi i zeszła po trzech stopniach wiodących do szatni. Powietrze było tu wilgotne, wypełnione wonią potu, trawy i ziemi. Gdy wciągnęła je w płuca, wydawało się gęste, jakby nie zawierało tlenu. Przypominało to wejście do sauny.

Brad siedział sam na ławce pośrodku, z kaskiem w rękach i zwieszoną głową, ze spoconymi włosami lepiącymi się do czoła. Jego mokre kosmyki miały barwę starych monet.

Zrobiła kilka kroków w jego stronę, zaskoczona, że nie podnosi wzroku.

– Brad – powiedziała, sygnalizując swoją obecność spokojnym głosem.



Jego spojrzenie nadal utkwione było w kasku. Obracał go powoli w dłoniach, a potem wpatrywał się w środek.

– Brad – powtórzyła i podeszła jeszcze bliżej. Połysk potu na skórze sprawił, że ślad na jego górnej wardze poczerwieniał. A może to przez nagłą bladość?

Zatrzymała się, by stanąć przed nim, opuściła wzrok i spojrzała do wnętrza kasku, na czarną piankę, którą był wyłożony. Przykucnęła przed nim i położyła mu dłonie na nadgarstkach. Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Brad, dobrze się czujesz?

Uniósł na nią oczy i poczuła falę przerażenia. Czerni rozszerzonych źrenic niemal zupełnie przykryła jasny błękit tęczówek, tak że wyglądały jak cienkie aureole, wąskie pierścienie koloru wokół ciemności.

– Nie dotykaj mnie! – warknął i wyrwał się jej, wstając. Wytrącona z równowagi dziewczyna chwiejnie podniosła się na nogi. Odwrócił się od niej i ruszył do drzwi.

– Brad, zaczekaj!

– Powiedz im, żeby zostawiły mnie w spokoju! – krzyknął i wbiegł po schodkach.

Wstrząśnięta Isobel patrzyła, jak chłopak wychodzi z szatni. Pobiegła za nim, wbiegając na trzy stopnie, lecz drogę zatarasował jej Mark. Zgromił ją wzrokiem, z kaskiem w ręce, z twarzą surową i ściągniętą. Pod jego oczami widniały pręgi z czarnej farby.

Isobel podskoczyła i próbowała coś zobaczyć ponad jego powiększonymi przez ochraniacze ramionami. Zobaczyła, że Brad zbliża się do boiska i przykłada rękę do czoła. Powietrze wokół niego zdało się wirować i migotać. Isobel zamrugła powiekami, by odzyskać ostrość widzenia, lecz tym ostrzejsze stały się ciemne, węzowate smugi oleistego dymu, które pojawiły się znikąd. Niczym kłęby fioletowego atramentu w wodzie, mroczne postacie nabierały kształtów, materializując się w powietrzu wokół niego. W jednej chwili kilka par czarnych buciorów ruszyło naprzód. Cztery postacie o bla-

dych obliczach zaczęły maszerować za nim, po dwie z każdej strony, świecąc ostrymi, czerwonymi uśmiechami.

– O Boże, Brad!

Isobel rzuciła się naprzód, lecz Mark zagroził jej drogę szerokim ramieniem. Próbowwała się przepchnąć. Przytrzymał ją i przyjął jej impet, po czym wykorzystał go, by ją odepchnąć. Potykając się i zataczając, zbiegła z powrotem po schodach, po czym złapała się ściany.

– Nie wiem, co zrobiłaś – powiedział – ale trzymaj się od niego z daleka.

Patrzyła na niego w zdumionym milczeniu, wystarczająco długo, by zobaczyć, jak odwraca się plecami. Czekala jeszcze tylko chwilę, po czym popędziła naprzód, po schodkach i na zewnątrz, zdeterminowana, by przemknąć obok niego. Musiał jednak usłyszeć odgłos jej trampek, a może się spodziewał, że spróbuje czegoś podobnego, bo nagle się obrócił. Upuścił kask, złapał ją i odepchnął z całej siły. Poleciała w tył, wymachując rękami. Uderzyła o beton, lądując na tyłku z głuchym odgłosem. W dłonie wbiły jej się drobinki piasku.

Skuliła się i gwałtownie wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, gdy w otartych dłoniach poczuła ból. Mark popatrzył na nią groźnie, z miną wyzutą zarówno z żalu, jak i troski. Pochylił się, by podnieść kask, i trzeci raz ruszył w stronę boiska.

– Mark, zaczekaj! – zawołała, starając się, by w jej głosie nie było słyhać bólu. Choć teraz nie byli przyjaciółmi, kiedyś nimi byli... przynajmniej do pewnego stopnia.

Z trudem dźwignęła się na nogi. Szła za nim, zachowując bezpieczny dystans, dopóki nie znaleźli się na widoku z trybun. Wiedziała, że na oczach rodziców i trenerów raczej nic jej nie zrobi.

– Posłuchaj mnie. Nie rozumiesz!

Jej oczy wędrowały to na jego plecy, to na graczy zbierających się na boisku. Z głośników poniósł się głos spikera, ogłaszającego wynik. Zobaczyła, że Brad zmierza wraz z innymi zawodnikami na środek



boiska. Włożywszy kask, trzymał go obiema rękami, jakby liczył, że w ten sposób odetnie się od świata. Nie obejrzał się i Isobel zrozumiała, że nie widzi mrocznych kształtów, które podążały za nim.

– Mark – powiedziała, łapiąc go za ramię.

– Zostaw mnie! – krzyknął, wyrывая się.

– Musisz powiedzieć trenerowi, żeby ściągnął Brada! – nalegała. Znowu go chwyciła. – Musisz!

– Powiedziałem, nie dotykaj mnie! – ryknął.

– Denson!

Oboje podnieśli głowy. Szedł do nich trener Logan. Zimny wiatr targał jego cienkie siwe włosy i zaczerwienił jego spierzchniętą twarz o ostrych rysach.

– Co to ma być? – spytał, wskazując Isobel, jakby była zwierzęciem, któremu Mark pozwolił iść za sobą.

– Brad powiedział jej, żeby zostawiła go w spokoju, ale i tak za nim łązi – powiedział chłopak.

– Gdzie twoja trenerka? Czemu dokuczasz moim zawodnikom? – warknął Logan, a czerwień na jego twarzy pogłębiała się z każdą chwilą. – Nie powinnaś być gdzieś tam? – spytał, machając ręką w kierunku drużyny, ustawiającej się przy linii bocznej.

Dobra, pomyślała Isobel. Pominie Marka i pójdzie prosto do źródła.

– Musi pan zdjąć Brada z boiska! – Słowa wypłynęły z niej jednym ciągiem, poganiając się nawzajem. – Coś jest nie tak. Musi go pan zdjąć – powtórzyła, wskazując pole gry.

Teraz jego twarz zrobiła się fioletowa. Szczęka zaczęła mu drżeć i w chwili, gdy Isobel zaczęła się już zastanawiać, czy to nie atak serca, wrzasnął na nią, głosem chrapliwym i gardłowym, szorstkim niczym dźwięk piłowania stali.

– Czy ja ci mówię, jak masz dopingować?!

Isobel musiała się skulić, by uchronić się przed lecącymi kropelkami śliny.



– Denson! – krzyknął trener, po czym odwrócił się, by ruszyć do linii bocznej. Całe jego ciało drżało z wściekłości. Nie patrząc na nią, Mark ruszył za Loganem, zapinając kask. Isobel patrzyła na ich oddalające się plecy. Bezradnie omiotła spojrzeniem boisko i kolejny zimny podmuch przyprawił ją o drżenie.

– No, no – powiedział cichy głos. Odezwał się za nią, łagodny, lecz szorstki, z tym dziwnym, elektrycznym tembrem. – Dobrze poszło.

Odwróciła się i zobaczyła go, opartego o ceglany bok trybun. Jego widmowe, szczupłe ciało częściowo zasłaniało namalowany herb z jastrzębią głową. Miał skrzyżowane ręce i dłonie wciśnięte pod łokcie, z czerwonymi pazurami rozcapierzonymi po obu stronach na kształt śmiertcionośnych wachlarzy. Spod linii brwi patrzyły na nią czarne oczy. Kilka kosmyków grubych, przypominających pióra włosów opadło i zwisało nad poszarpaną dziurą ziejącą w jego białej twarzy.

Posłał jej karmazynowy uśmiech.

– Witaj znowu... czirliderko.

*Bez odwrotu*

I sobel zaczynała nienawidzić Reynoldsa. Ze wszystkich odpowiednich chwil, by pokazał swoją głupią, opatuloną twarz, ta byłaby idealna. Zawsze zjawiał się po fakcie.

– Odwołaj ich – powiedziała, patrząc prosto na Pinfeathersa, z pięściami zaciśniętymi po bokach.

– Ładnie poproś – odparł z uśmiechem, patrząc na nią z przechyloną głową, jakby miała w sobie coś, co zwróciło jego szczególną uwagę.

– Zrób to!

– Nie powiesz nawet „proszę”?

– Czego od niego chcesz? – zapięła. – Brad nie ma z tym nic wspólnego!

Twarcz mu spochmurniała, uśmiech zniknął.

– Nie ma?

Jej wzrok podążył na boisko. W jednej chwili zrozumiała, o co Pinfeathersowi chodziło: próbował ją zatrzymać... i to z powodzeniem. Zaklęła pod nosem i popędziła do ogrodzenia, które oddzielało ją od pola gry.

Pinfeathers pojawił się przy jej boku, a jego postać nabrała kształtów pośród wijących się pasm fioletowego dymu.

– Mam dla ciebie wiadomość – oznajmił.

– A ja dla ciebie. Spadaj! – warknęła, pokazując mu otwartą dłoń. Dotarła do ogrodzenia i złapała górną krawędź, szykując się do skoku. Czy naprawdę mogła sama przerwać mecz? Czy raczej zostanie zmiażdżona na naleśnik?

– Nie obchodzi cię nawet od kogo? – spytał Pinfeathers. Pokonał ogrodzenie przed nią, z łatwością prześlizgując się przez siatkę, rozmywając się, a potem znowu nabierając kształtów po drugiej stronie. Podniósł dwa szpony, między którymi trzymał złożony świstek białego papieru.

Isobel zatrzymała się i serce podeszło jej do gardła, gdy zdało jej się, że widzi zarys fioletowych linii, pojawiających się niczym ciemne żyły pod bladą skórą. Złapała liścik, który w jej dłoni wydawał się solidny i prawdziwy.

Pinfeathers uśmiechnął się skromnie. Następnie, jakby przyjęcie przez nią liściku zwolniło jakiś mechanizm, rysy jego porcelanowej twarzy zaczęły się zmieniać. Jego postać rozmyła się w te same gęste kłęby dymu, z których na jej oczach wylaniali się już inni Nokowie. Jego ciało przybierało czarne, postrzępione kształty piór i zdawało się rozpuszczać i jednocześnie tężeć, a twarz wyostrzyła się w końcu w krzywiznę czarnego dzioba. Zakrakał na nią ochryple, zamachał skrzydłami, po czym wzbił się w powietrze i odleciał, zataczając kręgi.

Jej oczy śledziły go, aż w pewnej chwili jej uwagę przyciągnął inny przedmiot w powietrzu. Piłka. Po wykopie zataczała w powietrzu szeroki łuk. Leciała w stronę niepilnowanego skrzydłowego, który stał z ugiętymi kolanami i rozłożonymi rękami. Isobel patrzyła, jak numer dwadzieścia jeden łapie piłkę. Brad przycisnął ją mocno do siebie i nachylił się, biegnąc w stronę drugiego krańca boiska, a koledzy z zespołu otwierali mu drogę, blokując przeciwników. Gnał jak autostradą w towarzystwie czterech ciemnych kształtów, przemykających obok. Uśmiechały się jak piranie, z gracją podążając za każdym jego ruchem, niemal tańcząc. Opadły go ciasniej, kierując go z całym im-



petem na nadbiegającego gracza. Piłka upadła na ziemię. Brad podążył za nią, znikając na chwilę w bezładnej mieszaninie błękitu, złota, zieleni, bieli... i czerni.

Stało się to bardzo szybko, w mgnieniu oka. Nawet wśród krzyków z trybun, łoskotu i stęknień zderzających się zawodników, Isobel usłyszała ostry, bezlitosny trzask.

Na widowni rozległo się westchnienie, chóralny jęk żalu. Isobel nie mogła powstrzymać swych dłoni, które powędrowały do ust, by je zasłonić. Brad leżał nieruchomo na boisku z nogami wygiętymi pod nienaturalnym kątem. Zwycięsko sycząc, Nokowie rozplynęli się w smugi dymu.

Gdzieś rozbrzmiał gwizdek sędziego.

Isobel przeskoczyła parkan jednym ruchem, ściskając w dłoni liścik, jakby się obawiała, że wyparuje. Ktoś rzucił się, by ją zatrzymać, ale minęła go, biegnąc wzdłuż boiska w miejsce, gdzie Brad leżał w otoczeniu kolegów z drużyny i przeciwników. Zaczęła się przepychać i opadła na kolana przy jego boku, starając się nie patrzeć na srebrzystą biel kości, sterczącej spod kolana, na krew, która przesączała się przez futbolowe spodnie w kolorze metalicznego złota. Ściągnęła mu kask. Jego głowa przekręciła się na bok. Mokra miedziane loki kleiły się do skroni i czoła, a z przystojnej twarzy odpłynął cały kolor.

— Brad! — Przyłożyła dłoń do jego chłodnego policzka.

Otworzył oczy, a ona złapała oddech. Ukazała się tylko wąska obwódka wyrazistego błękitu. Reszta tęczy została pochłonięta, przykryta kręgami najczystszej czerni.

Dwa otwory wielkości monet zatrzymały się na niej.

— Zbliżają się — mruknął. Mięśnie jego pobladłej twarzy zadrgały pod jej palcami. Całe jego ciało się zatrzęsło.

— Brad, wszystko dobrze. — Poglądziła mu dłonią czoło.

— Nie, nie — wymamrotał. — Odejdź. — Drzenie się wzmogło.

Poczuła, że ktoś łapie ją za ramiona. Odciągnęli ją w tył i postawili na nogi. Poddała się, niezdolna do oporu.

– Cofnąć się, wszyscy! – zawołał ktoś, przepychając się. Lekarz. Postawił walizkę i ukląkł obok Brada, który leżał na trawie, z oczami uciekającymi w tył głowy i opadającymi powiekami.

– Isobel!

Znowu ktoś złapał ją za ramiona, potrząsnął nią.

– Isobel – powtórzyła trenerka Anne. Dziewczyna zamrugowała powiekami i skupiła wzrok. – Chyba nie zemdlejesz znowu, co?

Pokręciła głową. Nie. Była absolutnie, całkowicie przytomna.

– Wracaj do linii bocznej i zaczekaj – poleciła kobieta. – To poważna kontuzja, ale nic mu nie będzie. Dobrze?

Isobel skinęła głową w odrętwieniu, gdy trenerka odwracała ją plecami do całej tej sceny. Nogi powoli poniosły ją naprzód, a ciało spełniało polecenia bez udziału umysłu. Zmierzając w stronę linii bocznej, zobaczyła Steviego i Nikki. Przywarli do ogrodzenia i patrzyli, z twarzami zmienionymi w maski niedowierzania.

Zatrzymała się na środku boiska. Przeciągnęła kciukiem po gładkiej powierzchni karteczki, którą wciąż trzymała w garści. Rozwinęła ją. W jaskrawym blasku jupiterów przeczytała eleganckie linijki, napisane fioletowym tuszem.

*Isobel!*

*Nie znalazłem innego sposobu, żeby do Ciebie dotrzeć. Po dzisiejszym wieczorze wszystko zniknie.*

*Nigdy nie chciałem Cię w to wciągać. Nigdy. Proszę, uwierz.*

*W jakiś sposób straciłem nad wszystkim kontrolę.*

*Pragnę tylko znowu Cię zobaczyć. Chciałbym powiedzieć Ci wszystko, czego nie mogłem powiedzieć wcześniej. A przede wszystkim żałuję, że nie da się zacząć od początku.*

*Cokolwiek się teraz stanie, proszę, uwierz, że nie chciałem, by tak się to skończyło.*

*Twój na zawsze*

V.

## 37

*Ponura Fasada*

Wziąwszy z szatni dla dziewcząt sportową torbę, Isobel wy-  
mknęła się bocznymi drzwiami ze stadionu i poszła na ciem-  
ny, zastawiony samochodami parking. Choć wydawało się to okrop-  
ne, gdy przeczytała liścik od Varena, działała szybko, wykorzystując  
zamieszanie wywołane wypadkiem Brada, by niepostrzeżenie uciec.  
Nie chciała, by Nikki czy Stevie (albo ktokolwiek, skoro już o tym  
mowa) dogonił ją i spytał, dokąd się wybiera. Stało się jasne, że nie  
może sobie pozwolić na opóźnienie. Straciła już i tak zbyt wiele cza-  
su. A liczyło się tylko jedno: musiała go znaleźć.

Gdy zmierzała przez parking w stronę cadillaka, wyobraziła so-  
bie, jak musi wyglądać – posępna i blada.

– Co się stało? – spytała Gwen.

Obok niej stał wysoki, chudy chłopak z potarganymi włosami.  
Otaksował wzrokiem nadchodzącą Isobel i uśmiechnął się, jakby zo-  
baczył coś zabawnego. W odpowiedzi zgromiła go spojrzeniem, go-  
towa na ripostę, gdyby powiedział choć słowo o jej stroju czirliderki,  
wiedziała bowiem, że czarne dżinsy, które miał na sobie, musiał zna-  
leźć w dziale dziewczęcym w Target.

Gwen, już się przebrała i nie udawała kibica, miała na sobie czar-  
ną sukienkę z dekoltem, która z powodu rozszerzanych rękawów



i braku wcięcia w talii robiła wrażenie nocnej koszuli wampira. Wyglądała na niej niemal równie niedorzecznie jak za duża bluza Trenton. W innych okolicznościach Isobel mogłaby parsknąć śmiechem. Teraz tylko zmarszczyła brwi.

Wsunęła karteczkę od Varena do torby, obok metki do Ponurej Fasady, nie chciała bowiem, żeby Gwen ją zobaczyła. Po dzisiejszym wieczorze, gdy przekonała się, do czego zdolni są Nokowie, wiedziała, że musi dotrzymać złożonej samej sobie obietnicy, by Gwen nie dowiedziała się zbyt wiele.

– Co się stało? – Tamta zmrużyła oczy, gdy Isobel podeszła bliżej.

– Widzieliśmy odjeżdżającą karetkę – powiedziała. – Komuś coś się stało?

– Brad – odparła Isobel. Ukrywanie szczegółów nie miało sensu.

– Ma złamaną nogę – wyjaśniła, starając się nie przypominać sobie widoku strzaskanej kości, jaśniejącej bielą pod krwawym strzępem skóry.

Gwen skrzywiła się.

– Au! Ale będzie dobrze?

Isobel skinęła głową. Minęła ich, otworzyła tylne drzwi cadillaka i wrzuciła torbę.

– A u ciebie w porządku?

– Tak – odrzekła. – Chodźmy.

Gwen najwyraźniej się zastanawiała. Zakołysała się na nogach, jakby nie miała pewności, w którą stronę się odwrócić i co powiedzieć. W końcu przemówiła.

– Isobel, to jest Mikey. Mikey, Isobel.

Po prezentacji odwróciła się i okrążyła samochód. Otworzyła bagażnik i zaczęła w nim szperać. Tymczasem Mikey gapił się na Isobel. Też na niego patrzyła, z każdą chwilą bardziej nim zniesmaczona. W końcu mrugnął do niej i zajął miejsce kierowcy.

Świetnie. To on miał prowadzić? Skrzywiła się, ale nic nie powiedziała, nie chcąc tracić czasu na spory. Wśliznęła się na prawą stronę

tylnej kanapy. Z przodu Mikey odwrócił się i leniwie się do niej uśmiechnął. Miał kanciaste, ostre rysy. W obu jego uszach tkwiły rzędy kolczyków o kształcie świec.

– Hej – powiedział.

– Hej – odrzekła, siląc się na uśmiech. Miał w sobie coś, co włączało dzwonek alarmowy w jej głowie.

– Posuń się – powiedziała Gwen, pojawiając się obok z podłużnym białym pudełkiem pod pachą. Szturchnęła Isobel, po czym wgramoliła się do auta. Rzuciła jej pudełko na kolana.

– Co to? – spytała Isobel. – Czemu nie siadasz z przodu?

– To – Gwen postukała w pudełko – jest twój kostium. Dziś Halloween, zapomniałaś?

Mikey odkręcił szybę, wystawił głowę i wydał z siebie przeciągłe, donośne wycie do księżycy. Gwen sięgnęła w przód, by złapać go za kaptur od bluzy, i wciągnęła go z powrotem do środka. Zaśmiał się i wetknął kluczyk do stacyjki. Cadillac zaskomlał, a potem warknął.

Isobel opuściła wzrok na pudełko na swoich kolanach. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała po dotarciu na miejsce, było marnowanie czasu na przebieranie się w głupi kostium. Nawet jeśli Gwen nie znała wszystkich okoliczności, czy nie mogła pojąć, że Isobel musi tylko znaleźć Varena? Że to jedyny powód, dla którego w ogóle się tam wybiera?

– Otwórz i już – poleciła Gwen. – Wiesz, że nie możesz iść w tym, co masz na sobie. Zabiliby cię.

– Mięso z czirliderki! – ryknął Mikey, naciskając pedał gazu. Cadillac pomknął, rzucając wszystkich w tył. Radio włączyło się z szumem i trzaskiem, po czym zaczęło skakać po stacjach. Głośniki wybuchły dudniącą muzyką, z szybkimi, chrapliwymi wokalami. Isobel złapała się fotela, gdy samochód pędem oddalał się od stadionu. Wyjechali na główną drogę, szorując tylnym zderzakiem po krawężniku. Rzuciła gniewne spojrzenie na tył absurdalnej fryzury chłopaka, która

kojarzyła się z osmalonym bohaterem kreskówki, któremu bomba wybuchła w rękach.

Obok niej niecierpliwa Gwen zdjęła pokrywkę z pudełka, odsłaniając zwoje koronkowej tkaniny.

Oczy Isobel zrobiły się szersze.

– I co? – spytała Gwen.

– Gwen, nie mogę tam wejść ubrana w coś takiego.

– Dlaczego, do diabła?

– To jest różowe!

– No to co?

– Eee... halo, nie oglądałaś *Carrie*?

– Zatkaj sobie! – wykrzyknął Mikey i zaczął szybko uderzać kierownicę w rytm perkusji.

Isobel zgromiła go wzrokiem.

– Robisz cyrk – stwierdziła Gwen i ułożyła jej sukienkę na kolanach, rozpinając suwak.

– Nie włożę różowej sukienki na imprezę gotów.

– Tu są buty – oznajmiła Gwen i rzuciła jej na kolana parę różowych pantofli.

– Gwen, nie!

– Słuchaj, tam będzie tłok. Przyjedzie cały underground stąd do Indiany. Jak on ma cię znaleźć? Naprawdę, można by pomyśleć, że posyłam cię na ofiarę z dziewicy.

– Poważnie jesteś dziewicą? – zapiał z przodu przewidywalny do bólu Mikey.

Isobel zacisnęła usta we wściekłą, milczącą kreskę. Mocno chwyciła jeden pantofel i walczyła z pragnieniem, by walnąć go w głowę.

– Poza tym – dodała Gwen, wygładzając fałdy swojej sukienki – przygotowanie tego stroju trwało wieki, więc musisz go włożyć.

– Czekał, sama to uszyłaś? – spytała Isobel, zbita z tropu.

– Przerobiłam – przyznała tamta. Wzruszyła ramionami. – O połowę taniej w sklepie Prawie Nowe. Przy okazji, jesteś mi winna



dwadzieścia pięć dolarów. A, na czubku lewego buta jest plama, ale nakłoniłam ich, żeby dorzucili je gratis, więc się nie przejmuj. Czeka, jak to się zdejmuje? – Chwyliła koleżankę za ramiona i obróciła. Isobel poczuła, że rozpiną suwak stroju czirliderki.

– Co ty wyprawiasz? – pisnęła. – Nie będę się tu przebierać!

– Czemu nie?

– Bo... chłopak! – krzyknęła i wskazała Mikeya, który uniósł podbródek i patrzył na nie w lusterku, poruszając brwiami. Isobel prychnęła z niesmakiem. Co to w ogóle za koleś?

Gwen nachyliła się. Wyciągnęła rękę i przekręciła lusterko ku podsufitce.

– To chyba trochę niebezpieczne? – zaprotestował Mikey.

– Patrz na drogę albo będziesz eunuchem, zanim noc się skończy.

– Co to jest eunuch? – spytał, chichocząc.

– Sprawdź w słowniku.

Gwen znowu oparła się na tylnej kanapie i od razu zajęła się sukienką. Zrezygnowana Isobel zdjęła bluzkę, choć jej oczy nawet na chwilę nie odrywały się od potarganej głowy chłopaka. Jeśli choćby zerknie...

Pędzili teraz autostradą. Nadeszła kolej na golf, a potem na sportowy stanik. Następnie Gwen, nie dając Isobel chwili wytchnienia, narzuciła jej sukienkę na głowę i pociągnęła w dół. Isobel zmagiała się z różowymi fałdami, by przełożyć ręce przez wąską talię. Satynowa podszywka przesuwiała się po jej nagiej skórze, gładka i chłodna. Palce przedzierały się dalej, szukając ramiączek albo rękawów, lecz nagle, bez ostrzeżenia, Gwen szarpnęła sukienkę, która znalazła się na swoim miejscu i wtedy Isobel zrozumiała, że żadnych rękawów ani ramiączek nie ma.

– Pochyl się – poleciała Gwen i pchnęła Isobel w pasie, aż zaparło jej dech. Zapięła suwak. Tkanina ściśle przylegała do ciała. Pasowała, jak ulał. – A teraz usiądź – powiedziała, znowu ciągnąc ją w swoją stronę.

Isobel spojrzała na siebie, podczas gdy Gwen się nią zajmowała. Nawet w półmroku widziała, że krój jest klasyczny, z falbankami. Sukienka miała koronkowe naszywki, sercowaty dekolt i bufiastą spódnicę, która po wstaniu zapewne ułoży się w falbanki i opadnie tuż poniżej kolan. Takiej sukienki Isobel nigdy sama by sobie nie wybrała – była aż za ładna, z różową jedwabną szarfą w pasie w stylu Alicji w Krainie Czarów.

Ze złożonymi rękami Isobel pozwalała, by ją strojono. Następnie Gwen zdjęła jej niebieskie i złote wstążki z włosów. Przechyliwszy głowę, Isobel wyjrzała przez okno. Jechali szybko. Zbyt szybko. Odkryła jednak, że tym razem prędkość wyjątkowo jej się podoba, i ponagliła samochód w myślach, nie krzywiąc się nawet przez chwilę, gdy Mikey ostro wchodził w jeden zakręt za drugim. Trzymał kierownicę niczym przeciwnika w zapasach.

Wkrótce samochód zjechał z autostrady i zaczął krążyć po labiryncie czarnych ulic. Bez blasku latarni ciemność na zewnątrz przerodziła się w czerń. Drzewa przemykały obok, rozświetlone promieniami księżycy i długimi światłami cadillaka, a ich jednostajny, gęsty szereg zdawał się dopasowywać do rytmu muzyki.

Isobel poczuła na głowie drapanie spinki do włosów, potem drugiej. Auto gnało w dół pochyłej ulicy i żołądek jej podskoczył, by przybić piątkę z sercem.

Patrząc na gęstniejące drzewa, których kościste cienie wydawały się coraz groźniejsze, pomyślała, że pewnie są już daleko od miasta. Nie spoglądała na przydrożne tablice, ale doszła do wniosku, że są gdzieś w hrabstwie Henry albo Spencer, choć nie mogła mieć pewności.

Z drugiej strony, czy mogła jeszcze mieć pewność w jakiegokolwiek kwestii? Rzeczywistości? Rozsądku? Samej siebie?

Opuściła wzrok na swoje kolana i dłonie. Obróciła lewą rękę, przypominając sobie, gdzie Varen zapisał swój numer za pierwszym razem. Cyfry już zniknęły, ale było tak, jakby wytatuował je w jej duszy. Zaciśnęła dłoń.



Co miał na myśli, pisząc, że nie chce, by „tak to się skończyło”? Dlaczego miała wrażenie, że ten liścik to pożegnanie? I dlaczego napisał, że po dzisiejszym wieczorze „wszystko zniknie”?

Zacisnęła powieki. Chciała sięgnąć do torby i znowu przeczytać wiadomość. Zupełnie jakby liczyła, że słowa się zmienią, gdy nie patrzyła. Właściwie zresztą, czemu nie, skoro wszystko inne dookoła wydawało się zmieniać?

W jej żołądku zakiełkowało okropne uczucie, trujący pęk niepewności, wątpliwości i strachu. Zastanawiała się, czy Varen wiedział, co zrobią Nokowie. Co gorsza, rozważała, czy to nie on ich przysłał – w końcu Pinfeathers przyszedł z jego listem. A może był to element tego, co nazwał utratą kontroli?

– Gotowe – oznajmiła w końcu Gwen, opuszczając ręce. – Gdzie twoja metka?

Uwolniona Isobel otworzyła oczy. Wyciągnęła metkę ze sportowej torby. Gwen wyrwała jej zaproszenie z ręki, chwyciła ją za nadgarstek i oplótła go czerwoną wstążką. Zawiązała, zaciskając supeł, aż wstążka wpiła jej się w skórę, niemal odcinając dopływ krwi.

– Cokolwiek zrobisz – powiedziała – nie zgub tego.

Cadillac niespodziewanie zwolnił i Isobel naprężyła mięśnie, gdy przednie koła podskoczyły na czymś, co zdawało się kłodą drewna. Gwen jakby spodziewała się wstrząsu, po czym zajęła się mocowaniem własnej metki. Jechali ostatnią z długich, krętych alejek. Pod oponami chrzęścił żwir.

Mikey wyłączył długie światła i teraz światła mijania rzucały złotawobiały blask na szeroki plac z bladej ziemi i kamieni. Kurz i pył wirowały w światłach reflektorów na podobieństwo mgły. Rzędy czarnych samochodów stały po obu stronach niczym uspięne potwory. Isobel nachyliła się, chwyciła oparcie fotela kierowcy i mrużąc powieki, wyjrzała przez przednią szybę.

Zobaczyła grupki osób stojące przed długim, dwupiętrowym budynkiem, który trochę wyglądał na szopę, a trochę na magazyn.



Ze środka emanowało pulsujące zielone i różowe światło, a z oddali Isobel bardziej czuła, niż słyszała niskie dudnienie muzyki.

Gdy samochód podjechał bliżej, blask reflektorów omiół kilka wysokich, bladych postaci. Wnętrznosci Isobel stężały na ich widok, gdy kulili się razem obok czarnej hondy, dzieląc się papierosem. Przynęła się do okna, przyglądając się ich twarzom.

Spomiędzy nich unosiły się kłęby dymu, a gdy cadillac przejeżdżał obok, każda twarz po kolei odwracała się w jego stronę. Spoglądali na dziewczynę ponuro, a ich ostre nosy i kontrastowo umalowane oblicza były groźne, lecz bez wątpienia całe. Isobel odchyliła się, poświęcając chwilę, by odetchnąć i nakazać swojemu sercu zmniejszenie tempa.

– Ej – zagadnęła Gwen i ją szturchnęła. – Zobacz.

Z mocno bijącym sercem odwróciła się i popatrzyła na parking. Światło reflektorów prześliznęło się po znajomym samochodzie i Isobel wydała cichy okrzyk na widok koślawych liter na czarnym lakierze, układających się w nienawistne słowo ŚWIRZE na boku cougara.

Pociągnęła klamkę. Drzwi otworzyły się, a cadillac zahamował i stanął.

– Ej, co jest? – krzyknął Mikey.

Zsunęła się ze swojego siedzenia prosto w chłodne powietrze, które omiotło jej odstonięte ramiona. Przebiegł ją dreszcz, ale miło odbierała tę rzeškość – kolejny dowód, że naprawdę tam jest, że nie śpi, żyje... i Varen też musi być gdzieś blisko.

– Isobel, czekaj!

Nie zważając na Gwen, pobiegła co sił w nogach do budynku i tupot jej stóp połączył się z donośnym, chaotycznym rytmem muzyki. Zerknęła na niebo. Księżyc, niemal w pełni, sączył srebrzysto-białą blask przez cienką zasłonę chmur. Lśniąc niczym leniwe oko węża, nadawał światu wokół widmową bladość i sprawiał, że różowa satyna i koronka jej sukienki zdawały się świecić. Nawet ponad

huczącą perkusją, która towarzyszyła rżeniu gitary basowej, Isobel wciąż słyszała szelest swojego stroju.

Szerokie drewniane drzwi stały przed nią otworem. W środku szalały kolorowe światła. Fioletowe i zielone rozbłyski mrugały i pulsowały, oświetlając wirujący tłum odzianych na czarno ciał. Zwolniła, dobiegając do wejścia, by popatrzeć na morze zamaskowanych twarzy. Na prowizorycznej scenie pod jedną ze ścian grał zespół, źródło dręczącej muzyki. Chłopak w długim czarnym płaszczu, z twarzą wymalowaną jak u śmierci, krzychał do mikrofonu. Opadł na kolana. Perkusista i gitarzysta podawali gwałtowny rytm, gdy wyciągał rękę do publiczności, wyśpiewując błaganie o modlitwę za siebie.

Zmagając się ze swoimi instynktami, Isobel weszła nieco dalej, postanawiając za wszelką cenę trzymać się z dala od jatki, z którą kojarzył jej się parkiet do tańca. Podniosła głowę i zobaczyła grupki osób stojące na drewnianej galerii otaczającej całe pomieszczenie. Niczym ozdobne gargulce i cmentarne anioły, gromadzili się przy krawędziach, wspierając eleganckie dłonie na balustradzie. Pochwyciła kilka spojrzeń skierowanych w jej stronę. Szybko odwróciła wzrok. Na chwilę pochwyił ją rozbłysk ultrafioletu, na sekundę zmieniając róż jej sukienki w głęboki fiolet. Żałowała, że to światło nie może się utrzymać, zafarbować tkaniny, ukryć jej w tłumie.

Poczuła, że ktoś klepie ją w ramię, i obróciła się. Wysoki chłopak z niesfornym czarnym irokezem, w małych okrągłych okularach, bez pytania wziął ją za nadgarstek. Jego pełne usta pokrywała czarna szminka. Na szyi miał psią kolczatkę, zamkniętą na kłódkę. Wyrwała mu się, dopiero poniewczasie rozumiejąc, że chodziło mu o metkę, a nie o jej żyłę.

Rozdrażniony znowu sięgnął po jej nadgarstek. Tym razem pozwoliła mu sprawdzić metkę, wiedząc, że nie ma sensu przekrzykiwać ogłuszającej muzyki, by wyjaśnić, skąd się tu wzięła blondynka z falbankami. Kilka razy obrócił metkę, zanim ją w końcu przeczytał, jakby chciał najpierw sprawdzić autentyczność. Isobel nawet



nie drgnęła i patrzyła na jego twarz, gdy oglądał fioletowe pismo. Z niedowierzaniem spojrział jej w oczy. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał, być może uznawszy, że nie warto zadawać sobie trudu i krzyczeć.

Isobel cofnęła rękę, ale on pokręcił głową. Wyglądało na to, że nie zamierza jeszcze jej puścić. Zgiętym palcem pokazał, by podeszła bliżej, i tym razem to ona pokręciła głową. Skrzywił się i wskazał pobliskie zgromadzenie. Grupka, w stronę której wyciągnął rękę, wyglądała jak okazały, choć trochę niezwykły kondukt pogrzebowy. Było tam trzech młodych mężczyzn, w tym dwóch z otwartymi czarnymi parasolami, które trzymali nad głową dziewczyny o złocistobrazowych rękach, okrytych rękawami z czarnej koronki. Gęste ciemne włosy upięte miała pod srebrną opaską, ozdobione dużymi różami i długimi kawałkami czarnej wstążki. Wyglądała jak królowa w długiej krwistoczerwonej sukni z czarnymi akcentami.

Lacy.

Przez chwilę Isobel chciała ruszyć prosto w tłum, ale wtedy tamta ją zobaczyła i było już za późno. Niczym mysz sparaliżowana spojrzeniem kobry Isobel stała bez ruchu. Tamta zmrużyła umalowane oczy i patrzyła na nią surowo. Przyglądała się przez dłuższą chwilę z drwiącym uśmiechem, który burzył doskonałość jej hebanowych ust. Pozostali też odwrócili głowy i opuścili kielichy.

Isobel przelknęła ślinę. Zaraz zjedzą ją żywcem. W myślach przekląła Gwen za to, że ubrała ją w ten dziewczęcy róż. Dlaczego nie mogły się zamienić? Trochę konturówki, nadałana mina i mogłaby całkiem zniknąć z pola widzenia radarów.

Wyraźnie zniecierpliwiony chłopak z irokezem położył jej wielką dłoń na jej plecach i posunął w kierunku grupy. Isobel, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, poszła tam, gdzie ją pchnięto.

Chłopcy z parasolami wyglądali najwyżej na dwadzieścia parę lat i każdy nosił wysoki cylinder oraz długi płaszcz. Trzeci miał ostrzejszy styl. Nosił skórzaną kurtkę z łańcuchami, a włosy miał na jednej



połowie głowy nastroszone, na drugiej zaś – ostrzyżone na zapalkę. Lacy oddała swój kielich temu z irokezem, po czym złapała metkę Isobel. Jej ciemne oczy przymknęły się podczas czytania, a gdy podniosła wzrok, popatrzyła ponad jej ramieniem, przeszukując tłum z tyłu.

Był to ostateczny dowód, którego potrzebowała Isobel, by wiedzieć, że Varen jest obecny, że go widziano. Nie traciła czasu. Pchnęła chłopaka z irokezem, potracając jego ramię tak, że upuścił napój Lacy. Ciecz rozbryznięła się po podłodze i ciemne krople poleciały na sukienkę Lacy, która jęknęła z przerażeniem i puściła metkę. Isobel, chwytając okazję, oderwała się od grupy i pognęła prosto w czarną ciżbę. Parła naprzód, przeciskając się i lawirując między ciałami. Jej sukienka zaczepiła się o czyjąś kolczastą bransoletkę i musiała przystanąć, by się uwolnić. Obejrzała się, a następnie obróciła i ruszyła w inną stronę. Jak miała go w ogóle znaleźć? Czy był na dole, czy na górze, gdzieś na galeryjce?

Im dalej wchodziła w tłum, tym więcej oczu zdawała się przyciągać. Wokół niej rozlegały się szept. Dziwne twarze odwracały się do niej, w większości albo śnieżnobiałe, albo zakryte maskami. Obejrzała się przez ramię, wciąż spodziewając się, że dwa kroki za sobą zobaczy Lacy, wściekłą i gotową ją oskalpować. Albo wyssać jej całą krew.

Nadepnęła komuś na palec u nogi i podniosła wzrok. Chłopak, ubrany od stóp do głów w różne wersje szkockiej kraty, uśmiechnął się do niej. To zaniepokoiło ją bardziej, niż gdyby zgromił ją wzrokiem. Odwróciła się i przepychała dalej, mając w gęstniejącym tłumie coraz mniej miejsca. Ktoś złapał ją w tali i krzyknęła, lecz hałaśliwa muzyka zagłuszyła jej głos. Wyrwała się. Roześmiana twarz została z tyłu i zagubiła się wśród kolorowych świateł. Popatrzyła za nią, zastanawiając się, czy tylko wyobraziła sobie dziurę w policzku.

— *Isobel.*

Podskoczyła, słysząc swoje imię. Zupełnie jakby ktoś wypowiedział je we wnętrzu jej głowy, głosem metalicznym i ostrym... kobiecym.

Ktoś na nią wpadł i została odepchnięta w bok. Ostre czerwone paznokcie wyciągnęły się z ciemności. Jęknęła i pobięła przed siebie, raz po raz się potykając. Podobnie jak wcześniej twarz, dłonie zniknęły, pozostawiając ją w niepewności, czy były prawdziwe.

Zamrugła powiekami i patrzyła, jak ciemne postacie wokół zaczynają się ze sobą stapiać i łączyć. Stały się jednością i ruszyły na nią niczym czarna fala. Krew zatętniła jej w uszach, tłumiąc muzykę. Wszystkie dźwięki zdawały się odpływać coraz dalej. Mocno objęła się rękami i znowu się odwróciła, a potem jeszcze raz, lecz okazało się, że ze wszystkich stron jest odcięta przez bezkształtne czarne cienie.

– *Issobel.*

Znowu ten głos, ten sam natarczywy syk. Włoski na jej rękach zjeżyły się, a dudnienie w uszach się nasiliło.

– *Issobel* – dyszał głos.

Poczuła zawrót głowy. Sala zakręciła się wokół własnej osi. Dziewczyna straciła równowagę i wyrzuciła ręce przed siebie, by się oprzeć. Wszędzie wokół wyczuwała ludzi, poruszające się kształty, tańczące w czerni, jakby zostały pochłonięte tak jak ona, nie zdając sobie z tego sprawy. Isobel zamknęła oczy, po czym je otworzyła, nic się jednak nie zmieniło. Czemu nagle miała wrażenie, jakby odpływała od samej siebie i traciła kontakt? Czemu wydawało się, że świat przewraca się do góry nogami?

Zasypiała czy może właśnie się budziła?

– *Isssoooobell...*

Kto wołał ją po imieniu? Trenerka? Mama?

Nie. Ktoś inny. Coś innego.

To nie było normalne. To nie mogło dziać się naprawdę. Była tutaj. Naprawdę tu była. Niemożliwe, by śniła. A nawet jeśli to był sen, nie mogła się teraz obudzić. Teraz, kiedy znalazła się już tak blisko.

Isobel wyciągnęła rękę. Powietrze przed nią połyskiwało.

Poczuła, że ktoś z tyłu złapał ją za rękę i pociągnął. Obróciła się ostro i impet tego ruchu mocno nią wstrząsnął.

Świat znowu wskoczył na swoje miejsce.

W jednej chwili odgłosy imprezy znowu osiągnęły pełną głośność. Syreni dziewczęcy głos zastąpił teraz chrapliwe pienia chłopaka z czaszką wymalowaną na twarzy. W całej sali wibrował jej śpiew przy niepokojącym akompaniamencie brzdąkania na wiolonczeli i łagodnej perkusji. Postacie wokół oddzieliły się od bezkształtnych cieni i znowu stały się ludźmi, pozostawiając za sobą mroczną sylwetkę, która teraz stała przed nią z twarzą ukrytą pod białą maską.

– To ty – zachłysnęła się.



*Poza czasem i przestrzenią*

Zdradziły go oczy. Pomimo maski upiora nie mogła z niczym pomylić tych oczu. Poznałaby je wszędzie, te dwie nefrytowe kule o wejźeniu tak ostrym, że mogłoby ciąć jak nóż. Obramowane otworami w prostej białej masce patrzyły na nią płomiennie, tak jak wiele razy wcześniej, rozjaśnione teraz dziwnym, niezemskim światłem.

Isobel nie mogła się powstrzymać, nawet gdyby próbowała. Nie mogła, gdy skracała dzielący ich dystans. Nie mogła, gdy podnosiła ręce, by zarzucić mu je na szyję. Nie mogła, gdy się do niego przytulała, wdychała jego zapach – skondensowaną dawkę przypraw i kadzidełek, od której zakręciło jej się w głowie. Trzymała się go mocno, czuła jego realność w tkaninie znajomej kurtki, w ciepłe jego ciała.

Jego ręce otoczyły ją spontanicznie, objęły jej talię. Przyciągnął ją. Serce dziewczyny waliło w klatce piersiowej, biło w jednym rytmie z jego sercem.

Popatrzyła na niego, po czym oderwała odeń jedną rękę i wyciągnęła ją, by zdjąć maskę. Zsunęła się od jednego ruchu, ukazując ciemnofioletową śliwkę pod lewym okiem i pękniętą skórę nad wargą.

Zmarszczyła brwi. Brad mówił prawdę. Ale jak to możliwe? Widziała Varena na lekcji pana Swansona. Jego twarz była gładka.

Wyciągnęła palce, by dotknąć obolałych miejsc, ale chwycił ją za rękę. Pochylił się, aż ciemne końce jego włosów musnęły jej policzki lekko niczym piórko, zaplątały się w jej rzęsy. Zdażyła tylko wciągnąć powietrze, mrugnąć powiekami i rozchylić usta, zanim nakrył je swoimi ustami.

Czas się zatrzymał. Jej serce przestało bić, a oczy się zamknęły.

Poczuła chłód metalowego kółka, przyciśniętego do jej skóry, gdy ją całował. Natarczywie, lecz delikatnie. Bardzo powoli.

Słodka, miękka destrukcja.

Smakował goździkami i kawą. I czymś jeszcze. Odległą esencją, znajomą, a jednak w jakiś sposób obcą. Czymś zwiędłym i wyschniętym. Trochę jak dym. Trochę jak zgnilizna.

Popiół.

Wymknął jej się cichy okrzyk niepokoju. Odsunęła się. Złapał ją jednak i przyciągnął. Myślał, że wyśliznie mu się z ramion i zniknie? A może obawiał się, że sam może zniknąć? Uniósł obie dłonie, by ująć jej twarz, przycisnąć jej wargi do swoich. Zupełnie jakby ta chwila była wykradziona, jakby liczyła się każda sekunda, a ten pierwszy pocałunek musiał być ostatnim.

Niczym przerażające szkielety myśli czały się w jej głowie, psując ten moment, strasząc ją do tego stopnia, że się cofnęła. Tym razem jej na to pozwolił.

Na wargach poczuła łagodne pieczenie, jakby dotknęła nimi baterii. Dziewczyna na scenie dalej tęsknie wyła, lecz muzyka w tle zaczęła piętrzyć się i narastać, by pochłonąć jej głos i znowu podążyć w stronę nieuchronnego chaosu.

– Znalazłam cię – szepnęła Isobel.

Przez usta przebiegł mu grymas udręki. Chwycił ją za kark, przycisnął czoło do jej czoła. Jego miękkie włosy oplótły im twarze, zasłaniając je przed innymi.

– Nie powinnaś tu być.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale puścił ją, wziął swoją maskę i znów ją nałożył. Patrzyła na niego zdezorientowana, gdy się odwracał, by omieść wzrokiem osoby wokół nich. Złapał ją za rękę i mocno ścisnął. Odwrócił się, a ona podążyła za nim przez tłum ciał w kostiumach. Dokąd ją zabierał? Co miał na myśli, mówiąc, że nie powinna tu być? Nie chciał, żeby była tutaj? Z nim?

Napędzony kolejnym mocnym uderzeniem perkusji taniec zmienił się w przepychankę i ciała w kostiumach zaczęły się przybliżać, aż ledwo za nim nadążała, kiedy lawirował wśród gromady duchów, diabłów, mrocznych elfów i wampirów.

W końcu przedarli się przez masę ciał. Poprowadził ją do przeciwległej ściany, gdzie gapiło się na nich kilkoro uczestników imprezy o pomalowanych twarzach, pełnych obojętności i apatii. Varen ciągnął ją za sobą, poruszając się coraz szybciej.

Ciągnęła jego rękę, starając się go okiełznać. Męczyła ją już ta ciemność oraz otoczenie cieni i złowrogich form, które zawsze wiedziały więcej od niej. Chciała znać odpowiedzi. Próbowwała wyrwać rękę z jego uścisku, ale ten tylko się wzmocnił. Znowu pociągnęła i wreszcie się odwrócił.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Nie tutaj. – Złapał ją za nadgarstek i znowu ruszyli. Przepchnął się przez tłumek sobowtórów Kuby Rozpruwacza i dalej Isobel zobaczyła drzwi skryte w zacienionej niszy.

Okrążyli parkę z kolczykami w różnych częściach ciała, zwartą w uścisku, z ustami połączonymi głębokim pocałunkiem. Varen otworzył drzwi. Wciągnął ją do środka, szarpnął sznurek zapalający światło i zamknął drzwi.

Znaleźli się w pomieszczeniu, które wyglądało na niewielkie biuro. Przynajmniej kiedyś pełniło taką funkcję. Pachniało trocinami i stęchłym tytoniem. W kącie stało zniszczone biurko, nad którym wisiała przekrzywiona tablica korkowa. Kilka kartek papieru, wciąż



do niej przyczepionych, pożółkłych i pomarszczonych ze starości, poruszyło się od powiewu po ich wejściu. Uwagę zwracało złamane krzesło, przewrócone na poprzecierany dywan. Oprócz tego oraz żarówki wiszącej na kablu z sufitu nie było tu nic. Na zewnątrz grzmiała muzyka, stłumiona jednak przez ściany.

Varen zdjął maskę i położył ją na biurku, po czym podniósł złamane krzesło. Oparciem zablokował klamkę. Na ten widok dreszcz przeszedł Isobel. Przed czym ich zabarykadował?

– Varen?

Podniósł rękę, by ją uciszyć, i zatrzymał się przy drzwiach, nasłuchując.

– Varen... – szepnęła.

Znowu się do niej odwrócił i szybko stanął przy jej boku.

– Nie wypowiadaj mojego imienia – syknął. – Ona nie może cię tu ze mną znaleźć. Musisz się schować.

– Ona? – Chyba to niemożliwe, żeby dalej przejmował się Lacy? Jego oczy, szeroko otwarte i niespokojne, skierowały się prosto na nią.

Nigdy nie widziała go w takim stanie. Nawet go sobie takim nie wyobrażała. Był ożywiony, załęczniony, niemal rozgorączkowany. Nie wiedziała, co spodziewała się zobaczyć, ale na pewno nie to. Jego strach, tak nieznamy, przyczynił się do spotęgowania jej lęku.

– Powiedz mi, co się dzieje – poprosiła.

Pokręcił głową.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– Nie mów tak. – Złapała go za kurtkę, zaciskając palce. – Sam mnie zaprosiłeś, pamiętasz?

– To był błąd.

Chciała nim potrząsnąć, obudzić go, nakłonić do odpowiedzi.

– Varen, to wszystko nie ma sensu, czemu mówisz coś takiego! Twój list... dlaczego... Nie rozumiem, co się dzieje, ale to się dzieje też ze mną! Powiedz mi, co się stało z twoją twarzą. Brad powie-

dział... ale potem zobaczyłam ciebie... – Pokręciła głową, próbując poukładać swoje myśli, swoją pamięć. Czy cokolwiek do siebie pasowało? Od czego powinna zacząć? – Najpierw tam byłeś, a po minucie już cię nie było. Szukałam cię, ale zniknąłeś jak duch! A teraz jesteś tutaj i nie chcesz mi nic powiedzieć. Czemu? Co to za stwory? Czemu mnie śledzą? Czemu zaatakowały Nikki i Brada? Skąd się wzięły? Czego chcą?

– Chcą tego samego co ja! – wykrzyknął niespodziewanie i odskoczył od niej. Wziął maskę z biurka i rzucił nią o ścianę. Roztrzaskała się i odłamki porcelany zasłały podłogę.

Wyciągnęła drżące ręce w jego stronę.

– Nie. – Odwrócił się do niej plecami, twarzą do drzwi.

Już raz jedno jego słowo ją zatrzymało. Ale nie tym razem. Nie teraz, gdy udało jej się zajrzeć za cmentarny fronton własnej, wieczystej Ponurej Fasady Varena. Pomimo całej tej mrocznej zbroi, konturówki, czarnych buciorów i łańcuchów, widziała go teraz wyraźnie. Zerknęła za zasłonę tego bezwzględniego opanowania, za groźne wejście i wampiryczne zamięłowania, a pod tym wszystkim ujrzała prawdziwe piękno. Zaplotła ręce na jego talii i zatopiła twarz w jego kurtce, w sylwetce martwego ptaka.

– Proszę, powiedz!

Obrócił się w jej uścisku i przycisnął wargi do jej ucha, szepcząc.

– Nie wiedziałem, że tak się stanie – powiedział. – Chciałem po prostu uciec. Nie wiem, czy możesz to zrozumieć. Że chciałem tylko znaleźć drogę do innego miejsca. Nawet gdyby trwało to tylko chwilę... nawet gdyby nie było prawdą. Ale wtedy było prawdą. Było prawdą i nie mogłem tego zatrzymać.

– Czego? Czego zatrzymać?

– Potem poznałem ciebie – powiedział, a jego usta znowu zbliżyły się do jej warg. – I sny się zmieniły.

Jego oddech owiewał ją ciepłem i miała ochotę znowu mu się poddać, poczuć jego dotyk, poczuć jego pocałunek, miękki jak płatek

ki kwiatu i pałacy zarazem. Nigdy wcześniej tak jej nie całowano. Miała poczucie, jakby skorupa jej duszy wyparowała.

Przybliżył się nieco, ale się zatrzymał. Muzyka na zewnątrz, krzyki i rozmowy, odgłosy szalejącego tłumu – wszystko ustało. Cisza wręcz pulsowała. Odsunął się i odwrócił w kierunku drzwi.

W pokoju zrobiło się zimno. Isobel wzięła głęboki wdech. Skuliła się, drżąc na wspomnienie wieczoru w lodziarni i czasu spędzonego w chłodni. Wydawało się, że to było tak dawno.

Mijały sekundy.

Słumione żółte światło na ścianach zaczęło kołysać się i migotać. Ten ruch rzucał ich podwójny cień to w jedną, to w drugą stronę, na ściany i podłogę, przez co pomieszczenie wydało się nagle bardziej zatłoczone. Varen podniósł wzrok, a jej spojrzenie podążyło za nim. Patrzyli na nagą żarówkę, huśtającą się na postrzępionym kablu, jakby pochwycił ją podmuch nieistniejącego wiatru. Bujała się w przód i w tył niby wahadło zegara.

Światło mrugało, błyskało. Ciemność droczyła się z nimi, grożąc atakiem.

Ochryple szepty rozległy się tuż pod drzwiami, dźwięk, który kojarzył się z suchymi liśćmi trzaskającymi w ogniu.

Z początku były ciche. Tak ciche, że Isobel nie miała pewności, co to za dźwięk ani czy w ogóle go słyszy. Potem jednak głosy stały się wyraźniejsze i syczały przez szparę pod drzwiami. Rozbrzmiał śmiech. Szybki cień poruszył się, gnając jak zwierzę.

Isobel złapała Varena za rękaw.

– Co to?

Zrobił ostrożny krok, ustawiając się przed nią.

– Znaleźli nas.



*Szaleństwo*

Szcęknęła klamka.

Isobel patrzyła, jak krzesło tarasujące drzwi zaczyna się trząść. Coś mocno uderzyło w drzwi, wstrząsając nimi we framudze, i dziewczyna podskoczyła, wydając z siebie krzyk.

W jednej chwili szepty umilkły. Drzwi przestały drżeć.

W szczelinie na dole pojawiło się białe krystaliczne światelko, przypominające blask, który widziała w lesie. Powoli przesunęło się w tę i z powrotem, jakby szukało drogi do środka. Po drugiej stronie rozległ się dźwięk przypominający szelest zwiewnej tkaniny na drewnianej powierzchni drzwi i Isobel zdusiła w sobie chęć krzyku. Potem białe światelko zamrugęło i zgasło.

Cisza. Jedyne dźwięki to ich oddechy. A potem nowy dźwięk. Cichy i daleki.

Muzyka.

– Słyszysz to? – szepnęła, wciąż się go trzymając.

Melodia narastała. Pojedyncze instrumenty i nuty składały się w całość, aż w końcu mogła określić, co słyszy. Orkiestra?

– Nie słuchaj – powiedział. – Udawaj, że to nie jest prawda.

Muzyka stawała się równiejsza, bardziej zdecydowana i z pewnością była prawdziwa. Instrumenty smyczkowe grały walca. Brzęk cymbał-

ków zasygnalizował zmianę melodii. Jeszcze głośniej rozbrzmiał walc, tak inny od ogłuszającej, szorstkiej muzyki gotyckiej. Czy to mógł być kolejny zespół? Niemożliwe. Nie słyszała żadnych gitar. Żadnego udręczonego śpiewu.

Za drzwi zaczęły się sączyć nowe głosy, inne od szeptów, które słyszeły przed chwilą. Były wyraźniejsze, żywsze, jak głosy prawdziwych ludzi, którzy śmiali się, rozmawiali i krzyczeli. Narastały stopniowo i tym razem towarzyszyło im delikatne podzwanianie szklanych naczyń. Do chóru dołączało coraz więcej głosów, z każdą sekundą pojawiał się nowy, aż zlały się w jeden pomruk. Pomimo lekkiego śmiechu, wirującego trylu, Isobel wtuliła się mocniej w plecy kurtki Varena. To nie miało sensu. Wszystko wydawało się... nie takie jak powinno.

– Kto tam jest? – spytała. – Co się dzieje?

– Isobel, posłuchaj mnie – powiedział i odwrócił się do niej. Oderwała wzrok od drzwi i patrzyła mu w oczy, gdy mówił: – Poszukaj drogi do lasu. Gdy już tam będziesz, odnajdź drzwi. Poznasz je, gdy je zobaczysz. Przejdź przez nie i nie czekaj na mnie. Nie ufaj nikomu, co ujrzysz.

– Co? Ale... nie... nie rozumiem.

Potrząsnął nią.

– Obiecuj!

– Varen, ja...

Głos zamarł jej w gardle i zapadło milczenie, gdy obserwowała, jak rozszerzają mu się źrenice i błysk lęku pochłania zieleni tęczówek, aż nic nie zostało. Nic, z wyjątkiem dwóch czarnych dziur wielkości monet.

Poczuła, że cała zaczyna się trząść. Wyciągnęła do niego dłonie, ale stanęła jak wryta, gdy czarno-fioletowe smugi atramentowego dymu, przypominające tysiące pełzających owadów, zaczęły się dobywać zza jego ramion. Otoczyła go ciemność, która gęstniała, próbując pochwycić go niczym niezliczone macki jakiejś bezkształtnej zjawy.

Te pasma owijały się wokół jego rąk. Z wnętrza spienionego mroku wyłoniły się dwie oślepiająco białe dłonie. Na podobieństwo szponów uczepliły się jego piersi. Nad jego ramieniem na mgnienie oka pojawiła się blada kobieca twarz o pustych oczodołach.

Isobel w panice wyciągnęła rękę. Złapała go za ramię i przez chwilę mocno trzymali się nawzajem.

– Znajdź drzwi – polecił. Potem ją puścił.

– Nie!

Wśród syków cieni poleciał w tył, w otwartą ranę mroku. Jego ramię wysliznęło jej się z ręki, pomimo że rozpaczliwie starała się je utrzymać, a potem czerni zagięła się nad nim i pochłonęła go, spajając się, by w końcu zniknąć razem z nim.

– Varen!

Rzuciła się w miejsce, które go zabrało. Dopadła do ściany i przyłożyła dłonie do drewna, waląc w nie i krzycząc.

– Varen!

Obróciła się i przeszukała pomieszczenie wzrokiem. Światło na suficie dalej się kołysało. W przód i w tył. W przód i w tył. Ciężko oddychała, serce mocno jej waliło i patrzyła na nie, patrzyła na nie tak, jakby kolejny wahadłowy ruch mógł ściągnąć go z powrotem.

Pobiegła na środek pomieszczenia i zatoczyła pełny krąg. Zatrzymała się, lecz pokój dalej się kręcił. Obracał się i obracał, coraz szybciej, aż wszystko rozmyło się w jedną plamę. Światło. Śmiech. Głosy i muzyka. Nogi jej osłabły. Dostała zawrotu głowy. Jej ciało osłabło, a kolana uderzyły o podłogę. Pomieszczenie wirowało jeszcze szybciej. Dopadły ją mdłości. Opuściła głowę, zamknęła oczy i zasłoniła uszy rękami, by odciąć się od dźwięków.

– Dosyc – powiedziała, po czym krzyknęła: – Dosyc!

Do jej świadomości przedarł się cichy trzask, kojarzący się z otwieranymi drzwiami.

Podniosła spojrzenie.



Pomieszczenie przestało wirować. Drzwi przed nią były uchylone. Do środka wpadało światło, blady, czerwonawy blask. Za drzwiami dostrzegła gruby czarny dywan i róg grubej czarnej zastony.

– Chodźmy – odezwał się jakiś mężczyzna. Jego głos z wyraźnym akcentem wznosił się ponad szum rozmów i odległy piskliwy śmiech. Zadźwięczały małe dzwonki.

– Dokąd? – spytał inny mężczyzna.

– Do twoich krypt.

Zapach cynamonu, świeżo upieczonego chleba i mocno przyprawionego mięsa sączył się przez drzwi, aż ścisnęło ją w żołądku. Pozostała bez ruchu, nasłuchując i zmagając się z nudnościami. Uznawszy, że już może to zrobić, podniosła się. Drżącym krokiem podążyła ku drzwiom. Roztrzęsioną ręką sięgnęła do klamki. Drzwi otworzyły się na zewnątrz, inaczej niż poprzednio, i poruszały się bardzo lekko, zdałoby się, że od samego dotyku – nie musiała nawet pchać.

Otoczyła ją muzyka, która narastała i opadała, melodia zdawała się naśladować samą siebie, by potem zacząć się od nowa. Przed nią rozciągała się wspianała, hebanowa komnata. Grube aksamitne zastony zwieszały się z wysokich okien, niczym nieruchome czarne wodospady. Widmowe światło sączyło się przez szyby barwione na kolor krwistej czerwieni, rzucając cienie na atramentowe ściany i czarne jak sadza dywany.

– Krypty są nieznośnie wilgotne – odezwał się jeden z męskich głosów. – Jest w nich dużo saletry.

– Chodźmy mimo wszystko – odparł drugi i Isobel rozpoznała włoski akcent. Dzwonki na jego czapce znowu zadźwięczały i ten dźwięk wygnał ją z biura.

Jedną rękę trzymała na framudze, gdy przechodziła do pomieszczenia, w którym zapach perfum i wina mieszał się z aromatem wykwintnych potraw. Rozejrzała się i zobaczyła więcej czarnych zaston. Zwieszały się ze sklepienia. W połączeniu z oknami o barwie głębokiej czerwieni wszystko wyglądało jak krypta w grobowcu królewskim.

Ale gdzie się podział ten magazyn? Goci i Ponura Fasada? I dlaczego to miejsce wyglądało tak znajomo?

— Chłód to doprawdy nic takiego, Amontillado! Dałeś coś sobie wmówić. Luchesi zaś nie potrafi odróżnić sherry od amontillado.

Obaj mężczyźni znajdowali za drzwiami naprzeciwko tych, w których stała, jeden w przeciwległym końcu pustego poza tym pomieszczenia, a ich sylwetki otoczone były mgiełką bladofioletowego światła. Kim byli? O czym rozmawiali? I dokąd właściwie trafiła?

Ten w czapce z dzwonekami wziął drugiego za ramię. Potem ten drugi uniósł maskę do twarzy. Mocniej zacisnął płaszcz i pośpiesznie się oddalili.

Isobel ruszyła naprzód, w kierunku drzwi, gdzie wcześniej stali.

Donośny, wyrazisty dźwięk rozległ się za jej plecami, zatrzymując ją w pół kroku. Hałas wstrząsnął dywanem i był na tyle silny, że poruszył zasłonami. Przetoczył się przez buty Isobel i mocne czarne ściany. Przerazenie rozlewało się w niej niczym trucizna, gdy odwracała się w kierunku źródła dźwięku.

Jak mroczny wartownik olbrzymi hebanowy zegar stał teraz w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się drzwi, przez które weszła. Jego tarcza, niby twarz bezlitosnego bóstwa, świeciła białą wśród otaczającej czerni, podczas gry kurant wygrywał nieharmonijną melodię.

Muzyka z imprezy umilkła, podobnie jak głosy i śmiech. Pieśń zegara poniosła się po komnacie, czysta i złowroga, rezonując na podobieństwo fałszywej kołysanki. Gdy ucichła wreszcie z przeciągłym, żalobnym pogłosem, Isobel nie słyszała już nic oprócz pulsowania własnej krwi w uszach. Oraz cichych obrotów mechanizmu zegara.

Zdała sobie sprawę, że już tu była, choć tylko w swoim umyśle. Dokładnie tak to sobie wyobrażała. Każdy szczegół. Włącznie z zegarem, który górował teraz nad nią, prawdziwy jak samo życie.

Potem rozległy się brzęki, tępe, matowe, i strach Isobel zaczął narastać.



Popędziła z powrotem do zegara, ale zniknął ślad po drzwiach, przez które się tu dostała. Zamiast nich zobaczyła srebrne wahadło, niemal dorównujące jej wielkością, które kołysało się zupełnie jak przedtem żarówka. Tymczasem zegar wybijał godzinę.

Cztery. Pięć. Sześć.

Zaraz. Która godzina?

Dziewięć. Dziesięć.

Oczy Isobel wzniosły się na tarczę zegara. Długa, przypominająca włócznię wskazówka mierzyła w godzinę dwunastą, krótsza – w jedenastą. Dziewczyna słuchała, jak ostatnie uderzenie wibruje, by w końcu rozplynać się w nicości.

Nastąpiła chwila zupełnej ciszy. Mechanizm zegara przestał się obracać, a potem z jakiejś odległej komnaty dobiegł lekki kobiecy śmiech. Po nim rozległo się brzdąkanie strun i narastające niemal natychmiast głośniejsze. Muzyka znów zagrała, strzelił korek od szampana.

Nie. Nie. Nie. To nie była prawda. Położyła dłoń na czole, próbując sięgnąć pamięcią wstecz, przypomnieć sobie nocne wydarzenia w odwrotnej kolejności. To nie mogło dzieć się rzeczywiście. To był sen. Z pewnością śniła.

Wahadło zegara przecinało powietrze niczym kosa, tnąc sekundy. Z każdym ruchem jego zdobiona żłobieniami srebrna tarcza ukazywała nakrapianą wersję lustrzanego odbicia Isobel.

Wahadło drgnęło znowu, prezentując w srebrnym kręgu białą twarz postaci o pustych oczach, która stała teraz za Isobel.

Krzyknęła i obróciła się, omal nie wpadając tyłem na zegar.

Nikogo tam nie było. Szybko zerknęła w bok i dostrzegła część uciekających cieni, rzucanych przez migoczące światło, wpadające przez czerwone okna.

Spojrzała na zegar i wahadło znowu ruszyło, odbijając tylko obraz jej samej. Zrobiła krok w tył. Podniosła wzrok na tarczę zegara i zobaczyła, że wskazówka minutowa drgnęła. Odwróciła się i pobiegła do fioletowych drzwi.



Północ. O tej porze wydarzyło się to w opowiadaniu. I o tej porze się wydarzy, uświadomiła sobie z nowym przyływem paniki. Kimkolwiek była i cokolwiek się tu działo, we śnie czy nie – miała godzinę. Jedną godzinę. Na co? Na znalezienie drzwi, o których mówił Varen? Sądził, że go zostawi? A jeśli nie znajdzie go przed północą, to co?

Wyrzuciła tę myśl z głowy i przeszła przez drzwi, pragnąc uciec z czarnej komnaty. Fioletowe ściany tuliły się blisko niej w krótkim, zakrzywionym, wyglądającym niemal jak tunel korytarzu. Doprowadził ją do innego pokoju, mniej więcej tej samej wielkości, lecz o barwie wyrazistego fioletu i z oknami w kształcie szlifowanych ametystów.

Podczas gdy czarna komnata była pusta, w fioletowej stały grupki ludzi, poprzebieranych za pawie i trefnisiów, za demony i królowe. Były tu maski z piór i z jedwabiu, skrzące się suknie z bufiastymi rękawami, cylindry i długie płaszcze. Niezliczone złote ornamenty zwieszały się z sufitu, wypełniając przestrzeń niczym pozłacany układ słoneczny. Młoda kobieta, nosząca ozdoby z białych strusich piór i diamentów, leżała wyciągnięta na otomanie. Z pantofelkiem koloru kości słoniowej, wiszącym na palcach u nogi, z kieliszkiem wina w dłoni, śmiała się histerycznie, gdy drobniutki mężczyzna w zielono-żółtym stroju błazna raz po raz celowo się przewracał.

Isobel omiotła wzrokiem ich zamaskowane twarze, sylwetki, szukając kogoś – lub czegoś – znajomego. Ruszyła przez pokój, przemykając między grupkami i parami.

Przy przejściu do następnej komnaty musiała usunąć się na bok, by uniknąć stratowania przez długi korowód uczestników zabawy. Trzymając się za ręce, przebiegli obok niej, wrzeszcząc i piszcząc ze śmiechu. Ostatnia osoba, mężczyzna w masce psa o oklapniętych uszach, chciał złapać ją za rękę i pociągnąć za sobą. Isobel odskoczyła i potykając się, wpadła do następnego pomieszczenia.

Ta komnata, biała niczym śnieg i przyozdobiona pastelami, rozciągała się szeroko wokół okrągłego parkietu, pełnego obracających

się tancerzy. Złoczone detale widniały na zakrzywionych ścianach i wysokim sklepieniu. Cała sala lśniła i połyskiwała niby wnętrze jaja Fabergé.

Muzycy, przebrani za opalizujące ważki, siedzieli w jednym kącie. Grali na swoich instrumentach z zapalem, a struny trzepotały niczym skrzydełka owadów, które udawali. Utrzymywali jednostajny rytm: raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy. Tańczący kręcili się jak derwisze, powiewając strojami zdobnymi w paciorki i klejnoty.

Upudrowane, blade kobiety wyglądały jak niedopieczone ciastka. Wysocy mężczyźni w jaskrawych kanciastych maskach przypominali drapieżniki.

Dostrzegła znajomą postać. Odwrócił się, zajęty tańcem z ciemnowłosą dziewczyną w czerwieni.

– Varen! – Isobel pobiegła po kryształowej posadzce, wymijając tancerzy, przemykając pod dłońmi w rękawiczkach i szeleszczącymi wachlarzami. Straciła parę z oczu, lecz po chwili znowu ich zobaczyła i pognąła w ich kierunku. Była pewna, że to on. Jego włosy, wzrost, budowa ciała – wszystko pasowało. I dziewczyna. Czy to była Lacy?

Pędziła w ich stronę, przepychając się. Para zniknęła i pojawiła się w tłumie dworzan w kostiumach. Wirowali przed nią, za nią, a potem obok. Czuła muśnięcia czerwonej sukni, gdy ją mijali, i starała się podążyć za nimi, torując sobie drogę przez połączone ręce jakiejś tańczącej pary.

Gdy w końcu do nich dopadła, złapała go za ramię. Odwrócił się. Czarne oczy popatrzyły na nią przez otwory w równie czarnej ptasiej masce. Postać uśmiechnęła się, ukazując karmazynowe zęby.

– Chcesz się przyłączyć, czirliderko? – spytał Pinfeathers. Wysunął się z ramion dziewczyny w czerwieni, której suknia okazała się identyczna jak strój Lacy, włącznie z plamami, które powstały wcześniej z winy Isobel. Naprawdę wszystko wyglądało jak u Lacy. Wszystko z wyjątkiem pozbawionej rysów, mięsistej przestrzeni tam, gdzie powinna się znajdować twarz.



Isobel krzyknęła, wstrząśnięta. Pinfeathers wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Co? Nie!

Obrócił ją, zanim zdołała się wyrwać, i zawirowali w ciasnym kręgu. Świat rozplynął się w mieszaninę zamętu, barw i hałasu.

— Stój! — krzyknęła, ale nie zwrócił na nią uwagi, wprowadzając ją w obrót za obrotem i omal nie rzucając jej na inną parę zamaskowanych tancerzy, która ze śmiechem odskoczyła w bok.

— Gdzie twoja maska? — spytał. — Wszyscy je noszą, oprócz ciebie, czirliderko. Chcesz pokazać, że nie masz nic do ukrycia? — Ciągnął ją, nadając rytm jej krokom.

— Puść mnie!

— Wiesz, cały wieczór rozmawiałem z twoim przyjacielem.

— Varen? Gdzie on jest?

— Doprawdy, czirliderko. Można by pomyśleć, że masz jednostronnie ukierunkowany umysł. — Odepchnął ją gwałtownie i zatoczyła się, niemal wpadając na parę, której przebrania kojarzyły się z pomalowanymi na czarno sprejem tukanami. Popatrzyła na nich zdezorientowana, a oni w odpowiedzi spojrzeli na nią groźnie, dopóki Pinfeathers nie pociągnął jej z powrotem do tańca. Uderzyła o niego i znowu nią zakręcił.

— Chodziło mi o twojego drugiego przyjaciela — powiedział. — Chociaż w sumie masz ich tak wielu... Ciężko to nawet ogarnąć! Nie powiedziałbym, że jest szczególnie rozmowny. Taki silny, milczący typ. Przynajmniej dopóki nie zaczniesz krzyczeć. Wyglądasz dziś pięknie, swoją drogą, czy już ci to mówiłem? — Uśmiechnął się.

Pochłonięta jego słowami, ze wszystkich sił próbując zrozumieć ich znaczenie, Isobel zapomniała na chwilę o świecie wirującym szaleńczo wokół niej, zapomniała o tańcu. Badawczo mu się przyglądała. Z uśmiechem odpowiadał spojrzeniem, jakby czekał na ripostę. Nic jednak nie odpowiedziała. Skoro nie mówił o Varenie, to o kim?



Wprowadził ją w następny obrót. Tym razem poczuła, że przychodzi jej to bez wysiłku. W jakiś sposób, kiedy nie uważała, jej ciało podchwyciło rytm tańca. Jej stopy powtarzały kroki. Spojrzała w dół na swoje różowe pantofle, zdziwiona, jak przesuwają się po podłodze. Zupełnie jakby doskonale umiała walca, mimo że nie tańczyła go jeszcze nigdy w życiu.

— No, teraz lepiej — stwierdził, znowu ciągnąc ją w swoją stronę. — Proszę, proszę, masz wrodzony talent. — Obrócili się przy dźwięku dzwonek i Pinfeathers, odchylając głowę w tył, zanucił melodię. Pod maską dostrzegła postrzępioną krawędź dziury w jego twarzy i ostre czerwone zęby w środku.

Głos wewnętrzny mówił jej, by się odsunąć. Uciekać. Ale nogi pochłonięte były tańcem. Okręcił ją tak, że znowu miał przed sobą jej twarz, i splótł swoje pazurzaste palce z jej palcami, jedną ręką trzymając ją w talii i kierując nią podczas kolejnych kroków.

Bezradnie dawała się prowadzić, a jej wzrok wędrował na białą dłoń, spoczywającą na jej boku i ściskającą różową wstęgę czerwonymi pazurami. Chciała się cofnąć, oddalić, ale czyjaś lawendowa spódnica zafurkotała obok i przestraszyła ją, aż zrobiła krok w jego stronę. Chwycił ją mocniej.

— Patrz! — syknął.

Podniosła głowę. Tancerze kręcili się wokół nich jak rzucane wichrem kwiaty, z głowami przechylonymi na boki. Tańczyli w całkowitym zapomnieniu.

— Popatrz na nich — szeptał jej prosto w ucho. — Widziałas kiedyś coś podobnego? Mają wszystko, prawda? Wszystko oprócz choćby jednej troski, nad którą mogliby rozmyślać.

Isobel wyrwała rękę z jego zimnego, gliniastego uścisku. Złapał ją i znowu zwrócił twarzą do siebie, po czym przechylił ją mocno w tył. Świat się odwrócił, a potem on zbyt szybko ją wyprostował i wszystko zakołysało się w jej oczach. Znowu chwycił ją za rękę. Stopami popychał jej nogi, ponaglając do tańca.

– Nie rozumiesz, głupia dziewczyno? Nie wiesz, że tutaj możesz zrobić wszystko? Możesz mieć, co zechcesz.

– To nie jest prawdziwe – powiedziała. – Nic tu nie jest prawdziwe.

– Ty jesteś prawdziwa, nie? Spróbuj. Pomyśl o czymś, czego chcesz najbardziej. Czekał. Wiem... ale najpierw musisz zamknąć oczy.

– Zatrzymał się w walcu i uniósł zakończoną szponami dłoń ku jej twarzy. Mimo woli zamknęła powieki. Gdy znowu je otworzyła, stał przed nią Varen.

Siniaki i rozcięcie zniknęły z jego twarzy. Nie było śladu konturowki pod oczami ani kolczyka w wardze. Jego włosy nie miały zaś czarnej barwy, którą znała, tylko delikatny kolor zboża. Uśmiechnął się do niej, a jego oczy były jakby cieplejsze, zielone niczym las. Każda ze zmian, które w nim zaszły, była subtelna, lecz razem składały się na dramatyczną przemianę całej jego osoby. Wydawał się taki... normalny.

Podniosła dłoń, by musnąć jego podbródek, tak samo, jak on zrobił tamtego wieczoru przed jej domem. Zaplótł palce na jej wolnej dłoni i zdziwiła się, że nie czuje twardego dotyku smoczego sygnetu ani ostrych kantów pierścienia klasowego. Skóra była taka ciepła. Spojrzała na jego zapinaną na guziki koszulę. Była niebieska, w jej ulubionym odcieniu, i dobrze w niej wyglądał.

Podniosła oczy, przyglądając się jego twarzy.

– Zaufaj mi – szepnął.

– Ale ja...

– Po prostu odpuść.

## Wizja

Isobel, słyszysz mnie? Powiedziałem: chodźmy.  
– Co? Dokąd idziemy?

Roześmiał się i w jego policzku pojawił się dołeczek, o którym nie miała dotąd pojęcia, lecz teraz, gdy już się pojawił, zdawał się doskonale do niego pasować.

– Na lekcję do Swansona, a dokąd by? – Odwrócił się, wciąż trzymając ją za rękę, i zaczął przeciskać się przez tłum.

Trzaskały szafki. Uczniowie wkładali plecaki i zabierali książki. Pan Swanson stał przed drzwiami klasy i ponaglał uczniów, wchodzących do środka.

Byli w Trenton. W szkole. Jak się tu znaleźli?

– A, Var-obel – odezwał się nauczyciel, gdy się zbliżyli. – Miło, że chociaż raz się nie spóźniliście. Isobel, nadal czekam na wypracowanie o Cervantesie. Wiem, że w ten piątek jest mecz, ale możemy się umówić na przyszły tydzień?

Wypracowanie. Cervantes. *Don Kiszot*? Czy w ogóle kiedykolwiek to napisała?

– Już prawie skończyła. Chyba ci przy tym pomagałem, Isobel?

Nad ich głowami rozbrzmiał dzwonek, piskliwy i głośny. Podniosła wzrok w poszukiwaniu jego źródła.



– Dobrze, dobrze, wierzę wam – westchnął Swanson. Gestem zaprosił ich do środka. – Wejdźcie. Usiądźcie. Uczcie się.

Przez chwilę Isobel jeszcze stała. Zerknęła na korytarz za sobą, zastanawiając się, czy to stamtąd przed chwilą przyszli. Dlaczego nie pamiętała poprzedniej lekcji? I skąd w ogóle wzięła te džinsy i różową koszulkę w serek? Varen ją pociągnął i myśl pękła niczym bańka mydlana. Weszła za nim i poprowadził ją na ich stałe miejsce. Odruchowo zajęła ławkę obok niego. Czemu po tej stronie klasy było tak dziwnie? Czy nie siedziała tu cały rok?

– Czy jesteśmy umówieni dziś wieczorem na kolację z twoimi rodzicami?

Gwałtownie odwróciła do niego głowę. Kolacja z rodzicami?

– Chciałem zadać twojemu tacie kilka pytań o uniwersytet w Kentucky. Wiem, że poszedł tam ze względu na futbol, ale chyba wspominał, że mają tam też dobrą anglistykę, nie?

– Tak – potwierdziła, bo zdawało się jej, że pamięta. Rzeczywiście. Pomyślała, że mieli jeść lasagnę. No i chyba Danny zadreślał ją cały tydzień pytaniami, kiedy przyjdzie Varen, bo potrzebował pomocy z grą, w której utknął.

– Dobrze – zaczął pan Swanson. – Dzisiaj szykuje się ciekawy dzień, bo zajmiemy się Robertem Frostem i Ezrą Poundem. To moi dwaj ulubieńcy. Możecie być pewni, że te wiersze wryją się w każdy zwój waszych podatnych mózdków. Ale nie martwcie się. Pewnego dnia mi podziękujecie. A teraz otwórzcie książki na stronie dwieście dwudziestej szóstej i rzućmy okiem na *Drogę niewybraną*. Kto przeczyta na ochotnika? Emma?

Z tyłu klasy rozległ się głos Emmy Jordan.

– *Dwie drogi w żółtym lesie szły w dwie różne strony. Żałując, że się nie dajechać dwiema naraz...*

Isobel znowu rzuciła okiem na Varena. Patrzyła, jak wbija wzrok w otwartą książkę przed sobą. Promienie słońca igrały z jego jasny-

\* Przetłumaczył Stanisław Barańczak.

mi włosami. Tak się właśnie poznali, pomyślała. Pierwszego dnia szkoły, gdy usiadł obok niej i poprosił, żeby zapisała swój numer na jego dłoni, bo w ten sposób go nie zgubi.

Uśmiechnęła się do siebie na to wspomnienie.

Na pierwszą randkę zaprosił ją na obiad. Do eleganckiej chińskiej restauracji. A czy ledwie w zeszłym tygodniu nie dał jej swojego pierścienia klasowego? Zerknęła na swoją prawą dłoń. Gruby złoty pierścień trzymał się na jej palcu dzięki paseczkowi miękkiego aksamitu, którym go okręcił, by na nią pasował. Niebieskie oczko Trenton w środku połyskiwało w świetle, przywołując wspomnienie chwili, w której poprosił ją, by zaczęła go nosić. To tamtego dnia, gdy siedzieli w samochodzie przed jej domem, zaproponował, żeby poszła z nim na bal z okazji zakończenia roku.

Na zewnątrz jesienne słońce mrugało do niej przez puchatą, przypominającą watę osłonę chmur. Odwróciła się i obserwowała pana Swansona. Nachylił się nad biurkiem, trzymając w rękach otwarty podręcznik. Oczy mu się zamknęły i bezgłośnie poruszając ustami, powtarzał kluczowe słowa za Emmą, gdy ta czytała. Dzięki temu zawsze można było poznać, które fragmenty lubi najbardziej.

Gdy Emma skończyła czytać, pan Swanson otworzył oczy i poprawił okulary.

– Dobrze – powiedział. – Teraz pomówmy o tym, co pan Frost nam tutaj mówi. Czy ktoś ma jakieś przemyślenia na temat metafory? Słucham, panno Andrews.

– Chodzi o różne ścieżki w życiu. O dokonywanie wyborów.

– Tak, dobrze. To bez wątpienia jedno spojrzenie. Mowa nie tylko o dosłownym wyborze realnej dróżki w lesie, ale o rozstaju dróg życiowych i podejmowaniu decyzji. Można powiedzieć, że jesteśmy ukształtowani przez własne wybory. Gdyby podmiot liryczny wybrał drugą drogę, wszystko potoczyłoby się dla niego inaczej, prawda? Być może różnice byłyby ogromne. To jest ta „reszta”, o której pisze. Bardzo dobrze. Ktoś jeszcze?

Isobel opuściła wzrok na swoją ławkę i zdała sobie sprawę, że jeszcze nie wyjęła książki. Pochyliła się i otworzyła plecak, wyciągając *Język angielski – wydanie siódme*. Zerknęła na egzemplarz Varena, by sprawdzić numer strony, po czym otworzyła podręcznik na czarno-białym portrecie Roberta Frosta. Następnie sięgnęła po ołówek i zeszyt. Zatrzymała się jednak, zauważywszy godzinę na różowym zegarku w kształcie kłódki, przypiętym do torby. Wskazywał 11.20. Ale to się nie zgadzało. Lekcja zaczynała się o jedenastej. Czyżby zegarek się spieszył? A może Danny przestawił go dla kawału? Odpięła zegarek od plecaka i wzięła go w palce, poruszając małym pokrętełkiem z boku. Wskazówka minutowa nie chciała nawet drgnąć. Potrząsnęła zegarkiem i różowy płyn z brokatem w środku zawirował.

Zawahała się, patrząc na tarczę zegarka, gdy brokat zatrzymał się w miejscu. Skupiła się na odbiciu swoich oczu w przejrzystym szkiełku.

Ale...

Czy nie zepsuła tego zegarka?

Może jej się to przyśniło.

Nie. Park. Ucieczka. To było prawdziwe. Książka zgmiotła zegarek. Książka. Książka Poego. Znowu, nie, pomyślała. Wyrzuciła książkę, bo do niej wróciła. A może to nastąpiło później? Ale w takim razie to naprawdę musiał być sen, bo książki nie wracają same. Isobel skrzywiła się, bo to wszystko nie miało sensu.

Znowu popatrzyła na otwarte stronicie książki, na zdjęcie Roberta Frosta, który siedział w fotelu, trzymał kartkę papieru w pewnej odległości od twarzy i czytał.

Nagle to też wydało jej się dziwne. Przecież jeszcze nie doszli do Frosta.

Powoli i ostrożnie odłożyła zegarek na ławkę. Złapała książkę i zajrzała do indeksu. Pasternak, Plath, Pope. Co? Gdzie jest...

– Poe – szepnęła. Nie podnosząc głowy, zerknęła na Varena.



Popatrzył na nią, unosząc brwi.

Kartkowała swój podręcznik.

– Gdzie jest Poe?

– Strona dwieście dwudziesta szósta – powiedział i wyciągnął rękę, by jej pomóc.

Wyrwała mu książkę.

– Ale nie przerabiamy jeszcze Frosta – syknęła – tylko Poego i romantyków.

Pan Swanson przestał mówić.

– Panno Lanley, czy masz coś do dodania? – spytał.

Wyprostowała się na krześle i zobaczyła dwadzieścia skierowanych na siebie par oczu. Wszyscy się na nią gapili i nagle przeszedł ją dreszcz. Coś było z nimi nie tak. Ze wszystkimi.

Jak jeden mąż wszyscy zamrugali powiekami.

– Eee... Poe – powiedziała, po czym musiała przełknąć ślinę. – Nie... nie ma go tutaj – wyjaśniła. W jednej ręce trzymała podręcznik. – Myślałam, że mamy się uczyć o twórczości Edgara Allana Poego. – Podniosła wzrok... i zamarła pod spojrzeniem nauczyciela.

Pan Swanson opuścił okulary, ukazując czarne oczy.

– Kogo?

Isobel odwróciła głowę, by spojrzeć na Varena. Przyglądał jej się z dziwną srogością, z frustracją w oczach, które stały się czarne jak atrament. Jego twarz, mizerna i zapadnięta, wykrzywiona gniewem, w ogóle ledwo przypominała Varena.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że to nie Varen.

Zerwała się z krzesła. Rzuciła się do otwartych drzwi. Rozległy się krzyki widmowych kolegów z klasy. Ich twarze przybierały demoniczny wyraz. Ręce wyciągały się do niej ze wszystkich stron, ale wyrwała się i pokonała labirynt ławek.

Pomieszczenie rozciągało się przed nią i wydłużało na podobieństwo tunelu. Drzwi oddalały się. Zaczęła biec szybciej, a wtedy drzwi odsunęły się jeszcze bardziej i zaczęły się zamykać. Im szybciej bie-

gła, tym szybciej poruszały się także one. Zatrzasnęły się z hukiem, gdy do nich dopadła. Sięgnęła do klamki, lecz klamki nie było.

– Zawsze uciekasz. Wszystko psujesz – rozległ się za nią brzęczący głos.

Obróciła się i stwierdziła, że została w klasie sama z Pinfeathersem. Jego przypominająca stracha na wróble sylwetka zajmowała teraz ławkę, w której wcześniej siedział fałszywy Varen. Powoli się podniósł i Isobel przywarła płasko do drzwi, czując chłód ich powierzchni na swoich nagich ramionach. Opuściła spojrzenie i zobaczyła, że znów ma na sobie sukienkę z imprezy. Za drzwiami słyszała muzykę i gwar.

Stawiając ciche kroki, zbliżył się do niej, wsuwając sobie ołówek za ucho.

– Możesz mieć to wszystko, wiesz? Gdybyś tylko odpuściła – powiedział, a jego głos podszyty był groźbą.

– Nie chcę kłamstwa.

– Czemu nie pomyślisz o tym jak o innej wersji? Lepszej wersji. Tak naprawdę nie mniej prawdziwej niż poprzednia. Może nawet prawdziwszej. Uznaj to za kolejną szansę powrotu do drogi niewybranej. Możesz zobaczyć, jak by to było. Przeżyć to.

– Nie jesteś nim.

– Nie?

Otaksowała go wzrokiem, spłoszona, choć nie miała dokąd uciec. Jego słowa wsiąkały w nią, wdzierając się głęboko w zakątki umysłu, wywołując wątpliwości. Przystanął w pewnej odległości, pozwalając, by go obserwowała. Złożył ręce za plecami i opuścił podbródek, jakby pozował do zdjęcia. Isobel patrzyła z niedowierzaniem, nie mogąc zanegować pewnych podobieństw do Varena, których dotąd nie zauważyła. Choć nie dało się ich odnaleźć w jego twarzy czy zachowaniu, wyraźnie dawały o sobie znać w posturze, wzroście, budowie ciała.

Pokręciła głową, nie chcąc uwierzyć, że w jego słowach kryje się choćby krztyna prawdy. Nie mogła pogodzić się z myślą, że ten stwór,



ten pusty zombie z sennych koszmarów, może mieć jakikolwiek związek z Varenem.

– Tym razem to nie jest tylko gra na czas, prawda? – spytała. – Powiedz mi, po co to robisz.

Westchnął i przewrócił oczami.

– Blondynkom trzeba wszystko tłumaczyć.

Zgromiła go wzrokiem, zaciskając dłonie w pięści.

Uśmiechnął się smutno.

– Widzisz, za to cię lubię. Nigdy się nie poddajesz, nawet gdy powinnaś. Potrzebujemy odrobiny twojego zdecydowania, choćby było bezużyteczne. Chyba po to, czirliderko. Bo prawda jest taka, że nie chcę cię zabić. Nie chcę, jeśli mogę tego uniknąć.

Zrobił jeszcze jeden krok naprzód. Zaczepnęła powietrza, plecami uderzając o drzwi. Jej dłoń sięgnęła po klamkę, choć wiedziała, że jej nie znajdzie.

– I to twój wybór – dodał łagodniejszym tonem. – Czy zagrasz w tę grę, potańczysz ze mną jeszcze trochę? – Przechylił głowę w bok. Zamrugał do niej czarnymi oczami, w których kryło się pytanie, szczere, ku jej zdumieniu – o ile „szczerze” było słowem, które dało się odnieść do Pinfeathersa. To spojrzenie przeraziło ją bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Zastanawiała się, co takiego czai się pod tą potworną porcelanową skorupą. Jeśli jego poczynaniami nie kierowała dusza, to co? A przede wszystkim czego od niej chciał?

Zbliżył się o jeden krok, potem o jeszcze jeden.

– Tylko tyle, żeby zapomnieć. – Jego oblicze spoważniało. – Pij – powiedział, ścisząc głos. – Pij nepenthes.

Pokonał dzielącą ich odległość serią ruchów zbyt szybkich, by je dostrzec, po czym przygwoździł ją do drzwi. Chwycił ją za podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w oczy. Jego paznokcie wpiły się jej w policzek, grożąc rozcięciem skóry.

Odwróciła głowę, ale otoczył ją ramieniem i szarpnął w swoją stronę. Jego ciało wydawało się sztywne i wydrążone w środku. Pu-



ste. Jego uścisk zacieśnił się, aż nie mogła już oddychać. Przycisnął usta do jej ust.

Szeroko otworzyła oczy. Jego wargi, gładkie, zimne i twarde, wydawały się ostre niemal jak szkło. Smakował gliną i atramentem, krwią i śmiercią.

Do gardła podeszła jej żółć, a razem z nią krzyk.

Oderwał się od niej ze śmiechem i wypuścił ją, popychając lekko, zanim zniknął, rozpląnął się w kłębach dymu. Isobel runęła na ziemię. Podłoga, nagle niematerialna, roztrzaskała się pod nią. Poleciała w dół i krzyk, który w sobie dusiła, wyrwał się wreszcie na wolność. Zakryła twarz dłońmi, osłaniając oczy przed poszarpanymi kawałkami szmaragdowego szkła, które migotały wokół niej pośród czerni i lada chwila mogły ją pociąć. Spadała, by w końcu zatrzymać się gwałtownie, pochwycona przez kilka par rąk, ułożonych w kołyskę. Szkło spadało niczym śmiercionośne konfetti i jeden kawałek utkwiał w jej ramieniu, drugi zaś przeciął skórę na kostce. Otworzyła oczy i zobaczyła wokół krąg masek. Ponad nimi poprzez rozbity witrażowy świetlik ukazywał się ruch burzowych chmur na niebie. Przez otwór pozostały po jej upadku wpadał popiół.

Grupa wydała z siebie wesoły okrzyk po jej schwytaniu i szybko postawiła ją na nogi. Następnie postacie rozproszyły się ze śmiechem.

Jedno spojrzenie wokół upewniło ją, że wróciła na maskaradę i stoi teraz pośrodku komnaty o barwie głębokiej zieleni.

Na ścianach wisiały ogromne gobeliny. W każdym kącie szerokiego, prostokątnego pomieszczenia stał ciężki, czarny egipski sarkofag z granitu, jakby na straży. Na podłodze leżały haftowane poduszki i dywany, w powietrzu zaś unosiły się gęste chmury słodkiego dymu. Owładnięci letargiem dworzanie siedzieli przygarbieni i stali przy fajkach wodnych oraz misach z płonącymi kadzidelkami. Wokół unosiła się ciężka woń pachnideł, od których Isobel doznawała zawrotu głowy.

Mroczna postać pojawiła się przed nią w rozmazanej wizji niczym miraż. Wyloniła się z tłumu i ruszyła ku niej jak sama śmierć, z twarzą rozmytą i na poły zasłoniętą. Zadrżała. Niemożliwe, żeby już była dwunasta! Czyżby przegapiła ostatnie bicie zegara?

Nie zdążyła się oddalić ani choćby drgnąć, kiedy ten ktoś ją pochwyił. Dłoń w rękawiczce zatkała jej usta, powstrzymując krzyk, nim się z nich wydobył. Zaciągnął ją w jeden koniec komnaty, mimo że się wyrywała, wyciągnął rękę ku ścianie i odsunął róg ciężkiego gobelinu, który przedstawiał konia tratującego swojego jeźdźca. Odsłoniwszy małe sekretne drzwi, wepchnął ją do środka.

Isobel przebiegła po zimnej i wilgotnej kamiennej posadzce.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że znalazła się w ukrytym przejściu, jak w starej powieści kryminalnej, gdzie zabójca chowa się, by obserwować ofiary przez otwory w oczach wiszących portretów. W wąskim korytarzu pochodnia, umieszczona na stojaku, paliła się żółtopomarańczowym płomieniem. Ogień rzucał postrzępione kształty na mury i okna ze szkła barwionego na szmaragdowy kolor, za którymi sylwetki dworzan poruszały się na podobieństwo teatryku cieni.

Zamaskowany porywacz wśliznął się do środka i stanął nad nią, wysoki i srogi. Cofała się, aż natrafiła na wilgotną ścianę.

– Masz pojęcie, jakie niebezpieczeństwo ci grozi? – spytał stłumiony głos.

Ochrypły, a nawet ostry, pełen wyrzutu głos, który od razu rozpoznała.

Reynolds.

W samą porę.

*W samotności*

Co z tobą? – wykrzyknęła, zdejmując pantofel. Cisnęła w niego z taką siłą, że ramię omal nie wypadło jej ze stawu. But z łoskotem uderzył w ścianę przy nim. Pomimo maski i kapelusza nie sposób było nie zauważyć zaskoczenia w jego oczach.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? – piekliła się. Nie tracąc czasu, zdarła ze stopy drugi but i rzuciła w jego klatkę piersiową. Zasłonił się przedramieniem i pantofel spadł na podłogę, nie robiąc mu krzywdy. Żałowała, że nie ma już czym rzucać.

Krew sączyła się z jej ramienia, gdzie wbiło się szkło, i podniosła rękę, by je wyrwać. Prawie nie czuła bólu, jedynie ciepłą strużkę krwi, która spływała po ramieniu i plamiła dekolt sukienki. Była tak wściekła, że mogłaby go udusić. A jednak w tej samej chwili równie dobrze mogłaby doskoczyć do niego, zarzucić mu ręce na szyję i ukryć twarz w jego płaszczu. Uznała jednak, że Reynolds nie lubi czułości, i przypuszczała, że gdyby miał wybór, i tak wolałby by rzucać w niego butami.

– Nie patrz tak na mnie! – warknęła, szczękając zębami. Drzenie głosu zdradzało jej emocje.

Dalej się gapił, gdy Isobel niepewnie dźwignęła się na nogi. Trzęsły się jej kolana.



– To wszystko twoja wina! – krzyczała. – Nic takiego się nie działo, dopóki się nie pojawiłeś! Nawet nie wiem, kim jesteś! Nie wiem, czym jesteś!

– Ciszej.

– Nie! Nie będę ciszej! – wrzasnęła rozdrażniona. Jakim prawem mówił do niej tak, jakby była dzieckiem? – Mówisz, że mi pomagasz, ale potem po prostu znikasz. Pojawiasz się, żeby mnie straszyć, a później, kiedy najbardziej cię potrzebuję, nigdzie cię nie ma, za to te inne stwory są wszędzie!

– Isobel...

– Jak dotąd byłam szarpana, wyrzucona przez okno, napastowana przez potwora, a teraz właściwie porwana! Czego ode mnie chcesz? Czemu ani ty, ani nikt inny nie powie mi, co się dzieje? Czemu nie wiem, co jest prawdą, a co nie? Czemu uczestniczę w tej koszmarnej historii?

– Nie ma na to czasu. Nie powinno cię tu nawet być.

– Dostyc tego! Następna osoba, która to powie, oberwie! Wiem, że nie powinnam tu być, ale jestem, i na ile się orientuję, to przez ciebie...

– Przez chłopaka i jego zupełną beztroskę – poprawił Reynolds z taką nagłą zaciekłością, że przełknęła ślinę, by zgasić gotujący się w niej gniew.

– Gdzie on jest? – spytała, tym razem ciszej.

– Z nią – szepnął tak, jakby wygłaszał wyrok śmierci.

– Z kim? – Przypomniała sobie, że Varen wspomniał wcześniej o „niej”. A potem te ręce wciągnęły go w ciemność. Pomyślała o białym świetle z lasu i postaci o czarnych oczodołach, odbijającej się w wahadle zegara.

– Nie ma czasu. Musisz natychmiast wrócić do swojego świata. Musisz zamknąć to przejście, które powstało, bo ja nie mogę. W przeciwnym razie cały twój świat ulegnie temu tutaj. Chodź. Musimy dotrzeć do lasu. Szybko.

Wyciągnął do niej dłoń w rękawiczce, tak jak tej pierwszej nocy, gdy zaprowadził ją do lasu Weir.

– Nigdzie z tobą nie pójde.

Przyglądał się jej swymi ciemnymi oczami, jakby chciał wybadać, ile jest powagi w jej słowach.

– Odmawiasz?

– Myślisz, że bym go tu zostawiła?

Zrobił krok w jej stronę i musiała stłumić w sobie chęć, by się skulić.

– Isobel, w grę wchodzi niezliczone rzeczywistości. Całe byty. Nie masz pojęcia o skali. Uwierz mi, cokolwiek w waszym świecie nie umrze po takim połączeniu, z pewnością pożałuje, że nie umarło. Poświęciłabyś wszystko w imię czegoś, co już jest stracone? Pomyśl o swoim domu. O swojej rodzinie.

Gdy ważyła słowa, w jej pewność zakradły się wątpliwości. Czy mówił prawdę? Jaki miałby powód, by kłamać? Z drugiej strony, jaki miałby powód, by nie kłamać? Gdy już o to chodziło, co właściwie wiedziała o nim i motywach, którymi się kierował, poza tym że, o ile widziała, te motywy zawsze dotyczyły jego samego?

No dobra, to jest gra dla dwóch osób.

– Najpierw powiedz, jak go znaleźć. Pomóż mi, a zrobię, co zechcesz.

Mówił szybko, rozgorączkowanym głosem.

– Nie widzisz, co się z nim stało? Nie należy już do twojego świata.

– Nie wierzę ci.

– To prawda – odparł. Jego chłód przeszył ją niczym lodowa klin-ga. – A jeśli teraz za mną nie pójdziesz, będzie za późno dla ciebie i dla wszystkich, na których ci zależy.

– Ty jesteś Poe? – Sama siebie zaskoczyła tym pytaniem.

– Edgar nie żyje. Ma szczęście.

– Czyli go znałeś – powiedziała Isobel z naciskiem, pewna prawdziwości swoich słów, gdy tylko wypowiedziała je na głos. Dowo-

dów było aż zbyt wiele. Zbyt wiele faktów. – To dlatego teraz tu jesteś, prawda? To wszystko zdarzyło się już wcześniej, tak? Spotkało to jego. Edgara.

– Przeszłość też jest martwa.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Dalej stali naprzeciwko siebie i żadne się nie ruszało, podczas gdy jakaś niewidzialna siła zdawała się pulsować między nimi – niepojęte uczucie niby odpychanie się dwóch magnesów.

– Dobrze – powiedziała w końcu.

Odwrócił się i znowu ruszył do przejścia po prawej. Wyraźnie oczekiwał, że dziewczyna pójdzie za nim. Isobel nawet nie drgnęła.

– Nie potrzebuję cię! – zawołała za nim. Znowu przystanął. Odwróciła się od niego i pochyliła, by wziąć buty. – Nie potrzebuję twoich sekretów. – Włożyła różowe niegdyś pantofle, teraz oblepione pyłem. – Sama go znajdę. – Podniosła się, odgarniając niesforny kosmyk włosów z oczu, i skierowała się ku przejściu po lewej.

– Stój! – nakazał.

Nie zwróciła na niego uwagi i szła dalej, pewna, że przed nią znajdują się nowe komnaty. Nowe koszmary.

– On by mnie nie zostawił! – zawołała.

– Jesteś pewna?

– Tak. Bo tak jak ty, nie jest wszystkim tym, co udaje – odrzekła. – I chociaż teraz tak mówisz... Przecież nie opuściłeś Edgara, co? Pomogłeś mu wrócić, prawda? Więc nie mów mi, że nie ma sposobu!

– Isobel. – Jego głos, szept, stał się teraz ostry. Zraniony.

Jej cios na oślep nie tylko musnął prawdę. Dotarł do samego sedna... a przynajmniej zdołał trącić jakąś głębszą strunę w tym monotonnym, lamentującym Reynoldsie.

Zostawi go z tym.

Jednostajnym krokiem zmierzała w ciemność i wilgoć. Przed sobą, poprzez płataninę cieni, zobaczyła, że korytarz ostro skręca. Wiedziała, że za rogiem będzie zupełnie sama.



– Isobel – syknął za nią. – Jeśli odwrócisz się do mnie plecami, nie zostawisz mi wyboru, też będę musiał się odwrócić. Tylko tak dalej, a staniemy się przeciwnikami.

– No to przynajmniej wiem.

Z determinacją ostro skręciła, nawet się nie oglądając. Przed nią rozciągał się kolejny wilgotny korytarz.

Ciemność i nic więcej.

Własne kroki były teraz jej jedynym towarzystwem. Nawet głosy za ścianą umilkły. Nie spodziewała się, by Reynolds poszedł za nią. Wiedziała o nim już wystarczająco wiele, by rozumieć, że mówi, co myśli. Miał własne plany. Własne duchy, które chciał ścigać.

Nie mogła wiedzieć, co znajduje się przed nią ani ile zostało jej czasu. Mogła jednak bez ryzyka pomyłki stwierdzić, że północ już blisko.

Ale może, tylko może, rozmyślała, skręcając za kolejny róg, gdzie ujrzała mglistą aurę ciemnofioletowego światła... może ona sama jest bliżej.

*Obietnica*

**I**sobel doszła do miejsca, gdzie stała następna pochodnia. Tutaj wilgotny korytarz cuchnął naftą i moszczem. Pomarańczowe płomienie rzucały blask na okno ze szkła o barwie ciemnej purpury, osadzone w kamiennym murze, i wiedziała, że dalej znajduje się purpurowa komnata z opowiadania Poego.

Nie było tu jednak ukrytych drzwi ani tajnego zaułka, prowadzącego do środka, jak w wypadku komnaty zielonej. A przynajmniej nie mogła niczego podobnego dostrzec, ani w ścianie, ani w podłodze.

Ostrożnie okrążyła pochodnię, po czym zbliżyła się do wąskiego okna i przycisnęła dłonie do kamiennej ściany obok. Przesuwała palcami po rowkach i zaprawie, próbując wymacać wejście. Oparła się ramieniem o ścianę i nadstawiła uszu, by usłyszeć jakiś głos albo ruch. Ogień ogrzewał jej twarz i ręce, rzucając jej cień na ścianę obok. Na początku nic nie słyszała, ale wkrótce do jej uszu dobiegło ciche trzepotanie.

Odsunęła się, opuściła wzrok i skupiła się na purpurowych szybach, jakby to miało wzmocnić ten szelest. W rogu okna dostrzegła wąski promyk żółtego światła. Była to dziura, nacięcie wielkości drobnej monety w barwionym szkłe.

Przykucnęła, uważając, by jej cień nie padł na okno. Wyrzała przez otwór pod kątem.

Od razu zobaczyła źródło trzepotu. Duże okno stało otworem po przeciwnej stronie pomieszczenia. Wielkie fioletowe zasłony poruszały się na wietrze. Za tym oknem splątane kontury nagich konarów drapały skłębione tło złowieszczych, szarofioletowych chmur. Wewnątrz komnaty w plamie żółtego światła dostrzegła róg miękkiego krzesła z purpurowego aksamitu.

I fragment czarnego buta.

Zmieniła pozycję. Niezależnie jednak od kąta, pod jakim patrzyła, dostrzegła tylko zasłony, śliwkowy dywan, żółte światło i but.

Myślała, czy nie krzyknąć, ale jeśli to była tylko kolejna sztuczka? Kolejna iluzja? Jeżeli na tym krześle nie siedział Varen, musiał to być jeden z Noków... albo coś jeszcze gorszego.

Ostrożnie podniosła rękę. Wsunęła palec w otwór i czekała. Przy następnym szeleście zasłon, pociągnęła. Cała szybka o wielkości pięści i kształcie rombu wypadła z czarnej ramki, pozostawiając znacznie większą dziurę, niż się spodziewała.

Skuliła się i cofnęła o parę centymetrów z nadzieją, że nikt w środku nie dostrzegł usunięcia szybki. Nawet jednak z większej odległości widziała teraz pomieszczenie znacznie bardziej szczegółowo. Wzdłuż ścian stały regały pełne zakurzonych książek i natychmiast przypomniała sobie Zakątek Nobita. Na pobliskim stole widniała staroświecka lampa naftowa. Paliła się nikłym płomykiem i stanowiła częściowe źródło żółtego światła w pomieszczeniu. Innym źródłem był dogasający żar w ogromnym kominku przed purpurowym krzesłem.

Spojrzenie Isobel natychmiast wróciło na to właśnie krzesło, na rękę, która spoczywała na obitym aksamitem podłokietniku. Znajomy srebrny pierścień połyskiwał na palcu, należącym do jeszcze bardziej znajomej dłoni. Jej oczy podążyły w górę rękawa zielonej kurtki. Varen siedział z opuszczoną głową i patrzył na śliwkowy dywan przed



sobą, z czarnymi włosami okalającymi twarz. Zaskoczona jego widokiem Isobel upuściła szklaną płytkę, która brzęknęła o kamienną posadzkę.

Głowa chłopaka poderwała się w kierunku dźwięku. Isobel otworzyła usta, lecz powstrzymała się i nie zawołała go, gdy ciszę w pomieszczeniu rozdarło krakanie. Wzrok Varena znowu skierował się w przód i w tej samej chwili jakiś ciemny obiekt przemknął przez pomieszczenie, rzucając widmowy cień na rozkołysane zasłony, podłogę, ściany i rzędy książek.

Ptak sfrunął z wysokiej półki i znalazł się w polu widzenia. Tnąc powietrze szerokimi skrzydłami, wylądował na oparciu krzesła Varena. Przeszczepując z nogi na nogę, złożył skrzydła. Przygarbiony, patrzył w mrok paciorkowatymi, czarnymi jak sadza oczami.

Isobel skuliła się pod parapetem. W ciszy wstrzymała oddech i czekała.

– Co to był za dźwięk? – zachrypiał szorstki głos.

– Moja wyobraźnia – odrzekł Varen, głosem, który w porównaniu z tamtym wydawał się gładki i suchy. Jego ton był wyraźnie gorzki.

– Nie ze mną te sztuczki – odparował ptak.

Tym razem Varen zachował milczenie. Isobel wtuliła się w ścianę, obiema dłońmi zasłaniając usta. Zamknęła oczy i uważnie nasłuchiwała.

Do jej uszu dobiegł nowy dźwięk, stłumiony i odległy. Dochodził z zupełnie innej strony. Ktoś krzyczał. Był to wyraz czystego przerażenia, który chlastał jej umysł niczym lancet.

– A – odezwał się ptak z chrapliwym kaszlem, który mógł oznaczać śmiech. – Znowu nasz przyjaciel. Minęła ponad godzina, a on dalej swoje.

Przez korytarz wokół niej poniósł się kolejny udręczony krzyk. Potem rozległ się daleki łoskot.

– Przestań. Puść go. Odeślij go z powrotem – mruknął Varen.

– Oj, naprawdę. Aż tak ci to przeszkadza? – Głos zmieniał się, gdy ptak mówił, stawał się głębszy, mniej zgrzytliwy, a bardziej złośliwy. – Daj spokój – powiedział. – Myślałem, że po tym wszystkim będzie ci to sprawiało jakąś przyjemność. Poza tym to był twój pomysł.

– Ty to zrobiłeś, nie ja.

– Oczywiście że ja. Ale dopiero kiedy ty o tym pomyślałeś.

Przechyliwszy się w jedną stronę, z plecami przyciśniętymi do ściany, Isobel jeszcze raz zajrzała przez otwór. Varen siedział na krześle niemal zgięty w pół, z twarzą ukrytą w dłoniach, podczas gdy wysoka postać Pinfeathersa zataczała wokół niego szerokie kręgi. Jego długi i chudy cień, rzucany przez żółty blask, padł na Varena.

Isobel podniosła wzrok, by znaleźć źródło światła. Świeciło jasno zza popiersia starożytnego greckiego wojownika o okrągłych oczach, patrzącego sponad ozdobnie rzeźbionych, dwuskrzydłowych drzwi.

Uwaga Isobel skupiła się na tych drzwiach. Stwierdziła, że nie licząc otwartego okna, właśnie one stanowiły jedyne wyjście z pomieszczenia. Pomyślała, że zapewne prowadzą do kolejnej kolorowej komnaty. Zastanawiała się, czy podążając korytarzem, zdoła jakimś sposobem dotrzeć do nich. Jeśli znajdzie drogę do tych drzwi, czy nie okażą się zamknięte na klucz? W końcu nawet gdyby zdołała wybić wszystkie szybki z barwionego okna, i tak nie dałaby rady się tamtędy przecisnąć.

– Choć brzmi to zabawnie – powiedział Pinfeathers – ty zadziwiasz mnie najbardziej ze wszystkich. Myślałem, że właśnie tego chcesz.

– Tak było.

– Ale teraz zmieniłeś zdanie.

Varen nie odpowiedział.

– A raczej powinienem chyba powiedzieć, że to ona zmieniła twoje zdanie. Ta czirliderka. Tak czy owak, to dlatego masz takie kłopoty, możesz mi wierzyć. Zbyt wiele wielbicielek i zbyt mało do wiel-



bienia. – Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, podczas której Pinfeathers przemierzył pomieszczenie i stanął między zasłonami. Ze złożonymi rękami wyglądał na zewnątrz. – Ale urocza jest, prawda? – ciągnął. – Zwłaszcza kiedy się złości. Ale to już wiedziałeś. Oczywiście, obie są urocze. I to w tak różny sposób. Wiesz, powinienem cię chyba uprzedzić, że ty i ja, biorąc pod uwagę, czym jesteśmy, musimy mieć podobny gust. Z drugiej strony, dziwne, że to mówię, bo czirliderka w ogóle nie jest w twoim typie, mam rację?

– Zamknij się.

– I myślę, że chodzi także o to. Obaj mamy chyba poważny problem, bo chcemy rzeczy, których po prostu nie możemy mieć. Tyle że ty teraz masz już wszystko. To najwyraźniej ponad twoje siły.

– Zamknij się, powiedziałem.

– Może trochę podniesie cię na duchu świadomość, że ona jest silna. A przynajmniej stała się silna dla ciebie. Wiem, co mówię, dla ciebie. Muszę przyznać, że jestem zazdrosny, i to wcale nie trochę. Ale trudno się nie zastanawiać, czy... Słuchasz mnie?

– Nie.

Pinfeathers westchnął.

– Nudzą mnie te twoje humory.

– No to odejdz – odparł Varen.

– Może to zrobię. Może pójde znowu zajrzeć do naszego przyjaciela. Jeszcze raz puk, puk, puk do drzwi jego komnaty, zanim go wyniesiemy, żeby dokończyć robotę. Ha! Powiem ci coś pod rozważkę. Pani niedługo wróci, a do tego czasu na twoim miejscu chyba zmieniłbym zdanie w kwestii jej prośby. Ha, ha! Gdybym był tobą, rozumiesz?

Isobel patrzyła, jak Pinfeathers znowu się zmienia. Skurczył się, wygiął i jego szczupłe ciało okryło się mrokiem za smugami fioletu, aż znowu wyłonił się spośród nich jako duży czarny ptak. Jego suchy śmiech przerodził się w ochrypy rechot. Następnie zamachał skrzydłami, po czym, okrążywszy pomieszczenie, wyfrunął przez okno.



Gdy zniknął, Isobel odsunęła na bok stojak z pochodnią i stanęła przed barwionym oknem.

– Varen – szepnęła.

Powoli zwrócił spojrzenie w jej stronę. Przez romboidalną ramkę ich oczy się spotkały. Jego twarz, blada i ściągnięta, przypominała oblicze upiora.

– Varen! – zawołała znowu, tym razem głośniej. – Varen, to ja. Isobel.

– Isobel – powtórzył monotonnym głosem.

– Tak. To ja.

– Isobel odeszła – powiedział, odwracając się, by popatrzeć w komin. Dogasający żar rzucał słaby pomarańczowy poblask na jego twarz. – Powiedziałem jej, żeby znalazła drzwi w lesie.

– Nie. Nie odeszłam. Nie mogłam bez ciebie. Proszę! Jak wejść do środka?

– Nie możesz – mruknął. – Nawet gdybyś była prawdziwa.

– Varen. Spójrz na mnie. Jestem prawdziwa. Przyszłam cię odnaleźć. To ja i mogę to udowodnić.

Nagle krzyk rozległ się znowu. Stłumione, przeciągłe, pełne cierpienia wycie narastało i tym razem towarzyszyła mu salwa donośnych łomotów. Bicie jej serca przyspieszyło trzykrotnie i Isobel zwróciła spojrzenie w kierunku tego piekielnego zgiełku. Dochodził z kolejnego pomieszczenia. Przez chwilę, pomimo dzikości wrzasków, zdawało się jej, że rozpoznaje ten głos, i ogarnęło ją przerażenie.

Brad.

Ale to niemożliwe. Skąd by się tu wziął?

Isobel obejrzała się na okno i wzdrygnęła, a serce boleśnie podskoczyło jej w piersi. Varen stał przed poplamioną barwioną szybą, która ich dzieliła. Zza ramki okalającej otwór patrzyły na nią jego czarne oczy. Posiniaczona twarz, mizerna i wyprana z emocji, wydawała się w słabym świetle niemal obca.

– Jesteś snem – powiedział – jak wszystko inne.

Isobel zmarszczyła brwi. Przypomniała sobie, jak Reynolds kiedyś jej powiedział, że Varen o niej śni. Z tą myślą uniosła pięść, by wybić dalsze szybki, nie dbając o to, czy się pokaleczy. Kawałki szkła spadły na dywan w purpurowej komnacie, rozsypując się u jego stóp, a Isobel przełożyła rękę przez poszerzony otwór.

– Dotknij mnie – powiedziała. – Naprawdę istnieję. Nawet jeśli to wszystko jest snem, ja nim nie jestem.

Poczuła jego palce, lekkie jak pył, muskające jej dłoń. Wywołały elektryczny dreszcz, od którego skóra zdawała się niemal wibrować. Mijały sekundy.

Kolejny krzyk, głośniejszy, lecz wciąż stłumiony, wdarł się w korytarz niczym wrząca ciecz. Dziewczyna cofnęła rękę, spoglądając między kamienne ściany za sobą i próbując rozeznać, skąd dochodzi wycie. Była pewna, że pogłos dotarł do nich z prawej strony, przeciwnej niż ta, z której przyszła. Jej oczy znowu spoczęły na Varenie, na pęknięciu nad jego wargą, i przeraziła się słowami, które musiała teraz wypowiedzieć.

– Varen. – Starła się mówić spokojnym tonem. – Słyszysz to? Muszę pomóc Bradowi.

Podniósł na nią oczy i pomimo ich czerni nie sposób było nie dostrzec płonącej w nich nienawiści. Przełknęła ślinę, ostrożnie dobierając słowa.

– Oni... robią mi krzywdę – powiedziała. – Zasłużył sobie na karę, ale nie na śmierć. Wiem, że to rozumiesz. Wrócę także po ciebie, dobrze?

– Czemu? – warknął.

– Bo – aż się zachłysnęła, nie mogąc pojąć przyczyny ani tonu jego pytania. – Bo cię kocham. Temu.

Przekręcił głowę i odwrócił się tyłem do niej, patrząc znowu w głąb komnaty.

– Posłuchaj! – Chwyciła ramę okna. – Naprawimy wszystko, dobra? Znajdziemy sposób.

– Już za późno. – Był to ledwie słyszalny szept.

– Nie mów tak! Znajdzie się sposób. Jeśli będziemy razem, ty i ja, na pewno się znajdzie. Zrobiliśmy razem to opracowanie, nie? Mimo że wszystko szło nie tak. Mimo że wszyscy stawali nam na drodze. Varen?

Znowu omiół ją spojrzeniem, a ona szukała w jego oczach swojego odbicia, jakiegokolwiek światła. Ale odpowiedziały tylko czernią, tak czystą, tak przerażająco bezdenną, że musiała użyć całej siły woli, by nie odwrócić wzroku.

– Zgódź się. Proszę! – powiedziała.

Wbił w nią spojrzenie.

Ciszę rozdarł kolejny krzyk. Przenikliwy dźwięk wspiał się po jej kręgosłupie, po czym, przesywając ją niczym szpony, zamknął jej serce w mocnym uścisku. Skrzywiła się.

– Varen, oni go zabijają. Muszę ich jakoś powstrzymać. Ale najpierw musisz się zgodzić. Proszę. Wiesz, że wrócę, powiedz to. Po prostu się zgódź. Dla mnie!

Opuścił wzrok.

Pokręciła głową.

– Nie wierzysz mi? – Oczy ją zapiekły i lada chwila mogła zalać się łzami. Nie mogła znieść jego widoku w takim stanie. Zupełnie jakby Varen, którego знаła, został pożarty i zastąpiony tą żalostną skorupą, z duszą schowaną tak głęboko, że nie mógł tam dotrzeć żaden promień światła. Gdyby tylko mogła w jakiś sposób dowieść, że stoi przed nim naprawdę ona, a nie jakaś widmowa oszustka... Gdyby mogła mu coś dać... jakiś dowód... Albo po prostu coś mu zostawić. Jakiś znak. Obietnicę. Cokolwiek, byle było to równie prawdziwe i materialne jak ona sama.

Przejechała dłońmi po sukience, przebierając palcami i szukając czegoś, co mogłaby mu podarować.

Natrafiała na szarfę, którą miała przewiazaną wokół talii. Przesunęła palcami po jedwabnej tkaninie aż do kokardy na plecach.



Zwinnymi palcami rozsuptała ją, po czym zsunęła z siebie z cichym szelestem.

– Proszę – powiedziała. Przez postrzępiony otwór w oknie podała mu szarfę. – Weź to – poprosiła. – Jest moja i zamierzam po nią wrócić, więc jej nie zgub. Musisz o nią zadbać. Pilnować jej. Dla mnie. Rozumiesz?

Na początku tylko patrzył na materiał, po chwili jednak uniósł dłoń, by go dotknąć. Później ich palce zetknęły się, po czym powoli wyciągnął jedwabną szarfę z jej ręki i zawiązał sobie na dłoni. Gdy się cofnęła, zobaczyła, że jego palce zwierają się na tkaninie w pięść. Ścisnął ją i zdawało się, że coś w nim drgnęło. Zmarszczył brwi ze zdziwieniem, jakby różowa wstęga, otaczająca teraz jego dłoń, miała w sobie coś, czego nie mógł zrozumieć.

– Słuchaj – powiedziała. Wokół dalej rozlegały się krzyki Brada, które przybierały na sile, wznosząc się do crescendo przerażenia. Isobel z trudem skupiała się na swoich słowach, gdy w jej uszach rozbrzmiewały udręczone wrzaski. – Spróbuj... spróbuj otworzyć drzwi. Reynolds... mój przyjaciel mówi, że jeśli... że jeśli wiesz, że śnisz, to możesz nad wszystkim zapanować. Więc spróbuj otworzyć drzwi, dobrze? Spróbuj. Jeśli nie dasz rady, po prostu zaczekaj na mnie tutaj.

Wstała i zaczęła się cofać, oddalać od okna, niemal nie mogąc znieść myśli, że zostawi go tu samego. Musiała jednak zrobić coś dla Brada. Nie mogła pozwolić, by umarł albo nadal był poddawany takim torturom. Cokolwiek się z nim działo, musiała to powstrzymać.

– Isobel? – zawołał szeptem Varen.

– Zostań tu – powiedziała. – Zostań tu i czekaj. Na mnie. – Odwróciła się w kierunku źródła krzyków, które rozlegały się teraz pomiędzy seriami łoskotów przypominających walenie pięściami w zaryglowane drzwi. Puściła się biegiem.

– Isobel!

– Wróć, obiecuję! – Te ostatnie słowa poniosły się echem przez korytarz. Obiecuję, pomyślała, raz za razem powtarzając to zobowiązanie w myśli.

Obiecuję.

*Podłużna skrzynia*

Korytarz przed nią stawał się coraz chłodniejszy, węższy i bardziej kręty. Jej oddech zmieniał się w parę, widoczną nawet w przysygasającym świetle.

Znowu zaczęła nasłuchiwać krzyków, ale do jej uszu dobiegły jedynie szepty. Sączyły się przez ściany.

Isobel zwolniła i przywarła mocniej do wilgotnego kamienia, gładząc go palcami i wytężając słuch. Głosy zdawały się przechodzić obok niej, przemierzając nieznanne pomieszczenie, znajdujące się po drugiej stronie.

Popędziła korytarzem, z trudem starając się nadażyć za przeciągłym niskim jękiem, który przebijał się przez syczące śmiechy i chrapliwe rechoty. Wiedziała, że to jęk Brada.

Skręciła za następny róg i znalazła się w dużej okrągłej komnacie. W ścianach widniały ciemne otwory drzwiowe, a każdy wyglądał jak otwarty pysk potwora. Wybrała przypominające tunel drzwi po lewej. Kręte przejście, pełne kamieni, zaprawy i wilgoci zdawało się prowadzić coraz niżej. Tak głęboko, że szepty i jęki zaczęły niknąć. Na ścianach i kamiennych nawisach dostrzegła skryształizowaną białą substancję. Zawahała się, rozmyślając, czy powinna zawrócić, czy też wybrała dobrą drogę. Czy w ogóle istniała dobra droga?



Parła naprzód, kuszona wśród ciemności przez obietnicę promyka, zmieniającego się światła, które tańczyło na fragmencie kamiennych ścian w oddali. Przygarbiła ramiona z powodu wilgoci oraz zimna i jedną dłoń przesuwiała po pokrytej pyłem ścianie, by ta prowadziła ją naprzód. Coś twardego zachrząściło jej pod nogami i Isobel zmusiła się, by nie spojrzeć, by nawet sobie nie wyobrazić, jaki materiał pokrywa podłogę.

Weszła w plamę bladego światła, które rozjaśniało przypominającą most część przejścia, zawieszoną nad ogromną, otwartą kryptą katakumb. Jej wzrok podążył za pomarańczowożółtym migotaniem do jego wąskiego źródła – pochodni. Tam, nisko w dole, pracował samotny mężczyzna. Zrzuciwszy płaszcz i marynarkę, z kielnią w dłoni, zajmował się zamurowywaniem zięjącego czernią sklepionego przejścia.

Szczęk niósł się echem z wnętrza dołu niczym odgłos łańcuchów. Rozległy się dzwonki, a Isobel zamarła i otworzyła szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, że w niszy ktoś jest. Natychmiast przypomniała sobie dwóch mężczyzn, których słyszała po przekroczeniu drzwi, które przemieniły się w hebanowy zegar. Jeden miał maskę i płaszcz, a drugi chyba czapkę z dzwonkami.

Mężczyzna pracujący w dole przerwał z cegłą w dłoni. Powoli obrócił głowę, aż spojrzał jej w oczy. Cofnęła się z jękiem, po czym rzuciła się w mroczną ścieżkę.

Biegła, a ziemia trzeszczała i chrzęściła jej pod nogami.

Za następnym rogiem, na końcu długiego korytarza, ujrzała snop łagodnego niebieskiego światła. Sączyło się przez otwarte łukowate przejście, ku któremu biegła. Jej stopy pośliznęły się na poszczerbionej krawędzi czegoś twardego, potknęła się i runęła w przód, po czym uderzyła o kamień, wzbijając tuman pyłu.

Światło potwierdziło jej najgorsze obawy. Podłogę zasłane było kośćmi i popiołem.

Jej palce wbiły się w warstwę pyłu, gdy odepchnęła się od ziemi i dźwignęła na kolana.

Nie, zaraz, pomyślała. Nie ma tu żadnych kości.

Wsunęła palce drżącej ręki pod coś, co jeszcze przed chwilą wyglądało jak ciemną prastarą czaszkę. Okazało się jednak, że to pęknięty odłamek porcelanowej twarzy, wyraźnie teraz dostrzegła krzywiznę policzka. Wszystkie fragmenty można było zidentyfikować z równą łatwością. Połamane palce, niczym miniaturowe nagrobki, wały się w pył. Tu połowa dłoni. Tam – kawałek ramienia. Szczeka. Ucho.

Isobel odrzuciła odłamek. Wstała, wycierając dłonie w oblepioną kurzem sukienkę, po czym przyłożyła je do obu ścian, by się podeprzeć. Ruszyła dalej korytarzem, przekraczając w końcu snop niebieskiego światła i wchodząc w wąski łuk. Przeskoczyła próg i jeden stopień w dół, po czym nagle znalazła się w dużej marmurowej krypcie.

Pasy niebieskoszarego światła spływały z umieszczonych wysoko w górze kwadratowych okien, nie większych niż koperty. W środku panowała sucha, ostra woń, jakby palonego papieru. Niezliczone potrzaskane twarze patrzyły, nie widząc, na marmurowe półki, ciągnące się wzdłuż czterech wysokich ścian. Dalsze, puste w środku, nietknięte kończyny wały się po bokach niczym szczątki porzuconych marionetek.

Żelazne drzwi z przodu krypty stały otworem. Osadzone w nim barwione na niebiesko szyby stanowiły źródło szafirowego blasku, padającego niczym przejrzysta gaza na zajmujący środek krypty wysoki sarkofag. Na szczycie sarkofagu spoczywał wyrzeźbiony w gładzonym marmurze posąg pięknej kobiety o zamkniętych pośmiertnie oczach. Jej zimne, kamienne dłonie trzymały równie zamrożony bukiet róż. Isobel poznała tę twarz. Widziała, jak się wyłania z ciemności, która pochłonęła Varena.

Włosy kobiety, jak u czarownicy, leżały rozrzucone wokół głowy. Spływały z boków sarkofagu w długich, kręconych puklach. Jej marmurowa suknia, ciężka i fałdzista, niczym szata koronacyjna królowej, zwisała się z obu stron sarkofagu, podczas gdy ozdobny tren opadał



w delikatnych zmarszczkach na stopnie, wiodące w dół z postumentu pod sarkofagiem. Fałdy i niezliczone zagięcia marmurowego stroju tworzyły iluzję lekkości, tak jak twarz – iluzję życia. Zupełnie jakby Isobel mogła się w każdej chwili spodziewać, że pierś kobiety uniesie się i opadnie wraz z wdechem i wydechem. W całym sarkofagu najbardziej jednak niepokoił fakt, że niewyobrażalnie ciężka pokrywa została odsunięta.

Isobel nie odważyła się wspiąć po stopniach i zajrzeć do środka, wiedząc, że od znalezienia w środku wysuszonych zwłok jeszcze gorsze byłoby ich nieznanie. Zamiast tego ruszyła po kobiercu pokruszonych twarzy i części ciała, aż w końcu dotarła do drzwi krypty.

– Pani?

Na dźwięk tego głosu, niskiego, chrypliwego, stanęła jak wryta.

– Pani, czy to ty? Wróciłaś? – zapytał z zaciekawieniem.

Jej dłoń zatrzymała się przed drzwiami z żelaza i szkła. Cofnęła się i ostrożnymi krokami przeszła na drugą stronę sarkofagu.

Siedział zgarbiony pod przeciwległą ścianą, w połowie skryty w cień. Nok. Podniósł wzrok, skupiając na niej mroczne oczy.

– A – powiedział z uśmiechem – to ci dopiero niespodzianka. Powiedz, jaki demon cię tu skusił?

Różnił się od innych Noków. Zauważyła to od razu. Jego włosy nie przechodziły z czerwieni w czern, lecz z głębokiej czerni w niebieski fiolet. Gdy oderwał głowę od ściany, włosy te stanęły na czasce niczym nastroszony grzebień ptaka. Jego zęby, ostre niczym końcówki niezliczonych zatemperowanych ołówków, lśniły niepokojącą barwą indygo. Choć twarz miał w całości, brakowało mu niemal połowy ciała po jednej stronie, włącznie z ręką od ramienia, częścią brzucha i nogą poniżej kolana. Warstewka pyłu pokrywała jego ciemne spodnie, co dowodziło, że od dłuższego czasu się nie ruszał.

Nie nosił koszuli ani kurtki, co pozwalało dostrzec jego najbardziej zadziwiającą cechę.



Pełne zawijasów rysunki pokrywały znaczną część jego odsłoniętej skóry. Na piersi, kształtnej i gładkiej niczym grecka rzeźba, widniały wizerunki żaglowców, fal i morskich bałwanów. Jego jedyne ramię zdobiła długowłosa syrena, której łuskowaty ogon sięgał w dół ręki. Cała partia morskich wyobrażeń nikła w otworze ziejącym w miejscu brakującego boku i choć same rysunki mogły być piękne, Isobel zwróciła uwagę głównie na fakt, że wykuto je w jego skórze niczym płaskorzeźby. Ta cecha, w połączeniu z demonicznym uśmiechem i postrzępionymi dziurami w jaskrawobiałym ciele, przydawała im pewnej wulgarności.

– Kim jesteś? – spytała.

– Nie kim. – Pomachał w jej stronę niebieskim pazurem. – Jaki jestem.

– Dobrze – zgodziła się. – Jaki?

– Jestem zdumiony – odrzekł – jak ty, taka subtelna, mogłaś mnie pozbawić ręki i nogi.

Wyszła zza sarkofagu, przyglądając mu się czujnie.

– Gdybym wiedział o twoim zamaskowanym przyjacielu – ciągnął – i jego sprawności w fechtunku, pozwoliłbym, by to Pin pierwszy ruszył w pościg.

– Pościg? – powtórzyła, a słowo poniosło się pogłosem po krypcie.

Uśmiechnął się i wskazał coś za nią palcem ocalałej ręki.

– Bądź tak miła – powiedział. – Pokaż, ile jesteś warta, i podaj staremu Scrimshawowi tamtą pustą kończynę.

Zerknęła przez ramię w miejsce, gdzie oparta o bok otwartego sarkofagu leżała wydrążona ręka, od ramienia do nadgarstka, choć bez dłoni.

Znowu odwróciła głowę ku niemu i patrzyła z niedowierzaniem, zapomniawszy o wszystkich pytaniach. Przyglądała się, jak ocalała dłońią grzebie w stercie pyłu obok siebie, a potem wyciąga spory odłamek. Przyłożył go do dziury w swoim ciele jak ktoś, kto próbu-

je sprawdzić, w którym miejscu element układanki pasuje do reszty. Z przerażeniem uświadomiła sobie, co on robi. Składał się z powrotem w całość. Czy to było możliwe? Cofnęła się o krok, słysząc chrzęst pod swoimi stopami.

Podniósł wzrok.

– Nie? – spytał.

Zrobiła następny krok w tył.

– Też mi wdzięczność – mruknął, a jego postać znowu pograżała się w cieniu, w miarę jak dziewczyna się cofała. – Aha – powiedział, po czym zaczął melodyjnie nucić.

*Czy mogły to być leśne ghule –*

*Żalotne, litościwe ghule –*

*Czy to one ci zamknęły drogę*

*Do sekretów, co leżą w tej puszczy –*

*Do tego, co się kryje w tej puszczy?*

Isobel odwróciła się i ruszyła biegiem do żelaznych drzwi. Za jej plecami stwór zaśmiał się, a jego budząca grozę pieśń stała się głośniejsza.

*Znasz ty Aubr, który we mgle się chowa,*

*I wilgotny, pomroczny las Weir..."*

Chwyciła krawędź drzwi i pociągnęła. Zgrzytając donośnie, drzwi ustępowały centymetr po centymetrze, aż w końcu przejście stało się wystarczająco szerokie, by mogła się przecisnąć. Wyśliznęła się na zewnątrz, lecz od jej sukienki oderwał się strzęp koronki.

\* Fragment ostatniej strofy *Ulalume*, zamieszczonej tylko w pierwszej publikacji wiersza w „American Review” (grudzień 1847 roku) i usuniętej przez autora z wydań późniejszych. Z tego powodu strofa nie znalazła się w polskim przekładzie. (przyp. tłum.)

\*\* Na podstawie przekładu Antoniego Langego.

*Znasz ty Aubr, który we mgle się chowa,  
I wilgotny, pomroczny las Weir...*

Isobel zamknęła drzwi za sobą, odcinając się od tego głosu ze zgrzytem żelaza i rdzy.

Na zewnątrz szary pył pokrywał teren cichego cmentarza. Płatki bieli spadały z fioletowego nieba przez jałową atmosferę, by gromadzić się niczym śnieg na niezliczonych powykrzywianych nagrobkach, które obsiadły ziemię w niewielkich skupiskach. Przechylały się w różne strony na podobieństwo połamanych zębów. Kamienne anioły i posępne postacie w długich szatach płakały przy grobach, podczas gdy wśród tego wszystkiego rosło kilka chudych czarnych drzew, takich samych jak w lesie. Za cmentarzem postrzępiona krawędź urwiska oddzielała niebo od ziemi, rozciągając się, jak okiem sięgnąć, zębatą rysą.

Za nią wznosił się połączony z kryptą przypominający katedrę zamek, opactwo z opowiadania Poego, w którym trwała maskarada. Jego wieże mierzyły w popielate niebo, strzępiaste i paskudne, niczym grzbiet drzemiącego smoka.

Był to widok nieruchomy i spokojny, zupełnie jak wywołujący dreszcz ożywiony szkic węglem.

Do chwili gdy donośne stukanie zburzyło ciszę sanktuarium.

Isobel trzymała się blisko boku krypty i przyciskała dłoń do zimnej marmurowej ściany, oddalając się od drzwi z barwionymi szybami. Wkrótce Nokowie znaleźli się w jej polu widzenia. Naliczyła ich szczęściu, gdy wyłonili się zza żelaznych drzwi innej krypty.

Na ramionach nieśli przedmiot, w którym od razu rozpoznała długą drewnianą trumnę. Serce jej zadrżało na ten widok.

Ze środka dobył się krzyk, a potem brzęk i znowu stukanie.

Na trumnie rozsiadł się duży czarny ptak. Podczas chwil przerwy w suchym krakaniu, dziobał wieko, jakby w odpowiedzi na dochodzący ze środka stukot.



Pinfeathers. Razem z nim było ich siedmiu.

Z podłużnej skrzyni dobiegło kolejne rozpaczliwe wołanie o pomoc i tym razem była już pewna. W trumnie znajdował się Brad. Ale w jaki sposób go tu przynieśli?

Isobel pamiętała, jak na boisku oczy Brada zrobiły się czarne. Zupełnie jak oczy Varena, w jednej sekundzie straciły całą żywotność i barwę. Ale choć oczy Brada się zmieniły, jego nieprzytomne ciało pozostało na boisku. Jakim więc cudem został przeniesiony tutaj?

Wymknęła się z krypty. Podążyła za nimi, zapuszczając się w gęstwą drzew, kryjąc się za posągami i nagrobkami. Zatrzymała się u boku wysokiego skrzydlatego serafina, płaczącego w kamienne dłonie, i obserwowała ich z oddali.

Niczym dziwaczni karawaniarze nieśli trumnę przez mglistą polanę, również otoczoną czarnymi drzewami.

W pobliżu czekała sterta ziemi, w którą wbito kilka łopat. Ich styliska, niczym igły w poduszce, sterczały z ziemi, gotowe do pracy.

Przed hałdą, niczym drogowskaz, stał wysoki, opatulony posąg. Długa szata z kapturem skrywała głowę i spowijała ręce postaci, wyciągnięte w stronę ziejącego dołu czarnego grobu.

Isobel zacisnęła powieki, po czym otworzyła je znowu. Nie obudziła się jednak. Scena nie zmieniła się. Wszystko wyglądało tak samo, tyle że Nokowie zdjęli trumnę z ramion.

– Wypuście mnie! – krzyknął Brad.

Nokowie parsknęli śmiechem i wspólnymi siłami zdjęli trumnę z ramion. Pinfeathers zakrakał i poderwał się z wieka, gdy skrzynia z donośnym łoskotem uderzyła o dno wykopu. Ze środka wzbił się obłok popiołu. Brad zawył.

Isobel odetchnęła gwałtownie, a serce waliło jej tak mocno, że aż poczuła dzwonięcie w uszach. Chwyciła się podstawy kamiennego anioła, który ją zasłaniał, jakby to w jakiś sposób mogło jej dodać sił.

Szaleństwo. Zamierzali pogrzebać go żywcem, a ona nie mogła nic na to poradzić. Czemu poszła tu za nimi? Co chciała zrobić, by

ich powstrzymać? Co w ogóle mogła zrobić, by powstrzymać cokolwiek? Była tu tylko ona. Oraz Nokowie.

Rozszarpaliby ją na strzępy.

– Proszę! Wypuście mnie! – wydierał się Brad.

Zmusiła się, by znowu spojrzeć. Widziała, jak Pinfeathers traci swoją ptasią postać. Przybrał zwykle kształty i stanął u szczytu grobu, patrząc w dół. Inni Nokowie zgromadzili się wokół wykopu.

– Proszę! – wrzasnął Brad, znowu waląc i skrobiąc.

Nie mogąc tego dłużej znieść, Isobel wyskoczyła z kryjówki. Nie miała planu. Nie miała pojęcia, co może zrobić, by ocalić chłopaka. Do chwili, w której dopadła do grobu, nie czuła nic oprócz przyływu adrenaliny. Bez zastanowienia wyrwała z ziemi jedną z łopat. Dzierżąc ją niczym pałkę, zamachnęła się stalową częścią na plecy jednego z niczego niepodejrzewających Noków.

Łopata trafiła w cel... i nie zatrzymała się. Przeszła przez jego ciało, z trzaskiem robiąc w nim dziurę. Stwór pisnął, po czym runął do grobu, gdzie rozpadł się na wieki trumny.

Isobel wpatrywała się w miejsce, w którym Nok rozleciał się na kawałki, wstrząśnięta skutkiem własnego działania.

Pozostali chóralnie zawyli. Jak jeden mąż rozmyli się w fioletowy dym, przekształcając się w oszalałe ptaki.

Isobel bez przeszkód wymachiwała łopata wśród chmary piór i dziękiego furkotu. Kaleczone kruki skrzeczały i krakały. Walila w nie na oślep. Rozproszyły się w panice. Obróciła się i znowu wzniosła narzędzie. Nagle poczuła wstrząs.

Białe palce pochwyciły stylisko łopaty po obu stronach jej dłoni. Pinfeathers górował nad nią, w gniewie zaciskając krwistoczerwone zęby, z porcelanową twarzą wykrzywioną w maskę wściekłości.

– Ty! – ryknął. – Nie powinno cię tu być!

Tego było już za wiele. Isobel oderwała jedną rękę od łopaty i wzięła zamach. Jej pięść wystrzeliła naprzód. Pinfeathers uchylił się przed atakiem, puszczając narzędzie. Odrzucona w tył dziewczyna poczu-



ła, że się potyka i wpada do otwartego grobu. Grzmotnęła o wieko trumny.

Nad krawędzią pojawiło się chude ciało Pinfeathersa.

— Po co wróciłaś? — wydyszał.

Isobel wypluła popiół. Otarła pot i piach z oczu, po czym rzuciła mu buntownicze spojrzenie.

— Znowu! — warknął, rozeźlony, lecz zarazem jakby... zatroskany? — Trzeba było odejść, kiedy dałem ci szansę!

Zacisnęła dłoń na grudzie ziemi. Cisnęła w niego. Syknął, kuląc się, gdy dostał w twarz.

Gdzieś w oddali na wieży zegarowej rozległ się kurant, wydzwaniając godzinę. Głośny, mosiężny ton poniósł się echem po cmentarzu. Sprawił, że ścisnęło jej się serce. Północ. Nastąpiła północ.

— Ratunku! — dobiegł chrapliwy bulgot z sosnowej skrzyni pod nią.

Obróciła się. Z dłońmi i kolanami wspartymi na trumnie, oczyściła wierzchnią warstwę z ziemi i fragmentów Noków.

— Czirliderko!

Obejrzała się przez ramię.

Pinfeathers klęczał nad krawędzią grobu. Wyciągał do niej szpony jednej dłoni.

— Weź mnie za rękę. Zostaw go!

Isobel chwyciła łopatę, która wpadła do środka razem z nią, po czym machnęła nią w jego stronę. Złapał ją z łatwością wyprostowanym przedramieniem.

— Przestań ze mną walczyć i chodź! — ryknął.

Dziewczyna warknęła coś przez zaciśnięte zęby. Nie puściła łopaty. Opierając jedną nogę o ścianę grobu, obróciła ją i nacisnęła, posługując się styliskiem jak dźwignią. Po cmentarzu poniósł się głośny trzask, a potem wycie. Uwolniła się i wylądowała na plecach na wieku trumny, podczas gdy wyłamana ręka Pinfeathersa spadła jej bezwładnie na kolana.



Cofnął się z przeciągłym sykiem. Jego ciało znowu stało się niewyraźne i zmienił się w mieszaninę dymnych smug i ptaka. Unosił się nad grobem, mroczna masa, wydająca z siebie ochryple krakanie i nieludzkie zawodzenie. Jego skrzydła biły powietrze w nierównym rytmie, ptasie ciało krążyło po spirali, z wysiłkiem próbując nabrać wysokości. Jego twarz pojawiała się wśród oparów, na chwile wystarczająco długie, by na nią ryczeć. Potem, niczym fioletowa mgła, odleciał, gubiąc czarne pióra, które opadały do grobu jak jesienne liście.

W oddali wciąż rozbrzmiewało głębokie bicie zegara i nie sposób było stwierdzić, ile uderzeń jeszcze pozostało. Isobel odrzuciła na bok pustą, odłamaną rękę i odwróciła się do trumny, w której zapadła cisza.

– Brad! – zawołała. Szarpnęła drewniane wieko. Ledwie drgnęło. Rozejrzała się w poszukiwaniu łopaty. Złapała ją i uderzyła o bok trumny. Drewno zatrzeszczało, ale to nie wystarczyło. Spróbowała jeszcze raz. – Brad!

Znowu walnęła stalą o drewno i tym razem odłupała fragment jednego rogu. Rzuciła łopatę. Wsunęła dłonie w otwór i pociągnęła w górę. Wieko zaczęło się powoli odrywać. Zebrała wszystkie siły, ciągnąc, aż pokrywa odpadła, po czym odrzuciła ją na bok w chwili, gdy na cmentarzu zadźwięczało ostatnie uderzenie z wieży zegarowej.

Wybiła północ.

Wewnątrz trumny leżał Brad, cichy i roztrzęsiony, z oczami skierowanymi w niebo. Miał na sobie czysty szpitalny fartuch, a złamaną nogę okrywał gruby niebieski gips. Wyciągnęła rękę, która jednak przeniknęła przez niego, jakby był jedynie hologramem.

– Brad! – krzyknęła.

Zatrząsł się jeszcze mocniej.

– Is... Isobel? – wybełkotał. Jego oczy nie patrzyły na nią, wbite w coś ponad jej głową.

Znowu spróbowała go chwycić, ale także tym razem jej ręce przeszły przez niego jak przez zjawę.

Coś gęstego, mokrego i ciepłego bryznęło jej na rękę, zatrzymując ją. Popatrzyła na to i ujrzała ciemnokarmazynową plamę krwi, która lśniła na jej przedramieniu. Czyżby była ranna?

Kolejna plama pojawiła się na jej otwartej w niepewności dłoni. Podniosła wzrok. Krew wyciekała z górującego nad nią posągu. Strugi czerwieni spływały po jego szatach, między fałdami kamiennej tkaniny, i rozlewały się w kałużę na ziemi.

— Isobel!

Brad poleciał w górę, mijając ją, gdy niewidzialna siła wyszarpnęła jego ciało z grobu niczym szmacianą lalkę. Uniósł się, wykrzywił i rozciągnął, jego kształt wydłużył się, wsysany centymetr po centymetrze w oblicze rzeźby. Wciągnęła go i wygięła w łuk w chwili, gdy wniknął w nią do końca. Jego zdławione krzyki umilkły.

Pod ciemnym kapturem zajaśniały dwa promienie rubinowego światła.

Kamień przemienił się w jasnokarmazynowe fałdy. Krew przesączała się przez falującą tkaninę szat i posąg się poruszył. Odwrócił głowę i zszedł z granitowego postumentu. Isobel patrzyła w bezruchu i przerażeniu, jak widmo okrąża ziejącą w ziemi dziurę, a zakrwawiony materiał porusza się wokół jego postaci, która raczej lewitowała niż szła.

Ciężki tren z czerwonej tkaniny podążał za nią. Ciągnął się przez pył, obsypując dziewczynę kaskadą zabarwionych na krwisty kolor drobinek.

Isobel zakaszlała i zatoczyła się w tył, wpadając do pustej już trumny. Zmrużyła oczy i jak zahipnotyzowana patrzyła przez obłok pyłu na postać krążącą wokół krawędzi otwartego grobu.

— Brad?

Posąg zatrzymał się. Jego błyszczące demoniczne spojrzenie padło na dziewczynę. Szeroki rękaw szaty uniósł się nad wykopem, nad

nią. Zakrwawione kościste palce zwinęły się powoli w pięść. Poczuli, że ziemia pod nią drży, wstrząsy przybierały na sile. Ponad nią brzegi dołu zadrgały, a ziemia i kamienie zaczęły się obsypywać, by w końcu runąć w dół istną falą.

Ziemia zasypywała ją ze wszystkich stron. Ciężkie grudy spadały na jej ciało, ten ciężar przyduszał ją, zdawał się ją miażdżyć.

– Nie! – krzyknęła, wymachując rękami. Wierzyła, próbując uwolnić się od deszczu ziemi i popiołu, który lada chwila mógł ją pochłonąć. Usiłowała wstać, a ziemia uciskała ją coraz bardziej. Zasypała jej nogi i uwięziła. Isobel sięgnęła obiema rękami ku krawędzi grobu, wyciągając je ku otwartemu niebu, ale ziemia osuwała się dalej, przykrywając ją do pasa, do piersi. Obsypywała się po jej ramionach, po głowie, wzbierała wzdłuż rąk, po kawałku pochłaniając światło. Wraz z nim znikał widok drzew, nagrobków, popielatego nieba i czerwonego, skrwawionego oblicza Śmierci Szkarłatnej.



*Śmierć Szkarłatna*

Narastająca cisza budziła w niej lęk. Isobel napała na otaczającą ją ziemię, na zamykającą się ciemność. Ziemne więzienie odpowiedziało na jej ruchy, jeszcze bardziej się zacieśniając.

Wyjść! Musi wyjść!

Z zaciśniętymi ustami wydała z siebie gardłowy okrzyk. Lecz kto miał ją usłyszeć? Nie mogła ruszyć rękami. Ani nogami. Niczym. W panice zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Ubita ziemia uciskała jej klatkę piersiową, gnioła płuca. Nie mogła oddychać!

Mimowolnie otworzyła usta, które natychmiast wypełniły się szorstkimi drobinami. Przełknęła i całe jej ciało wzdrygnęło się od cierpkiego smaku. Płuca płonęły, łaknąc powietrza. Serce waliło o żebra, błagając o uwolnienie.

Jeśli się stąd nie wydostanie, umrze. Wiedziała o tym. Umrze.

Varen. Raz za razem powtarzała to słowo w głowie. Varen, gdzie jesteś?

Nie doczekała się odpowiedzi i stopniowo znowu popadła w bezruch. Zamknięta w dławiących objęciach ziemi, słuchała jedynego dźwięku – trzepotu własnego serca, którego rytm zaczął zwalniać. Jej puls przypominał tykanie nienakręconego zegara, który ma stać na zawsze.

Pomyślała, że przynajmniej udało jej się go zobaczyć, powiedzieć mu, co czuje. Przynajmniej wiedział. Przynajmniej próbowała. Łzy napłynęły jej do oczu. Jak mogła umrzeć, skoro obiecała, że do niego wróci? Skoro na nią czekał? Zaciśnęła powieki i poczuła, że łzy od niej uciekają, skradzione przez ziemię, która odbierała jej oddech, a wraz z nim ostatnią nadzieję.

Coś chłodnego musnęło opuszki palców. Zdała sobie sprawę, że tylko niewielka część jej ciała wciąż znajduje się nad ziemią. Słabnąca świadomość powiedziała jej, że czuje wiatr. Wrażenie się powtórzyło, zgięła palce i poczuła miękki dotyk... tkaniny?

W jednej chwili miazdzący nacisk zelżał. Coś zagłębiło się w ziemię i Isobel natychmiast złapała rękę, która próbowała ją pochwycić. Pociągnęła ją i dziewczyna poczuła, że centymetr po centymetrze wysuwa się w górę. Ziemia wypuszczała ją ze śmiertelnego uścisku. Jej głowa wydostała się na powierzchnię. Zachłysnęła się powietrzem. Ktoś wyciągał ją na wolność.

Kaszłąc, wciągała hausty chłodnego powietrza. Płuca usiłowały wyrzucić grudki ciemnoszarej sadzy.

– Varen? – wycharczała, kurczowo łapiąc się rąk, które wydobywały ją z grobu. – Varen!

– Czemu nie zważasz na moje słowa?

Okryta rękawiczką dłoń mocniej zaciśnęła się na jej ramieniu. Isobel otworzyła oczy.

Za białego szala wwiercило się w nią mroczne spojrzenie Reynoldsa, niespokojne, gniewne i... przestraszone? Potrząsnął nią.

– Czemu mnie nie słuchasz? Mogłabyś przejąć kontrolę!

Świat wokół zdawał się pływać. Niebo nabrało barwy głębszego, burzliwego fioletu. Popiół spadał teraz bardzo gęsto i zatrzymywał się na jej rzęsach niczym płatki śniegu. Zamrugła, by się go pozbyć.

– Varen – zachrypiała. Puściła Reynoldsa i z trudem usiadła.

Jak przez mgłę widziała otwarte drzwi pałacu, w którym odbywała się maskarada. Ten stwór – Śmierć Szkarłatna – wszedł do środka.

Isobel napała na Reynoldsa. Próbowwała wstać, ale chwycił ją za rękę i przytrzymał za ramiona. — Tam go nie znajdziesz.

Wbiła w niego spojrzenie.

Przeciągły, niski jęk wiatru poruszył skrajem jego płaszcza. Wzmagaający się powiew poderwał w wirze chmurę opadającego pomiędzy nimi popiołu.

— O czym ty mówisz? Gdzie on jest?

— Uciekł. Gdyby mnie tu odkryto, jego uwolnienie mógłbym przypłacić resztką duszy, jaka mi jeszcze została. I ciebie też — dodał z najgłębszym przekonaniem. — Tak, naprawdę, można zapłacić za to najwyższą cenę. Nie pozwól, byśmy zapłacili ją na próżno.

Pokręciła głową, próbując zrozumieć.

— Jak...

— Poszedłem za tobą — powiedział ostrym tonem. — Nie dałaś mi wyboru. Wiedziałem, jak wejść do purpurowej komnaty. Oby mnie nie widziano. Jeśli nie został schwytany, czeka teraz po drugiej stronie, w twoim świecie.

Zawahała się, trzymając go za rękaw i pragnąc uwierzyć.

— Powiedziałeś, że nie ma sposobu!

— Tak naprawdę nie ma ucieczki dla niego... ani dla nikogo — odparł. — Chyba że połączenie, które stworzył, zostanie zniszczone. Dopóki trwa, ten świat zawsze będzie się o niego upominał.

Cofnął się i spod płaszcza wyciągnął kłęb zielonego materiału. Znajoma kurtka. Varena. Do pleców przypięty był wizerunek praka, na rękawach widniały zaś naszywki jego ulubionych zespołów. Zaskoczona Isobel sięgnęła po kurtkę. Wzięła ją w oblepione brudem ręce i po zapachu poznała, że naprawdę należy do Varena.

— Skąd to wzięłeś?

— Ofiarował mi ją jako dowód, bo nazwałaś mnie przyjacielem. Zatem teraz, jako przyjaciel, zaklinam cię. — Podniosła wzrok znad kurtki i zobaczyła szczere błaganie w czarnych oczach, wypełnionych w równym stopniu bólem i rozpaczą. — Pomóż mi spełnić obietnicę,



tak jak ja pomogłem spełnić twoją. – Zwiewne płatki popiołu zaczęły padać gęściej. – Świat snów i twoja rzeczywistość zaczęły się zrastać. Wszystko, co znasz, znalazło się w niebezpieczeństwie. Łączenie już trwa. Nie zakończyło się, więc ciągle istnieje nikła szansa. Dopóki zachowasz nadzieję i ja tak uczynię. Ale musisz zakończyć to teraz.

Jej wzrok powędrował na przekopaną ziemię, na gęsty, czarny ślad krwi, złowieszczy trop, pozostawiony przez Śmierć Szkarłatną.

– Co z Bradem?

– Jego duch, skradziony przez Noków, istnieje tu jedynie w postaci astralnej, w pułapce między światami. Dopóki trzymają go tutejsze moce, jego ciało pozostanie w twoim świecie, podczas gdy umysł, esencja, trwać będzie tutaj, w uwięzieniu. To bolesna więź, którą tylko śmierć może zerwać. To samo spotkało Edgara.

Podniósł się i Isobel poczuła, że ciągnie ją w górę i stawia na nogi.

– Ale jak mam go uwolnić, skoro nie mogłam go nawet dotknąć?

– Nie możesz go teraz dotykać. Wtłoczono go w rolę Śmierci Szkarłatnej, postaci, której jedyną rolą, jak dobrze wiesz, jest zniszczenie.

– Co masz na myśli? Przez kogo wtłoczony? Albo przez co?

– Nie ma już czasu na pytania. Jeśli pragniesz ich uratować, musisz działać natychmiast. Musisz zmienić sen, Isobel. Tutaj, w tym świecie, masz możliwość panowania nad otoczeniem, o ile wcześniej nie pozwolisz, by to ono nad tobą zapanowało. Ten grób... – Wskazał dół. – Mogłaś z niego wyfrunąć.

Z niedowierzaniem spojrzała na dół.

– Chodź – powiedział i puścił ją. – Musimy natychmiast udać się do lasu. – Ruszył przed siebie. Szlakiem krwi kierował się ku opactwu.

– Czekaaj! – zawołała za nim, tuląc do siebie kurtkę Varena. – Najpierw mi powiedz, po co wróciłeś. Czemu zmieniłeś zdanie?

– Nie ja zmieniłem – odparł, nie odwracając się – tylko ty.

Zrobiła chwiejny krok w jego stronę.

– Ale powiedziałeś... Skąd mam wiedzieć, że mogę ci ufać?

Odpowiedział jej, wciąż się nie zatrzymując.

– Podobnie jak ja nie miałem innego wyboru, niż obdarzyć cię zaufaniem, Isobel, ty również nie masz innego wyboru, niż obdarzyć nim mnie.

Popatrzyła na niego wściekłym wzrokiem i przeszło ją drżenie. Zawsze tak krążył i pozostawiał ją z większą liczbą pytań niż odpowiedzi. Miała ochotę krzyczeć, zażądać jednej, wyraźniej odpowiedzi. Tak albo nie.

Wiedziała jednak, że Reynolds ma rację. Czas minął. Przeciekł jej przez palce, przeleciał przez nie niby piasek i nie pozostawił innej możliwości, jak tylko mu zaufać. Ta osoba, ta istota, o której nie wiedziała niemal nic, a zarazem wiedziała wystarczająco wiele, by nazwać ją przyjacielem. Ostrzegął ją od samego początku. Uratował ją. Próbował uratować Edgara. A teraz starał się jej pomóc w ocaleniu Varena.

Ruszyła za nim, choć nogi chwiały się pod nią niepewnie, kolana bowiem miała bardzo osłabione. Przystanąła, by wsunąć ubłocone ręce w rękawy kurtki Varena. Ciasno otuliła się materiałem i postawiła kołnierz, jak to kiedyś u niego podpatrzyła. Ogarnął ją jego zapach, wypierając z jej umysłu gorzki smak ziemi i metaliczny zapach krwi. Teraz każde z nich miało coś, co należało do tego drugiego. Coś, co należało zwrócić. Podwójne zobowiązanie. Potwierdzenie, że wciąż jest szansa. Że znowu się spotkają, gdy koszmar wreszcie dobiegnie końca.

Kiedy ona go zakończy.

Reynolds odwrócił się i czekał, a czarny płaszcz powiewał wokół niego, gdy patrzył na nią przez zasłonę opadającego popiołu.

Podbiegła, by nadażyć, znowu pewnie stawiając stopy.

*Drzwi*

Dwuskrzydłowe drzwi pałacu zastali otwarte, a smuga krwi zaprowadziła ich do pierwszej komnaty – błękitnej. Kryształowe śnieżynki zwieszały się ze sklepienia, kołysząc się leciutko wśród niesamowitego bezruchu, który zajął teraz miejsce wcześniejszego gorączkowego chaosu maskarady.

Uczestnicy zabawy przerwali swoje błazeństwa i opuścili parkiet. Stali w zagubionym i zalęknionym tłumie, z opuszczonymi maskami, zerkając w kierunku otwartych drzwi, wiodących do purpurowej komnaty. Depcząc Reynoldsowi po piętach, Isobel pognąła do sali. A raczej do miejsca, gdzie purpurowa komnata powinna się znajdować. Zamiast tego znalazła się ponownie w magazynie – w Ponurej Fasadzie – gdzie donośna gotycka muzyka grzmiała na cały regulator i ten nagły hałas zupełnie ją zaskoczył, aż przez ułamek sekundy miała wrażenie, że świat naprawdę się już skończył.

Zagubiona, obejrzała się. Łukowate wejście do komnaty pozostało na swoim miejscu, zawieszane w powietrzu, a wszyscy patrzyli na nią z minami równie zdumionymi, jak jej własna. Zerknęła w dół. Między jej stopami podłogę znaczyła długa, mokra smuga krwi.

Podążyła za nią wzrokiem, a jej spojrzenie zatrzymało się na rąbku szaty, poznaczonej czerwonymi plamami.



Śmierć Szkarłatna. Lewitowała pomiędzy innymi przebierańcami, wśród których Isobel dostrzegła zarówno gotów, jak i dworzan ze snu. Obydwa światy dopiero zaczęły zauważać się nawzajem.

Reynolds pojawił się nagle u jej boku.

– Uważaj – warknął i popchnął ją.

Syczący dźwięk wdarł się do jej uszu, gdy jakiś Nok znalazł się między nimi. Reynolds, ręką szybką niczym atakująca kobra, chwycił go za szyję i grzmotnął nim o ziemię, gdzie stwór rozpadł się na kawałki pod wpływem uderzenia, a zanim to nastąpiło, na jego twarzy odmalował się szok.

Kilkoro przebierańców i gotów wrzasnęło, cofając się przed tym zamieszaniem.

– Reynolds! – jęknęła Isobel, wyciągając rękę. Za jego plecami inny Nok zaczął nabierać kształtów w mętnym fioletowym obłoku. Reynolds obrócił się, biorąc zamach jedną ręką, precyzyjnym, wyćwiczonym ruchem. Jego cios przeciął liliową mgłę i Nok odpłynął ze śmiechem. W jego miejsce pojawił się inny, który zerwał Reynoldsowi kapelusz i włożył go sobie głowę, podczas gdy w powietrzu zmaterializował się jeszcze jeden, unosząc karmazynowe szpony.

Isobel skoczyła do Noka szykującego się do ataku. Na jej widok zapiszczał z przerażenia i rozwiął się. Gdzieś z prawej usłyszała krzyk, który rozbrzmiał jak echo, a po nim kolejne uderzenie. Głowa Noka, który ukradł Reynoldsowi kapelusz, oddzielona teraz od ciała, potoczyła się i zatrzymała przy jej stopach, kierując w górę puste oczodoły. Dziewczyna tupnęła i zmiażdżyła twarz.

Pozostali Nokowie zajęczeli z przerażeniem, po czym cofnęli się jak jeden mąż, rozproszyli się i przybrali ptasie formy. Ciemne skrzydła poniosły ich w górę, aż przycupnęli na balustradzie galeryjki. Tam krakali, podskakując, a brzmiało to jak miotane przekleństwa.

Isobel zerknęła w dół i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Reynolds wkłada kapelusz na gęste, ciemne, gładko zaczesane włosy.

Gdzieś w tłumie krzyknęła dziewczyna. Gotycka muzyka stopniowo milkła, jękliwy głos wokalisty również. Wszyscy zaczęli cofać się na widok Śmierci Szkarłatnej. U jej stóp leżała jedna z tancerek ze snu, w srebrnej sukni poznaczonej karmazynowymi plamami. Pod maską gołębia jej twarz krwawiła lśniąca czerwienią ze wszystkich porów.

— To już się toczy — stwierdził Reynolds. — Musisz iść teraz do lasu, znaleźć drzwi ze znakami. Poznasz je, kiedy zobaczysz. Połączenie między naszymi światami znajduje się w środku. Powodzenia i strzeż się białej.

— Co...? Ale nawet nie wiem, jak...

— Idź — ponaglił. — Tylko ty możesz zmienić sen. Tylko ty możesz zerwać połączenie.

Zawahała się.

— A co z tobą?

— Będę walczył tutaj.

Pokręciła głową.

— Nie to miałam na myśli.

Ich spojrzenia się spotkały. Zaskoczenie rozświetliło od wewnątrz mrok jego oczu. A potem roześmiał się gorzko.

— Dla mnie najgorsze dawno nastąpiło. Idź już.

— Ale...

— Nie mogę zwyciężyć Śmierci Szkarłatnej. Nie mogę, nie uśmiercając chłopca, którego duszę uwięziła. Mogę jedynie trzymać ją na dystans, i to do czasu. Wiedz, że zrobię, co będę musiał.

— Co? Brad? Nie! Ale... ale nawet nie wiem, jak stąd dostać się do lasu!

— Utwórz drzwi, Isobel — pouczył ją. — Kiedy nie ma drogi, musisz ją sobie zrobić. — Jego ręce zniknęły pod połami płaszcza. Rozległ się metaliczny zgrzyt i po chwili wyłoniły się dłonie w rękawiczkach. W każdej dzierżył teraz krótkie, zakrzywione ostrze. Dwie srebrne szable. Połyskiwały w promieniach stroboskopowych światel. Bez



dalszych słów odwrócił się od niej. Pewnym, odmierzonym krokiem ruszył prosto w stronę Śmierci Szkarłatnej.

Jakby zaalarmowany jakimś dodatkowym zmysłem, blask oczu upiora zajaśniał niczym ogień piekielny i Śmierć odwróciła się, by go powitać.

Isobel patrzyła, jak w jednej chwili dwie postacie ze świata snów stanęły naprzeciwko siebie, niby figury na szachownicy. Jedna w czerni. Druga w czerwieni.

Kiedy napięcie między nimi pękło i nastąpił ruch, przypominało to walkę ciem o światło. Płaszcz szeleściły i powiewały. Błyskały klingi. Niczym wysuszone liście, poruszane burzą, krążyli wokół siebie i żaden nie zadawał ciosu, lecz obaj wirowali w niekończącej się furii.

Jedno z ostrzy Reynoldsa trafiło płaszcz Śmierci Szkarłatnej. Prześiąknięta czerwienią tkanina zsunęła się, odsłaniając głowę i tors, które mogłyby należeć do szkieletu. Żebra prężyły się, jakby chciały przerwać napiętą żółtą skórę, przylegającą do ciała stwora na podobieństwo mokrego materiału. Krew kapłała z zapadniętych oczu, z pomarszczonych ust i koniuszków wyciągniętych palców.

Przestrzeń, z której wcześniej ustąpił tłum, znowu się poszerzyła, gdy wszyscy się cofnęli. Goci zdjęli maski, a na ich twarzach malowały się przerażenie, niepewność, dezorientacja, a w końcu – podniecenie.

W pewnej chwili ktoś wzniósł okrzyk zagrzewający do walki.

Typowe – tylko taka myśl przyszła do głowy Isobel. Nawet w tych okolicznościach nie mogła się powstrzymać i wzniosła oczy. Goci myśleli, że to się nie dzieje naprawdę. Uważali, że to widowisko. A właściwie czemu nie, skoro lubowali się w takich pokręconych klimatach?

Powyżej, na galeryjce, złożona z Noków widownia krakała i chrypiała gorączkowo w ptasich postaciach. Ptaki podskakiwały wzdłuż balustrady i śledziły walkę paciorkowatymi, żądnymi krwi oczami, jakby pragnęły się włączyć, lecz za bardzo się bały, by sfrunąć w dół i zadawać ciosy.



Donośny szum powietrza rozległ się ze środka otwartej przestrzeni. Niczym domek z kart Śmierć Szkarłatna zapadła się w siebie, pochłonięta przez podłogę. Zostawiła po sobie ciemną, złowieszcą plamę. W następnej chwili wyłoniła się za Reynoldsem, górując nad nim jak cień, zdolny przysłonić wszystko.

Niczym za sprawą magnesu broń wyleciała z dłoni Reynoldsa. W powietrzu obydwie ostrza zwróciły się w jego stronę, a on obrócił się, by przyjąć ciosy na pierś.

W masie gapiów podniósł się zbiorowy krzyk, a w nim piskliwy wrzask Isobel.

Wyrwała się naprzód i puściła się biegiem, gdy Śmierć Szkarłatna z mocą pchnęła Reynoldsa w tył. Runął ciężko na deski podłogi i sunął po niej bez przytomności, aż zatrzymał się u stóp Isobel.

– O mój Boże! – wykrzyknęła i opadła przy nim na kolana.

Co powinna zrobić? Jej dłonie zatrzepotały nad nim bezużytecznie, niby ogłupiałe motyle. Sięgnęła po ostrza, ale zaraz cofnęła ręce. Jej spojrzenie padło na biały szal, okrywający jego nos i usta. Czy pierwsza pomoc w ogóle wchodziła w grę?

Otworzył oczy i krzyknęła. Popatrzył na nią spod runda kapelusza, po czym chwycił rękojeści obu ostrzy. Jednym ruchem wyciągnął je sobie z piersi. Z miejsc, które powinny być ranami, posypał się szary popiół niczym piasek. Potem otwory się zasklepiły i wszelkie ślady obrażeń zniknęły wśród czerni ubrania.

Isobel patrzyła jak oniemiała.

– Czemu tu jeszcze jesteś? – warknął, po czym poderwał się z podłogi. Klingi skrzyżowały się, Reynolds ruszył do ataku i umieścił je w plecach Śmierci Szkarłatnej, powstrzymując jej marsz ku cofającej się grupce dziewcząt, przebranych za upadłe anioły. Demon wygiął się i zawył niczym stado oszalałych psów. Reynolds szybkim ruchem rozkrzyżował ostrza, zadając czyste cięcie. Przeszły przez środek postaci, która rozwiła się z wrzaskiem i przekształciła w syropowatą, czerwono-czarną ciecz, plamiąc śnieżną biel szala Reynoldsa.

Nie było chwili do stracenia.

Płyn na podłodze przelewał się i wirował. Zebrał się w jednym miejscu i niczym upiór wychodzący z grobu spowita szatami postać powstała, znowu stanowiąc całość. W rubinowych oczach błysnęła wściekłość.

Podobnie jak wszyscy inni, Isobel stała jak wryta, oczarowana rozgrywającą się na jej oczach walką z innego świata. W każdym razie do chwili, gdy jedno z ostrzy Reynoldsa poszybowało w jej stronę i wbiło się w podłogę tuż przy jej nodze. Dziewczyna podskoczyła i zachwiała się w tył.

– Idź! – huknął.

Uznała, że lepiej nie czekać, aż pośle w jej stronę drugą broń. Odwróciła się i pognąła na złamanie karku przez ciżbę oszołomionych gapiów. Torując sobie drogę, przepychała się między niezliczonymi pustymi spojrzeniami zza masek.

Ale dokąd się wybierała?

Odpowiedź nadeszła, gdy coś złapało ją za nogę i potknęła się. Runęła na podłogę, podpierając się rękami.

– Ojej! Podać ci pomocną dłoń?

Ten głos! Obróciła się i zobaczyła go. Unosił się nad nią, wyciągając ku niej pustą w środku, poszarpaną część utraconej ręki.

– Czekaj – powiedział Pinfeathers, cofając kończynę. – Już ci dzisiaj jedną dałem, nie?

Odepchnęła się od podłogi, gotowa do biegu. Nogą przygwoździł ją z powrotem. Upadła z ostrym, pełnym bólu jękiem, a on ją obrócił i rzucił na plecy. Za nim zafurkotała istna nawałnica i pozostali Nokowie po kolei przybierali prawdziwe kształty, po czym otoczyli ją jak stado żarłocznych sępów.

Czarnym butem Pinfeathers przycisnął do podłogi jej wyciągniętą rękę. Dłonią, która mu pozostała, podniósł coś zakrzywionego, ostrego i błyszczącego, po czym oparł to na jej ramieniu ku zachwytowi innych Noków. Oczy Isobel zrobiły się szersze na widok klingi



Reynoldsa. Dopiero teraz zrozumiała, że widocznie chciał, by wzięła broń. Zrozumiała, jaka była głupia, że ją tam zostawiła.

– No, no – westchnął Pinfeathers, obracając klingę, by pochwyciła światło. – Wiesz, jak to mówią... oko za oko i tak dalej.

Nokowie zanieśli się ochryplym śmiechem.

– Nie! – Przekręciła się, wymierzając silnego kopniaka prosto w jego bok. Ku własnemu zaskoczeniu trafiła i poczuła, jak część jego tułowia zapada się pod obcisłą kurtką. Ryknął, choć chyba bardziej z wściekłości niż z bólu.

Inni Nokowie, których rechot przerodził się w pełne współczucia syki, oddalali się od niej, wijąc się i kuląc na podobieństwo węży.

– Trzymajcie ją! – rozkazał Pinfeathers, dla podkreślenia swoich słów machając klingą. Nokowie usłuchali jak jeden mąż. Zimne, gliniaste ręce uczepiły się jej przedramienia, a szpony wbijały się w nogi, gdy przyciskali ją do podłoża.

Isobel wierzgała i rzucała się w ich uścisku, gorączkowo się rozglądając. Ale wokół nie było nic, czego mogłaby się chwycić, nic, czego dałoby się użyć jako broni, ani nikogo, kto by jej pomógł.

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy, czekając na ból. Poukładała myśli i w głowie stworzyła sobie obraz drzwi. Pomyślała o takich, które zaprowadziłyby ją do lasu. Reynolds powiedział, żeby zrobiła sobie drogę. Wyobrazila sobie drzwi za sobą, dokładnie za plecami, tam gdzie teraz znajdowała się podłoga. Przysuwając rękę jak najbliżej do boku, zaczęła macać palcami w poszukiwaniu klamki... aż dotknęła czegoś twardego.

Zachłysnęła się i otworzyła oczy.

W ułamku sekundy klinga opadła, ze świstem tnąc powietrze. Isobel naprężyła wszystkie mięśnie, gotowa na to, że odetnie jej rękę. Chwyciła klamkę, lecz wiedziała, że nie zdąży już jej nacisnąć. Ostrze spadło i poczuła, jak... pęka?

Wśród Noków podniosły się szepty, podszyte podejrzliwością i lękiem. Puścili ją i cofnęli się, jakby podjęli jednogłośnie decyzję.



Isobel podniosła głowę z podłogi, by spojrzeć, upewnić się, że jej umysł nie zablokował po prostu uczucia bólu. Ale to ostrze leżało z boku, połamane, a nie jakaś część jej ciała. Jej szeroko otwarte oczy natychmiast skierowały się na Pinfeathersa, który, wciąż nad nią górując, podniósł rękojeść strzaskanej broni, by się jej przyjrzeć.

– Hmm – mruknął. – Tego się obawiałem.

Dziewczyna wykorzystała okazję. Chwyciła klamkę, którą utworzyła w podłodze, i pociągnęła. Grunt pod nią otworzył się i runęli w dół.

Zaskoczony Pinfeathers spadł obok, podczas gdy Isobel mocno trzymała klamkę. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, gdy jej ciało zatrzymało się z szarpnięciem i zawisała nad światem popiołu, zwiedłych liści i czarnych jak węgiel drzew. Spojrzała w dół, między swoje stopy, i zobaczyła, jak Pinfeathers przemienia się w gęste spirale atramentu, by nie gruchnąć o ziemię, znajdującą się trzy metry niżej.

Udało się, uświadomiła sobie, szybko rozglądając się dookoła. Wróciła! Udało jej się dotrzeć do lasu.

Krąg głów innych Noków pojawił się wokół otwartych drzwi nad nią. Ich szepty nie ustawały. Odwracali głowy, spoglądając po sobie, ale żaden nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją pochwycić.

Zaciśnięta na klamce dłoń Isobel zaczęła się z niej ześlizgiwać. Puściła i przygotowała się na upadek, ale wylądowała na nogach. Pinfeathers jeszcze raz przybrał ludzkie kształty. Stał w pewnej odległości od niej, podczas gdy pozostali Nokowie, przeobrażając się w ptaki, zaczęli wlatywać przez otwarte drzwi. Ptaki siadały na gałęziach przypominających szkielety drzew, obserwując i czekając.

Wokół nich padał deszcz popiołu, na tyle ciężkiego, że gromadził się na ramionach kurtki Varena. Włosy Isobel były już zupełnie potargane, a jej twarz smagały podmuchy zimnego wiatru.

Fioletowe niebo w górze było wzburzone niczym oko cyklonu. Drzwi, otwarte i zawieszane na niebie, zamknęły się z następnym powiewem. Rozejrzała się po drzewach i dostrzegła inne drzwi. Były

węższe, znajome. Od razu rozpoznała w nich te, których szukała. Zupełnie jakby, ośmieliła się pomyśleć, to drzwi szukały jej.

Albo czekały przyczajone.

Gdy się zbliżyła, ujrzała dwa napisy, przyklejone taśmą. Słowa napisane były od tyłu, ale nie musiała czytać, by znać ich treść. Wiedziała, że górny brzmi: NIE WCHODZIĆ, dolny zaś: UWAGA NA BESS.

*W zastłonach*

Isobel stanęła przed drzwiami. Za nią Nokowie nawoływali i chrypieli. Wiatr szarpał jej włosy, kurtkę i skraj porwanej sukienki. Przyczepione do drzwi kartki z napisami zaszeleściły od tych podmuchów i lada chwila mogły odlecieć, bo wiatr szybko nabierał gwałtowności. Sięgnęła do klamki, która tym razem znajdowała się po lewej stronie drzwi, odwrotnie niż w księgarni Bruce'a – było z nią podobnie jak z napisami. Obok niej rozległ się szelest i stanęła, po czym szybko odwróciła głowę, by zobaczyć, jak chwiejnie zbliża się do niej Pinfeathers.

– Nie rób tego – ostrzegła go.

Zamarł, pozostając w odległości paru metrów. Inni Nokowie umilkli i znieruchomieli na drzewach, podczas gdy Pinfeathers taksował ją ostrożnym wzrokiem. Spokojnie odpowiadała chłodnym spojrzeniem. Najwyraźniej oboje już wiedzieli, do czego jest zdolna.

– Wiem, co myślisz – powiedział, a jego brzęczący głos przybrał gładki, dyplomatyczny ton. Jego oczy spoglądały to na drzwi, to na nią. – Dlatego kieruję do ciebie to samo ostrzeżenie.

Popatrzyła na niego przez zmrużone powieki. Jego działanie miało w sobie coś bardzo dziwnego. Czy jeszcze przed chwilą nie próbował ciąć jej szablą? Więc dlaczego nagle zachowywał się jak Mówią-



cy Świerszcz z *Pinokia*? I dlaczego po zacieklej walce na cmentarzu w ostatniej chwili się zmienił i zaproponował jej pomoc?

To, że chciał się nią bawić, było oczywiste od samego początku. Ale w tym było coś więcej. Krył w sobie jakiś głębszy sekret, poza pustą maską, jaką była jego twarz. Myślami wróciła do purpurowej komnaty, do dziwnej rozmowy Pinfeathersa i Varena. Kim dla siebie byli?

Wiedziała, że to zbyt niebezpieczne pytanie, by zadać je stworowi, który stał przed nią, musiała je zatem zachować, wraz z tyloma innymi, dla Varena. Miała jednak inne pytania do tego, który wydawał się przywódcą Noków.

– Co znajdę za tymi drzwiami? – spytała.

– Drugą stronę tego, co znasz – odparł ze śmiechem. – To zupełnie jak ze mną. – Jego uśmiech zgasł.

Przebiegł ją dreszcz.

– O co ci chodzi? – Starła się, by zabrzmiało to jak żądanie odpowiedzi, ale sama słyszała nutkę niepewności i strachu w swoim głosie.

– Ach. – Pokonał dzielący ich dystans szybkimi, rwanymi ruchami, aż stanął tuż za nią. Ręką, która mu pozostała, otoczył jej klatkę piersiową. – Chodzi mi o to, że może ci się nie spodobać to, co tam zobaczysz, i tyle.

Zesztywniała, tolerując jego bliskość. Jej ręce, opuszczone wzdłuż boków, zacisnęły się w pięści.

– Możesz mnie dotknąć, ale nie możesz skrzywdzić – zgadła.

– Tak właśnie jest – przyznał. – Bo, pamiętaj, nie chcę cię skrzywdzić. Ale musisz zrozumieć, Isobel, zawsze jest ta cienka linia. – Gdy mówił, przesunął dłoń na jej kołnierzyk. Dotyk miał lekki jak piórko. – Między tym, czego chcemy... a tym, co nam każą. – Jego zimne palce zawinęły się na jej gardle.

Chwytnąjąc powietrze, złapała go za rękę. Rozpłynęła się pod jej dotykiem i zacisnęła palce na własnej skórze. Przesunął się wokół

niej jako zwoje fioletu i czerni, wymieszane z wirującymi popiołem. Pojawił się znowu, tarasując drzwi, jego postać zamigotała i nabrała kształtów.

– Otwórz te drzwi, a bez względu na wszystko już ich nie zamkniesz – uprzedził.

– To trochę tak jak z tobą i twoją buzią – odpaliła i ruszyła, by go odepchnąć. Strach błysnął w jego oczach i znowu się rozpadł, by odsunąć się na bok. Złapała klamkę i w tym momencie Nokowie na drzewach znowu się ożywili. Usłyszała furkoty i szmery.

– Tam nie wystarczą przewroty w tył i zgrabne sztuczki, czirliderko! – zawołał Pinfeathers. Usunął się z pełnym lęku szeptem, który brzmiał jak: *Tekeli-li!*

Inni Nokowie natychmiast podjęli ten zew. Ochrypłym krakaniem powtarzali okrzyk niczym echo:

– *Tekeli-li!* – wołali suchymi głosami. Już to słyszała wtedy, gdy pierwszy raz znalazła się w lesie. Ale co to znaczyło? Poderwali się z czarnych gałęzi i machali skrzydłami, zmagając się z ruchem powietrza. Unieśli ze sobą dziwne słowo i zniknęli w smugach fioletu.

Isobel została sama i znowu skupiła uwagę na drzwiach. Wzięła szybki wdech, po czym pociągnęła klamkę. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się do środka. Gdy przekroczyła próg, odniosła wrażenie, że przechodzi przez ekran z energii statycznej. Elektryczne mrowienie utrzymało się na jej skórze niczym igły i szpilki, gdy znalazła się w wąskiej przestrzeni pod schodami. Wiatr za jej plecami natychmiast ucichł. Obejrzała się, by zobaczyć, jak świat popiołu i węgla trzęsie się i kołysze. Ślady ładunków elektrycznych migotały nad tą sceną, która wyglądała jak w wyciszonym telewizorze.

Powietrze na schodach było stęchłe jak w starej szafie. Zimne snopy szarobiałego światła wpadały przez kwadratowe okno nad wąskimi drewnianymi stopniami. Drobiniki kurzu unosiły się w jaśniejszym blasku jak małe, zagubione istoty. Same schody, wciśnięte



między dwie wyłożone drewnem ściany, prowadziły w górę, wiedziała, że na strych.

Popiół wypadł z rękawów kurtki Varena, gdy dziewczyna szła naprzód, by pokonać pierwszy stopień.

Przyłożyła dłonie do obu ścian. Weszła na drugi schodek, który zakrzypiał pod nogą. Serce mocno zabiło jej w piersi, pompując krew do uszu i adrenalinę do organizmu. Wyczuwała czyjąś obecność w pomieszczeniu na szczycie schodów. Przypominało to wibracje szumiące w powietrzu albo kamerton umieszczony gdzieś w głębi jej ciała. Odwróciła się przez ramię i zobaczyła, że burza na zewnątrz się wzmogła. Splątane gałęzie patykowatych drzew chwiały się, szaleńczo szarpiąc się nawzajem. Popiół kręcił się w dzikich wirach i zbierał w chmury, jak podczas burzy piaskowej. Wciąż jednak nie docierał do niej żaden odgłos tego chaosu.

Gdy Isobel pokonała ostatni stopień, okazało się, że jest na strychu sama. Stół i krzesła, na których siedziała kiedyś z Varenem, unosiły się teraz w powietrzu, podobnie jak kilka książek, a sfatygowany dywan krążył leniwie nad podłogą.

U szczytu schodów wyjrzała przez okno, przed którym teraz stała. Powinno jej ukazać ceglana ścianę i okna sąsiedniego budynku. Zamiast tego ujrzała tylko targany wicher las poniżej. Tak samo było z drugim oknem, owalnym, znajdującym się nad stołem, które w prawdziwym świecie wychodziło na ulicę. Było to miejsce, w którym pierwszy raz czytała Poego. Gdy tak stała, patrząc na to wszystko, miała wrażenie, że od tej chwili minęły lata.

Jej spojrzenie podążyło do znajomego cienkiego brulionu, który unosił się blisko stołu. Od razu poznała czarny notatnik Varena i poszła, by po niego sięgnąć. Trzymała go między dłońmi i przesuwiała palcami po okładce. Otworzyła brulion i zaczęła przewracać strony, gęsto wypełnione jego pięknym pismem. Zatrzymała się na rysunkach, uświadamiając sobie nagle, że już je widziała. Z grubsza naszkicowane twarze patrzyły na nią, twarze, w których brakowało



sporych fragmentów. Pośrodku ujrzała znajome oblicze Pinfeathersa, choć portret nie był podpisany. Widziała te strony w bibliotece, gdy pierwszy raz się spotkali, by zająć się projektem. Obróciła notatnik, zauważywszy wiersz, zapisany w pionie, wciśnięty między rysunki a krawędź strony.

*Nokowie*

*Nokowie*

*W podłodze mieszkają*

*Nokowie*

*Nokowie*

*Do drzwi znów pukają*

*Nokowie*

*Nokowie*

*W grupach się zjawiają.*

Poczuła, że ma w żyłach lód. Przewróciła następną kartkę, potem kolejną. Wszystkie zapisane były słowami, które zdawały się przechodzić jedno w drugie. Kartkowała brulion coraz szybciej, a papier zdawał się szeptać do niej o swojej treści. Ona. Sen. Marzenia. Powrót. Ona. Prawda. Pragnienie. Ucieczka. Zatrzymała się i zaczęła czytać od góry strony, gdzieś w środku notatnika.

*Znowu stał w tym miejscu, w środkowej krainie, w lesie między światami, i czekał na nią. Przybyła, z bladą skórą rozświetloną do widmowej bieli w świetle błyskawic. Niebo wirowało, a jej czarne włosy były rozpuszczone i omiatały ramiona o barwie kości słoniowej. Szary popiół spadał z nieba.*

*– Moje więzienie – powiedziała – się rozpada. Kiedy wreszcie napiszesz moje zakończenie? Kiedy, ukochany, mnie uwolnisz?*

*– O północy – szepnął. – Tej nocy, najważniejszej spośród nocy w całym roku.*

*– Dobrze się spisales. – Ruszyła ku niemu. Pierwszy raz go pocałowała. Jej usta, blade i zimne, złożyły pieczęć na jego ustach i związały ich.*

Isobel znowu przewróciła kartkę i tutaj charakter pisma uległ przemianie z eleganckich, równych liter w nieczytelne bazgroły. Przeczytała jedynie fragment na samym dole, wyraźniejszy od reszty.

*To powinno go uszczęśliwić. To powinno go zmienić. Lecz nie zmienia. Nie może. On już się zmienił. I nie wiem, co dalej pisać, bo boję się, co będzie. Bo nie mogę myśleć, a ona prosi, bym pisał, lecz nie wiem, co pisać, i nie mogę myśleć, bo nie wiem, co pisać. Nie mogę myśleć. Nie mogę myśleć. Isobel. Isobel. Isobel.*

Ciepła fala rozlała się po niej i rozgrzała jej skórę. Patrzyła z niedowierzaniem na swoje imię, zapisane tak rozpaczliwie na śnieżno-białym papierze. Przysunęła brulion, próbując sobie wyobrazić jego, jak tu siedzi i to pisze. Kiedy? Nie było daty. Za jej imieniem, napisanym trzy razy, strona była pusta, jeśli nie liczyć małego czerwonego kleksa w dolnym rogu. Krew?

Gwałtowny łoskot rozdarł ciszę. Isobel podskoczyła i omal nie upuściła brulionu. Książki, stół i krzesła spadły na podłogę z donośnym brzękiem.

Drzwi.

Isobel odwróciła się i odkryła, że nie jest już sama.

Na szczycie schodów stała kobieta. Warstwy połyskującej bieli spowijały krągłości jej drobnej, choć wysokiej sylwetki, zupełnie jakby materiał utkano z promieni księżycy. Przejrzysta biała woalka zakrywała jej głowę niczym strzęp wycięty z gasnącej gwiazdy. Pukle lekko kręconych włosów, gęstych i kruczoczarnych, spływały poniżej jej opuszczonych dłoni, ostro kontrastując z bielą. Zza woalki patrzyło dwoje dużych onyksowych oczu.

Minęła chwila, zanim Isobel zdołała dobyć z siebie głos.

– Ty jesteś... ty jesteś Bess?

– Mam wiele imion – odparła zjawą. Głos miała głęboki i gardłowy, a jednak w pełni kobiecy. – Jestem Lila. Jestem Ita i *Li-li*. Jestem Ligeja. Jestem Lilith.

Isobel przełknęła ślinę, czując nagłą suchość w ustach. Schizofrenia czy jak? Pomyślała, że znany i lubiany tekst: „Jesteś dobrą czy złą czarownicą?” nadawałby się w sam raz na drugie pytanie, lecz postanowiła go nie zadawać. Bess, Lilith czy kto tam, nie sprawiała wrażenia kogoś, kto lubi żartować. I pomimo tej bieli nie sprawiała też wrażenia dobrej czarownicy.

– Ligeja... – mruknęła Isobel. Mocno przycisnęła czarny brulion do siebie i jej myśli wróciły do tekstu piosenki, którą słyszała w lodziarni, tej, którą Varen puścił przez głośniki, kiedy sprząтали. – Przecież to tylko bohaterka opowiadania.

Kobieta wyciągnęła rękę. Ruch zdawał się nagły, nienaturalny, i Isobel musiała zмагаć się sama ze sobą, by się nie cofnąć.

– Czy nie jak my wszyscy? – spytała tamta.

Wszystkie alarmy wewnątrz dziewczyny wyły, gdy patrzyła, jak przejrzysty rękaw opada, by odsłonić rękę kobiety. Jej otwarta dłoń była bielsza od otaczającej ją tkaniny, skóra zaś wyglądała jak doskonały marmur. Czy Reynolds nie uprzedzał jej, by „strzegła się białej”? Wspominając te słowa, Isobel zacisnęła szczęki. O ile go jeszcze kiedyś spotka, musi mu podziękować za tak przydatną, szczegółową radę.

Jej wzrok wędrował to na postać kobiety, to na jej wyciągniętą dłoń. Milczący gest sugerował dawanie bądź wymianę, więc dziewczyna tym mocniej trzymała brulion. Czemu tamta go chciała?

Kobieta zrobiła krok w jej stronę i tren jej sukni zaszeleścił na podłodze. Tym razem Isobel nie sprzeciwiła się swojemu instynktowi. Cofnęła się i wpadła na stół za sobą. Oparła się ręką o blat, w drugiej ściskając czarny notatnik Varena, i odzyskała równowagę.

– I ty, Isobel – mówiła kobieta – możesz być zaledwie cieniem, snem kogoś innego, kto z kolei sam się komuś śni.



– Moim zdaniem nie ma to większego sensu – powiedziała Isobel, tylko dlatego, że właśnie ta myśl przyszła jej do głowy. Jeśli zdoła przeciągnąć tę pogawędkę, może uda się jej dostać na schody i do drzwi. Z drugiej strony, nie mogła jeszcze odejść. Gdzie jest połączenie między światami, które kazał jej znaleźć Reynolds? Czy to nie z jego powodu tu trafiła? Czemu go jeszcze nie znalazła? Czy Reynolds nie mówił, że pozna je, gdy zobaczy? A nawet gdyby znalazła, jak niby miała je zniszczyć?

– Obserwowałam cię – oznajmiła kobieta – od tej nocy, gdy pierwszy raz weszłaś w jego sny.

Z plecami przyciśniętymi do ściany Isobel centymetr po centymetrze przesuwiała się w stronę klatki schodowej. Kobieta obróciła się i biała zwiewna tkanina ciasniej owinęła się wokół jej ciała niczym strój mumii. Poprzez zasłonę woalki czarne studnie oczu śledziły każdy ruch dziewczyny.

– Na początku byłeś tylko kolejnym węgielkiem dorzuconym do ognia. Paliwem dla jego nienawiści. I miałabym powód, by ci dziękować. Później jego sny się zmieniły. – Pod woalką jej głowa odchyliła się w bok i delikatne brwi ściągnęły się, jakby kobieta nie do końca pojmowała własne spostrzeżenie. – Nieproszona wdarłaś się w zakątki jego podświadomości i w nasz czas. Sam twój obraz stał się utrapieniem, odwracał uwagę. – Jej dłoń zacisnęła się w pięść. – W tym pomieszczeniu to nie ja byłam duchem, lecz ty. Wysłałam ich zatem po ciebie, dopóki jeszcze byli posłuszni. W końcu wtedy byłeś jeszcze w jego umyśle czymś niepewnym. Dopadliby cię tamtej nocy, gdyby nie wsparcie i ochrona twojego zamaskowanego strażnika.

Isobel już po sekundzie zrozumiała, że mowa o wieczorze, gdy wyszła z księgarni i trafiła do parku. Przypomniała sobie, co powiedział niebieski Nok z krypty. Czy i on tam był tamtego wieczoru? A głos, który szeptał do niej, by uciekała? Czy niebieski Nok nie wspomniał o „zamaskowanym przyjacielu”? Oczywiście. Teraz wszystko nabierało sensu, to Reynolds próbował ją ostrzec.

– Ostatecznie jednak nie bardzo masz za co dziękować swojemu tajemniczemu koleźce – powiedziała Lilith. – Z czasem odkryję także jego i szybko się przekonam, jaki szczególny los szykują tym Zagubionym Duszom, które mnie zdradzają.

– Po co to robisz? – spytała Isobel. – Czemu Varen?

– Nie jest taki jak inni, prawda? – odrzekła tamta niemal tęsknie i podpłynęła do owalnego okna. Za nim Isobel zobaczyła nowe światło, ciepłe i pomarańczowe, jak blask latarni ulicznej. – Jest szczególnie, nawet w porównaniu z tymi, którzy przyszli przed nim – ciągnęła. – Tak jak oni posiada zdolność odbierania i interpretacji barw i cieni świata snów, dawania życia i ciała nowym, takim jak Nokowie. Ale jest też coś więcej, ta energia, która wiedzie go do niszczenia tego, co stworzył. Jedyne, czego mu brakuje, to kontrola. Już samo to czyni z niego doskonałość. Dzisiejszej nocy dokończy moją opowieść. Dzisiejszej nocy, gdy znikniesz na dobre, on mnie uwolni.

Ojoj, pomyślała dziewczyna. Co takiego? Przewińmy do tyłu. Co oznaczało to: „Znikniesz na dobre”? Zmusiła się do uśmiechu, cofając się niezdarnie, coraz bliżej i bliżej schodów. Najwyraźniej, mimo że Isobel nosiła jego kurtkę, Pani Pięknowłosa nie rozumiała, że Varen jest już gdzie indziej. Najwyższa pora, by Isobel też wyszła, niezależnie od tego, czy połączenie między światami zostało zerwane, czy nie.

Właśnie wtedy uderzyła ją ta myśl. Instynktownie mocniej chwyciła brulion. Odpowiedź przyszła do niej w mgnieniu oka i nagle nabrała sensu. Zawierała wszystko. Drzwi Varena do świata snów. Historię Lilith. Noków. Ten most, łączący dwie krainy miał się stać jej wyjściem. Połączenie, które według Reynoldsa miała poznać – trzymała je w swoich rękach!

Lilith zauważyła najwyraźniej olśnienie Isobel, bo odwróciła się i przewierciła ją swymi czarnymi jak puste dziury oczami.

– Już za późno – powiedziała – żebyś cokolwiek zrobiła. – Przeklął cię tej nocy, gdy napisał twoje imię na tych stronicach, stałaś się



bowiem częścią opowieści. To dlatego potrafisz widzieć nas w pełni w swoim świecie. Nie zastanawiałaś się nad tym?

– Jeśli zniszczę ten brulion – odparła dziewczyna – wszystko zniknie. Ty, razem ze wszystkim innym, wrócisz tam, skąd przybyłaś.

– A co będzie z tobą, Isobel? Z tobą, która stoisz jedną nogą w każdym ze światów? Rozerwiesz się? Zginiesz w imię tego, który i tak jest skazany na zagładę?

– O czym... o czym ty mówisz?

– Czyżby twój zamaskowany strażnik zapomniał powiedzieć ci o twoim własnym losie? Chyba mnie to nie dziwi. Podejrzewam, że bardzo wybiórczo podchodzi do informacji, którymi się z tobą dzieli. Pewnie uznałby to za niedogodność, gdybyś podejmowała zbyt wiele samodzielnych decyzji. Ale to się nie musi tak skończyć. Wydaje mi się, że mężczyźni stawili nas przeciwko sobie. Dlaczego? Skoro każda z nas ma coś, czego chce druga...

– Nie dam ci tego brulionu – oświadczyła dziewczyna. Kolejne kroki wciąż prowadziły ją w tył, aż obcasy znalazły krawędź najwyższego schodka.

Lilith roześmiała się, cichym i niemal melodyjnym dźwiękiem, natarczywym, a jednak pięknym.

– Nie rozumiesz, że ty sama masz teraz o wiele większą wartość?

– Jak to? – spytała Isobel, niezdolna ogarnąć umysłem, co też tamta ma na myśli.

– Mimowolnie stałaś się połączeniem między światami. Twoje imię na tych kartach zmieniło cię i stałaś się lepsza niż szkicownik biednego, zagubionego chłopaka, bo nie jesteś ogniwem, które łączy z mocą, lecz mocą samą w sobie. Razem zyskałybyśmy władzę nad wszystkim, bo ja znam każdą drogę, a ty, śniąc, potrafisz ją przemierzyć. Nie potrzebowałabym już zakończenia. Po co, skoro żyłybyśmy wiecznie? Zjednoczona z tobą, nie miałabym już żadnego wpływu na twojego Varena. Zostałby wypuszczony i wolny, mógłby być z tobą, z nami.



Kobieta zbliżyła się i woalka zsunęła jej się z twarzy. Była ciemnowłosą pięknoscią o królewskich wysokich kościach policzkowych. Jej skóra miała w sobie lśnienie gwiazdowego pyłu, a włosy, niczym ciemne, masywne fale jedwabiu, zdawały się okalać ją niby czarna aureola. Ale przede wszystkim oczy, obce i zagadkowe, sprawiały, że Isobel stała jak urzeczona. Okolone ciemnymi rzęsami bezdenne studnie atramentu uwięziły ją i stwierdziła, że nie może już nawet mrugać powiekami.

– Weź mnie za rękę – szepnęła zjawa i znowu uniosła białą dłoń.

– Chodź ze mną.

Isobel poczuła, że jej ręka się unosi.

Te oczy przyciągały jak magnesy, miały w sobie siłę, której nie sposób było się przeciwstawić. Była taka piękna. Isobel zawahała się, a jej palce zawisły nad tamtymi, zimnymi i białymi.

W taki właśnie sposób musiała skusić Varena.

Myśl przyszła do niej nagle, przebijając się na powierzchnię przez głębokie, mętne morze dezorientacji, wątpliwości i tęsknoty. Jakże to dla niej musi być łatwe, pomyślała. Bez wysiłku składała mu obietnice, takie jak ta. Tyle że jemu obiecała więcej. Znacznie więcej.

Niczym wąż, ten demon oplótł jego serce. Niczym harpia, żywił się jego zupełnym wyobcowaniem, jego pragnieniem „Lenore”.

„Nigdy nie mogłabyś być Lenore” – powiedział jej Varen.

Isobel wyobraziła sobie przyszłość. Przyszłość bez swojego udziału. Ale także bez udziału istoty, która stała przed nią. Wyobraziła sobie Varena bezpiecznego w domu. Siedział przy biurku i zapisywał strony nowego notatnika przy blasku świecy. Fioletowe wersy zapęłniały bielutkie połacie papieru i w tych wykaligrafowanych liniach jej imię pojawiało się więcej niż raz. Wraz z łagodnymi, zwiewnymi rysunkami właśnie te linie będą ich ostatnim pożegnaniem.

Czy będzie pisał o niej? Pragnęła myśleć, że tak. Pragnęła myśleć, że już zawsze sylaby, które składały się na jej imię, będą przylatywały do niego na skrzydłach snów – snów wolnych teraz od duchów i de-

monów, które wcześniej nękały jego umysł. Wreszcie, przynajmniej w ten skromny sposób, to ona zostanie jego Lenore.

Zamrugła wreszcie powiekami. Jej palce zadrgały i cofnęły się.

Ta wiedźma nie miała jej nic do zaoferowania. Nie mogła rzucić żadnego zaklęcia, skoro Isobel wiedziała, że Varen jest bezpieczny w jej własnym świecie. Gdy połączenie zostanie zamknięte, taki stan przetrwa na zawsze.

Popatrzyła prosto w oczy Lilith.

– Nikt ci nie mówił, że trzy osoby to o jedną za dużo?

Czarne oczy otworzyły się szerzej ze zdumienia.

– Już za późno – szepnęła Isobel – żebyś cokolwiek mogła zdziałać.

Obiema rękami mocno chwyciła notatnik. To wciąż był jej sen, nawet gdyby miało to znaczyć, że odejdzie, gdy ten sen się skończy. Zaciśnęła powieki.

– Co ty wyprawiasz? – rozległ się głos podobny do krzyku sowy.

Isobel skupiła się na żarze w swojej piersi. Prowadzony przez jej umysł powędrował do rąk, po czym buchnął płomieniem nad brulionem.

Ktoś krzyknął. Ona? Otworzyła oczy. Biały żar pochłonął ją, pożarł. Cieszyła się, że nie czuje bólu. Może był to dar jej podświadomości dla świadomości? Wizja białej czarnookiej postaci odpłynęła jak halucynacja. Blask lampy w oknach pojaśniał – a może był to refleks ognia?

Spojrzała w dół i zobaczyła, jak płomienie migoczą na jej przedramionach. Tańczyły na notatniku, który trzymała przy sobie, i patrzyła, jak brzegi kartek zwijają się i zmieniają kolor, od oranżu przez brąz po czerni, mieniając się wszystkimi odcieniami jesieni.

Jesienią wszystko umierało.

Brulion rozpadł się jej w rękach, obrócił w popiół. Płomień zgasł pośród czerni, a wraz z nim cały świat.

## Z ksiąg pociecha

Już kiedyś czuła ten zapach. Była to aż nazbyt słodka, głęboka woń rozkładu. Martwych róż. Aromat znacznie potężniejszy, niż zapamiętała. Nie był przykry, lecz zbyt silny w tak skoncentrowanej dawce. Natarczywy.

Chciała odwrócić od niego głowę, lecz okazało się, że z jakiegoś powodu ma niewiele miejsca, by się ruszyć.

Zastanawiała się, czy to sen. Czy to jeszcze sen...

A może nie żyje i zamknięto ją na zawsze w pełnej kwiatów trumnie?

Czy zmarli śnią?

Zdała sobie sprawę z nacisku na swoje ramiona i tylną stronę kolan. Ból dotarł do jej umysłu niczym złe wspomnienie, przenikając całe ciało.

Następnym uczuciem, którego doznała, był ruch. Poruszała się. Zimne powietrze wywołało gęsią skórkę na jej rękach. Chciała otworzyć oczy i zobaczyć, gdzie się znajduje, w jaki sposób się przemieszcza i dokąd zmierza, ale zarazem tego nie chciała. Po co, skoro o tyle łatwiej byłoby znowu odpłynąć, odpocząć w kokonie snu, w tym pustym miejscu między marzeniami sennymi a rzeczywistością, gdzie słowo „nie” odnajdywało prawdziwą definicję?



Poczuła na policzku doryk jakiejś tkaniny, którą zbierała także palcami. Własne włosy połaskotały ją w czoło pod wpływem kolejnego powiewu, a przez powieki wyczuła światło.

Odzyskała zmysły na tyle, że nie mogłaby już pograżyć się na powrót w przypominającej śmierć otchłani odpoczynku. Wbrew woli nabierała coraz większej świadomości samej siebie, niezliczonych obolałych miejsc na ciele, a wreszcie tego jednostajnego, rytmicznego ruchu pod sobą. Jej myśli wyrwały się z mroku niepamięci i poruszyła się.

Otworzyła oczy i ujrzała kamizelkę z czarnego materiału, tak blisko, że mogła policzyć szwy. Srebrny łańcuszek, zwisający z małej kieszonki, połyskiwał w świetle i dziewczyna zauważyła, że trzyma coś, co najwyraźniej było czymś czarnym płaszczem. Wtedy zrozumiała, że nacisk, który czuła na plecach i pod kolanami, to były ręce, ręce, na których leżała, ręce, które ją niosły.

Ciało tego kogoś nie wydawało się ani zimne, ani ciepłe, było rzeczywiste, ale w jakiś sposób niezupełnie żywe. Nasłuchiwała, lecz nie oddychał. Jej spojrzenie podążyło do podbródka i nosa, które skrywał ubrudzony krwią szal. Zmrużyła oczy, próbując bez powodzenia przeniknąć wzrokiem cień, który rondo szerokiego kapelusza rzucało na jego oblicze.

Niebo wokół jego zarysu usiane było gwiazdami, widocznymi poprzez plątaninę sękatych konarów, które z pewnością nie mogły należeć do drzew z lasu. Pokryte liśćmi gałęzie wyglądały zbyt spokojnie, zbyt normalnie.

Czy to możliwe, że wróciła do swojego świata?

Na początku nic nie powiedziała, lęk tamował w niej bowiem nadzieję. Chciała zatrzymać czas i po prostu nie ruszać się jeszcze przez chwilę, by jej zmęczony umysł i obolałe mięśnie mogły odpocząć. Stęchły, zgniły odór, który od niego bił, nie przeszkadzał jej tak bardzo jak przedtem i czuła się przy nim niemal spokojna. Bezpieczna.

Isobel puściła płaszcz, a jej palce z zaciekawieniem przesunęły się niczym pajak do połyskującego łańcuszka. Pociągnęła go i w jej dłoni znalazł się mały, tykający zegarek kieszonkowy. Odwróciła go, podążając oczami za światłem, które odbijało się od polerowanej powierzchni. Otworzyła zegarek. Miał prostą białą tarczę, okoloną rzymskimi cyframi, oraz trzy czarne wskazówki. Wewnątrz okrągłej koperty widniało wygrawerowane kursywą imię.

– Augustus – przeczytała. Jej głos wydał się cichy i pusty, jakby minęło wiele czasu, odkąd go ostatni raz użyła. – To twoje prawdziwe imię? – spytała. – Augustus?

– Śmiem przypuszczać – odrzekł Reynolds, gdy nad jego ramieniem ukazał się między splątanymi gałęziami blady fragment księżyca – że przytrafiłoby ci się o połowę mniej kłopotów, gdybyś tylko zechciała nie zajmować się sprawami, które nie należą do ciebie.

– Dobrze, Augustusie.

Westchnął.

– Augustus już od dawna jest martwy.

– Aha... – Zamknęła zegarek i wsunęła z powrotem do jego kieszeni. – A ty nie?

– Niezupełnie.

– A ja... czy ja nie żyję?

– Ty, dziwna, pełna zagadek dziewczyno, masz wielkie szczęście.

– Gdzie... gdzie jesteście?

– Już prawie przeszliśmy przez park za twoim domem – odparł.

– A... a Varen?

– Jest... teraz też jest w domu.

Dom, pomyślała z nagłym ukłuciem tęsknoty. Zaciśnęła usta i poczuła, że twarz ściąga jej się od nagłej emocji. Powstrzymała łzy, które chciały napłynąć jej do oczu, i zmusiła się do śmiechu. Dźwięk, który się z niej dobył, bardziej przypominał zdławione szczekanie niż cokolwiek innego i potężnie wstrząsnął jej ciałem. Jak? Jak udało im się przeżyć, skoro śmierć wydawała się pewna?



Znowu zamknęła oczy i przeciągle wypuściła powietrze. Jej mięśnie odprężyły się. Bezpieczny. Był bezpieczny.

– Miałem kiedyś dom. I rodzinę – odezwał się Reynolds, przerywając jej myśli. Podniosła na niego wzrok, zaskoczona, że w nietypowy dla siebie sposób czyni jej wyznanie. – Tyle że nie własną. Nigdy się nie ożeniłem – dodał, jakby w jej milczeniu domyślił się jakiegoś pytania. – Tak jak ty miałem matkę i ojca – ciągnął – a także dziadka, z którym byłem szczególnie blisko związany. Minęło wiele czasu, a jednak ciągle pamiętam ich takimi, jacy byli.

Światło wokół pojaśniało i Isobel zauważyła latarnie, rozsiewające ciepły, obiecujący blask. Od razu wiedziała, że znaleźli się w jej okolicy.

– Pewnie za nimi tęsknisz – usłyszała własne słowa.

Westchnął.

– Czasami się boję, że nigdy ich nie zapomnę.

– A czemu chcesz o nich zapomnieć?

Z początku nie odpowiedział. Księżyc znowu schował się za rondem jego kapelusza i światło gwiazd osłabło, podczas gdy blask latarni i oświetlenia w domach stał się jaśniejszy. Odwróciła głowę i ujrzała zbliżający się kontur swojego domu z ciemnymi oknami i zaciągniętymi roletami. Pomyślała, że pewnie wszyscy śpią.

Papierki po cukierkach walały się po ulicy razem z porzrzuconymi liśćmi. Biała maska upióra leżała w trawie niczym popękana twarz jakiegoś Noka, porzucona i zapomniana. Kroki Reynoldsa nie wydawały żadnego dźwięku na żwirowej ścieżce, wiodącej do tylnego ganku. Zaniósł ją do drzwi, ale zamiast postawić ją na nogach, ułożył delikatnie na poduszce na długiej wiklinowej ławie jej matki. Gdy się cofnął, Isobel usiadła, zaniepokojona, że może ją zostawić bez słowa.

Zatrzymał się jednak i ukucnął przy niej.

– Isobel – zaczął. – Nie ma nic z wyjątkiem cierpienia i żalu, gdy myślimy o rzeczach i ludziach, których nie możemy mieć, o możliwościach, których nigdy nie zyskamy. Nie zgadzasz się ze mną?



Zmarszczyła brwi, niepewna, skąd się wzięło to pytanie, a tym bardziej jak na nie odpowiedzieć.

— Ale tęsknota za tymi, których kiedyś kochaliśmy i mieliśmy przy sobie, lecz nigdy więcej ich nie przytulimy — ciągnął — to zupełnie nieznośna udręka. To najgorszy możliwy ból. Wystarczy, by przestać być sobą... tak jak się stało z Edgarem.

— Czemu mi to mówisz? — spytała. — Czy jednak umarłam?

Zachichotał i Isobel uświadomiła sobie, że pierwszy raz słyszy jego śmiech. Był to cichy, skrzekliwy dźwięk, niczym otwieranie zardzewiałej furtki. Powoli się podniósł, kolejny raz omiatając ją wonią sfermentowanych róż. Przeszedł na skraj werandy, gdzie przystanął plecami do niej. Podniósł rękę i oparł dłoń w rękawiczce o drewnianą belkę. Powiał wiatr i jego płaszcz zaszeleścił.

— Edgar. — Opuścił wzrok, jakby rzadko pozwalając sobie wypowiedzieć to imię. — Masz rację, dobrze go znałem. Pomimo licznych dzielących nas różnic byliśmy jak dwie strony jednego medalu. Inni, a jednak tacy sami. Był moim przyjacielem.

Isobel słuchała. Dziwnie się czuła, gdy mówił tak dużo. Zawsze odpowiadał wymijająco. Zazwyczaj można było całkowicie odwrócić jego słowa i miały tyle samo sensu.

— Co się z nim tak naprawdę stało? — spytała.

— Umarł — odparł Reynolds. — Odszedł częściowo za własną sprawą, a częściowo za sprawą innych. Najlepiej tak to zostawić.

— Chcesz powiedzieć, że Lilith go zabiła?

— Była... odpowiedzialna — odrzekł.

— Nie rozumiem — powiedziała bez tchu. — Spaliłam brulion. Dlaczego ciągle tu jestem? Dlaczego nie umarłam? — Chciała zadać to pytanie, torowało sobie drogę wśród wielu innych.

— Ach — mruknął Reynolds. — Sam do końca tego nie rozumiem, choć przypuszczam, że to po części zasługa twojego przyjaciela.

— Varen? Niby jak on mógł...

Mężczyzna odwrócił się do niej.

– Pozwól, że spróbuję ci to wyjaśnić za pomocą przykładu, który zrozumiesz. Nokowie. To część jego wyobraźni, jego opowieści, a zatem... część jego. Skoro on nie mógłby cię skrzywdzić, to logiczne, że i oni nie mogą. Stanowią najgłębszy element jego podświadomości. Odłamek jego wnętrza. Jak być może się przekonałaś, mają te same pragnienia i wątpliwości co ich stwórca. Jako odrębne byty, uwolnione od duszy i konfliktów ludzkiej świadomości, rozwijają jednak własne umysły. A jako demony, powstałe w świecie snów, są zmuszone prawem do słuchania królowej. Dlatego próbowały cię skrzywdzić, ale ostatecznie nie mogły tego zrobić.

– To nie wyjaśnia, dlaczego ogień, który rozpałałam, mnie nie spalił.

– Rozpałałaś ogień w świecie snów, który podlega zasadom swojej królowej, ale także wpływom wyobrażeń i pragnień, napędzanych przez zewnętrzną siłę, czyli twojego przyjaciela. A zatem ta sama moc, która chroni cię przed Nokami, obroniła cię, być może, także przed ogniem. Co więcej, kiedy zniszczyłaś połączenie, czyli brulion, powiedzmy sobie szczerze, zniszczyłaś też stronę, na której widniało twoje imię. Twoja jedyna więź ze światem snów została zerwana, a ty znowu zaistniałaś w pełni tutaj, w swoim świecie. Na koniec, jako że ogień został przez ciebie stworzony w świecie snów i sam zasadniczo był snem, przestał istnieć w chwili zerwania więzi, w chwili gdy oba światy się rozdzieliły.

– Chciała, żebym za nią podążyła – wypaliła Isobel.

– W takim razie – powiedział bez najmniejszego zaskoczenia w głosie – przypuszczam, że wiesz o mocy, która cię ochroniła. Niezniszczalność w fizycznej postaci między dwoma światami? Nie mogłaby nawet marzyć o większej władzy.

– A ty? – ponagliła. – Wiedziałaś o ochronie? – zapytała, choć znała już odpowiedź. Przez dłuższą chwilę pytanie wisiało między nimi jak coś martwego. Węzeł zakłopotania w jej brzuchu zacieśnił się, aż zrobiło jej się niedobrze i pożałowała, że wypowiedziała te



słowa na głos. W końcu nie musiałby zgadywać, czemu przeżyła, gdyby od początku wiedział, że znajdowała się pod ochroną Varena.

— Dawno temu — przemówił w końcu — złożyłem przyjacielowi obietnicę, że za żadną cenę nie pozwolę, by wydarzenia, które doprowadziły do jego śmierci, jeszcze kiedyś zagroziły jego światu... albo jakimkolwiek innemu.

Powoli zamrugła powiekami. Zerknęła na swoje dłonie, złożone na kolanach, i na poszarpane, poplamione fałdy różowej kiedyś sukienki.

— Czyli... to ja byłem ceną — powiedziała w końcu. — Myślałeś, że będzie po mnie, gdy zrobię, co mówiłeś. Właśnie to miała na myśli Lilith, gdy stwierdziła, że nie powiedziałaś mi wszystkiego. — Zerknęła na niego z ukosa, a jego milczenie potwierdziło, że trafiła w sedno.

Obserwował ją, a ona z kolei przyglądała się fragmentowi jego twarzy, który widziała, wąskiemu paskowi skóry wokół oczu. Były to młode oczy. Zwodniczo młode, pomyślała. Kto mógłby wiedzieć, ile ten facet ma naprawdę lat? Był pewnie stary jak świat, zwłaszcza że wyraźnie kierował się moralnością azteckiego kapłana, spełniającego ofiarę. Znowu spojrzała na swoje dłonie na kolanach. Wzruszyła ramionami, próbując udawać, że jej to nie obchodzi.

— Mogłeś mi powiedzieć, wiesz — stwierdziła. — I... i tak bym... gdyby tylko tak... dało się go uratować.

Czekała, aż Reynolds coś powie. Aż oświadczy, że tak naprawdę nie wierzył w jej śmierć. On jednak stwierdził:

— Nie... nie jest mi przykro, że przeżyłaś.

Parsknęła śmiechem, zabrzmiało to jednak dość pusto. Było to zabawne, bo widziała, że mówi poważnie. A w jego wypadku takie wyznanie znaczyło naprawdę wiele. Z trudem przetknęła ślinę. Tak naprawdę nie najlepiej znosiła świadomość, że wysłał ją na zabicie, nawet o tym nie uprzedzając. Ale mimo wszystko przyszedł po nią, gdy było po wszystkim. Pomógł Varenowi wrócić. I ją także ściągnął do domu. Chyba przynajmniej na tym mu zależało.



– Czym ty w ogóle jesteś? – spytała. Pomyślała, że czemu nie, może sobie na to pozwolić, skoro oboje stali się tak obcesowi.

– To bez znaczenia.

– Lilith nazwała cię Zagubioną Duszą.

– To zapewne jeden z punktów widzenia na moją egzystencję – odparł.

– Czy to samo spotkałoby Varena? Gdybym ja nie...

– Możliwe – przyznał. Po chwili odwrócił wzrok i potwierdził, dodając cicho: – Tak. Przynajmniej... z czasem.

Pochyliła głowę w jego stronę. Jego głos zabrzmiał tak okropnie smutno, że nie zdołała się powstrzymać od następnego pytania.

– Co to znaczy być Zagubioną Duszą?

Może chodziło o nutkę współczucia w jej głosie, która wydała mu się obraźliwa, a może po prostu o to, że jej uwaga przeniosła się z Varena na niego. Tak czy inaczej, tym pytaniem najwyraźniej przekroczyła granicę. Odwrócił się nagle ku niej i znowu przybrał ostry ton.

– Isobel, po dzisiejszym wieczorze więcej mnie nie zobaczysz.

Zamilkła.. Wiedziała, że w ten sposób skończył zarówno ten temat, jak i wszystkie inne. Zostało jednak zbyt wiele pytań, by zrezygnowała. Zamrugowała powiekami.

– Dokąd pójdziesz?

– Wrócę, by dalej czuwać, zgodnie z obietnicą.

Uśmiechnęła się smutno.

– Dla ciebie impreza nigdy się nie kończy, co?

To miał być żart, lecz Reynolds się nie roześmiał. Odwrócił się i zaczął schodzić z werandy, skrajem płaszczu muskając wyblakłe drewno.

– Czekał! – zawołała za nim i wstała. Przez chwilę kołysała się na nogach i obraz w jej oczach się rozmywał. Zatoczyła się w przód, po czym, nie ufając swoim kolanom, że ją podtrzymają, chwyciła się belki, którą on trzymał ledwie kilka sekund wcześniej. – Jeszcze jedna rzecz, proszę. Chodzi o Varena.

Spodziewała się, że Reynolds pójdzie dalej, może nawet rozplynie się w powietrzu na jej oczach. A jednak się zatrzymał. Niezależnie od przyczyny, nie obejrzał się, a tylko lekko odwrócił głowę, jakby chciał podkreślić, że chociaż postanowił jej wysłuchać, ostatni raz spełnić jej zachciankę, to i tak gwarantuje sobie to wkurzające prawo, by odpowiedzieć milczeniem.

– Wczoraj – zaczęła, mówiąc do jego pleców, spiesząc się, jakby przesypywał się w nim piasek jak w klepsydrze – zanim to wszystko się zaczęło, spotkałam go. Nie widziałam go cały ranek. Zdaje się, że nikt nie widział. Ale przyszedł na lekcję pana Swansona, żeby przedstawić opracowanie. Potem, po lekcji, zniknął. Później dowiedziałam się, że cały czas był w księgarni i spał. A kiedy zobaczyłam go wieczorem, jego twarz... Wyglądał inaczej, ale... Nie rozumiem. – Pokręciła głową. Szczegółów było zbyt wiele, by ułożyć je w spójne pytanie. Ale podjęła próbę. – Jak... jak mógł być w dwóch miejscach naraz?

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Reynolds obrócił się gwałtownie i spojrzał na nią, jakby coś w jej słowach wzbudziło jego zainteresowanie.

– Mówisz, że spał?

– Tak. Tak... powiedział Bruce. – Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Jesteś pewna, że go widziałaś?

– Tak – potwierdziła, zdziwiona pytaniem. – Wszyscy widzieli.

Zesztywniał po tej odpowiedzi, a jego czarne oczy otworzyły się szerzej. Do tej chwili nie przypuszczała, że zdumienie mieści się w wachlarzu emocji Reynoldsa.

– Co? – spytała.

Stał i patrzył na nią uważnie, tak uważnie, że oddałaby wszystko, by poznać myśli przepływające mu przez głowę.

– Może to pytanie należy zadać zainteresowanemu – odpowiedział.

Trzask. Niemal usłyszała, jak drzwi zamykają jej się przed nosem.

– Ale...

– Muszę już odejść – oznajmił.

No pewnie, że musisz, pomyślała z goryczą. Skrzyżowała ramiona i opuściła spojrzenie na swoje zniszczone pantofle, te same, którymi wcześniej w niego rzucała. W tym momencie niemal chciała znaleźć coś innego, czym mogłaby rzucić. Najlepiej coś cięższego i twardszego. No dobrze, pomyślała. Zapyta Varena, jak już się spotkają.

– Isobel?

– Co? – warknęła, nawet nie racząc na niego spojrzeć. Czasami potrafił ją tak wkurzyć... Nawet teraz, po tym wszystkim, mimo że ją uratował i przyniósł do domu, mimo że ocalił Varena.

– Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli zapamiętasz, co ci dzisiaj powiedziałem – stwierdził. Zadrżała i zerknęła w dół na swoją dłoń, obracając ją w bladym świetle, by popatrzeć na brud, który wżarł się pod paznokcie. – I wiedz, że jeśli z jakiegoś powodu przyjdzie ci do głowy znowu mnie szukać, nie zdołasz mnie znaleźć.

Słyszając to, skrzywiła się i kopnęła belkę. Przewróciła oczami.

– Tak jakbym mogła choćby pomyśleć, żeby zaprosić cię na spotkanie, Ren. Masz maniery grabarza.

Światło na ganku zapaliło się i dziewczyna spojrzała spod zmrużonych powiek. Danny wychylił głowę przez tylne drzwi.

– Z kim rozmawiasz?

Rzuciła okiem na miejsce, w którym stał Reynolds. Już go nie było. Odwróciła się w kierunku rogu domu, niemal spodziewając się, że ujrzy znikającą fałdę jego płaszcza. Nie został po nim jednak żaden ślad i nie umiałyby powiedzieć, co czuje wobec faktu, że na zawsze odszedł z jej życia. Chyba przede wszystkim ją to drażniło.

– Cholera, co ci się stało? – spytał Danny. – Przegrałaś walkę z kosiarką? – Patrzył na nią oczami okrągłymi niczym studzienki kanalizacyjne. – Mama i tata wyszli cię szukać, wiesz? – oznajmił.

Ścisnęło ją w żołądku i odwróciła się, patrząc na młodszego brata.

– Mówię ci, masz przerąbane – oznajmił Danny.



## *Jęk niewidzialnych mąk*

To Gwen zadzwoniła do domu Isobel. Gdy ani ona, ani Mikey nie mogli jej znaleźć, posłużyli się jej komórką, którą znaleźli w sportowej torbie.

Tata, gdy usłyszał o bójce, która wybuchła, zadzwonił na policję. Potem razem z mamą wsiedli do samochodu i ruszyli do hrabstwa Henry. Zostawili Danny'ego w domu, by czekał na wypadek, gdyby Isobel się pojawiła. A gdy rzeczywiście się pojawiła, zrelacjonował jej bieg wydarzeń i dziewczyna z ociąganiem zmusiła się, by zadzwonić na komórkę ojca.

Było dużo krzyku, a w tle Isobel słyszała pełne ulgi łkanie mamy.

Gdy się rozłączyła, poczuła zmęczenie tak skrajne, aż myślała, że zaraz zemdleje. Mimo wszystko udało jej się wziąć prysznic i przebrać się, zanim rodzice wrócili. Włożyła dzinsy i bluzkę z długim rękawem, by ukryć siniaki i skaleczenia, po czym wcisnęła to, co zostało z różowej sukienki, do dolnej szuflady komody. Następnie złożyła kurtkę Varena i schowała ją w najgłębszych zakamarkach szafy, by tam czekała, aż będzie ją mogła zwrócić właścicielowi.

Kazanie, które usłyszała tej nocy, było bardzo długie, pomimo późnej pory, i pełne ciętych pytań retorycznych oraz gróźb, zarówno pustych, jak i budzących prawdziwy lęk. Zakaz wyjazdu na krajo-

we mistrzostwa należał do tych pustych. Ale już to, że nie dostanie samochodu na urodziny, mogło się okazać prawdą. Szlaban do odwołania miała jak w banku. Ale numerem jeden na liście drakońskich kar, nałożonych przez ojca, był zakaz rozmów i jakiegokolwiek komunikacji z Varenem poza szkołą, a także, w miarę możliwości, w szkole.

Nie było pola do dyskusji, a mama się tym razem nie wtrącała.

W końcu odesłano ją do pokoju, lecz ledwie dotarła do schodów, a już zatrzymał ją głos matki. Powiedziała Isobel, że Brad miał tego wieczoru operowane kolano. Że wykazał silną reakcję alergiczną na znieczulenie i omal nie wpadł w śpiączkę.

Isobel wróciła myślami do trumny, do cmentarza. Do krzyków Brada.

— Czy... czy wszystko z nim w porządku? — spytała. Odwróciła się i popatrzyła na mizerną twarz i ściągnięte rysy mamy.

— W porządku, biorąc pod uwagę okoliczności — odparła. — Przez jakiś czas nie będzie go w szkole.

Dziewczyna skinęła głową. Znowu popatrzyła na schody.

— Izzy...

Zatrzymała się.

— Jego mama dzwoniła do mnie, bo... bo kiedy on... mówiła, że wołał twoje imię.

Dłoń dziewczyny zacisnęła się na balustradzie. Poczowała, że ramiona jej sztywnieją.

— Myślę, że powinnaś do niego pójść, kiedy będzie już przyjmował odwiedziny — stwierdziła mama. — Zawiozę cię, jeśli chcesz.

Isobel znowu tylko skinęła głową. Nie mogła powiedzieć matce, że wątpi, by Brad zechciał ją jeszcze kiedykolwiek widzieć. Zastanawiała się, ile on pamięta. Czy w ogóle zdoła sobie przypomnieć krainę snów? Albo chwilę, w której stał się Śmiercią Szkarłatną? Pomyślała, że tak czy owak nie zapomni, co się zdarzyło na boisku.

Pragnąc uciec, popędziła na schody. Znalazłszy się wreszcie w pokoju, padła pod przytłaczającym ciężarem zmęczenia. Ciało nie dało jej wyboru. Zasnęła.

Późnym rankiem obudziło ją pukanie. Dźwięk rozległ się w jej głowie niczym echo i wyrwał ze snu, aż usiadła jak oparzona. Ścisnęło ją w piersi, a jej serce zabiło trzy razy szybciej.

Jęknęła i wygramoliła się z łóżka, podkurczonymi rękami ściskając kołdrę, zdziwiona, że nie czuje szorstkiej, suchej ziemi i gryzących drobin żwiru. Znieruchomiła i zaczęła nasłuchiwać, rozglądając się dookoła.

Nie było nagrobków. Nie było martwych drzew ani czarnych ptaków. Widmowych postaci ani krążących cieni. Tylko zimne, białe światło dnia. Jasne, choć przymgłone, sączyło się przez okno, oblewając różowe ściany przejrzystą jasnością i nadając każdemu przedmiotowi w pokoju własny nimb.

Isobel zamknęła oczy, po czym otworzyła je znowu.

Poczuła ulgę, że otoczenie się nie zmieniło. Rytm jej oddechu zwolnił i wreszcie odważyła się uwierzyć, że naprawdę jest w domu. Bezpieczna.

Gdy się odprężyła, ból w ciele przesączył się do jej świadomości, niosąc ze sobą wspomnienie ostatniego wieczoru. Wszystko wróciło do niej w serii rozbłysków. Mecz. Brad. Ponura Fasada. Świat snów. Reynolds. Lilith. Varen...

Pukanie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze, bardziej uprzejme. Jej ciało znowu odruchowo stężało.

Dźwięk dochodził z dołu. Dotarło do niej, że ktoś stuka do drzwi.

Varen?

Wciąż miała na sobie bluzkę z długim rękawem i dzinsy, które wczoraj włożyła. Wybiegła z pokoju na korytarz, okrążyła balustradę, dudniąc bosymi stopami o wykładzinę na schodach.

W połowie drogi zatrzymała się.



Jej tata stał u podnóża schodów, plecami do niej. Otworzył drzwi wejściowe, wpuszczając do środka powiew zimnego porannego powietrza. Przed nim na ganku, w miejscu, gdzie spodziewała się ujrzeć Varena Nethersa, stali dwaj mężczyźni, których nigdy przedtem nie widziała. Obaj mieli na sobie wykrochmalone białe koszule i ciemne krawaty. Nosili też długie, brązowe płaszcze, a ich twarze były zupełnie pozbawione wyrazu.

Zdezorientowana patrzyła, jak wyższy, ciemnowłosy mężczyzna otwiera portfel i pokazuje coś ojcu. Dostrzegła srebrną odznakę.

Policja? Co tu robi policja?

Wychyliła się nieco dalej nad schody, trzymając się bliżej ściany, lecz zamarła, gdy wzrok tego wysokiego przeniósł się nagle z jej ojca prosto na nią.

– Śledczy Scott i March – powiedział mężczyzna. Przypatrywał się jej, chowając portfel do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – Nazywasz się Isobel Lanley?

Ojciec odwrócił się, wyraźnie zaskoczony, gdy ją zobaczył na schodach. Spoglądał to na nią, to na obu śledczych. Twarz mu spochmurniała, nabierając wyrazu niepewności i podejrzliwości.

– Mogę spytać, o co chodzi?

Isobel poczuła, że kolana się pod nią uginają. W piersi wezbrało jej przerażenie. Pokręciła głową, pragnąc, by ta scena się skończyła. Chciała znowu się obudzić, by wszystko zaczęło się od nowa, zanim sprawy przybiorą zły obrót. Było już jednak za późno. Sprawy przybrały zły obrót. Wyczuwała to jak czyjąś niewidzialną obecność w pokoju.

Teraz odezwał się niższy, rudowłosy funkcjonariusz.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie zaginionych osób, o których pańska córka może posiadać jakieś informacje.

– O kogo chodzi? – spytał tata, lecz Isobel wiedziała już o kogo. Niby brakujący element układanki, straszliwa prawda znalazła się na swoim miejscu.

Poczuła nagły zawrót głowy i mdłości. Dom w jej oczach zdawał się tracić wyraźne kontury.

– Ty jesteś Isobel, jak sądzę? – spytał rudowłosy detektyw. Jego brwi uniosły się, gdy na nią patrzył z opuszczonym podbródkiem, jakby chciał jej podpowiedzieć, przypomnieć, jak się nazywa.

Oszołomiona, patrzyła w miejsce między dwoma mężczyznami. Niczym iluzja, śledczy, przedpokój, ostre światło poranka i jej ojciec, wszystko to stopiło się w całość i odpłynęło, aż każdy z tych elementów stał się jedynie odległą drobinką w jej świadomości. Jej myśli znowu pogalopowały przez chaos i piekło poprzedniej nocy.

Reynolds. Na cmentarzu. Okłamał ją.

Okłamał.

W tym momencie prawda wydała jej się tak prosta, tak prosta i jasna, skrawo oczywista. Ale w takim razie jak to możliwe? No jak, skoro przyniósł kurtkę Varena? Przecież Varen musiał mu ją dać!

No jasne. Skoro okłamał ją, nic nie mogło go powstrzymać przed okłamaniami także Varena. Mógł mu powiedzieć cokolwiek i być może chłopak wciąż był uwięziony i czekał.

Na nią.

Słowa Reynoldsa wróciły do niej. „Jest... teraz też jest w domu”.

Nakryła usta dłonią. Słyszała tę wypowiedź raz za razem, jego głos wibrował w jej umyśle wyraźnie niczym dzwon pogrzebowy.

Zeszła o jeden stopień, czując, że odrywa się od rzeczywistości.

Nazwał ją przyjaciółką. Uratował ją i z tego powodu chciała wierzyć, że uratował także Varena. Dlatego spijała każde słowo z jego ust jak najświętszą prawdę. Tak łatwo przelknęła jego truciznę. Jak mogła być tak głupia? Powinna była się domyślić, że jest gotów powiedzieć wszystko, byle tylko nakłonić ją do zerwania połączenia. Do rozdzielenia światów.

Mówił poważnie, gdy nazwał ją swoim wrogiem.

Poczuła szarpnięcie w ciele, gdy mimowolnie wciągnęła powietrze. Nawet nie zauważyła, że przestała oddychać.



Lilith miała rację, pomyślała z nagłą goryczą. Reynolds cały czas zachowywał prawdę dla siebie. Nabrał ją i zdaną na siebie, z fałszywą nadzieją, wysłał na śmierć.

Istna salwa uczuć uderzyła w nią w jednej chwili. Uraza, gniew, zdrada.

Strata.

A zatem takie było znaczenie jego przemowy na ganku. Ostatni monolog przed wielką sztuczką ze znikaniem. „Nie zdołasz mnie znaleźć” – powiedział.

– Panno Lanley – naciskał wysoki śledczy – czy wiesz cokolwiek o miejscu pobytu Varena Nethersa?

Pytanie dotarło do niej jak z oddali.

Tak, pomyślała. Tak, wiem. Przebywa w straszliwym miejscu, gdzie nikt nie może do niego dotrzeć. W świecie popiołu, czarnych drzew i popękanych ludzi, zakładnik kobiecego demona, który opętał go na wieczność.

Powoli pokręciła głową. Nie. Nie. Nie. To nie mogło dziać się naprawdę.

– Isobel. – Tym razem próbę podjął jej ojciec. – Myślałem, że Varen odwiózł cię do domu.

Znowu pokręciła głową. Nie chcę więcej słów. Nie chcę więcej słów. Proszę.

– Mówisz, że cię nie odwiózł? Isobel?

– Nie – szepnęła.

Chciała, by wszystko się zatrzymało. Chciała, by policja sobie poszła. Ściany i przedpokój, nazbyt jasne światło poranka i nowa świadomość – niech to wszystko po prostu odejdzie.

– Jego ojciec wcześniej rano zgłosił zaginięcie syna. Nie wrócił wczoraj ze szkoły i wieczorem poszedł na zabawę, gdzie widziano go z pańską córką. Wie pan, jak sędzę, że doszło do zakłócenia porządku?

– To ja dzwoniłem – odparł jej ojciec.



– A tak, jasne. Tak czy inaczej, gdy wszystko się uspokoiło, znaleziono samochód chłopaka. Wóz stał na parkingu, ale po nim nie było ani śladu.

– Isobel? – spytał tata. – Coś o tym wiesz?

Nic nie powiedziała. Nie chciała mówić, nie mogła. To by w niczym nie pomogło. Powoli, metodycznie, pokręciła przecząco głową.

– Przykro mi – usłyszała głos ojca. – My... No, mieliśmy ciężką noc. Wszyscy.

– Rozumiem – powiedział wyższy z funkcjonariuszy. – W takim razie zostawię swoją wizytówkę i może spróbujemy innym razem. Jeśli tymczasem coś wam się przypomni, dzwońcie do nas bez wahania. Ale – ciągnął, zmieniając ton, jakby kierował te słowa do Isobel – zanadto bym się nie przejmował. Często zajmujemy się takimi sprawami i w dziewięćdziesięciu procentach przypadków zaginięni się odnajdują. Poza tym zdaje się, że to nie pierwszy raz. Tak jak pańska córka, pewnie wystraszył się syren policyjnych i po prostu zabrał się z kimś innym.

Isobel usłyszała, jak jej ojciec żegna śledczych. Następnie zamknął drzwi, odcinając dostęp zimnego powietrza i rażącego światła, aż cień padł na nich oboje. Przez dłuższą chwilę stał tyłem do niej, z dłonią na klamce, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. Albo chciał sam sobie odpowiedzieć na pytanie, jak się właściwie czuje.

Dziewczyna zawahała się, czekając, aż tata w końcu stanie do niej twarzą. W końcu zrobiła to, co uznała za najłatwiejsze wyjście dla nich obojga. Rzuciła na niego jedno spojrzenie i odwróciła się.

– Isobel! – zawołał.

Przystanęła, ale tylko na chwilę. Potem pomknęła po schodach niczym duch i zniknęła w swoim pokoju.

## Ciemny szlak

Isobel w poniedziałek wróciła do szkoły. Pokonywała korytarze ciałem, ale nie umysłem. Zupełnie jakby cała jej świadomość uległa odwróceniu. Słowa stały się niezrozumiałe. Ludzie przeobrazili się w przedmioty, w poruszające się automaty, które przemierzały przestrzeń wokół niej. Pozbawione znaczenia i kształtu cienie. Godziny mijały, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy, czas nie miał znaczenia. Przez cały czas jej myśli się nie zmieniały, nie opuszczały miejsca, w którym ostatni raz widziała Varena, zamkniętego w purpurowej komnacie, gdzie miał na nią czekać. Obiecała, że po niego wróci.

Wspomnienie jego rozpaczy spalało ją.

Podczas lekcji pana Swansona prześladowało ją puste krzesło chłopaka. Choć wiedziała, że nikt tam nie siedzi, ciągle spoglądała w tamtą stronę, jakby mógł się w jakiś sposób zmaterializować.

Nie poszła do stołówki, by usiąść przy stoliku z Gwen, Steviem czy Nikki. Przerwę obiadową spędziła w sali gimnastycznej. Tam wykonywała przewrót za przewrotem. Ćwiczyła układ, kręciła gwiazdy i rundaki. Trenowała figury raz za razem, aż ta powtarzalność i konieczność skupienia sprawiły, że świat się zagęścił. Żeby nie musiała myśleć, żeby została tylko ona i parkiet.

Mimo to nie było ucieczki przed duchem pamięci. Chodził za nią krok w krok. Czuła go na swojej skórze, wyczuwała we wszystkim, w książkach, które nosiła, w papierze, na którym musiała pisać.

W tym tygodniu opuściła trening, by nie spotykać się z Nikki ani Steviem, na każdym kroku robiła też wszystko, by unikać Gwen. Podchodziła do szafki o dziwnych porach albo chodziła do klasy okreśną drogą, nie przejmując się spóźnieniami. Podczas gdy Stevie i Nikki najwyraźniej rozumieli, o co chodzi, zachowanie Isobel tylko podjudzało Gwen do coraz radykalniejszych metod. Co wieczór dzwoniła do niej do domu, chociaż ojciec za każdym razem wyraźnie powtarzał, że Isobel nie wolno odbierać telefonów. Potem Gwen próbowała nawet zmieniać głos, chociaż wiedziała, że rodzice Isobel mają identyfikację numeru dzwoniącego. Niemal każdy z tych telefonów kończył się przerwaniem połączenia przez tatę, który zaczął określać Gwen mianem „tej dziewczyny z północy”.

Pierwszy raz w życiu Isobel była zadowolona, że ma szlaban. Nie mogła znieść myśli o zasypywaniu jej pytaniami, na które nie znała odpowiedzi. Ani o przypominaniu, że zawiodła Varena. Że go zostawiła, czekającego na próżno na jej powrót, bo przecież mu obiecała, że wróci. Obiecała.

W Trenton plotki związane ze zniknięciem Varena zaczęły krążyć po korytarzach, powtarzane szeptem z ust do ust. Większość sądziła, że po prostu uciekł, lecz niektórzy pletli o tym, że został zamordowany przez swojego dziwnego jednookiego szefa, a jego ciało jest pogrzebane pod podłogą w Zakątku Nobita albo gdzieś w parku. Okoliczni mieszkańcy informowali o dziwnych światłach i dźwiękach, dochodzących ze strychu księgarni tej nocy, kiedy zniknął, było też jedno doniesienie o zakapturzonej postaci, wymykającej się tylnym wyjściem ze sztywnym ciałem w ramionach.

Pod koniec tygodnia Swanson oddał wypracowania, które napisali w ramach projektu. Chodził między rzędami, rzucając prace na co drugą ławkę. Gdy położył przed Isobel wypracowanie, które od-



dali z Varenem, odniosła wrażenie, że stał nad nią chwilę dłużej, zanim poszedł dalej. Przez lśniącą, przezroczystą okładkę dziewczyna zobaczyła czwórkę. Udało się.

*Dobra robota* – napisał nauczyciel czerwonym długopisem na stronie tytułowej. – *Ale następnym razem zapytaj o uczestnictwo rodziców, a nie o radioodtwarzacz, dobrze? Dołączyłem też artykuł internetowy z „Baltimore Sun”, który może zainteresować was oboje. Przy okazji, ładny ptak.*

Pod spodem Swanson dodał coś jeszcze. Tym razem na niebiesko i gęstsza, bardziej zwarta wersją swojego pełnego zawijasów, pochylego pisma. *PS. – brzmiał tekst – Jeśli chcesz porozmawiać, możesz na mnie liczyć.*

Ten drobny gest, tak dyskretny i miły, poruszył w niej jakąś czułą strunę, wywołując niespodziewany moment jasności myśli. Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech, nie miał bowiem znaczenia fakt, że nie mogła skorzystać z zaproszenia. Przyjemnie było wiedzieć, że Swanson dopisał to zdanie, bo lubił Varena. I dzięki temu Isobel przekonała się, że z kolei ona lubi swojego nauczyciela angielskiego bardziej, niż mogła przypuszczać.

Zsunęła pracę z ławki i włożyła ją do plecaka, nie chcąc patrzeć na nazwisko Varena, by świat znów mógł umilknąć. Stał się cichy, pusty i bezbarwny, nie licząc tego jednego pustego krzesła w kącie.

Tego popołudnia Isobel popełniła błąd i poszła do swojej szafki.

Właśnie skończyła upychać w środku segregator, notes i podręcznik do angielskiego, gdy Gwen pojawiła się za nią i zatrzasnęła drzwiczki.

– Jesteś – powiedziała, dźgając ją palcem w plecy – okropną przyjaciółką.

Isobel skrzywiła się i kopnęła róg metalowych drzwiczek, by otworzyły się z powrotem. Notes wysunął się i spadł na podłogę, gubiąc luźne kartki.

– Dzięki – mruknęła. – Tego mi było trzeba.

Pochyliła się, by pozbierać rozsypane kartki, ale przestała, gdy Gwen zrobiła krok naprzód i przydeptała je.

– Nie! – warknęła. Znowu zamknęła szafkę, tym razem z donośnym łoskotem. – Trzeba ci testu rzeczywistości. Już wystarczająco długo chodzisz w tej swojej skorupce samotności i dąsów. Nie wiem, co się stało tamtego wieczoru, ale wiem, że ty wiesz. I wiem, że to nie było normalne. Byłam tam, pamiętasz? Widziałam tę walkę na własne oczy, ale w przeciwieństwie do innych wiedziałam, że to na serio. Wiem też, że zniknąłeś na jednym końcu miasta, żeby pojawić się na drugim. Możesz nabierać wszystkich pozostałych, ale mnie nie nabierzesz, Isobel Lanley. Jeśli on nie żyje...

– On żyje! – krzyknęła nagle Isobel piskliwym głosem podszytym paniką. Złapała Gwen mocno za ramię i potrząsnęła. – Nie mów tak.

Gwen natychmiast się wyrwała. Zrobiła krok w tył i przez dłuższą chwilę obie stały i patrzyły na siebie.

– Mam dosyć ganiań za tobą – stwierdziła w końcu Gwen. – I jeśli czegoś nie zrobisz, nie będę cię dłużej kryła. Ci dwaj śledczy byli wczoraj w szkole. Jeśli wrócą, jeśli spytają mnie, co się stało, powiem im, co widziałam.

Isobel gapiła się na nią.

– Czegoś nie zrobię? – powtórzyła. Pokręciła głową, nie pojmując. – Czy ty... w ogóle masz pojęcie...

– Nie! – wypaliła tamta. – Nie! Nie mam. Nie mam pojęcia! Tak naprawdę wiem tylko jedno: wygląda na to, że się poddajesz.

Isobel zamrugnęła powiekami, nagle oniemiała, poruszona do głębi oskarżeniem zawartym w tych słowach.

Gwen zgromiła ją wzrokiem, nieustępliwa, a w jej oczach połykiwała zawziętość.

– Nie patrz tak na mnie. Widziałam cię z nim tej nocy. I wiem, że ty wiesz, gdzie on jest.

Wargi Isobel rozsunęły się z drzeniem. Zaczęła coś mówić, chcąc zaprzeczyć. Ale prawda była taka, że wiedziała. Tyle że nie istniał sposób, by się do niego dostać. Jak mogła powiedzieć Gwen, że nie da się go uratować, bo połączenie między światami zostało zerwane? Jak mogła liczyć, że ktokolwiek coś z tego zrozumie, skoro sama ledwie potrafiła ogarnąć to, co się wydarzyło?

Z gniewem, który wyostrzył jej łagodne rysy, Gwen odwróciła się, by wprowadzić szyfr i otworzyć swoją szafkę. Rozwarła metalowe drzwiczki, sięgnęła do środka i złapała coś z górnej półki, po czym wcisnęła to w dłoń Isobel. Różowy telefon komórkowy.

– Masz. Teraz twoja kolej. – Z tymi słowami szybkim, gwałtownym ruchem przełożyła sobie przez głowę pasek od torby. – Kiedy już się z powrotem połapiesz, jak się tego używa, no to... Wpisałam swój numer na samej górze twojej listy. I masz to – dodała, wyszarpując sportową torbę Isobel. Opuściła ją na podłogę między nimi, prosto na rozsypane kartki. – Moja szafka to nie magazyn.

Zarzucając długimi włosami, oddaliła się i zostawiła Isobel, która patrzyła na swoją zmiętą torbę i zastanawiała się, czy można czuć jeszcze większą pustkę.

Mechanicznie opadła na kolana przed swoją szafką i powolnymi, rozważnymi ruchami zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Nagle przerwała na widok jednej z kartek. Komórka wysunęła jej się z dłoni. Trzasnęła o podłogę, lecz dziewczyna niemal tego nie zauważyła, pochłonięta czarno-białą fotografią, widniejącą wśród białych papierów.

Chwyciła róg kartki i wyciągnęła ją spomiędzy pozostałych. Omiotła ją wzrokiem, pewna, że musiała sobie wyobrazić to, co tam zobaczyła.

Na górze strony widniała winieta „Baltimore Sun”, zapisana grubymi, drukowanymi literami. Zorientowała się, że to artykuł, który pan Swanson chciał pokazać jej i Varenowi, i który oddał jej razem z wypracowaniem. Skupiła się na niewyraźnym, zamglonym, czar-



no-białym wizerunku na środku strony. Mężczyzna klęczał z pochyloną głową przed dużym nagrobkiem. Na płycie dało się z trudem dostrzec sylwetkę kruka. Mężczyznę widziała jednak wyraźniej.

Nosił ciemny płaszcz, a czarna fedora zasłaniała jego pochyloną głowę. Ręką układał na grobie kwiaty. Róże? Jego rysy skrywał biały szal, owinięty wokół dolnej części twarzy.

Przeczytała podpis:

*Jedynе znane zdjęcie „Czciciela Poego”, wykonane w 1990 dla magazynu „Life”. Tajemnicza postać odwiedza grób Poego w Baltimore wczesnym rankiem 19 stycznia, aby uczcić urodziny poety różami oraz toastem, wzniesionym koniakiem. Zauważony pierwszy raz w 1949 roku rytuał powtarzał się przez kolejne lata, choć tożsamość Czciciela, podobnie jak sposób, dzięki któremu wchodzi na zamknięty cmentarz, do dziś pozostają tajemnicą.*

– Reynolds! – syknęła Isobel i chwyciła kartkę tak mocno, że aż ją pogmiotła.

Patrzyła z absolutnym niedowierzaniem. Na zdjęciu Reynolds klęczał przed grobem i składał hołd, jawnie, otwarcie na widoku wszystkich, którzy mieli odwagę patrzeć, uwieczniony na zawsze na kliszy.

Podniosła wzrok i w przeciwległym końcu korytarza dostrzegła rozkołysaną szeroką spódnicę Gwen. Coś w jej wnętrzu zaskoczyło i pierwszy raz, odkąd się dowiedziała, że Varen nie wrócił, jej umysł obudził się do życia. Zewnętrzny świat ponownie wkroczył w obszar jej egzystencji. Słyszała, jak wokół trzaskają szafki, a ludzie śmieją się i rozmawiają. Trampki skrzypiały po obu stronach, gdy wszyscy zmierzali do autobusów. Ściskając w dłoni artykuł, Isobel podniosła telefon. Otworzyła go i włączyła, uszczęśliwiona, że bateria jeszcze się do końca nie wyczerpała. Weszła w listę kontaktów i podświetliła pierwszą pozycję, po czym nacisnęła przycisk połączenia.

Nawet z oddali i mimo gwaru w korytarzu, usłyszała tryl komórki Gwen. Przez tłum kłębiących się uczniów zobaczyła, że tamta się zatrzymuje i sięga do pstrokatej torby. Patrzyła na przyjaciółkę, która wyciągnęła dzwoniący telefon i przez dłuższą chwilę spoglądała na wyświetlacz, jakby nie mogła się zdecydować, czy odebrać, czy nie.

Isobel stała.

Proszę, powiedziała w myślach. Proszę. Potrzebuję cię.

Gwen powoli uniosła komórkę do ucha. Po chwili Isobel usłyszała głos, widząc jednocześnie, jak usta tamtej się poruszają.

– Czyli pozwalasz mi na tę całą gadkę, całą tyradę, ale już nie chcesz pozwolić na dramatyczne odejście, tak?

– Baltimore – wypaliła Isobel. – Dziewiętnasty stycznia. Muszę tam być.

Gwen odwróciła się twarzą do niej. Z telefonami przy uszach, patrzyły na siebie nawzajem przez przestrzeń pustoszejącego korytarza.

– Co? – spytała Gwen, ruszając z powrotem w jej stronę i torując sobie drogę między grupkami maruderów.

Isobel opuściła telefon. Wyciągnęła rękę z artykułem.

Zbliżywszy się, Gwen wyrwała jej go z dłoni.

– Hej! – powiedziała. – To ten facet! Z Ponurej Fasady...

Nagle umilkła i Isobel zobaczyła, że jej oczy robią się szersze za szklami okularów. Tymczasem myślą powróciła do chwili, gdy Reynolds położył ją na wiklinowej ławie matki. Wraz z tym wspomnieniem przyszła jej do głowy nowa myśl, bardzo ważny detal, który do tego momentu udawało jej się zupełnie przeoczyć. Wbrew temu, co mówił o rozdzieleniu światów i zniszczeniu połączenia, stał tam, w jej świecie, wyraźny i namacalny.

Czy to nie Varen stworzył owo połączenie? Czy w takim razie Poe uczynił to samo?

Przymrużyła oczy. Jej spojrzenie padło na artykuł w ręce Gwen, w chwili gdy ta opuściła kartkę. Ich oczy się spotkały. Na twarzy

Gwen malowało się zdumienie, lecz jej mina uległa kilku szybkim zmianom, kiedy trybiki w mózgu zaczęły się kręcić, zmierzając do tego samego wniosku, do którego doszła już koleżanka.

Isobel pojedzie do Baltimore. W taki czy inny sposób.

I wbrew temu, co sądził Reynolds, jeszcze się spotkają.

Miała co do tego pewność.



## 50

### Cień

Tego wieczoru Isobel zaczęła, aż wszyscy zasną, po czym wymknęła się korytarzem do pokoju Danny'ego. Pchnęła drzwi, które cicho skrzypnęły..

Jej młodszy brat leżał na łóżku i chrapał, skulony na boku, z rękami owiniętymi wokół ogromnej poduchy z Transformersem. Na pluszowym ramieniu robota zbierała się ślina. Pokręciła głową, przyglądając się tej scenie. Gdyby miała inny nastrój, może nawet zaryzykowałaby zrobienie zdjęcia, które potem mogłaby wykorzystać do szantażu. Teraz jednak wkradła się do środka, idąc na palcach przez pole minowe, jakim była podłoga jego pokoju.

Po cichu usiadła na krześle przed komputerem. Zaskrzypiało i nadstawiła uszu, bo usłyszała, że Danny poruszył się za jej plecami.

Nie zważając na jego jęk, poruszyła myszką i ujrzała widok uspiętego ekranu. Komputer z szumem obudził się do życia, a gdy otworzyło się okno Google, zaczęła pisać.

– Co ty robisz? – mruknął chłopak. – Wynoś się z mojego pokoju.

– Ćśśś – syknęła Isobel. – Śpij.

Na monitorze pojawiła się strona internetowa uniwersytetu w Baltimore.

To Gwen, mimo pewnych oporów w kwestii planu Isobel, wpadła na pomysł, by pojechać do Baltimore pod pretekstem zwiedzenia uczelni. Po rozgrywkach krajowych, jeśli Trenton zdobędzie w tym roku mistrzostwo, mama i tata z pewnością nie odmówią jej prośbie. Zwłaszcza jeśli z własnej woli wypowie słowo „uniwersytet”.

Oczywiście, oznaczało to, że Trenton musi wygrać.

Później nie przewidywała żadnych trudności do czasu, gdy znajdzie się na miejscu, w Baltimore. Trzeba się będzie wymknąć i dostać na zamknięty cmentarz, i tu mogły zacząć się schody.

– Miałem miły sen – wymamrotał Danny. Usłyszała, że odwraca się ku ścianie. – Byłem jedynakiem.

– No to śpij dalej.

W polu wyszukiwania wpisała „sport”. Jedynym wynikiem był klub lekkoatletyczny.

– Niech to! – syknęła. Wcisnęła „cofnij” i powróciwszy do „Google”, wpisała: „Uniwersytet w Maryland + sport”. Gdy strona się załadowała, kliknęła pierwszą opcję i sportowa witryna rozbliżyła na ekranie czerwienią, żółcią i czernią. W samym środku widniało zdjęcie drużyny futbolowej.

– Tarapeny? – szepnęła.

– Jest druga w nocy – jęknął Danny. – Chyba dalej masz zakaz wszystkiego?

Isobel popatrzyła przez zmrużone powieki na zdjęcie maskotki. Najwyraźniej tarapena była jakimś gatunkiem żółwia. Dziwne.

Otworzyła menu i kliknęła w „drużynę wspierającą”. Strona na chwilę zrobiła się czarna, po czym zamigotała i wyświetliła czirlidery. Dziewczyny, uśmiechnięte od ucha do ucha, w jaskrawoczerwonych strojach z czarnymi wykończeniami, wypełniły monitor. Kilka zdjęć ukazywało je w powietrzu, podczas ćwiczeń o dużym stopniu trudności. Całkiem nieźle, pomyślała.

Przewinęła stronę w dół i tuż pod fotografią z mistrzostw znalazła potrzebną informację. Tak, drużyna uczestniczyła w rywalizacji.

– Zgaś ten ekran! – warknął Danny. – Jesteś beznadziejna.  
Zamknęła stronę. Wyłączyła monitor, po czym wstała.  
Obeszła dookoła puf Danny'ego, kopnęła na bok jego szkolne buty i usiadła na brzegu jego łóżka.

– Guuuch – mruknął w poduszkę. – Czego chcesz?

Podciągnęła kolana i położyła się na skraju wąskiego, choć podwójnego materaca brata. Odwróciła się twarzą do jego pleców i położyła mu rękę na ramieniu.

– Zejdź ze mnie – warknął, ale nie wykonał żadnego ruchu, by się odsunąć albo ją odepchnąć.

Przez dłuższy czas pozwalał jej leżeć, a ona patrzyła na jego połylicę, na ciemne włosy, a potem na ścianę, na górujący nad nimi plakat z Darthem Vaderem.

– Jesteś nienormalna – mruknął.

– Wiem – szepnęła w odpowiedzi.

Szum komputera ścichł, po czym umilkł, gdy maszyna znowu weszła w tryb uśpienia.

– Przykro mi, że twój chłopak zaginął – powiedział i te słowa całkowicie ją zaskoczyły, bo zupełnie się ich nie spodziewała.

Poczuła nagłe pieczenie w oczach. Ścisnęło ją w gardle i przełknęła ślinę, by powstrzymać chęć płaczu. Zamknęła oczy i pomimo starań ciepła łza spłynęła jej po policzku i spadła na pościel.

– Mam nadzieję, że go znajdą – dodał.

– Tak – zdołała z siebie wydusić, a uczucia dławily jej głos. – Ja też.

Danny znowu umilkł i pod ręką poczuła, że jego oddech staje się głębszy. Patrzyła i czuła, jak jego bok podnosi się i opada. Ten jednostajny ruch przenosił się na jej przedramię i koił ból niczym balsam.

Isobel ostrożnie wyplątała się z pościeli, starając się znowu go nie obudzić. Postawiła boscie stopy na dywanie i przeszła przez pokój do drzwi. Wymknęła się na ciemny korytarz i skierowała do swojego



pokoju, uważając, by delikatnie zamknąć za sobą drzwi. Nacisnęła klamkę, nie chcąc, by rygiel trzasnął zbyt głośno. A potem zrobiła coś, o czym do tej chwili nie pozwalała sobie nawet myśleć: wyjęła z szafy kurtkę Varena, usiadła z nią na brzegu łóżka i przyłożyła ją do piersi. Przycisnęła kołnierz do warg, wdychając jego zapach. Szorstkie włókna wciąż miały w sobie jego esencję i przywoływały chwilę, gdy byli tak blisko. Palcami przeciągnęła po rękawie, wspominając, jak się czuła, kiedy się do niego przytulała i smakowała jego usta.

Narzuciła kurtkę, wkładając ręce w rękawy. Ciężar ubrania spoczął na jej ramionach. Objęła się rękami, wyobrażając sobie, że to on ją trzyma, a nie to puste okrycie, ta ostatnia relikwia, jaka po nim została.

Poczuła i usłyszała szelest w prawej kieszeni.

Zamarła.

Nie patrząc, wsunęła dłoń do środka... i dotknęła gładkiego papieru.

Wyciągnęła złożoną kartkę. Liścik.

Z warstewki popiołu nic nie zostało po jednym dotknięciu kciuka. Z otwartymi ustami patrzyła na ten kawałek papieru, na poły się spodziewając, że pod wpływem jej dotyku rozpułynie się w powietrzu.

Nie rozpułynał się.

Powoli go rozłożyła, obchodząc się z nim jak z zatrutą strzałą. Po nierównych, pomarszczonych zagięciach poznała, że autor pośpiesznie wepchnął karteczkę do kieszeni, jakby chciał ją schować, zanim ktoś zdąży ją przechwycić.

Fioletowe pismo, jego pismo, wypełniało stronę pospiesznymi, lecz ładnymi zawijasami. Jej oczy podążyły za linijkami tekstu i chłonęła każde zdanie, słowo po słowie.

*Wśród cieni krainy snów – czeka. Patrzy na rozwarte na oścież okno na świat, które tak pragnął odemknąć. Teraz, szeroko otwarte, ponure i puste, zrujnowane – jak on sam – spełnia jego życzenie. To jego miejsce.*

*Nie może się równać ze wspomnieniem jej oczu. Lazurowych, ciepłych jak niebo latem.*

*Gdyby tylko mógł spaść do jej świata.*

*Zrobiłby to.*

*Teraz pisze zakończenie opowieści, która po głuchej północy – w zbyt późnej godzinie – toczy się dalej sama, bez jego udziału. Teraz już wie, że zawsze miała się tak skończyć.*

*„W jednakim wiecznie krążąc kole”.*

*Moja piękna, moja Isobel. Moja Miłości. Prosiłaś, bym czekał. Więc czekam.*

*Bo wiem, że to wszystko jest tylko snem.*

*A kiedy ze snu wreszcie się zbudzimy, znowu Cię zobaczę.*

Isobel patrzyła na kartkę w drżącej dłoni, zdolna tylko raz po raz czytać, pomimo palenia w oczach, tę ostatnią linijkę.

Pomimo jej dosłownego znaczenia, wiedziała, że to pożegnanie.

Nigdy, pomyślała, muskając palcem te starannie wykaligrafowane litery. Po tysiącokroć, nigdy. Byli teraz złączeni, już nieodwołalnie. Od dnia, w którym przytknął swój długopis do jej skóry. I nawet jeśli rozpadlina, która teraz się między nimi rozciągała, sięgała aż poza granice czasu i przestrzeni, snów i rzeczywistości, nadal musiała wierzyć, że istnieje sposób, by ją przebyć, by dotrzymać obietnicy. Musi istnieć.

Poczuła za sobą podmuch lodowatego powietrza i aż podskoczyła. Wiatr zakłuł ją w mokre policzki i zimnymi palcami zmierzwił jej włosy. Odwróciła się, by spojrzeć przez ramię.

Okno. Było otwarte. Zmarszczyła brwi, bo nie mogła sobie przypomnieć, by je podnosiła.

Firanki zatrzepotały i zaszepotały w rześkim powiewie, a ich biała zwiewna tkanina ślizgała się po panelach na ścianie z każdym ruchem powietrza z odgłosem podobnym do szumu odległych fal.

\* Z wiersza *Robak zdobywca*, przełożył Antoni Lange.

Wiatr poderwał się znowu i przybrał na gwałtowności, niosąc ostry, gorzki zapach nadciągającej zimy. Podmuchy szarpały kartką w jej dłoni, jakby chciały wyrwać papier.

Złożywszy go, Isobel wstała z lekkim drżeniem. Mocniej opatuliła się kurtką, obejmując się rękami. Obeszła łóżko i podeszła do okna, przystanęła jednak na widok swojego odbicia w lustrze. Patrzyła, jak wokół kwadratu czarnej i pustej nocy białe koronki firanek drgają i furkoczą. Machały do niej niby dwie zjawy na wietrze, aż w pewnej chwili, jak jej się zdawało, jedna przybrała kształty znajomej postaci – zawoalowaną, przejrzystą formę – o śnieżnobiałej skórze.



## Epilog

Stał na najdalszym skraju urwiska w butach uwalanych popiołem. Czarne skały sterczały niczym szpony ponad zdrętwiałymi wodami poniżej, wskazując odległy horyzont. Wielkie, nieruchome morze, białe jak płótno i zastygłe jak śmierć, rozciągało się przed nim szeroko i daleko. W oddali napotykało cienką, czarną linię, która oddzielała je od rozdartego fioletowego nieba.

Za jego plecami wznosiły się przypominające szkielet ruiny wspaniałego niegdyś pałacu, sypiącej się teraz budowli, złożonej z zapomnianych słów i od dawna uśpionych myśli.

Varen zamknął oczy, pozwalając, by martwa pustka wokół przeniknęła jego umysł i wyciszyła rytm ciała, aż nie zdawał już sobie sprawy z niczego oprócz szumu statycznej energii, tej jednostajnej wibracji, która stała się dla niego równie znajoma jak oddychanie. Skupił uwagę na chłodnym, miękkim dotyku różowej jedwabnej szarfy, zawiniętej na jednej ręce, którą zaciskał w pięść.

– To dlatego co noc wracasz w to miejsce?

Na dźwięk głosu, melodyjnego i głębokiego, Varen otworzył oczy, lecz się nie odwrócił. Gdyby spojrział, znowu dałby się uwięzić, pochwycony przez tę alabastrową twarz jak u serafina, okoloną nieskończonymi falami czerni.

Spojrzenie utkwiał w horyzoncie. Zachował milczenie, podczas gdy powiew odgarnął mu włosy z oczu. Wiatr muskał zimnymi palcami skórę na jego nagich ramionach.

– Nie zapominaj, że to ona cię tu zostawiła.

Daleko w dole śnieżnobiałe wody zaczęły się burzyć. Morze zakłócało się i niestrudzone fale uderzały w skalny klif, jakby chciały sprawdzić jego wytrzymałość.

Po lewej wezbrała biel, podobna do pajęczej sieci, gdy kobieta podfrunęła, by stanąć przy nim. Wiatr przybrał na sile, rozwiewając jej włosy.

Szum morza pod nimi przeszedł z szeptu w ryk. Fale z łoskotem rzucały się na ostre skały, jakby próbowały popełnić samobójstwo.

Wicher wył wokół nich, podrywając jej welon do szaleńczego tańca. Jedwabna szarfa furkotała i marszczyła się. Varen ścisnął ją mocniej.

– Stoisz tu tak długo, taki samotny... Nie jest ci zimno? – usłyszał pytanie.

Patrzył przed siebie i nawet nie mrugnął, gdy nóż błękitnej błyskawicy rozplątał niebo.

– Nie – odparł.